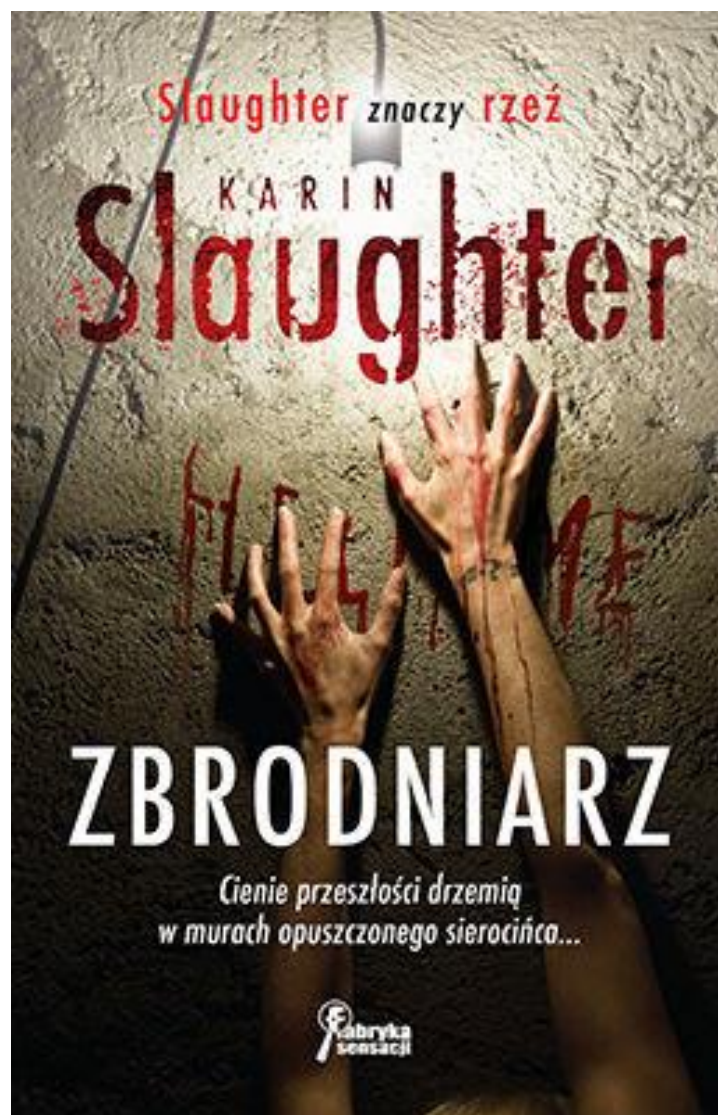


KARIN

SLAUGHTER

ZBRODNIARZ



Numer **1** na liście **bestsellerów** „New York Timesa”!

Trzymający w napięciu od pierwszej do ostatniej strony thriller Karin Slaughter to opowieść o ludzkich słabościach, ponurych zbrodniach i mrocznych sekretach.

Atlanta, stan Georgia. Will Trent, błyskotliwy agent wydziału śledczego, zostaje z niewyjaśnionych powodów odsunięty od głośnej sprawy zaginięcia studentki Georgia Tech. Do śledztwa nie chce go dopuścić Amanda Wagner, szefowa wydziału. Trzydzieści lat temu miała miejsce seria morderstw popełnionych przez szaleńca opętanego misją zbawiania upadłych kobiet.

Tamtą sprawę prowadziła Amanda Wagner, wówczas początkująca policjantka.

Czy zaginięcie studentki ma jakiś związek z tamtymi zbrodniami? Co ukrywa przed Willem Amanda? Czego szuka w opuszczonym dzisiaj sierocińcu, w którym detektyw spędził dzieciństwo?

*Karin Slaughter (1971) - jedna z najślynniejszych autorek kryminałów i thrillerów, zadebiutowała powieścią **Zaślepienie**, nominowaną do Nagrody Sztyletu (**Blindsighted** 2001, wydanie polskie: 2003).*

*Pisarka ma już w dorobku dwanaście bestsellerów, z których dziesięć znanych jest polskim czytelnikom. Dwie najnowsze powieści to **Upadek** (**Fallen**, 2011) oraz **Zbrodniarz** (**The Criminal**, 2012), opublikowane w serii **Fabryka Sensacji**.*

Vernonowi - za to, że jest moim natchnieniem

15 sierpnia 1974 roku

ROZDZIAŁ 1

LUCY BENNETT

Cynamonowobrzązowy oldsmobile cutlass z opuszczoną szybą włókł się wzdłuż Edgewood Avenue. Wewnątrz majaczyła sylwetka skulonego na fotelu kierowcy. Blask z deski rozdzielczej wydobywał z mroku jego zmrużone, błyszczące jak paciorki oczy, które bacznie śledziły rząd dziewczyn stojących pod tablicą z nazwą ulicy. Jane. Mary. Lydia. Samochód zatrzymał się. Tak jak należało się spodziewać, mężczyzna wskazał podbródkiem na Kitty. Podbiegła truchtem w jego stronę, poprawiając po drodze swoją kusą spódniczkę i ostrożnie manewrując po nierównym asfalcie szpilkami ostrymi jak igły. Przed dwoma tygodniami, kiedy Juice po raz pierwszy przyprowadził Kitty na róg ulicy, oznajmił pozostałym, że dziewczyna ma szesnaście lat, co zapewne oznaczało, że niedawno obchodziła piętnaste urodziny, chociaż nie wyglądała na więcej niż dwanaście.

Od razu znieawidziły ją za ten wygląd.

Kitty nachyliła się do otwartego okna, a jej sztywne, winylowe spódniczka rozkloszowała się szeroko jak podstawa dzwonu. Zawsze to ją wybierano jako pierwszą, co powoli stawało się problemem, który dostrzegał każdy, tylko nie Juice. Kitty cieszyła się specjalnymi względami. Mogła namówić mężczyzn na każde szaleństwo. Była młodziutką, świeżą panią o dziecinnej buzi, choć tak samo jak pozostałe dziewczęta nosiła w torebce nóż i doskonale wiedziała, jak się z nim obchodzić. Żadna z nich nie chciała robić tego, co robiła, lecz przyglądanie się, jak inna dziewczyna - w dodatku całkiem nowa - ma

ciągle pierwszeństwo, bolało dokładnie tak samo, jak gdyby wszystkie podpierały ściany na balu debiutantek.

W środku oldsmobile'a szybko ustalono warunki transakcji - bez targowania, ponieważ towar wciąż wart był swojej ceny. Kitty skinęła w stronę Juice'a, poczekała na jego odpowiedź, a następnie wsiadła do auta. Tłumik zasapał z wysiłkiem; olds zatoczył szeroki łuk, skręcając w wąską, boczną uliczkę, a następnie zatrzęsł się, gdy drążek zmiany biegów został wepchnięty na luz. Ręka kierowcy poszybowała w górę, przywarła do potylicy Kitty i po chwili dziewczyna zniknęła im z oczu.

Lucy Bennett odwróciła wzrok, przenosząc spojrzenie w głąb mrocznej, opustoszałej alei. Nigdzie żadnych reflektorów. Ani śladu samochodu. Zero ruchu w interesie. Atlanta z pewnością nie należała do miast, w których tętniło życie nocne. Ten, kto ostatni wychodził z gmachu Equitable, zwykle gasił światło, lecz Lucy mogła dostrzec żarówki w lampach na Flatiron, przebijające jasno przez ciemny obszar Central City Park. Jeśli wystarczająco mocno zmrużyła oczy, mogła nawet zobaczyć znajomą zieleń znaku C&S, który stanowił granicę dzielnicy biznesowej. Symbol Nowego Południa. Postęp poprzez handel. Miasto Zbyt Zajęte, Żeby Nienawidzić.

Jeśli nocami na te ulice wychodzili jacyś mężczyźni, z pewnością po ich głowach nie krążyły żadne dobre myśli.

Jane zapaliła papierosa i szybko wepchnęła napoczętą paczkę z powrotem do torebki. Nie należała do gatunku osób, które dzielą się z innymi, lecz z pewnością do tych, co nie mają nic przeciwko, żeby coś sobie zabrać. Jej oczy napotkały wzrok Lucy. Kryjąca się w nich pustka była nie do zniesienia. Jane musiała poczuć się tak samo, bo szybko odwróciła wzrok.

Lucy zadrżała, chociaż była połowa sierpnia, a upał unosił się nad rozgrzаныmi chodnikami niczym dym nad paleniskiem. Stopy piekły niemiłosiernie, plecy pękały z bólu, a w głowie co chwila rozlegały się rytmiczne uderzenia, podobne do stukania metronomu. W głębi brzucha czuła okropny ciężar, zupełnie jakby połknęła ciężarówkę betonu, zaś w gardle uwiązł jej kłęb waty. Ręce cierpły od nieustających ukłuc drobnych igiełek i szpilek. Dziś rano wyjęła z umywalki garść swoich blond włosów. Zaledwie przed dwoma dniami skończyła dziewiętnaście lat, a już czuła się jak zniszczona życiem staruszka.

Zaparkowany w głębi bocznej ulicy oldsmobile znów się zatrząsł i głowa Kitty z powrotem pojawiła się w polu widzenia. Wysiadając z auta, z rozmachem wytarła usta. Żadnego marudzenia. Żadnej zwłoki, żeby dać kolesiovi czas, by ponownie się zastanowił, czy towar był wart swojej ceny. Samochód ruszył z miejsca, zanim zdążyła zatrzasnąć drzwi i Kitty przez moment zachwiała się na swoich wysokich obcasach jak mała, zagubiona dziewczynka. Ale wkrótce jej zmartwienie zamieniło się we wściekłość. Każda z dziewczyn podzielała to uczucie. Wściekłość była ich ucieczką, ich pociechą.

Była jedyną rzeczą, którą rzeczywiście posiadały na własność.

Lucy przyglądała się, jak Kitty wraca na róg ulicy. Prędko wręczyła Juice'owi pieniądze, starając się przemknąć dalej, ale on złapał ją za ramię i zmusił, żeby się zatrzymała. Splunęła na chodnik z taką miną, jakby jego gest wcale jej nie przeraził, podczas gdy Juice rozwijał zwitek banknotów, żeby starannie przeliczyć gotówkę. Kitty stała cierpliwie i czekała. Wszystkie dziewczyny czekały.

Wreszcie Juice podniósł podbródek. To oznaczało, że uzyskana suma była zadowalająca. Kitty zajęła swoje miejsce w rzędzie, starając się nie patrzeć na pozostałe dziewczęta. Po prostu gapiała się

na pustą ulicę, czekając aż pojawi się następny samochód i kolejny mężczyzna skinie w jej kierunku albo przejedzie dalej. Wystarczyły dwa dni - zaledwie dwa dni - żeby jej oczy nabrały takiego samego martwego wyrazu jak oczy pozostałych dziewczyn. Ciekawe, jakie myśli snuły się jej po głowie? Pewnie te same, co po głowie Lucy - znajoma piosenka, która co noc kołysała ją do snu. Kiedy - to - się - wreszcie - skończy? Kiedy - to - się - wreszcie - skończy? Kiedy - to - się - wreszcie - skończy?

Lucy też kiedyś miała piętnaście lat. Teraz ledwie przypominała tamtą dziewczynę. Dziewczynę, która przesyłała w klasie liściki, chichotała do chłopców, codziennie po szkole pędziła do domu, żeby obejrzeć kolejny odcinek ulubionej mydlanej opery... Która razem z najlepszą przyjaciółką, Jill Henderson, tańczyła w swoim pokoju przy muzyce Jackson Five. Lucy miała piętnaście lat, gdy jej życie otworzyło się jak otchłań pozbawiona dna i małeńka Lucy wpadła w nieubłaganą, bezlitosną ciemność.

Nadzwyczajnie szybko zaczęła tracić na wadze. Z początku tylko przez pigułki. Brała benzedrynę, którą jej przyjaciółka Jill znalazła w apteczce swojej matki. Zażywały ją ostrożnie, wstrzemięźliwie, aż do czasu, gdy władze federalne zwariowały i pigułki zostały zakazane. Pewnego dnia apteczka okazała się pusta, a już następnego - albo przynajmniej tak się jej wydawało - waga Lucy z powrotem skoczyła do sporo ponad siedemdziesięciu kilogramów. W całej szkole była jedynym dzieciakiem z nadwagą, nie licząc Tłustego George'a - chłopaka, który zadzierał nosa i podczas lunchu siedział sam przy swoim stoliku. Lucy nienawidziła go dokładnie tak samo jak siebie samej, jak swojego odbicia w lustrze.

To matka Jill nauczyła Lucy, jak dawać sobie w żyłę. Pani Henderson nie była głupia; zwróciła uwagę na znikające pigułki i była

zadowolona, widząc, że Lucy wreszcie postanowiła pozbyć się swojego dziecięcego tłuszczu. Ta kobieta w tym samym celu używała narkotyków. Była pielęgniarką w Clayton General Hospital. Pewnego dnia wyszła z izby przyjęć z buteleczką wypełnioną tabletkami metedryny, które niczym szczękające zęby grzechotały w kieszeni jej białego, służbowego fartucha. To amfetamina do podawania w zastrzykach, wyjaśniła Lucy. Działa tak samo jak pigułki, tylko szybciej.

Lucy miała piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy sięgnęła po igłę.

Pomalutku, za każdym razem tylko troszeczkę - pouczała pani Henderson, wciągając do strzykawki odrobinę krwi, żeby zaraz powoli wcisnąć tłok. - Trzymaj to pod kontrolą. Nie pozwól, żeby miało nad tobą władzę.

Potem nie było żadnego uniesienia, jedynie lekki zawrót głowy, a w niedługim czasie oczywiście upragniona utrata wagi. Pani Henderson miała rację. Płynna postać leku działała szybciej, łatwiej. Dwa kilogramy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem. Potem nic. Więc Lucy postanowiła na nowo zdefiniować określenie „za każdym razem tylko troszeczkę”, aż wstrzykiwała nie pięć mililitrów, lecz dziesięć... Później dziesięć zmieniło się w piętnaście, a potem jej głowa eksplodowała i Lucy poczuła, że płonie.

Czy później coś jeszcze ją obchodziło?

Zupełnie nic.

Chłopcy? Za głupi. Jill Henderson? Kula u nogi. Nadwaga? Nigdy więcej.

W wieku szesnastu lat Lucy ważyła tylko niecałe czterdzieści pięć kilo. Jej zębra, jej biodra i łokcie wystawały jak wypolerowany marmur. Pierwszy raz w życiu przekonała się, że ma kości policzkowe. Jak Kleopatra malowała oczy ciemnym eyelinerem i

niebieskim cieniem, a długie blond włosy rozczesywała tak, żeby objęły się sztywno o jej niewiarygodnie szczupłe pośladki. Mała dziewczynka, którą nauczyciel gimnastyki w piątej klasie ku uciesze reszty kolegów nazywał „parostatkiem”, była teraz chuda jak modelka, beztroska i - nieoczekiwanie - popularna.

No, może nie pośród swoich dawnych koleżanek - tych, które znała od przedszkola. One odrzuciły ją jak śmiecia, jak odszczepieńca, jak ofiarę życiową. Ale po raz pierwszy w życiu Lucy wcale się tym nie przejmowała. No bo komu potrzebni są ludzie, którzy patrzą na człowieka z góry, żeby zabawić się jego kosztem? Zresztą i tak dla nich Lucy była jedynie czymś w rodzaju tła - była grubą dziewczuchą, z którą trzyma się sztamę wyłącznie dlatego, żeby przy niej poczuć się kimś piękniejszym, bardziej uroczym i przyciągającym zainteresowanie chłopców.

Nowi przyjaciele uważali, że Lucy jest doskonała. Bawiło ich, kiedy pozwalała sobie na cięte dowcipy na temat dawnych znajomych, a jej dziwactwa przyjmowali z uznaniem. Dziewczęta chciały, żeby przychodziła na ich przyjęcia. Chłopcy zapraszali ją na randki. Wszyscy traktowali ją jak równego sobie. Nareszcie zdołała dopasować się do jakiegoś towarzystwa i nie odstawała pod żadnym względem. Była po prostu jedną z wielu. Była po prostu Lucy.

A co z jej dawnym życiem? Lucy nie czuła nic poza pogardą dla wszystkich, którzy byli częścią jej dawnego życia, zwłaszcza dla pani Henderson, która nieoczekiwanie zerwała z nią kontakty i oświadczyła, że teraz Lucy musi sama już pilnować swoich spraw. Tyle, że według Lucy sprawy układały się lepiej niż kiedykolwiek dotąd i nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować ze swojego nowego życia.

Jej dawne przyjaciółki były starymi nudziarami, mającymi obsesję na punkcie odrabiania lekcji, a ich dyskusje sprowadzały się do debatowania, do którego koła studenckiego zapiszą się zaraz po rozpoczęciu studiów. Najbardziej wyrafinowane z ich grona, mieszkające w rezydencjach w stylu wiktoriańskim albo neoklasycystycznym, ciągnących się wzdłuż Milledge Avenue i South Lumpkin Street przy Uniwersytecie Georgii, stanowiły naturalne środowisko Lucy odkąd skończyła dziesięć lat, lecz wabik w postaci amfetaminy sprawił, że jej znajomość greki poszła w zapomnienie. Teraz Lucy nie potrzebowała pełnych dezaprobaty spojrzeń swoich dawnych koleżanek. Nie potrzebowała nawet pani Henderson. Dookoła kręciło się mnóstwo nowych znajomych, którzy mogli przyjąć ją do swego grona, zaś rodzice Lucy byli bardzo hojni, jeśli chodziło o kieszonkowe. Zresztą jeśli zdarzały się tygodnie, kiedy brakowało jej gotówki, mogła spokojnie wziąć pieniądze z portmonetki matki, która nigdy nie zwracała uwagi na takie drobiazgi.

Teraz widziała to jak na dłoni, ale w tamtym czasie wydawało się, że spiralna jazda w głąb przepaści trwała zaledwie parę sekund, nie zaś pełne dwa lata, które w rzeczywistości zabrał Lucy upadek. W domu bywała ponura i nieprzystępna. Zaczęła wieczorami wykradać się z domu i opowiadać rodzicom jakieś głupoty, które miały stanowić usprawiedliwienie. Wymyślała niestworzone bujdy - rzeczy, które łatwo można było obalić. W szkole zawałała ćwiczenia za ćwiczeniami, aż w końcu wylądowała na zajęciach z podstawowego angielskiego, na których Tłusty George siedział z przodu, a Lucy i jej nowi kumple w ostatnim rzędzie, głównie przesypiając okres, kiedy stężenie narkotyku opadało, i zabijając czas aż do chwili, gdy będą mogli z powrotem powrócić do swojej prawdziwej namiętności.

Do igły.

Ten precyzyjnie naostrzony kawałek chirurgicznej stali, z pozoru niewinne urządzenie do podawania leku, rządził teraz życiem Lucy. Śniła o chwili, w której zaaplikuje sobie kolejną dawkę. Marzyła o wkłuciu się w ciało.

O szczygnięciu, które towarzyszy przebiciu ścianki żyły.

O żarze, który powoli narastał, kiedy wstrzykiwała sobie płyn. O ogarniającej ją natychmiast euforii, gdy narkotyk przenikał do krwioobiegu. To było warte wszystkiego. Warte każdego poświęcenia. Warte każdej straty. Warte każdej rzeczy, którą musiała zrobić, żeby doznać tego uczucia. Rzeczy, o których zapominała w tej samej sekundzie, w której narkotyk rozchodził się po jej ciele.

A potem nieoczekiwanie dotarła na ostatnie wzniesienie - na sam szczyt, z którego niczym górską kolejką ruszyła pędem w dół.

Facet nazywał się Bobby Fields i był starszy od Lucy o całe dwadzieścia lat. Mądrzejszy. Silniejszy. Pracował jako mechanik na jednej ze stacji benzynowych należących do jej ojca. Wcześniej nie zwracał na nią uwagi. Zwyczajnie Lucy dla niego nie istniała - puciołowata mała dziewczynka z włosami związanymi w dwa mizerne kucyki. Ale wszystko się zmieniło, odkąd igła wkroczyła w jej życie. Pewnego dnia weszła na stację, ubrana w dżinsy, które ledwie trzymały się na jej wychudzonych pośladkach, a szerokie jak dzwony nogawki spodni były wystrzępione od szorowania o podłogę. Wtedy Bobby powiedział, żeby zatrzymała się na chwilę i zamieniła z nim parę słów.

Słuchał tego, co mówiła, i Lucy nagle zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nikt nie słuchał jej naprawdę. Wtedy Bobby wyciągnął rękę i poplamionymi smarem palcami odgarnął z jej twarzy niesforny kosmyk włosów. A później w dziwny sposób znaleźli się na zapleczu

i on trzymał dłoń na jej piersi, ona zaś rozkwitała w blasku jego niepodzielnej uwagi.

Lucy nigdy wcześniej nie była z mężczyzną. Pomimo euforii, która szymbowała jak latawiec, wiedziała, że

powinna powiedzieć „nie”. Wiedziała, że musi się chronić, ponieważ nikt nie chce towaru drugiej świeżości. Choć teraz wydaje się to całkiem nieprawdopodobne, wówczas jakaś część jej „ja” naprawdę uważała, że pomimo iż zboczyła lekko z właściwej drogi, pewnego dnia skończy wydział prawa na Uniwersytecie Georgii, znajdzie dobrą pracę, i poślubi jakiegoś poważnego młodego człowieka, którego świetlana przyszłość spotka się z aprobatą jej ojca.

Lucy zawsze wiedziała, że będzie mieć dzieci. Przystąpi do Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli. Będzie piekła ciasteczka, odwoziła dużym kombi swoje maluchy do szkoły, a potem przesiadywała w kuchni w towarzystwie innych matek, żeby przy dymku z papierosa żalić się na swoje nudne życie. Lecz może kiedy inne kobiety zaczną dyskutować o swoich problemach małżeńskich albo kolkach dzieci, ona się uśmiechnie, mile wspominając czasy beztroskiej młodości i swoją szaloną, hedonistyczną przygodę z igłą.

Podczas gdy szesnastoletnia Lucy nie miała żadnych doświadczeń, jeśli chodzi o mężczyzn, Bobby Fields zaliczył mnóstwo przygód z kobietami. Z młodymi kobietami. Doskonale wiedział, jak z nimi rozmawiać. Wiedział, co mówić, żeby poczuły się kimś wyjątkowym. I, co najważniejsze, wiedział, jak przesunąć rękę z piersi na udo, z uda na krocze, a potem dalej, w głębiej położone rejony, przez co Lucy sapnęła tak głośno, że aż jej ojciec zawołał z biura, pytając, czy u niej wszystko w porządku.

Nic mi nie jest, tatusiu! - zawołała, ponieważ ręka Bobby'ego sprawiała jej taką rozkosz, że Lucy skłamałaby samemu Panu Bogu.

Z początku ich związek pozostawał tajemnicą, co oczywiście tylko czyniło go bardziej ekscytującym. Utrzymywali intymne stosunki. Istniało między nimi coś, co było surowo zakazane. Przez cały rok prowadzili swój skryty romans. Lucy unikała spojrzenia Bobby'ego, kiedy co tydzień wpadała na stację, żeby pomóc ojcu w rachunkach. Udawała, że Bobby nie istnieje - aż do chwili, gdy dłużej już nie mogła udawać. Wtedy biegła do brudnej łazienki z tyłu budynku, gdzie on tak mocno zaciskał swoje umazane smarem łapy na jej tyłku, że siadając z powrotem obok ojca, czuła ból.

Pożądała Bobby'ego tak samo intensywnie jak pożądała igły. W końcu zaczęła zwiewać ze szkoły. Podjęła pracę w niepełnym wymiarze godzin i kłamała, że nocuje u przyjaciółki, czego jej rodzice nigdy nie pofatygowali się sprawdzić. Bobby miał własne mieszkanie i jeździł mustangiem fastbackiem, takim samym jak Steve McQueen. Pił piwo, palił trawę i załatwiał Lucy dopalacze, ona zaś nauczyła się, jak robić mu loda, żeby się przy tym nie udławić.

Wszystko działało bez zarzutu aż do dnia, gdy Lucy doszła do wniosku, że już dłużej nie może prowadzić podwójnego życia. Albo że zwyczajnie nie chce tego robić. Rzuciła szkołę średnią na dwa miesiące przed jej ukończeniem. Kroplą przepelniającą kielich stał się pewien weekend, kiedy jej rodzice pojechali w odwiedziny do studiującego w college'u brata. Lucy cały ten czas spędziła w mieszkaniu Bobby'ego. Gotowała mu jedzenie. Sprzątała. Kochała się z nim przez całą noc, a za dnia gapiała się na zegar, odliczając minuty dzielące ją od chwili, kiedy znów będzie mogła mu powiedzieć, że go kocha. Bo Lucy n a p r a w d ę go kochała - zwłaszcza wtedy, gdy wracał wieczorem z szerokim uśmiechem na twarzy i małą, czarodziejską fiolką w kieszeni.

Bo gdy chodziło o igłę, Bobby był bardzo łaskawy. Może nawet zbyt łaskawy. Ładował w Lucy taką dawkę narkotyku, że zaczynała szcząkać zębami. Wciąż była naćpana, kiedy następnego ranka wtoczyła się z powrotem do domu.

To była niedziela.

Jej rodzice przed powrotem do domu powinni byli pójść z bratem do kościoła, ale tego nie zrobili. Siedzieli przy kuchennym stole, wciąż w tych samych ubraniach, które mieli na sobie podczas podróży. Matka Lucy nawet nie zdjęła kapelusza. Czekali na nią przez całą noc. Zadzwonili do jej przyjaciółki - tej, która miała dać jej alibi, i która powinna była powiedzieć, że Lucy u niej nocowała. Dziewczyna z początku usiłowała kłamać, ale przy najmniejszym nacisku pękła, opowiadając ze szczegółami rodzicom Lucy, gdzie dokładnie przebywa ich córka i co wyrabia od ładnych kilku miesięcy.

Lucy miała wówczas siedemnaście lat, więc w świetle prawa wciąż była dzieckiem. Rodzice próbowali oddać ją do szpitala na leczenie. Starali się tak pokierować sprawą, żeby Bobby został aresztowany. Chcieli załatwić wszystko tak, żeby żaden warsztat samochodowy w okolicy nie dał mu zatrudnienia, więc Bobby po prostu przeprowadził się do Atlanty, gdzie ludzi guzik obchodziło, kto reperuje ich samochody, byle tylko było tanio.

Dwa miesiące tego piekła minęły jak z bicza strzelił i nagle Lucy skończyła osiemnaście lat. Teraz jej życie stało się zupełnie inne. Albo inne pod pewnym względem. Była wystarczająco dorosła, żeby móc rzucić szkołę. Wystarczająco dorosła, żeby pić alkohol. Wystarczająco dorosła, żeby wyprowadzić się z domu bez obaw, że te świnię będą chciały zaciągnąć ją tam z powrotem. Z córeczki tatusia zamieniła się w dziewczynkę Bobby'ego, która mieszka w

apartamencie na końcu Stewart Avenue, śpi przez cały dzień i czeka, aż wieczorem Bobby wróci do niej, żeby dać jej w żyłę, przelecieć ją, a potem znów pozwolić jej spać.

Jedyne, czego w owym czasie Lucy żałowała, to zerwanych kontaktów z bratem. Henry studiował na wydziale prawa na Uniwersytecie Georgii. Był starszy od niej o sześć lat i zawsze traktował ją jak przyjaciela niż małą siostrzyczkę. W osobistych kontaktach zdarzały im się długie okresy milczenia, lecz odkąd Henry wyjechał do szkoły, pisywali do siebie regularnie dwa albo trzy razy w miesiącu.

Lucy uwielbiała pisać listy do Henry'ego. W całej korespondencji starała się być dawną sobą: zwariowaną na punkcie chłopaków, pełną obaw przed końcowymi egzaminami, chętną, żeby nauczyć się prowadzić auto. W listach nigdy nie wspominała o igle. Nie pisała o swoich nowych przyjaciółach, tak dalece różniących się od towarzystwa, w którym się dotąd obracała, że wołała nie zapraszać ich do domu w obawie, że ukradną srebra matki. Oczywiście o ile jej matka w ogóle wpuściłaby ich za próg.

Odpowiedzi Henry'ego były zawsze zwięzłe, ale nawet wówczas, gdy był po uszy zawalony egzaminami, za każdym razem znalazł czas, żeby napisać do siostry linijkę albo dwie, i poinformować ją, co u niego słychać. Był bardzo podekscytowany perspektywą, że niebawem Lucy dołączy do niego na kampusie. Ze będzie mógł zaprezentować małą siostrzyczkę swoim kumplom. Był podekscytowany wieloma sprawami, aż nagle cała ta ekscytacja minęła, ponieważ rodzice powiadomili go, że jego najdroższa siostrzyczka przeprowadziła się do Atlanty, żeby tam zostać dziewczyną trzydziestoosmioletniego hipisa, uzależnionego od narkotyków mechanika. Po tym fackie listy Lucy powracały nieprzeczytane. Na

kopertach Henry gryzmolił krótko: „zwrot do nadawcy”. W ten sposób on także pozbył się siostry ze swojego życia, jakby była śmieciem, którego wyrzuca się na ulicę.

Zresztą może faktycznie była śmieciem. Może zasługiwała na to, żeby wszyscy się jej wyrzekli. Ponieważ kiedy gorączka opadła, euforia po naćpaniu stała się mniej intensywna, za to głód niemal nie do zniesienia, cóż innego pozostało Lucy Bennett niż życie na ulicy?

Bobby wyrzucił Lucy z domu zaledwie dwa miesiące po tym, jak namówił ją na przeprowadzkę do Atlanty. Kto mógłby go za to winić? Jego napalona, młoda kochanka zamieniła się przecież w zwykłą ćpunkę, która co wieczór czekała przy drzwiach, żeby błagać go o działkę. A kiedy Bobby przestał spełniać jej żądania, znalazła sobie na osiedlu innego faceta, który dawał jej wszystko, czego chciała. I co z tego, jeśli w zamian musiała trzymać nogi szeroko rozwarte? Ostatecznie dostawała od niego to, czego Bobby jej odmawiał. Teraz ten nowy zaspokajał jej potrzeby.

Nazywał się Fred i pracował na lotnisku, sprzątajac wnętrza samolotów. Lubił robić rzeczy, które doprowadzały Lucy do płaczu, ale potem dawał jej strzykawkę i znowu wszystko było w porządku. Fred uważał, że jest kimś wyjątkowym, o wiele lepszym niż Bobby. Kiedy jednak odkrył, że żar w oczach Lucy pojawia się wyłącznie na myśl o narkotyku, nie zaś na myśl o uprawianiu z nim seksu, zaczął ją tłuc. I nie przestawał aż do momentu, gdy w końcu wylądowała w szpitalu. Kiedy wzięła taksówkę, żeby wrócić ze szpitala do domu, kierownik osiedla poinformował ją, że Fred się wyprowadził, nie pozostawiając nowego adresu. I zaraz dodał, że jeśli Lucy ma ochotę, to może zamieszkać z nim.

Większość z tego, co nastąpiło potem, wydawało się jedną ciemną plamą - albo może było tak jasne, że nie umiała tego dostrzec,

podobnie jak ktoś, kto usiłuje patrzeć na świat przez cudze okulary. Przez prawie rok Lucy przechodziła od jednego mężczyzny do drugiego, krążąc od dostawcy do dostawcy. Robiła pewne rzeczy - okropne rzeczy - byle tylko dostać strzykawkę. Jeśli w świecie speedu istniało coś w rodzaju totemowego pała, to Lucy zaczęła przygodę z narkotykami u góry, żeby błyskawicznie znaleźć się na samym dole. Dzień po dniu dostawała zawrotu głowy na myśl, że jej życie osuwa się do rynsztoka, a mimo to czuła się zupełnie bezradna i nie potrafiła temu zapobiec. Ból obracał wniwecz wszystkie jej postanowienia. Potrzeba. Tęsknota. Pragnienie, które paliło jej trzewia.

Aż w końcu Lucy sięgnęła dna. Zawsze bała się dilerów, którzy za kasę rozprawiali narkotyki, ale wreszcie jej miłość do drągów zwyciężyła wszelkie uprzedzenia. Rzucali ją między sobą jak piłeczkę do baseballa, żeby każdy mógł ją puknąć. Każdy z nich walczył w Wietnamie, więc byli wściekli na cały świat, na system, w którym przyszło im żyć. Byli także wściekli na Lucy. Nigdy dotąd nie przedawkowała, przynajmniej nie na tyle, żeby trafić do szpitala. Raz, drugi i trzeci zdarzyło się, że ktoś podrzucił ją harleyem pod izbę przyjęć w Grady Hospital. Dilerzy nie lubili takich rozwiązań. Szpitale sprowadzały im na kark gliniarzy, a gliniarze byli dość kosztowni, jeśli chodziło o łapówki. Któregoś wieczora Lucy przeholowała, więc któryś z dilerów pomógł jej się uspokoić, podając dawkę heroiny - to był trik, którego nauczył się, walcząc z Charlim.

W przypadku Lucy heroina okazała się ostatnim gwoździem do trumny. Podobnie jak z dopalaczami, szybko stała się gorliwą neofitką. Uwielbiała to uczucie otępienia. Nieopisaną błogość. Utratę upływu czasu. Przestrzeni. Przytomności.

Lucy nigdy nie brała pieniędzy za seks. Do tej pory wszystkie transakcje miały charakter wymiany barterowej. Seks za dopalacze. Seks za heroinę. Nigdy seks za pieniądze.

Jednak teraz Lucy rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy.

Dilerzy sprzedawali miękkie narkotyki, nigdy heroinę. Heroina należała do kolorowych. Nawet mafia umywała ręce. Heroinę uważano za narkotyk dla getta. Była zbyt potężna, zbyt uzależniająca, zbyt niebezpieczna dla białych. Szczególnie dla białych kobiet.

W ten oto sposób Lucy dała się omotać pewnemu czarnuchowi, który nosił na piersi tatuaż z podobizną Jezusa Chrystusa.

Łyżka. Płomień. Smród palącej się gumy. Opaska zaciskająca. Filtr z rozłamanego papierosa. Cała sprawa wymagała romantycznej oprawy; stanowiła przedłużający się proces, przy którym wcześniejsze zabawy Lucy z igłą wydawały się mało wyrefinowane. Nawet teraz Lucy czuła, jak na myśl o łyżce ogarnia ją podekscytowanie. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie wygięty kawałek srebra, którego kształt nieco przypominał łabędzia z przetrąconą szyją... Czarny łabędź. Czarna owca. Dziwka czarnucha.

Nagle Juice znalazł się tuż obok niej. Pozostałe dziewczyny na wszelki wypadek odsunęły się dalej. Juice potrafił wywoływać w nich poczucie braku silnej woli. Właśnie w ten sposób zdołał je sobie podporządkować.

O co chodzi, laleczko?

- O nic - wymamrotała. - Wszystko jest super.

Wyjął z ust wykałaczkę.

- Nie próbuj mnie nabierać, złotko.

Lucy wbiła wzrok w ziemię. Patrzyła na jego pantofle z białej, lakierowanej skóry, na rozkloszowane jak dzwony nogawki

zielonych, szytych na miarę spodni, które zgrabnie układały się na noskach. Ilu obcym facetom musiała pozwolić się zerznąć, żeby on mógł nosić takie błyszczące buty? Po ilu tylnych siedzeniach/kanapach samochodów musiała się tarzać, żeby on mógł pójść do krawca na Five Points i zamówić szycie/ciuchy na miarę?

- Przepraszam - Odważyła się zerknąć na jego twarz, starając się oszacować, jak bardzo jest wściekły.

Juice wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł pot z czoła. Nosił długie baczki, które stykały się z wąsami i kozią bródką. Na policzku miał znamię, na które Lucy gapiła się czasami, gdy usiłowała skoncentrować się na innych sprawach.

- No dalej, laleczko - odezwał się. - Jeśli mi nie powiesz, co ci leży na serduszku, nie będę mógł w niczym ci pomóc.

Potrząsnął ją za ramiona. Kiedy nie odezwała się, zrobił to jeszcze raz, tylko znacznie mocniej. Nie miał zamiaru odpuścić. Nienawidził, kiedy dziewczyny usiłowały coś przed nim ukrywać.

- Myślałam o swojej mamie - odpowiedziała.

Po raz pierwszy od długiego czasu powiedziała jakiemuś facetowi szczerą prawdę.

Juice roześmiał się perliście, kierując wykałaczkę w stronę pozostałych dziewczyn.

- No co, czyż to nie jest słodkie? Ona po prostu myślała o swojej kochanej mamusce... No, która z was jeszcze tęskni za swoją mamuszką?

Odpowiedział mu nerwowy chichot. Pierwsza odezwała się Kitty - wieczna lizuska.

- Juice, wiesz przecież, że my potrzebujemy tylko ciebie. Wyłącznie ciebie.

- Lucy... - wyszeptała Mary, ale to słowo niemal uwięzło jej w gardle.

Jeśli Juice się wkurzy, żadna z nich nie dostanie tego, czego pragnie. Tym zaś, czego wszystkie pożały i co wydawało się absolutnie niezbędne do szczęścia, była łyżka i heroina. Juice trzymał obie te rzeczy w kieszeni.

- Nie, w porządku. - Juice machnięciem ręki odgonił Mary. - Niech gada. No dalej, dziewczyno! Mów!

Może stało się tak dlatego, że użył tego samego tonu, którym człowiek zwraca się do psa: „Mów!”, jakby

zamierzał dać jej smakołyk, jeśli zaszczeka na komendę - albo może po prostu Lucy była przyzwyczajona robić dokładnie to, czego Juice zażądał - ale wbrew woli zaczęła poruszać ustami.

- Przypomniał mi się pewien dzień, kiedy mama zabrała mnie do miasta - powiedziała, przymykając oczy.

Czuła, jak opiera się o zagłówek na tylnym siedzeniu auta. Widziała, jak metalowa tablica rozdzielcza należącego do matki chryslera lśni w promieniach słońca. Był gorący, parny sierpień, z rodzaju tych, podczas których marzysz, żeby twój wóz był wyposażony w klimatyzację.

- Mama miała zamiar podrzucić mnie do biblioteki, a potem załatwić coś na mieście.

Juice zachichotał, jakby te wspomnienia go rozbawiły.

- Ach, jakie to słodkie, skarbie! Więc mamusia zawiozła swoją małą dziewczynkę do biblioteki, żeby dziecko sobie poczytało, tak?

- Nie. Nie udało jej się tam dojechać. - Lucy otworzyła oczy, spoglądając prosto w twarz Juice'a, czego nigdy dotąd nie ośmieliła się zrobić. - Klan urządził sobie najazd.

Juice chrząknął znacząco. Szybko przesunął spojrzeniem po reszcie dziewczyn, a potem jego wzrok z powrotem spoczął na Lucy.

- Mów dalej - rozkazał niskim, głębokim tonem, aż Lucy poczuła, jak zimno spływa jej wzdłuż kręgosłupa.

Ulice były zablokowane. Oni wstrzymali ruch i sprawdzali samochód po samochodzie.

- Przestań - wyszeptała znowu Mary, błagając, żeby Lucy przestała.

Ale Lucy nie mogła przestać. To było silniejsze od niej.

- Pamiętam, że to była sobota. Mama zabierała mnie do biblioteki w soboty

- Tak? - spytał Juice.

- Tak.

Nawet z otwartymi oczyma Lucy widziała scenę, która rozgrywała się w jej głowie. Siedziała w samochodzie matki. Bezpieczna. Beztroska. Jeszcze przed proszkami. Przed igłą. Przed heroiną i przed Juicem. Jeszcze zanim bezpowrotnie utraciła tę małą Lucy, która tak cierpliwie czekała w samochodzie matki, chociaż zżerał ją niepokój, że nie zdąży na czas dotrzeć do biblioteki i spóźni się na zajęcia koła młodych czytelników.

Mała Lucy należała do nienasyconych czytelniczek. Ściskając spoczywający na kolanach stos książek, gapiała się przez okno na mężczyzn, którzy blokowali ulice. Wszyscy mieli na sobie swoje białe szaty, ale z powodu upału większość nie naciągnęła kaptura na głowę. Lucy знаła niektórych z kościoła, kilku ze szkoły. Machnęła na powitanie do pana Sheffielda, który był właścicielem sklepu z towarami żelaznymi. W odpowiedzi mrugnął do niej i także pomachał ręką.

- Byłyśmy na wzgórzu blisko gmachu sądu - opowiadała Lucy, zwracając się do Juice'a. - Przed nami jechał jakiś czarny koleś,

którego zatrzymali przy znaku stop. Przypominam sobie, że siedział w takim małym, zagranicznym samochodzie... Pan Peterson ruszył prosto do niego, a pan Laramie podszedł z drugiej strony.

- Tak? - powtórzył Juice.

- Tak, dokładnie tak. Ten gość był przerażony jak diabli. Jego autko ciągle staczało się do tyłu. Przecież musiał naciskać sprzęgło, ale pewnie był tak spanikowany, że noga wciąż ześlizgiwała mu się z pedału. Pamiętam, jak mama przyglądała mu się tak, jakby to był jakiś film w rodzaju *Wild Kingdom*, albo coś w tym stylu. Zaśmiewała się do rozpuku i ciągle mówiła: „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha”.

- Jezu! - syknęła Mary.

Lucy uśmiechnęła się do Juice'a.

- „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha”.

Juice wyjął wykałaczkę spomiędzy zębów.

- Lepiej uważaj, co mówisz, pieprzona dziwko.

- „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha” - wymamrotała Lucy. - „Spójrz, jak nastraszyli...”.

Jej głos powoli zamierał - podobnie jak silnik, który pracuje na jałowym biegu, zanim wejdzie na pełne obroty. Nagle cała ta historia wydała się jej niesamowicie śmieszna. Roześmiała się piskliwie, a dźwięk jej głosu odbijał się od ścian budynków.

- „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha! Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha!”.

Juice wymierzył jej policzek - otwartą dłonią, ale tak mocno, że obróciła się dookoła. Chwilę potem poczuła w gardle smak krwi.

Nie po raz pierwszy ktoś podniósł na nią rękę. Na pewno też nie po raz ostatni. To z pewnością jej nie powstrzyma. Nic nie jest w stanie jej powstrzymać.

- „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha! Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha!”.

- Zamknij się! - Juice walnął ją pięścią w twarz.

Usłyszała trzask łamanych zębów. Szczęka wykręciła się jej niczym hula-hoop, ale Lucy nie dawała za wygraną.

- „Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego...”

Kopnął ją prosto w brzuch, jednak jego spodnie okazały się tak obcisłe, że nie udało mu się poderwać nogi wystarczająco wysoko i Lucy poczuła, jak podeszwa buta ześlizguje się po kościach miednicy. Sapnęła z bólu, który okazał się rozdzierająco silny, lecz jednocześnie w pewien sposób wyzwalający. Ile lat upłynęło od chwili, gdy ostatni raz doświadczyła czegoś poza odrętwieniem? Ile czasu minęło, odkąd odważyła się podnieść głos, powiedzieć mężczyźnie „nie”?

Juice znowu uderzył ją pięścią w twarz. Tym razem poczuła, jak jej przegroda nosowa rozpryskuje się na drobne cząstki. Z otwartymi ramionami zatoczyła się w tył, upuszczając na ziemię torebkę. Przed oczyma wirowały jej gwiazdy. Dosłownie gwiazdy. Jeden z obcasów pękł z trzaskiem.

- Wynoś się stąd! - Zaciśnięta pięść Juice’a ze świstem przecięła powietrze. - Spieprzaj, zanim cię zabiję, cholerna suko!

Lucy zatoczyła się, wpadając na Jane, ale Jane odepchnęła ją jak zawszonego psa.

- Idź stąd - wysyczała Mary. - Proszę cię!

Lucy przełknęła odrobinę krwi i zaraz odkaslnęła ją z powrotem. Na trotuarze pojawiły się białe cętki. Kawałki zębów.

- Zjeżdżaj, szmato! - warknął Juice. - Nie waż pokazywać mi się na oczy!

Jakimś cudem Lucy zdołała się odwrócić. Spojrzała w głąb ciemnej ulicy. Żadne światła nie wskazywały jej drogi. Albo alfonsi rozwalili wszystkie latarnie, albo władze miasta nie zadały sobie trudu, żeby je włączyć. Znowu potknęła się, lecz zdołała utrzymać się na nogach. Złamany obcas bardzo przeszkadzał, więc kopnięciem zrzuciła oba pantofle. Podeszwami stóp czuła palące gorąco rozgrzanego asfaltu, które jak prąd w mgnieniu oka przeniknęło przez całe jej ciało, docierając aż do owłosionej skóry głowy. Zupełnie jakby szła po rozżarzonych węglach. Widziała to raz w telewizji - cały dowcip polegał na tym, żeby biec wystarczająco szybko, pozbawiając palenisko dostępu tlenu, dzięki czemu skóra mogła pozostać nienaruszona.

Ruszyła przed siebie, prostując przygarbione plecy. Pomimo zapierającego oddech bólu pomiędzy żebrami, starała się iść z uniesioną głową. To nie miało znaczenia.

Ciemność nie miała znaczenia. Pieczenie w podszwach stóp także nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

Odwróciła się raz jeszcze.

- Spójrz, jak nastraszyli tego cholernego czarnucha! - wrzasnęła na pożegnanie.

Juice udał, że rzuca się za nią biegiem, więc Lucy popędziła jak strzała. Jej nagie stopy uderzały miarowo o płyty chodnika, a obie ręce pracowały jak tłoki pompy. Jej płuca trzęsły się z wysiłku, gdy znikwała za zakrętem ulicy. Adrenalina pędziła przez całe ciało. Pomyślała o tych wszystkich lekcjach WF-u, kiedy przez swój lekceważący stosunek do zajęć zarabiała pięć, dziesięć albo piętnaście dodatkowych okrążeń. Wtedy była taka szybka, taka młoda i wolna... Całkiem inna niż dziś. Teraz w nogach czuła narastające skurcze, a kolana uginały się ze zmęczenia. Odważyła się rzucić okiem za

siebie, ale nie ujrzała Juice'a. Za nią nie było nikogo. Wtedy zachwiała się i zatrzymała na odpoczynek.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją gonić, pomyślała.

Pochyliła się, opierając głowę o budkę telefoniczną. Krew wciąż kapła jej z ust, więc koniuszkiem języka poszukała przyczyny krwotoku. Natrafiła na dwa złamane zęby - dzięki Bogu, że znajdowały się z tyłu, a nie z przodu.

Weszła do budki i zamknęła drzwi. Światło wewnątrz od razu zrobiło się oślepiająco jaskrawe, więc szybko otworzyła drzwi na oścież, a potem oparła głowę o przeszkloną ścianę. Ciągle z trudem łapała oddech. Czuła się tak wyczerpana, jakby przebiegła kilka mil, a nie parę skrzyżowań.

Zerknęła na telefon, na czarną, wiszącą na haczyku słuchawkę, na otwór do wsuwania monet. Przesunęła dłonią po znaku dzwonka na metalowej tarczy, a potem pozwoliła, żeby jej palce natrafiły na cyfry: cztery, siedem, osiem... Taki był numer telefonu rodziców. Wciąż znała go na pamięć, podobnie jak numer ulicy, przy której mieszkali, datę urodzin babci, dzień zbliżających się egzaminów dyplomowych brata. Wcześniejsza wersja Lucy jeszcze nie zniknęła całkowicie. Wciąż istniała, chociaż tylko w postaci tych cyfr.

Mogła zadzwonić, ale nawet jeśli odbiorą telefon, nikt nie będzie miał jej nic do powiedzenia.

Wytoczyła się z budki na zewnątrz i powoli ruszyła w górę ulicy, bez jakiegoś konkretnego celu, byle dalej przed siebie. Jej żołądek kurczył się boleśnie - tak dawała o sobie znać pierwsza fala narkotykowego głodu. Powinna pójść do szpitala, żeby trochę ją pozszywali, a przy okazji mogłaby wybłagać od jakiejś pielęgniarki trochę metadonu, zanim sprawy przybiorą naprawdę zły obrót. Od Grady Hospital dzieliło ją dwanaście skrzyżowań na wprost i trzy w

bok. Skurcze w nogach przestały jej dokuczać. Z pewnością da radę iść. Tamte okrążenia dookoła szkolnego boiska nie zawsze były dla niej karą. Lucy uwielbiała biegać. Lubiła w weekendy uprawiać jogging, zwłaszcza gdy towarzyszył jej brat, Henry. Zawsze rezygnował pierwszy, zanim ona się zmęczyła. Lucy miała w torebce list od niego. W zeszłym miesiącu przekazał go jej pewien człowiek pracujący w Union Mission, gdzie dziewczęta znajdowały schronienie, kiedy Juice wpadał we wściekłość.

Lucy nie otwierała listu przez całe trzy dni, obawiając się, że w środku znajdzie złe nowiny. Że zmarł jej ojciec. Albo matka postanowiła uciec z facetem od Charliego Chipsa. W obecnych czasach wszyscy się rozwodzili, prawda? Rozbite domy. Zrozpaczone dzieci. Ale skoro Lucy już dawno temu zerwała z rodziną, to chyba przeczytanie zwykłego listu nie powinno szczególnie jej wzruszyć?

Nieczytelne pismo Henry'ego było tak znajome, że nagle poczuła się tak, jakby pogłaskał ją po policzku. Łzy same napływały jej do oczu. Przeczytała list raz, potem drugi i jeszcze raz od początku. Jedną, jedyną stronę. Nie znalazła tam żadnych rodzinnych ploteczek, ponieważ Henry nigdy nie pisał o takich rzeczach. Jak zawsze był precyzyjny, logiczny, bez skłonności do dramatyzowania. Henry studiował na ostatnim roku prawa. Rozglądał się za pracą, ponieważ słyszał, że trudno jest znaleźć dobrą posadę. Będzie tęsknił za studiami. Będzie mu brakowało kolegów ze studiów. I naprawdę będzie tęsknił za Lucy.

Tęsknił za Lucy.

To zdanie przeczytała cztery razy, potem piąty, a potem tyle, że aż straciła rachubę. Henry tęsknił za Lucy. Brat tęsknił za siostrą.

Lucy też za sobą tęskniła.

Jednak Lucy upuściła torebkę na rogu tamtej ulicy i prawdopodobnie Juice zdążył już dorwać ją w swoje łapy. Pewnie wyrzucił wszystko na chodnik i starannie przeczesał całą zawartość, zupełnie jakby należała do niego. To oznaczało, że znalazł list Henry'ego, a także kuchenny nóż Lucy - tak ostry, że bez trudu mogła nim przeciąć skórę na nodze. Zresztą zrobiła to w zeszłym tygodniu, tylko po to, by się upewnić, czy jej rany wciąż będą krwawić.

Na następnym rogu Lucy skręciła w lewo i odwróciła się, żeby popatrzeć na księżyc. Nakłuwał niezmierną przestrzeń ciemnego nieba zakrzywionym brzegiem złocistego paznokcia. W dali majaczył szkielet nieukończonego jeszcze hotelu Peachtree Plaza - najwyższego hotelu na świecie. Całe miasto wydawało się być w budowie. W ciągu roku czy dwóch lat miały powstać w centrum tysiące nowych pokoi hotelowych. Wtedy bez wątplenia biznes znów rozkwitnie. Zwłaszcza ten, który prowadzi się na ulicach.

Szczerze wątpiła, czy dożyje tych czasów i ujrzy to na własne oczy.

Znowu się potknęła, a wtedy ból wystrzelił wzdłuż jej kręgosłupa. Fizyczne obrażenia, których niedawno doznała, właśnie dawały o sobie znać. Musiała mieć pęknięte zebro. Poza tym zdawała sobie sprawę, że Juice złamał jej nos. Zacisk w żołądku z każdą chwilą stawał się coraz mocniejszy. Wkrótce będzie jej koniecznie potrzebna dawka narkotyku, bo w przeciwnym razie wpadnie w delirium.

Lucy zmuszała się, żeby stawiać kolejne kroki.

Proszę... - modliła się do Boga z Grady Hospital. - Spraw, żeby dali mi metadon. Żeby pozwolili mi położyć się do łóżka i żeby byli dla mnie mili. Żeby...

Nagle zatrzymała się. Do diabła, co jej strzeliło do głowy? Dlaczego miała zamiar powierzyć swój los jakiejś pieprzonej pielęgniarsce, która tylko rzuci na nią okiem i już będzie wiedziała, z

kim ma do czynienia? Powinna czym prędzej wrócić na swoją ulicę. Powinna udobruchać Juice'a. Powinna paść przed nim na kolana i błagać o wybaczenie. O litość. O dawkę. O zbawienie.

- Dobry wieczór, siostrze.

Lucy odwróciła się na pięcie, podświadomie spodziewając się, że ujrzy za sobą Henry'ego, chociaż on nigdy nie witał jej w ten sposób. Półtora metra za nią stał jakiś mężczyzna. Biały mężczyzna. Wysoki. Ukryty w cieniu. Ręka Lucy pofrunęła w kierunku piersi i tam się zatrzymała. Serce waliło jej jak młotem. Powinna była bardziej się pilnować, a nie pozwolić zaskoczyć się jakimś gnojki. Odruchowo sięgnęła po torebkę, po nóż, który trzymała w środku, za późno przypominając sobie, że przecież wszystko straciła.

- Dobrze się czujesz? - zapytał mężczyzna.

Był gładko ogolony, a czegoś takiego Lucy od dawna nie widziała, no może z wyjątkiem gliniarzy. Był szatynem i nosił włosy przycięte na jeża oraz krótkie baczki.

Nawet o tak późnej porze na jego twarzy nie było cienia zarostu. Pewnie jakiś wojak, domyśliła się Lucy. Teraz mnóstwo takich chłopaków wracało z Wietnamu. Za pół roku ten dupek zacznie wyglądać tak samo jak wszyscy inni weterani, których Lucy miała okazję spotkać, to znaczy będzie nosił brudne kudły zaplecione w warkocz, z byle powodu tłukł jakąś kobietę i opowiadał bzdury na temat Człowieka.

Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał mocno i zdecydowanie.

- Wybacz, przystojniaczku, ale dziś już jestem wykończona.

Słowa odbijały się echem po pieczarze utworzonej z wysokich ścian budynków. Lucy zdawała sobie sprawę, że bełkocze, ale wyprostowała przygarbione ramiona, żeby gość przypadkiem nie pomyślał, że łatwo mu z nią pójdzie.

- Zamknęłam interes - dodała.

- Nie szukam okazji do interesów - wyjaśnił, przybliżając się o krok.

W rękach trzymał jakąś opasłą księgę. Biblia, domyśliła się Lucy.

- Psiakrew - wymamrotała.

Cholera, wszędzie było ich pełno. Mormoni, świadkowie Jehowy, nawet narwańcy z miejscowych katolickich parafii...

- Posłuchaj, przystojniaczku. Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie zbawiał.

- Nienawidzę się sprzeczać, siostrzo, ale według mnie wyglądasz tak, jakbyś tego potrzebowała.

- Nie jestem twoją siostrą. Mam brata i na pewno to nie ty nim jesteś.

Lucy odwróciła się do niego plecami i ruszyła przed siebie. Nie, nie mogła od razu wrócić do Juice'a. Nie wytrzymałaby kolejnego bicia. Lepiej pójdzie do szpitala i narobi takiego smrodu, że będą musieli dać jej coś na uspokojenie. Przynajmniej dzięki temu jakoś przetrzyma noc.

- Założę się, że on martwi się o ciebie.

Lucy zatrzymała się.

- Twój brat - wyjaśnił nieznajomy. - Założę się, że on się o ciebie martwi. Przynajmniej ja bym się martwił, gdybym był na jego miejscu.

Zacisnęła mocno dłonie, ale się nie odwróciła. Po prostu szła przed siebie. Kroki podążały jej śladem. Ale Lucy nie przyspieszyła. Nie mogła przyspieszyć. Ból w żołądku był tak intensywny, jakby ktoś nożem rozcinał jej trzewia. Szpital wydawał się świetnym rozwiązaniem, ale na jedną noc. Potem nadejdzie jutro, a później następny dzień i jeszcze następny... Będzie musiała znaleźć jakiś

sposób, żeby na nowo wkupić się w łaski Juice'a. Dziś i tak interes szedł dość kiepsko. Nawet Kitty nie zarobiła zbyt wiele. Juice'owi zależało wyłącznie na twardej, konkretnej gotówce, a Lucy przypuszczała, że ten zbzikowany wyznawca Jezusa ma przy sobie co najmniej dziesięć baksów. Tak, Juice z pewnością spuści jej lanie, ale pieniądze złagodzą siłę jego ciosów.

- Chcę do niego zadzwonić. - Lucy szła równym, spokojnym krokiem. - Chcę zadzwonić do mojego brata. Przyjdzie, żeby mnie zabrać. Powiedział, że to zrobi.

Kłamała jak bura suka, ale jej ton brzmiał przekonująco.

- Tyle tylko, że nie mam pieniędzy. Żeby do niego zadzwonić, rzecz jasna.

- Jeśli chodzi o pieniądze, to mogę ci dać.

Lucy znowu się zatrzymała. Powoli, bez pośpiechu odwróciła się do tyłu. Mężczyzna stał w srebrzystej smudze światła, która padała z holu pobliskiego biurowca. Lucy była dość wysoka - bez obcasów mierzyła metr siedemdziesiąt - ale ten gość musiał mieć dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Trzymające Biblię ręce sprawiały wrażenie potężnych, a ramiona były szerokie i mocne. Miał długie nogi, ale nie za chude. Lucy potrafiła pędzić jak strzała, zwłaszcza kiedy coś ją wystraszyło. W chwili gdy gość wyjmie portfel, Lucy wyrwie mu pieniądze i ucieknie.

- Jesteś z marynarki czy jak? - spytała.

- F-4 - wyjaśnił, przesuając się o krok w jej kierunku. - Niezdolny do służby ze wskazań medycznych.

Zdaniem Lucy wyglądał na całkiem sprawnego. Pewnie tatuś wykupił synka z poboru do wojska, tak samo jak tata Lucy załatwił sprawę z Henrym.

- Daj mi trochę pieniędzy, żebym mogła zadzwonić do brata. -

Przypomniała sobie. - Proszę...

- Gdzie on jest?

- W Atenach.

- W Grecji?

Parsknęła śmiechem.

- W Georgii. Jest w college'u Studiuj prawo i właśnie ma się żenić.

Chciałaby do niego zadzwonić. Z gratulacjami. I oczywiście poprosić, żeby mnie stąd zabrał i zawiózł do domu - dodała szybko. - Do mojej rodziny. Tam, gdzie jest moje miejsce.

Mężczyzna znów postąpił krok do przodu. Światło wydobyło z mroku rysy jego twarzy - całkiem normalnej twarzy, zupełnie przeciętnej. Niebieskie oczy. Ładne usta. Ostry nos. Kwadratowa szczęka.

- Dlaczego ty nie jesteś w college'u? - zapytał.

Lucy nagle poczuła na karku dziwne mrowienie. Nie była pewna, jak powinna opisać własne uczucia. Z jednej strony trochę bała się tego mężczyzny, z drugiej myślała, że nawet nie potrafi sobie przypomnieć, od ilu lat nie rozmawiała w ten sposób z żadnym facetem. Zresztą on wcale nie patrzył na nią jak na zwykłą dziewczynę. Nie proponował żadnej transakcji. W jego oczach nie kryło się nic, co mogłoby jej zasugerować, że ten człowiek stanowi zagrożenie. A jednak dochodziła druga w nocy, on zaś znajdował się na pustej ulicy w dzielnicy, w której zamykano drzwi mniej więcej o szóstej po południu, kiedy wszyscy biali jechali z powrotem do swoich domów na przedmieściach.

Prawda była taka, że żadne z nich nie należało do tego otoczenia.

- Siostró... - Znów przysunął się o krok. Lucy była zaszokowana, widząc w jego wzroku autentyczną troskę. - Nie chcę, żebyś się mnie obawiała. Niech Pan prowadzi moją rękę.

Lucy miała kłopot z odpowiedzią. Minęły lata, odkąd ktoś patrzył na nią z uczuciem choćby w przybliżeniu przypominającym współczucie.

- Dlaczego uważasz, że się ciebie boję?

- Bo myślę, Lucy, że ty od dawna żyjesz w strachu.

- Nie masz pojęcia, jak... - Urwała w pół słowa. - Skąd wiesz, jak mam na imię?

Wydawał się zbity z tropu.

- Sama powiedziałaś mi przed chwilą.

- Nie, nie powiedziałam.

- Parę minut temu powiedziałaś, że nazywasz się Lucy. -

Nieznajomy podniósł wyżej Biblię dla podkreślenia prawdziwości swoich słów. - Przysięgam.

Poczuła, że zaschło jej w gardle, jakby cała ślina gdzieś zniknęła. Jej imię było jej tajemnicą. Nigdy nie przyznawała się obcym facetom, jak ma na imię.

- Nie, na pewno ci tego nie powiedziałam.

- Lucy...

Teraz od Lucy dzieliło go mniej niż dwa metry. W jego oczach nadal kryło się to samo zatroskanie, choć mógł z łatwością zrobić jeszcze jeden krok i owinąć rękoma jej szyję, zanim ona zdąży się zorientować, co jest grane.

Ale on nie ruszył się z miejsca. Po prostu stał tam, przyciskając Biblię do piersi.

- Proszę, nie bój się mnie. Naprawdę nie masz powodu, żeby się mnie obawiać.

- Dlaczego tu jesteś?
- Żeby ci pomóc. Bo chcę, żebyś została zbawiona.
- Nie potrzebuję zbawienia. Potrzebuję kasy, rozumiesz?
- Już powiedziałem, że dam ci wszystkie pieniądze, które są ci potrzebne.

Włożył Biblię pod pachę i wyciągnął z kieszeni portfel. Bez trudu mogła ze swojego miejsca dostrzec starannie ułożony plik banknotów. Setki dolarów. Rozłożył je jak wachlarz.

- Chcę się tobą zaopiekować. To jedyne, czego kiedykolwiek chciałem.

Lucy czuła, że jej głos drży. Nie mogła oderwać wzroku od pliku pieniędzy. Tam było przynajmniej pięć setek, a możliwe, że więcej.

- Ja ciebie nie znam.
- Owszem. Na razie.

Nogi Lucy same cofnęły się o krok, choć przecież miała rzucić się do przodu, wyrwać kasę i zwiewać stąd jak najszybciej. Jeśli gość przejrzał jej plany, nie dał tego po sobie poznać. Po prostu stał tam z setkami dolarów, które w jego potężnych łapskach wyglądały jak plik pocztowych znaczków; nie poruszył się ani nic nie powiedział. Tyle forsy... Pięćset dolarów... Mogłaby za to wynająć pokój w hotelu i nie wracać na ulicę przez ładne parę miesięcy, może nawet przez rok.

Serce Lucy tłukło się jak oszalałe, uderzając od wewnątrz o połamane żebra. Była rozdarta między pragnieniem wyrwania forsy i ratowania się ucieczką, żeby ocalić własną skórę, a zwyczajną chęcią p o r z u c e n i a dotychczasowego życia. Drobne włoski na jej dłoniach stanęły dęba, a ręce drżały niczym w febrze. Gdzieś za plecami poczuła promieniowanie ciepła i przez moment przypuszczała, że nad Peachtree Plaza pojawiło się wschodzące słońce, kładąc się smugami na asfalcie ulicy i otulając ciepłem

zziębnięty kark i ramiona Lucy. Czy to był znak z góry? Czy w końcu nadeszła chwila jej zbawienia?

Nie, nie zbawienia. Po prostu okazja zdobycia pieniędzy.

Zmusiła się, by postąpić krok naprzód. Potem jeszcze jeden.

- Chcę cię lepiej poznać - powiedziała temu facetowi, pełna obaw, że jej słowa zamienią się w nieartykułowany bełkot.

Uśmiechnął się.

- To dobrze, siostrze.

Zmusiła się, żeby odwzajemnić jego uśmiech; żeby zaokrąglić ramiona, dzięki czemu wyglądała młodziej, bardziej słodko i niewinnie. A potem jak błyskawica złapała plik banknotów i odwróciła się, by popędzić przed siebie, lecz jej ciało szarpnęło do tyłu jak wystrzelone z procy.

- Nie próbuj ze mną walczyć - powiedział, zaciskając palce dookoła jej nadgarstka. Połowa przedramienia Lucy zniknęła we wnętrzu jego dłoni. - Nie możesz uciec.

Lucy poddała się natychmiast. Nie miała wyboru. Ból przeszywał na wskroś jej kark, głowa pulsowała boleśnie, a ramiona trzeszczały, wykręcane ze stawów. Mimo to trzymała mocno zwitek banknotów. Czowała, jak sztywny papier drapie jej dłoń.

- Siostrze, czemu pożądasz życia w grzechu?

- Nie wiem.

Wpatrując się w ziemię, pokręciła głową i siorbnęła donośnie, żeby wciągnąć z powrotem kroplę krwi, która kapła jej z nosa. Teraz poczuła, że podobny do imadła ucisk zaczyna się rozluźniać.

- Siostrze...

Gwałtownie wykręciła rękę spomiędzy jego palców, czując, jak rozdziera sobie skórę, zupełnie jakby zdejmowała za ciasną rękawiczkę. Potem pobiegła przed siebie najszybciej i najmocniej, jak

tylko zdołała, uderzając twardo bosymi stopami i pompując rękoma. Jedno skrzyżowanie. Drugie. Otworzyła usta, łapiąc powietrze potężnymi haustami, które wysyłało w głąb jej piersi kłujące fale cierpienia. Pęknięte zębra. Złamany nos. Wybite zęby. Pieniądze w ręku. Pięćset dolarów. Pokój w hotelu. Bilet na autobus. Tyle hery, ile zdoła przetrwać. Była wolna. Niech to szlag, nareszcie była wolna!

Przynajmniej do momentu, gdy jej głowa poleciała do tyłu. Skóra na głowie rozjechała się jak zepsuty zamek błyskawiczny, z którego ktoś wyłamał ząbki, podczas gdy kawałki włosów zostały wyrwane aż u nasady, razem z cebulkami. Lucy ani na chwilę nie zwolniła pędu. Ujrzała, jak jej nogi wysuwają się przed nią, jak stopy znajdują się na wysokości podbródka, a potem grzmotnęła plecami o ziemię i rozciągnęła się jak długa.

- Nie walcz - powiedział nieznajomy, siadając na niej okrakiem i zaciskając palce na jej szyi.

Lucy wbiła pazury w jego dłonie, lecz bezlitosny uścisk nie zelżał ani na chwilę. Z rozdartego skalpu lała się krew, wpływając do oczu, nosa i ust.

Nie mogła krzyknąć. Sięgnęła na oślep, żeby wbić paznokcie w gałki jego oczu, lecz pod palcami poczuła szorstką skórę policzka, a potem ręce opadły bezwładnie, bo zabrakło jej sił, żeby trzymać je w górze. Gdy jej ciało naprężyło się spazmatycznie, jego oddech wyraźnie przyspieszył. Ciepły mocz popłynął po udach Lucy. Czowała jego podniecenie, nawet wówczas gdy rozpacz zwyciężyła.

Właściwie dla kogo starała się walczyć? Kogo to obchodzi, czy Lucy Bennett żyje, czy umarła? Może Henry zmartwi się, usłyszawszy wieść o jej śmierci, lecz rodzice Lucy, jej dawni przyjaciele, nawet pani Henderson, zapewne nie poczują niczego poza wielką ulgą.

Wreszcie nadeszło nieuchronne.

Język Lucy nabrzmał, wypełniając całe gardło, zaś obraz przed oczyma zaczął się rozmazywać. To nie miało sensu. W płucach nie została nawet odrobina tchu, tlen nie docierał do mózgu... Czuła, że zaczyna się poddawać, że rozluźnia wszystkie mięśnie. Jej głowa bezwładnie uderzyła o płyty chodnika. Lucy podniosła wzrok ku górze. Niebo wydawało się niewiarygodnie ciemne, z ledwie widocznymi punkcikami gwiazd. Nieznajomy wpatrywał się w jej twarz, a w jego oczach kryła się ta sama troska, którą zauważyła wcześniej.

Tyle tylko, że teraz na jego ustach gościł uśmiech.

OBECNIE

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 2

Will Trent nigdy nie był sam w czyimś mieszkaniu, chyba że chodziło o kogoś, kto już nie żyje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to cecha, którą dzieli z całą rzeszą seryjnych morderców, do których zresztą upodobnił się w wielu innych aspektach życia. Na szczęście Will był agentem GBI*, więc przeszukiwanie pustych łazienek i opuszczonych sypialni podchodziło pod kategorię naruszenia cudzej własności w imię wyższych celów.

**GBI (Georgia Bureau of Investigation) - Biuro Śledcze Stanu Georgia.*

Jednak to objawienie wcale nie uśmierzyło jego obaw, kiedy maszerował przez apartament należący do Sary Linton. Wciąż musiał powtarzać sobie, że przebywa tutaj całkiem legalnie i ze słusznego powodu - po prostu Sara poprosiła go, żeby nakarmił i wyprowadził psy, podczas gdy ona pracuje na dodatkowej zmianie w szpitalu. Poza tym trudno było uznać ich za obce sobie osoby. Poznali się prawie rok temu, żeby ostatecznie przed dwoma tygodniami nawiązać bliższe stosunki. Od tamtej pory Will spędzał tutaj prawie każdą noc. Jeszcze wcześniej miał okazję poznać rodziców Sary. Nawet jadł obiad w jej rodzinnym domu. Biorąc pod uwagę tak daleko posuniętą zażyłość, myśl, że oto wkroczył na cudzy teren, wydawała się zupełnie pozbawiona sensu.

Ale mimo to nadal odnosił wrażenie, jakby dostał się tu ukradkiem.

Może brało się to stąd, że czuł się dziwnie, siedząc tutaj sam. Will był całkiem pewny, że ma obsesję na punkcie Sary Linton. Chciał wiedzieć o niej dosłownie wszystko. I chociaż nie owładnęło nim

nieodparte pragnienie, żeby zrzucić ubranie i tarzać się nago po jej łóżku - przynajmniej nie wtedy, kiedy Sara nie mogła mu w tym towarzyszyć - to jednak czuł przymus, by przeglądać stojące na półkach drobiazgi i grzebać w szufladach. Korciło go, żeby przerzucić parę stron w albumach ze zdjęciami, które Sara trzymała w pudle w sypialnianej szafie, a także przejrzeć kolekcję książek i sprawdzić zestaw ściągniętych z sieci utworów.

Oczywiście to wcale nie oznaczało, że zacznie działać pod wpływem impulsów. Inaczej niż większość seryjnych morderców Will zdawał sobie sprawę, że każda z tych spraw doprowadzi go do granicy, za którą jest już tylko ohydne wścibstwo. Jednak niezaspokojone pragnienie zakłócało jego wewnętrzną równowagę.

Powiesił smycze psów na haczyku wewnątrz szafy w przedpokoju. Obydwa należące do Sary charty wskoczyły na stojącą w salonie kanapę, a promienie słońca bieliły ich płową sierść. Loft mieścił się na ostatnim piętrze w narożniku budynku, co najlepiej świadczyło o tym, że zdecydowanie lepiej być pediatrą niż zwykłym urzędnikiem państwowym. Przez przeszkloną ścianę w kształcie litery L rozciągał się bajeczny widok na centrum Atlanty. Bank America Plaza wyglądał tak, jakby budowniczowie zapomnieli rozebrać rusztowanie. Podobna do schodów wieża Georgia Pacific wznosiła się nad kinem, w którym niegdyś odbyła się premiera *Przeminęło z wiatrem*. Malutki budynek Equitable przypominał czarny, granitowy przycisk do papieru, który przykucnął obok pojemnika na ołówki, czyli Westin Peachtree Plaza.

Jeśli chodzi o sprawy czysto formalne, Atlanta należała do niewielkich miast - populacja ludzi stale mieszkających w obrębie metropolii niewiele przekraczała pięćset tysięcy osób. Jednak wystarczyło rozszerzyć ich o tych, których obejmowała linia metra, i

liczba dochodziła do sześciu milionów. Miasto było mekką Piedmontu - centrum biznesowym Południowego Wschodu. Tutaj mówiono sześćdziesięcioma językami. Więcej było pokoiów hotelowych niż stałych mieszkańców, a biur więcej niż pracujących tam osób. W ciągu roku popełniano trzysta morderstw, zgłaszano tysiąc sto gwałtów i niemal trzynaście tysięcy przestępstw z użyciem fizycznej przemocy.

Atlanta raczej przypominała małe miasto, które ma predyspozycje do awantur.

Will powędrował do kuchni i podniósł z podłogi miski na wodę. Na myśl o powrocie do swojego małego domku poczuł się strasznie samotny, co wydawało się dziwne, zważywszy, że Will dorastał, nie marząc o niczym innym, jak tylko o tym, że kiedyś będzie sam. Ostatecznie w jego życiu było coś więcej poza Sarą Linton. Miał pracę. Miał własnego psa, o którego należało się zatroszczyć. Miał dom. Nawet kiedyś był żonaty. Formalnie rzecz biorąc, sytuacja dotąd nie uległa zmianie, choć do niedawna to nie miało większego znaczenia.

Will skończył osiem lat, kiedy gliniarze przywieźli do domu dziecka w Atlancie niejaką Angie Polaski. Miała jedenaście lat i była dziewczynką, co zwiększało szanse na adopcję, lecz Angie była pyskata i dzika, i nikt nie chciał jej wziąć. Nikt też nie chciał zabrać Willa. Większą część wczesnego dzieciństwa spędził, wymeldowując się i meldując z powrotem w domu dziecka, niczym podniszczona książka, którą bez przerwy wypożyczają z biblioteki. Jakimś cudem obecność Angie sprawiała, że jego życie wydawało się bardziej znośne. Oczywiście z wyjątkiem tych okazji, kiedy przez nią stawało się nie do zniesienia.

Ślub wzięli przed dwoma laty. Małżeństwo zostało zawarte w cholernym pośpiechu, co pewnie tłumaczy, dlaczego żadne z nich nie brało go zbyt serio. Angie wytrzymała niecały tydzień. Dwa dni po uroczystości Will obudził się i zauważył, że ciuchy żony zniknęły, a dom świeci pustkami. Wcale się nie zdziwił. Nawet go to nie zabolalo. Prawdę mówiąc, poczuł ogromną ulgę, że stało się to wcześniej niż później. Angie uciekała mu przez cały czas i Will wiedział, że wróci. Zawsze wracała.

Tyle tylko, że tym razem - po raz pierwszy - coś się zdarzyło podczas nieobecności Angie. Zdarzyła się Sara. Jej oddech, kiedy dyszała mu prosto w ucho, i dotyk jej palców, gdy przesuwała nimi wzdłuż jego kręgosłupa. Był jej smak i był jej zapach. Były wszystkie te rzeczy, których Will nigdy nie zauważał u Angie.

Mlasnął donośnie, stawiając pełne miski na podłodze. Na psach nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Żaden z nich nie ruszył się z kanapy.

Glock Willa leżał na blacie, obok marynarki. Przypiął kaburę do pasa i zakładając marynarkę, zerknął na zegar kuchenny. Zmiana Sary kończyła się za pięć minut, co oznaczało, że Will ma przynajmniej dziesięć minut do wyjścia. Pewnie zadzwoni do niego, kiedy dotrze już do domu. Wtedy powie jej, że jest zawałony papierkową robotą, albo że właśnie wybiera się na bieżnię, albo wymyśli jeszcze jakieś kłamstwo, żeby jasno zaznaczyć, że wcale nie siedział z założonymi rękoma, czekając na jej telefon, a potem wróci tu jak najszybciej, jak Julie Andrews w *Dźwiękach muzyki.*, kiedy w podskokach biegła na wzgórze.

Właśnie zmierzał ku drzwiom, kiedy w jego kieszeni zawibrował telefon komórkowy. Na wyświetlaczu Will ujrzał numer swojej szefowej. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie lepiej będzie

przerzucić tę rozmowę na pocztę głosową, choć z doświadczenia wiedział, że Amanda nie da się zniechęcić w tak banalny sposób.

Odebrał telefon.

- Trent - rzucił krótko.

- Gdzie jesteś?

Z jakiegoś powodu Will uznał to pytanie za natrętne.

- Czemu pytasz?

Amanda westchnęła ze znużeniem. W tle słyszał jakieś hałasy - niski pomruk tłumy i uporczywe brzęczenie.

- Will, po prostu odpowiedz.

- U Sary.

Nie odezwała się, więc teraz to on zadał pytanie.

- A co, jestem ci potrzebny?

- Nie, bezwzględnie nie. Nadal pełnisz służbę na lotnisku, aż otrzymasz kolejne instrukcje. Zrozumiałeś? Nic ponadto.

Przez moment gapił się na telefon, a następnie znów przycisnął go do ucha.

- Tak jest.

Nagle zakończyła rozmowę. Will miał wyraźne przeczucie, że pewnie rzuciłaby słuchawkę na widełki, gdyby było możliwe w przypadku telefonu komórkowego.

Zamiast wyjść z mieszkania, Will zatrzymał się w przedpokoju i usiłował zrozumieć, co przed chwilą się wydarzyło. Jeszcze raz przepowiedział sobie w myślach całą rozmowę z Amandą, ale żadne oczywiste wyjaśnienie nie przyszło mu do głowy. Zresztą zdążył się przyzwyczaić do jej mało subtelnego zachowania. Gniew i złe humory nie były niczym nadzwyczajnym. Ale choć Amanda już nieraz wyładowywała na nim swoją złość, to jednak Will nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się zatroskała, gdzie on akurat przebywa.

Prawdę powiedziawszy, był mocno zdziwiony, że w ogóle raczyła z nim porozmawiać. Od ponad dwóch tygodni nie miał okazji usłyszeć jej głosu.

Zastępca dyrektora Amanda Wagner była osobą pamiętającą dawne czasy i należała do grona tych gliniarzy, którzy bez problemu naginają wszelkie reguły, byle tylko rozwiązać powierzoną im sprawę, lecz trzymają się podręcznikowych zasad, jeśli chodzi o sposób ubierania się. W GBI wymagano od agentów niebędących tajniakami, żeby nosili włosy o długości centymetra ponad kołnierzykiem. Przed dwoma tygodniami Will oberwał od Amandy linijką po karku, a gdy nie zrozumiał aluzji, wyznaczyła go do pełnienia dyżuru na lotnisku, co wymagało ciągłego włączenia się po męskich toaletach, zupełnie jakby czekał, aż ktoś złoży mu seksualną propozycję.

Will popełnił ten błąd i wspomniął Sarze o swojej władczyńni. W zamysle ta historyjka miała być czymś w rodzaju żartu, ale jednocześnie miała wytłumaczyć, dlaczego musiał pójść do fryzjera, zanim wyszli razem na kolację.

Sara nie powiedziała mu, żeby nie obcinał włosów. Była na to o wiele za sprytna. Powiedziała, że lubi, kiedy nosi włosy właśnie takiej długości, i że bardzo mu w nich jest do twarzy. Mówiąc to, gładziła go czule po szyi. A potem zaproponowała, żeby zamiast do fryzjera poszli lepiej do sypialni, i tam zrobili coś tak nieprzyzwoitego, że na samą myśl o tym Will na kilka sekund stracił wzrok.

Właśnie dlatego mógł się spodziewać, że resztę swojej kariery zawodowej spędzi na najbardziej ruchliwym lotnisku świata, pełniąc w męskiej toalecie rolę babci klozetowej.

Ale to nie tłumaczyło, dlaczego Amanda starała się namierzyć go tego konkretnego dnia, o tej konkretnej godzinie.

Ani szumu zgromadzonego w tle tłumu. Ani znajomych trzasków, które rozlegały się w słuchawce.

Z powrotem poszedł do salonu. Na jego widok psy przesunęły się posłusznie, ale Will nie usiadł obok nich na kanapie. Wziął z szafki pilot i włączył telewizor. Właśnie trwał jakiś mecz koszykówki. Pstryknął parę razy, aż złapał miejscowy kanał. Za biurkiem siedziała Monica Pearson, czołowa dziennikarka Channel Two, prowadząc program informacyjny na temat Beltline - nowego systemu biletowego w komunikacji miejskiej, który został znienawidzony przez wszystkich w Atlancie, z wyjątkiem polityków. Will oparł palec na przycisku wyłączającym odbiornik, ale zanim zdążył go nacisnąć, obraz się zmienił. Zaczęły się wiadomości i nad ramieniem Moniki Pearson pojawiła się podobizna młodej dziewczyny. Kiedy po reportażu rozpoczęła się relacja na żywo z konferencji prasowej, Will podkreślił głośność.

To, co ujrzał, sprawiło, że odruchowo usiadł na kanapie.

Na drewnianym podium stała Amanda Wagner, a przed nią kilka mikrofonów. Czekwała, aż wszyscy ucichną. Will usłyszał znajome dźwięki: klikanie kamer, a w tle niski pomruk tłumu.

Will już setki razy miał okazję widzieć swoją szefową podczas konferencji prasowych. Zwykle znajdował się wówczas z tyłu pomieszczenia, starając się unikać kamer, podczas gdy Amanda pławała się w blasku niepodzielnej uwagi obecnych. Uwielbiała być w centrum zainteresowania. Rozkoszowała się każdą okazją do powolnego sączenia informacji, którymi karmili się żądni sensacji dziennikarze. Ale tym razem było inaczej. Gdy kamera zbliżyła się do podium, Will uważnie przyjrzał się twarzy Amandy. Wyglądała na zmęczoną. Co więcej - wyglądała, jakby coś mocno ją martwiło.

Wreszcie przemówiła.

- GBI wydało komunikat alarmowy w sprawie Ashleigh Renee Snyder. Zaginięcie tej dziewiętnastoletniej kobiety zostało zgłoszone mniej więcej o trzeciej piętnaście dziś po południu... - przerwała na chwilę, żeby dać czas dziennikarzom na zrobienie notatek. - Ashleigh mieszka w dzielnicy Techwood i jest studentką drugiego roku Georgia Institute of Technology.

Amanda mówiła dalej, ale Will wyłączył dźwięk. Obserwował, jak poruszają się jej usta. Widział, jak zwracała się do różnych reporterów. Ich pytania były rozwlekłe. Odpowiedzi Amandy trwały krótko. Nie wytrzymała długo. Tym razem nie było mowy o wzajemnym przekomarzaniu się. W końcu Amanda opuściła podium, a na ekranie znów pojawiła się Monica Pearson. Nad jej ramieniem widniało zdjęcie zaginionej dziewczyny. Szczupłej, ładnej blondynki.

Blondynki, która wydawała się znajoma.

Will wyjął z kieszeni telefon. Kciukiem dotknął klawisza, pod którym miał zapisany telefon Amandy, ale nie wybrał numeru.

Zgodnie z prawem stanowym, biuro śledcze musiało otrzymać oficjalną prośbę od policji o przejęcie dochodzenia. Jednym z wyjątków były sprawy o uprowadzenie, gdzie czas odgrywał kluczową rolę, ponieważ porywacze mogli szybko przekraczać granice hrabstw i stanów. Komunikat alarmowy stawiał w pogotowiu wszystkie terenowe oddziały GBI. Agenci dostawali wezwania do powrotu. Każdy pozyskany dowód był w laboratorium traktowany priorytetowo. Wszyscy pracownicy kierowani byli do tej jednej, jedynej sprawy.

Wszyscy, z wyjątkiem Willa.

Prawdopodobnie nie powinien szukać w tym żadnych podtekstów. Po prostu Amanda znalazła jeszcze jeden sposób, żeby go ukarać. Wciąż była wściekła z powodu tej jego fryzury. I na tyle małostkowa,

żeby celowo wyłączyć go ze śledztwa. Tylko o to chodziło. Will już wcześniej pracował przy uprowadzeniach. Zwykle to były paskudne sprawy, które rzadko kończyły się szczęśliwie, a mimo to każdy gliniarz chciał przy nich pracować. Ekscytował ich tykający zegar. Ciągłe napięcie. Atmosfera polowania. Zastrzyk adrenaliny, który był przecież jednym z powodów, dla którego każdy z nich zdecydował się wstąpić do służby.

A Amanda postanowiła ukarać Willa, trzymając go z dala od tej sprawy.

Techwood.

Studentka.

Will wyłączył telewizor. Czuł, jak po plecach spływa mu kropelka potu. Jego umysł nie mógł skupić się na żadnej konkretnej myśli. W końcu potrząsnął głową, żeby się pozbierać. I właśnie w tym momencie zarejestrował godzinę, która widniała na wyświetlaczu dekodera. Zmiana Sary skończyła się przed dwunastoma minutami.

Psiakrew!

Najpierw musiał zrzucić oba psy z kanapy; dopiero wtedy poderwał się na nogi i popędził ku drzwiom. Sąsiad Sary, Abel Conford, czekał na korytarzu na windę.

- Dzień do...

Will dał nura na klatkę schodową. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, by jak najprędzej wydostać się z budynku. Sara nie mogła przecież pomyśleć, że to z jej powodu chodzi jak błędny. Mieszkała zaledwie kilka przecznic od szpitala. Mogła zjawić się tu lada chwila.

Właściwie już tu była.

Will zobaczył ją, jak siedzi w swoim bmw, gdy tylko otworzył drzwi. Przez ułamek sekundy pomyślał, że może warto rzucić się pomiędzy drzewa. Ale zaraz doszedł do wniosku, że przecież Sara

zdążyła już zauważyć jego samochód. Porsche rocznik siedemdziesiąty dziewięć, z lekko wysuniętym nosem, stał tuż obok jej nowiutkiej terenówki. Will nie zdołałby otworzyć drzwi, nie uderzając przy tym samochodu Sary.

Wymruczał pod nosem coś nieprzyjemnego, jednocześnie przyklejając uśmiech do twarzy. Ale Sara nie odwzajemniła mu się tym samym. Po prostu siedziała w fotelu, zaciskając dłonie na kierownicy i szklanym wzrokiem gapiła się prosto przed siebie. Podszedł bliżej. Słońce świeciło tak jasno, że przednia szyba auta zamieniła się w lustro, więc Will nie zauważył, że Sara ma łyzy w oczach, dopóki nie znalazł się tuż obok niej.

Natychmiast kwestia sporu z Amandą przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Czym prędzej szarpnął za klamkę. Sara odblokowała zamek.

- Wszystko w porządku? - spytał bez tchu.

- Taak... - odparła, opierając stopy na progu. - Po prostu miałam w pracy zły dzień.

- Chcesz o tym pogadać?

- Właściwie to nie, ale dzięki, że spytałeś - przesunęła koniuszkami palców po jego policzku, a następnie założyła mu za ucho niesforny kosmyk włosów.

Will pochylił się bliżej. Teraz mógł jedynie na nią patrzeć. Kasztanowe włosy Sary ściągnięte były do tyłu i związane w koński ogon, a blask słońca nadawał jej oczom kolor intensywnej zieleni. Wciąż miała na sobie swój szpitalny fartuch, z kilkoma zaschniętymi kroplami krwi na rękawie. Na wierzchu dłoni dostrzegł ciąg tajemniczych cyfr, wypisanych granatowym atramentem na białej jak mleko skórze. W Grady Hospital wszystkie karty pacjentów znajdowały się na cyfrowych tabletach; Sara na własnym ręku

obliczała odpowiednią dawkę leku dla każdego pacjenta. Gdyby Will wiedział o tym w zeszłym tygodniu, oszczędziłby sobie dwóch bezsennych nocy, wypełnionych szaleńczą zazdrością, ale to nie on wykręcał się od odpowiedzi.

- Jak tam psy? W porządku? - spytała.

- Zrobiły wszystko to, co psy powinny robić.

- Dzięki, że się nimi zająłeś.

Sara oparła ręce na jego ramionach i Will od razu poczuł znajome pobudzenie. Zupełnie jakby między nimi istniał jakiś niewidzialny sznurek. Najlżejsze pociągnięcie wystarczało, by stawał się niezdolny do czegokolwiek.

Czule pogłaskała go po karku.

- Lepiej opowiedz mi, jak tobie minął dzień.

- Nudno i smutno - odparł, co w sumie zgadzało się z prawdą. -

Jakiś starszawy gość oznajmił mi, że podoba mu się moja fizjonomia.

Obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem.

- Nie mogłeś go aresztować za to, że uczciwie powiedział, co myśli.

- No cóż, najwyraźniej samo mówienie o tym sprawiało mu przyjemność.

- Wiesz, może warto sprawdzić, czy miał rację?

Will poczuł, jak sznurek się napina. Schylił się, żeby musnąć pocałunkiem usta Sary. Jej wargi były miękkie i pachniały miętą pieprzową od balsamu, którego używała. Przesunęła paznokciami po jego włosach i Will pochylił się jeszcze niżej. Nagle cały nastrój prysnął, bo drzwi budynku otworzyły się z hukiem. Abel Conford spojrzał na nich spode łba i ciężkimi krokami ruszył w stronę swojego mercedesa.

Will musiał odchrząknąć, zanim zadał Sarze następne pytanie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz mieć trochę czasu tylko dla siebie?

Poprawiła mu węzeł na krawacie.

- Chcę pójść z tobą na mały spacer, potem chcę zjeść z tobą całą wielką pizzę, a następnie chcę z tobą spędzić resztę nocy.

Will popatrzył na zegarek.

- Wydaje mi się, że mogę ci to zapewnić.

Sara wysunęła się z auta i zamknęła drzwiczki. Will wsunął etui na kluczyki do małej kieszeni w spodniach. Plastik otarł się o znajomy, zimny metal ślubnej obrączki. Zdjął ją z palca dwa tygodnie temu, ale z powodów, których sam nie był w stanie określić, nie pozbył się jej na dobre.

Sara wzięła go za rękę i we dwoje ruszyli chodnikiem przed siebie. W Atlancie druga połowa marca należała do najwspanialszych pór w roku i dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem od reguły. Lekki wietrzyk chłodził powietrze. Każdy skrawek ziemi pokrywały kwiaty. Słońce przedzierało się przez korony drzew, rozświetlając twarz Sary. Łzy zdążyły obeschnąć, lecz Will widział, że wciąż dręczy ją coś, co wydarzyło się w szpitalu.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - spytał z troską.

W odpowiedzi Sara owinęła jego ramię dookoła swoich ramion. Była o sporo niższa od Willa, co oznaczało, że idealnie dopasowywała się do miejsca pod jego pachą, zupełnie jakby byli dwoma kawałkami puzzli. Poczul, jak jej dłoń wślizguje się pod jego marynarkę. W końcu zahaczyła kciuk o pasek spodni, trwożliwie omijając kaburę, w której tkwił glock. Po drodze mijali tych, którzy zwykle kręcili się w tej okolicy - uprawiających jogging, przygodne pary, mężczyzn pchających wózki z niemowlętami. Kobiety, które wyprowadzały psy. Większość osób gadała przez komórki - nawet ci, którzy biegali.

Wreszcie Sara przemówiła.

- Oszukałam cię.

Zerknął w dół.

- Tak? W czym?

- Wcale nie wzięłam dodatkowego dyżuru w szpitalu. Zostałam tam, ponieważ... - Jej głos zamarł. Spojrzała na ulicę. - Ponieważ nie było nikogo innego.

Nie wiedział, jak zareagować.

- Okay - mruknął po chwili.

Jej ramiona powędrowały w górę, kiedy brała głęboki oddech.

- Mniej więcej w porze lunchu przywieziono do nas ośmioletniego chłopca... - Sara pracowała jako lekarz pediatra na izbie przyjęć w Grady Hospital i widziała mnóstwo dzieciaków w bardzo złym stanie. - Biedak przedawkował lekarstwa na nadciśnienie swojej babci... Połknął połowę dawki przewidzianej na półtora miesiąca. To był beznadziejny przypadek.

Will zachował milczenie, żeby nie musiała się śpieszyć.

- Kiedy go przywieźli, jego serce uderzało wolniej niż czterdzieści razy na minutę. Od razu zrobiliśmy płukanie żołądka. Podaliśmy glucagon, potem maksymalną dawkę dopaminy, epinefryny... - Z każdym słowem jej głos stawał się coraz łagodniejszy. - Nie mogłam zrobić nic więcej. Wezwałam kardiologa, żeby założył stymulator pracy serca, ale... - Sara znów pokręciła głową. - Musieliśmy pozwolić mu odejść. Skończyło się na tym, że chłopiec został przeniesiony na oddział intensywnej terapii.

Will ujrzał czarne monte carlo, który powoli włókł się ulicą. Zza opuszczonych szyb dobiegał ogłuszający rap.

- Nie mogłam zostawić go samego - dokończyła Sara.

Natychmiast oderwał wzrok od samochodu.

- Nie było tam żadnych pielęgniarek?

- Oddział już pękał w szwach - odparła i znów pokręciła głową. - Babcia nie zjawiała się w szpitalu. Mama siedzi w więzieniu. Tatuś oczywiście nieznany. Dzieciak nie ma żadnych krewnych. Nie był przytomny i pewnie nawet nie wiedział, że tam jestem... - Przerwała na moment. - Umierał przez całe cztery godziny. Jego rączki były już zimne wtedy, kiedy przynosiliśmy go na górę... - Sara wbiła spojrzenie w chodnik, po którym szli. - Jacob. Miał na imię Jacob.

Will żuł przez chwilę wewnętrzną stronę wargi. Jako dzieciak parę razy był przyjmowany, a potem wypisywany z Grady Hospital. Ten szpital był jedynym w Atlancie ośrodkiem zdrowia utrzymywanym za państwowe pieniądze.

- Mały Jacob miał szczęście, że byłeś przy nim - powiedział w końcu.

Mocniej przytuliła się do jego ramienia. Wciąż nie podnosiła spojrzenia, jakby szczeliny w chodniku wymagały specjalnej uwagi.

W milczeniu szli przed siebie. Will czuł ciężar oczekiwania i wiedział, że Sara rozmyśla teraz o jego dzieciństwie; fakt, że jego życie mogło zakończyć się w ten sam sposób, co życie małego Jacoba. Will powinien przynajmniej przyznać się do tego głośno, przypominając zarazem, że z nim system obszedł się lepiej niż z większością takich jak on dzieciaków. Ale jakoś nie potrafił znaleźć właściwych słów.

- Hej! - W pewnej chwili Sara pociągnęła go za rękaw. - Chyba powinniśmy zawrócić.

Miała rację. Tłum przechodniów wyraźnie się przerzedził. Dotarli w pobliże Boulevard, które o tej porze dnia zdecydowanie nie było najlepszym miejscem na przechadzkę. Will rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy w oślepiającym blasku słońca. Tutaj brakowało

wysokich budynków albo drapaczy chmur, które blokowałyby promienie słoneczne. Dookoła ciągnęły się w nieskończoność rzędy nędznych domków, które powstały z subwencji rządowych.

Techwood wyglądało tak samo aż do połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy olimpiada wszystko zmieniła. Rząd zdecydował się na wyburzenie slumsów, a ich mieszkańcy zostali przeniesieni dalej na południe. Teraz w eleganckich apartamentowcach mieszkali studenci.

Tacy jak Ashleigh Snyder.

Przemówił, zanim rozsądek zdołał go powstrzymać.

- Czemu nie pójdziemy tamtędy?

Sara rzuciła mu badawcze spojrzenie. Will wskazywał w kierunku tamtego osiedla.

- Chcę ci coś pokazać - oznajmił.

- Tutaj?

- Kilka kwartałów stąd - pociągnął ją za ramię, żeby ruszyła z miejsca.

Przeszli na ukos przez następną ulicę, dając krok nad stertą śmieci. Graffiti pokrywało szczelnie wszystkie ściany. Obejmując Sarę, Will niemal czuł, jak drobne włoski na jej karku stają dęba.

- Jesteś pewien, że chcesz tam iść? - zapytała.

- Zaufaj mi - odparł.

Jak na zawołanie pojawiła się przed nimi grupa podejrzanie wyglądających nastolatków, obnażonych od pasa w górę. Każdy z nich popisywał się spojrzeniem spode łba i opuszczonymi nisko na biodrach dzinsami. Razem stanowili prawdziwie barwną grupę włóczęgów, reprezentującą niemal wszystkie mniejszości etniczne, jakie bytowały na tym obszarze Atlanty. Jeden z wyrostków miał wytatuowaną na białym jak u ryby brzuchu małą swastykę, inny na

piersi miał flagę Puerto Rico. Czapki na ich głowach odwrócone były daszkami do tyłu. Zębów brakowało albo tu i ówdzie połyskiwały złotem. Wszyscy ściskali w dłoniach brązowe papierowe torebki, kształtem do złudzenia przypominające butelki z jakimś mocniejszym trunkiem.

Sara przytuliła się do Willa, on zaś utkwiał wzrok w grupie bezczelnych szczeniaków. Will już na dzień dobry robił wrażenie swoim wzrostem, wynoszącym niemal metr dziewięćdziesiąt, ale odchylenie poły marynarki zdecydowanie wzmacniało siłę przekazu. Nic nie osłabiało argumentów przeciwnika tak bardzo, jak Glock, model 23, w który wyposażeni byli agenci służb rządowych.

Młodzieńcy odwrócili się bez słowa i powędrowali w przeciwnym kierunku. Will śledził bacznie każdy ich krok, by dać im jasno do zrozumienia, że nie powinni się zatrzymywać.

- Dokąd idziemy? - spytała Sara.

Najwyraźniej się nie spodziewała, że ich popołudniowy spacer zmieni się w wycieczkę do jednej z najbardziej niebezpiecznych dzielnic miasta. Szli teraz w pełnym blasku słońca. W tej części metropolii brakowało ocienionych miejsc. Nikt nie sadił kwiatów w ogródkach przed domami; inaczej niż na obsadzonych dereniami ulicach w bardziej zamożnych rejonach nie było tu niczego poza jaskrawymi świetlówkami ksenonowych lamp i mnóstwem otwartych przestrzeni, żeby policyjne helikoptery łatwo mogły wytropić skradzione auta lub namierzyć uciekających przestępców.

- Jeszcze kawałek - powiedział Will, pocierając ramię Sary w nadziei, że to nieco ukoi jej obawy.

W kompletnym milczeniu przeszli kilka kolejnych skrzyżowań. Will czuł, że napięcie Sary wzrasta, im bardziej oddalali się od domu.

- Wiesz, jak nazywa się ta okolica? - spytał w pewnej chwili.

W odpowiedzi Sara rozejrzała się w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy.

- „Droga Donikąd”? A może „Oddział Zamknięty”?
- Kiedyś ten rejon nazywaliśmy Buttermilk* Bottom.

* *Buttermilk (ang.) - maślanka.*

Uśmiechnęła się, słysząc tę nazwę.

- Dlaczego akurat tak?

- To był prawdziwy slums. Bez brukowanych ulic. Bez elektryczności. Rozumiesz, jak stroma to była przepaść? - Sara bez słowa skinęła głową. - Tutaj gromadzono wszystkie nieczystości. Ludzie powiadali, że śmierdzą tak jak skwaśniała maślanka.

Zauważył, że przestała się uśmiechać. Kiedy skręcali w Carver Street, przesunął rękę z ramion Sary na jej talię i wskazał zabity deskami sklep z kawą, który znajdował się na samym rogu.

- Kiedyś tutaj był warzywniak.

Sara spojrzała na niego.

- Pani Flannigan wysyłała mnie tutaj codziennie po szkole, żebym kupił jej paczkę fajek Kool 100 i flaszkę lekarstwa.

- Pani Flannigan?

- Tak nazywała się facetka, która była kierowniczką domu dziecka.

Sara nie zmieniła wyrazu twarzy, ale przytaknęła.

Will poczuł w głębi brzucha dziwne trzepotanie, zupełnie jakby połknął garść szerszeni. Sam nie wiedział, czemu właściwie przyprowadził Sarę w to miejsce. Zasadniczo nie działał pod wpływem impulsów i zdecydowanie nie należał do osób, które z własnej woli wtajemniczają innych w szczegóły ze swojego życia. Sara wiedziała, że Will wychował się w sierocińcu. Wiedziała, że jego matka zmarła krótko po porodzie. Przypuszczał, że reszty dowiedziała się na własną rękę. Sara nie była tylko i wyłącznie

pediatrą. W swoim małym miasteczku pracowała także jako inspektor medyczny. Wiedziała, jak wygląda przemoc. Wiedziała, jak Will musiał kiedyś wyglądać. Biorąc pod uwagę jej medyczną przeszłość, z pewnością poskładanie wszystkich wskazówek w całość przyszło jej bez trudu.

- A tutaj był sklep z płytami - oznajmił, wskazując następny opuszczony budynek.

Will wciąż obejmował ramieniem talię Sary, prowadząc ją w kierunku celu wyprawy. Trzepotanie w brzuchu wyraźnie przybrało na sile. W jego myślach co chwila migotał obraz Ashleigh Snyder. Zdjęcie, które pokazywano w telewizji, musiało pochodzić z jej legitymacji studenckiej. Jasne włosy dziewczyny były ściągnięte do tyłu. Na jej ustach igrał leciutki uśmiech, zupełnie jakby fotograf powiedział coś zabawnego.

- Gdzie właściwie mieszkałeś? - spytała nagle Sara.

Drgnął. Niewiele brakowało, żeby minęli dawny dom dziecka. Budynek był tak zmieniony, że niemal nie do rozpoznania. Ceglana architektura hiszpańskiego odrodzenia została całkowicie zniszczona. Wielkie metalowe markizy spoczywały nad ramami frontowych okien niczym brwi, a czerwoną cegłę ktoś pomalował na reumatyczną żółć. Tu i ówdzie brakowało fragmentów fasady. Potężne frontowe drzwi, które Will pamiętał jako lśniące czarne, teraz mieniły się krzykliwą czerwienią. Na szybach osiadła warstwa brudu. Na podwórku, w pomalowanych na biało oponach, należących do pani Flannigan, nikt od dawna już nie sadił tulipanów ani stokrotek. Zresztą opony nie były już białe. Will bał się zgadywać, co znajduje się w środku każdej z nich, i nie miał zamiaru podchodzić na tyle blisko, żeby się o tym przekonać. Na bocznej ścianie znajdowała się jakaś tabliczka.

„Luksusowe Apartamenty - Już Wkrótce” - przeczytała Sara. -
Wcale nie tak „wkrótce”, jak mi się zdaje.

Will zapatrzył się na budynek.

- Kiedyś wyglądało to całkiem inaczej.

Wstręt Sary był niemal namacalny, ale mimo to pytała dalej.

- Chcesz zajrzeć do środka?

Właściwie chciał uciec stamtąd jak najszybciej, ale zmusił się, by wejść po schodach prowadzących do frontowych drzwi. Jako dziecko przy każdym powrocie do domu/sierocińca doświadczał czegoś w rodzaju strachu. Nowi chłopcy bez przerwy wprowadzali się albo wyprowadzali, a większość z nich uważała, że musi coś komuś udowodnić, czasami za pomocą własnych pięści. Jednak tym razem to nie obawa przed fizyczną przemocą wywoływała w Willu zimny dreszcz, lecz obraz Ashleigh Snyder. Zupełnie bez sensu czuł się jakoś związany z jej osobą, ponieważ zaginiona dziewczyna z wyglądu bardzo przypominała jego matkę.

Przysunął twarz jak najbliżej okna, ale nie udało mu się dostrzec niczego poza odbiciem własnych oczu. Frontowe drzwi okazały się zamknięte na kłódkę, która sprawiała wrażenie nowej i kosztownej, jednak drewno było tak spróchniałe, że wystarczyło jedno solidne szarpnięcie za klamkę, żeby śruby puściły.

Will zawahał się, przyciskając dłoń do drzwi. Czuł, że Sara stoi tuż za nim i czeka. Zastanowił się, co by zrobiła, „dyby teraz zmienił zdanie i po prostu zszedł ze schodów.

- Możemy stąd odejść, jeśli chcesz - powiedziała, jakby czytając w jego myślach, a potem dodała zgryźliwie - No, czemu nie idziemy?

Will popchnął drzwi. Spodziewał się, że usłyszy skrzypienie zawiasów, ale drzwi zahaczyły o spaczone deski podłogi, więc musiał je mocno pchnąć, żeby ustąpiły. Przekraczając próg, ostrożnie

sprawdził nogą, czy podłoga jest cała. Choć na zewnątrz wciąż było jasno, w środku budynku panował mrok, głównie z powodu ciężkich zasłon w oknach i brudu, który grubą warstwą pokrywał wszystkie szyby. Z głębi przypląnęła na powitanie ciężka woń pizma, w niczym nieprzypominająca przyjemnego zapachu Pine-Sol albo Kool 100, które Will zapamiętał z dzieciństwa. Próbował znaleźć włącznik światła, ale bez powodzenia.

- Może jednak powinniśmy... - odezwała się Sara.

- Psiakrew, zdaje się, że zamienili dom dziecka w jakiś pieprzony hotel. - Will wskazał okratowaną recepcję. Klucze wciąż wisiały na haczykach w szafeczce na tylnej ścianie. - Albo w zajazd.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, które, jak przypuszczał, było niegdyś hotelowym lobby. Na podłodze walały się resztki szklanych rurek i cynowej folii. Amatorzy kokainy zdemolowali kanapę i fotele. Kilka zużytych prezerwatyw leżało wdeptanych w dywan.

- Mój Boże... - wyszeptała Sara.

Zastanawiające, ale Will poczuł, że musi bronić swoich wspomnień.

- Wyobraź sobie te ściany pomalowane na biało, a na miejscu sofy podzieloną na części kanapę, obitą żółtym sztruksem - popatrzył na podłogę. - Dywan jest ten sam, co wtedy. Tyle tylko, że był o wiele bardziej czysty.

Sara skinęła głową; zanim zdążyła wybiec przez frontowe drzwi, Will czym prędzej ruszył na tył budynku. Ogromne przestrzenie, które zapamiętał z dzieciństwa, teraz były podzielone na pojedyncze pokoje, ale wciąż potrafił przypomnieć sobie, jak wyglądały w lepszych czasach.

Odwrócił się do Sary.

- Tutaj znajdowała się jadalnia. W środku stało dwanaście stołów, takich jak ławy na piknikach, ale przykrytych obrusami, na których

leżały ładne serwetki. Chłopcy siadali po jednej stronie, a dziewczynki po drugiej. Pani Flannigan była bardzo ostrożna, jeśli chodziło o kontakty chłopców z dziewczynkami. Powtarzała, że nie potrzeba jej więcej dzieciaków niż te, które już są.

Sara się nie uśmiechnęła. Jakby ten żart wcale jej nie rozbawił.

- Proszę - Will zatrzymał się w progu. Ten pokój wyglądał jak czarna dziura, ale mimo tego z łatwością przypomniał sobie wystrój wnętrza. Na ścianach kwiecista tapeta. Metalowe biurko i drewniane krzesło. - Tutaj było biuro pani Flannigan.

- Co się z nią stało?

- Dostała ataku serca. Umarła, zanim karetka zdążyła przyjechać.

Will powędrował dalej wzdłuż korytarza i popchnął wyglądające znajomo wahadłowe drzwi.

- To oczywiście kuchnia.

- Przynajmniej jedno pomieszczenie, które się nie zmieniło.

- Widzę, że piec jest ten sam, co wtedy...

Otworzył drzwi prowadzące do spizarki. Na półkach wciąż stały zapasy jedzenia. Pleśń zamieniła bochenek chleba w śmierdzącą, czarną cegłę. Drzwi od tyłu upstrzone były graffiti. „Pieprz się! Pieprz się! Pieprz się!” - widniało wyryte w miękkim drewnie.

- Wygląda na to, że ćpuny udekorowały wszystko po swojemu - zauważyła Sara.

Akurat to było tu od zawsze - przyznał Will. - To tutaj musieliśmy siedzieć, jeśli ktoś coś przeszkrobał.

Sara zacisnęła usta, oglądając rygiel w drzwiach.

- Wierz mi, zamknięcie w spizarni nie było najgorszą rzeczą, jaka przytrafiła się większości z tych dzieciaków... - W oczach Sary zobaczył nieme pytanie. - Nie, akurat ja nigdy tutaj nie siedziałem.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Taką mam nadzieję.

- Tu wcale nie było tak źle, jak ci się wydaje. Mieliśmy co jeść.

Mieliśmy dach nad głową. Mieliśmy kolorowy telewizor. Wiesz przecież, że uwielbiam oglądać telewizję.

Przytaknęła, a on poprowadził ją z powrotem korytarzem w kierunku frontowych schodów. Po drodze postukał palcami w zamknięte na głucho drzwi.

- Tu jest wejście do piwnicy.

- Czy pani Flannigan zamykała dzieci także w piwnicy?

- Och, to nie wchodziło w grę - odparł, choć przypadkowo wiedział, że Angie spędzała tam mnóstwo czasu, zamknięta razem ze starszymi chłopcami.

Ostrożnie wspiął się po schodach, wążąc każdy krok, zanim pozwolił Sarze pójść za sobą. Obskurne stopnie wyglądały dokładnie tak samo, jak zapamiętał, ale na podeście musiał się schylić, żeby nie rozbić głowy o belki stropu.

- To tam.

Dużymi krokami ruszył w głąb korytarza, zachowując się tak swobodnie, jakby zwiedzanie obskurnego budynku było właśnie tym zajęciem, które zaplanował sobie na dzisiejszy wieczór. Podobnie jak piętro niżej, tu także cała Przestrzeń została podzielona na malutkie klitki, doskonale odpowiadające potrzebom prostytutek, narkomanów i alkoholików, którzy najprawdopodobniej wynajmowali tu pokoje na godziny. Większość drzwi była otwarta albo wisiała smętnie, wyrwana z zawiasów. Tynk dookoła listwy przypodłogowej został nagryziony przez szczury; wewnątrz pokojów pewnie roiło się od ich potomstwa. Albo od karaluchów. Albo od jednych i drugich.

Will zatrzymał się przed przedostatnimi drzwiami i popchnął je nogą, aż otworzyły się na całą szerokość. Wewnątrz znajdowało się

tylko metalowe, dziecięce łóżeczko oraz połamany, drewniany stolik. Dywan był brązowy od odchodów, zaś jedyne okno zostało podzielone na pół przez ścianę, oświetlając przy okazji sąsiednie pomieszczenie.

- Moje łóżko stało pod tamtą ścianą. Piętrowe. Dostałem przydział na górze.

Sara nie odpowiedziała, więc odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Zagryzała dolną wargę tak gwałtownie, że od razu pomyślał, iż ból jest jedyną rzeczą, która powstrzymuje ją od płaczu.

- Wiem, że teraz to wygląda okropnie - przyznał. - Ale wcześniej było inaczej, kiedy byłem dzieckiem. Daję słowo. Tu było całkiem miło. I czysto.

- Ale jednak był to sierociniec.

To słowo odbiło się echem w jego głowie, zupełnie jakby Sara wykrzyczała je w głąb studni. W żaden sposób nie można było pominąć tej różnicy pomiędzy nimi. Sara wzrastała w domu, w którym było dwoje kochających rodziców, oddana siostra i stabilne, dostatnie życie klasy średniej.

On dorastał tutaj.

- Will? - odezwała się. - Co się stało?

Potał dłoń podbródek. Dlaczego okazał się takim idiotą? Czemu w przypadku Sary wciąż popełniał błędy, które nie zdarzały mu się do tej pory w relacjach z innymi?

Był pewien powód, dla którego z nikim nie rozmawiał o swoim dzieciństwie. Ludzie czuli żal, kiedy powinni byli czuć ulgę.

- Will?

- Zaraz zabieram cię do domu. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Tu przecież jest twój dom. To znaczy, tu b y ł twój dom. Właśnie tu się wychowałeś.

- Noclegownia w środku dzielnicy slumsów. Pewnie jak tylko wyjdziemy, zostaniemy dziabnięci nożem przez jakiegoś ćpuna.

Roześmiała się.

- Sara, to wcale nie jest śmieszne. Tu naprawdę jest niebezpiecznie. Połowa przestępstw popełnianych w tym mieście ma miejsce...

- Wiem, gdzie jesteśmy. - Przerwała, obejmując dłońmi jego twarz.

- Dziękuję.

- Za co? Za to, że być może będziesz musiała dostać zastrzyk przeciwktępcowy?

- Za to, że podzieliłeś się ze mną częścią twojego życia. -

Delikatnie musnęła ustami jego usta. - Dziękuję.

Wpatrywał się w oczy Sary, jakby pragnął odczytać jej myśli. Nie potrafił zrozumieć Sary Linton. Była uprzejma. Była uczciwa. Z pewnością nie zbierała informacji, żeby potem wykorzystać je przeciwko niemu. Nie rozdrapywała otwartej rany. Nie przypominała żadnej kobiety, z tych które dotychczas spotykał.

Znów obdarzyła go pocałunkiem, jednocześnie odsuwając za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Kochanie, wiem, co oznacza ta mina, ale zapewniam, że to się tutaj nie wydarzy.

Will już otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, gdy usłyszał trzask samochodowych drzwiczek.

Sara podskoczyła, boleśnie wbijając palce w jego ramię.

- To ruchliwa ulica. - Uspokoił ją, ale mimo to podszedł w kierunku frontowej ściany, żeby sprawdzić, co się dzieje. Przez rozbite szkło w oknie na końcu korytarza ujrzał czarne kombi, które zatrzymało się przy krawężniku. Szyby auta były przyciemnione od środka, a świeżo umyta karoseria lśniła w blasku słońca. Tył samochodu znajdował się

znacznie niżej niż jego przód - zapewne dlatego, że w bagażniku terenówki umieszczona była wielka, metalowa skrzynka na broń.

- To G-Ride - wyjaśnił, odwracając się do Sary.

Samochód przystosowany do potrzeb policji. Dokładnie takim samym autem jeździła Amanda, więc Will wcale nie był zaskoczony, gdy zobaczył ją wysiadającą z wozu.

Rozmawiała przez telefon, w drugiej ręce trzymając młotek z pazurem do wyciągania gwoździ. Młotek był wielki i paskudny, i swobodnie kołysał się w jej dłoni, gdy zmierzała w stronę frontowych drzwi.

- Co ona tutaj robi? - spytała Sara. Próbowwała wyjrzeć przez okno, ale Will odciągnął ją do tyłu. - Po co jej ten młotek?

Will nie odpowiedział. Nie mógł odpowiedzieć. Amanda nie miała powodu, żeby tu się zjawiać. Nie miała powodu, żeby dzwonić i pytać Willa, gdzie akurat przebywa. Nie miała powodu kazać mu się zgłosić na lotnisku, zupełnie jakby poleciła dziecku stać w kącie.

Amanda wciąż gadała przez telefon, a jej głos przenikał przez zamknięte okna.

- To nie do przyjęcia. Chcę, żeby zgłosił się do mnie cały zespół. Bez wyjątków.

Frontowe drzwi się otworzyły, tym razem skrzypiąc niemiłosiernie. Usłyszeli kroki, które przemierzały hol na parterze.

Amanda prychnęła z obrzydzeniem.

- To moje śledztwo, Mike. I poprowadzę je tak, jak uznam za stosowne.

- Czy ona... - wyszeptała Sara.

Wyraz twarzy Willa sprawił, że natychmiast umilkła. Czuł, że zaciska szczęki, bo nagle opanował go niemożliwy do wytłumaczenia gniew. Poderwał rękę, gestem nakazującym, by Sara została tu, gdzie

jest, i zanim zdążyła zaprotestować, ruszył w dół po schodach. Starannie ważył każdy krok, żeby żaden stopień nie zatrzeszczał. Znowu pocił się jak mysz, a szerszenie torowały sobie drogę w głąb klatki piersiowej, pozbawiając go tchu.

Amanda wepchnęła telefon do tylnej kieszeni, a potem chwyciła młotek i skierowała się w dół schodów prowadzących do piwnicy.

- Amanda - odezwał się głośno.

Odwróciła się gwałtownie, dla zachowania równowagi łapiąc ręką poręcz. Na jej twarzy malował się wyraz absolutnego zaskoczenia, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

- Co ty tutaj robisz?!

- Czy ta dziewczyna wciąż nie została odnaleziona?

Amanda nie ruszyła się z najwyższego stopnia schodów.

Najwyraźniej wciąż była w szoku.

Powtórzył pytanie.

- Czy ta dziewczyna...?

- Nie.

- Więc czemu tu przyjechałaś?

- Wracaj do domu, Will.

Nigdy przedtem nie słyszał w jej głosie strachu, ale teraz mógłby przysiąc, że Amanda była śmiertelnie przerażona. I to nie z powodu Willa, lecz czegoś zupełnie innego.

- Pozwól, że sama się tym zajmę.

- Zajmiesz się czym?

Oparła dłoń na gałce u drzwi, jakby niczego nie pragnęła bardziej niż się go stąd pozbyć.

- Wracaj do domu.

- Nie, dopóki nie powiesz mi, dlaczego jesteś sama w tym opuszczonym budynku, podczas gdy trwa śledztwo.

Uniosła jedną brew.

- Właściwie to nie jestem tutaj sama, prawda?

- Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie mam zamiaru...

Dalsze słowa zagłuszył donośny huk. W oczach Amandy pojawiła się panika. Kolejny huk zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu i Amanda zaczęła się osuwać. Kurczowo złapała palcami gałkę u drzwi. Will rzucił się, żeby jej pomóc, ale było już za późno. Drzwi zamknęły się z hukiem, a schody zapadły w głąb piwnicy. W całym budynku zadudniło, jakby uderzył weń pociąg towarowy.

Potem zapadła cisza.

Will szarpnięciem otworzył drzwi. Gałka zagrzechotała. Jego oczom ukazała się absolutna ciemność. Raz i drugi pstryknął włącznikiem światła, ale daremnie.

- Amanda? - krzyknął w mrok. Jego głos odbił się echem. -
Amanda?

- Will? - Sara znalazła się na podeście tuż obok niego. W mgnieniu oka pojęła, co się stało. - Daj mi swój telefon.

Cisnął aparat w jej stronę. Zdjął marynarkę, odczepił kaburę i przywarł do podłogi.

- Nigdzie nie pójdziesz - usłyszał głos Sary.

Will zamarł, zaskoczony tym rozkazującym tonem, tą nieznaną ostrością w jej głosie.

- Jesteśmy w melinie narkomanów, Will. Na dole może być mnóstwo strzykawek. Może być stłuczone szkło. To zbyt niebezpieczne...

Podniosła palec, bo z drugiej strony najwyraźniej ktoś odebrał telefon.

- Tu doktor Linton z oddziału ratunkowego. Przyślijcie na Carver Street karetkę i zespół ratowników. Oficer policji uległ wypadkowi, spadając do piwnicy.

- Dom pod numerem trzysta szesnastym - odpowiedział.

Ukląkł i wsunął głowę w ciemny otwór, podczas gdy Sara przekazywała dyspozytorowi dalsze szczegóły.

- Amanda? - Odczekał chwilę. Żadnej odpowiedzi. - Amanda, słyszysz mnie?

Sara zakończyła rozmowę.

- Już tutaj jadą. Zaczekaj, dopóki...

- Amanda? - Will rozejrzał się po holu, rozpaczliwie starając się wymyślić jakiś plan. W końcu odwrócił się i położył na brzuchu.

- Will, nie rób tego - błagała Sara.

Łokciami torował sobie drogę, dopóki nie opuścił nóg w głąb piwnicy.

- Uważaj, zaraz spadniesz.

Przesunął się jeszcze kawałek dalej, spodziewając się, że lada moment trafi stopami na twarde podłoże.

- Tam mogą leżeć jakieś połamane deski. Możesz skręcić sobie kostkę. Możesz spaść prosto na Amandę.

Z całej siły zacisnęła palce na krawędzi ościeżnicy, modląc się, żeby ręce nie odmówiły mu posłuszeństwa. Areszcie odmówiły i Will poleciał w dół jak ostrze gilotyny.

- Will? - Sara zatrzymała się na progu, osuwając się na kolana. - Wszystko w porządku?

Kawałki drewna wbijały mu się w plecy jak ostre pazury. Trociny wirowały w powietrzu. Upadając, Will tak mocno rąbnął nosem o własne kolano, że zobaczył przed oczyma wirujące gwiazdy.

Ostrożnie pomacał kostkę.

Tępy gwoździem poharatał sobie skórę, rozdzierając ją niemal do kości. Na samą myśl o tym rozboleły go zęby.

- Will? - Głos Sary brzmiał coraz bardziej piskliwie co świadczyło o narastającej panice. - Will?!

- Nic mi nie jest. - Przy każdym ruchu kostka boleśnie dawała o sobie znać, a krew lała się do buta. Mimo to postarał się potraktować lekko całą sprawę. - Wygląda na to, że chyba miałem rację, mówiąc, że będzie mi potrzebny zastrzyk przeciwężcowy.

Wydała łagodny okrzyk przerażenia.

Will próbował stanąć, ale nie mógł znaleźć oparcia dla stóp. Na oślep sięgnął przed siebie, myśląc, że Amanda musi być gdzieś blisko. Dźwignął się na kolana, wychylił odrobinę mocniej i w końcu jego wysiłki zostały nagrodzone, bo trafił na jej nogę. Amanda zgubiła pantofel i rozdarła legginsy.

- Amanda?

Ostrożnie torował sobie drogę między kawałkami drewna i połamanymi gwoździami. W końcu położył dłoń na jej goleni, a następnie na udzie. Delikatnie przesuwając się dalej, aż trafił na jej dłoń, przyciśniętą do brzucha.

Amanda jęknęła.

Żołądek Willa skurczył się ze zdenerwowania, gdy palcami trafił na nienaturalnie wygięty nadgarstek.

- Amanda? - powtórzył.

Znowu jęknęła. Will pomyślał, że Amanda z pewnością wozi w kombi latarkę. Pogrzebał palcami w przedniej kieszeni jej spodni, szukając kluczyków do auta. Ostatecznie mógł poprosić Sarę, żeby poszła do samochodu i ją przyniosła. Powie jej, żeby zajrzała do schowka na rękawiczki albo do którejś z zamkniętych szuflad. Z

pewnością szukanie latarki zajmie jej przynajmniej kilka minut, czyli dokładnie tyle czasu, ile potrzebował.

- Amanda?

Sprawdził tylne kieszenie, a potem czubkami palców musnął połamane, plastikowe etui, w którym nosiła blackberry.

Nagle palce Amandy zacisnęły się dookoła jego nadgarstka.

- Gdzie jest Mykel?

Natychmiast przerwał poszukiwania kluczyków.

- Amanda? To ja, Will. Will Trent.

Jej odpowiedź była zwięzła i lapidarna.

- Dobrze wiem, kim jesteś, Wilbur.

Czuł, że sztywnieje. Tylko Angie zwracała się do niego w taki sposób. Tylko ona wiedziała, że właśnie to imię znajduje się na jego akcie urodzenia.

- Czy nic jej nie jest? - pytała Sara.

Will musiał przełknąć ślinę, żeby odpowiedzieć.

- Wydaje mi się, że złamała nadgarstek.

- A jak z oddychaniem?

Odczekał kilka sekund, ale słyszał jedynie własną krew, która huczała mu w uszach. Dlaczego Amanda w ogóle się tu znalazła? Powinna przecież zajmować się poszukiwaniami zaginionej dziewczyny. Powinna prowadzić zespół śledczy. Nie powinna leżeć tutaj, w piwnicy zrujnowanego domu. W dodatku z młotkiem w dłoni.

- Will? - Głos Sary brzmiał znacznie łagodniej. Wyraźnie niepokoiła się o niego.

- Ile czasu może potrwać, zanim ambulans tu przyjedzie? - zapytał.

- Już niedługo - odparła. - Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

Czuję się świetnie.

Znowu oparł dłoń na stopie Amandy i tuż przy kostce wyczuł równomierny puls. Przez większość zawodowej kariery pracował dla tej kobiety, a jednak wciąż niewiele jej wiedział. Mieszkała w apartamencie w samym sercu Buckhead, pracowała w policji dłużej, niż on żył na tym świecie, co oznaczało, że obecnie musiała mieć sześćdziesiąt kilka lat. Włosy w kolorze soli z pieprzem czesała zawsze w ten sam sposób, to znaczy robiąc z nich coś, co kształtem przypominało futbolowy kask. Miała cięty język, więcej tytułów niż niejeden profesor z college'u, i wiedziała, że on kiedyś miał na imię Wilbur, choć to imię oficjalnie zostało zmienione, kiedy Will wstępował do college'u, i teraz w każdym dokumencie, który znajdował się w aktach GFI, było napisane, że nazywa się William Trent.

Odchrząknął, żeby zadać pytanie Sarze.

- Czy jest coś, co powinienem teraz zrobić?
- Nie, po prostu zostań tam, gdzie jesteś - odpowiedziała wysokim, czystym głosem, o którym Will myślał, że używa go w pracy lekarza.
- Amando! Tu doktor Linton. Czy możesz mi powiedzieć, jaki dzień dziś mamy?

Amanda zajęczała boleśnie, wypuszczając z płuc oddech.

- Mówiłam Ednie milion razy, żeby podparła jakoś te przekłete schody.

Will usiadł na piętach. Coś ostrego wbiło mu się w kolano. Czuł, jak krew spływa mu po łydce, kapiąc na skarpetki. Serce waliło mu jak młotem - tak głośno, że był pewien, że Sara to słyszy.

- Will - wymruczała Amanda. - Która godzina?

Will nie mógł się odezwać. Język odmówił mu posłuszeństwa.

Sara przejęła inicjatywę.

- Wpół do szóstej.

- Wieczorem - odparła Amanda, i było to stwierdzenie, nie pytanie.
- Jesteśmy w domu dziecka, a ja spadłam ze schodów do piwnicy.
Leżała spokojnie, głęboko wciągając w płuca cierpkie, gryzące powietrze.
- Doktor Linton, czy ja będę żyć?
- Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby stało się inaczej.
- Cóż, jak przypuszczam, to chyba wszystko, o co na razie mogę zapytać. Czy straciłam przytomność?
- Tak - odpowiedziała Sara. - Na mniej więcej dwie minuty.
Amanda przemówiła, choć tym razem raczej do siebie niż do Sary.
- Nie bardzo wiem, co to oznacza... Czy ty dotykasz mojej stopy?
Will natychmiast cofnął rękę.
- Mogę ruszać dużymi palcami - oznajmiła z ulgą. - Tylko głowa mi pęka, jakby ktoś rozłupał ją na dwoje.
Usłyszał jak się poruszyła, a potem szelest ubrania.
- Nie, na szczęście nic nie sterczy. Nie ma krwi ani żadnych bolesnych ran. Chryste, ależ drętwieję mi ramiona!
Will poczuł w ustach smak krwi. Ciekła mu z nosa. Wierzchem dłoni otarł ją z ust.
Amanda znów westchnęła ciężko.
- Wiesz co, Will? Jak człowiek przekroczy pewien wiek, to złamana kość albo rozbita głowa przestają być powodem do śmiechu. To uczucie towarzyszy ci do końca życia... Tego, które ci jeszcze pozostało.
Zamilkła na kilka sekund. Sądząc z odgłosów, starała się ustabilizować oddech. Mimo tego, że zdecydowanie nie miała zamiaru mówić dalej, jednak odezwała się do Willa.
- Kiedy wstępowałam do służby w Departamencie Policji Atlanty, był tam cały oddział wyznaczony do kontrolowania naszej prezencji.

Oddział Inspektorów. Sześciu funkcjonariuszy, zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin. Wcale nie zmyślam.

Will zerknął na Sarę. Wzruszyła ramionami.

- Zjawiali się w czasie odprawy i jeśli okazało się, że nie poprawiliśmy czegoś, co kazali nam doprowadzić do porządku, mogli nam za karę zawiesić wypłatę pensji.

Położył rękę na zegarku, marząc o tym, by poczuć ruch wskazówki odmierzającej sekundy. Grady Hospital mieścił się zaledwie kilka przecznic dalej. Nie było powodu, żeby załoga ambulansu tak długo zwlekała z przyjazdem. Ostatecznie wiedzieli, że Amanda jest policjantką. I wiedzieli, że potrzebuje pomocy.

- Pamiętam swój pierwszy raz, kiedy pojechałam na sygnał czterdzieści pięć. Jakiemuś dupkowi ukradli z samochodu CB radio. Zawsze odbieraliśmy czterdziestki piątki przez CB radio. Ich anteny sterczały z tylnych zderzaków jak wielkie strzały.

Will znowu popatrzył na Sarę. Zatoczyła palcem kółko, dając mu do zrozumienia, że powinien zachęcać Amandę do mówienia.

Ale on czuł, że ma zaciśnięte gardło. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa; nie potrafił udawać, że zwyczajnie są gronem przyjaciół, którzy po prostu mają za sobą kiepski dzień.

Na szczęście Amanda nie potrzebowała zachęty. Chichotała pod nosem.

- Śmiali się ze mnie. Śmiali się, kiedy przyjechałam. Śmiali, kiedy brałam raport i wtedy, gdy wychodziłam. Wówczas wszyscy uważali, że kobieta nie powinna nosić munduru. Na posterunku co tydzień odbierano meldunki - ktoś donosił, że widział, jak jakaś baba kradnie wóz patrolowy. Ludzie nie mogli uwierzyć, że jesteśmy na służbie.

- Chyba już są - zawołała Sara w tej samej chwili, w której Will usłyszał dalekie zawodzenie syreny. - Pomacham, żeby wiedzieli, gdzie mają się zatrzymać.

Will poczekał, aż usłyszy kroki Sary na frontowym ganku. Siłą woli powstrzymał się, żeby nie chwycić Amandy za ramiona i nie potrząsnąć nią z całej siły.

- Dlaczego tu jesteś?

- Czy Sara już poszła?

- Dlaczego tu jesteś?

W głosie Amandy pojawił się niespotykane łagodny ton.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Guzik mnie to obchodzi - wypalił. - Skąd wiedziałaś...

- Zamknij się i słuchaj - syknęła. - Słyszysz?

Will poczuł, jak z powrotem ogarnia go strach. Dźwięk syreny wyraźnie przybrał na sile. Ambulans ostro zahamował przed wejściem do budynku.

- Słuchasz mnie czy nie?

Miał wrażenie, że odjęło mu mowę.

- Chodzi o twojego ojca.

Mówiła dalej, ale uszy Willa zatkały się, zupełnie, jakby jej głos docierał do niego pod wodą. Jako dziecko w ten sposób zniszczył słuchawki tranzystorowego radia - włożył je do uszu, a następnie zamoczył głowę w wannie, uważając, że wynalazł nowy, wspaniały sposób słuchania muzyki. Zrobił to właśnie tutaj, w tym budynku. Dwa piętra wyżej, w łazience chłopców. Miał szczęście, że nie poraził go prąd.

Nad ich głowami rozległ się huk, kiedy sanitariusze wyważyli drzwi wejściowe, a na parterze załomotały ich kroki. Chwilę później piwnicę wypełniło jaskrawe światło latarek Mag-Lite. Will zamrugnął,

oślepiony ich blaskiem. Kręciło mu się w głowie, a płuca boleśnie domagały się powietrza.

Słowa Amandy wdarły się przemocą do jego uszu - tak samo jak wówczas, gdy chwycił za krawędzie wanny i wysadził głowę ponad powierzchnię wody.

- Słuchaj mnie - rozkazała Amanda.

Ale on nie chciał słuchać. Nie chciał wiedzieć tego, co musiała mu oznajmić.

Zebrała się komisja zajmująca się zwolnieniami warunkowymi. Jej członkowie zgodzili się wypuścić ojca Willa z więzienia.

15 października, 1974 roku

ROZDZIAŁ 3

LUCY BENNETT

Lucy straciła poczucie czasu, kiedy symptomy zaczęły ustępować. Wiedziała, że muszą upłynąć pełne trzy dni, żeby heroina całkowicie zniknęła z krwioobiegu. Wiedziała, że poty i mdłości potrważą tydzień albo dłużej, w zależności od tego, jak daleko się zabrnęło. Tak samo jak skurcze żołądka, pulsujący ból w nogach i zatwardzenie, które pojawiało się na przemian z rozwolnieniem. I plucie jasnoczerwoną krwią, ustępujące w kontakcie z Drano, mleczną mieszanką dla niemowląt, albo czymkolwiek, czego używano, żeby zniwelować działanie heroiny.

Ludzie umierali, próbując samodzielnie uwolnić się od hery. Ten narkotyk był mściwym bydlakiem. Uwielbiał mieć cię na własność. Pazurami wbijał się w skórę i nie pozwalał odejść. Lucy widziała tych porzuconych przez herę, którzy spoczywali gdzieś tam na zapleczach albo na pustych parkingach. Ich ciała były wyschnięte na wiór, a palce i paluchy u stóp podkurczone. Jednak ich paznokcie i włosy wciąż rosły. Z wyglądu przypominali zmumifikowane czarownice.

Tygodnie? Miesiące? Lata?

Duszny sierpień przemienił się w coś, co mogło być jedynie zwiastunem jesieni. Nastaly chłodne poranki i zimne noce. Czyżby nadchodziła zima? Czy wciąż był rok 1974, czy też Lucy przegapiła Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i swoje własne urodziny?

Piasek przesypywał się w klepsydrze.

Tylko czy to jeszcze miało jakiegokolwiek znaczenie?

Codziennie Lucy marzyła o śmierci. Heroina należała do przeszłości, ale nie upłynęła nawet jedna sekunda, w której Lucy nie myślałaby o uniesieniu, którego doświadczała. O transcendencji. O wymazywaniu. O odrętwieniu umysłu. O ekstazie, kiedy igła przekłuwała żyłę. O fali ognia, która ogarniała wszystkie zmysły. Przez kilka pierwszych dni Lucy wyczuwała heroinę we własnych wymiocinach. Próbowła ją jeść, ale ten mężczyzna zmusił ją, żeby przestała.

Ten mężczyzna.

Ten potwór.

Kto mógłby robić coś podobnego? To zaprzeczało wszelkiej logice. W życiu Lucy trudno było znaleźć jakiś wzór, który by tłumaczył to, co się wydarzyło. Chociaż niektórzy klienci naprawdę bywali paskudni, zawsze wypuszczali ją z rąk. Kiedy już dostali od niej to, na czym im zależało, po prostu wyrzucali ją z powrotem na ulicę i nigdy nie chcieli ujrzeć ponownie. Nienawidzili jej widoku. Potrafili ją kopać, jeśli nie ruszała się dostatecznie szybko. Wywalali ją z samochodu i natychmiast dodawali gazu.

Ale nie on. Nie ten mężczyzna. Ten diabeł wcielony.

Lucy chciała, żeby ją pieprzył. Chciała, żeby ją stłukł. Chciała, żeby zrobił cokolwiek, byle porzucił tę obmierzłą rutynę, którą kazał jej znosić każdego dnia. Żeby przestał szczotkować jej zęby i czesać włosy. I ją kąpać. Nienawidziła cnotliwego spojrzenia, które wbijał w ścianę, podczas gdy przesuwiał mokry gałgan między jej nogami. I nienawidziła delikatnych muśnięć ręcznika, którym ją wycierał. I litości, którą dostrzegała ilekroć otwierała i zamykała oczy. I modlitwy. Nieustannej, nieprzerwanej modlitwy.

Zmyj swoje grzechy... Zmyj swoje grzechy...

Powtarzał te słowa jak mantrę. W dodatku nie zwracał się bezpośrednio do niej, tylko do Boga - zupełnie jakby Bóg miał czas, żeby słuchać takiego bydlaka jak on. Lucy wiele razy zadawała sobie pytanie, dlaczego? Dlaczego ona? Dlaczego w ten sposób? Wrzeszczała na niego. Błagała o litość. Składała rozmaite propozycje, ale w odpowiedzi słyszała tylko jedno: „Zmyj swoje grzechy”.

Lucy dorastała w atmosferze modlitwy. Przez te wszystkie lata wiele razy zdarzało się, że w religii znajdowała pocieszenie. Zapach palącej się świecy albo smak wina przywoływały jej na myśl kościelną ławkę, gdzie jako szczęśliwa dziewczynka siadywała między mamą i tatą. Jej brat, Henry, kreślił w tym czasie na jakimś biuletynie prymitywne rysunki, bo nudził się jak mops, lecz Lucy uwielbiała wsłuchiwać się w słowa pastora, który wychwalał pobożne życie, obiecując za to wspaniałą nagrodę. Wspomnienie tamtych kazań sprzed wielu lat przynosiło Lucy ulgę, kiedy stała na ulicy. Nawet jako grzesznica nie była całkiem pozbawiona nadziei na zbawienie. Ukrzyżowanie byłoby niczym, gdyby nie wystarczyło do zbawienia duszy Lucy Bennett.

Ale nie tak. Nie w ten sposób. Nie mydło i woda. Nie krew i wino. Nie igła i nitka.

To była pokuta, która stała się torturą.

7 lipca 1975 roku

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 4

Amanda Wagner odetchnęła z ulgą, odjeżdżając spod mieszkania swojego ojca w sąsiedztwie parku Ansley. Tego ranka Duke był w wyjątkowej formie. Rozpoczął litanię skarg w momencie, gdy Amanda przeszła przez próg kuchni, i nie skończył, dopóki nie machnęła mu ręką na pożegnanie, sadowiąc się za kierownicą swojego auta. Zniedołężniali weterani zmuszeni są czekać na jałmużnę. Ceny gazu biją wszelkie rekordy. Nowy Jork oczekuje, że reszta kraju złoży za nich poręczenie. W porannej gazecie nie znalazł się ani jeden artykuł, który Duke pominąłby milczeniem. Kiedy w końcu zaczął wygłaszać niekończącą się listę zarzutów wobec nowo utworzonego Departamentu Policji Atlanty, Amanda słuchała tylko jednym uchem, na wszelki wypadek kiwając od czasu do czasu głową, żeby zły humor ojca nie zwrócił się w niewłaściwym kierunku.

Przygotowała mu śniadanie. Pilnowała, żeby kubek z kawą był stale pełny. Opróżniła popielniczki. Ułożyła na jego łóżku koszulę i krawat. Zapisała wskazówki, kiedy powinien rozmrozić pieczeń, żeby po powrocie z pracy zdążyła przygotować mu kolację. Przez cały ten czas podtrzymywała ją na duchu myśl o powrocie do jej malutkiego, jednopokojowego apartamentu przy Peachtree Street.

Mieszkanie znajdowało się mniej niż pięć minut drogi stąd, ale równie dobrze mogłoby być na Księżycu. Wciśnięte pomiędzy bibliotekę i zajęty przez hipisów budynek przy Czternastej Ulicy, było jednym z sześciu lokali, które mieściły się w starej wiktoriańskiej kamienicy. Duke tylko raz rzucił na nie okiem i prychnął, że lepsze warunki zakwaterowania miał na

Midway podczas wojny. Żadne z okien się nie domykało, a zamrażarka okazała się na tyle kiepska, że nie było mowy o kostkach lodu. By otworzyć drzwiczki piekarnika, należało najpierw przesunąć kuchenny stół, zaś pokrywa deski klozetowej drapała brzeg wanny.

Ale to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Amanda skończyła wówczas dwadzieścia pięć lat i wybierała się właśnie do college'u. Miała niezłą pracę. Po latach błagań w końcu udało jej się cudem przekonać ojca, żeby pozwolił jej się wyprowadzić. Może nie przypominała Mary Richards, ale też nie mogła dłużej uchodzić za Edith Bunker*.

** Mary Richards. Edith Bunker - bohaterki popularnych amerykańskich seriali telewizyjnych.*

Zwolniła, skręcając w prawo w Highland Avenue, a następnie jeszcze raz w prawo, na otwartą promenadę za apteką. Letni skwar niemal nie pozwalał oddychać, choć była dopiero za kwadrans ósma. Gdy zatrzymywała auto w odległym kącie parkingu, nad rozgrzany asfalterm unosiła się para. Spoconymi dłońmi Amanda ledwie zdołała utrzymać kierownicę. Legginsy boleśnie wrzynały się w talię, a tył koszulki przykleił się do fotela. Pulsujący w karku ból sięgał coraz wyżej, rozlewając się aż na skronie.

Mimo to Amanda opuściła rękawy koszuli i zapięła ciasno spinki przy mankietach. Z siedzenia pasażera dźwignęła torebkę, zastanawiając się, jak to jest, że za każdym razem torebka wydaje się cięższa. Na wszelki wypadek przypominała sobie, że ten strój i tak jest o niebo lepszy niż ten, który musiała zakładać do pracy w zeszłym roku. Bielizna. Obcisłe legginsy. Czarne skarpetki. Granatowe, zrobione z poliestru spodnie. Męska, bawełniana koszula - tak obszerna, że kieszenie na piersi wylądowały pod biustem. Wewnętrzny pas. Metalowe sprzączki. Zewnętrzny pas. Kabura. Pistolet. Radio. Naramiennik z mikrofonem. Latarka Kel-Lite. Kajdanki. Gumowa pałka. Futerał na klucze.

Nic dziwnego, że funkcjonariuszki patroli policyjnych w Atlancie miały pęcherze wielkości arbuźów. Dziesięć minut trwało zdejmowanie całego ekwipunku z pasa, zanim policjantka mogła pójść do łazienki - a i to zakładając, że potrafiła usiąść na desce, nie dostając skurczu pleców. Sama latarka, z czterema bateriami o mocy półtora volta oraz rączką długości niemal pół metra, ważyła prawie trzy i pół kilo.

Amanda czuła każdy kilogram, kiedy zarzuciła na ramię swoją torebkę i wysiadła z auta. Takie samo wyposażenie, pomyślała, tyle tylko, że noszone w skórzanej torbie, a nie na biodrze. To stanowczo zasługiwało na miano postępu.

Kiedy wstępowała do służby w policji, jej ojciec był odpowiedzialny za Strefę Pierwszą. Przez niemal dwadzieścia lat kapitan Duke Wagner żelazną dłońią kierował podległą mu jednostką - aż do chwili, gdy Reginald Eaves, pierwszy czarnoskóry Komisarz do spraw Bezpieczeństwa, zwolnił z pracy większość starszych rangą białych oficerów, żeby zastąpić ich czarnymi. Zbiorowe poczucie zniewagi o mało nie wywróciło całej policyjnej struktury. Fakt, że poprzedni dowódca, John Inman, zrobił w zasadzie tę samą rzecz, tylko w drugą stronę, jakoś umknął z ludzkiej pamięci. Siatka starych, sprawdzonych koleśków pasowała wszystkim dopóty, dopóki byłeś jednym ze szczęśliwców, którzy zdołali się do niej załapać.

Duke i jemu podobni konsekwentnie wnieśli skargi przeciwko miastu, żądając przywrócenia ich na dawne stanowiska. Jednak Maynard Jackson, pierwszy czarnoskóry burmistrz Atlanty, popierał swojego człowieka. Nikt nie wiedział, jak to się skończy, chociaż słuchając Duke'a można było odnieść wrażenie, że kapitulacja władz miasta jest tylko kwestią czasu. Wszyscy politycy - niezależnie od koloru skóry - potrzebowali poparcia wyborców, zaś wyborcy chcieli czuć się bezpiecznie. To zresztą

tłumaczyło, dlaczego siły policyjne oplatały miasto jak żarłoczna ośmiornica, która sięga mackami w każdym kierunku.

Sześć stref patrolowych rozciągało się od zubożałych południowych dzielnic aż po zasobniejsze, północne sąsiedztwo. W środku owych stref wykropkowano tak zwane „model cities” - obszary, które służyły wyraźniejszemu zaznaczeniu pewnych sekcji w śródmiejskim korytarzu. W obrębie Ansley Park, Piedmont Heights czy Buckhead istniały niewielkie oazy bogactwa, jednak zdecydowana większość mieszkańców miasta żyła w slumsach, rozciągających się od Grady Homes i Techwood do najbardziej znanego w Atlancie osiedla mieszkaniowego, Perry Homes. To położone w zachodniej części miasta ghetto było wyjątkowo niebezpieczną dzielnicą, co uzasadniało powołanie tam osobnej jednostki policji. Przydziału do tej pracy głośno domagali się powracający z wojska weterani, ponieważ panująca tam atmosfera bardziej przypominała strefę działań wojennych niż zwykłą dzielnicę miasta.

W poszczególnych strefach rozmieszczono policjantów w cywilu i jednostki detektywów. Cała policja dzieliła się na dwanaście dywizji, od tych zajmujących się kontrolą siedlisk rozpusty aż po jednostki do zadań specjalnych. Rozpracowywanie przestępstw na tle seksualnym należało do tych nielicznych oddziałów, w których pracować mogła dowolna liczba kobiet. Amanda szczerze wątpiła, czy ojciec pozwoliłby jej starać się o pracę w tej jednostce, gdyby wciąż był na służbie, gdy składała podanie. Kulila się ze strachu na myśl, co się stanie, jeśli Duke- wygra proces i wróci na dawne stanowisko. Przypuszczalnie każe jej z powrotem założyć mundur i przeprowadzać na drugą stronę jezdni dzieciaki idące do Morningside Elementary.

Jednakże ten problem mógł zaistnieć dopiero w odległej przyszłości, zaś dzień Amandy - o ile okaże się podobny do innych dni - wypełniały

problemy z rodzaju tych krótkoterminowych. Podstawową sprawą każdego ranka stało się to, kto zostanie wyznaczony na jej partnera.

Federalne Stowarzyszenie Pomocy Stróżom Prawa, które powołało do życia jednostkę zajmującą się przestępstwami na tle seksualnym, wymagało, aby wszystkie zespoły składały się z trzyosobowych załóg, zintegrowanych pod względem rasy i płci. Te zasady były rzadko przestrzegane, ponieważ białe kobiety nie mogły same jeździć w towarzystwie czarnych mężczyzn, a czarne kobiety - przynajmniej te, które dbały o reputację - nie chciały jeździć z czarnymi, zaś żaden z czarnych chłopaków nie życzył sobie jeździć z kimś, kto jest biały. Codziennie rano odbywała się prawdziwa bitwa, kto z kim będzie pracował, co wydawało się absurdalne, zważywszy, że większość funkcjonariuszy i tak wymieniała partnerów, kiedy tylko znalazła się na ulicy.

Mimo wszystko na tle przydziału często dochodziło do gorących sporów. Więcej tam było pozerstwa i wyzwisk, ale czasami dochodziło do rękoczynów. Prawdę powiedziawszy, jedyną rzeczą, na której naprawdę zależało wszystkim mężczyznom z jednostki zajmującej się przestępstwami na tle seksualnym, to nie wylądować w parze z którąś z bab.

Przynajmniej nie z taką, która by nie grzeszyła urodą.

Powoli ten problem przesącał się do innych jednostek. Codziennie rano na początku odprawy odczytywano dzienny biuletyn komisarza Reginalda Eavesa. Reggie był zmuszony przenosić ludzi z miejsca na miejsce, żeby jakoś sprostać temu, co federalne normy wpychały im do gardła akurat tego dnia. Stawiający się do pracy oficer nie wiedział, gdzie on lub ona wylądują. Równie dobrze mógł to być sam środek Perry Homes jak i piekło na ziemi, czyli port lotniczy w Atlancie. Nie dalej jak w zeszłym roku pewna kobieta została przydzielona na cały tydzień do oddziału antyterrorystów, co okazałoby się prawdziwą klęską, gdyby rzeczywiście musiała wziąć udział w jakiegokolwiek akcji.

Amanda zawsze pełniła służbę na dziennych zmianach - zapewne dlatego, że tak życzył sobie jej ojciec. Nikt zdawał się nie zauważać ani nie przejmować faktem, że nadal trzymała się harmonogramu - nawet wówczas gdy Duke podał władze miasta do sądu. Dzienna zmiana, najprostsza i najłatwiejsza, trwała od ósmej do czwartej po południu. Wieczorna zajmowała czas pomiędzy czwartą a północą, zaś poranna, która uchodziła za najbardziej niebezpieczną, zaczynała się o północy i kończyła o ósmej rano.

Funkcjonariusze z patroli pracowali z grubsza według tego samego rozkładu co policjanci w cywilu i detektywi, tyle że zaczynali o godzinę później i godzinę wcześniej kończyli, co odpowiadało dawnemu systemowi pracy na kolei. Uważano, że kolejne zmiany będą sobie przekazywać obowiązki, co w praktyce zdarzało się rzadko. Przyjeżdżając do pracy, Amanda dość często zastawała tam paru podejrzanych, którzy popisywali się podbitymi oczyma albo zakrwawionymi bandażami na głowach. Zwykle siedzieli przykuci kajdankami do ław przy drzwiach frontowych i właściwie nikt nie potrafił udzielić wyczerpującej odpowiedzi, jak się tu znaleźli ani o co właściwie zostali oskarżeni. W zależności od tego, jak w danym miesiącu wyglądała sytuacja w areszcie, niektórzy z zatrzymanych bywali zwalniani, a potem natychmiast znowu aresztowani za włóczęgostwo.

Podobnie jak większość potowych kwater głównych, Strefa Pierwsza mieściła się w zrujnowanym sklepie, który wyglądał jak miejsce, na które policja powinna zrobić nalot, a nie przechadzać się wewnątrz, popijając kawę i opowiadając sobie nawzajem wojenne historie o aresztowaniach z poprzedniego dnia. Mieszczące się na tyłach Plaza Pharmacy oraz kina specjalizującego się w filmach pornograficznych dowództwo zostało bez ceregieli przeniesione w to

właśnie miejsce, kiedy wyszło na jaw, że poprzednia kwatery znajdowała się bezpośrednio nad znikającym pod ziemią strumieniem. W tym wypadku Konstytucja Atlanty zatryumfowała.

W całym budynku znajdowały się tylko trzy pomieszczenia. Największe było salą odpraw, z wydzieloną na biuro sierżanta częścią, która od reszty odgradzona była szklaną przegrodą. Biuro kapitana sprawiało o wiele sympatyczniejsze wrażenie, co oznaczało, że rzeczywiście można tam było otwierać i zamykać okna. Tuż przed Świątym Niepodległości ktoś stłukł szybę w oknie w sali odpraw, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Nikt nie kwapił się naprawić szkody, zapewne dlatego, że każdy wiedział, iż okno wkrótce znowu zostanie stłuczone.

Trzecie pomieszczenie było łazienką, ale wspólną, przez co można było mieć pewność, że żadna kobieta nie odważy się usiąść na sedesie. Jedyny raz, kiedy Amanda weszła do toalety, zakończył się wymiotowaniem na zapleczu Plaza Theater, podczas gdy pochrząkiwania i jęki z Winnie Bango odbijały się od ścian murowanych z betonowych bloczków.

- Dzień dobry, madame. - Jeden z policjantów z patrolu dotknął czapki, kiedy Amanda przechodziła obok.

W odpowiedzi skinęła głową, mijając w drodze do wejścia kilka znajomych białych radiowozów, należących do policji miasta Atlanta. W powietrzu wisiał smród przetrawionego wina, chociaż na ławce akurat nie siedział żaden skuty kajdankami włóczęga. Welon papierosowego dymu spowijał poplamiony tu i ówdzie sufit. Na każdej powierzchni leżała gruba warstwa kurzu - nawet na długich, przypominających wyposażenie barów samoobsługowych, stołach, które ustawiono w zakrzywionych rzędach w poprzek pokoju. Znajdujące się z przodu podium było puste. Amanda zerknęła na

zegarek. Miała jeszcze dziesięć minut do chwili, kiedy zacznie się odprawa.

Vanessa Livingston siedziała z tyłu pokoju, zajęta robotą papierkową. Miała na sobie szare spodnie i te same paskudne, czarne, typowo męskie buty, które wszyscy musieli zakładać do munduru. Całości dopełniała jasnoniebieska koszulka z krótkimi rękawami oraz obcięte na pazia ciemne włosy, wygięte po obu stronach w szerokie łuki.

Amanda kilka razy chodziła z Vanessą w patrolu, kiedy jeszcze obie nosiły mundur. Była niezawodną partnerką, chociaż potrafiła zachowywać się jak mała, szurnięta hipiska; krążyły plotki, że przywoływała do porządku kobiety, które pozwalały sobie na seksualne prowokacje wobec oficerów policji. Amanda nie miała wyboru - musiała usiąść obok niej. Tak jak zwykle pokój był podzielony na ćwiartki. Biali i czarni siedzieli po obu stronach, kobiety z tyłu, mężczyźni na przedzie.

Amanda starała się patrzeć wprost przed siebie, przepychając się przez gromadę ubranych w mundury panów. Wszyscy czekali jak najdłużej, żeby w ostatniej chwili usunąć się jej z drogi. Grupa w kącie rozpracowywała zamki z zapadkami. Codziennie odbywały się zawody, kto szybciej upora się z zamkiem. Kilku oficerów wymieniało się amunicją. Przez ostatnie dwa lata czternastu policjantów zostało zastrzelonych podczas akcji, więc załadowanie do pistoletu szybszego pocisku nie wydawało się wcale złym pomysłem.

Amanda położyła torebkę na stole i usiadła.

- Hej, jak się masz?

- Doskonale. - Głos Vanessy brzmiał wesoło, tak jak zawsze. - Dziś rano szczęśliwie wpadłam na Wydział Inspektorów.

- Rozumiem, że już sobie poszli?

Vanessa skinęła głową. Amanda natychmiast rozpięła mankiety i podwinęła rękawy. Świeże powietrze na ramionach było czymś tak niezwykłym, że o mało nie zemdląca.

- Czyżby Geary dziś się nie zjawił? - spytała.

Nie było mowy, żeby sierżant Mike Geary przepuścił Vanessę. Uważał, że kobiety w ogóle nie powinny być przyjmowane do pracy w policji i był wystarczająco mocny, żeby coś w tej sprawie zrobić. Z jakiegoś powodu szczególnie upodobał sobie Amandę. Wystarczyła jedna nagana, żeby została zawieszona na cały dzień. Nie chciała nawet myśleć, w jaki sposób ma zarobić na czynsz, jeśli coś takiego się jej przytrafi.

- Nie, Geary dziś nie przyjechał. - Vanessa ułożyła w stos wszystkie raporty. - Była Sandra Phillips, ta czarna laska, która goli sobie głowę jak facet.

- Mam z nią ćwiczenia - odparła Amanda.

Większość jej znajomych chodziła na nocne kursy, organizowane przez stan Georgia. Rząd federalny płacił chesne, a miasto było zmuszone podnieść ci gażę, jeśli uzyskałeś awans. Za rok o tej porze Amanda będzie wyciągała pensję wysokości prawie dwunastu tysięcy dolarów.

- Dobrze bawiłaś się Czwartego Lipca? - spytała Vanessa.

- Wzięłam kilka dodatkowych zmian - przyznała Amanda.

Zatrudniła się jako wolontariuszka wyłącznie po to, żeby nie siedzieć przez cały dzień sam na sam z ojcem, wysłuchując jego rewelacji na temat każdego artykułu, który przeczytał w gazecie. Dzięki Bogu, że gazeta ukazywała się tylko dwa razy dziennie, bo w przeciwnym razie musiałby całkiem przestać spać.

- A ty co robiłaś? - spytała.

- Nawaliłam się tak skutecznie, że przywaliłam samochodem w słup telefoniczny.

- I co z samochodem? Wciąż na chodzie?

- Ma zmiądzony zderzak, ale jakimś cudem nadal jeździ... -

Vanessa zniżyła głos do szeptu. - Słyszałaś o Oglethorpie?

Lars Oglethorpe należał do przyjaciół Duke'a. Obaj wylecieli z pracy tego samego dnia.

- Sąd Najwyższy wydał wyrok na jego korzyść. Ma dostać wszystkie zaległe pensje razem z dodatkami. Zostaje przywrócony na dawne stanowisko. Dostał przydział do swojej byłej jednostki. Założę się, że Reggie miał niezłego stracha, kiedy o tym usłyszał.

Amanda nie zdążyła nic odpowiedzieć. Rozległy się męskie wiwaty i do pokoju wkroczyli Rick Landry oraz Butch Bonnie. Jak zwykle obaj detektywi z Wydziału Zabójstw zdołali zjawić się na czas. Odprawa miała się zacząć dokładnie za dwie minuty. Amanda sięgnęła do torebki, żeby wyjąć z niej stertę napisanych na maszynie raportów.

- Jesteś boska. - Butch wziął raporty i rzucił na stół przed Amandą swój notatnik. - Mam nadzieję, że uda ci się to odczytać.

Spojrzała na bazgroły, biegnące w poprzek pierwszej strony, i zmarszczyła brwi.

- Przysięgam, że czasami specjalnie piszesz tak, żeby to było całkiem nieczytelne.

- Zawsze możesz do mnie zadzwonić, skarbie. W dzień albo w nocy. - Mrugnął do niej, idąc za Landrym na przód sali. - Osobiście wolę w nocy.

Przez salę przeleciała fala chichotów, ale Amanda postarała się nie zwracać na to uwagi, zajęta przerzucaniem stron z notatkami Butcha. Wyrazy dawały się łatwiej odcyfrować, gdy czytała je strona po

stronie. Butch i Rick pracowali w Wydziale Zabójstw. To była praca, na którą Amanda nigdy nie miała ochoty, gdyż przepisując na maszynie raporty Butcha, mimowolnie wchłaniała niektóre szczegóły. Detektywi musieli informować krewnych, że ktoś z ich rodziny został zamordowany. Musieli patrzeć na martwych ludzi i uczestniczyć w sekcjach zwłok. Samo czytanie o tym sprawiało, że Amanda odczuwała skurcz żołądka. Rzeczywiście istniały zawody, które powinni uprawiać wyłącznie mężczyźni.

Znów usłyszała głos Vanessy.

- Słyszałaś, że mamy nowego sierżanta?

Spojrzała na nią wyczekująco.

- To któryś z chłopaków Reggiego - dokończyła Vanessa.

Amanda zdławiła jęk zawodu. Jednym z pozornie lepszych pomysłów Reginalda Eavesa było wprowadzenie pisemnych egzaminów na awans i Amanda była na tyle szalona, żeby uwierzyć, że ma jakieś szanse. Kiedy żaden z czarnych oficerów nie zdołał zdać egzaminów pisemnych, Eaves wyrzucił wyniki do kosza i wprowadził egzaminy ustne. Jedynie kilku spośród białych oficerów zdołało je zaliczyć, co zresztą było łatwe do przewidzenia. Wśród tych szczęśliwców nie znalazła się ani jedna kobieta.

- Słyszałam, że pochodzi gdzieś z Północy. Podobno mówi jak Bill Cosby.

Jak na komendę obie się odwróciły, próbując dojrzeć cokolwiek wewnątrz biura sierżanta, ale przed szklanym przepierzeniem zgromadzono szafy na akta. Drzwi były otwarte, lecz wszystko, co Amanda zdołała dostrzec, to następną szafę na dokumenty i brzeg drewnianego biurka. Na oprawionej w skórę księdze aresztowań stała szklana popielniczka. Czyjaś czarna ręka sięgnęła i strząsnęła nań

popiół z papierosa. Palce wyglądały na wysmukłe, niemal delikatne. Paznokcie były przycięte w równe, proste krawędzie.

Amanda odwróciła się z powrotem. Udała, że czyta notatki Butcha, choć tak naprawdę nie mogła zebrać myśli. Może to przez ten upał, pomyślała. Albo może dlatego, że siedziała obok gadającej papugi.

- Zastanawiam się, gdzie się podziała Evelyn? - mówiła Vanessa.

Amanda wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od notatek.

- Nie wierzę, że jeszcze kiedykolwiek tutaj wróci - ciągnęła

Vanessa. - Według mnie musieli ją wywalić.

Mimo najlepszych zamiarów Amanda poczuła, że daje się z powrotem wciągnąć. To już prawie dwa lata, uświadomiła sobie. Jej ojciec stracił pracę przed jedenastoma miesiącami. Evelyn odeszła cały rok wcześniej, żeby urodzić dziecko. Po prostu wstąpiła do oddziału cywilnego i wszyscy przypuszczali, że jest to koniec jej kariery zawodowej.

Vanessa terkotała dalej.

- Gdybym to ja miała męża i dziecko, nie byłoby mowy, żebym codziennie zjawiała się w tym bajzlu. Raz na zawsze powiedziałabym wszystkim „pa, pa”.

- Może ona musi pracować. - Amanda mówiła tak cicho, że nikt nie miał prawa usłyszeć, jak plotkuje. - Dla pieniędzy.

- Jej mąż zarabia dosyć kasy. Wciska ubezpieczenia połowie gliniarzy w tym mieście - prychnęła Vanessa. - Gdyby wróciła, to pewnie tylko z jednego powodu - żeby pomóc mu sprzedawać polisy.

Nagle porzuciła kpiący ton.

- Swoją drogą powinnaś z nim pogadać. Daje niższe raty niż Benowitz. No i nie będziesz musiała oddawać swojej kasy jakiemuś Żydowi.

- Zapytam Evelyn - odparła Amanda, choć właściwie lubiła Nathana Benowitza.

- Co prawda jej plymouth był własnością miasta, ale wszyscy musieli przecież płacić polisy za swoje prywatne auta. Zresztą Benowitz zawsze traktował ją z sympatią.

- Szsz... - syknęła Vanessa, chociaż Amanda akurat nic nie mówiła.
- Uwaga, idzie...

Zgromadzeni funkcjonariusze zamilkli, kiedy nowy sierżant wkroczył do sali. Miał na sobie mundur w barwach zimowych, to znaczy ciemnogrnatowe spodnie i pasującą do nich koszulę z długim rękawem. Był dość szczupły, a włosy nosił przycięte po wojskowemu, na jeża. Inaczej niż u pozostałych, na jego brwiach nie było ani śladu potu.

Amanda obserwowała, jak steruje wprost na niewidzialną linię pośrodku sali, której nie dotykał żaden stół. Sądząc z wyglądu, nowy sierżant mógł mieć około trzydziestki. Był w dobrej formie, może nieco zbyt szczupły; jego ciało raczej przypominało ciało nastolatka niż dorosłego mężczyzny, lecz mimo to musiał wykręcać się na boki, żeby przejść pomiędzy stołami. Amanda zwróciła uwagę, że odstęp pomiędzy nimi był ciaśniejszy niż zazwyczaj. Taka małostkowość była właściwie jedyną rzeczą, która zmuszała ich do współdziałania. Czarni gliniarze nienawidzili nowego sierżanta, ponieważ pochodził z Północy; biali z góry zakładali, że go nie znoszą, bo był jednym z chłopaków Reggiego.

Ułożył stos dokumentów na podium, odchrząknął i odezwał się zaskakująco głębokim barytonem.

- Jestem sierżant Luther Hodge. - Mówiąc to, rozejrzał się po sali odpraw, jakby oczekiwał, że ktoś zapragnie mu się sprzeciwić. Jednak nikt się nie odezwał, więc Hodge kontynuował wypowiedź. - Przed

odczytaniem listy obecności podam dzienny rozkład zajęć, ponieważ mamy sporo transferów.

W sali rozległ się jęk, ale Amanda pomyślała, że to dobrze, iż w końcu ktoś wpadł na pomysł, że odprawę najlepiej jest zacząć od ogłoszenia transferów.

Hodge rozpoczął odczytywanie nazwisk. Vanessa miała rację. Jego głos brzmiał podobnie do głosu Billa Cosby'ego. Mówił starannie, choć wcale nie powoli, a każde słowo było dokładnie wypowiedziane. Mężczyźni w mundurach, siedzący w przednich rzędach, gapili się na niego jak na dziwowisko, zupełnie jakby obserwowali psa chodzącego na tylnych łapach. Czarni czy biali, przybyli tutaj prosto od pługą albo po zwolnieniu ze służby wojskowej i większość posługiwała się tym samym mało wyszukany dialektem co kuzyni Amandy.

Sierżant zakończył odczytywanie długiej listy transferów.

- Rozkład patroli zostanie podany w zespołach - dodał. - Niektórzy z was będą musieli poczekać na swoich partnerów, aż przyjadą z innych oddziałów. Proszę się zameldować u mnie, zanim wyjdziecie na ulicę, żeby się upewnić, że macie wyznaczonego partnera.

Jak na zawołanie do sali odpraw wbiegła Evelyn Mitchell, rozglądając się dookoła niemal z paniką w oczach. Amanda wciąż chodziła w mundurze, kiedy Evelyn została awansowana do oddziału zajmującego się przestępstwami na tle seksualnym, lecz ilekroć miała okazję ją zobaczyć, Evelyn zawsze była elegancko ubrana. Dziś miała ze sobą dużą, zamszową torebkę z indyjskim wzorem i z dwiema kitkami, zwieszającymi się z klinowej wstawki. Ubrana była w granatową spódnicę i żółtą bluzkę, a jej blond włosy, długie do ramion, były starannie wygładzone, przywodząc na myśl fryzurę Angie Dickinson*. Najwyraźniej Amanda nie była jedyną osobą,

której przyszło to na myśl, bo w sali nagle rozległ się głos Butcha
Bonniego.

** Angie Dickinson - amerykańska aktorka, znana z roli Pepper Anderson w serialu kryminalnym Police Women .*

- Hej, Pepper Anderson, możesz mnie sponiewierać, kiedy tylko
zechcesz.

Mężczyźni zachichotali unisono.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Evelyn do nowego
sierżanta. - To się więcej nie powtórzy.

Poszukała wzrokiem Amandy i Vanessy, a potem ruszyła w ich
stronę. Jej obcasy uderzały o posadzkę, a ich miarowy stukot
rozbrzmiewał echem po całej sali.

Hodge zatrzymał ją.

- Nie dosłyszałem pani nazwiska, detektywie.

Jego słowa zdawały się wysysać powietrze z całego pomieszczenia.
Głowy obróciły się w kierunku Evelyn, która stała nieruchomo tuż
obok Amandy. Emanujący z niej strach był tak samo namacalny jak
upał.

Hodge znowu odchrząknął.

- Czy coś mi umknęło, pani oficer? Przypuszczałem, że jest pani
detektywem, skoro nie nosi pani munduru.

Evelyn już otworzyła usta, ale Rick Landry ją uprzedził.

- Ona jest tajniakiem, nie detektywem.

Ale Hodge nie dawał za wygraną.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, na czym polega różnica.

Landry dziabnął kciukiem w stronę tylnej ściany. Papieros w jego
ustach podskakiwał śmiesznie przy każdej odpowiedzi.

- Widzi pan te dwa cycki pod koszulką?

Cały pokój zatrzęsł się od śmiechu. Evelyn przycisnęła do piersi torebkę, ale śmiała się wraz z innymi. Tak samo jak Amanda. Śmiech bulgotał w jej gardle jak w rynnie.

Hodge poczekał, aż wszyscy się uspokoją.

- Jak brzmi pani nazwisko, pani oficer? - zwrócił się do Evelyn.

- Mitchell - odparła skwapliwie, opadając na krzesło obok Amandy.

- Evelyn Mitchell.

- Sugeruję, żeby w przyszłości unikała pani spóźniania się, pani Mitchell. - Popatrzył na leżącą przed nim listę i odhaczył jej nazwisko. - Dziś jest pani razem z panią Livingston...

Przesunął wzrok na następną osobę na liście.

- Panno Wagner, dołączyliśmy panią do detektywa Petersona, który przyjeżdża do nas z...

Ktoś gwizdnął przeciągle, ale Hodge przeszedł na tym do porządku.

- ... ze Strefy Numer Dwa.

Evelyn ukradkiem spojrzała na Amandę i przewróciła oczyma. Kyle Peterson był obleśnym, rozlazłym obrzydliwcem. Jeśli akurat nie próbował wsadzić ci ręki pod spódnicę, przysypiał na tylnym siedzeniu wozu patrolowego.

Vanessa pochyliła się do Evelyn.

- Podoba mi się, jak obcięłaś włosy. Bardzo szykownie.

- Dzięki. - Lekko pociągnęła za końcówki włosów, jakby chciała, żeby wydawały się dłuższe. - Słyszałaś, że Oglethorpe został przywrócony na stanowisko? - spytała Amandę.

- Słyszałam, że z powrotem zrobili go dowódcą jego dawnego oddziału - dodała Vanessa. - Zastanawiam się, co to dla nas oznacza.

- Pewnie nic - zamruczała Evelyn.

Ponownie skupiły uwagę na tym, co działo się w przedniej części pokoju. Przy samym wejściu, właściwie niemal w otwartych

drzwiach, stał jakiś biały mężczyzna; był mniej więcej w tym samym wieku co Amanda i nosił wyprasowany, trzyczęściowy garnitur w popielatoniebieskim kolorze. W geście zniecierpliwienia skrzyżował na piersiach obie ręce, co uwydatniło jego okrągły brzusek, który wysuwał się spod marynarki.

- Jakiś wyższy rangą urzędnik? - zgadywała Vanessa.

Evelyn pokręciła głową.

- Coś ty, za dobrze ubrany.

- To prawnik - podpowiedziała im Amanda.

Wystarczająco często bywała w położonym w centrum miasta biurze prawnika, który prowadził sprawę jej ojca, żeby doskonale wiedzieć, jak oni wyglądają. Co prawda sam garnitur był wystarczającą wskazówką, ale arogancko wysunięty do przodu podbródek nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

- Detektywi Landry i... - Nagle Luther Hodge zdał sobie sprawę, że nikt już go nie słucha. Podniósł wzrok znad listy dyżurów i zanim przemówił, przez kilka sekund wpatrywał się w gościa. - Panie Treadwell, możemy porozmawiać w moim biurze.

Znów odwrócił się do ludzi z oddziału.

- Wrócę za kilka minut. Czy ktoś mógłby dokończyć za mnie?

Butch natychmiast się poderwał.

- Ja to zrobię.

- Dziękuję, detektywie.

Hodge chyba nie dostrzegł znużenia, które pojawiło się na twarzach obecnych. Powierzenie Butchowi odczytywania rozkładu dyżurów przypominało powierzenie lisowi zarządu kurnika. Równie dobrze mógł dowolnie pozmienić rozkład, żeby wszystko pasowało do jego własnej wersji *Randki w ciemno*.

Hodge powędrował z powrotem na koniec pokoju, przeciskając swoją wychudzoną postać przez wąską linię rozdzielającą pokój. Prawnik Treadwell wołał iść wzdłuż zewnętrznej ściany. Zapaliwszy papierosa, wszedł do biura i zatrzęsął za sobą drzwi.

- Ciekawe, o co chodzi? - zastanawiała się Evelyn.

- Nigdy się nie dowiesz - odparła Vanessa. - Na litość boską, czemu żeś wróciła?

- Bo mi się tutaj podoba.

Vanessa skrzywiła się komicznie.

- Przestań bujać, dziecinko. Lepiej powiedz prawdę.

- Prawda jest nudna jak cholera. Może poczekajmy, co powiedzą plotki. - Evelyn uśmiechnęła się, rozpięła suwak w torebce i pogrzebała w środku.

Vanessa spojrzała na Amandę, spodziewając się wyjaśnienia, lecz ta mogła jedynie pokręcić głową.

- Yassuh, Yassuh - powiedział ktoś.

Amanda ujrzała grupę czarnych policjantów z patrolu, którzy przysunęli się bliżej, żeby obserwować to, co się dzieje w biurze sierżanta. Amanda zerknęła na Vanessę, potem na Evelyn i wszystkie trzy się odwróciły .

Za szklaną ścianką usta Treadwella poruszały się energicznie i w końcu jeden z czarnych gliniarzy nie wytrzymał.

- Posłuchaj, chłoptasiu, to z moich podatków dostajesz swoją pensję.

Amanda zdławiła śmiech. Słyszała to zdanie niemal codziennie - zupełnie jakby podatki pobierane z jej pensji nie wynosiły dokładnie tyle samo co w przypadku innych osób.

Hodge spoglądał na blat biurka. Kiedy poruszał ustami, w zaokrągleniu jego ramion kryła się pewna łagodność.

- Yassuh - podrzucił pierwszy z gliniarzy. - Chłopaki, wygląda na to, że on na coś się zgadza... Tak, na pewno.

Treadwell wycelował w Hodge'a wskazujący palec.

- To miasto to cholerne bagno, mówię wam - mrukliwie odparł drugi. - Do czego to dochodzi? Małpy chcą rządzić w zoo!

Hodge skinął głową, wciąż nie podnosząc wzroku. Pierwszy gliniarz znów się odezwał.

- Yassuh, chłopie, wszystko przez te wściekłe baby! Nie mogę nawet spokojnie zjeść bułki, żeby nie słyszeć o tych biednych, białych laseczkach, którym dokuczają nachalne czarnuchy.

Amanda przygryzła dolną wargę. Ktoś zachichotał nerwowo.

Ręka Treadwella opadła, a drugi policjant wtrącił się do rozmowy.

- Ja tam bym raczej powiedział, że to wy, cholerne czarnuchy, zachowujecie się tak, jakby to wszystko należało do was.

Tym razem nikt się nie roześmiał, nawet czarni oficerowie. Żartowniś posunął się zbyt daleko.

Kiedy Treadwell z rozmachem otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz, w pokoju panowało krępujące milczenie.

Podchodząc do otwartych drzwi swojego biura, Luther Hodge starał się powstrzymać wściekłość. Wskazał na Evelyn.

- Ty. - Odwrócił się i wycelował mniej więcej w stronę Vanessy i Amandy. - I ty także. Do biura.

Vanessa wyraźnie zeszywniała, Amanda zaś odruchowo przycisnęła rękę do piersi.

- Przepraszam, ja czy...

- Czy pani rozumie rozkazy? Natychmiast do biura! - Spojrzał na Butcha. - Proszę kontynuować odczytywanie listy, detektywie Bonnie. Nie muszę chyba powtarzać drugi raz.

Evelyn kurczowo przycisnęła torebkę do piersi i podniosła się z miejsca. Amanda, wstając z krzesła, żeby pójść w jej ślady, miała wrażenie, że nogi ma zrobione z waty. Odwróciła się do Vanessy, która siedziała z miną winowajcy, choć jednocześnie sprawiała wrażenie, jakby ogromny ciężar spadł jej z serca. Evelyn stała już przed biurkiem Hodge'a, kiedy Amanda zatrzymała się obok niej. Hodge siedział na swoim krześle i pisał coś na kartce papieru.

Amanda ruszyła ku drzwiom, żeby je zamknąć, ale Hodge ją powstrzymał.

- Niech zostaną otwarte.

Jeśli Amanda myślała wcześniej, że poci się jak ruda mysz, to i tak było to niczym w porównaniu z tym, czego doświadczała teraz. Evelyn chyba czuła się podobnie, ponieważ nerwowo pociągała kosmyk włosów. Wąziutki pasek srebra ślubnej obrączki zalśnił w padającym znad głowy blasku świetlówki. Z sąsiedniego pokoju dobiegał przytłumiony głos Bonniego, monotonnie wyczytujący przydział patroli. Amanda wiedziała, że nawet zza zamkniętych drzwi Hodge musiał słyszeć głosy czarnych oficerów, którzy kpili sobie z niego.

Nagle Hodge odłożył pióro. Oparł się o tył krzesła i popatrzył najpierw na Evelyn, a później na Amandę.

- Wy dwie jesteście w jednostce do spraw przestępstw na tle seksualnym.

Obie skinęły głową, choć przecież wcale je o to nie pytał.

- Z tego adresu dostaliśmy sygnał czterdzieści dziewięć.

Gwałt. Hodge wyciągnął w ich stronę kartkę papieru.

Evelyn przez moment zawahała się, ale posłusznie wzięła ją z jego rąk.

Popatrzyła na kartkę.

- To w Techwood.

W getcie.

- Zgadza się - odparł Hodge. - Spiszcie zeznania. Ustalcie, czy doszło do popełnienia przestępstwa, czy też nie. Aresztujcie sprawcę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Evelyn zerknęła na Amandę. Najwyraźniej obydwu przemknęła przez głowę ta sama myśl: czy sprawa ma coś wspólnego z wizytą prawnika, który przed chwilą stąd wyszedł?

- Czyżbyście potrzebowały wskazówek? - spytał Hodge, chociaż znowu właściwie nie było to pytanie. - Zakładam, że panie orientują się w rozkładzie miasta. Czy mam wysłać z wami wóz patrolowy, żeby zapewnić wam eskortę? Czy właśnie tak załatwia się takie sprawy?

- Nie - odpowiedziała Evelyn. Hodge nie spuszczał z niej spojrzenia, aż w końcu dodała. - Nie, sir.

- Możecie odejść.

Otworzył jakieś akta i zagłębił się w lekturze.

Amanda spojrzała na Evelyn, która głową wskazała na drzwi. Obie wysunęły się na zewnątrz, niezupełnie pewne, co się przed chwilą zdarzyło. Odczytywanie listy dobiegło końca i sala odpraw była pusta, jeśli nie liczyć kilku maruderów, którzy czekali, aż przyjadą ich nowo przeniesieni partnerzy. Vanessa także już poszła, przypuszczalnie z Petersenem. Z pewnością była bardziej zadowolona z przydziału niż Amanda.

- Czy możemy wziąć twoje auto? - spytała Evelyn. - Ja dziś przyjechałam kombi i jestem załadowana po dach.

- Jasne.

Amanda poszła za nią na parking. Evelyn nie kłamała. W jej czerwonym fordzie falconie pudła zajmowały każdy skrawek wolnej przestrzeni.

- Matka Billa przeprowadziła się do nas w tym tygodniu. Ma zamiar pomóc w opiece nad dzieckiem, kiedy ja jestem w pracy.

Amanda wdrapała się do swojego plymoutha. Nie chciała wtrącać się w prywatne życie Evelyn, ale takie załatwienie sprawy wydało jej się co najmniej dziwne.

- Nie zrozum mnie źle - mówiła Evelyn, sadowiąc się obok niej na miejscu pasażera. - Kocham Zeke'a i cudownie było spędzić z nim ostatnie półtora roku, ale przysięgam na Boga, jeszcze jeden dzień siedzenia z dzieciakiem w domu i skończyłabym, połykając całe wiadro valium.

Amanda już miała wsadzić kluczyk do stacyjki, ale zatrzymała się i odwróciła do Evelyn. Większość tego, co wiedziała na temat tej kobiety, zostało przefiltrowane przez poglądy jej ojca. Bez wątpienia Evelyn była piękna, czego Duke Wagner nie uważał za atut osoby, która ma chodzić w mundurze. „Uparta” było słowem, które pojawiało się najczęściej, dopełnione określeniem „przebojowa”.

- Czy twój mąż nie miał nic przeciwko temu, że wracasz do pracy?
- spytała.

- Owszem, ale zmienił zdanie. - Evelyn rozpięła zamek w torebce i wyciągnęła mapę. - Znasz Techwood?

- Nie. Zdarzało mi się bywać tylko w Grady Homes. - Amanda nie wspomniała, że brała głównie wezwania z północnej części Atlanty; tam ofiarami były białe dziewczyny i zazwyczaj miały matki, które proponowały słodką herbatę i szybko mówiły, co się stało, żeby mieć ten dopust Boży za sobą. - A ty?

- Mniej więcej tak samo. Twój ojciec wysłał mnie tam parę razy.

Amanda wcisnęła pedał gazu i przekręciła kluczyk. Silnik zaskoczył dopiero za drugim podejściem. Wycofując się na wstecznym biegu z parkingu, postanowiła trzymać buzię na kłódkę. Pod rządami Duke'a Wagnera Evelyn większość swojej kadencji w policji spędziła, chodząc w patrolu. Absolutnie nie zgadzała się na jej awans do oddziału tajniaków, ale wtedy wiatr zmienił kierunek i Duke przegrał batalię. Amanda z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak ojciec odsyła Evelyn z powrotem na osiedla, żeby dać jej nauczkę.

- Spróbujmy dowiedzieć się, gdzie to jest. - Evelyn rozłożyła na kolanach mapę i przesuwała palcem po okolicy Georgia Tech.

Osiedla Techwood rażąco kontrastowały z otoczeniem jednej z najlepszych uczelni technicznych w całym stanie, ale miastu brakowało miejsc do lokowania biedoty. Clark Howell Homes, University Homes, Bowen Homes, Grady Homes, Perry Homes, Bankhead Courts, Thomasville Heights - wszędzie tam była długa lista oczekujących, pomimo faktu, że wszystkie zasługiwały na miano slumsów.

Naturalnie żadne z nich nie zaczynało w ten sposób. W latach trzydziestych dwudziestego wieku miasto wybudowało apartamentowce Techwood na miejscu dawnej dzielnicy nędzy, zwanej Tanyard Bottom. To było pierwsze tego typu budownictwo mieszkaniowe w całym Stanach Zjednoczonych. Wszystkie budynki zostały wyposażone w elektryczność i bieżącą wodę. Na miejscu znajdowały się szkoła, biblioteka oraz pralnie. W ceremonii otwarcia uczestniczył sam prezydent Roosevelt. Wystarczyło zaledwie niespełna dziesięć lat, żeby Techwood powróciło do swego pierwotnego stanu, na powrót stając się dzielnicą slumsów. Duke często powtarzał, że zniesienie segregacji rasowej okazało się w tym wypadku gwoździem do trumny. Bez względu na przyczynę miasto

co roku zmuszone było wydawać tysiące dolarów na wynajęcie prywatnych firm ochroniarskich, żeby zapewnić studentom bezpieczeństwo. Cały obszar przypominał strefę działań wojennych.

- No dobrze - westchnęła Evelyn, składając mapę. - Jedźmy na Techwood Drive, a wtedy ci powiem, gdzie masz jechać dalej.

- Najgorsze, że na budynkach nie ma numerów.

Ten problem nie dotyczył wyłącznie osiedli mieszkaniowych. Kiedy Amanda pełniła służbę w mundurze, zazwyczaj przy każdym wezwaniu pierwsze pół godziny musiała stracić na odszukanie właściwego adresu.

- Nie martw się - zapewniła ją Evelyn. - Już rozpracowałam ten system.

Amanda pojechała wzdłuż Ponce de Leon Avenue, obok dawnego Spiller Field, gdzie niegdyś grała drużyna Crackersów. Stadion został zburzony, a na jego miejscu wybudowano centrum handlowe, lecz drzewo magnolii, rosnące niegdyś na środku boiska, wciąż tam było. Przy budynkach pocztowych Sears skręciła w boczną uliczkę, żeby dostać się do North Avenue. Gdy zbliżała się do Buttermilk Bottom, obie z Evelyn zakręciły szyby w oknach. Slumsy zostały zrównane z ziemią całą dekadę wcześniej, ale od tamtej pory nikt nie pofatygował się, żeby cokolwiek zrobić w kwestii odpadów i nieczystości. Nos Amandy wypełnił się cierpkim, okropnym fetorem. Przez następne pięć skrzyżowań musiała oddychać wyłącznie przez usta. Wreszcie mogły z powrotem opuścić szyby.

- No - odezwała się Evelyn. - Jak tam wygląda sprawa twojego ojca?

Wspomniała o tym drugi raz, co natychmiast obudziło czujność Amandy.

- Właściwie to on nie rozmawia ze mną na ten temat.

- Ale ta nowina o Oglethorpie to dobra wiadomość, prawda? Dobra dla twojego ojca.

- Tak należy się spodziewać - mruknęła Amanda, zatrzymując się na czerwonym świetle.

- Jak sądzisz, co ten sygnał czterdzieści dziewięć z Techwood ma wspólnego z dzisiejszą wizytą Treadwella?

Wcześniej Amanda była zbyt wzburzona, żeby zastanowić się nad tą sprawą, ale teraz bez problemu znalazła odpowiedź.

- Może chciał w imieniu klientki złożyć doniesienie o popełnieniu gwałtu?

- Prawnicy w garniturach za setki dolarów nie miewają klientów w miejscach takich jak Techwood. - Evelyn podparła głowę ręką. - Według mnie Treadwell przyszedł po to, żeby rozstawić po kątach Hodge'a. A potem Hodge nas wezwał i też pokazał, kto tu rządzi. Tu musi być jakiś związek... Jak myślisz?

Ale Amanda pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

- Wyglądał dość młodo, prawda? Pewnie dopiero co skończył szkołę. Zdaje się, że firma tatusia naprawdę musiała dość mocno zaangażować się w walkę o fotel burmistrza.

- Maynarda Jacksona? - zdumiała się Amanda.

Naprawdę nie przyszło jej do głowy, że biali mogą wspierać pierwszego czarnoskórego burmistrza miasta, ale z drugiej strony, biznesmeni z Atlanty nigdy nie pozwalali, by rasowe uprzedzenia przeszkadzały im w robieniu pieniędzy.

Evelyn pospieszyła z wyjaśnieniami.

- Jestem pewna, że Treadwell-Price było po kolana unurzane w kampanii... Najlepszy dowód, że tatuś Treadwell miał z Jacksonem zdjęcie, które ukazało się w gazecie po wygranych wyborach.

Obejmowali się jak dwie laseczki, które tańczą w rewii... Adam?
Allen? - Wypuściła z ust powietrze. - Andrew. Tak ma na imię.
Andrew Treadwell. Synuś musi nosić przydomek Junior. Założę się,
że wołają na niego Andy.

Amanda powoli pokręciła głową. Sprawy polityki zostawiała ojcu.

- Nigdy nie słyszałam o żadnym z nich.

- Z Juniora aż biła pewność siebie. Widać było, że Hodge się go
boi. Odłóżmy na bok pantomimę... To chyba nie było na pokaz, co?

- Pewnie tak...

Amanda spojrzała na czerwone światło, zastanawiając się, dlaczego
zmiana trwa tak długo.

- Po prostu jedź i już - zaproponowała Evelyn. - Odpręż się, nie
aresztuję cię za to.

Amanda dwa razy rozejrzała się w każdą stronę, żeby upewnić się,
czy nikt nie nadjeżdża, a potem spojrzała po raz trzeci i wcisnęła gaz.

- Uważaj! - ostrzegła Evelyn.

Do szczytu wzniesienia na Spring Street właśnie dojeżdżała
corvette. Auto zazgrzytało na asfalcie i przemknęło przez
skrzyżowanie, aż z silnika strzelił snop iskier.

- Cholera, gdzie się podziewają ci cholerni gliniarze, kiedy
człowiek ich potrzebuje?

Amanda czuła, że od gwałtownego wdepnięcia hamulca ścierpła jej
łydka.

- Zanim spróbujesz zarobić dla męża trochę kasy, lojalnie
uprzedzam, że ja wykupiłam polisę u Benowitza.

Evelyn roześmiała się głośno.

- Benowitz wcale nie jest taki zły, kiedy już zapomnisz o pewnych
sprawach.

Amanda nie potrafiła stwierdzić, czy Evelyn się wygłupia, czy wyraża swoją opinię. Zerknęła na światła. Wciąż czerwone. Wysunęła się o cal i krzywiąc niemiłosiernie, wcisnęła gaz do dechy. Udało jej się rozluźnić ramiona dopiero wówczas, gdy minęły restaurację Varsity. Chwilę później znów powędrowały w górę.

Smród wpełznął do wnętrza samochodu, kiedy przekroczyły czteropasmową drogę szybkiego ruchu. Tym razem nie chodziło o nieczystości, lecz o zapach biedy - zapach ludzi, którzy siedzieli sobie na głowach, stłoczeni jak zamknięte w klatkach zwierzęta. Upał tylko utrudniał życie mieszkańców. Techwood Homes został zbudowany z lanego betonu, z przodu obudowanego fasadą z cegły, więc ściany przepuszczały powietrze mniej więcej tak samo jak nylonowe rajstopy Amandy.

Siedząca obok Evelyn przymknęła oczy i przez otwarte usta zaczerpnęła kilka płytkich oddechów.

- No dobrze. - W końcu potrząsnęła głową, a następnie spojrzała na mapę. - Skręć w lewo na Techwood. I w prawo na Pine.

Amanda zwolniła, żeby wymanewrować w wąskich uliczkach. Przed sobą mogła już dostrzec w dali ceglane segmenty Techwood Homes i parterowe domki z ogrodami. Większość ścian psuła siatka graffiti, a tam, gdzie nie było wymazanych sprayem bohomazów, wałały się sterty śmieci, wysokością sięgające pasa. Dwójka ubranych w łachmany dzieciaków bawiła się na zapuszczonym podwórku. Nawet z tej odległości Amanda widziała na ich nogach niezagojone owrzodzenia.

- Jedź tam - poleciła Evelyn.

Amanda pojechała najszybciej jak się dało, dopóki droga nie stała się całkiem nieprzejezdna. Ulicę blokował spalony samochód - stał z otwartymi na oścież drzwiami i uniesioną maską, spod której wyzierał

poczerniały silnik, podobny do zwęglonego języka. Amanda zjechała na pobocze i wrzuciła bieg na luz.

Evelyn nawet nie drgnęła. Szeroko otwartymi oczyma gapiła się na tamte dzieci.

- Cholera, już zapomniałam, jak fatalnie to wygląda.

Amanda także popatrzyła na chłopców. Obaj mieli ciemną skórę i guzowate kolana. Bosymi stopami kopali sflaczałą piłkę do koszykówki. Nigdzie dookoła nie było ani skrawka trawy, tylko sucha jak pieprz, rudawa glina Georgii.

Dzieciaki przerwały zabawę. Jeden z chłopców wskazał na plymoutha, których miasto zakupiło w sporej liczbie egzemplarzy, więc obaj z łatwością rozpoznali w nim nieoznakowany wóz policyjny. Drugi z chłopców popędził w kierunku najbliższego budynku, zostawiając za sobą tuman kurzu.

Evelyn parsknęła z irytacją.

- No pięknie! Ten mały aniołek sprowadzi nam na kark komitet powitalny!

Amanda sięgnęła do klamki. W oddali majaczyła wieża Coca-Coli, która razem z Georgia Tech trzymała w uścisku obszar slumsów o wielkości czternastu kwartałów.

- Mój tata powiada, że Cola usiłuje zmusić miasto do wyburzenia tych osiedli. Chcą przenieść tych ludzi gdzie indziej.

- Nie wyobrażam sobie, żeby burmistrz wyrzucił tych, którzy go wybrali.

Amanda nie wyraziła sprzeciwu na głos, ale z doświadczenia wiedziała, że w takich sprawach ojciec zwykle miewał rację.

- Równie dobrze możemy mieć to za sobą. - Evelyn otworzyła drzwi i wysiadła z auta.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła stamtąd radio, prawie w połowie tak długie jak latarka i niemal tak samo ciężkie. Podczas gdy Evelyn podawała ich lokalizację, Amanda sprawdziła, czy zamek błyskawiczny w torebce jest zasunięty. Jej radio rzadko działało, niezależnie od tego, jak często wymieniała baterie. Chętnie zostawiłaby je w domu, gdyby nie sierżant Geary. Ten drań codziennie kazał kobietom wywalać na stół całą zawartość torebek, żeby osobiście sprawdzić, czy mają przy sobie cały niezbędny ekwipunek.

- Tędy - powiedziała Evelyn, idąc w górę wzniesienia, wprost do jednego z domów mieszkalnych.

Amanda czuła, jak setki par oczu śledzą każdy ich ruch. Wziąwszy pod uwagę rozmiary osiedla, niewielu mieszkańców było w pracy w ciągu dnia. Każdy miał mnóstwo czasu, żeby gapić się przez okno i czekać, aż wydarzy się coś okropnego. Im bardziej oddalały się od plymoutha, tym Amanda gorzej się czuła; w końcu, gdy stanęły przed frontową ścianą drugiego budynku, miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

- No dobrze. - Evelyn wskazała na drzwi, odliczając na głos - Pięć, cztery, trzy...

Resztę dopowiedziała po cichu i poszła przodem. Amanda sunęła za nią jak cień, zastanawiając się, czy Evelyn wie, co robi, czy tylko się popisuje.

Wreszcie znów się zatrzymała i kiwnęła głową w kierunku środkowego lokalu na ostatniej kondygnacji.

- To tam.

Obie w milczeniu wpatrywały się w otwarty korytarzyk, który prowadził na klatkę schodową. Pojedynczy promyk słońca oświetlał kilka pierwszych stopni. Okna z przodu przedsionka i te na wyższym

podeście były zabite deskami, ale zamontowany w połaci dachowej świetlik zapewniał wystarczający dopływ światła, przynajmniej za dnia.

- Piąte piętro, poddasze - oznajmiła Evelyn. - Jak ci poszedł egzamin z fitnessu?

To było następne rozporządzenie Reggiego.

- Ledwie zdążyłam przebiec te cholerne półtora kilometra.

Na pokonanie takiego dystansu dostały osiem i pół minuty. Amanda zdążyła dobiec do mety dosłownie w ostatniej sekundzie.

- Zaliczyli mi podciągnięcia, bo w przeciwnym razie siedziałabym teraz w domu, oglądając Kapitana Kangaroo. - Uśmiechnęła się uroczo. - Mam nadzieję, że twoje życie nie będzie zależało od sprawności górnych partii mojego ciała.

- Z pewnością mnie przegonisz, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Evelyn roześmiała się głośno.

- Taki mam zamiar.

Zasunęła suwak w torbie, a następnie zapięła ją starannie na guzik. Amanda jeszcze raz sprawdziła, czy jej własna torebka jest dobrze zamknięta. To była pierwsza rzecz, jakiej człowiek uczył się po wejściu na osiedle slumsów - nigdy nie zostawiać otwartej torby i nigdy nigdzie jej nie stawiać. Ostatecznie nikt nie chciał przytargać do własnego domu niespodzianki w postaci wszy albo karaluchów.

Evelyn wzięła głęboki oddech, jakby zamierzała wsadzić głowę pod wodę, a następnie wkroczyła do budynku. Smród uderzył je z mocą rzuconej prosto w twarz cegły. Evelyn czym prędzej zakryła ręką nos i ruszyła w górę po schodach.

- Mogłabyś pomyśleć, że wąchanie dzień w dzień niemowlęcych pieluszek przyzwyczaiało mnie do zapachu moczu. Przypuszczam jednak, że dorośli ludzie jedzą co innego. Wiem, że moje siki po

szparagach strasznie cuchną. Wiesz, raz spróbowałam kokainy. Nie pamiętam, czym wtedy śmierdziały moje siki, ale, o rany, gównu mnie to obchodziło.

Ta wiadomość tak zaszokowała Amandę, że zamarła na pierwszym schodku i szeroko otwartymi oczyma gapiała się na Evelyn, jak się zdaje całkiem nieświadomą, że właśnie przyznała się do zażywania nielegalnego środka odurzającego.

- Tylko nie wsyp mnie przed Reggie. Pamiętaj, że na tamtym czerwonym świetle patrzyłam w inną stronę.

Błysnęła w uśmiechu zębami, skręciła na podeście i już jej nie było. Amanda potrząsnęła głową i zaczęła się wspinać po schodach. Żadna z nich nie odważyła się dotykać poręczy. Spod nóg umykały legiony karaluchów, odpadki kleiły się do wystrzępionej wykładziny, ściany zaś zdawały się napierać ze wszystkich stron.

Amanda zmuszała się do oddychania przez usta, tak samo jak zmuszała się, żeby stawiać nogę za nogą. To jakieś szaleństwo, myślała. Czemu nie wezwały posiłków? W Atlancie połowa sygnałów czterdzieści dziewięć zgłaszana była przez kobiety, które zostały zgwałcone na klatkach schodowych. Na osiedlach nędzy gwałty były tak samo powszechne jak szczury i plugastwo.

Gdy Evelyn okrążyła następny podest, lekko pociągnęła związane do tyłu włosy. Amanda domyśliła się, że to nerwowy odruch. W pełni podzielała tę nerwowość. Im wyżej się wspinały, tym bardziej dygotała od środka. W ciągu ostatnich dwóch lat podczas akcji zginęło czternastu policjantów. Zmarli od postrzałów w głowę, czasami w brzuch. Jeden z oficerów męczył się całe dwa dni, ale w końcu umarł na skutek odniesionych obrażeń. Rany bolały go tak bardzo, że przez całą drogę na oddział ratunkowy Grady Hospital ani na chwilę nie przestał wrzeszczeć.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy okrążała ostatni podest. Ręce drżały jak w febrze, a kolana koniecznie chciały odmówić posłuszeństwa. Czuła, jak wzrasta w niej pragnienie, żeby wybuchnąć łzami.

Z pewnością któryś z patroli słyszał, jak Evelyn podawała ich lokalizację. Mężczyźni rzadko kiedy biernie czekali, aż policjantka sama poprosi o wsparcie. Po prostu zjawiali się na miejscu zdarzenia, przejmowali dochodzenie i usuwali na bok swoje koleżanki, jak gdyby były głupiutkimi dziećmi. Zwykle Amandzie robiło się nieco przykro, kiedy tacy macho ostentacyjnie podkreślali własną przewagę nad nią, ale dzisiaj powitałaby ich z otwartymi ramionami.

- To szaleństwo - mruknęła, okrążając podest. - Absolutne szaleństwo.

- Jeszcze kawałek - odkrzyknęła Evelyn.

Trudno uznać, że działały z zaskoczenia. Wszyscy wiedzieli o ich obecności w tym budynku. Biali gliniarze.

Białe policjantki. Wszędzie wokół rozlegał się szum telewizorów i szmer prowadzonych szeptem rozmów. Gorąco obezwładniało tak samo jak półmrok. Każde zamknięte drzwi stanowiły potencjalne niebezpieczeństwo, bo lada moment ktoś mógł zza nich wyskoczyć i zrobić krzywdę jednej albo obydwu.

- No dobrze, co my tu mamy? - Evelyn nie skierowała tego pytania do żadnej konkretnej osoby. - W zeszłym roku zgłoszono czterysta czterdzieści trzy gwałty...

Jej głos zabrzączał jak dzwon w studni klatki schodowej.

- Sto trzysta przypadków dotyczyło białych kobiet. Czyli to oznacza, że mamy szansę jak jeden do czterech, że ktoś nas tu zgwałci?

Spojrzała do tyłu, na idącą za nią Amandę.

- Dwadzieścia pięć procent?

Amanda pokręciła głową. Zupełnie jakby ta kobieta mówiła w innym języku.

Evelyn nadal wspinała się po schodach.

- Cztery razy sto trzysta... - powiedziała, przeciągając słowa. - No, prawie miałam rację. Istnieje dwadzieścia sześć procent szans, że dzisiaj zostaniemy zgwałcone. W sumie to niedużo. Więc aż siedemdziesiąt cztery procent, że nic się nam nie przydarzy.

Te liczby przynajmniej miały sens. Amanda poczuła, że ciężar, który dotąd ją przygniatał, zelżał odrobinę.

- To wcale nie brzmi źle.

- Nie, oczywiście, że nie! Gdybym miała siedemdziesięcioczeroprocentową szansę na wygranie wyścigu Bug, to już byłabym w Auburn i zastawiła czek z wypłatą.

Amanda skinęła głową. Chodziło o wielki wyścig, który niebawem miał wystartować w Kolorowym Mieście.

- Gdzieś ty...

Na korytarzu piętro niżej powstało jakieś zamieszanie. Trzasnęły drzwi, potem rozległ się dziecięcy wrzask, aż w końcu jakiś męski głos zawołał, żeby wszyscy zamknęli japy, do diabła ciężkiego!

Ciężar od razu powrócił, jak upuszczony z nieba głaz.

Evelyn zatrzymała się na schodach. Teraz patrzyła prosto w twarz Amandy.

- Statystycznie rzecz biorąc, nasza sytuacja wygląda całkiem nieźle. Więcej niż nieźle.

Poczekala, aż Amanda kiwnie głową na znak, że też tak uważa, a potem kontynuowała wspinaczkę. Z jej postaci zniknęła niedawna pewność siebie. Łapała powietrze ciężkimi, urywanymi haustami. Nagle Amanda zdała sobie sprawę, że koleżanka przejęła

prowadzenie. Jeśli na górze czekało na nie coś złego, Evelyn Mitchell zetknie się z tym czymś jako pierwsza.

- Skąd wytrzasnęłaś te wszystkie liczby? - spytała. Wcześniej nigdy nie docierały do niej tego typu dane i prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. - Mam na myśli zgłoszone zgwałcenia?

- Z klasowego projektu. Robię w Tech statystykę.

- Tech... - powtórzyła jak echo Amanda. - Chyba to dosyć męczące, co?

- Ale to świetny sposób, żeby poznać mnóstwo facetów.

I znów Amanda nie wiedziała, czy Evelyn żartuje, czy mówi serio. I znowu wcale jej to nie obchodziło.

- Ilu białych było sprawcami takich przestępstw?

- Czemu pytasz?

- Bo Tech jest w dziewięćdziesięciu procentach czarne. Ilu gwałcicieli było...?

- No dobrze, dobrze! - Evelyn zatrzymała się na górze schodów. - W tej chwili nie pamiętam, ale jak chcesz, później mogę to dla ciebie sprawdzić. To tu.

Wskazała w głąb korytarza. Wszystkie żarówki już dawno zostały rozbite, a świetlik zarzucał na całe wnętrze sieć niepokojących cieni.

- Czwarte drzwi po lewej stronie.

- Chcesz moją latarkę?

- Nie wydaje mi się, żeby światło zrobiło nam jakąś różnicę. Jesteś gotowa?

Amanda poczuła, z jakim trudem pracują mięśnie przełyku, kiedy starała się przełknąć ślinę. Na podłodze spoczywał ogryzek jabłka, który zdawał się poruszać, bo otaczała go gromada żarłocznych mrówek.

- Tu na górze wcale tak mocno nie śmierdzi - zauważyła Evelyn.

- Rzeczywiście - przytaknęła Amanda.
- Przypuszczam, że jeśli masz zamiar wylać na podłogę zawartość
pęcherza, to nie fatygujesz się pięć pięter w górę, żeby to zrobić.

- Pewnie nie - powtórzyła Amanda.
- No to jak, idziemy? - Evelyn powędrowała w głąb korytarza,
ożywiona pragnieniem jak najszybszego załatwienia sprawy.

Amanda dogoniła ją przy zamkniętych drzwiach. Na wbitym w
ścianę gwoździu wisiał kawałek plastiku, z grubsza przypominający
literę C, zaś tuż poniżej wziernika przyklejona taśmą kartka z
notatnika, z napisem składającym się z wielkich, niebieskich liter,
które ktoś nabazgrał dziecięcym charakterem pisma.

- Kitty Treadwell - przeczytała na głos Amanda.
- Sprawa zaczyna się gmatwać. - Evelyn głęboko wciągnęła
powietrze przez nos. - Czujesz ten zapach?

Amanda musiała się mocno skoncentrować, żeby z bukietu
smrodów wyłowić nowy.

- Ocet?
- Tak właśnie wonieje heroina.
- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że tego też próbowałaś?
- Tylko mój fryzjer wie to na pewno.

Skinieniem nakazała Amandzie stanąć z boku drzwi, sama zaś
zajęła miejsce po przeciwnej stronie. To był najprostszy, choć mało
efektywny sposób, aby zapewnić im obu minimum bezpieczeństwa,
gdyby za drzwiami czaił się jakiś bandzior z naładowaną splotką.

Wreszcie Evelyn podniosła rękę i walnęła pięścią w drzwi z taką
siłą, że aż zadrżały w zawiasach. Jej głos także brzmiał teraz inaczej -
głębiej, niemal po męsku.

- Policja! - wrzasnęła. - Otwierać!

Musiała zauważyć minę Amandy, bo mrugnęła do niej porozumiewawczo i dopiero wtedy załomotała drugi raz.

Amanda słyszała bicie własnego serca; słyszała płytkie, urywane oddechy. Minęło parę sekund i Evelyn znowu podniosła rękę, ale zaraz ją opuściła, bo zza drzwi dobiegły jakieś odgłosy.

- Jezu! - Usłyszały kobiecy, przytłumiony głos.

Potem w głębi mieszkania rozległo się szuranie nogami. Zabrzęczał łańcuch, potem ktoś przekręcił klucz w jednym zamku, następnie w drugim... Wreszcie klamka poruszyła się, kiedy czyjaś dłoń odciągnęła zasuwkę.

Dziewczyna, która wyjrzała z mieszkania, bez wątpienia była prostytutką, choć miała na sobie cienką, bawełnianą sukienkę, bardziej odpowiednią dla dziesięcioletniej dziewczynki. Ufarbowane na blond włosy opadały aż do pasa, zaś cera wydawała się tak blada, że niemal sina. Dziewczyna równie dobrze mogła mieć dwadzieścia jak i sześćdziesiąt lat. Całe jej ciało - ramiona, szyję, nogi - pokrywały niezliczone ślady nakłuć, zaś żyły na nagich stopach przypominały wilgotne, krwawiące usta. Brak zębów sprawiał, że twarz dziewczyny wydawała się zapadnięta. Gdy na ich widok opierała ręce na biodrach, Amanda niemal widziała, z jakim trudem pracują stawy barków.

- Czy nazywasz się Kitty Treadwell? - spytała Evelyn.

- Czego tu chcecie, cholerne suki? - wychrypiała nieznajoma przepalonym od papierosów głosem.

- Dzień dobry. Och, nam też miło cię widzieć.

Evelyn lekkim krokiem wsunęła się do mieszkania, które wyglądało dokładnie tak, jak Amanda oczekiwała. W zlewie piętrzył się stos zapleśniałych naczyń, wszędzie wały się puste, plastikowe torby, a na podłodze leżał kłęb nieświeżych ciuchów. Na samym środku

pokoju stała poplamiona, niebieska kanapa, a przed nią stolik do kawy, gdzie na wystrzępionej kuchennej ścierce leżało kilka strzykawek i łyżka, a także zapalki i resztki filtrów po papierosach. Obok małej paczuszki brudnego, białawego proszku spoczywały dwa karaluchy, które albo były nieżywe, albo tak naćpane, że nie mogły się ruszyć. Ktoś wyciągnął z kuchni piecyk i ustawił go w pokoju; otwarte drzwiczki piekarnika opierały się o krawędź stołu, tworząc prowizoryczny blat, na którym wspierał się wielki, kolorowy telewizor.

- Czy to Dinah? - spytała Evelyn, podkreślając głośność. Jack Cassidy śpiewał z Dinah Shore. - Och, uwielbiam jej głos. Czy widziałas w zeszłym tygodniu program z Davidem Bowie?

Dziewczyna zamrugała kilka razy.

Amanda sprawdziła, czy nigdzie nie siedzi żaden karaluch, a następnie sięgnęła do włącznika i zapaliła podłogową lampę. Ostre, nieprzyjemne światło zalało wnętrze pokoju. Okna zaklejone były pożółkłym, grubym papierem, ale służył on wyłącznie jako filtr, osłaniający przed porannym blaskiem słońca. Może właśnie dlatego Amanda czuła się bardziej pewnie w tym mieszkaniu niż na zewnątrz, na klatce schodowej. Bicie serca powoli powracało do normalnego rytmu, a nadmierne pocenie się ustąpiło, ograniczając się wyłącznie do tego, co wynikało z wysokiej temperatury.

- David Bowie - powtórzyła Evelyn i wyłączyła telewizor. - W zeszłym tygodniu był gościem u Dinah.

Amanda postanowiła wypowiedzieć głośno to, co wydawało się oczywiste.

- Ta dziewczucha jest całkiem nieprzytomna.

Z jej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. Czyżby obie ryzykowały życiem dla kogoś takiego?

Evelyn pogłaskała dziewczynę po policzku. Jej dłoń przykleiła się do pergaminowej skóry z trzaskiem, który zabrzmiał jak uderzenie.

- Hej, skarbie, jesteś z nami?

- Na twoim miejscu wymoczyłabym tę rękę w chloroxie - poradziła Amanda. - Chodź, spływamy stąd. Jeśli ta lala faktycznie została zgwałcona, to zapewne na własne życzenie.

- Hodge wysłał nas tutaj z konkretnego powodu.

- Wysłał ciebie i Vanessę - odparowała Amanda. - Aż nie chce mi się wierzyć, że zmarnowałyśmy cały ranek na...

- Fonzie - wymamrotała dziewczyna. - On... gadał... z Fonzie.

- Racja. - Evelyn uśmiechnęła się radośnie do Amandy, jakby przed chwilą wygrała los na loterii. - Bowie był tydzień temu u Dinah razem z Fonzie z „Happy Days”.

- Wi...działam... ich... - Kitty podsunęła się do kanapy i natychmiast opadła na poduszki.

Amanda nie potrafiła stwierdzić, czy to narkotyki, czy okoliczności sprawiły, że słowa artykułowane przez tę dziewczynę stawały się całkiem niezrozumiałe. Jej głos brzmiał tak, jakby ktoś przewrócił do góry nogami cały kanon Flannery O'Connor.

- Nieee... pamiętam... co... ś... śpiewali.

- Wiesz, ja też nie pamiętam - odparła Evelyn.

Na migi dała znak, żeby Amanda poszła sprawdzić pozostałe pomieszczenia.

- A czego mam tam szukać, do diabła? Poprzedniego numeru „Good Housekeeping”? - warknęła Amanda.

Evelyn uśmiechnęła się słodko.

- Czyż nie byłoby zabawne, gdybyś rzeczywiście znalazła tu coś takiego?

- Wprost umarłabym ze śmiechu.

Niechętnie zrobiła to, o co została poproszona, starając się nie ocierać ramionami o ścianki wąskiego korytarzyka, kiedy szła w głąb mieszkania. Lokal okazał się znacznie większy od tego, w którym sama mieszkała. Znajdowała się tam normalna sypialnia, oddzielona od dziennej części mieszkania. Drzwi do szafy były wyrwane z zawiasów, a w środku stało kilka rozdartych, czarnych worków na śmieci, zapewne wypełnionych ubraniami lokatorki. Za łóżko służyła sterta poplamionych prześcieradeł, ułożonych na dywanie.

Choć wydawało się to niemożliwe, łazienka okazała się jeszcze bardziej odstręczająca od reszty pomieszczeń. Czarna pleśń zastąpiła miejsce fug, umywalka i toaleta pełniły podwójną funkcję, służąc także jako popielniczki, zaś z kubła na śmieci wysypywały się zużyte podpaski i kawałki papieru toaletowego. Podłoga była wymazana czymś, czego Amanda wolała nie oglądać z bliska.

Na każdym skrawku wolnego miejsca stały rozmaite środki do pielęgnacji ciała, co zdaniem Amandy zakrawało na ironię. Dwa pojemniki z lakierem do włosów Sunsilk. Cztery buteleczki szamponu Breck w różnych stadiach zużycia. Rozerwane pudełeczko tampaxów. Pusty flakonik perfum Cachet Prince Matchabelli. Dwa otwarte słoiczki z kremami Ponds, oba pokryte żółtawą skorupą. Wystarczająca ilość kosmetyków do makijażu, żeby zapłacić ładę Revlona w Rich. Szczoteczki. Ołówki. Płynne eyelinery. Tusze do rzęs. Dwa grzebienie, oba pełne włosów. Trzy mocno zużyte szczoteczki do zębów, sterczące ze szklanki Mayor McCheese.

Zasłona do prysznicza była wyszarpięta z haczyka, dzięki czemu kłębiące się w wannie karaluchy mogły bez przeszkód popatrzeć sobie na Amandę. Gapiły się na nią tak intensywnie, że w końcu mimo woli zatrzęsała się z obrzydzenia. Chwyciła torebkę, zdając

sobie sprawę, że będzie musiała starannie przetrząsnąć jej zawartość, zanim choćby pomyśli o włożeniu torebki do samochodu.

Po powrocie do pokoju dziennego okazało się, że Evelyn zdążyła przejść od Arthura Fonzarellego do właściwego celu ich wizyty.

- Czy Andy Treadwell jest twoim kuzynem, czy bratem?

- Wuj...em - odmruknęła dziewczyna. Amanda przypuszczała, że chodziło o starszego Andrew Treadwella.

- Która g...odzina?

Amanda zerknęła na zegarek.

- Dziewiąta. Dziewiąta rano - dodała, czując, że musi to zrobić.

- Ku...urde...

Dziewczyna wsadziła rękę między poduszki na kanapie i wyciągnęła napoczęte papierosy. Amanda obserwowała jej uniesienie, kiedy przyglądała się paczce Virginia Slims takim wzrokiem, jakby chodziło o mannę, która właśnie spadła z nieba. Powolnym ruchem wydłubała z paczki jeden papieros. Był mocno zakrzywiony, ale mimo to dziewczyna sięgnęła po leżące na stole zapałki i drżącą ręką zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko, a potem wypuściła nosem strumień dymu.

- Słyszałam, że palenie zabija - powiedziała Evelyn.

- Nie... mogę... się doczekać - odparła dziewczyna.

- Tak? Są szybsze sposoby - wypaliła Evelyn.

- Posiedź tutaj... to zobaczysz... jak szybkie...

Amanda wyczuła w tonie dziewczyny rozdrażnienie.

- O co chodzi?

- Dzieciaki widzieli, jak żeście przyjechali... Mój tatuś zechce się dowiedzieć, czego wy suki chcecie ode mnie...

- Wydaje mi się, że twój wujek Andy martwi się o ciebie - odparła Evelyn.

- A co, znowu chce zakisić ogórasa?

Amanda wymieniła spojrzenia z Evelyn. Większość takich dziewczyn utrzymywała, że ojciec albo wuj wykorzystał je seksualnie. W obyczajówce nazywano to kompleksem Edypa. Może technicznie nie było to poprawne określenie, ale dość zbliżone, jeśli chodzi o treść, i z pewnością oznaczało marnowanie czasu policjantów.

- Nie możecie mnie zapuszkow...ać. Ja nic nie zrobiłam.

- Wcale nie chcemy cię aresztować. - Evelyn spróbowała jeszcze raz. - Nasz sierżant przekazał nam, że zostałam zgwałcona.

- No to co, skoro mam z tego kasę? - Dziewczyna wypuściła nosem następny kłęb dymu, tym razem prosto w twarze policjantek.

Pogodny nastrój Evelyn nieco się zachwiaił.

- Kitty, musimy z tobą pogadać i spisać twoje zeznania.

- To nie... mój problem.

- W porządku. W takim razie wychodzimy.

Evelyn porwała ze stołu paczuszkę z heroiną i skierowała się ku drzwiom.

Gdyby Amanda nie była tak zdumiona widokiem Evelyn zgnajającej heroinę, pewnie sama także ruszyłaby do wyjścia. A tak zobaczyła zaszokowaną minę dziewczyny, która z wściekłością poderwała się z kanapy, rozczapierzając pazury jak doprowadzony do furii kot.

Odruchowo poderwała wysoko nogę. Nie podstawiała jej rzucającej się do ataku dziewczynie, lecz kopnęła ją z całej siły w żebra, posyłając prosto na stojący na środku pokoju piecyk. Uderzenie okazało się naprawdę silne. Kitty rąbnęła w telewizor, ciężarem ciała wyłamując drzwiczki piekarnika. Sekundę później odbiornik walnął o

podłogę. Ze środka wyskoczyła masa rurek, szkło zaś roztrzaskało się w drobny mak.

Evelyn z oburzeniem popatrzyła na Amandę.

- Ona miała zamiar na ciebie skoczyć.

- No cóż, jak widać, udało ci się ją powstrzymać.

Uklęka na podłodze, wygrzebała z torebki chusteczkę i podała ją dziewczynie.

- Dziwki - wybełkotała Kitty. Jej ręka powędrowała do ust; palcami wydłubała jeden z ostatnich zębów. - Przeklęte suki.

Evelyn podniosła się z klęczek, prawdopodobnie dochodząc do wniosku, że to niezbyt mądre klęczeć przed doprowadzoną do furii prostytutką.

Mimo to odezwała się do niej.

- Musisz nam powiedzieć, co się tutaj dzieje. Przyszliśmy, żeby ci pomóc.

- ...ieprz się - wymamrotała dziewczyna, wciąż macając opuszkami palców okolice ust.

Amanda ujrzała na jej nadgarstkach stare szramy, widoczny znak, że Kitty próbowała podciąć sobie żyły.

- Wypier... ajcie... ąd!

Evelyn przestała być uprzejma.

- Kitty, nie zmuszaj nas, żebyśmy ciągnęły cię na posterunek.

Gównu mnie obchodzi, kim jest twój wuj.

Amanda natychmiast pomyślała o swoim samochodzie - o czasie, który będzie musiała poświęcić na gruntowne sprzątnięcie po takiej pasażerce.

- Chyba nie myślisz na serio o...

- Do diabła, jasne, że tak!

- Nie ma mowy, żebym zgodziła się wpuścić taką...

- Zamknijcie się, do kurwy nędzy! - wrzasnęła dziewczyna. - Ja nie jestem Kitty! Jestem Jane. Jane Delray.

- Och, na miłość boską! - Amanda wyrzuciła obie ręce w powietrze. Cały strach, który nie opuszczał jej podczas wspinaczki po schodach, teraz zamienił się we wściekłość. - Kurde, nawet nie udało się nam znaleźć właściwej dziewczyny!

Hodge nie podał nam nazwiska. Podał wyłącznie adres.

Amanda ze złością potrząsnęła głową.

- Za cholere nie wiem, czemu w ogóle go posłuchałyśmy. Jest z nami niecały dzień. Tak samo jak ty, nawiasem mówiąc.

- Ale ja przedtem służyłam w policji przez całe trzy lata!

- Dlaczego wróciłaś? - naskoczyła na nią Amanda. - Jesteś tu, żeby robić swoją robotę, czy z całkiem innego powodu?

- To nie ja miałam ochotę zmiatać stąd z podwiniętym ogonem!

- Ta cholerna kurwa niczego nam nie powie!

- Hej! - ryknęła Jane. - Kogo nazywacie cholerną kurwą, co?!

Evelyn spojrzała w dół, na siedzącą na podłodze dziewczynę. Jej głos ociekał sarkazmem.

- Naprawdę, skarbie? Masz ochotę na małą sprzeczkę?

Jane wytarła krew z ust.

- Wy wcale nie jesteście z agencji rządowej.

- Co za błyskotliwa dedukcja - zachwyciła się Evelyn. - Kto dokładnie byłby zainteresowany, żeby cię namierzyć, co?

Nieznaczenie wzruszyła ramionami.

- Może poszłam do Five dlatego, że potrzebowałam forsy.

Evelyn położyła jej rękę na głowie. Nazwa „Five” odnosiła się do linii autobusowej, która dowoziła klientów do ośrodka pomocy społecznej przy Five Points Station.

- Próbowalaś zrealizować voucher należący do Kitty.

Amanda wtrąciła się do rozmowy.

- Czy takich rzeczy nie wysyła się pocztą?

Obie zapatrzyły się na nią.

- W tej okolicy skrzynki pocztowe nie są bezpieczne - wyjaśniła

Evelyn.

- Kitty nie potrzeba fohsy. Nigdy jej nie było trzeba - wysepleniała

Jane. - Jest nadziana jak diabli. Ma godzinę, co ma niezłe znajomości.

Dlatego tu jesteście, chohehne suki, co?

- Gdzie ona jest?

- Wyniosła się stąd pół hoku temu.

- Dokąd?

- Gdzieś ją wciąło. Tak samo jak Lucy. Tak samo jak Mahey.

Wszystkie gdzieś wciąło.

- One też są w branży? - spytała Evelyn. - Lucy i Mary?

Dziewczyna skinęła głową.

- Kitty również uprawia tę profesję?

Odpowiedzią było następne przytaknięcie.

Amanda miała już tego dość.

- Może zrobię z tego notatkę dla prasy, co? Zaginęło kilka
 prostytutek. Przestańcie nas naciskać.

- Wcale nie zag... hinęły - upierała się dziewczyna. - Wyniosły się.

Zwyczajnie się wyniosły. Znik... hneły.

Wytarła sączącą się z ust krew.

- One tu mieszkają. Mają swoje rzeczy. Tu jest ich miejsce. Tu
 biohą z Five kasiohę.

- Tak, o ile akurat nie próbujesz ich w tym wyręczać - wtrąciła
 Amanda.

- Ty nie słuchasz, co mówię - upierała się Jane. - One się wyniosły.
Lucy poszła już hrok temu. Była tu przez chwilę, a potem... -
Pstryknęła w powietrzu palcami. - Pyk!

Evelyn odwróciła się do Amandy.

- Uważam, że natychmiast powinniśmy postarać się o list gończy za facetem, który nosi pelerynę i czarodziejski cylinder - oświadczyła śmiertelnie poważnym tonem i zaraz zamilkła, zastanawiając się nad czymś. - Zaczekaj. Lepiej sprawdźmy, czy Doug Henning jest w mieście.

Amanda nie zdołała się opanować. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

Wszystkie trzy podskoczyły, kiedy frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. Rozległ się trzask pękającego drewna, a gałka rąbnęła w ścianę. Tynk na ścianach popękał. W powietrzu zawisła groza.

W korytarzyku zamajaczyła postać mocno zbudowanego, czarnoskórego mężczyzny. Był bez tchu, najprawdopodobniej dlatego, że pędem wbiegał po schodach. Jego gęste baczki przechodziły gładko w wąsy i kocią bródkę, otaczając dookoła mięsiste usta. Bez wątpienia był alfonssem, a w dodatku kipiał wściekłością.

- Czego tu chcecie, cholerne białe suki?!

Amanda zastygła w miejscu. Czuła się tak, jakby jej ciało zamieniło się w kamień.

- Szukamy Kitty - wyjaśniła Evelyn. - Czy znasz Kitty Treadwell? Jej wujek jest bliskim przyjacielem burmistrza Jacksona.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Dlatego przyszliśmy. Bo nas o to poprosili. Poprosił przyjaciel burmistrza. Oni są bardzo zaniepokojeni zaginięciem Kitty.

Mężczyzna zupełnie nie zwrócił na nią uwagi. Brutalnym ruchem pochwycił Jane za włosy. Wrzasnęła z bólu, wbijając pazury w jego dłoń, jakby starała się powstrzymać go przed oderwaniem jej skalpu.

- Gadałaś z policją, przekłete ścierwo?!

- Nic nie gadałam, daję słowo. - Jane z przerażenia ledwo mogła mówić. - One dopieho co przhyszły!

Z całej siły wypchnął ją na korytarz. Zanim zdążyła stanąć na własnych nogach, zatoczyła się bezwładnie i całym ciężarem uderzyła w ścianę.

- Wychodzimy - mruknęła Evelyn wyraźnie drżącym głosem.

Podsunęła się ku drzwiom, dając znak Amandzie, żeby szła za nią. - Nie chcemy żadnych kłopotów.

Ale mężczyzna zatrzasnął drzwi. Trzask zabrzmiał równie głośno jak wystrzał z pistoletu. Przez kilka sekund alfons bacznie wpatrywał się w Amandę, a potem przeniósł spojrzenie na Evelyn. W jego oczach płonął ogień.

- Nasz sierżant wie, że tu jesteśmy - powiedziała prędko Evelyn.

Odwrócił się i nieśpiesznym ruchem wsunął łańcuch w prowadnicę. Następnie powoli zamknął pierwszą zasuwę. A potem następną.

- Rozmawialiśmy z dyspozytornią, zanim...

- Słyszałem, co mówiłaś, dziwko. Zobaczymy, czy burmistrz przyjedzie, zanim z wami skończę...

Wyjął klucz z zamka i schował go do kieszeni. Nagle jego głos zmienił się w głęboki, uwodzicielski baryton.

- Nieźle wyglądasz, laleczko. Wiesz o tym?

Nie zwracał się do Evelyn. Jego oczy wycelowane były w Amandę. Oblizwał wargi, jednocześnie osuwając spojrzenie na wysokość jej piersi. Próbowwała się cofnąć, ale on natychmiast posunął się w ślad za

nią. Udami natrafiła na podłokietnik kanapy. Wtedy jego palce musnęły bok jej szyi.

- Do diabła, naprawdę niezła z ciebie dupeczka.

Siłą woli zwalczyła zawrót głowy. Sięgnęła do torebki, na oślep grzebiąc przy suwaku, starając się go otworzyć.

- Wezwij posiłki.

Evelyn już trzymała w ręku nadajnik. Rozpaczliwie wciskała guzik. Mężczyzna otoczył palcami szyję Amandy, kciukiem podnosząc jej podbródek.

- Radio tutaj nie działa, skarbie. Jesteśmy za wysoko, żeby złapały nas anteny.

Evelyn z coraz większą furią wciskała guzik, ale z nadajnika dobiegał jedynie jednostajny szum.

- Może zabawimy się, ślicznotko, co?

Ręka mężczyzny zacisnęła się na gardle Amandy. Czowała zapach jego wody kolońskiej, zmieszany ze smrodem potu. Zauważyła, że na policzku miał znamię. Zza rozpiętej na piersi koszuli wysuwał się skrawek owłosionej skóry. Nosił gruby, złoty łańcuch i tatuaż, przedstawiający Chrystusa w koronie cierniowej.

- Uch... - sapnęła.

Opuszkami wyczuła w torebce zarys rewolweru. Próbowwała zahaczyć palcem o zabezpieczenie spustu.

- Mmmm... - zamruczał lubieżnie. Szybko rozpiął suwak w spodniach. - Jaka śliczna dupeczka...

- Eee - zająknęła się Amanda.

Ręka alfonsa zawędrowała pod jej spódnicę. Czowała, jak jego paznokcie gmerają po jej nagim ciele, czowała ciężar, który napierał na nią coraz bardziej.

Evelyn wcisnęła radio do torebki i zapięła suwak, jakby gotowała się do wyjścia. Na ten widok Amanda wpadła w panikę. A potem wstrzymała oddech, kiedy Evelyn obiema rękoma chwyciła rączki torebki, wzięła solidny zamach i z całej siły walnęła faceta w skroń.

Pistolet. Odznaka. Latarka. Radio. Gumowa pałka. Prawie dziesięć kilo ekwipunku. Alfons zwałił się na podłogę jak bezwładna, szmaciana lalka, a z jego skroni trysnął strumień krwi. Na policzku, w miejscach, gdzie hinduskie wisioriki rozcięły skórę, pojawiły się głębokie, krwawe pręgi.

Amanda wyszarpnęła rewolwer z torebki, upuszczając ją na podłogę. Ręce drżały jej jak w febrze, gdy próbowała zacisnąć palce na rękojeści. Musiała oprzeć się o kanapę, bo w przeciwnym razie upadłaby na podłogę.

- Chryste...

Evelyn stanęła nad głową nieprzytomnego mężczyzny, gapiąc się na niego z szeroko rozdziawionymi ustami. Leżał z rozpiętym rozporkiem, a krew płynęła coraz szerszym strumieniem.

- Mój Boże... - wyszeptała Amanda. Obciągnęła spódnicę. Rajstopy były całkiem podarte w miejscach, gdzie trafiły jego wścibskie paluchy. Wciąż czuła na gardle ucisk potężnej łapy. - Mój Boże...

- Dobrze się czujesz? - spytała Evelyn. Położyła rękę na ramionach Amandy. - Wszystko w porządku?

Niespiesznym ruchem sięgnęła po rewolwer Amandy.

- Ja to wezmę, dobrze? Nic ci się nie stało.

- Twój pistolet... - Amanda dyszała tak mocno, że istniało ryzyko hiperwentylacji. - Dlaczego... Dlaczego go nie zastrzeliłaś?

Evelyn zagryzła dolną wargę. Wpatrywała się w Amandę przez chwilę, która wydawała się trwać przynajmniej minutę, zanim w końcu się przyznała.

- Bill i ja doszliśmy do wniosku, że nie możemy trzymać w domu naładowanej broni. Ze względu na dziecko.

Amanda zaniemówiła.

- Co? Twój pistolet nie jest naładowany?! - wrzasnęła.

- No cóż.... - Evelyn owinęła końce włosów dookoła palca. - Ale i tak zadziałał jak trzeba, nie?

Roześmiała się z przymusem.

- Tak, sprawdził się na sto procent. Obie wyszliśmy z tego bez szwanku. Tak, obie wyszliśmy kompletnie bez szwanku. - Znowu spojrzała na leżącego na podłodze alfonsa. - Przypuszczam, że to nie jest prawda, co mówią o...

- On chciał mnie zgwałcić! Chciał zgwałcić nas obie!

- Statystycznie rzecz biorąc... - Zamilkła, a w końcu przyznała - No cóż, tak. Mogłyśmy się spodziewać, że wydarzy się coś podobnego. Nie chciałam ci mówić tego wcześniej, ale... Taaak...

Podniosła z podłogi torebkę Amandy.

Po raz pierwszy od dwóch miesięcy Amanda nie czuła gorąca. Jej krew zrobiła się zimna jak lód.

W tym czasie Evelyn trajkotała jak najęta. Wsadziła rewolwer Amandy do jej torebki, zapięła suwak i zarzuciła rzemiyk na ramię.

- Ale nic nam się nie stało, prawda? Ja czuję się świetnie, ty czujesz się świetnie. Obie jesteśmy w znakomitej formie.

Na podłodze przy kanapie zauważyła aparat telefoniczny. Ręce tak jej się trzęsły, że upuściła słuchawkę. Zaklekotała o widełki.

Wreszcie udało jej się podnieść słuchawkę i przycisnąć ją do ucha.

- Zgłoszę to. Chłopcy biegiem się tu zjawią, zobaczysz.

Wydostaniemy się stąd. Nic nam się nie stało. Prawda?

Amanda zamrugła, żeby pozbyć się z oka kropli potu.

Evelyn wsadziła palec w tarczę.

- Bardzo cię przepraszam. Zawsze tak gadam, kiedy jestem zdenerwowana. To doprowadza mojego męża do szału. - Przekreśliła tarczę tam i z powrotem. - Co z tymi dziewczynami, o których wspominała nasza dziwka? Czy ich nazwiska coś ci mówiły?

Amanda znów zamrugła, żeby pozbyć się potu. Przed jej oczyma przelatywały dziwne obrazy. Obskurna łazienka. Buteleczeni szamponu. Stosy kosmetyków do makijażu.

Lucy. Mary. Kitty Treadwell. Może należałoby to gdzieś zapisać. Jestem pewna, że wyleci mi to z głowy, jak tylko dostanę łyk picia. No dobrze, dwa łyki. Niech będzie cała butelka - westchnęła z irytacją. - Dziwne, że Jane tak się o nie martwiła. Takie dziewczyny zwykle myślą jedynie o tym, jak zadowolić swojego alfonsa.

Trzy używane szczoteczki do zębów w jednym kubku... Długi, ciemny włos, przyklejony do grzebienia...

- Jane miała jasne włosy - powiedziała nagle.

- Nie byłabym tego pewna - odparła Evelyn, spoglądając na nieruchomego mężczyznę. - Ma portfel w tylnej kieszeni. Czy mogłabyś...

- Nie! - Panika wróciła z pełną siłą.

- Masz rację. Nic nie szkodzi, w pierdłu i tak go zidentyfikują. Jestem pewna, że ma niezłą kartotekę. Cześć, Linda. - Głos Evelyn trochę się chwia, kiedy mówiła do słuchawki. - Moja lokalizacja dziesięć-szesnaście. Hodge wysłał nas tutaj na czterdzieści dziewięć, ale to uległo zmianie na pięćdziesiąt pięć. - Popatrzyła na Amandę. - Coś jeszcze?

- Powiedz im, że jesteś dwadzieścia cztery - zdołała wykrztusić
Amanda.

Duke Wagner mylił się, twierdząc, że Evelyn Mitchell jest uparta i
przebojowa.

Ta kobieta była po prostu szalona.

ROZDZIAŁ 5

SUSANNE FORD

Zanna upadła plecami na łóżko, nie odrywając stóp od podłogi i trzymając w ręku swojego iPhone'a, żeby móc co chwila sprawdzać, czy nie przyszedł jakieś wiadomości. Żadnych SMS-ów. Żadnej poczty głosowej. Żadnych e-maili. Ten dupek spóźniał się już o całe dziesięć minut. Jeśli Zanna odważy się zejść na dół bez pieniędzy, Terry stłucze jej tyłek na kwaśne jabłko. Znowu. Zupełnie jakby zapomniał, że to do niego należało odsiewanie takich pieprzonych gnojków. Oczywiście Terry nigdy niczego nie miał sobie do zarzucenia.

Wyrzała przez okno i zapatrzyła się w horyzont ponad centrum miasta. Zanna urodziła się i wychowała w Roswell, godzinę i całe wieki od Atlanty. Z wyjątkiem budynków, na których znajdowały się nazwy, nie miała pojęcia, na co właściwie patrzy. Equitable. AT&T. Georgia Power. Wiedziała jedynie, że jeśli jej klient wkrótce się nie zjawi z forszą, ona solidnie oberwie.

Wiszący na ścianie telewizor plazmowy zamigotał, kiedy Zanna przypadkiem przeturlała się przez pilot. Na ekranie pojawiła się Monica Pearson, która siedząc za biurkiem, przekazywała widzom najświeższe wiadomości. Zaginęła jakaś dziewczyna - biała, jasnowłosa i ładna. Gdyby to Zanna gdzieś się zawieruszyła, tamtych z pewnością gównem by to obchodziło.

Przeskakiwała przez kolejne kanały, szukając czegoś, co wzbudzi jej zainteresowanie, aż w końcu dała spokój, gdy dotarła do potrójnych cyfr. Cisnęła pilot na stolik przy łóżku. Okropnie swędziały ją ramiona. Poza tym miała ochotę na papierosa. Chciała nawet czegoś więcej niż tylko zapalić.

Jeśli wystarczająco długo pomyśli o metamfetaminie, może poczuje z tyłu gardła smak białego proszku. Jej cholerny nos zaczął gnić od środka, lecz mimo to Zanna nie mogła powstrzymać się od wciągania. Nie mogła przestać myśleć o rozwalającym myśli smagnięciu w głębi mózgu, o fali, która wstrząsała całym ciałem i o tym, że po dawce narkotyku świat stawał się o wiele łatwiejszy do zniesienia.

Tyle tylko, że to nie zdarzy się w ciągu najbliższej godziny. Żeby jakoś przytłumić pragnienie, Zanna powędrowała do minibaru i wyjęła stamtąd cztery małe kieliszki z wódką. Szybko przełknęła ich zawartość, a następnie odkręciła wodę w umywalce i po kolei napełniła każdą buteleczkę. Zdążyła ustawić je na poprzednim miejscu w lodówce, gdy ktoś zastukał do drzwi.

- Dzięki Bogu - jęknęła.

Szybko spojrzała w lustro. Całkiem nieźle. Przy nieco przygaszonych światłach wciąż mogła uchodzić za szesnastolatkę. Czym prędzej przekręciła pręt zamykający żaluzje, wyłączyła jedną ze stojących przy łóżku lamp i dopiero wtedy poszła otworzyć.

Stojący w progu mężczyzna wydawał się niesamowicie potężny. Czubkiem głowy niemal zawadzał o futrynę, zaś jego ramiona były prawie tak szerokie jak drzwi. Na jego widok Zanna poczuła ukłucie strachu, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież Terry jest na dole i że z pewnością sprawdził tego faceta. Zresztą cokolwiek się zdarzy, nie będzie miało znaczenia w chwili, gdy do jej mózgu dotrze pierwszy zew metamfetaminy.

- Cześć, tatuśku - zawołała wesoło, ponieważ wydawało jej się, że gość ma już swoje lata.

Nie chciała myśleć, że taki stary przyk może zechce zapłacić za jej usługi czekiem otrzymanym z ubezpieczalni społecznej. Spojrzała mu prosto w twarz - zaskakująco gładką, biorąc pod uwagę jego

zaawansowany wiek. Miał dość chudą szyję, zauważyła. To samo mogła powiedzieć o jego rękach, pokrytych plamami wątrobowymi. Włosy na przedramionach mężczyzny były całkiem siwe, choć to, co zostało na głowie, miało kolor złotawego brązu.

Zanna z rozmachem otworzyła drzwi.

- Wejdz, wielki chłopczyku.

Idąc w głąb pokoju, próbowała zalotnie kręcić biodrami, chociaż wysokie obcasy oraz puchaty dywan nie okazały się najszcześniejszym połączeniem. W końcu dla złapania równowagi musiała wesprzeć się o ścianę. Odwróciła się, czekając, aż on wejdzie do środka.

Ale on wcale się nie śpieszył. Nie wydawał się zdenerwowany; jak wiadomo, facet w tym wieku raczej nie przychodzi do dziwki po raz pierwszy w życiu. Jednak on dokładnie rozejrzał się po korytarzu, zanim wreszcie wszedł i zamknął za sobą drzwi. Mimo zaawansowanego wieku wydawał się być w całkiem dobrej kondycji. Nosił włosy przycięte na jeża, a jego ramiona sprawiały wrażenie niezwykle muskularnych. Pewnie to jakiś weteran drugiej wojny światowej, pomyślała Zanna, ale zaraz przypomniały się jej lekcje historii w średniej szkole i szybko doszła do wniosku, że raczej jest na to za młody. Pewnie gość służył w Wietnamie. Ostatnio jej klientami byli głównie młodzi chłopcy, którzy właśnie wrócili z Afganistanu. Sama nie wiedziała, którzy byli gorsi - czy ci smutni, którzy usiłovali się z nią kochać, czy ci wściekli, którym zależało, żeby sprawić jej ból.

Postanowiła od razu przejść do rzeczy.

- Jesteś gliniarzem?

Odpowiedział w ten sam sposób, co wszyscy.

- Czy wyglądam na gliniarza?

Bez podpowiadania rozpiął suwak w spodniach. To była ostatnia pozostałość demokracji. Gliniarz, nawet jeśli był tajniakiem, nie mógł dopuścić, żeby ktoś oglądał jego klejnoty.

- I co, w porządku?

Zanna skinęła głową, tłumiąc dreszcz, który przeszył jej ciało. Był wielki jak diabli.

- Cholera - wydusiła w końcu. - Będzie niezły ubaw.

Mężczyzna z powrotem zapisał spodnie i machnął ręką w stronę krzesła.

- Siadaj - rozkazał.

Posłuchała. Usiadła z szeroko rozstawionymi nogami, żeby miał z łóżka niezły widok. Tyle tylko, że on nie usiadł. Jego cień rozciągał się przez cały pokój, prawie sięgając krawędzi drzwi.

- Jak lubisz? - spytała, choć nurtowały ją poważne obawy, że ten gość lubi ostry seks. Wciągnęła ramiona, starając się wyglądać na niniejszą, niż była w rzeczywistości. - Bądź delikatny, proszę. Jestem jeszcze dziewczynką.

Usta mu zadrżały, ale to była cała reakcja, którą udało jej się wywołać.

- Jak tu trafiłaś? - zapytał.

Pomyślała, że on pyta o drogę, którą tutaj przyszła - najpierw wzdłuż Peachtree, potem w lewo w Edgewood... Nagle dotarło do niej, że on ma na myśli wyłącznie jej obecną profesję.

Wzruszyła ramionami.

- Co mogę powiedzieć? Zwyczajnie. Lubię seks.

Właśnie coś takiego klienci chcieli słyszeć. Właśnie to próbowali sobie wmawiać, kiedy rozrywali cię na dwoje, a potem rzucali pieniądze w twarz - chcieli wiedzieć, że ty to uwielbiasz, że nie mogłabyś żyć bez tego.

- Nie - odparł. - Chcę poznać prawdę.

- Och, no wiesz...

Wydeła usta, wypuszczając z płuc powietrze. Jej historia była nudna jak cholera. Wystarczy włączyć telewizor, żeby usłyszeć powtórkę tej samej opowieści. Zanna nie została wyrzucona na ulicę. Nikt nie wykorzystał jej seksualnie. Co prawda jej rodzice rozwiedli się, ale obydwójce byli zacynymi ludźmi. Problemem Zanny była ona sama. Zaczęła palić trawkę, żeby pewien chłopak uważał, że fajna z niej dziewczyna. Zaczęła brać prochy, bo wszystko ją nudziło. Zaczęła palić metamfetaminę, bo chciała stracić parę kilogramów.

Mama Zanny zgodziła się, żeby córka mieszkała u niej, aż do chwili, gdy odkryła, że Zanna pali coś więcej niż tylko marlboro. Tata przygarnął ją do piwnicy w swoim domu, dopóki jego nowa żona nie znalazła poczerńiałych kawałków folii cynowej, która wydzielala zapach prawoślazu. Wtedy ulokowali ją w osobnym mieszkaniu. W zamian dostali trudną miłość, a później, po dwóch nieudanych próbach w klinice odwykowej, Zanna wylądowała na ulicy, zarabiając na działkę narkotyku tym, co miała między nogami.

- Powiedz mi prawdę - nalegał nieznajomy. - Jak tutaj trafiłaś?

Zanna spróbowała przełknąć ślinę, choć usta miała wyschnięte na wiór - sama nie wiedziała, czy z powodu głodu narkotykowego, czy z przerażenia, które budził w niej ten mężczyzna. Postanowiła więc powiedzieć mu to, co tacy faceci lubili słyszeć.

- Mój tatuś zrobił mi krzywdę.

- Bardzo mi przykro.

- Nie miałam wyboru - chlipnęła.

Wbijając wzrok w podłogę, wierzchem dłoni otarła udawane łzy. Pomyślała, że w końcu jej szczęka wypadnie z zawiasów, jak u boa

duciciela, bo miała już serdecznie dość nieustannego opowiadania tej wzruszającej historyjki.

- Nie miałam dokąd pójść... Spałam na ulicy. Seks jest czymś, co sprawia mi przyjemność, a w dodatku jestem w tym dobra, więc...

Ukląkł, żeby przyjrzeć jej się z bliska. Nawet na kolanach był wyższy niż ona. Zanna spojrzała na niego, a potem szybko odwróciła spojrzenie. Ten facet szukał pohańbionej kobiety. Tak jak ci ze starszego pokolenia. Oni to uwielbiali. Zanna mogłaby mu dać mnóstwo hańby. Valerie Bertinelli. Meredith Baxter. Tori Spelling. Zanna widziała to w każdym filmie z cyklu Lifetime, jaki dotąd zdarzyło się jej oglądać.

- Bardzo za nim tęsknię. To w tym wszystkim jest najsmutniejsze. - Spojrzała na mężczyznę i kilka razy mocno zamrugała. - Tęsknię za moim tatusiem.

Ujął jej dłoń, delikatnie zamykając ją między swoimi dłońmi. Zanna nie widziała nic poza swoim nadgarstkiem. Dotyk mężczyzny był bardzo subtelny, lecz mimo wszystko czuła się tak, jakby ten człowiek schwytał ją w pułapkę. Urywającymi haustami łapała powietrze. Strach był naturalnym uczuciem, które, jak sądziła, udawało jej się trzymać na wodzy, lecz w tym mężczyźnie było coś, co uruchamiało tę resztkę instynktu samozachowawczego, jaką jeszcze udało jej się utrzymać.

- Suzanna, nie okłamuj mnie.

W jej gardle wezbrała żółć.

- Wcale nie mam tak na imię. - Próbowała cofnąć ręce, lecz jego palce trzymały jej nadgarstki w żelaznym uścisku. - Nie powiedziałam ci przecież, jak się nazywam.

- Naprawdę?

Postanowiła, że zabije tego pieprzonego alfonsa. Za dwadzieścia dolców ekstra byłby gotów sprzedać własną matkę.

- Co za bzdury naopowiadał ci ten Terry? Ja mam na imię Trixie.

- Nie. - Mężczyzna się upierał. - Sama powiedziałaś mi, że nazywasz się Suzanna.

Poczuła ból, który promieniował aż do ramienia. Spojrzała w dół i zobaczyła, że on jedną dłońią ściska oba jej nadgarstki. Całym ciężarem opierał się o jej nogi, praktycznie przykuwając ją do krzesła.

- Nie walcz - wyszeptał, wolną ręką obejmując jej szyję. Czuła na karku koniuszki jego palców. - Chcę ci pomóc, Suzanna. Chcę cię uratować.

- Ja... n... n... nie...

Nie udało jej się wykrztusić słowa. Dusił ją. Nie mogła oddychać. Dreszcz paniki przeszył na wskroś jej ciało. Oczy uciekły ku górze, a strumyczek z kropli moczu pociekł po nogach.

- Odpręż się, siostrze.

Teraz wisiał nad nią, wodząc po niej wzrokiem, jakby nie chciał stracić ani sekundy z widoku, jak strach ją obezwładnia. Jego usta zmarszczyły się w uśmiechu.

- Niech Pan prowadzi moją dłoń.

OBECNIE

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 6

Sara maszerowała przez izbę przyjęć Grady Hospital, starając się nie dać wciągnąć do zajmowania konkretnymi przypadkami. Gdyby nawet wytatuowała sobie na czole „mam wolne”, to i tak pielęgniarki nie zostawiłyby jej w spokoju. Właściwie nie mogła mieć im tego za złe. W szpitalu zawsze było za mało personelu, za to zbyt duże obciążenie pracą. W całej studwudziestoletniej historii Grady Hospital nie zdarzył się ani jeden okres, kiedy podaż przeważała nad popytem. Praca tutaj była równoznaczna z rezygnacją z życia prywatnego, czego akurat Sara potrzebowała najbardziej, kiedy brała tę posadę. Tak naprawdę wtedy nie miała własnego życia. Świeżo owdowiała, mieszkająca w innym mieście, zaczynała wszystko od zera. Praca od świtu do nocy wydawała się jedynym sposobem, żeby poradzić sobie z wszystkimi trudami.

Zdumiewające, jak bardzo w przeciągu ostatnich dwóch tygodni zmieniły się jej potrzeby.

Albo w ciągu ostatniej godziny, jeśli o to chodzi. Sara nie miała pojęcia, co zaszło pomiędzy Willem i Amandą. Ich stosunki zawsze ją zadziwiały, ale tamta wymiana zdań, zanim Amanda runęła w dół schodów, wydała się wręcz dziwaczna. Nawet po wypadku, gdy było jasne, że Amanda została poważnie ranna, Will wydawał się bardziej zainteresowany wypytywaniem jej niż udzieleniem pomocy. Sara wciąż była zaszokowana tonem jego głosu. Nigdy wcześniej nie słyszała tak lodowatego brzmienia.

Zupełnie jakby był obcą osobą - nieznajomym, którego wcale nie miała ochoty poznać.

Przynajmniej Sara w końcu odkryła, co doprowadziło do tej rozmowy, choć wcale nie za sprawą własnej błyskotliwej dedukcji. Odbiornik telewizyjny w dyżurce pielęgniarek zawsze był nastawiony na kanał z wiadomościami, gdzie na pasku dniem i nocą nieustrudzenie przewijały się skrótowe najświeższych informacji. Zaginiona dziewczyna z Georgia Tech ustąpiła miejsca informacjom krajowym, pozyskanym dzięki uprzejmości CNN, których światowa centrala mieściła się kawałek dalej przy tej samej ulicy, co uniwersytet. Wideo z Amandą, która prowadziła konferencję prasową, było odtwarzane ze stałą częstotliwością, na zmianę z dziennikarzami przedstawiającymi jakieś dane statystyczne i wzmiankami dotyczącymi różnych spraw, które miały wypełnić dwudziestoczerogodzinny program.

Ostatnie spekulacje głosiły, że być może Ashleigh Renee Snyder sama upozorowała swoje uprowadzenie. Pojawiali się studenci, utrzymujący, że są bliskimi przyjaciółmi zaginionej, żeby opowiedzieć o szczegółach dotyczących jej życia osobistego oraz o obawach Ashleigh, że obleje egzaminy. Może rzeczywiście dziewczyna postanowiła gdzieś się zaszyć. Taka teoria nie była całkiem pozbawiona podstaw. Georgia знаła kilka historii o kobietach, które twierdziły, że zostały porwane. Najśłynniejszą spośród nich bez wątpienia była dziewczyna znana pod przezwiskiem Uciekająca Panna Młoda - głupia gęś, przez którą policja zmarnowała kilka dni ciężkiej pracy, ponieważ pannica postanowiła ukryć się przed swoim narzeczoną.

- Saro. - Pielęgniarka, spiesząca dokądś z wynikiem badań laboratoryjnych, wpadła prosto na nią. - Czy możesz rzucić okiem na...?

- Przepraszam, ale nie jestem dziś w pracy.

- To co tu robisz, do wszystkich diabłów? - Pielęgniarka nawet nie poczekała na odpowiedź, tylko pobiegła dalej.

Sara sprawdziła tablicę, żeby zobaczyć, czy Will dostał przydział sali. Generalnie sprawy tak przyziemne jak założenie szwów wymagały kilku godzin oczekiwania, lecz Sara, zanim przekazała Amandę, upewniła się, że dyżurna pielęgniarka nie zostawi Willa w izbie przyjęć. Został umieszczony na jednym z oddzielonych parawanem łóżek na końcu oddziału. Sara poczuła, jak sztywnieje, gdy zamiast własnego ujrzała obok nazwiska Willa nazwisko Berta Krakauera.

Czym prędzej skierowała się w tamtą stronę, a wywołujące wstrząs poczucie, że oto ktoś odbiera jej własność sprawiło, że przyspieszyła kroku. Parawan był odsunięty. Will siedział na łóżku, z kołdrą zwiniętą dookoła stóp. Co gorsza, Krakauer trzymał w ręku parę kleszczy.

- Och, nie! - zawołała, ruszając biegiem w kierunku obu mężczyzn.

- Co ty wyrabiasz?

Krakauer wskazał na uchwyt do igły.

- A co, nie pozwalali ci się tym bawić w szkole medycznej?

Sara uśmiechnęła się kwaśno.

- Dzięki. Od tej chwili ja przejmuję opiekę nad pacjentem.

Zrozumiał aluzję. Odłożył instrumenty na tacę, odwrócił się i odszedł. Sara spojrzała ostro na Willa, zasuwając zasłony.

- Miałeś zamiar pozwolić, żeby Krakauer cię zszywał?

- Tak. Czemu nie?

- Z tego samego powodu, dla którego nikt nie zostawił cię na pastwę losu na izbie przyjęć. - Sara umyła ręce. - Czy gdyby ktoś

włamał się do mojego mieszkania, pozwoliłbyś, żeby inny gliniarz poprowadził śledztwo?

- Zwykle nie zajmuję się włamaniami.

Osuszyła ręce papierowym ręcznikiem. Zwykle Will nie był aż tak tępy.

- Co jest?

- On powiedział, że trzeba mi założyć parę szwów.

- Nie o to mi chodzi. - Przycupnęła na brzegu łóżka. - Dziwnie się zachowujesz, odkąd tu przyjechaliśmy. Czy to chodzi o Amandę?

- Czemu tak myślisz? Czy coś ci powiedziała?

Sarę ogarnęło przyprawiające o dreszcze poczucie déjà vu.

Rozmawiała krótko z Amandą i zadała to samo pytanie dotyczące Willa.

- Co takiego Amanda miała mi powiedzieć?

- Nic ważnego. Zdaje się, że gadała od rzeczy.

- Według mnie była całkiem przytomna. - Sara powstrzymała się od trzymania rąk na biodrach jak nauczycielka, która gani niesfornego ucznia. - Widziałam w wiadomościach news o Ashleigh Snyder.

Will usiadł prosto.

- Znaleźli ją?

- Nie. Spekulują, że być może sfingowała całe uprowadzenie. Jedna z jej przyjaciółek wystąpiła przed kamerą i powiedziała, że Ashleigh miała niebawem wylecieć ze szkoły.

Will skinął głową, ale nie wyraził swojej opinii na ten temat.

- Będziesz pracował nad tą sprawą?

- Skądże - rzucił krótko. - Nadal będę chronił publiczne toalety Atlanty przed rozpasaniem przygodnych podróżnych.

- Dlaczego nie wzięli cię do rozpracowywania tej sprawy?

- O to musisz zapytać Amandę.

W ten sposób znów zatoczyli pełne koło.

- Co z nią? W porządku? - spytał Will, choć to pytanie wydawało się retoryczne. - Oczywiście mam na myśli Amandę.

Sara nigdy nie była dobra w walce na spojrzenia, zwłaszcza z kimś tak rażąco upartym jak facet, z którym sypiała przez ostatnie dwa tygodnie.

- Ma coś, co fachowo nazywa się złamaniem Collesa. Ortopedzi właśnie ją nastawiają. Potem wsadzą ją w gips. Dość mocno się potłukła, ale wyjdzie z tego. Normalnie powinna wrócić do domu, ale ponieważ straciła przytomność, więc zapewne zatrzymają ją na noc na obserwację.

- To dobrze.

Wpatrywał się w nią pustym spojrzeniem. Sara odniosła wrażenie, że równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Napięcie pomiędzy nimi narastało z każdą chwilą.

Delikatnie ujęła jego dłoń.

- Will...

- Dzięki, że mi powiedziałaś.

Czekała przez chwilę, żeby dodał coś więcej. A potem zdała sobie sprawę, że mają tylko dwanaście godzin, zanim będzie za późno na zszycie kolana. Założyła parę chirurgicznych rękawiczek. Sądząc z bałaganu, Krakauer zdążył już oczyścić ranę.

- Czy twoja kostka jest już całkiem odrętwiała?

Will skinął głową.

- No to zobaczmy, co tu mamy...

Palcami obmacała miejsce dookoła otwartej rany. Rozdarcie było długie na dwa i pół centymetra i przynajmniej w połowie tak głębokie. Kiedy zsunęła brzegi rany, pojawiła się kropla świeżej krwi.

- Nie sądzisz, że lepiej było mnie uprzedzić, że gwóźdź wbił ci się w kostkę?

- Ten drugi lekarz mówił, że to prawie nie wymaga założenia szwów.

- Ten drugi lekarz pewnie już nigdy nie będzie miał okazji oglądać twoich kostek.

Sara nogą pokręciła stołek, żeby móc wygodnie usiąść. Wzięła skalpel i ostrzem nadała ranie kształt elipsy.

- Postaram się zrobić to tak, żeby nie została blizna.

- Wiesz przecież, że to nie ma znaczenia.

Podniosła na niego wzrok. Na ciele nosił o wiele gorsze blizny. To było coś, o czym nie rozmawiali. Jedna z wielu spraw, o których nie należało wspominać.

Mimo to postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Powiedz mi, co się z tobą dzieje?

Will pokręcił głową i odwrócił od niej wzrok. Widziała, jak zaciska szczęki. Najwyraźniej wciąż gotował się ze złości, choć Sara nie miała pojęcia, dlaczego. Nie było sensu dłużej pytać. Choć Will Trent był przemyślnym i delikatnym facetem, Sara już zdążyła się dowiedzieć, że był mniej więcej tak samo wylewny jak ktoś, kto cierpi na zaniki pamięci oraz szczękościsk.

Nie wiedziała, jak zareagować, więc zajęła się zszywaniem rany. Jej okulary zostały w torebce, która, jak sądziła, leżała zamknięta w samochodzie, więc pochyliwszy się nisko, zahaczyła igłą ciało tuż pod powierzchnią skóry. Chromowa nić na przemian ukazywała się i zniknęła, pozostawiając za sobą ślad w postaci pojedynczego, równiutkiego szwu. Pociągnąć, zapętlić, odciąć. Pociągnąć, zapętlić, odciąć. Przez minione lata Sara tyle razy powtarzała tę czynność, że

teraz odruchowo włączyła autopilota, co niefortunnie pozostawiło mnóstwo czasu na swobodną wędrówkę myśli.

W jej głowie natychmiast zaświtało to samo pytanie, które zadawała sobie od dwóch tygodni: Co ty wyrabiasz, dziewczyno?

Will wpadł jej w oko. Był pierwszym mężczyzną, z którym związała się od czasu, kiedy zmarł jej mąż. Dobrze się czuła w jego towarzystwie, ponieważ był zabawny i bystry. I przystojny. I niewiarygodnie sprawny w łóżku.

Przedstawiła go swojej rodzinie. Jej psy go uwielbiały. Sara uwielbiała jego psa. W ostatnich tygodniach Will właściwie wprowadził się do jej mieszkania, choć pod pewnymi względami wciąż czuł się w nim jak ktoś obcy.

Te parę epizodów ze swojej przeszłości, które zdecydował się ujawnić, zostało starannie obtoczonych w cukrze. Nigdy nie przytrafiło mu się nic okropnego. Nikt nigdy nie potraktował go źle. Słuchając Willa, można było odnieść wrażenie, że prowadził dość urokliwe życie. Nieważne, że na jego ciele pozostały blizny po gaszeniu papierosów oraz ślady po rażeniu prądem. I niewielkie wgłębienie w górnej wardze, świadczące o tym, że kiedyś musiała zostać rozdarta na dwoje. I szrama, która ciągnęła się wzdłuż kości szczęki. Sara całowała te miejsca i gładziła je rękoma, jakby blizny wcale nie istniały.

Prawie się udało.

Sara spojrzała na Willa. Wciąż odwracał głowę w inną stronę.

Zrobiła ostatni supel i wzięła nową igłę, w którą nawleczona była nicią z Prolene. Teraz zaczęła zszywać warstwę podskórną, zygzakiem posuwając igłą w przód i w tył, podczas gdy w myślach przez cały czas ganiła się za to, że pozwalała Willowi milczeć.

Na początku znajomości nie stanowiło to najmniejszego problemu. Było mnóstwo o wiele ciekawszych rzeczy, które Will potrafił robić ustami, niż opowiadać o sobie. Jego powściągliwość zaczęła ją dręczyć dopiero w ciągu kilku ostatnich dni. Sara złapała się na tym, że zastanawia się, czy on był skłonny dać coś więcej, ale zrezygnował, ponieważ ona zadowolila się czymś mniejszym.

Nawet gdyby jakimś cudem zdecydował się otworzyć serce przed Sarą, wciąż pozostawał spory problem, jakim był fakt istnienia jego żony. Mówiąc uczciwie, Sara obawiała się Angie Polaski, i to nie tylko dlatego, że ta kobieta zostawiała jej paskudne liściki za wycieraczką auta. Angie snuła się w życiu Willa jak jakaś mglista trucizna. Radość, którą Sara poczuła, gdy Will zdecydował się pokazać jej swoje dawne sąsiedztwo, rozplynęła się bez śladu na myśl, że każde takie wspomnienie w jakiś sposób jest związane także z Angie. Nie musiał nawet wymawiać jej imienia. Sara i tak wiedziała, że on o niej myśli.

To z kolei zrodziło w niej wątpliwości, czy w życiu Willa istnieje w ogóle miejsce dla kogoś innego niż Angie Polaski.

- Proszę. - Sara dokończyła szew i zasupłała nitkę. - To musi tak zostać przez dwa tygodnie. Dam ci do domu wodoodporną opaskę, żebyś mógł brać prysznic. I zapiszę ci tylenol, żeby nie bolało.

- Mam jeszcze trochę tego w domu. - Patrzył na swoje dłonie, zajęte rozwijaniem nogawki spodni. - Pewnie tam zostanę na noc.

Zajął się wkładaniem skarpetek, wciąż uparcie unikając jej spojrzenia.

- Muszę zrobić pranie. I sprawdzić, co z psem.

Sara wpatrywała się w niego, nawet nie starając się tego ukryć. Will wciąż zaciskał szczęki i w ogóle wyglądał jak uosobienie trzymanego

na wodzy gniewu. Nie była pewna, czy ten gniew nadal kieruje się wyłącznie w stronę Amandy.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie.

Odpowiedź była zwięzła, szybka i z pewnością nieprawdziwa.

- W porządku.

Sara odwróciła się plecami i jednym szarpnięciem zdarła lateksowe rękawiczki. Wrzuciła je do pojemnika na odpady, a następnie zajęła się czyszczeniem przyborów do zakładania szwów. Za plecami słyszała, jak Will się rusza - zapewne szukał swojego buta. Zwykle Sara miała w zapasie nieskończone pokłady cierpliwości, ale ten paskudny dzień sprawił, że jej zapas znacznie się skurczył. Sięgnęła pod łóżko i wyłowiła z koszyka zaginiony but.

- Wyświadczysz mi pewną przysługę, skarbie? - spytała z przesadną słodyczą.

Chwilę trwało, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

- Tak?

- Nie mów mi o tym, co wydarzyło się dziś wieczorem, dobrze? - Rzuciła but mniej więcej w jego kierunku. Złapał go bez problemu, co tylko bardziej ją zirytowało. - Nie mów mi, co sądzisz na temat Amandy, młota, który przywiozła, albo na przykład co robiła w domu, w którym dorastałeś, kiedy powinna była zajmować się prowadzeniem śledztwa... A już z pewnością nie wspominaj o tym, co powiedziała ci w piwnicy, i co tak tobą wstrząsnęło, że wpadłeś w emocjonalną katatonię. Przynajmniej bardziej niż zwykle... - Przerwała, żeby wziąć głęboki oddech. - Po prostu zignoruj to wszystko, dobrze?

Gapił się na nią przez kilka sekund, aż wreszcie się odezwał.

- Według mnie to znakomity pomysł... Zobaczymy się później - dorzucił, wpychając stopę do buta.

- No jasne - odparła.

Opuściła wzrok na wyświetlacz cyfrowego tableta, jakby faktycznie chciała przeczytać to, co było na nim napisane. Palcami trafiała w przypadkowe klawisze. Czuła, że Will zawahał się przez chwilę, a potem energicznie zasunął zasłonę. Na podłodze zaskrzypiały podeszwy jego butów. Sara siedziała z opuszczoną głową, odliczając w pamięci. Kiedy doszła do sześćdziesięciu, podniosła spojrzenie.

Will poszedł.

- Cholerny dupek - syknęła, zsuwając tablet na blat stolika.

Wcześniej Sara czuła się zmęczona jak diabli, lecz teraz ogarnęło ją takie poirytowanie, że zapomniała o wszystkim poza swoją złością. Umyła ręce. Woda okazała się tak gorąca, że z łatwością mogła poparzyć sobie dłonie, ale mimo to tarła skórę coraz mocniej. Nad zlewem wisiało lustro. Zobaczyła, że jej włosy były w nieładzie, a na rękawie zastygło parę kropli krwi. To był pierwszy wieczór, kiedy wróciła do domu w swoim roboczym stroju. Przez ostatnie dwa tygodnie pilnowała, by po zakończeniu dyżuru wziąć prysznic, a następnie przebrać się w sukienkę lub coś równie atrakcyjnego i dopiero wówczas iść na spotkanie z Willem.

A może właśnie na tym polegał problem? Może całe zajście z Amandą nie miała z tym nic wspólnego? Wcześniej, kiedy szli ulicą, zdarzyło się, że Will omiótł Sarę spojrzeniem - jej skołtunionie włosy, jej byle jakie ciuchy - i wyczytała w jego wzroku, że tym razem nie wywarła na nim szczególnego wrażenia. Will zawsze był nienagannie ubrany. Pewnie pomyślał, że niezbyt się postarała. Albo może chodziło o coś więcej. Widział przecież, jak płakała w samochodzie. Może ten płacz go odstręczył? Ale jeśli tak, to czemu zdecydował się

zaprowadzić ją do domu, w którym spędził dzieciństwo? To, że zdecydował się podzielić z nią tak osobistymi wspomnieniami sprawiło, iż Sara poczuła, jakby ich związek w końcu zaczynał nabierać rumieńców.

A potem znaleźli się tutaj, gigantycznymi susami posuwając się wstecz i potykając o własne nogi.

- No, cześć - odezwała się Faith, stając przy otwartej zasłonie.

Partnerka Willa na jednym ręku trzymała swoją pięciomiesięczną córkę, a w drugim ogromną torbę z jednorazowymi pieluszkami.

- Co się dzieje?

Sara postanowiła od razu przejść do sedna sprawy.

- A co, aż tak źle wyglądam?

- Jesteś ode mnie wyższa o piętnaście centymetrów, za to ważysz o pięć kilo mniej. Czy naprawdę chcesz, żebym odpowiedziała ci na to pytanie?

- No dobrze, wystarczy. - Sara wyciągnęła ręce po małą Emmę. - Mogę?

Jednak Faith nadal trzymała niemowlę na ręku.

- Wierz mi, na pewno nie chciałybyś znaleźć się w pobliżu takiego paskudztwa. Najpierw muszę wywalić ten niebezpieczny ładunek, który ma w pieluszce.

Zapach rzeczywiście był dość nieprzyjemny, lecz mimo to Sara wzięła niemowlaka. Jaka miła odmiana, wreszcie trzymać w ramionach zdrowe dziecko, pomyślała.

- Domyślam się, że przyszedłeś odwiedzić Amandę.

Mąż Sary także pracował w policji, więc już dawno poznała reguły gry. Jeśli jeden z nich znalazł się w szpitalu, natychmiast zjawiali się tam wszyscy.

- Albo zwyczajnie stęskniłaś się za Willem.

- Jestem zdumiona, że w ogóle dał się tu zaciągnąć. Nienawidzi tego miejsca. - Faith wyjęła z torby świeżą pieluszkę i kilka mokrych chusteczek. - Wiesz, co się przydarzyło Amandzie?

- Upadła i złamała nadgarstek. Przez pewien czas będzie musiała chodzić w gipsie, ale w sumie to nic groźnego.

Położyła małą Emmę na łóżku. Faith pewnie przypuszczała, że Sara właśnie jest na dyżurze. Na tym właśnie polegał kłopot z tajemnicami Willa - Sara doszła do wniosku, że ze względu na niego ona także stara się utrzymać pewne sprawy w sekrecie. W żaden sposób nie mogła opowiedzieć Faith, co stało się Amandzie, nie ujawniając przy okazji, że była świadkiem całego zdarzenia.

- Zgodnie z rozkładem. - Faith wskazała grupkę starszych kobiet, które zgromadziły się w pobliżu dyżurki pielęgniarek. Z wyjątkiem rzucającej się w oczy swoim strojem czarnoskórej Amerykanki, która okręciła dookoła szyi różowy szal, wszystkie panie ubrane były w takie same dresy, nosiły identycznie obcięte krótkie fryzury i trzymały się prosto jak strzała.

- Dobrze, stare kumpelki - wyjaśniła Faith. - Mama i Roz już są przy Amandzie. Jestem pewna, że będą aż do świtu opowiadać sobie historyjki z czasów wojny.

Sara wycierała pupę Emmy. Dziecko wierciło się, więc podrapała je po brzuszku.

- No, skarbie, jak dajesz sobie radę z mamusią? - spytała.

- Chcesz się dowiedzieć, czy już miałam ochotę ją udusić? - Faith usadowiła się na stołku. - Codziennie rano mam dla siebie dziesięć minut, najfajniejszych w całym dniu, zanim Emma się obudzi i będę musiała ją nakarmić i ubrać. Później sama jem i przygotowuję się do wyjścia, no a potem w pracy zaczyna się normalny młyn. Telefon dzwoni bez przerwy i rozmawiam z idiotami, którzy usiłują mnie

okłamać, i tak aż do następnego ranka, kiedy znowu mam dla siebie te cudowne dziesięć minut.

Faith popatrzyła na Sarę znacząco.

- Moja mama codziennie rano jest na nogach już o piątej. Słyszę piętro niżej jej szuranie, czuję zapach kawy i jajeczniczy, a kiedy w końcu schodzę na dół do kuchni, mama jest w świetnym humorze i ma ochotę na pogawędkę, chce koniecznie porozmawiać o swoich planach na ten dzień i opowiedzieć, co wczoraj wieczorem widziała w wiadomościach; pyta, co mam ochotę zjeść na śniadanie i co ma mi przygotować na kolację... Przysięgam na Boga, Saro, że to skończy się tak, że któregoś dnia ją uduszę. Naprawdę.

- Ja też mam matkę - westchnęła Sara. - Doskonale cię rozumiem.

Wsunęła pod pupę niemowlęcia świeżą pieluszkę. Emma zamachała nóżkami, próbując przekreślić się na brzusek.

- Co robisz, kiedy Will jest na lotnisku?

- Myślałam, że wiesz.

- Że niby co wiem?

- Amanda wyznaczyła go do pilnowania toalet, więc w dzień mam teraz wolne i mogę wozić mamę na zajęcia z fizjoterapii. - Faith wzruszyła ramionami. - Wiesz chyba, że to nie pierwszy raz, kiedy mama albo Amanda naginają zasady, żeby wyświadczyć sobie przysługę.

- Więc Amanda nie zrobiła tego, żeby ukarać Willa za jego fryzurę?

- A co jest w niej złego? Will świetnie wygląda.

- Najwyraźniej Will był w doskonałej formie, jeśli chodzi o odczytywanie kobiecych myśli.

- Nie bardzo rozumiem, na czym polegają ich układy.

- Amandy i Willa? Czy może Willa i reszty świata?

- Którerekolwiek. Oba.

Sara zapięła śpioszki i pogładziła palcami buzię dziecka. Emma uśmiechnęła się od ucha do ucha, pokazując maleńkie białe plamki w miejscach, gdzie dwa pierwsze ząbki przedzierały się przez dolne dziąsła. Gdy Sara przesuwała rękę tam i z powrotem, spojrzenie Emmy bacznie śledziło jej ruchy.

- Ona powoli staje się prawdziwą osobą.

- Ostatnio ciągle się ze mnie śmieje. Staram się nie brać tego osobiście.

Sara posadziła sobie Emmę na biodrze, oplątując rączką dziecka swoją szyję.

- Jak długo Will pracuje dla Amandy?

- O ile wiem, to od początku swojej zawodowej kariery. Negocjacje w sprawie zakładników. Narkotyki. Przestępstwa szczególnego rodzaju.

- Czy to normalne, że ktoś przez całą zawodową karierę pracuje z jednym szefem?

- Raczej nie. Gliniarze są jak koty. Prędzej zmieniają właścicieli niż miejsce pobytu.

Sara nie potrafiła sobie wyobrazić, że Will mógł poprosić o przeniesienie go razem z Amandą. Rzadko wygłaszał pochwalne peany na jej cześć, zaś Amanda wydawała się mieć prawdziwą przyjemność w zadawaniu mu tortur. Jednak jeśli Will posiadał jakąś nadrzędną cechę charakteru, to bez wątpienia była nią niechęć do jakichkolwiek zmian. Ten fakt powinna potraktować jako ostrzeżenie.

- No dobrze, teraz moja kolej na zadawanie pytań. - Faith wzięła się pod łokcie. - Właściwie mam tylko jedno, ale bardzo ważne: kiedy wreszcie weźmiesz go za te ostrzyżone na jeża kłaki i zmusisz, żeby załatwił sobie ten pieprzony rozwód?

Sara zdołała zmusić się do uśmiechu.

- To bardzo kusząca perspektywa.

- Więc czemu nic z tym nie robisz?

- Ponieważ ultimatum nigdy się nie sprawdza. Poza tym nie chcę, żeby dla mnie opuścił swoją żonę.

- Ale on chce ją opuścić.

Sara nie zamierzała potwierdzać oczywistości. Gdyby Will naprawdę chciał uzyskać rozwód, toby go uzyskał.

Faith wydeła usta i prychnęła.

- Pewnie nie chcesz żadnej rady od kobiety, która nigdy nie była mężatką, za to ma jedno dziecko w college'u, a drugie w pieluchach.

Sara roześmiała się.

- Nie musisz rozprawiać się ze sobą tak szybko.

- No cóż, fajni faceci nie ustawiali się w kolejce, żeby umawiać się na randki z policjantką, za to mnie jakoś nie pociągają takie bezużyteczne dupki, które chętnie ożenią się z panią oficer.

Trudno było się z nią spierać. Faktycznie, niewielu facetów ma tak ognisty temperament, żeby umawiać się na randki z dziewczyną, która może ich aresztować.

- Czy Will coś ci mówił? - poprawiła się Faith. - To znaczy o sobie? Czy cokolwiek ci powiedział?

- Trochę. - Nagle Sara poczuła się niedorzecznie winna, że Will nie otworzył się przed nią. - W sumie spotykamy się od niedawna.

- Mam w głowie długą listę pytań - przyznała Faith. - Na przykład, co się stało z jego rodzicami? Dokąd poszedł, kiedy dorósł i wypadł z systemu opieki społecznej? Jakim cudem udało mu się skończyć college? W jaki sposób dostał się do GBI? - Uważnie popatrzyła na Sarę, ale ona tylko wzruszyła ramionami. - Statystycznie rzecz biorąc, dzieciaki z sierocińców mają osiemdziesiąt procent szans, że przed

ukończeniem dwudziestu jeden lat wylądują w areszcie. Sześćdziesiąt procent z nich kończy w więzieniu.

- Mniej więcej się zgadza.

Sara w kółko przerabiała ten scenariusz, bo takie dzieci często lądowały na oddziale ratunkowym. Jednego dnia leczyła dzieciaka z powodu bólu ucha, a drugiego widziała, jak przykuty kajdankami do noszy czeka na transport do więzienia. Fakt, że Will dzięki swoim zdolnościom zdołał wyłamać się z tego zabójczego schematu, był jedną z rzeczy, które budziły jej największy podziw. Pomimo niesprzyjających okoliczności osiągnął w życiu sukces.

Jednak była całkowicie przekonana, że Will za nic by nie chciał, żeby rozmawiała o jego sprawach z Faith, więc szybko zmieniała temat.

- Czy pracujesz przy śledztwie w sprawie Ashleigh Snyder?

- Chciałabym - westchnęła Faith. - Ale nie robię sobie wielkich nadziei. To jeszcze nie znalazło się w wiadomościach, ale ona zniknęła już jakiś czas temu, a ci jej niby przyjaciele, którzy pchają się przed kamery, zwyczajnie niczego nie wiedzą.

- Kiedy dokładnie?

- Jeszcze przed przerwą wiosenną.

- To było w zeszłym tygodniu.

Na oddziale ratunkowym od razu zauważano takie sprawy, ponieważ lawinowo rosła liczba zatruć alkoholem oraz psychoz spowodowanych zażywaniem narkotyków.

- Nikt nie zwrócił uwagi, że wyparowała?

- Jej rodzice myśleli, że pojechała na Redneck Riviera, a z kolei kumple, że postanowiła odwiedzić rodziców. Koleżanka, która z nią mieszka, czekała całe dwa dni, zanim zgłosiła zaginięcie. Podobno

sądziła, że Ashleigh poznała jakiegoś chłopaka, więc zwyczajnie nie chciała narobić jej kłopotów.

- Czyli raczej nie ma szans, że sama sfingowała porwanie?
- W jej sypialni było mnóstwo krwi - na poduszce, na dywanie.
- I koleżanka nie pomyślała, że jest w tym coś dziwnego?
- Mam syna w tym wieku. Taka młodzież jest niesamowicie tępa.

Osobiście wątpię, czy gdyby prom kosmiczny wylądował mu na czole, to czy uznałby ten fakt za coś niezwykłego - oświadczyła Faith i zaraz gładko przeskoczyła do poprzedniego tematu. - Mogłabyś zerknąć w dokumentację medyczną Willa?

Ta propozycja kompletnie zaskoczyła Sarę.

- Jego akta z okresu niepełnoletności zostały zapieczętowane - możesz mi wierzyć, bo próbowałam się do nich dostać. Ale przecież w Grady Hospital muszą być jakieś rejestry z czasów, kiedy Will był dzieckiem.

Głęboki rumieniec wypełził na policzki i dekolci Sary. Szczerze mówiąc, rozważała kiedyś taką opcję, ale zdrowy rozsądek zwyciężył.

- Zagląwanie do cudzych akt bez zgody zainteresowanego jest nielegalne. Poza tym...

Nagle zamilkła. Sama przed sobą musiała przyznać, że trochę mija się z prawdą. Posunęła się do tego, żeby pójść do archiwum i poprosić o sprawdzenie. Jedna z sekretarek wyjęła kartę pacjenta z danymi Willa. Sara wzięła ją do ręki, lecz na naklejce wypisane było nazwisko Wilbura Trenta, tymczasem w licencji Willa widniało czarno na białym, że nazywa się William Trent. Sara widziała to na własne oczy, kiedy poprzedniego wieczora Will otworzył portfel, żeby zapłacić za kolację. - Więc dlaczego Amanda nazwała go Wilburem?

- Hej! - zawołała Faith, pstrykając jej przed nosem palcami. - Jesteś tutaj?

- Przepraszam, chyba na moment przeniosłam się w inne rejony. - Sara przełożyła Emmę na drugie biodro. - Ja po prostu...

Intensywnie starała się przypomnieć sobie, o czym przed chwilą rozmawiały.

- ... nie mam zamiaru go szpiegować - dokończyła.

Przynajmniej to było prawdą. Sara chciała wiedzieć co nieco o przeszłości Willa, ponieważ byli kochankami, a nie dlatego, że zamierzała napisać jakąś nieprzyzwoitą rozprawę.

- Obiecał, że o wszystkim mi opowie, kiedy będzie na to gotowy.

- No cóż, w takim razie powodzenia - odparła Faith. - Ale gdybyś tymczasem dowiedziała się czegoś ciekawego, daj mi znać.

Sara zagryzła wargi, wpatrując się w Faith. Niepohamowana potrzeba, żeby dobić targu, narastała w niej coraz szybciej.

Pojawienie się Amandy w dawnym sierocińcu. Młotek. Trudny do wytłumaczenia gniew Willa. Jego nagłe pragnienie, żeby zostać sam na sam z Amandą.

Faith była sprytna jak diabli. Zanim została agentem specjalnym GBI, pracowała w policji w Atlancie jako detektyw do spraw zabójstw. Przez dwa lata była partnerką Willa, zaś jej matka należała do grona starych przyjaciółek Amandy. Jeśli Sara podzieli się z nią informacją o tym, co dziś wieczorem wydarzyło się w sierocińcu, może Faith pomoże jej poskładać w całość wszystkie wskazówki.

I wtedy Will będzie dla niej stracony na zawsze.

- Posłuchaj, Faith - zaczęła. - Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółkami. Naprawdę bardzo cię lubię. Ale nie chciałabym rozmawiać o Willu za jego plecami. On musi wiedzieć, że zawsze i w każdej sytuacji jestem po jego stronie.

Przyjęła te słowa lepiej niż się Sara spodziewała.

- Masz stanowczo za dobrze poukładane w głowie, żeby wiązać się z jakimś gliniarzem. Zwłaszcza z Willem.

Sarze przyszło do głowy, że być może ich związek już dobiegł końca, ale zachowała to dla siebie.

- Dziękuję, że mnie rozumiesz.

Faith machnęła ręką do jakiejś starszej kobiety, która przystanęła obok dyżurki pielęgniarek. Nieznajoma nie miała na sobie dresu, lecz dzinsy i bluzkę w kwiaty, jednak roztaczała wokół siebie tak wyraźną aurę oficera policji, że nie mogło być mowy o żadnej pomyłce.

Chodziło o sposób, w jaki rozglądała się po pomieszczeniu, zauważając porządných obywateli i wyławiając wprawnym okiem tych, którzy ewentualnie mogli sprawiać kłopoty. Pomachała do Faith, sprawdziła listę pacjentów i ruszyła w kierunku sali, w której leżała Amanda.

- Po jedenastym września brała udział w ćwiczeniach Mossadu - rzuciła Faith. - Ma dwoje dzieci i troje wnucząt, a za sobą pięć rozwodów, w tym dwa razy z tym samym mężczyzną. I dokonała tego wszystkiego, nie wkładając dresów. - Głos Faith był pełen czci. - Jest dla mnie niedościgłym wzorem.

Sara zakołysała Emmę w taki sposób, żeby zerknąć na jej twarzyczkę. Dookoła niemowlęcia unosił się zapach lekko spoconego ciała, zmieszany z wonią chusteczek do wycierania pupy.

- Twoja mama też może być dla ciebie wzorem.

Faith wzruszyła ramionami.

- Za bardzo się różnimy. Mama jest spokojna, szalenie systematyczna, do bólu obowiązkowa, a ja... No cóż, ostatecznie i tak wszyscy damy nura pod ziemię.

Ta konkluzja mogła wydawać się nieco dziwna w wypadku kobiety, która zawsze wozila w bagażniku naładowaną dubeltówkę.

- Czuję spokój na myśl, że jesteś razem z Willem... - oznajmiła, choć wiadomo było, że Faith nigdy nie zrozumie, jak wielki komplement usłyszała od Sary. - W sytuacji podbramkowej wykazujesz zimną krew.

- Jak tylko przestaję się wygłupiać. - Faith machnęła ręką w stronę pokoju Amandy. - Możesz teraz zdetonować bombę, a kiedy opadnie kurz, one wszystkie nadal tu będą, z odbezpieczoną bronią, gotowe do walki.

Sara miała okazję widzieć Amandę w kilku naprawdę trudnych sytuacjach. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że Faith się myli.

- Mama mówiła, że kiedy wstępowały do służby, pierwsze było pytanie o ich życie seksualne. Czy są dziewicami? Jeżeli nie, to z iloma mężczyznami spały, czy było ich więcej niż jeden? Może mniej niż trzech?

- Czy to zgodne z prawem?

- Wszystko jest zgodne z prawem, jeśli uchodzi ci to na sucho. - Faith uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Pytali mamę, czy w razie gdyby została przyjęta do służby, będzie uprawiać seks z policjantami. Odpowiedziała, że wszystko zależy od tego, jak wyglądają.

- A co z Amandą? - zapytała Sara. Upadek do piwnicy sprawił, że przywołała z pamięci pierwsze dni służby. Może istniał jakiś powód, dla którego to zrobiła. - Czy ona zawsze była gliniarzem?

- O ile wiem, to tak.

- I nigdy nie zajmowała się sprawami nieletnich?

Oczy Faith zwięziły się w dwie szparki. Sara niemal widziała, jak w mgnieniu oka budzi się w niej detektyw.

- Do czego zmierzasz?

Cała uwaga Sary nadal koncentrowała się na Emmie.

- Zwyczajnie byłam ciekawa. Will nie opowiadał mi zbyt wiele na jej temat.

- Bo nie mógł - wyjaśniła Faith. - Ja praktycznie dorastałam przy Amandzie. Przez całe lata umawiała się na randki z moim wujkiem, ale ten idiota nigdy nie zdobył się na to, żeby poprosić ją o rękę.

- Więc nigdy nie wyszła za mąż? Nie ma dzieci?

- Ona nie może mieć dzieci. Wiem, że próbowała, ale okazało się to niemożliwe.

Sara wpatrywała się w malutką Emmę. Przynajmniej jedna rzecz łączyła ją z Amandą, ale nie było to coś, czym należy się chwalić.

- Czy potrafisz wyobrazić ją sobie w roli matki? Już lepsza byłaby Casey Anthony*.

** Casey Anthony - amerykanka oskarżona o zamordowanie swojej dwuletniej córki.*

Emma dostała ataku czkawki, więc Sara pomasaowała jej brzusek. Uśmiechnęła się do Faith, myśląc - marząc! - o tym, żeby szczerze z nią porozmawiać, choć wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Od dawna nie czuła się tak osamotniona.

Oczywiście, zawsze mogła zadzwonić do swojej matki, ale nie czuła się przygotowana na wykład o tym, co słuszne, a co niesłuszne, zwłaszcza że świetnie widziała różnicę, która mniej upodabniała ją do bohaterki gorącego romansu, a bardziej do kobiety, która z rezygnacją pozwoliła zrobić z siebie wycieraczkę przed drzwiami. Dokładnie o czymś takim mówiła Cathy Linton: dlaczego dajesz wszystko mężczyźnie, który nie może albo nie chce dać ci niczego w zamian.

- Czy to ty, czy Emma? - spytała nagle Faith.

Sara zorientowała się, że pochrząkuje.

- Ja. Właśnie doszłam do wniosku, że moja matka miała w pewnej sprawie całkowitą rację.

- Boże, jak ja tego nienawidzę - mruknęła Faith i usiadła prosto. - A skoro już o wilku mowa...

Obok dyżurki pielęgniarek przystanąła Evelyn Mitchell. Wydawało się, że jest odlana na tej samej matrycy, co wszystkie jej koleżanki: dopasowany do figury dres, szczupła postać, pewna siebie postawa - nawet wówczas, gdy nie mogła obyć się bez kul. Najwyraźniej rozglądała się za córką.

Faith niechętnie podniosła się z miejsca.

- Cóż, obowiązek wzywa...

Powłokła się w kierunku dyżurki pielęgniarek, szurając nogami po podłodze.

Sara podniosła Emmę wyżej i końcem nosa połaskotała jej nosek. W odpowiedzi dziewczynka zapiszczała z uciechy, ukazując dwa rzędy różowiućkich dziąseł. Jeśli ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy Faith Mitchell jest dobrą matką, wystarczyło, by popatrzeć na jej szczęśliwą córeczkę. Sara musnęła ustami policzek dziewczynki, a wtedy malutka zaniósła się radosnym chichotem. Jeszcze kilka pocałunków i chichot zamienił się w cichutkie pochrapywanie. Mała parę razy wierzgnęła w powietrzu nóżkami. Sara znów ją pocałowała.

- Jego KTO? - rozległ się wrzask Faith.

Jej głos rozległ się echem na całym oddziale ratunkowym. Obie, matka i córka, bez skrępowania gapiły się na Sarę. Z tej odległości mogły uchodzić za bliźniaczki. Obie tego samego wzrostu i mniej więcej tej samej wagi. Obie z burzą blond włosów i znajomym zaokrągleniem ramion. Mina Faith wydawała się wyraźnie zatroskana, podczas gdy twarz Evelyn pozostała nieodgadniona jak

zawsze. Starsza kobieta coś powiedziała i Faith skinęła głową, zanim znów ruszyła w stronę Sary.

- Wybacz - powiedziała, wyciągając ręce po dziecko. - Muszę lecieć.

Sara podała jej niemowlę.

- Wszystko w porządku?

- Nie wiem.

- Chodzi o Ashleigh Snyder?

- Nie... Tak. - Faith znów otworzyła usta i zaraz zamknęła.

Zdecydowanie coś poszło nie tak. Faith nie ulegała łatwo przestraszowi, Evelyn Mitchell nie należała do osób, które oszczędnie przekazują posiadane przez siebie informacje.

- Faith, przerażasz mnie - zawołała. - Czy z Willem wszystko w porządku?

- Ja nie... - zaczęła Faith i zamilkła. - No wiesz, ja nie mogę...

Znów urwała, a jej usta przypominały teraz cieniutką, białą kreskę. W końcu przemówiła.

- Miałaś rację, Saro. Pewne sprawy musimy zatrzymać dla siebie.

Po raz drugi tego wieczora zdarzyło się, że ktoś, kto chciał zachować coś w sekrecie, odwrócił się plecami do Sary i po prostu odszedł.

11 lipca 1975 roku

PIĄTEK

ROZDZIAŁ 7

Amanda przeglądała podręcznik ze szkolenia dla kobiet, zaznaczając ustępy, z którymi powinna się zaznajomić przed wieczornymi zajęciami. Siedziała na siedzeniu pasażera plymoutha fury, należącego do Kyle'a Petersona. Policyjne radio brzęczało cichutko, ale wprawne, wyćwiczone wiele lat temu ucho Amandy potrafiło wyłowić z tego szumu istotne wezwania. Odwróciła kartkę i zaczęła czytać następny rozdział.

Żeby zrozumieć długofalowe skutki metody podziału płci, najpierw należy poddać drobiazgowej analizie hipotezę falliczną w odniesieniu do podświadomości.

- Cholera... - mruknęła Amanda. Cokolwiek to miało oznaczać.

Samochód zadrżał, kiedy siedzący z tyłu Petersen przekreślił się na drugi bok. Przez chwilę przyglądała się jego odbiciu w lusterku umieszczonym nad przednią szybą, marząc, żeby facet się nie obudził. Już i tak dziś rano zmarnowała prawie całą godzinę na otrząsaniu z siebie jego rąk, a potem kolejne pół godziny upłynęło na przeproszaniu, żeby wreszcie przestał się dąsać. Dzięki Bogu, że flaszka, którą nosił w kieszeni okazała się na tyle pełna, żeby jej zawartość zwała go z nóg, bo w przeciwnym razie Amanda w życiu nie znalazłaby czasu, żeby przeczytać wyznaczone zadania.

Choć w zasadzie nie rozumiała z nich ani słowa. Niektóre ustępy zasługiwały wręcz na miano obscenicznych. Gdyby tamte kobiety były chętne dowiedzieć się, jak funkcjonują ich pochwy, z pewnością zaczęłyby golić nogi i w końcu znalazłyby mężów.

W radiu coś trzasnęło. Amanda słyszała męski głos, który na zmianę uciekał albo przybierał na sile. W całym mieście były dziury, gdzie zasięg fal radiowych był kiepski lub nawet żaden, ale nie na tym polegał problem. Jeśli zdarzyło się, że czarny policjant wzywał posiłki, biali blokowali transmisję, wciskając guziki w swoich mikrofonach. Gdy godzinę później o wsparcie prosił biały funkcjonariusz, czarni robili dokładnie to samo.

A później ktoś w „Atlanta Journal” albo w „Atlanta Constitution” pisał artykuł, w którym zastanawiał się nad przyczyną niedawnego wzrostu przestępczości.

Amanda znowu sprawdziła, co porabia Petersen. Siedzący z tyłu mężczyzna pochrapywał, otwierając szeroko usta, ukryte częściowo pod zmierzwionymi, dawno nieprzycinanymi wąsami.

Przeczytała następny paragraf, szybko zapominając o sprawach, które zostały w nim omówione. Ze zmęczenia wszystko rozmazywało się jej przed oczyma. A może był to efekt zirytowania? Oby nigdy więcej nie musiała czytać słów takich jak matriarchat albo patriarchat. Wyślijcie Glorię Steinem* do Techwood Homes, a wkrótce okaże się, czy nadal będzie sądzić, że kobiety mogą rządzić światem.

** Gloria Marie Steineu (ur. 1934) - amerykańska dziennikarka, feministka i działaczka społeczna.*

Techwood.

Amanda poczuła, jak narasta w niej panika, podobna do wzbierającej w trzewiach żółci. Dłoń alfonsa na jej gardle. Drapanie paznokci, kiedy usiłował zedrzeć z niej rajstopy.

Zacisnęła zęby, starając się uspokoić wściekłe bicie serca, i skupiła się na głębokich oddechach. Na tym, żeby wciągnąć powietrze, a potem je wypuścić. Powoli.

- Jeden... Dwa... Trzy... - Szeptem odliczała upływające sekundy.

Minęło dobrych kilka minut, zanim udało jej się rozluźnić zaciśnięte szczęki i wrócić do normalnego oddychania.

Amanda nie spotkała Evelyn Mitchell od całych czterech dni, które upłynęły od tamtego paskudnego doświadczenia. Nie pojawiła się na żadnej odprawie. Jej nazwisko nie widniało na rozkładzie dyżurów. Nawet Vanessa nie potrafiła jej znaleźć. Amanda doszła do wniosku, że ma nadzieję, iż Evelyn posłuchała głosu rozsądku i postanowiła wrócić do domu, żeby zająć się swoją rodziną. Dla Amandy wystarczająco trudne było zmuszać się codziennie do wstawania z łóżka. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie przerażenia, które by czuła, zostawiając rodzinę - ze świadomością, w jakiego rodzaju świat pakuje się każdego ranka.

Jednak Evelyn nie była jedynym funkcjonariuszem, który ostatnio zniknął jej z oczu. Nowy sierżant, Luther Hodge, w trybie przyspieszonym został przeniesiony do innej jednostki. Jego zastępcą został biały o nazwisku Hoyt Woody. Pochodził z Północnej Georgii, a jego niewyraźny akcent mieszkańca wyżyn stawał się jeszcze bardziej niezrozumiały z powodu wykałaczkii, którą przez cały czas trzymał w zębach. Napięcia w oddziale wciąż dawały o sobie znać, lecz nagle wszyscy stali się niezwykle uprzejmi. Każdy czuł się lepiej, wiedząc, z kim ma do czynienia.

Przynajmniej Hodge nie rozplynął się bez śladu. Vanessa wykonała parę telefonów, po których wyszło na jaw, że sierżant został przeniesiony do jednego z okręgów na terenie Model City. To oznaczało nie tylko degradację, lecz także definitywne usunięcie z kręgu osób, z którymi Amanda się stykała. Niestety, nie miała dość śmiałości, żeby pojechać do nowej placówki Hodge'a i zadać mu pytanie, dlaczego wysłał ją i Evelyn do Techwood Homes z tak wariackim zleceniem.

Oczywiście nie oznaczało to, że Amanda nie była zdolna do wykonywania bezsensownych zadań. Ostatnie dni stały się testem jej przeciwstawnych zdolności. Marzyła, żeby mieć już za sobą tę ciężką próbę z Techwood Homes, lecz jednocześnie ciekawość nie pozwoliła jej tego odpuścić. Bezsenne noce nie były wypełnione wyłącznie strachem. Były wypełnione wątpliwościami.

Amanda wolała myśleć, że to jej zawodowa ciekawość została urażona, lecz prawda wyglądała tak, że dotąd dość dobrze dawała sobie radę wyłącznie dzięki swojej kobiecej intuicji. Dziwka napotkana w mieszkaniu Kitty Treadwell podsunęła im pewną wskazówkę. Zdecydowanie coś tutaj było nie w porządku i Amanda zwyczajnie czuła to w kościach.

Właśnie dlatego postanowiła trochę powęszyć, choć to nadwerżyło jej zszarpane nerwy. Jeśli będzie głupia, wieść o tym węszeniu szybko dotrze do jej ojca i wtedy będzie miała do czynienia nie tylko z Dukiem, lecz również z pozostałymi szuchami z miejscowej policji.

Zamknęła książkę. Nie miała ochoty zapoznawać się z argumentami Phillys Schlafly przeciwko Poprawce o Równouprawnieniu. Była zmęczona i znudzona poradami kobiet, które nigdy nie musiały własnoręcznie wypełniać czeku za wynajem mieszkania.

- Hej, co słyhać?

Amanda podskoczyła tak gwałtownie, że niemal zaryła nosem w książkę. Szybko przyłożyła palec do ust, żeby uciszyć Evelyn Mitchell, a następnie sprawdziła, co z Petersenem.

- Przepraszam - wyszeptała Evelyn.

Położyła rękę na klamce auta, a wtedy Amanda błyskawicznie zablokowała zamek. Evelyn stała na zewnątrz z niewzruszoną miną.

- Wiesz chyba, że szyba w oknie jest opuszczona? - spytała.

Ukrywająca się za jej plecami Vanessa Livingston zachichotała.

Amanda z niechęcią odblokowała drzwi i wysiadła z auta.

- Czego chcecie? - zapytała szeptem.

- Chcemy zrobić mały handel. Ty za Nessę.

- Nie ma mowy.

Starsi oficerowie mogli mieć to w nosie, ale Amanda nie zamierzała już nigdy więcej iść na patrol z Evelyn Mitchell. Odwróciła się, żeby z powrotem wsiąść do samochodu. Nagle Evelyn chwyciła ją za ramię, a wtedy Vanessa przecisnęła się obok, wślizgnęła na siedzenie pasażera i natychmiast zablokowała zamek w drzwiach.

Amanda stała na opustoszałym parkingu, marząc o tym, żeby im obu wymierzyć policzek.

- Za parę godzin będziemy z powrotem. - Evelyn zwróciła się do Vanessy.

- Możecie się nie spieszyć. - Vanessa odwróciła się, żeby przez ramię zerknąć na Petersena. - Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie wybrał się dokądkolwiek.

Evelyn popukała palcem w skrzydełko nosa, podobnie jak Robert Redford w *Żądle*. Vanessa odpowiedziała w ten sam sposób.

- To śmieszne - mruknęła Amanda, sięgając do samochodu po torebkę i podręcznik.

- Och, rozchmurz się - zawołała Evelyn. - Może uda nam się znaleźć jakieś bagno, żeby cię tam wpakować.

Evelyn jechała swoim fordem falconem wzdłuż North Avenue. W samochodzie nie było śladu pudeł, które dawniej przesuwali się po całym bagażniku, za to teraz walały się rozmaite niemowlęce akcesoria. Poza radioodbiornikiem, stojącym pomiędzy nimi, nic nie wskazywało, że tym autem jeździ oficer policji. Winyłowa

wykładzina na fotelu kleiła się nieprzyjemnie do nóg Amandy. Jako jedynaczka rzadko miała okazję przebywać w towarzystwie innych dzieci i teraz nie mogła pozbyć się wrażenia, że Zeke Mitchell w tajemnicy wtarł w winyl jakąś paskudną substancję.

- Śliczny dzień - odezwała się w pewnej chwili Evelyn.

Wolne żarty, pomyślała Amanda. Południowe słońce grzało tak intensywnie, że jej oczy bez przerwy łzawiły. Osłoniła je dłonią.

Evelyn sięgnęła do torebki i wsadziła na nos okulary Foster'a Grantsa.

- Czekaj, zdaje się, że mam jeszcze jedną parę - powiedziała, znów zanurzając rękę w torbie.

- Nie, wielkie dzięki.

Amanda niedawno widziała takie okulary w Richway. Zdaje się, że kosztowały przynajmniej pięć dolarów.

- Jak chcesz.

Evelyn zasunęła suwak w torebce. Jechała tak, jak jeżdżą starsze panie - zwalniając na żółtym świetle i przepuszczając każdego, kto najmniejszym gestem wyraził chęć przejścia przez jezdnię. Wciąż trzymała jedną nogę na gazie, drugą zaś zawieszoną nad pedałem hamulca. Kiedy w końcu skręciły na podjazd do Varsity, Amanda była gotowa przejąć kierownicę i wypchnąć Evelyn z auta.

- Spokojnie - zamruczała Evelyn.

Z wielkim skupieniem wtoczyła się na wolne miejsce, położone najbliżej wjazdu na North Avenue. Hamulce piszczały przeraźliwie, kiedy co chwila wciskała pedał, za każdym razem posuwając się do przodu najwyżej o parę centymetrów, aż w końcu poczuła, jak opony uderzają w krawężnik. W końcu przekręciła kluczyk. Samochód zatrzęsł się, gdy silnik zastukał i zgasi.

Evelyn odwróciła się na fotelu, żeby znaleźć się twarzą w twarz z Amandą.

- No i co?

- Czemu mnie tu przywiozłaś? Nie dam rady przełknąć ani kęsa.

- Mam wrażenie, że chyba wolałabym, żebyś się do mnie nie odzywała.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - warknęła Amanda.

Mimo najszczęśliwszych chęci nie zdołała się opanować. - Przez twoją głupotę o mało mnie nie zgwałcono - rzuciła.

Evelyn oparła się plecami o drzwi.

- Na swoją obronę mam jedynie to, że o mało obie nie zostałyśmy zgwałcone.

Amanda potrząsnęła głową. Ta kobieta nie potrafiła niczego brać na serio.

- Ale pamiętaj, że mimo wszystko wyszliśmy z tego bez szwanku - dokończyła Evelyn.

- Może podzielisz się ze mną tą pozytywną energią?

Evelyn zamilkła. Rozejrzała się dookoła, trzymając ręce na kolanach. Amanda patrzyła prosto przed siebie, na wiszącą na ścianie tabliczkę z menu. Po jej głowie krążył bezsensowny natłok myśli. Powtarzała sobie wszystko, co musi jeszcze dzisiaj zrobić, zanim będzie mogła położyć się spać, lecz im bardziej o tym myślała, tym trudniejsze wydawały się zadania, które na nią czekały. Była zbyt zmęczona, żeby im podołać. Zbyt wyczerpana, żeby tutaj być.

- Psiakrew, laleczko - głos Evelyn nagle stał się głęboki, brzmieniem przypominający baryton tamtego alfonsa. - Fajna z ciebie dupeczka.

Amanda zacisnęła dłonie na leżącym na jej kolanach podręczniku.

- Przestań.

Evelyn jak zwykle nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

- Super dupeczka...

Amanda odwróciła głowę, podpierając ręką podbródek.

- Proszę, uspokój się wreszcie.

- Czekaj, muszę przypomnieć sobie, jak to mówił ten wieprz.

- Och, na litość boską! - Amanda zacinała się z podekscytowania. -

Wcale tak nie powiedział!

Usta drżały jej jak w febrze, ale po raz pierwszy od czterech dni nie drżały dlatego, że siłą powstrzymywała łzy.

- Mmm... Hmm... - prowokowała Evelyn, poruszając sprośnie biodrami. - Bardzo fajna laseczka...

Amanda nic nie mogła poradzić, że kąciki jej ust powędrowały ku górze. A potem wybuchła głośnym, niepohamowanym śmiechem. W żaden sposób nie zdołałaby go opanować, nawet gdyby próbowała. Z otwartymi ustami ryczała na cały głos, czując, jak ustępuje napięcie, spowodowane nie tyle samym dźwiękiem, lecz uwolnieniem powietrza, które dotąd jak trucizna zalegało w jej płucach. Evelyn także się śmiała, co w tym wszystkim wydawało się najbardziej zabawne. Nie minęło wiele czasu, gdy obie składały się wpół na swoich fotelach, a łzy ciekły im strumieniami po policzkach.

- Dzień dobry paniom. - Kelner z obsługi pojawił się w oknie od strony Evelyn. Spozrzęła, że nosił czapkę zawadiacko zsuniętą na bok. Przykleił im do przedniej szyby kartkę z numerem, a następnie uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby także brał udział w żarcie. - Co mam podać?

Amanda otarła łzy. Po raz pierwszy od paru dni poczuła, że jest głodna.

- Ja poproszę Wspaniały Stek z frytkami. I rachunek.

- Ja wezmę to samo. Plus smażony pasztecik.

- Chwileczkę. - Amanda z powrotem przywołała kelnera. - Ja też chcę ten pasztecik.

Gdy odchodził, Evelyn wciąż nie przestawała chichotać.

- Wielki Boże... - westchnęła w końcu.

Przechyliła na bok lusterko i koniuszkiem różowiotkiego paluszka zaczęła poprawiać namalowaną pod okiem kreskę.

- Wielki Boże powtórzyła. - Nie byłam w stanie nawet myśleć o jedzeniu, odkąd...

Nie musiała kończyć zdania. Żadna z nich już nigdy nie będzie musiała dopowiadać tego zdania do końca.

- Jak zareagował twój mąż? - spytała Amanda.

- Są pewne sprawy, o których nie mówię Billowi. On woli myśleć, że jestem jak Agentka 99* i bezpiecznie ukrywam się na zapleczu, podczas gdy Max Smart wykonuje prawdziwą robotę. - Zaśmiała się krótko. - Zresztą wcale aż tak mocno nie mijam się z prawdą. Bo wiesz, w tym durnym show oni nigdy nie wymieniają jej nazwiska.

Jest po prostu numerem.

** Agentka 99, Max Smart - bohaterowie popularnego amerykańskiego serialu kryminalnego Get smart.*

Amanda nie odpowiedziała. To zabrzmiało jak rozdział z książki ze studiów.

Evelyn zaczęła przez moment.

- A co powiedział twój ojciec?

- Gdybym mu opowiedziała, nie byłoby mnie tutaj. - Amanda przesunęła palcami po krawędzi podręcznika. - Wiesz, że Hodge został przeniesiony do Model City.

- A gdzie, twoim zdaniem, byłam przez te parę dni?

Amanda poczuła, jak szczęka opada jej ze zdumienia.

- Wysłali cię do Model City?

- Hogde nawet ze mną nie rozmawiał. Codziennie z samego rana pakowałam mu się do biura, żeby zapytać, co się stało, komu włożyliśmy na odcisk i właściwie dlaczego akurat nas dwie wysłał do Techwood, a on każdego ranka odpowiadał, żebym się wynosiła do wszystkich diabłów.

Amanda nic nie mogła poradzić na to, że zaimponowała jej zuchwałość koleżanki.

- Uważasz, że to była kara? - zapytała. - To przecież nie może być prawdą. Mnie przecież nikt nigdzie nie przeniósł, a byłam tam tak samo jak ty.

Najwyraźniej Evelyn miała określone zdanie na ten temat, ale zachowała je dla siebie.

Chłopcy zaopiekowali się w naszym imieniu tamtym alfonsiakiem.

Serce podeszło Amandzie do gardła.

- Cholera, chyba nikomu nie powiedziałaś?

- Jasne, że nie, ale nie trzeba być Sherlockiem, żeby domyślić się, co się wydarzyło - na podłodze leży broczący krwią osobnik z wywalonym na wierzch kutasem, a my obie wyglądamy tak, jakbyśmy za chwilę miały dostać zawału.

Miała rację. Przynajmniej dzięki Evelyn zachowały resztki honoru, bo w sumie udało im się powalić na ziemię napastnika, zanim kawaleria przybyła z odsieczą.

- Wypuścili go z pierdła wystarczająco dawno, żeby teraz móc znowu go przymknąć. Najwyraźniej stawiał im opór. Przejechali się tam i z powrotem po Ashby Street i w końcu facet wylądował w szpitalu.

- Dobrze. Może zapamięta tę nauczkę.

- Może - odparła Evelyn z powątpiewaniem. - Gnojek myślał, że będę stała z założonymi rękoma i czekała na swoją kolej, aż on skończy cię gwałcić.

- Przypuszczalnie wcześniej setki razy robił to samo. Widziałas, jak na jego widok zareagowała Jane. Była przerażona jak diabli.

Evelyn powoli skinęła głową.

- Dwayne Mathison. Tak się ten gość nazywa. Kilka razy trafił do aresztu za poniewieranie swoich dziewczyn. Ma pod opieką głównie białe kobiety - wysokie blondynki, które niegdyś były całkiem ładne. W branży znają go pod ksywą Juice.

- Tak jak ten zawodnik futbolu?

- Różni ich to, że ten pierwszy jest zwycięzcą Heismana, a drugi uwielbia bić kobiety. - Evelyn popukała palcem w książkę, leżącą na kolanach Amandy. - Zdumiewające...

Amandę ogarnęło zawstydzenie. Rękoma zakryła okładkę.

- Ten kurs jest obowiązkowy.

- No cóż, to chyba dobrze wiedzieć, co się dzieje w innych rejonach.

Amanda wzruszyła ramionami.

- To i tak niczego nie zmieni.

- Czy nie sądzisz, że to coś w rodzaju nieuchronnego przeznaczenia? Spójrz, co się nawyprawiało z kolorowymi. - Evelyn wskazała na restaurację. - Nipsy Russell kiedyś był chłopaczkiem, który sterczał tu na krawężniku, a teraz nie możesz włączyć telewizora, żeby nie natknąć się na jego buźkę.

To była szczerza prawda. Amanda nie wiedziała, czy jej ojca bardziej doprowadza do szału widok Russella w każdym teleturnieju, czy raczej obecność Moniki Kaufman, nowej czarnoskórej gwiazdy

telewizji, która codziennie wieczorem pojawiała się za pulpitem w głównym wydaniu wiadomości na Channel 2.

- Burmistrz Jackson wcale nie zrobił takiej złej roboty - odezwała się Evelyn. - Mów, co chcesz na temat Reggiego, ale przynajmniej miasto jeszcze nie spłonęło. Jak dotąd.

Kelner wrócił z zamówionymi daniami. Podał je przez okno od strony Evelyn. Amanda sięgnęła po torebkę.

- Ja zapłacę - oznajmiła Evelyn.
- Ale naprawdę nie musisz...
- Potraktuj to jak kupienie twojego przebaczenia.
- Ale moje przebaczenie kosztuje znacznie więcej.

Evelyn odliczyła dolara i wręczyła go takim gestem, jakby chodziło o wielce szczodry napiwek.

- Co robisz jutro?

Jeśli ta sobota będzie podobna do wszystkich pozostałych, Amanda spędzi cały dzień na sprzątanii mieszkania swojego ojca, potem na sprzątanii własnych czterech kątów, wieczór zaś upłynie jej w towarzystwie Mary Tyler Moore, Boba Newharta i Carol Burnett.

- Jeszcze się nie zastanawiałam nad jutrzejszym dniem.

Evelyn podała Amandzie zamówione przez nią danie.

- W takim razie może wpadniesz do mnie do domu? Robimy grilla.
- Muszę sprawdzić mój kalendarz - wyjąkała Amanda, chociaż trudno było przypuszczać, że ojciec zaakceptuje coś podobnego. Poważnie zaczynała się obawiać, że dotarły do niego jakieś pogłoski. Sam z siebie codziennie rano w tym tygodniu ostrzegał ją przed zadawaniem się z Evelyn Mitchell. - W każdym razie wielkie dzięki za zaproszenie.

- No cóż, daj mi znać - odpowiedziała Evelyn. - Strasznie bym chciała, żebyście się poznali z Billem. On jest taki... - W jej głosie

pojawił się ton rozmarzenia. - Po prostu jest najlepszym facetem pod słońcem. Wiem, że go polubisz.

Amanda skinęła głową, niepewna, co ma powiedzieć.

- Często chodzą na randki?

- Och, bez przerwy - zażartowała Evelyn. - Mężczyźni po prostu uwielbiają umawiać się na randki z policjantką.

- Tak uwielbiają, że z krzykiem pędzą do drzwi.

- Tak czy owak, jestem zbyt zajęta, żeby chodzić na randki. Staram się skończyć studia. Zwyczajnie teraz za dużo się dzieje.

Evelyn najwyraźniej umiała przejrzeć ją na wylot.

- Kiedy przez cały dzień pracujesz z gnojami takimi jak Peterson, łatwo ci jest zapomnieć, jak wygląda normalny, miły chłopak. - Zamilkła na chwilę. - Uwierz mi, po świecie chodzi mnóstwo wspaniałych facetów. Nie pozwól, żeby ci neandertalczyki kompletnie cię zdołowali.

- Mmm... - Amanda wsadziła do ust jedną frytkę, a potem następną, aż w końcu Evelyn zrobiła to samo.

Obie jadły w zupełnym milczeniu, stawiając kubeczki z pićm na desce rozdzielczej i balansując na kolanach papierowymi tackami. Jeśli chodzi o Amandę, to ociekające tłuszczem frytki i hamburger były dokładnie tym, czego potrzebowała. Mrożone czekoladowe mleko okazało się słodkie jak deser, ale i tak popiła nim pieczony pasztecik. Gdy wreszcie skończyła, znów zrobiło się jej trochę niedobrze, ale tym razem raczej z powodu nadmiernej pobłażliwości w jedzeniu i picu niż ze strachu, który dotąd kurczył jej żołądek.

Evelyn przeniosła opróżnione pojemniki na tacę przy oknie. Przyłożyła rękę do brzucha.

- Mamma mia, ależ to mięso było przyprawione! - jęknęła.

- Dziś rano włożyłam do torebki nową buteleczkę alka-seltzer.

W odpowiedzi Evelyn machnęła na kelnera i kazała przynieść dwie szklanki wody.

- Zaczynam myśleć, że ty i ja mamy na siebie zły wpływ.

Powieki Amandy opadły na moment, jakby chciała zamrużyć.

- To pierwszy raz, kiedy marzę o tym, żeby znaleźć się w samochodzie z Petersenem. Od razu bym się położyła i zasnęła.

- Tak, ale obudziłabyś się pod jego ciężarem. - Evelyn pociągnęła końce włosów i na kilka sekund pogрузyła się we własnych myślach.

- Powiedz, dlaczego Hodge wysłał nas do Techwood?

Nie po raz pierwszy Amanda odniosła wrażenie, że w tym pytaniu kryje się jakiś podstęp. Było oczywiste, że w tym wypadku za sznurki pociąga ktoś, kto jest naprawdę wysoko postawiony. Oboje, Evelyn i Hodge, zostali przeniesieni. Nie wiadomo, co stanie się z Amandą, zwłaszcza jeśli ktoś odkryje, w co się zaangażowała.

Evelyn szturchnęła ją palcem.

- Hej, dziewczynko! Zdaje mi się, że wiem, co kombinujesz.

- No cóż... - Amanda próbowała przestać myśleć, ale mimo woli zaczęła mówić głośno to, co krążyło jej po głowie. - Ten gość w niebieskim garniturku... On nie daje mi spokoju. I nie tylko dlatego, że jest prawnikiem.

- Wiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparła Evelyn. - Facet wszedł na posterunek w takim stylu, jakbyśmy wszyscy byli jego własnością. W dodatku nawrzeszczał na Hodge'a. Nie robi się takich rzeczy w stosunku do policjanta, nawet jeśli jesteś biały i masz na sobie taki szykowny niebieski garniturek.

- Hodge zwracał się do niego po nazwisku. Pamiętasz, co powiedział w czasie odprawy: „Panie Treadwell, czy możemy porozmawiać w moim biurze?”.

- Tak, poszli do biura i Treadwell od razu zaczął go ustawiać po swojemu.

- Evelyn, przeoczyłaś najważniejszą rzecz. Pomyśl, o czym sama mi mówiłaś. Że Andrew Treadwell ma wysoko postawionych przyjaciół. Że w gazecie było jego zdjęcie z burmistrzem Jacksonem. Że pracował na jego rzecz podczas kampanii przed wyborami. Dlaczego ktoś taki przychodzi do zwykłego sierżanta bez żadnych wpływów, który w dodatku pełni obowiązki od niespełna godziny?

Evelyn skinęła głową.

- W porządku, masz rację. Mów dalej.

- Treadwell specjalizuje się w interpretacji prawa. Andrew Senior negocjował wszystkie kontrakty dla nowego systemu metra, którego nikt nie chce.

- Skąd to wiesz?

- Poszłam do redakcji gazety i przekopałam się przez parę dawnych wydań.

- Pozwolili ci na to?

Amanda wzruszyła ramionami.

- W zeszłym roku mój tata rozpracowywał sprawę uprowadzenia.

Wydawca gazety został porwany i zażądano za niego miliona dolarów okupu. Jednym z ostatnich służbowych obowiązków Duke'a było przewiezienie tych pieniędzy z podziemi C&S do miejsca złożenia. Powiedziałam im, kim jestem, i pozwolili mi pogrzebać w archiwach.

- Twój ojciec wie, że tam byłaś?

- Oczywiście, że nie! - Duke byłby wściekły, że Amanda wcześniej z nim tego nie uzgodniła. - Od razu zaczęłby mnie pytać, po co to robię. Wolałam nie stwarzać sobie niepotrzebnych problemów.

- Fiu, fiu... - Evelyn oparła głowę o zagłówek fotela. - Muszę przyznać, że to całkiem interesujące, czego się dowiedziałas. Coś jeszcze?

Amanda znów się zawahała.

- No dalej, kochanie. Nie możesz być tylko trochę w ciąży.

Amanda westchnęła ciężko, żeby podkreślić, z jaką niechęcią dzieli się swoimi odkryciami. W głębi duszy sądziła, że tylko narobi sobie kłopotów.

- Ten mężczyzna, który rozmawiał z Hodge'em, to nie był Treadwell junior. Zgodnie z tym, co napisali w gazecie, Treadwell senior ma tylko jedno dziecko. Córkę.

Evelyn usiadła prosto.

- Czy ona ma na imię Kitty? Albo Katherine? A może Kate?

- Nazywa się Eugenia Louise i przebywa w Szwajcarii, w jakiejś żeńskiej szkole.

- Więc nie siedzi w Techwood i nie aplikuje sobie w żyłę boya.

- Co to jest „boy”?

- Murzyni tak mówią na heroinę. Wielkie dzięki. - Zwróciła się do kelnera, który właśnie przyniósł wodę.

Amanda odkręciła buteleczkę alka-seltzer i wrzuciła do każdej ze szklanek po dwie tabletki. Syk rozpuszczającego się lekarstwa brzmiał miło dla ucha.

Evelyn przemówiła.

- No cóż, więc to nie był Treadwell junior. Zastanawiam się, kim w takim razie był ten facet w niebieskim ganiturku? I dlaczego Hodge myślał, że to jest Treadwell? - Uśmiechnęła się szeroko. - Jestem pewna, że według Hodge'a wszyscy wyglądamy jednakowo.

Amanda także się uśmiechnęła.

- Jednak Niebieski Garniturek na pewno jest prawnikiem. Może przysłali go z kancelarii i Hodge po prostu przypuszczał, że to musi być sam Treadwell. Ale to także nie trzyma się kupy. Już ustaliliśmy, że Andrew Treadwell nie przysłałby swojego ulubieńca, żeby porozmawiał z nowo mianowanym kapitanem okręgu. Poszedłby z tym prosto do burmistrza. Im bardziej delikatna sytuacja, tym bardziej by się starał, żeby jak najmniej ludzi wiedziało o jego wizycie.

Evelyn od razu wyciągnęła oczywisty wniosek.

- To oznacza, że albo Niebieski Garniturek przejął inicjatywę, bo chciał pomóc swojemu szefowi, albo szukał okazji, żeby narobić zamieszania.

Jednak Amanda wcale nie była tego taka pewna.

- Tak czy owak, Hodge nie powiedział mu tego, co tamten chciał usłyszeć. Niebieski Garniturek był niezłe wkurzony, kiedy wychodził. Nawrzeszczał na Hodge'a, a potem jak burza wypadł na zewnątrz.

Evelyn zatoczyła koło, powracając do swojej wcześniejszej teorii.

- Niebieski Garniturek naciskał na Hodge'a, żeby wysłał nas i kazał sprawdzić, co się dzieje z Kitty Treadwell. Treadwell to wcale nie jest popularne nazwisko. Ta dziewczyna musi być jakoś spokrewniona z Andrew Treadwellem.

- Co prawda nie udało mi się znaleźć żadnego powiązania, ale oni nie przechowują wszystkich archiwalnych egzemplarzy, a poza tym nie za bardzo chciało im się szukać.

- Kancelaria Treadwell-Price mieści się w tym nowym budynku na końcu Forsyth Street. Możemy pójść tam na lunch i usiąść na zewnątrz. Ci chłopcy nie zamawiają obiadu na wynos, więc Niebieski Garniturek wcześniej czy później będzie musiał wyjść, żeby coś przekąsić.

- I co wtedy?

- Pokażemy mu nasze odznaki i grzecznie poprosimy, żeby odpowiedział na kilka pytań.

Zdaniem Amandy ten plan był do niczego. Facet po prostu roześmieje im się w nos.

- Co będzie, jeśli Hodge dowie się, że węszysz dookoła tej sprawy?

- Nie sądzę, żeby za bardzo się przejął, gdybym zaczekała na niego przed biurem i zaczęła zadawać pytania. A co z twoim nowym sierżantem?

- Co prawda należy do starej gwardii, ale ledwie wiedział, jak się nazywam.

- Bo pewnie zdążył jeszcze przed lunchem wlać w siebie co nieco - odparła Evelyn.

Prawdopodobnie miała rację. Kiedy starsi wiekiem sierżanci zakończyli swoje poranne obowiązki, trzeba było wielkiej determinacji, żeby znaleźć takiego, który siedzi za swoim biurkiem. Nie bez przyczyny połowa zmiany spędzała czas służby na błogiej drzemce.

- Możemy pójść razem w poniedziałek po odprawie. Ich tam guzik obchodzi, co robimy, dopóki tylko chodzimy po ulicach. Nessa na pewno da sobie radę z Petersenem.

Amanda poczuła lekki niepokój na myśl, jak dobra okaże się Nessa w parze z Petersenem, ale postanowiła dać sobie z tym spokój.

- Jane nie była jedyną dziewczyną, która przebywała w tamtym mieszkaniu. Jeszcze przynajmniej dwie inne miały tam kwatery.

- Skąd wiesz?

- W łazience stały trzy szczoteczki do zębów. Wszystkie dość zużyte.

- Jane nie miała aż tylu zębów.

Amanda wpatrywała się w szklankę z musującym alka-selzter. W żołądku czuła zbyt wielki ciężar, żeby śmiać się z dowcipów Evelyn.

- Jakaś część mnie uważa, że chyba jestem szalona, marnując tyle czasu na śledzenie losów jakiejś zawszonej prostytutki.

W tonie Evelyn pojawiło się coś w rodzaju usprawiedliwienia.

- Ale w sumie nie jesteś jedyną, która traci czas.

Oczy Amandy zwięzły się w dwie szparki. Spojrzała na koleżankę.

- Wiem. Co udało ci się ustalić?

- Rozmawiałam z przyjaciółką, którą mam w Five. Cindy Murray.

To dobra dziewczyna. Opisałam jej Jane i powiedziała, że chyba pamięta, jak ta przychodziła do Five w zeszłym tygodniu. Mnóstwo dziewczyn próbuje zrealizować vouchery, które nie należą do nich. Muszą okazać dwa rodzaje dokumentów - prawo jazdy, kartę krwiodawcy, rachunek za elektryczność, coś, na czym jest zdjęcie i adres. Jeśli Jane jest tą dziewczyną, o której myślała Cindy, to próbowała wyciągnąć kasę na podstawie czyjegoś prawa jazdy. Kiedy przekonała się, że podstęp nie wypalił, wpadła w szal. Wydzierała się na cały głos i strasznie wygrażała. W końcu ochrona musiała wywalić ją na ulicę.

- A co się stało z tym prawem jazdy?

- Wrzucili je do pudelka, żeby przekonać się, czy ktoś się po nie zgłosi. Podobno leży tam już cała setka. Pod koniec roku drą je na pół i wyrzucają do śmieci.

- Czy listy w opiece społecznej są układane według nazwisk czy adresów?

- Niestety, według numerów. Zbyt wiele osób nosi to samo nazwisko albo mieszka pod tym samym adresem, więc każdy otrzymuje swój indywidualny numer.

- Numer w kartotece opieki społecznej?

- Nie licz na to.
- Te numery muszą przecież być w jakimś komputerze, zgadza się?
- Ludzie z opieki społecznej są właśnie na etapie przechodzenia od dziurkowania tekturek do kart magnetycznych - odpowiedziała Evelyn. - Cindy powiada, że na razie mają tam straszny bajzel. To oznacza, że nawet jeśli uzyskamy dostęp do informacji, na co oni przypuszczalnie się nie zgodzą, to i tak będziemy musiały wszystko robić ręcznie: najpierw znaleźć numer z listy opieki społecznej, potem połączyć numer z nazwiskiem, sprawdzić, czy nazwisko zgadza się z adresem, a następnie dopasować obydwie do raportów zasiłków, żeby sprawdzić, czy dziewczyny przyjeżdżały po swoje vouchery w ciągu ostatnich sześciu miesięcy... Dopiero wówczas będzie można porównać je z nazwiskami w prawach jazdy - Evelyn przerwała dla zacerpnięcia oddechu. - Zdaniem Cindy, na to trzeba mieć ze dwadzieścia lat czasu i z pięćdziesiąt osób do pomocy.
 - Ile może potrwać, zanim zainstalują i uruchomią te cholerne komputery?
 - Osobiście nie sądzę, że to w ogóle miało jakieś znaczenie - Evelyn wzruszyła ramionami. - To są komputery, a nie czarodziejskie różdżki. I tak większość pracy musiałybyśmy odwalić ręcznie, zakładając oczywiście, że oni umożliwiliby nam dostęp do danych. Czy twój ojciec ma w Five kogoś znajomego?
 - Duke najchętniej przyłożyłby do Five płonącą pochodnię, gdyby tylko mu na to pozwolono.
 - To nie ma znaczenia. I tak nie możemy niczego zacząć, dopóki nie uda się nam ustalić numeru Kitty Treadwell na liście opieki społecznej. - Amanda próbowała wszystko jeszcze raz przemyśleć. - Jane mówiła, że zniknęły trzy dziewczyny: Kitty Treadwell, Lucy i Mary.

- Już sprawdziłam zaginione osoby w Strefie Trzeciej i Czwartej -
oznajmiła Evelyn. - Ani śladu Kitty Treadwell. Tak samo jak Jane
Delray, bo pomyślałam, że to także sprawdzę, skoro już tam jestem.
No i znalazłam z tuzin Lucy i mniej więcej sto Mary. Oni nigdy nie
porządkują swoich akt. Niektóre z tamtych dziewczyn już dawno
mogły umrzeć ze starości. Zagięły jeszcze podczas Wielkiego
Kryzysu. W przyszłym tygodniu możemy pojechać do innych stref -
zapropnowała. - Czy znasz doktora Hansona?

Amanda pokręciła głową.

- Mówię o Pecie. Pracuje w kostnicy. - Evelyn zobaczyła minę
Amandy, bo szybko dodała: - Naprawdę jest całkiem w porządku.
Jasne, ma pewne odchylenia, jak wszyscy koronerzy, ale poza tym
jest bardzo miły. Znam dziewczynę, która u niego pracuje. Nazywa
się Deena Coolidge. Mówi, że on czasami pozwala jej zrobić niektóre
rzeczy.

- Jakie rzeczy?

Evelyn przewróciła oczyma.

- Wcale nie to, o czym myślisz. Doświadczenia laboratoryjne.
Deena jest naprawdę dobra w tych sprawach. Uwielbia chemię. Pete
uczy ją, jak się wykonuje niektóre testy, a potem ona robi je już sama.
Chodzi wieczorami do Tech.

Amanda mogła tylko się domyślać, dlaczego doktor Hanson
pozwala swojej asystentce robić testy, ale przypuszczała, że nie robi
tego z dobrego serca.

- Sprawdziłaś ANM?

- Co takiego?

- Akta Nieżywych Murzynów.

Duke mówił Amandzie, że istnieje rejestr nierozwiązanych
zabójstw czarnoskórych.

- Mogę to sprawdzić - zaofiarowała się Amanda.

- Co sprawdzić?

Zmieniła temat.

- Czy wiemy, że to mieszkanie należało do Kitty lub zostało wynajęte na jej nazwisko?

- Och! - Evelyn była pod wrażeniem. - To bardzo dobre pytanie.

Porwała jedną z chusteczek leżących na desce rozdzielczej i zapisała notatkę.

- Zastanawiam się, czy numer, który ci przydzielono dla osiedla Section Eight jest taki sam, jak ten, który ci podano na zbieranie voucherow z opieki? Czy znasz kogoś z Rady Osiedla?

- Pam Canale. - Amanda zerknęła na zegarek. - Dziś wieczorem muszę iść na zajęcia, ale mogę zadzwonić do niej w poniedziałek z samego rana.

- Możesz mi powiedzieć, co odkryłaś, kiedy śledziłyśmy Pana w Niebieskim Garniturku. - Nabazgrała coś na serwetce. - Masz tutaj mój numer domowy, żebyś mogła mi dać znać, co postanowiłaś w kwestii jutra. No wiesz, z tym grillem.

- Dzięki. - Amanda złożyła serwetkę na pół i schowała do torebki.

Żadne kłamstwo nie było dość przekonujące, żeby wytłumaczyć tak długą nieobecność. Duke miał zwyczaj dzwonić domofonem do mieszkania Amandy, żeby przekonać się, czy córka jest w domu. Jeśli Amanda nie zgłaszała się po drugim sygnale, rozłączał się i odjeżdżał.

- Wiesz - zaczęła Evelyn - czytałam wczoraj w gazecie artykuł o tym chłopaku z West, który mordował studentki z college'u.

- Te dziewczyny nie były koleżankami z college'u.

- Mimo to trzy dziewczyny przepadły bez śladu.

- Evelyn, Atlanta to nie Hollywood. Tutaj nie ma seryjnych zabójców, którzy czyhają na swoje ofiary.

Amanda z powrotem zmieniła temat na bardziej bezpieczny.

- Zastanawiałam się nad tym mieszkaniem Kitty. W sypialni znalazłam trzy wielkie worki na śmieci, po brzegi wypełnione ciuchami. Żadna kobieta nie może pozwolić sobie na posiadanie tylu ubrań, zwłaszcza jeśli mieszka na takim osiedlu.

Jej żołądek dał o sobie znać donośnym burczeniem. Amanda całkiem zapomniała, że w ręku trzyma szklankę z lekarstwem. Jednym haustem przełknęła rozpuszczoną tabletkę i stłumiła donośne czknięcie.

- W łazience leżało mnóstwo kosmetyków do makijażu. Było tego stanowczo za dużo jak na jedną dziewczynę, nawet jeśli jest prostytutką.

- Jane nie była umalowana. Nie miała pod oczyma smug z rozsmarowanego tuszu. Ale mimo to jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak ona codziennie wieczorem zmywał makijaż.

- Pod lustrem stało mleczko do demakijażu - przypomniała sobie Amanda. - Ale wystarczy, że powiem, że nikt go nie używał. W koszu na śmieci leżały zużyte podpaski, a na półce stało pudełko tampaxów. Najwidoczniej tam mieszka ktoś, kto nie pracuje w biznesie. Może jakaś młodsza siostrzyczka. Może nawet Kitty Treadwell.

Evelyn podniosła szklankę do ust.

- Dlaczego akurat to cię zastanowiło?

- Nie możesz używać tampaxów, jeśli jesteś dziewicą. A więc...

Evelyn zakrztusiła się alka-selzter. Płyn trysnął jej z nosa i ust.

Chwyciła jedną z papierowych chusteczek leżących na desce rozdzielczej, kaszląc tak mocno, jakby za chwilę miała wypluć płuca.

Amanda uderzyła ją w plecy.

- W porządku?

W odpowiedzi Evelyn przyłożyła rękę do ust i znowu zanosła się kaszlem.

- Przepraszam. Wpadło mi w niewłaściwą rurkę. - Zakasłała po raz trzeci, a potem ponownie. - Co to ma być?

Amanda spojrzała na ulicę. Obok nich z warkotem przemknął wóz patrolowy policji Atlanty; jechał z włączonym kogutem, ale bez syren. Naprzeciwko pojawił się drugi radiowóz - z włączoną syreną, ale bez świateł.

- Co, do diabła... - zaczęła Amanda.

Evelyn pstryknięciem uruchomiła policyjne radio. Wszystko, co zdołały usłyszeć, to zwykłe, towarzyskie pogawędki, przerywane co chwila klikaniem mikrofonów, żeby nie można było namierzyć mówiących.

- Banda idiotów - wymamrotała Evelyn, ścisząc głośność. Obok nich z piskiem opon śmignął następny radiowóz. - Cholera, co się dzieje?

Amanda siedziała prosto jak struna i wyciągając szyję, starała się dojrzeć, co się wydarzyło. Po chwili doszła do wniosku, że istnieje łatwiejszy sposób. Wyrzuciła przez okno papierowy kubeczek i otworzyła drzwi. Gdy dotarła do chodnika, minął ją następny samochód - tym razem plymouth fury, taki sam jak jej własny.

Po chwili Evelyn dołączyła do niej.

- To byli Rick i Butch.

- Obaj pracowali w wydziale zabójstw. Jechali do Techwood.

Wszyscy jechali do Techwood.

Żadna z kobiet nie powiedziała, co jej przyszło na myśl. Jak na komendę obie ruszyły w stronę kombi. Amanda popchnęła Evelyn ku drzwiczkom pasażera.

- Teraz ja prowadzę - oświadczyła.

Evelyn nawet nie próbowała protestować. Czujnie obserwowała rozwój sytuacji, podczas gdy Amanda wycofywała auto i wjeżdżała w North Avenue. Tamci skręcili w Techwood Drive. Policyjny wóz śmignął z lewej strony Amandy, kiedy ta skręcała w Pine. Evelyn zacisnęła palce na tablicy rozdzielczej.

- Chryste, czemu im wszystkim tak się spieszy?

- Zaraz się dowiemy.

Amanda zjechała na znajome pobocze, na którym parkowało już pięć radiowozów i dwa nieoznakowane plymouthy. Dziś na podwórkach między domami nie było bawiących się dzieci, chociaż ich rodzice w końcu zechcieli się pokazać. Nadzy do pasa mężczyźni w obcisłych dzinsach stali, ściskając w dłoniach puszki piwa. Większość kobiet także była skąpo odziana, chociaż kilka wyglądało, jakby właśnie wróciły z pracy. Amanda zerknęła na zegarek. Właśnie minęła pierwsza po południu, może więc wróciły do domów na lunch.

- Amanda... - W głosie Evelyn dostrzegła ledwie słyszalne, leciutkie drżenie.

W ślad za jej spojrzeniem przesunęła wzrok na drugi blok po lewej stronie. Grupa policjantów z patroli zgromadziła się przy drzwiach. Butch Bonnie przepchnął się pomiędzy nimi, wypadając na podwórze. Tam runął na oba kolana i z jego ust trysnęła na ziemię fala wymiocin.

- Och, nie! - Amanda gorączkowo szukała w torebce chusteczki jednorazowej. - Możemy mu przynieść trochę wody z...

Evelyn powstrzymała ją zdecydowanym gestem.

- Zostań tam, gdzie jesteś.

- Ale on...

- Zostań.

Jej głos zabrzmiał z mocą, której Amanda nigdy wcześniej nie słyszała.

Rick wybiegł z budynku jako następny. Wycierał usta chusteczką, którą następnie wsunął do kieszeni. Gdyby nie fakt, że jego partner wciąż głośno wymiotował, prawdopodobnie Rick w ogóle nie zwróciłby uwagi na obecność Amandy

- Evelyn. W obecnej sytuacji podszedł prosto do nich.

- Co tu robicie, cholerne dziwki? - warknął.

Amanda już otworzyła usta, ale Evelyn ubiegła ją z odpowiedzią.

- Wcześniej w tym tygodniu zostałyśmy tu przysłane w pewnej sprawie. Byłyśmy na ostatnim piętrze, w apartamencie C. Chodziło o prostytutkę o nazwisku Jane Delray.

Landry wypchnął językiem policzek, jednocześnie mierząc uważnym spojrzeniem najpierw Evelyn, a później Amandę.

- No i...?

- Najwidoczniej coś się tu wydarzyło.

- To jest Techwood, skarbie. Tu bez przerwy coś się dzieje.

- Coś się stało na ostatnim piętrze? - dopytywała się Evelyn. - W apartamencie C?

- Nie, właśnie że nie - odparł Landry. - Za budynkiem. To samobójstwo. Dzwonka skoczyła z dachu i została z niej mokra plama.

- Kurwa mać! - Butch Bonnie zabrzmiał tak donośnie, że mógłby rywalizować ze świnią w chlewiku.

Nieustępliwe, świdrujące spojrzenie Landry'ego wyraźnie ustąpiło. Nie spojrzął do tyłu na swojego partnera, lecz nie patrzył już ani na Evelyn, ani na Amandę.

- Hej, ty! - Kiwnął palcem na policjanta stojącego najbliżej. - Usuń stąd tych wszystkich ludzi. Leżą tutaj jakbyśmy kręcili jakiś pieprzony film o Tarzanie.

Gliniarz czym prędzej pobiegł rozgonić gapiów. Rozległy się wrzaski i protesty.

Evelyn spróbowała się odezwać.

- Może ktoś z nich widział...

- Widział co? - Landry przerwał jej w pół słowa. - Pewnie nawet nie znali tej dziewczyny. Ale pozwól im postać jeszcze przez chwilę, to zaraz zaczną się zawodzenia, wycie i cmokanie nad tym, jaka to tragedia miała miejsce.

Popatrzył groźnie na Evelyn.

- Ty chyba powinnaś dobrze o tym wiedzieć, Mitchell. Nigdy nie wolno pozwolić, żeby zgromadził się tłum. Od razu robi się gorąco i za chwilę będziesz musiała wzywać antyterrorystów, żeby opanowali sytuację.

Evelyn przemówiła tak cicho, że Amanda ledwie ją słyszała.

- Chciałybyśmy zobaczyć ciało.

- Co takiego? - Amanda zaniemówiła ze zdumienia.

Landry uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Coś mi się zdaje, Lucy, że Ethel nie bardzo ma ochotę*.

** Lucy Ricardo i Ethel Mertz - bohaterki popularnego w latach 50. XX w. amerykańskiego sitcomu I Love Lucy.*

Ale Evelyn nie miała zamiaru się wycofać. Odchrząknęła, żeby pozbyć się chrypki.

- Rozpracowujemy pewien przypadek, Landry. Tak samo jak ty.

- Tak samo jak ja? - spytał z niedowierzaniem.

Zerknął na Butcha, który teraz siedział w kucki i dyszał ciężko.

Amanda dostrzegła błysk pistoletu, który trzymał przy kostce.

- Dziewczynki, powinnyście grzecznie wrócić tam, skąd...

- Ona ma rację.

Amanda słyszała te słowa, donośne jak dzwon. Wypowiedziane jej głosem. Wydobywały się z jej własnych ust.

Evelyn wydawała się tak samo zdumiona jak Amanda.

- Pracujemy nad pewnym przypadkiem - powiedziała Amanda.

Właśnie to przecież robiły. Siedziały w samochodzie przez ostatnie pół godziny, rozmawiając o tym, co udało się im ustalić. O tym, co przytrafiło się trzem kobietom - Kitty, Lucy i Mary - a co teraz stało się również udziałem Jane Delray. W tym momencie Evelyn i Amanda były jedynymi funkcjonariuszkami w całej policji, które wiedziały, że te trzy dziewczyny zaginęły - i jako jedyne się tym przejmowały...

Landry zapalił papierosa. Wypuścił z ust strumień dymu.

- Tak samo jak ja, co? - Powtórzył raz jeszcze, ale z wyraźnym rozbawieniem. - Więc wy, laseczki, pracujecie teraz nad sprawą zabójstwa?

- Przed chwilą powiedziałeś, że to było samobójstwo - wypaliła Evelyn. - Więc co ty tutaj robisz?

Ta odpowiedź wcale mu się nie spodobała.

- Mitchell, jeśli masz ochotę na jakieś jaja, zawsze możesz posać moje.

Amanda wbiła wzrok w ziemię, żeby mina nie zdradziła jej uczuć.

- Dziękuję, ale wystarczy mi mój mąż. - Evelyn sięgnęła do torebki i wyjęła z niej swoją latarkę. - Kiedy będziesz gotów, idziemy.

Landry całkiem ją zignorował.

- No dalej, dziewczynko - zwrócił się do Amandy. - To absolutnie nie jest miejsce dla ciebie. Totalna masakra, mówię ci. Porozrzucone flaki są dosłownie wszędzie... Paskudna sprawa. Zbyt paskudna jak dla damy.

Podbródkiem wskazał Butcha, nie wyrażając słowami tego, co było oczywiste.

- No dalej, wsiadaj do samochodu i zjeżdżaj stąd, dobrze ci radzę. Nikt nie będzie miał ci za złe, że tak postąpiłaś.

Amanda poczuła, jak jej żołądek powoli zaczął się rozluźniać. Landry dawał im szansę wycofania się, honorowego wyjścia z sytuacji. Nikt nigdy nie dowie się, że chciały zobaczyć ciało. Będą mogły odejść stąd z wysoko podniesioną głową. Już miała odpowiedzieć, że przyjmują propozycję, kiedy Landry dodał:

- Nawiasem mówiąc, nie chcę, żeby twój staruszek latał za mną z dubeltówką, ponieważ wystraszyłem na śmierć jego malutką córeczkę.

Poczuła wzdłuż kręgosłupa dziwne mrowienie, zupełnie jakby kręgosłup wskoczył na swoje miejsce. Kiedy odezwała się, jej głos brzmiał zaskakująco spokojnie.

- Mówiłeś, że ofiara leży z tyłu budynku, tak?

Evelyn wydawała się tak samo zaskoczona jak Landry, kiedy Amanda ruszyła w stronę wejścia. Dogoniła ją natychmiast.

- Co ty wyprawiasz? - spytała szeptem.

- Idź przed siebie - błagała ją Amanda. - Po prostu idź i nie zatrzymuj się.

- Czy widziałaś kiedyś trupa?

- Z bliska nigdy - przyznała Amanda. - Jeśli nie liczyć mojego dziadka.

Evelyn wymamrotała jakieś przekleństwo, a potem odezwała się ochrypłym szeptem.

- Cokolwiek się wydarzy, nie zacznij rzygać. I nie wrzeszcz. Na litość boską, nie zacznij ryczeć.

Amanda była gotowa zrobić wszystkie te trzy rzeczy. Jeszcze dotąd nie widziała z bliska nikogo, kto umarł gwałtowną śmiercią. Chryste Panie, co właściwie sobie myślała? Landry miał rację. Jeśli Butch

Bonnie nie poradził sobie z sytuacją, nie było mowy, żeby któraś z nich zdołała temu sprostać.

- Posłuchaj mnie - szeptała dalej Evelyn. - Jeśli się załamiesz, oni nigdy więcej ci nie zaufają. Równie dobrze możesz przenieść się do działu maszynopisania albo podciąć sobie nadgarstki.

- Ze mną wszystko w porządku - powiedziała, a ponieważ czuła, że Evelyn potrzebuje wsparcia, dodała jeszcze: - Ty także świetnie sobie radzisz. Po prostu doskonale.

Obcasy Evelyn wzniecały tumany kurzu, kiedy dzielnie maszerowała obok Amandy.

- Czuję się świetnie - powtarzała. - Miałaś rację. Czuję się znakomicie.

- Zobaczysz, że obie damy sobie z tym radę.

Pot spływał jej po plecach tak obfitym strumieniem, że czuła, jak w bieliźnie zbiera się mała kałuża. Była zadowolona, że włożyła dziś czarną spódnicę. I że wzięła alka-selzter. I cieszyła się, że nie jest sama, kiedy przekraczała próg obscurnego budynku.

W przedsionku panował jeszcze większy mrok, niż zapamiętała z poprzedniej wizyty. Spojrzała w górę klatki schodowej. Ktoś rozbił szkło w jednym ze świetlików

- w tym miejscu został przybity kawałek deski. Obie z Evelyn zatrzymały się na końcu korytarza, przy metalowych drzwiach prowadzących na podwórze, żeby zaczekać na Landry'ego.

Położył rękę na drzwiach, ale ich nie otworzył.

- Posłuchajcie, dziewczynki, zabawa skończona. Wracajcie do swoich raportów o tych nieszczęsnych, małych panienkach, które najpierw zadają się z niewłaściwymi facetami, a potem podnoszą alarm z byle powodu.

- Pracujemy nad pewną sprawą - wyjaśniła Evelyn. - To samobójstwo może mieć coś wspólnego z...

- Ta kurwa zrobiła sobie spacer po krótkiej desce. Same widziałyście, jaki to śmietnik. Osobiście dziwię się, dlaczego wszyscy tu nie skaczą z dachów.

- Mimo wszystko...

- Zwyczajnie odwróćcie się i idźcie stąd. To zaszło stanowczo za daleko.

- Ja byłam...

- Dość! - Landry walnął pięścią w drzwi. - Zamknij wreszcie tę swoją pieprzoną jadaczkę! - wydarł się na cały głos. - Powiedziałem, żebyście lepiej się stąd wynosiły, więc wynoście się, do jasnej cholery!

Evelyn była wyraźnie przestraszona, ale mimo to nie dawała za wygraną.

- My po prostu...

- Chcesz, żebym cię zmusił? - Landry wyrwał z ręki Evelyn latarkę Kel-Lite i dziabnął nią prosto w jej klatkę piersiową. - Lubisz taką zabawę? - dziabnął ją po raz kolejny i jeszcze następny, aż w końcu Evelyn oparła się plecami o ścianę. - Jakoś teraz nie jesteś już taka pyskata, co?

Amanda spróbowała się wtrącić.

- Rick...

- Zamknij się!

W mroku mignął skrawek białej skóry, kiedy wepchnął latarkę pod spódnicę Evelyn i wcisnął ją pomiędzy jej nogi.

- Jeśli nie chcesz, żebym to zrobił naprawdę, to lepiej zrób to, co mówię, do kurwy nędzy! Psiakrew, słyszysz mnie, czy nie?!

Evelyn się nie odezwała. Mogła jedynie skinąć głową. Jej ręce trzęsły się jak w febrze, kiedy podnosiła je na znak, że się poddaje.

- Nie próbuj ze mną swoich wścibskich sztuczek - ostrzegł Landry.

- Zrozumiałaś?

- Ona bardzo żałuje - powiedziała szybko Amanda. - Obie żałujemy. Rick, proszę cię! Bardzo nam przykro.

Powoli wyciągnął latarkę spod spódnicy Evelyn. Przy pomocy jednej ręki obrócił ją dookoła i uchwyt wyciągnął w stronę Amandy.

- Zjeżdżajcie stąd, ale to już - powiedział do niej.

Amanda zrobiła dokładnie tak, jak sobie życzył.

OBECNIE

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 8

Kierowca taksówki miał zdecydowanie niepewną minę, podjeżdżając przed dom oznaczony numerem trzysta szesnaście przy Carver Street.

- Człowieku, jest pan pewien, że trafiliśmy we właściwe miejsce?
- Jestem pewien.

Will sprawdził stan licznika i podał kierowcy dziesięciodolarowy banknot.

- Resztę proszę zatrzymać.

Taksówkarz dość niechętnie wziął od niego pieniądze.

- Wiem, że jest pan gliniarzem i w ogóle, ale po zmroku to nie ma większego znaczenia. Rozumie pan?

Will otworzył drzwi.

- Doceniam, że mnie ostrzegłeś.
- Na pewno nie chce pan, żebym tu zaczekał?
- Nie, ale dzięki za troskę.

Wysiadł z taksówki. Jednak kierowca zwlekał z odjazdem i ruszył dopiero wtedy, gdy Will powędrował w kierunku bocznej ściany budynku.

Przez chwilę spoglądał, jak tylne światła samochodu znikają w głębi ulicy, aż w końcu odwrócił się i ruszył w dalszą drogę pomiędzy bujnym zielskiem, wymieszanym tu i ówdzie z jeżyną, zmierzając ku tylnej ścianie dawnego domu dziecka. Blask księżyca i światło latarni wydobywało z mroku wyraźnie wydeptaną ścieżkę, która wiodła na

zaplecze budynku. Ostrożnie stawiał kroki między strzykawkami i zużytymi prezerwatywami, potłuczonym szkłem i stosami śmieci.

Przypomniawszy sobie wcześniejsze ostrzeżenia Sary o niebezpieczeństwach, jakie czyhają w tym domu. Dziś wieczorem Sara była wyjątkowo spostrzegawcza. I wyraźnie wkurzona. Will nie mógł jej za to winić. Sam był na siebie wkurzony. Prawdę mówiąc, był wściekły jak cholera.

Do diabła, wściekłość jeszcze go nie opuściła.

Okrążając dom, odruchowo zacisnął pięści. Wiedział, że jest na skraju obłędu, zaprzeczając temu, co tak naprawdę nie dawało mu spokoju. Jego ojciec wyszedł z więzienia. Potwór znów cieszył się wolnością. Will odpychał od siebie tę myśl, podobnie jak robił to od chwili, gdy po raz pierwszy odkrył, w czym rzecz.

Przez cały czas, gdy Sara zszywała mu kostkę, Will miał w głowie tylko jedno - dostać się do pokoju Amandy i siłą wydrzeć z niej prawdę. Dlaczego komisja do spraw zwolnień warunkowych podjęła decyzję o wypuszczeniu jego ojca z więzienia? Dlaczego Amanda wiedziała o tym wcześniej niż on? Co jeszcze próbowała przed nim ukrywać?

Bo przecież musiała coś ukrywać. Zawsze coś ukrywała.

I prędzej umrze, niż pozwoli, żeby Will się o tym dowiedział. Była twardsza niż jakikolwiek mężczyzna, którego dotąd miał okazję poznać. Nie zasługiwała na miano kłamcy, ale załatwiała sprawy w taki sposób, że człowiek zaczynał myśleć, iż postradał zmysły. Will już dawno zrezygnował z pomysłu, żeby w kontaktach z Amandą być szczerym do bólu. Piętnaście lat studiowania jej osobowości nie ujawniło nic ponad to, że Amanda z upodobaniem żywiła się subtelnościami oraz zagadkami. Uwielbiała zastawiać na niego pułapki. Na każde pytanie, z którym się do niej zwracał, odpowiadała

kolejnym pytaniem, i mijało niewiele czasu, gdy już rozmawiali o sprawach, na myśl o których Will żałował, że w ogóle wstał rankiem z łóżka. Albo w tym roku. Albo kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Dlaczego dziś wieczorem zjawiała się w domu dziecka? Czego tam szukała? Ile naprawdę wiedziała na temat jego ojca?

Will z góry mógł domyślić się, jakie będą jej odpowiedzi. Po prostu wyszła z domu na wieczorną przejażdżkę. Kto nie cieszyłby się przyjemnym spacerkiem po getcie, jeśli w tym czasie powinien rozpracowywać sprawę uprowadzenia? Widziała Willa i Sarę w budynku sierocińca i na pewno zastanawiała się, co tam robią. Czy w ciekawości jest coś złego? Oczywiście, że Amanda wiedziała o jego ojcu. Ostatecznie była jego szefową. To było w jej interesie, żeby wiedzieć wszystko na temat Willa.

Z wyjątkiem jednej rzeczy. Oberwała deską w głowę na tyle mocno, że na chwilę straciła swoje legendarne opanowanie.

- Milion razy powtarzałam Ednie, żeby wreszcie kazała podeprzeć stemplami te cholerne schody!

Edna, jak Edna Flanningan.

Amanda była w trakcie cholernie ważnego śledztwa. Prasa siedziała jej na głowie, a na karku przypuszczalnie czuła oddech szefa GBI. A mimo to zostawiła wszystko, chwyciła za młotek i przyjechała tutaj. Istniał jeden, jedyny sposób, by znaleźć odpowiedź na pytanie, co ją tu sprowadziło; Will miał zamiar gołymi rękoma zburzyć do fundamentów ten dom, żeby to coś znaleźć. A potem chciał rzucić jej znalezisko prosto w twarz.

Gapił się na tylną ścianę budynku. Kiedyś byt tu mały taras, ale teraz pozostała jedynie ziejąca czernią dziura w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się piwniczne okienko. Sanitariusze nie byli w stanie wynieść Amandy przez wewnętrzny korytarzyk, więc rozwalili

sklejkę zasłaniającą piwniczne okienko i wykruszyli parę cegieł, żeby powiększyć jeden z otworów.

Will popatrzył na uliczne latarnie. Cmy wirowały wokół słupów światła, tworząc efekt stroboskopu. Z powrotem skierował wzrok w stronę budynku.

Teraz myślał, że z pewnością można było zaplanować to lepiej. Will mógł przecież poprosić taksówkarza, żeby podwiózł go do domu, który znajdował się mniej więcej półtora kilometra stąd. W garażu trzymał przecież mnóstwo narzędzi. Dwa młoty kowalskie, kilka łomów, nawet wiertarkę udarową, którą kupił z drugiej ręki w Habitat Store. Wszystkie były dość podniszczone i mocno zużyte. Will kupił swój dom ze zwrotów podatku. Musiał poświęcić całe trzy lata oraz każdy zarobiony grosz, żeby zmienić tę ruinę w dom mieszkalny.

Najtrudniejszym zadaniem okazało się przekonanie miejscowych narkomanów, że dom ma nowego właściciela. Przez pierwsze pół roku Will musiał sypiać z dubeltówką. Kiedy akurat nie rozpruwał ścian ani nie zajmował się lutowaniem miedzianych rur, podchodził do drzwi i spokojnie wyjaśniał temu, kto właśnie próbował się do nich dobijać, że niestety musi poszukać sobie innego miejsca do wypalenie skręta.

Właściwie było to całkiem niezłe przygotowanie do tego, co właśnie zamierzał.

Przez otwór w ścianie wdrapał się do wnętrza. Pulsujące światło z lamp ulicznych oświetlało większą część sutereny. Will użył swojej komórki, żeby oświetlić resztę, a następnie przeszedł ostrożnie obok połamanych schodów.

Amanda Wagner była chodzącą definicją słowa „gotowość” i Will nie potrafił wyobrazić jej sobie, jak schodzi w ciemną czeluść bez

swojej latarki Mag-Lite. Wkrótce wyszedł znajomy niebieskawy błysk metalu obok pustych półek. Włączył latarkę. Była wystarczająco mała, żeby zmieścić się w jego kieszeni, ale żarówka LED świeciła jak reflektor w starym chevy.

Will nie był tak do końca szczery wobec Sary. W swoim czasie spędzał w suterenie mnóstwo czasu, chowając się tu razem z Angie. Naturalnie nie stawał na palcach ani nie używał łokci, żeby wymierzyć pomieszczenie, ale w jego pamięci zostało ono pomniejszone do rozmiaru pudełka od butów, choć w rzeczywistości było tak samo duże jak pomieszczenia na wyższych piętrach.

Przesunął rękoma po zewnętrznych ścianach. Na gładkim tynku dało się wyczuć ciężkie gwoździe, umieszczone co czterdzieści centymetrów tuż pod powierzchnią. Środek pomieszczenia rozdzielała na dwie części gipsowa ścianka. Ta konstrukcja pochodziła z późniejszego okresu, lecz mimo to na krawędzi płyty gipsowej widniał wianuszek czarnej pleśni, a na samym dole brakowało kilku kawałków. Widoczna na samym dole para sosnowych desek rozmieszczonych w dziwnej odległości, przypominała parę nóg sterczących spod białej halki.

Na końcu suterenu znajdowało się małe pomieszczenie ze zlewem i ubikacją, przypuszczalnie przeznaczone dla obsługi. Ściany były wykonane z surowego drewna, od zewnątrz wykończonego pełną sęków, sosnową boazerią. Will rozejrzał się dokładnie. Parę razy kopnął w znajdujący się pod zlewem syfon, ale nadaremnie. W rurze niczego nie było.

Zrzucił pokrywę z rezerwuaru, ale zbiornik okazał się pusty. Miskę klozetową wypełniała czarna, zatechła woda. Will rozglądał się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mógłby w niej zanurzyć zamiast własnej ręki. Z belki zwisały bezwładnie resztki starej instalacji. Will

wyciągnął długi kawałek drutu, złożył go kilka razy, aż uzyskał odpowiednią sztywność, a następnie sprawdził zawartość sedesu. Nic, tylko ohydny smród.

Blask latarki wydobywał z mroku pajęczę sieci i ślady termitów w deskach podłogowych. Will raz jeszcze przeszedł się dookoła całego pomieszczenia. Drewniane półki w schowku były puste. Zsypany węgiel wypełniony był jedynie czarnym pyłem, w którym leżało kilka strzykawek oraz jeden zużyty kondom. Will oświetlił latarką przewód kominowy. Na dole leżało mnóstwo ptasich odchodów, a na ceglach widniały ślady rozpaczliwego drapania. Kiedyś musiało tu ugrzęznąć jakieś zwierzę, pomyślał Will. Zamknął metalowe drzwiczki i przekręcił klamkę, żeby je zablokować.

Zdjął marynarkę i powiesił na jakimś gwoździu, który sterczał z belki. Glock został przy pasku - tam mógł zawsze być pod ręką. Przy schodach Will natrafił na młotek przyniesiony przez Amandę. Nikt wcześniej go nie używał. Na ręczce wciąż znajdowała się etykieta z ceną. Kupiła go w Midtown Hardware. Kosztował czterdzieści baksów.

Will wsunął latarkę do tylnej kieszeni. Światło z ulicy było wystarczająco mocne. Dokładnie obejrzał młotek. Kuta ręcznie, niebieska stal o gładkiej powierzchni, a na końcu rączki nylonowy kapturek. Will przypuszczał, że Amanda kupiła ten młotek ze względu na wygląd, a nie przydatność. Albo może zwyczajnie zgarnęła go z półki, ponieważ pasował do błękitu latarki. Tak czy owak, był dobrze wyważony, z ostrym pazurem, który gładko przebił się przez tynk, kiedy Will uderzył nim w zewnętrzną ścianę.

Wyszarpnął młotek i uderzył jeszcze raz, powiększając dziurę. Ze ściany odpadł kawałek tynku. Will roztarł go pomiędzy palcami. W

miksturze znajdowało się końskie włosie - drobne, jedwabiste nitki, które przez prawie sto lat spajały glinę i wapień.

Will wyrwał ze ściany wystarczająco duży fragment tynku, żeby wsunąć rękę za deszczułkę. Drewno było zgniłe, wiecznie wilgotne od wody, która sączyła się przez fundamenty. Przypuszczalnie powinien był założyć rękawice i gogle, albo przynajmniej maskę. Bez wątplenia za tynkiem znajdowała się pleśń, może nawet grzyby, będące efektem rozkładu. Ze środka emanował przejmująco wilgotny odór, charakterystyczny dla umierających domów. Will użył młotka, żeby wyszarpnąć następny kawał tynku. A potem kolejny.

Powoli przesunął się dookoła piwnicy, odłupując tynk kawałek po kawałku. Potem usuwał kolejno deszczułki, wymiatał strzępy gazet, które kiedyś służyły jako izolacja, i dopiero wtedy przechodził do następnego odcinka.

Pracując w najciemniejszych kątach, dokąd nie dochodziło światło latarni, Will trzymał w zębach należącą do Amandy latarkę. W powietrzu unosiły się tumany białawego pyłu, od którego łzawiły mu oczy. Z nadmiaru kurzu i pleśni ciekł mu z nosa wodnisty katar. Praca nie była trudna, ale mozolna i uciążliwa, a temperatura w suterenie zdawała się podnosić z każdym krokiem Willa. I znowu drewniana listwa rozpadła się w jego rękę, jakby składała się wyłącznie z mokrego papieru. Użył pazura od młotka, żeby wyciągnąć zgniłe drewno na zewnątrz. Podobnie jak na każdym poprzednim odcinku poświecił latarką w pusty otwór.

Nic.

Przycisnął otwartą dłoń do zimnej ściany. Tutaj jedynie cienka warstwa cegieł powstrzymywała napór ziemi, znajdującej się dookoła fundamentów. Tym niemniej Will w kilku miejscach rozburzył cegłę, żeby sprawdzić, czy coś się za nią kryje. W końcu dał spokój - z

obawy, że spowoduje zawalenie się ścian. Wyciągnął z kieszeni komórkę i sprawdził, która godzina. Przed dwiema minutami minęła północ. Pracował tu już od całych trzech godzin.

Wszystko na próżno.

W końcu odsunął się od ściany, zakasłał i wypluł kłęb mokrego tynku.

Trzy godziny.

I nic. Żadnych nabazgranych pospiesznie notatek, żadnych potajemnych przejść. Żadnych odciętych rąk ani toreb z ziarnami magicznej fasoli... Z tego, co dotąd udało mu się ustalić, nikt nie naruszał struktury ścian od momentu, gdy budowano ten dom. Drewno było tak stare, że Will mógł dostrzec ślady nacięć w miejscach, w które uderzała siekiera, żeby ociosać stemple z pni większych drzew.

Znowu zaniósł się kaszlem. W pozbawionej dostępu powietrza piwnicy kurz nie chciał opaść. Wierzchem dłoni otarł z czoła krople potu. Czuł, że od nieustannego uderzania młotkiem rozboleły go wszystkie mięśnie, ale mimo wszystko zdecydował, że musi jeszcze zniszczyć ściankę działową, która stała na środku piwnicy. Pod wieloma względami płyta gipsowa Sheetrock była znacznie trudniejsza do rozwalenia niż zwykły tynk. Papier był wilgotny, ale gips przesiąkł na wylot. Ściana rozpadała się w malutkich fragmentach. W ażurowej izolacji pełno było pełzającego robactwa, którego Will usiłował nie dopuścić do swojego nosa i ust. Stemple gniły już od górnego piętra.

Minęło kolejnych czterdzieści minut.

I nadal niczego nie udało mu się odkryć.

A to oznaczało, że natrętnie pytanie, które tłukło mu się po głowie przez ostatnie dwie godziny, w końcu musiało zostać zadane:

„Dlaczego nie zaczął od parteru?”

Amanda kupiła młotek, którego używają murarze. Podłoga w piwnicy została zrobiona w całości z płyt chodnikowych. Will rozpoznał na niektórych płytach logo Chattahoochee Brick Company. Były podobne do tych, które znajdowały się w jego własnym domu - wypalonych z czerwonej gliny Georgii w manufakturach Atlanty, które w czasach finansowego boomu zostały zamienione w mieszkalne lofy.

Will mocniej ścisnął młotek. Jak ostatni naiwniak pomyślał, że Amanda kupiła go dlatego, że był niebieski. Już słyszał w głowie jej zgrzytliwy głos, który naśmiewał się z niego: „Myślałam, że jesteś prawdziwym detektywem”.

Zabrał się do zniszczenia piwnicy, nie myśląc bynajmniej o zachowaniu porządku. Na podłodze nie było ani skrawka miejsca, w którym by nie wałały się sterty gruzu. Teraz odwrócił się plecami do narożnika i popatrzył na pomieszczenie. Bez znajdującej się na środku ściany łatwo było zaplanować siatkowy wzór. Każda kostka miała w przybliżeniu dziesięć na dwadzieścia centymetrów. Will mógł uprzętnąć od pięciu do dziewięciu rzędów, czyli fragment o wymiarach mniej więcej jakiegoś jednego metra kwadratowego. W pomieszczeniu o powierzchni czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych oczyszczenie całej podłogi zajęłoby trochę czasu...

Butem odgarnął gruz z podłogi, a potem ukląkł na oba kolana, żeby zacząć od pierwszego sektora. Na myśl o planie zniszczenia piwnicznej podłogi nie odczuwał żadnej radości. Ściśle wyliczając łuk każdego zamachu, odbijał przy pomocy pazura fragmenty płyt, mrużąc przy tym oczy, żeby ochronić je przed fruwającymi w

powietrzu odpryskami. Oczywiście kostka nie pozwalała się łatwo odłupać. Gлина była już stara, a technika wypalania w latach trzydziestych nie miała zbyt wiele wspólnego z metodami naukowymi. Imigranci przypuszczalnie pracowali od wschodu do zachodu słońca, ze zgiętymi plecami i kolanami, napełniając gliną drewniane formy, które następnie schły na wolnym powietrzu, a potem były wypalane w piecach.

Pierwszy rząd kostki skruszył się pod naporem uderzeń pazura. Krawędzie okazały się dość słabe. Nie trzymały środka. Will musiał gołymi rękoma wyrywać je po kawałku. W końcu, przy trzecim rzędzie, opracował bardziej wydajny system. Każdy zamach musiał być wykonany z niezwykłą precyzją, żeby w twardej glinie powstały pęknięcia. W spoinach znajdował się piasek. Wdzierał się do oczu Willa, dostawał się do jego ust. Will zacisnął zęby. Myślał o sobie jako o maszynie, przesuając się tam i z powrotem, płyta po płycie, czyszcząc każdy fragment podłogi i przekopując się kilka cali w głąb, żeby sprawdzić, co jest pod spodem.

Po raz trzeci tego dnia przytłoczyła go daremność własnego wysiłku. Kopnął stertę gruzu pokrywającego kolejny fragment podłogi, potem następną... Przy pomocy Mag-Lite Amandy uważnie przyglądał się każdej szczelinie i każdemu pęknięciu. Płytki szczelnie przywierały jedna do drugiej. Nic ich przez te wszystkie lata nie naruszyło.

Nic. Podobnie było ze ścianami. Tu nie kryła się żadna tajemnica.

- Psiakrew!

Ze złością cisnął młotek na ukos przez pokój. Nagły ból szarpnął jego biceps, bo mięśnie ścisnęły się w nagłym skurczu. Will złapał się za ramię, wpatrując się jednocześnie w stos zaprawy, w bezsensowny owoc swojego wysiłku.

Pomyślał o swoich rozkosznych fantazjach o zemście, które snuł na oddziale ratunkowym Grady Hospital. Oczyma wyobraźni widział Amandę - pobladłą z przerażenia, która z chęcią udzielała mu odpowiedzi na każde pytanie. Will brał do tej pory udział w niezliczonej ilości bójek, ale jak dotąd nie zdarzyło się, żeby podniósł rękę na kobietę. Amanda prawdopodobnie spała słodko jak niemowlę na szpitalnym łóżku, podczas gdy on ścigał upiory, co do których nawet nie był pewien, czy chciałby je poznać.

Zacisnął ręce. Na wszystkich palcach miał niewielkie skaleczenia - jak po kartce papieru, tylko zdecydowanie głębsze. Zszywana niedawno kostka piekła żywym ogniem. Will próbował się podnieść, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Zmusił się, żeby wstać, ale od razu zatoczył się na ścianę, łapiąc za jeden z wystających gwoździ. Potężna drzazga wbiła mu się prosto w dłoń. Wrzasnął, żeby dać ujście nieznośnemu cierpieniu. W całym jego ciele nie został już ani jeden mięsień, który nie przysparzałby mu bólu.

Wszystko na nic.

Will wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz, a następnie chwycił zawieszoną na gwoździu marynarkę. Światło latarni już nie pulsowało, gdy wydostał się z piwnicy na zewnątrz, zaś powietrze było tak rześkie, że od razu zaniósł się kaszlem. Wypluł jeszcze kilka kawałków tynku, a następnie podszedł do pompy, która znajdowała się na środku podwórza. Była to ta sama pompa, z której korzystał w dzieciństwie podczas letnich miesięcy, kiedy pani Flannigan wyrzucała ich z domu, mówiąc, żeby nie wracali wcześniej niż na kolację. Rączka pompy była przerdzewiała prawie na wylot.

Will ostrożnie poruszył dźwignią w górę i w dół, aż z kurka pociekł cieniutki strumyczek wody. Przyłożył do niej usta i pił, dopóki nie poczuł, że jego żołądek wypełniają ostre jak brzytwa noże. Wtedy

wsadził pod kran całą głowę i splukał z niej brud. Pod wodą zapiekły go oczy. Pewnie w wodzie rozpuszczone były jakieś chemikalia, o istnieniu których wolałby nie wiedzieć. Pamiętał, że kiedy był jeszcze dzieckiem, przy tej samej ulicy mieściła się garbarnia. Przypuszczalnie już wtedy opił się tyle benzenu, że wystarczyłoby dla całego oddziału onkologicznego.

Jeszcze jedna pamiątka z dzieciństwa, pomyślał.

Podciągnął się, używając pompy jako dźwigni. Rączka pękła z trzaskiem. Will mógł jedynie pokręcić głową. Rzucił rączkę na podwórze i rozpoczął długą wędrówkę do domu.

Will siedział przy stole w swojej własnej kuchni, zaciskając palce na niebieskim skoroszycie. Oczy same kleiły mu się ze zmęczenia. Był tak wyczerpany, że zataczał się jak ktoś, kogo zamroczył alkohol. Jednak nie zadał sobie trudu, żeby położyć się do łóżka. Kiedy w końcu dotarł do domu, dochodziła trzecia rano, a o czwartej musiał wstać, żeby dotrzeć na czas na lotnisko i zająć się podróżującymi biznesmenami. Wziął prysznic i przygotował sobie śniadanie, ale nie mógł niczego przełknąć. Wyprowadził na spacer psa, wyczyścił do połysku swoje zdarte buty, założył garnitur i krawat. Przetarł bactinem tysiące drobnych zacięć i pęcherzy, którymi miał pokryte ręce. Wytarł do czysta dziwny, różowawy płyn, który przesączał się przez opaskę Band-Aid, założoną na zszywanej kostce.

A teraz nie mógł się zmusić, żeby wstać od stołu.

Skubał palcami krawędź skoroszytu. Na karteczce przyklejonej do etykiety widniało wypisane na maszynie nazwisko jego matki. Will tyle razy patrzył na ten napis, że jego obraz wypalił mu się na siatkówce oka. Miał dwadzieścia dwa lata, kiedy wreszcie udało mu się uzyskać pełny dostęp do informacji o matce. Wcześniej musiał

odwalić mnóstwo papierkowej roboty. Musiał osobiście stawić się przed sądem. Było także wiele innych spraw, z których wszystkie wiązały się z przebrnięciem przez system sądowy dla nieletnich. Jednak największą przeszkodą był sam Will. Musiał dotrzeć do takiego punktu, w którym perspektywa stawienia się przed sędzią nie wywoływała u niego zimnych dreszczy.

Betty wsunęła się do środka przez otwór w drzwiach przeznaczony dla psa i obrzuciła go ciekawskim spojrzeniem. Psiak był adoptowany - zawstydzająco maleńki mieszaniec chihuahua, który trafił do Willa zupełnie przez przypadek. Teraz suczka położyła przednią łapę na udzie swojego pana i wyglądała na dość zakłopotaną, kiedy ten nie pozwolił jej wskoczyć na swoje kolana. Po chwili dała za wygraną, okrążając trzy razy całą kuchnię, zanim w końcu usadowiła się przed miską z psim żarciem.

Will z powrotem spojrzął na akta, na wypisane na nich nazwisko swojej matki. Czarny druk mocno odcinał się od białego tła. Choć właściwie karteczka nie była już biała. Will tyle razy przesunął palcami po nazwisku matki, że kartka pożółkła od ciągłego dotykania.

Otworzył akta. Na pierwszej stronie znajdowało się to, co zwykle mieści się w raporcie policyjnym. Na samej górze znajdowała się data, a poniżej numer sprawy. Potem następował akapit z bardziej uderzającymi szczegółami: nazwisko, adres, waga, wzrost, przyczyna śmierci.

Zabójstwo.

Wpatrywał się w zdjęcie swojej matki, zrobione polaroidem na wiele lat przed jej śmiercią. Miała na nim trzynaście, może czternaście lat. Podobnie jak kartka z nazwiskiem, zdjęcie było pożółkłe od ciągłego dotykania. Albo może upływ czasu zniszczył chemikalia używane do wywołania. Dziewczynka stała przed

choinką. Willowi powiedziano potem, że aparat fotograficzny był prezentem dla niej na święta Bożego Narodzenia. W ręku trzymała parę skarpetek, przypuszczalnie jeszcze jeden prezent. Na jej twarzy gościł radosny uśmiech.

Nie należał do tego typu mężczyzn, którzy lubią gapić się w lustro, ale spędził mnóstwo czasu, studiując każdy rys twarzy i szukając podobieństw między sobą a swoją matką. Mieli takie same migdałowe oczy. Nawet na wyblakłym zdjęciu mógł dostrzec, że oczy matki były tak samo intensywnie błękitne jak jego własne tęczówki. Włosy Willa miały piaskowy odcień, dążący bardziej w kierunku brązu niż niemalże żółte loki dziewczynki ze zdjęcia. Jeden z dolnych zębów miał tak samo lekko krzywy jak u niej. Na zdjęciu nosiła aparat. W czasie, gdy została zamordowana, przypuszczalnie jej zęby tworzyły już ładną, równiutką linię.

Położył zdjęcie na samym brzegu pierwszej strony, upewniając się, że klips do papieru trafi w to samo miejsce. Odwrócił kartkę, żeby zerknąć na drugą stronę, ale jego wzrok nie chciał się skupić na widniejących tam słowach. Tekst skakał mu przed oczyma. Will zamrugał kilka razy, a potem wpatrzył się w pierwsze słowo w pierwszej linijce. Znał je na pamięć, więc przyszło mu to dość łatwo.

„Ofiara...”.

Przełknął ślinę, zanim odczytał kolejne słowa.

„...została znaleziona w Techwood Homes”.

Will zamknął akta. Nie było potrzeby, żeby jeszcze raz czytać wszystkie szczegóły. I tak na trwałe zostały zapisane w jego pamięci. Były częścią jego egzystencji.

Znowu popatrzył na nazwisko matki. Tym razem litery nie wydawały się tak wyraźne. Gdyby jego umysł nie wypełnił braków, Will szczerze wątpił, czy udałoby mu się odczytać słowa.

Nigdy nie należał do zagorzałych miłośników książek. Słowa wędrowały mu po stronie, a litery przestawiały się jak chciały. Dopiero po latach odkrył kilka trików, które pozwoliły mu na bardziej płynne czytanie. Linijka umieszczona pod tekstem powstrzymywała rząd wyrazów od mieszania się z wyrazami w innych wersach. Palcami oddzielał trudniejsze słowa, a potem powtarzał w myślach całe zdanie, aż w końcu pojął jego sens. Mimo wszystko i tak potrzebował dwa razy więcej czasu niż Faith, żeby wypełnić rozmaite raporty, które należało codziennie przedstawiać do wglądu. To, że ktoś taki jak Will wybrał sobie karierę, która w tak wielkim stopniu polegała na papierkowej robocie, było czymś, o czym mógłby napisać sam Dante.

Will był już w college'u, kiedy odkrył, że cierpi na dysleksję. Albo raczej kiedy mu o tym powiedziano. Właśnie obchodzono piętnastą rocznicę śmierci Johna Lennona i ceniona przez Willa nauczycielka muzyki opowiadała, skąd wzięły się przypuszczenia, że Lennon miał dysleksję. W skrócie rzecz ujmując, pani profesor opisała oznaki i symptomy tego zaburzenia. Równie dobrze mogła odczytywać je z biografii Willa. Jednym słowem ta kobieta wygłosiła monolog skierowany do Willa, o tym, jakim darem jest móc się wyróżniać. Will więcej nie poszedł na jej zajęcia. Wcale nie chciał się wyróżniać. Chciał wmieszać się w tłum. Chciał być taki sam jak inni. Przez większość swojej szkolnej kariery musiał wysłuchiwać, że nie wpasowuje się w strukturę grupy. Nauczyciele mówili, że jest zwyczajnym głupkiem. Sadzali go w ostatnim rzędzie, kazać przestać zadawać pytania, skoro i tak nigdy nie zrozumie odpowiedzi. Zdarzyło się nawet, że Will został wezwany do biura opiekuna, gdzie powiedziano mu, że może nadszedł czas, żeby wyleciał ze szkoły.

I Will zapewne zrezygnowałby z nauki, gdyby nie pani Flannigan z domu dziecka. Doskonale pamiętał poranek, kiedy zastała go w łóżku w porze, kiedy powinien był stać na zewnątrz, czekając na szkolny autobus. Will nieraz widział, jak wymierzała klapsy innym dzieciakom; nie było to nic szczególnego, po prostu zwykłe pacnięcie po tyłku albo w twarz. Sam nigdy dotąd nie oberwał, ale tym razem go uderzyła. Uderzyła naprawdę mocno. Żeby to zrobić, musiała stanąć na czubkach palców.

- Przestań się nad sobą rozczulać - rozkazała. - I rusz dupę, żeby zdążyć na autobus, zanim za karę zamknę cię w spiżarni.

Will nigdy nie opowiedział Sarze tej historii. To była kolejna część jego życia, której nigdy by nie zrozumiała. Według niej to było nadużycie, w dodatku dość okrutne. Zdaniem Willa było to dokładnie to, czego wówczas potrzebował. Bo gdyby pani Flannigan nie czuła się odpowiedzialna za niego na tyle, żeby wleźć po schodach na górę i wypchnąć go z budynku, nikt inny nie zawracałby sobie tym głowy.

Betty nastawiła uszu. Przyczepione do obroży zawieszki zakołysały się, kiedy odwracała łeb, a z jej gardła wydobyło się warczenie. Chwilę później usłyszał, jak ktoś przekręca klucz w drzwiach wejściowych i przez ułamek sekundy pomyślał, że być może to Sara. Od razu ogarnęło go uczucie niesamowitej lekkości, ale potem przypomniał sobie, że przecież Sara nie ma kluczy do jego domu. Później z powrotem ogarnęła go ciemność, gdy przypomniał sobie, dlaczego nie dał jej kluczy. Po prostu nie były jej potrzebne, ponieważ rzadko spędzali tutaj wspólny czas. Zawsze jechali do jej mieszkania, bo w domu Willa zawsze istniało niebezpieczeństwo, że Angie zastanie ich razem.

- Willie? - Usłyszał jej głos, kiedy szła przez salon.

Zatrzymała się w otwartych drzwiach do kuchni. Angie zawsze lubiła podkreślać swoją kobiecość. Zakładała dopasowane do figury spódniczki i bluzki z dekoltem, które uwydatniały jej obfity biust. Dziś miała na sobie czarny T-shirt i dżinsy, które nosiła nisko na biodrach. Wyraźnie straciła na wadze przez ostatnie trzy tygodnie, czyli od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Spodnie wydawały się dość luźne, ale był to przypadek, nie zaś celowe działanie. Will mógł dostrzec paseczek stringów, który wyglądał znad paska spodni.

Betty znowu zawarczała, a Angie syknęła na psa. Potem popatrzyła na Willa, na jasnoniebieski skoroszyt, który trzymał w ręku.

- Czytałeś, kochanie? - spytała.

Will nie odpowiedział.

Angie podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wody mineralnej. Odkręciła nakrętkę i upiła spory łyk, spoglądając uważnie na Willa.

- Wyglądasz jak kupa gówna.

Will czuł się jak kupa gówna. Jedyne, na co miał ochotę, to oprzeć głowę o blat stołu i zapaść w sen.

- Czego chcesz? - spytał.

Oparła się plecami o kuchenny blat. Jej następne słowa powinny były go zaskoczyć, ale właściwie nic, co Angie kiedykolwiek powiedziała, nie stanowiło dla niego zaskoczenia.

- Co zrobimy z twoim ojcem?

Wpatrywał się w skoroszyt z aktami. W kuchni było tak cicho, że słyszał świszczący oddech Betty i dzwonienie zawieszek na jej obroży, kiedy kładła się na pościeli. Angie nigdy nie miała dość cierpliwości, żeby dać mu czas do namysłu.

- No więc? - ponagliła go.

Will nie miał dla niej żadnej odpowiedzi. Osiemnaście godzin rozmyślania niemal nieprzerwanie o tej sprawie nie przyniosło żadnego rozwiązania.

- Ja nie zamierzam nic robić - odpowiedział.

Sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Chyba musisz zadzwonić do tej swojej laleczki i poprosić, żeby ci oddała jaja.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Czego tu chcesz, Angie?

- Twój ojciec wyszedł z pierdła przed prawie sześcioma tygodniami. Wiedziałaś o tym?

Miał wrażenie, że żołądek zwija mu się w kłębek. Co prawda nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem szczegółów w bazie danych stanu, ale sądził, że zwolnienie nastąpiło niedawno, najwyżej przed paroma dniami, a nie prawie dwa miesiące temu.

Tymczasem Angie mówiła dalej.

- On ma teraz sześćdziesiąt cztery lata. Jest cukrzykiem, a parę lat temu przeszedł rozległy zawał serca. Opieka nad starszymi ludźmi bywa kosztowna.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Byłam na wysłuchaniu przed decyzją o zwolnieniu warunkowym. Myślałam, że cię tam zobaczę, ale nie. - Uniosła brew, najwyraźniej czekając, aż zada jej jedno oczywiste pytanie. Kiedy tego nie uczynił, kontynuowała wypowiedź. - Wygląda całkiem nieźle jak na swój wiek. Widać, że utrzymuje dobrą formę. Przypuszczam, że ten atak serca napędził mu strachu. - Uśmiechnęła się. - Masz takie same usta jak on. Ten sam kształt.

- W jakim celu mi to mówisz?

- Cel jest zawsze ten sam. Po prostu pamiętam, co mi obiecałeś.

Zapatrzył się na swoje dłonie, skubiąc sterczącą skórę.

- Angie, wtedy obydwójce byliśmy dziećmi.

- Wsadzić mu nóż w gardło. Rozwalić łeb łomem. Wstrzyknąć śmiertelną dawkę hery i udawać, że to był wypadek. To były twój ulubiony pomysł, pamiętasz? - Pochyliła się do przodu, żeby znaleźć się na linii jego wzroku. - Czyżbyś chciał mnie odepchnąć, Wilbur?

Odsunął się od niej.

- Czy mam ci przypomnieć, co się przytrafiło twojej matce?

Will próbował odchrząknąć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Angie przyciągnęła krzesło i usiadła dosłownie kilka centymetrów od niego.

- Posłuchaj, skarbie, możesz zabawiać się ze swoją maleńką panią doktor ile tylko chcesz. Wiesz, że i tak wzięłam od ciebie to, co do mnie należało. Ale tu chodzi o biznes. O ciebie, o mnie i o obietnicę, którą niegdyś sobie złożyliśmy.

Odczekała sekundę, a potem mówiła dalej.

- Will, nie możemy ot, tak zwyczajnie odpuścić tego, co przydarzyło się twojej matce, co przydarzyło się tobie... A wszystko przez tego łajdaka. On musi za to zapłacić.

Skórka na palcu Willa zaczęła krwawić, ale mimo to nie przestawał jej skubać. Słowa Angie poruszyły w jego wnętrzu jakąś strunę. Uczucie gniewu. Wściekłość. Pragnienie zemsty. Will spędził ostatnie dziesięć lat, próbując wyrzucić z siebie te uczucia, a teraz Angie wepchnęła je tam z powrotem.

- Nie mów mi o złamanych obietnicach.

- Pomyśl o Ashleigh Snyder.

Poderwał głowę, zaskoczony jej odpowiedzią.

Angie uśmiechnęła się, pukając palcem w akta dotyczące sprawy zabójstwa jego matki.

- Zapominasz, dziecinko, że ja wiem o wszystkim. Znam każdy szczegół. Każdy drobiazg. Myślisz, że on się zmienił? Uważasz, że jest za stary, żeby cię dopaść? Pozwól powiedzieć sobie, skarbie, że on jest bardzo zajęтым człowiekiem. Może cię wyprzedzić, może cię przeskoczyć, może pierwszy próbować cię zabić... Samo patrzenie na niego napełniło mnie przerażeniem, a wiesz chyba, że nie jest łatwo mnie przerazić.

Popatrzył na jej palec. Lakier na paznokciu był częściowo odpryśnięty.

- Will, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Czekał, aż wreszcie odłoży skoroszyt z aktami jego matki.

Powoli odsunęła rękę.

Angie pomogła mu wypełnić wszystkie formularze, żeby mógł otrzymać dokumenty. Pierwsza pokazała mu fotografię jego matki i czytała na głos raport z autopsji, podczas gdy Will - tak rozstrojony, że niemal nie mógł normalnie funkcjonować - ledwie był w stanie cokolwiek z tego zrozumieć. Poszarpania. Otarcia. Zadrapania. Rozdarcia. Rany. To, co niemożliwe do opisania, przekazane chłodnym, medycznym językiem. Tak jak i Will, Angie знаła każde słowo raportu. Wiedziała o wszystkich, najgorszych rzeczach. Poznała ogrom jego niedoli i cierpienia, podobnie jak wiedziała, że kiedy tylko skończyła czytać o tym, co przydarzyło się jego matce, Will tak okropnie się rozchorował, że zaczął kasłać krwią.

- Znalazł sobie norę w hotelu „Four Seasons” przy Czternastej Ulicy. Przypuszczam, że przez te wszystkie lata zarobił parę procent z kasy, którą wpackował w różne przedsięwzięcia.

- Śledzisz go?

- Mój kumpel pracuje w ochronie i ma go na oku. - Angie wydeła usta. - Podobno prowadzi całkiem niezłe życie. Pięciogwiazdkowy

hotel. Codziennie rano siłownia. Pełna obsługa w pokoju. Spacer. Posiedzenia w barze.

Will oczyma wyobraźni widział każdy z tych obrazów. Myśl, że taki facet wie tak dostatecznie życie, była jak cios pięścią prosto w brzuch.

- Wszystko w porządku. - Angie starała się złagodzić wrażenie. Will nie mógł oderwać oczu od akt. Palcami kurczowo ścisnął brzeg skoroszytu. - Jestem tu, kochanie. Przede mną nie musisz niczego udawać.

Wzdrygnął się, kiedy palce Angie przesunęły się po jego karku i po plecach. Paznokciami obrysowywała każdą bliznę, każdą szramę, które pokrywały jego skórę.

- Możesz ze mną o tym porozmawiać. Ja tam byłam. Wiem, co się wydarzyło i na pewno nie będę cię osądzać.

Will potrząsnął głową, ale ona nie przestawała go dotykać. Jej ręka wślizgnęła się na jego pierś, a koniuszki palców zakreśliły idealnie zarysowane koło wokół miejsca, w którym niegdyś tłęcy się papieros wypalił mu skórę. Jej usta znalazły się teraz przy jego uchu.

- Czy myślisz, że takie coś w ogóle by się zdarzyło, gdyby twoja matka znajdowała się w pobliżu? Że pozwoliłaby, żeby ktoś skrzywdził jej ukochanego chłopczyka?

To było wtedy, kiedy rozmawiali o tym przez całe godziny, dni, tygodnie i lata. O rzeczach, które ich spotkały. O sprawach, za które chcieliby odpłacić tamtym ludziom. O dziecięcych marzeniach o zemście. Wtedy stanowiły treść życia. A jednak tak dobrze było znowu dopuścić je do siebie. Rozkoszować się myślą, że można zrobić temu łajdakowi to, czego nie zrobił mu państwowy wymiar sprawiedliwości.

- Pozwól mi się tym zająć - wyszeptała Angie. - Pozwól mi zrobić to tak, żebyś wyszedł na tym jak najlepiej.

Will był tak bardzo zmęczony. Czuł się niezdolny do jakiegokolwiek działania. Bolał go każdy skrawek ciała, a mózg wypełniał szum, który za nic nie chciał ustąpić. Kiedy Angie przywarła do niego, pomyślał jedynie, że dobrze jest czuć blisko siebie obecność innej istoty. To właśnie Sara wyzwoliła w nim takie uczucia. Odebrała mu zdolność bycia samemu. Przełamała jego upodobanie do samotności. Wciągnęła go w świat, gdzie nie tylko pragnął pewnych rzeczy - one po prostu były mu niezbędne do życia. Potrzebował czyjś dotyku. Potrzebował ramion, które by go obejmowały.

- Biedne maleństwo. - Angie całowała teraz jego ucho, jego kark.

Poczuł w głębi ciała znajome drżenie. Nie protestował, gdy wsunęła mu rękę pod koszulę. Nie odsunął się, kiedy ustami natrafiła na jego usta. Jego ręka spoczęła na jej piersi, a wtedy ona przywarła doń jeszcze mocniej.

Jednak jej usta pozbawione były smaku. Nie pachniały miętą ani miodem, ani tymi małymi cukierkami, które tak lubiła Sara. Ręce Angie spoczywały na jego ramionach, a jej dłonie były szeroko rozwarłe - nie owijały się dookoła jego szyi. Nie przyciągały go coraz bliżej. Wręcz przeciwnie - odpychały.

Will znów spróbował ją pocałować, ale Angie odsunęła się poza zasięg jego rąk. Wiedział, że tak postąpi. Zawsze tak robiła. Kiedy dostała już to, na czym jej zależało, nie chciała tego więcej.

Westchnął głęboko.

- Nie kocham cię - powiedział i zaraz się poprawił. - Nie jestem w tobie zakochany.

Skrzyżowała ramiona, z powrotem sadowiać się na krześle.

- Czy powinnam czuć się tym urażona?

Will potrząsnął głową. Nie chciał jej ranić. Po prostu chciał ją powstrzymać.

- Wróć do rzeczywistości, skarbie. Sara może jest uroczą laleczką i możesz mówić jej wszystko, co tylko ma ochotę o tobie usłyszeć, ale tak naprawdę co ona pocznie z tą wiedzą?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale jednego był pewien.

- Na pewno nie wykorzysta tej wiedzy przeciwko mnie.

- To urocze, ale odpowiedz mi na jedno pytanie: w jaki sposób będzie spać przy tobie każdej nocy, wiedząc, że nosisz w sobie DNA twojego ojca? Natura zawsze bierze górę nad wychowaniem. Nie zapominaj, że Sara jest lekarzem. W końcu zaczniesz się zastanawiać, do czego tak naprawdę jesteś zdolny - Pochyliła się w jego stronę. - Pomyśl o przerażeniu, które zobaczysz w jej oczach.

Will gapił się na nią. Na paskudny grymas, który pojawił się na jej ustach, na pustkę w spojrzeniu. Angie nie była po prostu szczuplejsza. Była niemal wychudzona. Odkąd Will ją poznał, Angie zawsze nosiła mocny makijaż - nie dlatego, że musiała, lecz po to, by się za nim ukryć. Gruba, czarna kreska dookoła oczu. Ciemnobrązowy cień z połyskującymi drobinkami. Szminka w kolorze krwistej czerwieni. Róż na wysoko wysklepionych policzkach. Kręcone, brązowe włosy miękko układały się po obu stronach twarzy. Usta były perfekcyjnie wykrojone. Angie była wysoka, szczupła, a jej obfity biust wylewał się z dekoltu obcisłych bluzek, które uwielbiała nosić. Należała do tego typu kobiet, dla których mężczyźni oszukują swoje żony. Dosłownie. Angie uwielbiała zabierać to, co należało do innych. Była kusicielką. Była syreną. Była złodziejką.

Była także wysoko wykwalifikowaną oszustką. Pozbawioną wszelkich skrupułów.

- Znow zaczęłaś brać tabletki? - zapytał. Próbował chwycić ją za rękę, ale wyszarpnęła się. - Angie?

Bez słowa podniosła się z krzesła i powędrowała z powrotem w stronę zlewu.

Will oparł się o tył krzesła.

- Co ty wyprawiasz, Angie?

Nie odpowiedziała mu. Zamiast tego zapatrzyła się przez kuchenne okno. Jej łopatki wyraźnie sterczały, zaś tatuaż w kształcie czaszki i skrzyżowanych piszczeleli, który zafundowała sobie na osiemnaste urodziny, zbladł do jasnego błękitu.

Will włożył rękę do kieszeni. Pod palcami poczuł chłód metalu swojej ślubnej obrączki. Sara trzymała obrączkę swojego męża w małej, drewnianej szkatułce na obramowaniu kominka. Jej obrączka też tam była. Obie, związane białą wstążeczką, spoczywały na poduszczyce z błękitnej satyny.

- Co ty wyrabiasz, Angie? - zapytał raz jeszcze.

Wzruszyła ramionami.

- Tak już ze mną jest, gdy ciebie nie ma.

- Przecież mnóstwo razy byłaś beze mnie.

- Oboje wiemy, że tym razem wygląda to inaczej.

Nie mógł zaprzeczyć czemuś, co było prawdą.

- Proszę, przestań robić sobie krzywdę.

- Przystanę, kiedy ty przestaniesz się spotykać z tą pieprzoną przyjaciółką.

Angie wymaszerowała z kuchni. Zabrała torebkę, którą wcześniej rzuciła na sofę w salonie, później zatrzymała się przy drzwiach wejściowych, żeby przesłać mu na pożegnanie pocałunek. A potem zniknęła.

Will przycisnął głowę do stołu. Linoleum przyjemnie ziębiło jego rozpalone czoło. Betty znów dotknęła łapą jego nogi, więc odsunął się, żeby wpuścić ją na kolana. Pod dłonią czuł jej zmierzwiłone futerko. Delikatnie polizała go po palcach.

Matka Angie zabiła się przy pomocy narkotyków. To było długie, trwające dwadzieścia siedem lat samobójstwo. Właśnie dlatego Angie trafiła do domu dziecka. Deidre Polaski spędziła więcej niż połowę życia w śpiączce wegetatywnej, umieszczona na oddziale państwowego szpitala. W końcu kilka miesięcy temu umarła. Może właśnie dlatego Angie znowu zaczęła brać tabletki. Może potrzebowała ucieczki.

Albo może Will był temu winien.

Przed trzema tygodniami, w tej samej kuchni, Angie włożyła sobie do ust jego pistolet. Już wcześniej kilka razy groziła, że się zabije. Taką strategię stosowała, kiedy nic innego nie działało. Will pomyślał o obrączce, spoczywającej w jego kieszeni. Może zachował ją z tych samych powodów, z których Sara zatrzymała obrączkę męża? Will od lat opłakiwał Angie. Jedyna różnica polegała na tym, że Angie jeszcze nie umarła.

Zadzwoił telefon. Nie komórka, która właśnie ładowała się na biurku, lecz telefon stacjonarny. Will oderwał głowę od stołu, ale w żaden sposób nie mógł się zmusić do wstania z krzesła. Może to dzwoniła Sara? Choć Will był pewien, że to on powinien był do niej zadzwonić, nie na odwrót. Wczoraj rozstał się z nią w dość gwałtowny sposób. Doprowadził ją do szału. A teraz całował Angie.

Przyłożył rękę do ust. Na jego palcach został ślad jej szminki. Chryste Panie, co on najlepszego zrobił? Sara będzie wstrząśnięta. Będzie... Will wołał nawet nie myśleć o tym, co Sara mogła zrobić. To będzie koniec ich związku. To będzie koniec wszystkiego.

Telefon przestał dzwonić i w domu zapadła cisza. Will słyszał, jak mu serce wali niczym młot pneumatyczny. W zaschniętych ustach nie było ani odrobiny śliny. Betty poruszyła się na jego kolanach.

Do diabła, co mu do łba strzeliło?

Rozległo się ćwierkanie komórki. Will nigdy nie uważał siebie za tchórza, ale pokusa, by siedzieć tu i nic nie robić, była naprawdę silna. Niestety, nie posiadał czegoś takiego jak siła woli.

Postawił Betty na podłodze. Idąc do salonu, miał wrażenie, że przedziera się przez lotne piaski. Podniósł komórkę. Spodziewał się, że ujrzy na wyświetlaczu numer telefonu Sary, ale zobaczył numer Amandy.

Przez moment zastanawiał się, czy powinien odebrać, ale jeśli ostatnie dwadzieścia cztery godziny czegoś go nauczyły, to tego, że Amanda zawsze wie, jak go wytropić.

Złapał kluczyki do auta, jednocześnie otwierając pstryknięciem aparat.

- Właśnie jestem w drodze na lotnisko.

- Zostań tam, gdzie jesteś. - W głosie Amandy brzmiała śmiertelna powaga. - Znaleźliśmy ciało. Faith już po ciebie jedzie.

Will zacisnął dłoń na krawędzi biurka. Czuł, jak głowa zaczyna mu pulsować z bólu.

- Gdzie?

Amanda wyraźnie się zawahała; coś, czego Will nigdy wcześniej u niej nie spotkał.

- Najlepiej będzie, jak Faith zapozna cię ze szczegółami.

- Gdzie?

Wiesz gdzie. - W końcu Will zmusił ją, żeby to powiedziała. - W Techwood.

15 sierpnia 1974 roku

ROZDZIAŁ 9

MARY HALSTON

Mary została okradziona wczoraj wieczorem w Union Mission, co nie było niczym niezwykłym, ale zawsze ją denerwowało. Nie skradziono jej pieniędzy - te od razu zabierał alfons - lecz medalionik, który dostała w prezencie od przyjaciela ze szkoły średniej, Jerry'ego. Prosto po szkole pojechał do Wietnamu. Dzielnie występował przeciw Charliemu, lecz tak mocno uzależnił się od heroiny, że nie udało mu się pomyślnie przejść testów na obecność narkotyków, żeby dostać powrotny bilet do Stanów. Musiał gnić w dżungli jeszcze sześć miesięcy, zanim okazał się wystarczająco czysty, ale potem, w chwili, gdy samolot dotknął kołami pasa na lotnisku, Jerry chwycił Mary oraz torbę z herą i po następnych sześciu miesiącach już nie żył, kończąc życie z igłą wbitą w ramię, zaś Mary leżała twarzą w dół w jakiejś ciemnej alejce i zaciskając zęby, modliła się, żeby jak najszybciej było już po wszystkim.

Wolała nie patrzeć na ich twarze. Na ich oczy jak paciorki. Na ich wilgotne wargi i zaciśnięte zęby. Czuła się tak, jakby ich obraz wyrył się w tej części jej mózgu, do której pewnego dnia uzyska dostęp, a wtedy - puff - podpali go jak rzymską świecę i pozbędzie się na zawsze.

Pewnego razu Mary przeczytała jakąś zwariowaną książkę o naukowcach, którzy kroją na plasterki czyjąś siatkówkę, a następnie wkładają te plastry do wielkiego telewizora, w którym można obejrzeć wszystko, co ten człowiek widział przez całe swoje życie. Książka była totalną bzdurą, ale przyprawiała o gęsią skórkę, a Mary

nie chciała rozmyślać o swoim życiu. Przede wszystkim było dziwne, że w ogóle ją przeczytała. Mary pomykała szybciej niż Dana Girls i Nancy Drew*. Była szurniętą fanką science fiction od chwili, gdy obejrzała *2001: Odyseję Kosmiczną*. To znaczy właściwie jej nie obejrzała, ponieważ Jerry przez cały czas trzymał rękę w jej majtkach, ale przesłanie filmu do niej bardzo przemawiało: istoty ludzkie były kompletnie przytłoczone przez rok 2001.

**Dana Girls, Nancy Drew - serie popularnych powieści kryminalnych dla młodzieży.*

Oczywiście nie oznaczało to, że Mary dożyje tych czasów i ujrzy wszystko na własne oczy. Miała dziewiętnaście lat. Kiedy nie spała na leżance w Union Mission, krążyła po ulicach w poszukiwaniu klientów. Straciła kilka zębów. Włosy wypadały jej garściami. Nie była wystarczająco dobra, żeby stać na rogu którejs z ulic. Musiała krążyć przez cały dzień, szukając prawników i bankierów, którzy odwracali ja twarzą do ściany i wykonywali swoją robotę. Takie traktowanie przypominało jej w pewien sposób obchodzenie się z kociakami. Wystarczy złapać kota za kark, a od razu robi się miękki i bezwładny. Jednak żaden z tych dupków nie robił się miękki. To było pewne jak cholera.

Mary pobiegła aleją i usiadła obok śmietnika. Strasznie ją bolały stopy. Na piętach zrobiły jej się pęcherze, ponieważ nosiła za ciasne buty. Tak naprawdę to wcale nie były jej. W Union Mission Mary nie była wyłącznie ofiarą. Brała to, co było jej potrzebne, a akurat potrzebowała pantofli. Białe, z lakierowanej skóry. Na grubych obcasach. Były bardzo stylowe, w rodzaju tych, jakie Ann Marie* mogła nosić na przesłuchaniu do *That Girl*.

** That Girl - amerykański sitcom, popularny na przełomie lat 60. i 70., którego główną bohaterką była początkująca aktorka Ann Marie.*

Usłyszała ciężkie kroki, które zmierzały w jej kierunku. Mary spojrzała na mężczyznę. Miała wrażenie, że patrzy na ogromną górę.

Facet był wysoki, z szerokimi ramionami i miał tak potężne łapska, że bez trudu mógłby skrzyć jej kark.

- Dzień dobry, siostró - powiedział.

I była to ostatnia rzecz, jaką Mary usłyszała.

12 lipca 1975 roku

SOBOTA

ROZDZIAŁ 10

Amanda nigdy nie była utalentowaną kłamczuchą - zwłaszcza gdy w grę wchodziło okłamywanie ojca. Już w dzieciństwie Duke patrzył na nią w pewien szczególny sposób, a ona wybuchiała łzami, otwierając przed nim duszę, bez względu na konsekwencje. Teraz nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jak Duke byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że Amanda spędza popołudnie w domu Evelyn Mitchell. Przypomniały się jej wszystkie historie związane ze skandalem dotyczącym Nixona. Ukrywanie prawdy zawsze doprowadzi cię do upadku.

Jednakże tym razem musiała posunąć się do prawdziwego upiększania rzeczywistości. Amanda wymyśliła sobie jakąś nadprogramową pracę w kościele, i w dodatku wciągnęła do spisku Vanessę Livingstone, wymuszając na dziewczynie obietnicę, że niezależnie od okoliczności będzie podtrzymywać jej wersję. Teraz mogła jedynie mieć nadzieję, że Duke jest zbyt zajęty swoim procesem w sądzie, żeby dokładnie sprawdzać jej historijkę. Cały ranek spędził z telefonem w ręku, omawiając coś ze swoim prawnikiem. Decyzja Sądu Najwyższego w sprawie Larsa Oglethorpe'a na nowo podgrzała atmosferę w kwaterze głównej policji. Duke ledwie zauważył obecność Amandy, kiedy przyszła posprzątać mu dom i wyprasować koszule.

Jedynie, czego teraz pragnęła, to ujrzeć na własne oczy Evelyn i przekonać się, czy u niej wszystko w porządku. Kiedy wczoraj odjeżdżały z Techwood, żadna nie odezwała się ani słowem. Evelyn

podrzuciła Amandę na posterunek i pojechała w siną dal, nie powiedziawszy nawet „do widzenia”. Najwidoczniej była do głębi wstrząśnięta tym, na co w ciemnym korytarzu pozwolił sobie Rick Landry.

Amanda wyjechała na Monroe Drive. Nie bywała zbyt często po tej stronie Piedmont Heights. W jej pamięci zapisał się obraz nieurodzajnego obszaru, wypełnionego przez gospodarstwa rolne, choć ten teren już jakiś czas temu został przekazany pod industrializację. Jako dziecko często przyjeżdżała z matką do Monroe Gardens, gdzie uważnie oglądały rabaty pełne bratków i róż, żeby następnie posadzić wybrane kwiatki w ogrodzie na tyłach domu. Teraz w tym miejscu stały budynki, w których mieściły się biura Czerwonego Krzyża, ale Amanda i tak wciąż potrafiła przypomnieć sobie, jak wyglądały rzędy żółtawych żonkili.

Skręciła w lewo, w Montgomery Ferry. Na Plaster Bridge droga zwężała się do jednego pasa. Opony plymoutha podskakiwały na pełnym kolein betonie. Mijając Ansley Golf Club, spociła się ze strachu jak ruda mysz, choć wiedziała, że jej ojciec z pewnością dziś nie zamierzał grać w golfa. Zakręciła ostro w Lionel Lane i wyjechała w prawo na Friar Truck, które przecinało samo serce Sherwood Forest.

Dom Evelyn był jednym z tych wybudowanych w stylu rancza, jakie wznoszono tysiącami dla powracających z wojny weteranów. Dom był jednopiętrowy, z wiatą na samochód - podobnie jak sąsiedni budynek, który był dokładną repliką następnego domu oraz jeszcze kolejnego.

Amanda zaparkowała samochód na ulicy, tuż za kombi Evelyn, i sprawdziła we wstecznym lusterku, jak wygląda. Przez upał jej makijaż trochę się rozmazał, a włosy oklapły i wydawały się całkiem

pozbawione energii. Miała zamiar umyć je dziś rano, ale na samą myśl o siedzeniu pod suszarką zbierało jej się na mdłości; niestety, nie mogła suszyć ich w naturalny sposób, bo od razu robiły się szorstkie w dotyku.

Gdy wyłączyła silnik, do jej uszu doleciał zgrzyt pracującej piły łańcuchowej. Cały podjazd zajmował czarny trans am oraz limuzyna ford galaxie z otwieranym dachem - taka, jaką jeździł Perry Mason*.

** Perry Mason - postać prawnika i detektywa, stworzona przez pisarza Erle'a Stanleya Gardnera.*

Zbliżywszy się do budynku, ujrzała, że obok wiaty powstaje szopa. Stały już wsporniki ścian i położono dach, ale nic więcej. Jakiś mężczyzna opierał się o kawałek sklejki, wspartej na dwóch kozłach. Miał na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i był bez koszuli. Na głowie nosił pomarańczową maskę z logo, które było dobrze widoczne, choć Amanda zdołała je odczytać dopiero wówczas, gdy dotarła do połowy podjazdu. „Florida Gator”.

- Cześć! - zawołał do niej, odstawiając piłę.

Amanda domyśliła się, że to Bill Mitchell, choć nagle uświadomiła sobie, że spodziewała się ujrzeć bardziej imponującego faceta. Ten wyglądał całkiem zwyczajnie; był mniej więcej wzrostu Evelyn, z przeredzającymi się, brązowymi włosami i odrobinę widocznym brzuszkiem. Zwróciła uwagę, że miał mocno zaczerwienioną skórę, zapewne od nadmiaru słońca. Witał ją przyjaznym uśmiechem, lecz Amanda czuła się ogromnie skrępowana, rozmawiając z mężczyzną, który nie był w pełni ubrany.

- Amanda - przedstawiła się.

- A ja jestem Bill. - Szedł ku niej z wyciągniętą na powitanie ręką. - Cieszę się, że wreszcie cię poznałem. Evelyn dużo mi o tobie opowiadała.

- Mnie o tobie również. - Uścisnęła spoconą dłoń Billa. Na jego klatce piersiowej i ramionach pełno było trocin.

- Lepiej zejdźmy ze słońca. Dziś jest straszny upał.

Wziął ją pod łokieć i odprowadził w cień wiaty. Amanda ujrzała w ogródku z tyłu domu rozstawiony stół. Weber już wypluwał z siebie kłęby dymu. Na ten widok poczuła przelotne wyrzuty sumienia. Tak bardzo niepokoiła się kondycją Evelyn, że całkiem zapomniała, że jedzie na przyjęcie. Powinna była przywieźć jakiś prezent dla gospodyni.

- Bill? - Evelyn weszła do szopy, trzymając w ręku słoiczek majonezu.

Była boso, na sobie miała jaskrawą, żółtą sukienkę, a włosy ułożone w nieskazitelną fryzurę. Nie nałożyła makijażu, ale w jej wypadku wydawało się to całkowicie zbędne.

- Och, Amanda! A więc zdążyłaś. - Wręczyła majonez swojemu mężowi. - Kochanie, załóż wreszcie koszulę. Jesteś czerwony jak rak.

Bill przewrócił oczyma, spoglądając na Amandę. Odkręcił słoik i oddał go żonie.

- Poznałaś już Kenny'ego? - spytała Evelyn Amandę. - Bill, gdzie jest Kenny? Kenny! - zawołała, nie dając mu czasu na odpowiedź.

- Na dole. - Spod szopy dobiegi niski, dźwięczny głos.

Amanda ujrzała dwie owłosione nogi, potem nogawki krótkich dzinsów, aż wreszcie jej oczom ukazał się owłosiony męski tors. Kenny wysunął się spod zrobionych ze sklejk drzwi.

- Cześć. - Uśmiechnął się do Amandy, a następnie odwrócił do Billa. - Hej, wygląda na to, że będziemy potrzebowali solidniejszego wzmocnienia.

- Oni budują szopę, żebym miała gdzie przechowywać broń - wyjaśniła Evelyn.

- I ziemię do kwiatków - dodał Kenny, wyciągając rękę do Amandy. - Cześć, nazywam się Kenny Mitchell i jestem bratem tej oto osoby.

Amanda uściśnięła jego dłoń. Była ciepła, o nieco szorstkiej skórze. Poczuła, że się rumieni. Kenny był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, naturalnie jeśli nie liczyć filmowych amantów z Hollywood. Mięśnie napinały jego klatkę piersiową i ramiona, a nad zmysłowymi ustami widniały starannie przystrzyżone wąsiki.

- Ev, nie powiedziałaś mi, że masz tak uroczą przyjaciółkę - odezwał się do szwagierki.

Rumieniec przeistoczył się w ognistą czerwień.

- Kenny - skarciła go Evelyn. - Tylko ją zawstydzasz takimi uwagami.

- Madame, proszę o wybaczenie.

Mrugnął porozumiewawczo do Amandy, jednocześnie wkładając rękę do kieszeni, żeby wyjąć stamtąd paczkę papierosów. Amanda zmusiła się, żeby nie patrzeć na linię ciemnych włosów, która zaczynała się tuż pod pępkiem i schodziła coraz niżej.

- Wygląda jak ten mięśniak z reklam Safeguarda, prawda? - Evelyn kiwnęła ręką, zapraszając Amandę, żeby poszła z nią do domu. - Chodź, niech chłopcy sami sobie radzą.

Bill zatrzymał je na moment.

- Dzięki, że wczoraj zaopiekowałaś się moją dziewczynką - powiedział. - Ona jest beznadziejna za kierownicą. Zawsze jest zbyt zajęta poprawianiem makijażu, żeby jeszcze patrzeć na drogę.

Evelyn odezwała się, zanim Amanda zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Opowiedziałam mu o tym facecie, którego prawie rozjechałam - przyłożyła rękę do piersi, dokładnie w tym miejscu, gdzie wczoraj Rick Landry dziabnął ją latarką. - No wiesz, po tym uderzeniu w kierownicę zrobiły mi się straszne siniaki.

- Powinnaś być bardziej ostrożna. - Bill pogładził swoją żonę po pośladku. - A teraz zmykaj, zanim cię rozbiore.

Evelyn cmoknęła go w policzek.

- Pamiętajcie, żeby dużo pić. Nie chcę, żebyście za bardzo wyschli na tym skwarze.

Przycisnęła słoik majonezu do łona i przemierzyła na ukos wiatę. Amanda poszła za nią do domu. Pierwotnie miała zamiar natychmiast zapytać Evelyn, dlaczego okłamała Billa, ale niska temperatura w środku na moment odebrała jej głos. Po raz pierwszy od miesiący czuła, że nie oblewa się potem.

- Macie klimatyzację?

- Bill kupił ją, kiedy byłam w ciąży, a potem żadne z nas nie mogło się bez niej obyć.

Evelyn postawiła słoik obok dużej miski, w której znajdowały się pokrojone ziemniaki, jajka i papryki. Zamieszała majonez, a potem odwróciła się do Amandy.

- Sałatka ziemniaczana jest jedynym daniem, które potrafię zrobić. Co prawda ja za nią nie przepadam, ale Bill ją uwielbia.

Uśmiech na jej twarzy graniczył z uniesieniem.

- Sama powiedz, czy on nie jest cudowny? Jest idealną Wagą.

Bill był przede wszystkim bardzo szczęśliwą Wagą, sądząc po pięknym domu, jaki stworzyła mu Evelyn. Kuchnia była ekstremalnie nowoczesna - z laminowanymi blatami, do których pasowały urządzenia w odcieniu awokado. Na linoleum widniał subtelny, kwiatowy wzór, zaś ozdobione koronkowym mankietem zasłony

przepuszczały do wewnątrz żółtawe światło dnia. Obok kuchni znajdowało się pomieszczenie z pralką i suszarką. Na sznurku wisiała para dziecięcych spodenek. To było coś, o czym Amanda sądziła, że istnieje tylko w kolorowych czasopismach.

Evelyn włożyła sałatkę ziemniaczaną do lodówki.

- Dzięki, że nie powiedziałaś Billowi, jak to było naprawdę. -

Położyła rękę na piersi. - Niepotrzebnie by się martwił.

- Nic ci nie jest?

- Och - westchnęła, nie dodając nic więcej. Postawiła słoik obok sałatki, ale zanim zatrzęsnęła drzwiczki, zawahała się.

- Może masz ochotę na piwo?

Amanda nigdy dotąd nie próbowała piwa, ale najwyraźniej Evelyn potrzebowała czegoś mocniejszego.

- Niech będzie.

Evelyn wyjęła z półki na drzwiach dwie puszki Millera. Oderwała zawleczki i wrzuciła do pojemnika na śmieci. Właśnie podawała Amandzie jedną z puszek, kiedy znów rozległ się zgrzyt piły łańcuchowej.

- Chodź. - Machnęła ręką, żeby Amanda poszła za nią przez jadalnię do wielkiego foyer.

Salon znajdował się parę kroków dalej. Temperatura w środku była bardzo niska dzięki umieszczonemu w jednym z okien agregatowi klimatyzacji. Amanda czuła, jak pot na jej plecach oziębia się z każdą sekundą. Jej pantofle utonęły w gęstym dywanie koloru ochry.

Amanda zwróciła uwagę na przepiękny tynk na suficie. W salonie stała sofa, kryta perkalem w kolorze żółci i zieleni. Pasujące do niej fotele umieszczone zostały po obydwu stronach przeszklonych drzwi. Ze sprzętu hi-fi płynęła cichutko melodia jednej z piosenek McCartneya. Całą ścianę zajmowały półki z książkami, a na

poczesnym miejscu stał telewizor rozmiaru dziecięcego wózka.

Jedyną rzeczą, która zdecydowanie nie pasowała do tego wnętrza, był spory namiot, rozstawiony na samym środku.

- Śpimy tutaj, bo tu jest klimatyzacja - wyjaśniła Evelyn, sadowiac się na sofie. Amanda zajęła miejsce obok niej. - Co prawda w naszej sypialni jest drugi agregat, ale uważaliśmy, że to byłoby nie fair w stosunku do Zeke'a, a jego kołyska jest za duża, żeby zmieścić się obok naszego łóżka, więc... - Pociągnęła potężny łyk piwa.

Amanda podchwyciła temat. Zawsze była beznadziejna w prowadzeniu niezobowiązującej konwersacji.

- Ile on ma lat?

- Prawie dwa - jęknęła Evelyn, a Amanda doszła do wniosku, że to coś okropnego. - Kiedy był malutki, a my potrzebowaliśmy odrobiny prywatności, Bill wkładał go do dolnej szuflady biurka i zamykał. Ale teraz biega, gdzie chce... - Wskazała na namiot. - Dzięki Bogu, że śpi jak kamień. Chociaż dziś rano trudno było to powiedzieć. Wrzeszczał jak opętany. Na szczęście Bill zawiózł go do swojej matki, zanim ja także zaczęłam wrzeszczeć. Czeka, zmienię płytę. - Podeszła do wieży hi-fi. - Słyszałaś ostatnie kawałki Johna Lennona?

Zdaniem Amandy brzmiały tak, jakby ktoś zamknął kota w torbie i rzucał nim po niewielkim pokoju, ale postanowiła zachować tę opinię dla siebie.

- Tak... Bardzo interesujące - wymamrotała.

- Wydaje mi się, że Bill pożyczył ten album Kenny'emu. - Zaczęła kciukiem przerzucać nagrania, gadając wciąż do siebie. Albo może mówiła do Amandy. Dla Evelyn wydawało się nie mieć znaczenia, że nie otrzymuje odpowiedzi. - Może Simon i Garfunkel? - spytała, wkładając już płytę do odtwarzacza.

Amanda zapatrzyła się w blat stoliczka na kawę, usilnie starając się wymyślić jakąś dobrą wymówkę, żeby stąd wyjść. Nie potrafiła przypomnieć sobie żadnej innej sytuacji, kiedy czuła się tak bardzo nie na miejscu. Nie była przyzwyczajona do nawiązywania bliższych kontaktów, zwłaszcza z nieznajomymi. Miała kościół, pracę, szkołę i ojca, i te obowiązki w zasadzie wypełniały jej czas. Najwyraźniej Evelyn zdążyła pozbiierać się po wczorajszych doświadczeniach. Miała męża i szwagra. Miała namiot w salonie, gdzie mogła uprawiać seks, i miała swój prześliczny dom. I miała magazyn „Cosmopolitan”, leżący na stoliczku do kawy, gdzie każdy mógł go zobaczyć.

Amanda czuła, że jej policzki znowu zaczynają płonąć, gdy przeglądała sensacyjne tytuły. Ciekawe, co by się stało, gdyby teraz obie je trafił piorun, i ojciec Amandy znalazł ją w domu Evelyn, z puszką piwa w rękę i „Cosmopolitan” rozłożonym na stoliku.

Evelyn z powrotem usiadła na sofie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską.
- Muszę lecieć - odpowiedziała Amanda.
- Ale przecież dopiero co przyjechałaś.
- Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku, po tym co Rick wczoraj...
- Palisz? - Evelyn sięgnęła po metalową skrzyneczkę, która stała na stoliku do kawy.
- Nie, dziękuję.
- Rzuciłam papierosy, kiedy byłam w ciąży z Zekiem - przyznała Evelyn. - I z jakiegoś powodu przestały mi potem smakować. To śmieszne, bo wcześniej naprawdę je uwielbiałam.

Odstawiła pudełko na miejsce.

- Proszę cię, Amando, zostań jeszcze trochę. Tak się cieszę, że tu jesteś.

Amanda czuła się zawstydzona jej szczerością. I schwytana w pułapkę. Teraz nie mogła wyjść bez udowodnienia wszystkim, że jest źle wychowana. Postanowiła więc wrócić do rozmowy o dziecku Evelyn, ponieważ wydawało się, że jest to względnie bezpieczny temat.

- Czy Zeke to popularne imię w waszej rodzinie?

- Właściwie to Ezekiel. Próbowałam nie dopuścić, żeby Bill je zdrobnił, ale... - Nie dokończyła zdania, lecz po chwili mówiła dalej. - Jedyne kryterium, którym kierował się Bill przy wyborze imienia, było to, jak ono zabrzmiałoby w głośnikach na stadionie, kiedy Zeke będzie grał w drużynie Florydy.

Zamiast roześmiać się z własnego dowcipu, zrobiła się dziwnie milcząca. Uważnie popatrzyła na Amandę.

- Co jest?

- Czy nadal mamy zamiar wykonać nasz plan?

Amanda nawet nie musiała pytać, o co jej chodzi. Postanowiły przecież zaczekać przed biurowcem, aż zjawi się Niebieski Garniturek. Potem Amanda miała zamiar zadzwonić do Zarządu Osiedla, a Evelyn sprawdzić w innych okręgach raporty o zaginionych. Wczoraj wydawało się, że to całkiem sensowny plan. Z dzisiejszej perspektywy sprawiał wrażenie niebezpiecznej amatorszczyzny.

- Czy dalej uważasz, że powinniśmy w to brnąć?

- A ty?

Amanda nie odpowiedziała. Incydent z Rickiem Landrym sprawił, że ogarnęło ją przerażenie. Tak samo martwiła się, że węsząc wokół tamtej sprawy, pozwoliła sobie na zbyt wiele. Obie z Evelyn dzwoniły do ludzi, z którymi nie miały powodu rozmawiać. Amanda spędziła cały ranek na czytaniu poprzednich wydań „Atlanta Journal”

i „Constitution”. Jeśli Duke miał rację i wkrótce zostanie przywrócony na poprzednie stanowisko, to działania Amandy będą pierwszą rzeczą, o której dowie się po powrocie. I z pewnością nie będzie z tego powodu szczęśliwy.

- Wiesz, myślałam o tym... - odezwała się nieśmiało Evelyn.

Podniosła rękę do piersi i zaczęła skubać jeden z perłowych guzików.

- Myślałam o tym, co zrobił mi Landry. I co Juice próbował zrobić z tobą. To zabawne, że facet - wszystko jedno, czarny czy biały - od razu zmierza do tego, co masz między nogami. I że właśnie na tym polega cała nasza wartość.

- Albo jej brak - skwitowała Amanda, dopijając swoje piwo. Czuła się dziwnie lekka i swobodna.

- Czemu w ogóle wstąpiłaś do służby? - spytała Evelyn. - Ze względu na ojca?

- Tak - odpowiedziała Amanda, choć tylko częściowo było to zgodne z prawdą. - Chciałam być taką Kelly. Pracować codziennie w innym biurze. Wracać do domu, do ładnego apartamentu.

Amanda nie nakreśliła w całości swoich fantazji. Tam miał ktoś czekać - mąż, może dziecko. Ktoś, o kogo mogłaby się troszczyć.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie - przyznała.

- I tak o wiele lepiej niż to, czym ja się kierowałam - oświadczyła Evelyn, przysiadając na oparciu kanapy. - Ja kiedyś byłam syreną.

- Co takiego?!

Evelyn roześmiała się, wyraźnie uradowana zdziwieniem Amandy.

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o Weeki Wachee Springs? To mniej więcej godzinę jazdy od Tampa.

Amanda pokręciła głową. Na Florydzie była jedynie w Panhandle.

- Dali mi tę robotę, ponieważ umiałam wstrzymać oddech na dziewięćdziesiąt sekund. I ze względu na to. - Wskazała ręką na swój

biust. - Pływałam przez cały dzień... - Uniosła ramiona wysoko w powietrze. - I piłam przez całą noc...

Opuściła ręce. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Czy Bill o tym wie? - To było wszystko, co Amanda zdołała wymyślić.

- A jak sądzisz, gdzie się poznaliśmy? Przyjechał odwiedzić Kenny'ego w McDill. Air Force Base. To była miłość od pierwszego wejrzenia... - Evelyn przewróciła oczyma. - Przyjechałam za nim do Atlanty. Wzięliśmy ślub. Byłam znudzona siedzeniem w domu przez cały Boży dzień, więc zdecydowałam, że spróbuję dostać się na państwową posadę - uśmiechnęła się jakby w oczekiwaniu na niesamowicie śmieszna historię. - Pojechałam do centrum, do sądu, żeby wypełnić aplikację, ponieważ znalazłam w gazecie ogłoszenie, że szukają pełnomocnika do spraw podatków. Tyle tylko, że przez pomyłkę trafiłam do niewłaściwego pokoju, a tam siedział jakiś facet w mundurze. Taki kompletny dupek. Rzucił na mnie okiem i powiedział - Evelyn wypięła dumnie pierś - „Posłuchaj, laleczko, źle trafiłaś. Tutaj przyjmujemy kandydatów do policji, a na ciebie wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że się nie nadajesz”.

Amanda roześmiała się. Evelyn potrafiła świetnie przedrzeźniać innych.

- No cóż, wtedy wpadłam w szal. - Evelyn wzruszyła ramionami. - Powiedziałam: „Nie, sir, to pan jest w błędzie. Przyszłam tutaj, żeby zgłosić się do pracy w policji i mam prawo przystąpić do testów”.

Ponownie opadła na poduszki.

- Przypuszczałam, że nie zdam, ale po tygodniu zadzwonili, żebym przyszła na rozmowę. Wcale nie byłam przekonana, czy powinnam pójść, czy może lepiej dać sobie spokój. Nawet nie powiedziałam o tym Billowi. Ale poszłam i od razu domyśliłam się, że zdałam,

ponieważ powiedzieli mi, żebym w następnym tygodniu zgłosiła się do akademii.

Amanda nie potrafiła wyobrazić sobie takiej bezczelności.

- I co Bill na to powiedział?

- Powiedział tylko: „Bądź ostrożna i baw się dobrze”. Wyciągnęła przed siebie ręce, jednocześnie wzruszając ramionami. - I tak oto zostałam oficerem policji.

Amanda z zadziwieniem potrząsnęła głową. W sumie i tak ta historia wyglądała lepiej niż opowieść Vanessy, która zobaczyła ogłoszenie na tablicy w areszcie, kiedy miała sprawę za prowadzenie auta pod wpływem alkoholu.

Tymczasem Evelyn mówiła dalej.

- Nie byłam pewna, czy po urodzeniu Zeke'a uda mi się wrócić. - Wzięła głęboki oddech. - Ale potem pomyślałam, że w sumie to będzie nieźle, kiedy pojedę na wezwanie i jakaś kobieta mnie zobaczy i przekona się, że jej chłopak, mąż czy ktokolwiek, kto ją tłucze, musi odpowiadać na moje pytania. Dzięki temu miałam poczucie, że robię coś ważnego. Przypuszczam, że tak samo czują się kolorowi, kiedy przyjeżdża do nich czarny gliniarz. Czują, że mówią do kogoś, kto ich rozumie.

Amanda nigdy nie myślała o tym w taki sposób, ale przypuszczała, że to ma sens.

- Chcę rozwiązać tę sprawę. Naprawdę chcę. - Evelyn wzięła ją za rękę, a w jej głosie pojawiła się natarczywość. - Te dziewczyny: Kitty, Mary, Lucy, Jane - niech spoczywa w pokoju - przecież wcale tak bardzo nie różnią się od nas, prawda? Po prostu ktoś po drodze zdecydował, że one się nie liczą. I sprawił, że tak się stało. One się nie liczą. Nie pasują do schematu. Nie wtedy, gdy świat w osobie

Ricka Landry'ego mówi, że Jane Delray popełniła samobójstwo i teraz interesuje go jedynie to, kto posprząta bałagan.

Amanda nie odpowiedziała, lecz Evelyn dobrze odczytywała jej nastroje.

- O co chodzi?

- To nie była Jane - odparła Amanda.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Skąd masz takie informacje?

- Przepisuję na maszynie wszystkie raporty Butcha. To nie Jane skoczyła z dachu. Tamta dziewczyna nazywała się Lucy Bennett.

Evelyn wydawała się mocno zakłopotana. Chwilę trwało, zanim przyswoiła sobie tę wieść.

- Nadal nie rozumiem. Czy ktoś ją zidentyfikował? Czy zgłosiła się jej rodzina?

- W apartamencie C na piątym piętrze znaleziono torebkę Lucy.

- To przecież mieszkanie Jane.

- W swoim raporcie Butch jednoznacznie stwierdza, że ofiara była jedyną lokatorką tego mieszkania. Jej torebka leżała na kanapie. Butch znalazł w środku prawo jazdy i na tej podstawie dokonał identyfikacji.

- Czy pobrali odciski palców?

- Lucy nie figurowała w żadnej kartotece. Nie ma żadnych odcisków palców, żeby je porównać.

- Czekaj, coś mi się tu nie zgadza. Przecież ona była dziwką. Wszystkie dziwki mają u nas kartoteki.

- A właśnie, że się zgadza.

O ile Lucy Bennett nie była zupełną nowicjuską w tym fachu, nie było sposobu, żeby zdołała uniknąć zatrzymania. Niektóre dziewczyny dobrowolnie zgłaszały się do aresztu, chcąc spędzić w

więzieniu noc. Dzięki temu były bezpieczne, kiedy ich alfons wpadał w szal.

- Lucy Bennett... I powiadasz, że w torebce było jej prawo jazdy? - Evelyn myślała głośno. - Nie ma mowy, żeby Jane zostawiła tak prawo jazdy. Mówiła przecież, że tamte dziewczyny zginęły przed paroma miesiącami, a Lucy nie widziała od ponad roku. Jane próbowała przecież pobrać ich vouchery na zasiłki z pomocy społecznej. Więc albo prawo jazdy Lucy znalazło się w posiadaniu Jane, albo leżało w kartonowym pudle w Five.

Jednak Amanda już to przeanalizowała.

- Butch zawsze daje mi potwierdzenie zdeponowania dowodów rzeczowych, żebyśmy mogły je dołączyć do raportu.

Torebka została zawieszona do zamkniętego magazynu w kwaterze głównej, gdzie pełniący dyżur sierżant wpisał do katalogu każdy przedmiot, który trafił na przechowanie.

- Zgodnie z potwierdzeniem w torebce Lucy nie było prawa jazdy.
- Ci sierżanci nigdy nie kłamią. Jeśli coś ginie, to właśnie oni dostają po dupie.

- Racja.

- Czy w jej portfelu były pieniądze?

Amanda poczuła ulgę, że dla odmiany tym razem to nie ona okazała się pierwszą naiwną. Cudownym zbiegiem okoliczności każda portmonetka lub portfel ofiary zabójstwa okazywał się do cna ogołocony z gotówki.

- Nieważne - oznajmiła Evelyn i raz jeszcze powtórzyła nazwisko ofiary. - Lucy Bennett... A ja przez ten cały czas uważałam, że to chodzi o Jane.

- Czy to nazwisko coś ci mówi? Przypominasz sobie, żeby Lucy Bennett znajdowała się na którejś liście zaginionych?

- Nie. - Evelyn przygryzła dolną wargę. Przez chwilę wpatrywała się w Amandę pustym wzrokiem, a w końcu przemówiła. - Czy będziesz miała coś przeciwko, jeśli cię komuś przedstawię?

Amanda natychmiast poczuła ukłucie dobrze znanego strachu.

- Komu?

- Mojej sąsiadce.

Wstała z sofy wzięła od Amandy puszkę po piwie i postawiła ją na stoliku.

- Przez wiele lat pracowała w APD. Jej mąż został za karę przeniesiony na lotnisko. Za dużo pije. Cholerny skurczybyk.

Ruszyła w stronę przeszklonych drzwi. Amanda nie miała wyboru, jak tylko pójść za nią. Idąc przez ogródek z tyłu domu, Evelyn ani na chwilę nie przestawała paplać.

- Roz bywa trochę mrukliwa, ale to porządna dziewczyna. W swoim życiu widziała mnóstwo różnych nieboszczyków, możesz mi wierzyć. Czy będzie ci przeszkadzać, że ona jest Żydówką?

Amanda nie bardzo wiedziała, od którego pytania ma zacząć.

- Dlaczego uważasz, że to mi przeszkodzi?

Evelyn zawahała się, zanim znów ruszyła w drogę przez ogród.

- Tak czy owak, Roz jest fotografem sądowym. Wywołuje zdjęcia u siebie w domu. Nie chcieli jej w kwaterze głównej, bo jest za bardzo pyskata. Wydaje mi się, że uprawia ten zawód od mniej więcej dziesięciu lat. Jestem pewna, że ojciec wspominał ci o niej?

Zerkając do tyłu, ujrzała, jak Amanda kręci głową.

- Widziałam ją dziś rano i już wtedy była dość mocno zdenerwowana - mówiła dalej Evelyn.

Minęły zielone corvair, zaparkowane wewnątrz wiaty.

Dom identyczny jak dom Evelyn - z jednym wyjątkiem, że między wiatą a domem wybudowano zadaszony ganek.

Evelyn ściszyła głos.

- Tylko pamiętaj, nic nie mów na temat jej twarzy. Jak powiedziałam, jej mąż to kawał prawdziwego skurwysyna.

Popchnęła drzwi i delikatnie zapukała w szybę kuchennego okna.

- Halo? - zawołała znacznie donośniej. - Roz? To znowu ja, Evelyn.

Po kilku sekundach bez odpowiedzi odwróciła się do Amandy.

- Pójdę sprawdzić od frontu.

- Poczekam tutaj.

Amanda oparła dłoń na wielkiej pralce, która zajmowała chyba z połowę ganku. Poczucie dyskomfortu wyraźnie przybrało na sile, gdy pomyślała, gdzie się znajduje. Nigdy wcześniej nie była w żadnym żydowskim domu. Nie wiedziała, czego się spodziewać.

Evelyn miała rację: Amanda rzadko gdzieś bywała. Od wielu lat nie była na żadnym przyjęciu. Nie wpadała do sąsiadów. Nie siadała na pluszowych kanapach, słuchając płyt i pijąc alkohol. W przeszłości była na zaledwie kilku randkach, bo każdy chłopak, który chciał się z nią umówić, najpierw musiał przejść przez łapy Duke'a. Niewielu wytrzymało tak ciężką próbę. W szkole średniej znalazł się jeden śmiałek, który namówił Amandę, żeby poszła na całość. Wystarczyły trzy razy, żeby nie mogła znieść myśli o kolejnym spotkaniu. Była tak przerażona ewentualną ciążą, że całe doświadczenie okazało się jedynie odrobinę bardziej przyjemne niż borowanie zęba.

Evelyn wróciła.

- Wiem, że ona tam jest. - Tym razem zapukała w kuchenne drzwi.

- Nie mam pojęcia, czemu nie otwiera.

Amanda zerknęła na zegarek, modląc się, żeby udało jej się wymyślić jakiś sensowny powód i uciec stąd. Przebywanie w towarzystwie Evelyn Mitchell tylko potęgowało jej wstyd i upokorzenie. Czowała się przy niej jak stara panna. Ciuchy, które dzisiaj

założyła - czarna spódniczka, biała, bawełniana bluzka z krótkimi rękawami, pantofle na obcasie i rajstopy - tylko podkreślały różnicę między nimi. Evelyn wyglądała jak beztroskie dziecko kwiat. Wystarczyło, że Kenny raz spojrział na Amandę i od razu zorientował się, z kim ma do czynienia. Ze zwykłym kłocem.

- Halo? - Evelyn znów zapukała do drzwi.

Z wnętrza domu dobiegł czyjś głos.

- Na litość boską, weź daj trochę na wstrzymanie!

Evelyn uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Nie pozwól, żeby dobrała ci się do skóry. Potrafi być naprawdę nieprzyjemna.

Drzwi otworzyły się szeroko. Starsza kobieta w brązowej podomce i kapciach patrzyła na nie z oburzeniem. Jej twarz była jedną wielką ruiną: rozcięta warga, podbite oko.

- Czemu dobijasz się do frontowych drzwi, a potem biegniesz do bocznego wejścia? - spytała z pretensją.

Evelyn zignorowała jej pytanie.

- Roz, to jest moja przyjaciółka, Amanda Wagner. Amando, oto Roz.

Roz zmrużyła oczy.

- Jesteś córką Duke'a Wagnera, zgadza się?

Zwykle ludzie zadawali to pytanie z szacunkiem. Jednak w głosie tej kobiety zabrzmiało coś, co graniczyło z nienawiścią.

- Roz, ona jest naprawdę dobrą dziewczyną - wtrąciła Evelyn. - Daj jej spokój.

Ale Roz pozostała niewzruszona.

- Wiesz, że nazywają was Merdajami? Bo zawsze merdacie ogonkami, zawsze staracie się przypodobać.

Amanda poczuła się tak, jakby ktoś walnął ją pięścią w brzuch. Jakby wszystko w niej opadło.

- Och, Roz, przestań wreszcie. - Evelyn chwyciła Amandę za rękę i pociągnęła w głąb domu. - Chcę, żeby zobaczyła te zdjęcia, które mi pokazywałaś.

- Wątpię, czy będzie w stanie coś z tego pojąć.

- No cóż, sądzę, że mocno się zdziwisz. Nasza dziewczynka jest bardziej pojętna niż przypuszczasz.

Ścisnęła mocniej ramię Amandy, ciągnąc ją na ukos przez kuchnię.

Dom okazał się całkiem niepodobny do domu Evelyn. Nie było przyjemnego chłodu z włączonego klimatyzatora. Prawdę powiedziawszy, odnosiło się wrażenie, że całe powietrze zostało wysrane na zewnątrz. Ciężkie, brązowe zasłony wisiały w każdym oknie, skutecznie blokując dostęp światła. Pokój dzienny znajdował się o trzy schodki niżej niż reszta domu i udekorowany był jeszcze większą ilością ciemnych brązów. Evelyn przeciągnęła Amandę obok wielkiego tapczanu, który było czuć smrodem niemytego ciała. Na podłodze, obok rozchwianego krzesła, wałało się kilka puszek po piwie, a z popielniczki wysypywał się stos śmierdzących petów. Teraz trzy schodki w górę. Evelyn zmusiła Amandę, żeby szła za nią wzdłuż korytarza. Puściła ją dopiero wówczas, gdy znalazły się w gościnnej sypialni Roz Levy.

Podobnie jak reszta domu, także i ten pokój był ciemny i duszny. Stojąca pośrodku szafa straszyla otwartymi na oścież drzwiami. Na drucie nad stołem, pełnym rozmaitych tacek i chemikaliów, wisiała pojedyncza czerwona żarówka. Na zmiętoszonym tapczanie leżały aparaty fotograficzne wszelkich kształtów i rozmiarów. Z biurka wylewały się sterty papierów, a dookoła wałało się mnóstwo różnych rzeczy, takich jak rakiety do tenisa i rolki.

- Roz zajmuje się wyprzedają podwórkową - wyjaśniła Evelyn. - Za pierwszym razem, kiedy Bill ją zobaczył, orzekł, że przypomina mu faceta, który pracuje u Baronessy Bomburst w Chitty Chitty Bang Bang.

Zobaczyła minę Amandy, bo dodała prędko:

- Skarbie, nie martw się. Ona czasami mówi ludziom okropne rzeczy. Po prostu taka już jest.

Amanda skrzyżowała ramiona, czując się całkiem bezbronna i podatna na ciosy. Merdajka. Nigdy wcześniej nie słyszała tego przezwiska. Wiedziała, że ludzie z posterunku uważają ją za zarozumiałą i afektowaną smarkulę. Amanda zdążyła się z tym oswoić. Były gorsze określenia, którymi mogli ją nazwać. Nie była układna, za to była całkiem niezła w swoim fachu. Chętna do pomocy. Uprzejma.

Nazywali ją Merdajką, ponieważ starała się sprawić innym przyjemność.

Krtań jeździła jej w górę i na dół, kiedy próbowała przełknąć piekące łzy. Naprawdę starała się dogadzać ludziom. Dogadzać swojemu ojcu, robiąc wszystko, co jej kazał. Dogadzać Butchowi, przepisując jego raporty. Dogadzać Rickowi Landry'emu, zabierając Evelyn z Techwood. Dlaczego Amanda to robiła? Czemu nie kazała Landry'emu przestać? On przecież właściwie napadł na Evelyn, wykorzystując w tym celu jej własną latarkę.

Zrobił dziewczynie potężnego siniaka na piersi i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Amanda zaś zareagowała w ten sposób, że pospiesznie chwyciła ją za rękę i uciekła stamtąd jak szczeniak, który rozgniewał swojego pana.

Merdając ogonkiem.

Roz Levy w końcu raczyła przyłączyć się do nich. Kiedy weszła do pokoju, Amanda przekonała się, dlaczego tak długo z tym zwlekała.

Po prostu Roz wstąpiła do kuchni, żeby wziąć z lodówki puszkę taba.

- No więc - powiedziała, odrywając zawleczkę. Wrzuciła je do stojącego na biurku słoika po przetworach. - I co, dziewczyny?

Bawicie się dzisiaj w policjantów i złodziei?

- Mówiłam ci przecież, że pracujemy nad pewną sprawą. - Głos Evelyn brzmiał zaskakująco sucho i dosadnie.

- Spójrz tylko na nią. - Roz zwróciła się do Amandy. - Ona naprawdę uważa, że pewnego dnia ktoś pozwoli jej prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa.

- Może faktycznie pozwoli - mruknęła Amanda.

- Ha! - Właściwie nie był to śmiech. - Marzy wam się równouprawnienie kobiet, co? Możecie robić, co się wam podoba, dopóki robicie dokładnie to, co wam polecono.

- Codziennie wychodzimy w patrolu na ulice, dokładnie tak samo jak oni - warknęła Evelyn.

- Posłuchajcie mnie uważnie, panienki. Myślicie, że jesteście Bóg wie kim, bo pozwolili wam pójść do akademii, a potem dali odznakę i broń. Zapamiętajcie lepiej to, co wam powiem: pozwolą wam wspiąć się na tyle wysoko, żeby mieć pewność, że przy upadku skręcicie sobie kark... - Pociągnęła solidny łyk z puszek, a następnie zwróciła się bezpośrednio do Amandy. - Jak twojemu staruszkowi idzie batalia w sądzie?

- Spytaj go sama, jeśli cię to interesuje - burknęła Amanda.

- Wielkie dzięki. Wystarczy mi jedno podbite oko. - Roz przyłożyła do czoła puszkę z piwem. Była lodowato zimna, a ze skroni Roz ciekły strużki potu. Zmierzyła Amandę wściekłym spojrzeniem. - Masz jakiś problem czy co?

- Żaden. Po prostu powoli zaczynam rozumieć, dlaczego twój mąż cię bije.

Evelyn wstrzymała oddech.

Roz spiorunowała ją wzrokiem.

- Więc to tak?

Amanda ugryzła się w język, żeby zatrzymać słowa przeprosin, które same cisnęły jej się na usta. Zmusiła się, żeby spojrzeć tamtej kobiecie prosto w oczy.

Roz zaśmiała się oschle.

- Evelyn ma rację. Jesteś twardsza niż wyglądasz.

Znów napiła się z puszki, krzywiąc się lekko, kiedy lodowaty płyn spływał jej do gardła. Dookoła szyi Roz widniał rząd żółtawych siniaków.

- Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie, ale dziś przez całe rano miałam uderzenia gorąca. Wtedy zawsze budzi się we mnie wiedźma.

Amanda popatrzyła na Evelyn, która tylko wzruszyła ramionami.

- No to zmiana tematu. Wkrótce dowiecie się o sobie czegoś nowego.

Roz weszła w głąb szafy, żeby tam pogrzebać w stertach zdjęć.

- Psiakrew. Musiałam zostawić je w kuchni.

Amanda poczekała, aż wyjdzie i zostawi je same.

- Cholera, o czym ona mówiła?

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że o czymś, na co cierpią stare Żydówki.

- Nie o tym mówię. Czy słyszałaś, jak inni używają tego mojego przezwiska? Merdajka?

Evelyn wykazała tyle przyzwoitości, żeby nie odwracać głowy. To Amanda nie wytrzymała jej spojrzenia. Patrzyła w głąb pracowni, na

stosy fotografii, gdzie na kolorowych filmach Kodaka uwieczniono mordercze sceny.

- Zdjęcia - wymamrotała Amanda. Teraz wszystko nabrało sensu. Dlatego Evelyn ją tutaj przyprowadziła. - To Roz była wczoraj w Techwood, żeby zrobić zdjęcia dla policji.

- Fotografie są paskudne. Naprawdę paskudne. Jane, to znaczy Lucy, skoczyła z ostatniego piętra.

- Z dachu - sprostowała Amanda. Pamiętała wszystkie szczegóły z raportu Butcha. - Na końcu korytarza jest drabina. Można nią dotrzeć do wjazdu na dach. Lucy jakoś zdołała rozwalić kłódkę... Butch uważa, że użyła do tego młotka. Znalaziono go na podłodze, przy dolnym szczeblu drabiny. Potem weszła na dach i skoczyła.

- Skąd Lucy wytrzasnęła ten młotek?

- Nie zauważyłam, żeby w tamtym mieszkaniu walały się jakieś narzędzia - przypomniała sobie Amanda. - Może zostawił go robotnik, który przyszedł zreperować świetlik?

- Moim zdaniem do czegoś takiego byłby potrzebny młot - powątpiewała Evelyn. - Ale czy można rozwalić kłódkę młotkiem?

- Młotkiem? - Roz Levy właśnie wróciła. Trzymała w ręku kopertę. - Czyżby te dupki naprawdę sądziły, że ta dziewczyna dobrała się do wjazdu na dach przy pomocy młotka? A czemu zwyczajnie nie wyskoczyła z okna? Mieszkała przecież na ostatnim piętrze. Czy naprawdę myślą, że była aż tak ograniczona, by nie wybrać najprostszej drogi?

Zaczęła otwierać kopertę, ale nagle się zatrzymała i wbiła w Amandę świdrujące spojrzenie.

- Jeśli narzycasz mi na dywan, będziesz musiała wszystko posprzątać. Wszystko, każdy cal. I gówno mnie obchodzi, czy będziesz musiała to robić wykałaczką do zębów.

Amanda skinęła głową, choć już czuła wzbierającą falę mdłości. W żołądku zrobiło jej się nagle dziwnie cierpko. Bała się nawet pomyśleć, o piwie, które przed chwilą skończyła.

- Jesteś pewna? - spytała ponownie Roz. - Bo ja nie zamierzam po tobie sprzątać. Wystarczy, że muszę sprzątać po tym fiucie, za którego wyszłam za mąż.

Amanda znowu przytaknęła, więc stara kobieta wyciągnęła zdjęcia. Były odwrócone spodem do góry.

- Przy upadku z tak dużej wysokości, jeśli lądujesz na stopach, to jelita rozpryskują ci się na dupie jak lukier na ciasteczkach.

Amanda zacisnęła wargi.

- Krew tryska ci z uszu, a twarz odrywa się od czaszki jak maska. Twój nos, twoje usta i oczy...

- Och, na litość boską! - Evelyn wyrwała zdjęcia z ręki Roz. Pojedynczo podawała je Amandzie. - Oddychaj przez usta - nauczyła koleżankę. - Lekko i przyjemnie. Wdech i wydech.

Amanda posłusznie robiła to, co jej kazano, zasysając hausty zatęchłego powietrza. Spodziewała się, że zaraz zemdleje. Prawdę powiedziawszy, spodziewała się, że spędzi resztę popołudnia na czworakach, wykałaczką wybierając ze zniszczonego dywanu Roz Levy własne wymiociny. Ale nic podobnego się nie wydarzyło. Te zdjęcia były zupełnie oderwane od rzeczywistości. To, co stało się z Lucy Bennett, było dla Amandy zbyt przerażające, żeby jej mózg w ogóle mógł zaakceptować fakt, że wciąż patrzy na prawdziwą, ludzką istotę.

Amanda wzięła fotografie od Evelyn. Wszystkie były w żywych kolorach i tak wyraźne, że łatwo można było dostrzec każdy szczegół. Dziewczyna miała na sobie pełne ubranie. Materiał bawełnianej koszulki w czerwono-białą kratę przykleił się do jej skóry. Spódnica

zwisła luźno, rozerwana w okolicy talii. Amanda przypuszczała, że stało się tak na skutek upadku. Temu samemu przypisywała brak lewego pantofla.

Uważnie przyjrzała się twarzy Lucy Bennett. Roz miała rację w wielu sprawach, ale nie w tym, co skok z piątego piętra budynku może zrobić z twoją skórą na czaszce. Twarz Lucy wyglądała tak, jakby ciało ociekało z kości. Gałki oczne sterczały z oczodołów. Krew lała się strumieniami z każdego otworu ciała.

Całość wyglądała na coś udawanego, jak scena z horroru.

- Dobrze się czujesz? - spytała z troską Evelyn.

- Już rozumiem, dlaczego myślałaś, że to była Jane Delray.

Z wyjątkiem utlenionych na blond włosów ta przypominająca maskę z Halloween twarz mogła należeć do każdej dziewczyny, która przechadza się po ulicach. Ślady biegnące w górę jej ramion były takie same jak u innych. Podobnie jak otwarte rany na stopach i czerwone nakłucia na wewnętrznej stronie ud.

- Zastanawiam się, czy ona miała rodzinę - mruknęła Evelyn.

Roz wyraziła na głos to, co wydawało się oczywiste.

- Każda z nich ma rodzinę. Ale to, czy się do tego przyznają, czy nie, to już zupełnie inna kwestia.

Amanda jeszcze raz przejrzała zdjęcia. W sumie było ich zaledwie pięć: trzy ujęcia twarzy - z prawej strony, z lewej strony oraz z przodu. Oprócz tego znajdowało się również zbliżenie zmasakrowanego ciała, przypuszczalnie zrobione z jakiejś drabiny. Ostatnie było zrobione w szerszym ujęciu i obejmowało również widoczny na horyzoncie biurowiec Coca-Coli.

Ręce Lucy były odwrócone, widoczne oba nadgarstki.

Amanda zwróciła się do Roz.

- Czy masz więcej tych zdjęć?

Stara kobieta uśmiechnęła się. W jej górnej szczęce brakowało jednego zęba.

- Spójrz na tę ilość krwi. Kto mógłby przypuszczać?

Amanda bardziej sprecyzowała swoje pytanie.

- Czy masz jakieś zblżenia jej obu nadgarstków?

- Nie. A dlaczego?

- Czy twoim zdaniem to wygląda na szramę? Tutaj, na nadgarstku?

- Amanda pokazała zdjęcie Evelyn.

Evelyn zmrużyła oczy, a potem pokręciła głową.

- Nie potrafię powiedzieć. Do czego zmierzasz?

- Jane miała szramy na nadgarstkach.

- Pamiętam. - Evelyn dokładniej obejrzała zdjęcie. - Jeśli to jest Lucy Bennett, to czemu ma blizny na nadgarstkach takie same jak u Jane Delray?

- Kurwienie się nie jest czymś, dla czego chce się żyć.

Roz otworzyła jedną z szuflad biurka i wyjęła stamtąd szkło powiększające. Po kolei każda z nich spoglądała na zdjęcie, przykładając do niego lupę.

Wreszcie Evelyn podniosła głowę.

- Nie potrafię powiedzieć na pewno. To wygląda na bliznę, ale może to tylko światło się tak załamało?

- To moja wina. - Roz odezwała się w mało typowy dla siebie sposób. - Robiłam zdjęcia z fleszem, a Landry strasznie mnie poganiał, bo zależało mu, żeby jak najszybciej zameldować się w swojej drugiej robocie.

- Butch nawet słowem nie wspomniał w swoim raporcie o jakichś szramach - wtrąciła Amanda.

- Ten idiota w życiu by o tym nie napisał. - Roz wydawała się prawie rozradowana. - W porządku, Merdajko. Nadszedł czas, żeby się przekonać, z jakiej gliny naprawdę jesteś ulepiona.

Amandę przeszył kolejny dreszcz. Czuła się tak, jakby znalazła się na rozpędzonej górskiej kolejce.

- Roz, naprawdę nie ma potrzeby... - zaczęła Evelyn.

- Stul jadaczkę, piękna blondynko. - Roz zarechotała jak czarownica. - Pete dziś po południu będzie kroił tę waszą nieżywą kurwę. Jeśli szanowne panusie mają ochotę, mogę wykonać jeden krótki telefon i podczas sekcji dostaniecie miejsca w pierwszym rzędzie.

Amanda wiedziała, że niektórzy koledzy na patrolach wykorzystują kostnicę jako doskonałe miejsce na pogaduszki lub jako kryjówkę w godzinach pracy, zwłaszcza w lecie. Przyjemnie było uciąć sobie drzemkę w dobrze klimatyzowanym budynku, dopóki nie oznaczało to konieczności leżenia obok jakiegoś nieboszczyka.

Wiele razy przyjeżdżała do budynku przy Decatur Street, żeby zabrać raporty albo zostawić dowody rzeczowe, ale nigdy nie miała okazji zajrzeć do sal znajdujących się na zapleczu. Sama myśl o tym, co się w nich dzieje, przyprawiała Amandę o rozstrój nerwowy. Mimo to trzymała fason, kiedy Evelyn ją prowadziła do pomieszczeń położonych głęboko w budynku, chociaż z każdym krokiem wokół jej klatki piersiowej zaciskały się kleszcze.

Dwa piwa, które wlała w siebie podczas jazdy, nie pomogły w żaden sposób. Zamiast odprężenia czuła niezwykłą lekkość w głowie i ekstremalną koncentrację. To prawdziwy cud, że nie wjechała swoim plymouthem w jakiś słup telefoniczny.

- Czy znasz Deenę? - spytała Evelyn, popychając wahadłowe drzwi.

Znajdowały się teraz w niewielkim laboratorium. Z tyłu mieściły się dwa nieduże stoliki, wepchnięte w przeciwległe kąty pomieszczenia. Na każdym stał mikroskop, a obok niego rozmaite medyczne narzędzia. Na tylnej ścianie znajdowało się ogromne okno, a zielone jak w szpitalu zasłony odsłaniały coś, co musiało być salą służącą do sekcji zwłok. Żółtawe płytki wypełniały całą podłogę i ściany aż po sufit. Oprócz tego Amanda zauważyła dwa zlewy oraz dwie wagi, które bardziej pasowałyby do jakiegoś sklepu spożywczego.

I dostrzegła ciało. Zielony materiał przykrywał nieruchomą postać. Światło nad stołem było równie mocne i skoncentrowane jak w gabinecie dentystycznym. Jedna ręka nieboszczki zwiślała bezwładnie na zewnątrz. Paznokcie pomalowane były jaskrawym, czerwonym lakierem, ale ręka odwrócona była zewnętrzną stroną, więc nadgarstek pozostawał niewidoczny.

- Nienawidzę autopsji - westchnęła Evelyn.
- A ile już ich widziałaś?
- Tak naprawdę wcale nie widziałam - przyznała Evelyn. - Wiesz chyba, jak celowo rozmydlić wzrok?

Amanda skinęła głową.

- Właśnie to robię. Rozmazuję obraz przed oczyma, a potem tylko mruczę „mmm” albo „tak”, kiedy zadają mi pytania albo gdy wskazują coś interesującego. Ale potem i tak zawsze muszę iść do łazienki i porządnie się wyrzygać.

Ten plan wydawał się tak samo dobry jak każdy inny. Usłyszały w korytarzu czyjeś kroki.

- Deena ma na szyi okropną bliznę - ostrzegła Evelyn. - Staraj się udawać, że tego nie widzisz.

- Co takiego? - Słowa Evelyn dotarły do mózgu Amandy w postaci splątanej masy i wydawały się kompletnie pozbawione sensu aż do chwili, gdy w drzwiach pojawiła się imponująca Murzynka. Miała na sobie biały, laboratoryjny fartuch, a pod spodem granatowe dżinsy i zwiewną, pomarańczową bluzkę. Na głowie nosiła afro, a powieki podkreśliła niebieskim cieniem. Dookoła szyi jej skórę szpeciła okropna blizna, która wyglądała jak ślad po wisielczej pętli.

- Witaj, piękna damo - powiedziała Deena, stawiając na jednym ze stołów przyniesioną przez siebie tacę. Znajdowały się na niej jakieś próbki - bryzgi czegoś białego oraz czegoś czerwonego, ściśnięte między szkiełkami jak kanapka. - Co tutaj robisz?

- Roz dzwoniła na moją prośbę - wyjaśniła Evelyn.

- Dlaczego ciągle zadajesz się z tą paskudną, starą Żydówką? - Deena uśmiechnęła się ciepło. - Kim jest twoja urocza przyjaciółka?

Evelyn wzięła Amandę pod pachę.

- Nazywa się Amanda Wagner. Jest teraz moją partnerką.

Uśmiech zniknął.

- Masz coś wspólnego z Dukiem?

Po raz pierwszy w życiu Amanda poczuła nieodpartą potrzebę, żeby wyprzeć się własnego ojca. I może gdyby była tutaj sama, uległaby tej pokusie, ale teraz już nie było wyjścia.

- Owszem. Jestem jego córką.

- Hmm... - Deena rzuciła spojrzenie na Evelyn i zaraz odwróciła się do swoich próbek.

- Ona jest w porządku - zawołała Evelyn. - No dalej, Dee. Czy sądzisz, że przyprowadziłabym tutaj kogoś, kto...

Kobieta w mgnieniu oka odwróciła się z powrotem. Jej usta drżały z oburzenia.

- Czy wiesz, skąd to mam? - warknęła, wskazując bliznę na szyi. - Pracowałam w pralni na Ponce, prasując szaty Klanu dla ludzi takich jak twój ojciec, żeby były miłutkie i bez zagnieceń...

- To przecież nie jest jej wina - spróbowała Evelyn. - Nie możesz winić jej za to, co jej ojciec...

Deena poderwała rękę, żeby przerwać ten potok słów.

- Któregoś dnia jedna z maszyn wciągnęła dłoń mojej mamy. Nie było sposobu, żeby wyłączyć prąd. Pan Guntherson był za skąpy, żeby płacić elektrykowi. Chwyciłam za przewód, a on zahuszał się i uderzył mnie w szyję. Przewód pod napięciem. Bum! Wszystko wybuchło. Jeden z transformatorów wysiadł na dobre. W całym kwartale nie było światła przez dwa dni. Uratowałam swoje życie, ale życia mamy już niestety nie.

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wiele razy bywała w pralni chemicznej, ale nigdy nie pomyślała o czarnych kobietach, które tyrają na zapleczu.

- Strasznie mi przykro.

- Ona nie może odpowiadać za grzechy swojego ojca. - Evelyn znowu postanowiła się odezwać.

Deena oparła się o stół i skrzyżowała ramiona.

- Ev, pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałam na temat mojej blizny? Powiedziałam, że nie będę jej ukrywać, dopóki będzie miała dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Z gniewem spojrzała na Amandę.

- Niestety, ta chwila wciąż nie nadeszła.

Evelyn pogłaskała Amandę po plecach.

- Deeno, Amanda jest moją przyjaciółką. Pracujemy razem nad pewną sprawą, bo staramy się dowiedzieć, dlaczego pewne kobiety przepadły bez śladu - mówiła coraz gwałtowniej. - Kitty Treadwell.

Dziewczyna o imieniu Mary. One mogły mieć związek z Lucy Bennett.

- Sprawdziłaś Rejestr Nieżywych Czarnuchów? - Teraz Deena zwracała się wyłącznie do Amandy. - Tak chyba właśnie to nazywacie, zgadza się? Podobno mają taki spis na każdym posterunku. Mam rację, Merdajko?

Amanda była zbyt zakłopotana, żeby na nią spojrzeć, ale jednak zdobyła się na odpowiedź.

- Przypuszczalnie wiesz, że ja także straciłam matkę.

Wszyscy w policji doskonale wiedzieli, co stało się z Miriam Wagner. Duke, kiedy wlał w siebie odpowiednią ilość whisky, opowiadał o tym z zapalczywym masochizmem.

- Nie jesteś tu tą jedyną, która nosi blizny - dokończyła.

Deena popukała palcami w blat stołu. Z początku staccato było silne, ale po chwili zaczęło zamierać, aż w końcu zupełnie ucichło.

- Spójrz na mnie - powiedziała Deena.

Amanda zmusiła się, żeby podnieść głowę. Z Roz poszło o wiele łatwiej, bo stojąc przed starą Żydówką, Amanda miała poczucie sprawiedliwości. Teraz towarzyszyło jej jedynie poczucie winy.

Deena przyglądała się jej z uwagą. Gniew, który do niedawna tak mocno płonął w jej oczach, zaczął wyraźnie przygasać.

W końcu skinęła głową.

- W porządku - oznajmiła. - W porządku.

Evelyn odetchnęła z ulgą, choć jej usta nadal ściągnięte były w wymuszonym uśmiechu. Jak zwykle starała się załagodzić sytuację.

- Deena, czy mówiłam ci, co Zeke zrobił któregoś dnia?

Deena z powrotem odwróciła się do swoich tac.

- Nie. A co zrobił?

Amanda nie słuchała opowieści. Znowu zapatrzyła się na wnętrze kostnicy. Jej umysł wciąż był nieco zamroczony od piwa, a może od nadmiaru traumatycznych wydarzeń, które przytrafiły się jej tego dnia. Czuła się tak, jakby coś wewnątrz niej się przesuwalo. Ostatnie kilka dni postawilo pod znakiem zapytania cale dwadzieścia piec lat jej zycia i Amanda wcale nie byla pewna, czy okaże się to z korzyścią dla niej, czy wręcz przeciwnie. Prawdę powiedziawszy, już niczego nie była pewna.

- Cześć! Cześć! - Wewnątrz kostnicy zadudnił jakiś męski głos.

- To Pete - wyjaśniła Evelyn.

Koroner okazał się niskim, pękatym mężczyzną, z włosami związanymi w koński ogon i z bródką, która wyglądała tak, jakby od ostatniego mycia upłynęło ładnych parę dni - podobnie prezentował się jego batikowy T-shirt oraz rozerwane tu i ówdzie dżinsy. Biały, laboratoryjny fartuch był ciasno związany. Pete zatrzymał się przy oknie, ssąc przyklejonego do ust papierosa i ukazując w uśmiechu lekko pożółkłe zęby. Amanda nie należała do osób wierzących w pola energetyczne, ale nawet przez oddzielającą ich grubą szybę wyczuwała emanujące z tego człowieka promieniowanie, które wywoływało u niej ciarki.

- Deena, kochanie, wyglądasz dziś tak samo pięknie jak zawsze - powiedział, a wtedy ona zaśmiała się, jednocześnie przewracając oczami.

- Zamknij się, głupku - odparła.

- Oni tak przez cały czas - wyjaśniła Evelyn.

- Och, wiem przecież. - Amanda postanowiła udawać, że codziennie widuje białych mężczyzn, którzy flirtują z czarnymi kobietami.

- No dalej, Dee. - Zastukał w szybę. - Kiedy wreszcie umówisz się ze mną na tego drinka?

- Spotkajmy się przed wejściem dziesięć po nie wiadomo której - odparła, szarpnięciem zasuwając zasłony. - Wszyscy jesteście tacy sami.

- Kiedy zachce ci się rzygać, staraj się zrobić to do rynny - powiedziała do Amandy. - Po prostu stamtąd łatwiej splukiwać węzem.

- Dziękuję - wykrztusiła Amanda.

W ślad za Evelyn poszła do sali operacyjnej. Wewnątrz było zimno, tak jak się spodziewała, ale zaskoczył ją unoszący się w powietrzu zapach. Sala pachniała czystością, czymś co przypominało Clorox i Pine-Sol zmieszany z zapachem jabłek. Absolutnie nie oczekiwała czegoś podobnego.

W czasie gdy pełniła służbę w mundurze, dwukrotnie została wysłana w sprawie sporządzenia raportu o zaginięciu jakichś osób i odnalazła je w pobliżu ich domów. Za pierwszym razem chodziło o mężczyznę, który zatrzasnął się w bagażniku samochodu; za drugim o dziecko, schwyte w pułapkę, gdy wlaźło do starej lodówki, stojącej przed wejściem do szopy na podwórku rodzinnego domu. W obu wypadkach wystarczyło, że Amanda tylko pociągnęła nosem i musiała natychmiast wezwać zmiennika. Nie wiedziała, co potem stało się z ofiarami. W czasie, gdy przewożono ciała, już dawno była na posterunku, zajmując się pisaniem raportów.

- Kim jest ta elegancka dama? - zainteresował się Pete Hanson, wskazując oczyma Amandę.

- To...

- Amanda Wagner - powiedziała prędko Amanda. - Córka Duke'a Wagnera.

Pete zamilkł na ułamek sekundy.

- No cóż - odezwał się w końcu. - Duke to dosyć wyrazista postać, prawda?

Amanda wzruszyła ramionami. Jak na jeden dzień to zebrała już wystarczająco dużo ciosów z powodu swojego ojca.

- Pete... - odezwała się Evelyn pogodnym tonem. Jedynie palce, które zaplątały się we włosy, zdradzały jej skrępowanie. - Bardzo ci jestem wdzięczna, że pozwoliłeś nam przyjrzeć się sekcji. W zeszły poniedziałek byliśmy w mieszkaniu Lucy. Nie miałyśmy okazji jej poznać, ale i tak to był spory szok, kiedy dowiedziałyśmy się o jej samobójstwie.

- Lucy? - Pete zmarszczył brwi. - Skąd masz tę informację?

- Z raportu Butcha - podrzuciła Amanda. - Zidentyfikował ją na podstawie prawa jazdy, które było w torebce.

Pete podszedł do wielkiego, zaśmieconego biurka, które stało tuż pod oknem. Piętrzyły się na nim sterty papierzysk, ale Pete jakimś cudem potrafił znaleźć wśród nich właściwy dokument.

Dym z papierosa unosił się spokojnie ku górze, kiedy Pete czytał wstępny raport. Papier był dość cienki, więc Amanda rozpoznała gryzmoły Butcha Bonniego, odwrócone wstecz na samym końcu, gdzie podłożył kalkę niewłaściwą stroną.

- Bonnie. Może nie najbystrzejszy wśród naszych orłów, ale przynajmniej nie był to ten dupek Landry. - Pete odłożył raport z powrotem na biurko. - W przypadkach takich jak ten identyfikacja na podstawie prawa jazdy jest ostatnią deską ratunku. Generalnie wolę karty stomatologiczne, odciski palców albo rozpoznanie przez członka rodziny... Dopiero wtedy mam pełen komfort, podpisując się pod identyfikacją zwłok. Tę lekcję odrobiłem w Wietnamie - wyjaśnił. - Nie wolno wysłać do domu ciała zapakowanego w

plastikowy worek, dopóki nie masz pewności, że na drugim końcu na przesyłkę czeka właściwa rodzina.

Jego słowa przyniosły Amandzie coś w rodzaju pocieszenia. Pomimo rozlicznych dziwactw ten facet był przynajmniej doskonałym fachowcem.

- No więc - Pete pstryknięciem zrzucił popiół z papierosa - co tam porabia Kenny? Dawno go nie widziałem.

- Ach, to i owo - odparła Evelyn.

Uważnie obserwowała każdy ruch Pete'a: jak wycierał nos wyciągniętą z kieszeni jednorazową chusteczką, jak zasysał papierosa, kiedy mówił... Jednocześnie przez cały czas szarpała pasemko włosów tak mocno, że Amanda była pewna, iż Ev lada chwila wyrwie je na dobre.

- Dziś pracuje u nas w domu razem z Billem. Budują szopę. - Przez kilka sekund żuła dolną wargę. - Później robimy grilla. Może wpadniesz?

- Czy ty też tam będziesz? - Pete uśmiechnął się do Amandy.

Poczuła, że serce w niej zamiera. Jej fatalne przeznaczenie chciało, że czuła pociąg do Kennych Mitchellów tego świata, podczas gdy jedynymi facetami, którzy w ogóle zawracali sobie głowę zapraszaniem jej na randki, byli osobnicy o wyglądzie Pete'a Hansona.

- Być może - wyjąkała.

- Znakomicie. - Przysunął bliżej metalowy wózek, na którym leżały skalpele, nożyce oraz piła.

Evelyn gapiała się na narzędzia i nagle jej twarz zrobiła się blada jak płótno.

- Wiesz, może powinnam zadzwonić do Billa. Wybiegłyśmy z domu w takim pośpiechu, że nawet nie powiedziałam mu, kiedy wrócimy.

Szczerze mówiąc, dość mocno mijała się z prawdą. Przed wyjściem Evelyn postawiła sprawę jasno, że nie ma pojęcia, o której wróca. Bill, co raczej nie powinno nikogo zaskoczyć, całkowicie dostosował się do planów swojej pięknej żony.

- Muszę zadzwonić - powiedziała i prawie biegiem wypadła z pomieszczenia.

Amanda pozostała sam na sam z Petem.

Popatrzył na nią, ale tym razem dostrzegła w jego spojrzeniu dobroć i życzliwość.

- Evelyn to wspinała osoba, lecz niestety ten sport należy do dyscyplin, które są prawdziwym wyzwaniem dla obserwatorów.

Amanda z trudem przełknęła ślinę.

- Czy chcesz, żebym ci opowiedział, jak to będzie wyglądało?

- Ja... - Poczula nagły skurcz w krtani. - Dlaczego w ogóle robisz sekcję, skoro to było samobójstwo?

Pete zastanawiał się nad tym pytaniem, idąc przez salę na ukos. Na ścianie zamocowana była skrzynka z oświetleniem. Pstryknął włącznik i w całym pomieszczeniu rozblysło światło.

- Słowo „autopsja” oznacza dosłownie „zobaczyć na własne oczy” - wyjaśnił i machnął ręką. - Podejdź bliżej, moja droga. Ja nie gryzę, chociaż plotki głoszą co innego.

Podchodząc do niego, Amanda starała się ukryć nerwowe drżenie. Na zdjęciu rentgenowskim widoczna była czaszka, ale miejsca, gdzie powinny znajdować się oczy i nos, wydawały się zatrwającąco puste.

- Widzisz? - spytał, pokazując na zdjęciu kark.

Kawałki kręgosłupa rozłożyły się w taki sposób, w jaki otwiera się kocia łapa, kiedy naciśnie się na poduszczyk.

- Ta kosteczka nazywana jest kością gnykową. Ma kształt końskiej podkowy i znajduje się z przodu, w połowie drogi między podbródkiem a tarczycą. O, tutaj. - Pete wskazał miejsce na własnej szyi.

Amanda skinęła głową, choć nie była przekonana, czy pojmuje sens tego wykładu.

- Najcudowniejszą rzeczą w twojej szyi jest to, że możesz nią poruszać w górę i w dół, oraz z boku na bok. Takie ruchy są możliwe właśnie dzięki chrząstkom. Kość gnykowa sama w sobie jest niezwykle fascynująca. Jest to jedyna kość w całym ludzkim ciele, która nie posiada połączeń z żadnymi stawami. Podpiera twój język. Podskakuje, kiedy nim przesuwasz. Tak jak mówiłem, znajduje się dokładnie tutaj. - Znowu pokazał miejsce na własnej szyi. - Tak więc, jeśli ktoś dusi się przez podwiązanie, generalnie znajdujesz zasinienie dookoła kości gnykowej. Ale jeśli ktoś został powieszony, zasinienie przesuwają się tutaj, powyżej kości gnykowej. - Pete przesunął palce odrobinę w górę. - Prawdę mówiąc, to klasyczna oznaka powieszenia. Jestem pewien, że w swojej karierze nieraz miałaś okazję to oglądać.

- Czyli chcesz powiedzieć, że ona najpierw próbowała się powiesić?

- Nie. - Pete znowu wskazał na zdjęcie rentgenowskie. - Widzisz tę ciemniejszą linię, która dzieli na dwie części kość gnykową?

Amanda skinęła głową.

- Ta linia oznacza pęknięcie, które mówi mi, że ta dziewczyna została uduszona, prawdopodobnie z ogromną siłą.

- Dlaczego z ogromną siłą?

- Ponieważ mamy do czynienia z młodą kobietą. Kość gnykowa zbudowana jest z dwóch osobnych części kostnych, które w pełni scalają się dopiero około trzydziestki. Spróbuj sama to sprawdzić.

W pierwszej chwili z przerażeniem pomyślała, że Pete chce, żeby dotknęła jego szyi. Amanda rozpaczliwie nie chciała go dotykać.

Mimo to powoli wyciągnęła rękę.

Pete uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że masz własną szyję?

- Och, racja. - Amanda śmiechem pokryła zmieszanie.

Delikatnie przyłożyła dwa palce do gardła. Palpacyjnie zbadała cały obszar, czując, jak coś przesuwają się w przód i w tył. Towarzyszący temu dźwięk brzmiał jak klikanie.

- Widzisz? Czujesz, że tam wszystko się porusza - odezwał się Pete. - Tak więc musiałabyś użyć naprawdę sporej siły, żeby złamać kość gnykową.

Skinieniem wskazał, żeby razem z nim podeszła do ciała. Wetknął do popielniczki niedopałek papierosa, a potem bez ostrzeżenia pociągnął prześcieradło, odsłaniając twarz i ramiona Lucy Bennett.

- Widzisz te zasinienia? - spytał.

Amanda poczuła, jak wszystko rozmazuje się jej przed oczyma, choć wcale się o to nie starała. Mrugnęła kilka razy, próbując skoncentrować się na szyi ofiary. Na gardle kobiety widniały głębokie, sine i czerwone ślady. Przypominały nieco te, które niedawno widziała na szyi Roz Levy.

- Ktoś ją dusił.

- Racja - zgodził się Pete. - Napastnik objął palcami szyję tej dziewczyny i dusił ją, aż umarła. Zwróciłaś uwagę na odciski palców?

Amanda pochyliła się, żeby przyjrzeć się z bliska. Teraz, kiedy on zaszczepił w niej tę myśl, mogła odróżnić osobne ślady, które układały się w palce ręki.

- Tętnice szyjne - wyjaśnił Pete. - Tętnice. Z każdej strony szyi jedna. Są cholernie ważne, bo zaopatrują mózg w tlen. Nie ma tlenu, nie ma mózgu.

- Jasne... - Amanda przypomniała sobie zajęcia podczas studiów na akademii policyjnej.

Pewnego ranka kazano im obserwować mężczyzn, uczących się, jak wygląda chwyt, którym można zadławić przeciwnika.

- Teraz patrz. - Pete luźno objął własnymi rękoma szyję nieżywej kobiety. - Widzisz, gdzie są moje ręce?

Amanda przytaknęła.

- Czy widzisz, że naciskanie tętnic szyjnych z zamiarem uduszenia jej wymaga ode mnie tak mocnego ucisku z przodu szyi, że łatwo mogę złamać jej kość gnykową?

Amanda znów przytaknęła.

- Dzięki temu wiem, że ta kobieta była duszona tak długo, aż straciła przytomność.

Amanda z powrotem popatrzyła na zdjęcia rentgenowskie.

- A może to upadek z dachu spowodował te wszystkie pęknięcia?

- Kiedy otworzę jej szyję, przekonasz się na własne oczy, że to wielce nieprawdopodobne.

Nie zdołała powstrzymać dreszczu, który wstrząsnął jej ciałem.

- Doskonale sobie radzisz.

Amanda zignorowała ten komplement.

- Czy ona mogłaby żyć, mając złamaną kość gny...

- Gnykową.

- Doskonale sobie radzisz.

- Właśnie. Mogłaby z tym żyć?

- Najprawdopodobniej tak. Pęknięcie lub złamanie kości gnykowej nie musi koniecznie mieć śmiertelnych następstw. Często widywałem takie rzeczy w Wietnamie. Oficerowie byli wyćwiczeni w walce wręcz, czym oczywiście uwielbiali się popisywać. Należało uderzyć człowieka o, w tym miejscu. - Pete uderzył się własną ręką. - Łokciem albo nawet otwartą dłonią i mogłeś go ogłuszyć albo nawet, jeśli użyłeś większej siły, złamać mu kość.

Skulił dłoń i objął nią podbródek, jak wyelegantowany profesor z college'u.

- Przesuwając palcami po szyi, doznasz bardzo szczególnego wrażenia - jakby tuż pod skórą wybuchały ci tysiące bąbelków. To powietrze ucieka z krtani do położonych bliżej tkanek. Do naturalnego w tej sytuacji przerażenia dołącza okropny ból oraz krwawienie i zasinienie. - Pete uśmiechnął się. - To taka paskudna, mała rana, prawie zupełnie pozbawiająca możliwości działania. Poszkodowani zwykle leżą tam, gdzie upadli, i charczą, modlą się, żeby ktoś im pomógł.

- Czy są w stanie krzyczeć?

- Osobiście byłbym w szoku, gdyby wydobyli z siebie jakikolwiek inny dźwięk poza ochrypłym szeptem, ale ludzie czasami potrafią zaskakiwać. Każdy jest inny.

Amanda starała się przyswoić wszystkie nowe informacje.

- Ale z tego, co mówiłeś, wynika, że Lucy Bennett została uduszona. - Przypomniała sobie używaną wcześniej przez Pete'a terminologię. - Zaduszona na śmierć.

Potrząsnął głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

- Musiałbym zobaczyć, jak wyglądają jej płuca. Uduszenie jest zwykle przyczyną gwałtownego zapalenia płuc, które powstaje z

powodu zassania wymiocin. Kwasy żołądkowe zaczynają wżerać się w tkankę. Dzięki temu możemy dowiedzieć się czegoś o czasie zgonu. Im większe uszkodzenia tkanki płucnej, tym dłużej ofiara pozostawała przy życiu. Czy została przyduszona aż do utraty przytomności i wtedy zepchnięta z dachu, czy najpierw umarła na skutek zadławienia i dopiero wówczas ją zrzuciono.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Tak czy owak Lucy została zamordowana.

- Kiedy już złapiesz swojego przestępcę, będziesz chciała poznać wszystkie szczegóły zbrodni, którą popełnił. W ten sposób możesz zyskać pewność, że schwytałaś właściwego faceta, a nie jakiegoś pomyleńca, któremu zależy jedynie na tym, żeby znaleźć się w nagłówku w gazecie.

Amanda nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie scenariusz, w którym to ona łapie jakiegoś zbrodniarza. Nie rozumiała nawet, dlaczego Pete w ogóle odpowiada na jej pytania.

- Ale dlaczego morderca miałby podawać mi szczegóły popełnionej przez siebie zbrodni? Przecież przez to oskarżenie staje się mocniejsze.

- On nawet nie zorientuje się, że wpada w pułapkę, którą na niego zastawiłaś - powiedział Pete. - Jesteś o wiele sprytniejsza niż on. Twoim przestępcą jest facet, który nie ma kontroli nad sobą.

Amanda zastanowiła się nad tym stwierdzeniem, ale nie wydało się jej zgodne z prawdą.

- Był na tyle sprytny, żeby starać się ukryć zbrodnię.

- Nie tak sprytny jak sądzisz. Zrzucenie ofiary z dachu samo w sobie było dość ryzykowne. Przyciągnęło uwagę. Poza tym na miejscu zdarzenia mogli znaleźć się jacyś świadkowie. Dlaczego po prostu nie zostawił jej w mieszkaniu, pozwalając, żeby sąsiedzi

zgłosili parę dni, może tygodni, później, że z mieszkania wydobywa się odór?

Miał rację. Amanda przypomniała sobie zbrodnie Masona, sposób, w jaki upozował ciała zamordowanych.

- Myślisz, że zbrodniarz chciał przesłać nam jakąś wiadomość?

- Całkiem możliwe - zgodził się Pete. - Poza tym sądzę, że dość dobrze znał ofiarę.

- Czemu tak uważasz?

Pete zacisnął palce na brzegu prześcieradła.

- Pamiętaj, żeby nie wstrzymywać oddechu - ostrzegł i ściągnął przykrycie, odsłaniając całe ciało.

Amanda natychmiast przyłożyła dłoń do ust, ale w gardle nie poczuła żadnego poruszenia. Nie zemdląca. Nawet nie zrobiło jej się słabo. Tak jak przy zdjęciach Roz, spodziewała się gwałtownej reakcji własnego organizmu, a zamiast tego spotkała się z anielskim spokojem. Po kręgosłupie przemknął ten sam znajomy dreszcz, który poczuła podczas wizyty w Techwood, ale wrzenie w żołądku się uspokoiło. Zamiast mdleć, poczuła, że wzrok z powrotem zaczyna jej się wyostriżać.

Nigdy dotąd nie widziała zupełnie nagiej kobiety. Było coś szalenie smutnego w tym, jak jej piersi zsuwały się bezwładnie po obu stronach ciała, jak obwisały fałdy skóry na brzuchu... Włosy łonowe wydawały się dość krótkie, jakby niedawno zostały przystrzyżone, za to włoski na udach były groteskowo długie. Spomiędzy nóg ciekła krew i fragmenty trzewi. Przed śmiercią musiała zostać pobita, bo czerniawe siniaki pokrywały brzuch i żebra.

- Jeśli chcesz komuś zrobić tak straszną krzywdę, musisz najpierw cholernie go nienawidzić. A nienawiść nie bierze się znikąd. Trzeba

kogoś znać. Zresztą zapytaj moją eksmałżonkę. Któregoś razu na serio próbowała mnie udusić.

Amanda zerknęła na Pete'a. Za jego uśmiechem nie kryła się żadna sugestia. Już nie był straszny, co najwyżej osobliwy. I uprzejmy. Amanda nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz rozmawiała z mężczyzną, który nie próbował co chwila jej przerywać albo narzucać swojego zdania.

- Mogłabyś być w tym naprawdę dobra - oświadczył Pete.

Nie była pewna, czy powinna wygłosić jakiś specjalny komentarz. Z pewnością nie był to temat, na który można dyskutować przy obiedzie.

- Czy mógłbyś powiedzieć mi cokolwiek o lakierze do paznokci?

W odpowiedzi wyjął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek.

- A może ty mi coś o tym powiesz?

Amanda nie miała najmniejszej ochoty, ale posłusznie wzięła rękawiczki. Bezskutecznie starała się wcisnąć dłoń w sztywny lateks.

- Najpierw wytrzyj dłoń - poradził Pete.

Amanda potarła spoconą ręką o materiał spódnicy. Rękawiczka nadal wydawała się strasznie ciasna, ale tym razem zdołała wcisnąć końce palców, a wtedy reszta pozwoliła się łatwo naciągnąć.

Ostrożnie sięgnęła po rękę Lucy. Nawet przez rękawiczkę jej skóra wydawała się okropnie zimna, albo może Amanda tylko to sobie wyobrażała. Ciało okazało się sztywne, a nie bezwładne, jak oczekiwała.

- To *rigor mortis* - wyjaśnił Pete. - Mięśnie szkieletowe kurczą się, blokując stawy. Początek procesu może się zmieniać w zależności od temperatury i innych pomniejszych czynników. Zaczyna się w ciągu zaledwie dziesięciu minut od czasu zgonu i może trwać nawet do siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Możesz ocenić, jak długo ona nie żyje, w zależności od stopnia sztywności?

- Dokładnie tak - potwierdził. - W chwili, w której wczoraj po południu dotarłem do ofiary, nie żyła od trzech do sześciu godzin.

- To dość szeroki przedział czasowy.

- Nauka nie jest tak precyzyjna, jak byśmy chcieli.

Amanda próbowała odwrócić rękę ofiary, ale nie mogła jej ruszyć.

- Nie staraj się być delikatna - poradził Pete. - Ona już nie czuje bólu.

Przełknęła ślinę, dziwiąc się, że słyszy poruszenie krtani, a potem z całej siły wykręciła rękę denatki. Rozległ się głośny trzask, który odebrała jak uderzenie nożem prosto w serce.

- Wciągaj powietrze, a potem je wypuszczaj - przypomniał Pete. - I pamiętaj, to tylko tkanki i kości.

Amanda znów przełknęła ślinę. Tym razem odbiło się to echem w całym pomieszczeniu. Opuściła wzrok na palce Lucy Bennett.

- Ona ma coś pod paznokciami.

- Doskonałe spostrzeżenie - pochwalił Pete, podchodząc do gablotki w rogu sali. - Wyślemy to do laboratorium, żeby zrobili analizę.

Amanda pożałowała, że nie ma przy sobie powiększającego szkła, które dała jej Roz Levy. Pod paznokciami dziewczyny z pewnością znajdowało się coś, co nie wyglądało na zwykły brud.

- Jak sądzisz, co to jest?

- Jeśli próbowała walczyć, to pewnie kawałki naskórka, zdarte z napastnika. Miejmy nadzieję, że zdołała zadrapać go do krwi.

Pete wrócił ze szkiełkiem laboratoryjnym oraz z czymś, co wyglądało na dość dużą wykałaczkę.

- Przytrzymaj ją w miejscu - powiedział i wsadził drewnianą pałeczkę pod paznokieć ofiary, wyciągając stamtąd spory kawałek skóry. - Jeśli w tej próbce znajduje się wystarczająca ilość krwi, a ty znajdziesz podejrzanego, będziemy mogli pobrać mu krew i sprawdzić, czy jest tej samej grupy, czy to jego wydzielina, czy też nie.

- Będzie nam potrzeba czegoś więcej niż tylko krwi, żeby go skazać.

- W obecnych czasach FBI potrafi robić zadziwiające rzeczy z enzymami. - Pete dyskretnie postukał w szkiełko laboratoryjne, przenosząc na nie próbkę. - W ciągu dziesięciu lat będą mieć próbki każdego Amerykanina, przechowywane w tysiącach komputerów, rozmieszczonych w całym kraju. Wtedy jedyne, co będziesz musiała zrobić, to rozesłać taką próbkę po wszystkich ośrodkach i - bingo! - w ciągu paru miesięcy dowiesz się, jak nazywa się morderca i gdzie mieszka.

- Powinieneś powiedzieć o tym Butchowi i Rickowi. - Obaj detektywi z wydziału zabójstw zapewne zaśmieją mu się prosto w nos. - To oni prowadzą dochodzenie.

- Naprawdę?

Nie zadała sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć.

- Przypuszczam, że nie muszę ci tłumaczyć, w jakie kłopoty wpadłybyśmy obie z Evelyn, gdyby ci dwaj dowiedzieli się, że wtykamy nos w nie swoje sprawy.

Pete odłożył gotowy preparat na tackę.

- Wiesz, GBI wciąż nie może znaleźć wystarczającej liczby kobiet, żeby wypełnić normy. Jeśli do końca roku nie uda im się tego nadrobić, stracą federalne granty.

- Ja pracuję w Departamencie Policji Atlanty.

- Nie musisz tam pracować.

Najwyraźniej Pete nie znał Duke'a Wagnera tak dobrze, jak wszyscy inni, których dziś poznała. Zapomnijmy o Butchu i Ricku. Jej ojciec dostałby szału, gdyby dowiedzieli się, że Amanda pojechała do kostnicy. Że dotykała trupa. Że rozmawiała z jakimś hipisem o porzuceniu stałej pracy, żeby zostać mało znaczącą płótką w stanowej policji. W dodatku za marnego pensa, pomyślała. Jednak wciąż istniał powód, dla którego tamci powinni w pierwszej kolejności przyjść właśnie tutaj. Amanda odwróciła rękę kobiety, wystawiając jej nadgarstek do światła. Ujrzała je znowu - znajome, białawe pręgi.

- Już wcześniej próbowała się zabić.

- Może - zgodził się Pete. - Mnóstwo młodych dziewczyn podcina sobie żyły. Głównie po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Twoja ofiara z pewnością była uzależniona. Sama widziałaś ślady po nakłuciach. Gdyby faktycznie chciała się zabić, wystarczyło wziąć igłę i dać sobie w żyłę dubeltową dawkę starej, dobrej przyjaciółki H.

Nagle Amanda zdała sobie z czegoś sprawę.

- Umyłeś ją, prawda?

- Tak. Zrobiliśmy zdjęcia rentgenowskie, pocięliśmy ciuchy, które miała na sobie, a potem umyłem ją, żeby przygotować do sekcji.

Wysiusiała się na siebie - to niefortunny produkt uboczny uduszenia.

Chociaż ktoś mógłby uważać, że to małe piwo w porównaniu z wypadnięciem odbyticy... Jednak powinienem zaznaczyć, że była zaskakująco dobrze utrzymana, biorąc pod uwagę jej profesję i uzależnienie - dodał.

- Co masz na myśli?

- Naturalnie widoczne były skutki upadku, których należało się spodziewać - wyobraź sobie arbuza, którego ktoś zrzucił z takiej wysokości - ale doświadczenie podpowiada mi, że narkomani zwykle

nie lubią się kąpać. Naturalny tłuszcz zatyka pory skóry. Ich zdaniem to przedłuża działanie narkotyku. Nie jestem pewien, czy istnieją ku temu naukowe przesłanki, ale ktoś, kto wpuszcza sobie w żyły środek do przetykania rur, niekoniecznie musi się przejmować takimi drobiazgami. Spójrz na to strzyżenie. - Wskazał włosy łonowe ofiary.

- To dość niezwykle, ale widywałem to już wcześniej. Niektórzy mężczyźni czują pociąg do kobiet, które wydają im się infantylne.

- Myślisz o pedofilach?

- Niekoniecznie.

Amanda skinęła głową, choć wzrokiem omijała rejony, o których mówił Pete. Zamiast tego jeszcze raz obejrzała ręce Lucy. Lakier na paznokciach był nienaruszony z wyjątkiem jednego ukruszenia. Kolejne pociągnięcia pędzelkiem były gładkie i równe. To wymagało mnóstwa czasu i cierpliwości, żeby nałożyć tak grubą warstwę. Nawet Amanda, która co wieczór przed telewizorem polerowała paznokcie i nakładała świeży lakier nie potrafiłaby zrobić tego z tak niesamowitą precyzją.

- Czy zauważyłaś coś jeszcze? - spytał Pete.

- Tak. Jej paznokcie.

- Są sztuczne? Ostatnio widywałem całą masę takich plastików, sprowadzanych z Kalifornii.

- Wyglądają jak... - Amanda potrząsnęła głową.

Nie wiedziała, do czego je porównać. Paznokcie były idealnie równe, skórki starannie wycięte, a czerwony lakier doskonale położony, nawet na brzegach. Amanda nigdy dotąd nie spotkała kobiety, która mogłaby sobie pozwolić na profesjonalny manicure. Szczerze wątpiła, czy nieżywa prostytutka mogłaby być tą pierwszą.

Obeszła stół dookoła, żeby obejrzeć drugą rękę Lucy.

I znowu, lakier położony był bez zarzutu, jakby zamiast Lucy robił to ktoś inny.

Amanda otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

- No, dawaj - ponaglił ją Pete. - Tutaj nie ma głupich pytań.

- Potrafisz określić, czy była lewo- czy praworęczna?

Pete rozpromienił się, jakby Amanda była jego najlepszą uczennicą.

- Po dominującej stronie znajduje się więcej połączeń mięśniowych z kością.

- Od trzymania pióra?

- Między innymi. Dlaczego pytasz?

- Bo kiedy maluję sobie paznokcie, jedna strona zawsze wychodzi mi lepiej niż druga. U niej obie wyglądają doskonale.

Pete znów się uśmiechnął.

- Teraz rozumiesz, skarbie, dlaczego więcej kobiet powinno uprawiać mój zawód.

Amanda wątpiła, czy jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach byłaby w stanie robić coś podobnego - a już na pewno taka, która ma nadzieję znaleźć męża.

- Może Lucy miała przyjaciółkę, która malowała jej paznokcie?

- Czy kobiety faktycznie aż tak obsługują siebie nawzajem?

Przypuszczałem, że *Za zielonymi drzwiami** to czysta fantazja.

* *Behind the Green Door* - film erotyczny z 1972 roku.

Amanda zignorowała tę uwagę. Ostrożnie położyła rękę Lucy z powrotem na stole. Łatwo było skupiać się raczej na poszczególnych fragmentach ciała niż na całości. To pozwalało jej zapomnieć, że ma do czynienia z prawdziwą ludzką istotą.

Po części można było winić za to fakt, że dotąd Amanda starannie unikała spoglądania na twarz dziewczyny. Teraz zmusiła się, by to

zrobić. W pierwszej chwili zeszywniała tak samo jak na początku, ale zaraz dołączyło do tego coś w rodzaju zaciekawienia. Z twarzą obmytą z krwi Lucy wyglądała inaczej. Podobnie jak na zdjęciach Roz, jej skóra zwisała luźno na bok, ale poza oczywistymi uszkodzeniami coś wydawało się wyraźnie nie w porządku.

- Czy mógłbyś... - Amanda nie chciała, żeby jej żądanie zabrzmiało makabrycznie, ale jakoś zdołała zwalczyć swoje opory. - Czy mogłabym obejrzeć jej zęby?

- Większość z nich została wybita podczas upadku. Do czego zmierzasz?

- Chodzi o skórę na twarzy... Czy jest możliwe, żeby przesunąć ją z powrotem...

- Och, oczywiście.

Pete podszedł z przodu stołu, ujął luźne fałdy na policzkach i czole, i z powrotem naciągnął na czaszkę. Podczas upadku Lucy zagryzła wargę, ale Pete naciągnął ją teraz we właściwe miejsce. Palcami poutykał skórę dookoła oczu i nosa, jak piekarz, który miesi ciasto.

- No i co teraz o tym sądzisz?

Amanda zdała sobie sprawę, że widzi dokładnie to, czego się spodziewała. Ta kobieta nie nazywała się Lucy Bennett. Szramy na nadgarstkach nie były jedyną wskazówką. Otwarte rany na stopach układały się w znajomy wzór, podobnie jak konstelacja gwiazd. Oprócz tego była jeszcze twarz, która bez wątpienia należała do Jane Delray.

- Moim zdaniem powinniśmy ściągnąć tutaj Evelyn.

- Jakie to intrygujące.

Amanda popchnęła wahadłowe drzwi i wyszła na zewnątrz. W laboratorium nie zastała nikogo, więc otworzyła następne drzwi, prowadzące na korytarz. Evelyn stała parę metrów dalej, w pobliżu

wejścia do budynku, rozmawiając z jakimś mężczyzną, ubranym w ciemnoniebieski garnitur. Był wysoki - na oko sądząc, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jego złotawobrazowe włosy sięgały kołnierzyka, a krój garnituru bez wątpienia był dziełem znakomitego krawca. Marynarka miękko układała się na plecach, zaś rozszerzane spodnie sięgały górnej krawędzi białych mokasynów. Kiedy Amanda do nich podchodziła, właśnie palił papierosa. Evelyn spojrzała na nią, a Amanda zauważyła, że wybałusza oczy tak mocno, że jej gałki prawie wychodzą na zewnątrz.

Evelyn rozmawiała z Niebieskim Garniturkiem.

- To jest pan Bennett - odezwała się nienaturalnie piskliwym głosem, choć bardzo starała się ukryć podekscytowanie. - A to moja partnerka, panna Wagner.

Ledwie rzucił na nią okiem, z powrotem zwracając się do Evelyn.

- Jak już powiedziałem, chciałbym jedynie zobaczyć moją siostrę i zaraz odjechać.

- Mamy do pana parę pytań... - zaczęła, ale on nie pozwolił jej skończyć.

- Czy jest tu jakiś mężczyzna, z którym mógłbym porozmawiać? Ktoś, kto sprawuje kierownictwo?

Amanda pomyślała o Pecie.

- Na zapleczu jest koroner.

Bennett wykrzywił usta w pogardliwym grymasie - Amanda nie była pewna, czy na myśl o spotkaniu z koronerem, czy w reakcji na coś, co zobaczył w niej. Ale to nie miało znaczenia. Jedyne, na czym mogła się skoncentrować, to jego arogancja i nieprzystępność.

- Doktor Hanson właśnie przygotowuje ciało - powiedziała. - To może potrwać najwyżej kilka minut.

Evelyn natychmiast podchwyciła kłamstwo.

- Chyba nie chciałby pan widzieć jej w stanie, w jakim teraz się znajduje, panie Bennett.

- Nie chciałbym jej widzieć, jak ma okres - warknął w odpowiedzi.

- Jak już wspomniałem pani Mitchell, moja siostra była kurwą i narkomanką. To, co robię teraz, jest jedynie zwykłą formalnością, żeby moja matka mogła spędzić w spokoju resztę życia.

- Pani Bennett choruje na raka - dopowiedziała Evelyn.

Amanda zamilkła na kilka sekund, żeby okazać szacunek matce tego człowieka, ale nie mogła powstrzymać się od zadawania pytań.

- Panie Bennett, czy mógłby pan określić, kiedy po raz ostatni widział pan swoją siostrę?

Odwrócił spojrzenie.

- Pięć, może sześć lat temu.

Spojrzał na zegarek. Wydawało się oczywiste, że ten gest jest taką samą ucieczką jak pociąganie włosów przez Evelyn.

- Naprawdę wolałbym, żebyście nie marnowały mojego czasu. Czy możemy już pójść porozmawiać z koronerem?

- Jeszcze minutkę - odparła Amanda.

Nigdy nie była dobra w łapaniu ludzi na kłamstwie, ale w Bennecie mogła czytać jak w otwartej książce.

- Jest pan pewien, że wtedy miał pan po raz ostatni kontakt z siostrą?

Bennett wyjął z kieszonki na piersi paczkę parlamentów i wytrząsnął papierosa. Na jego środkowym palcu błysnął złoty pierścień z college'u. UGA Law School. Rocznik siedemdziesiąty czwarty. W czerwonym kamieniu wryty był buldog, będący symbolem georgijskiego uniwersytetu.

Amanda nie dawała za wygraną.

- Czy jest pan tego absolutnie pewien, panie Bennett? Wydaje się, że kontaktował się pan z Lucy w nieco późniejszym okresie.

Kiedy wciskał papierosa między zęby, na jego twarzy mignęło coś w rodzaju poczucia winy.

- Wysłałem list dla niej do Union Mission. Ale zapewniam, że zrobiłem to tylko po to, żeby stało się zadość formalnościom.

- Do Ponce de Leon? - spytała Amanda.

Ponce Union Mission była jedyną organizacją dla bezdomnych, która zajmowała się kobietami.

- Staralem się odnaleźć Lucy, kiedy zmarł nasz ojciec - wyjaśnił Bennett. - Moja matka ubzdurała sobie, że ona przyłączyła się do jakiegoś ruchu hippisów - że odeszła od nas tylko na chwilę. Myślała, że Lucy wróci do domu, pójdzie do college'u, zacznie prowadzić normalne życie. Nigdy nie przyjęła do wiadomości, że Lucy postanowiła zostać dziwką.

- A kiedy zmarł pański ojciec? - dopytywała się Evelyn.

Bennett błysnął złotą zapalniczką - tym razem po to, żeby zapalić papierosa. Nie odezwał się, dopóki nie wypuścił z płuc kłębu dymu.

- To stało się parę tygodni po tym, jak zrobiłem dyplom na wydziale prawa.

- Czyli w zeszłym roku?

- Tak. W lipcu albo w sierpniu, dokładnie nie pamiętam. - Znów zaciągnął się głęboko. - Lucy nigdy nie była taką dobrą, posłuszną dziewczynką. Moim zdaniem robiła z nas wszystkich idiotów, aż do dnia, kiedy uciekła do Atlanty z pewnym mechanikiem z warsztatu. Jestem pewien, że słyszałyście tę historię dziesiątki razy. - Wypuścił dym nosem. - Zawsze była zbyt charakterna. Uparta jak diabli.

- Skąd pan wiedział, że należało wysłać list do Union Mission? - spytała Amanda.

Bennett sprawiał wrażenie poirytowanego, że nie pozwoliła mu na zmianę tematu.

- Po prostu wykonałem parę telefonów do kilku osób. To one mi powiedziały, że Lucy zapewne wylądowała właśnie tam.

Amanda zastanawiała się, kim byli ci ludzie. Postanowiła zaryzykować.

- Czy pan jest prawnikiem, panie Bennett?

- Nie, zajmuję się doradztwem podatkowym. Jestem od roku współpracownikiem kancelarii Treadwell-Price. Dlaczego pani o to pyta?

Więc Evelyn miała rację. Najwyraźniej poprosił swojego szefa, żeby zadzwonił w jego sprawie.

- Czy wtedy dostał pan jakąś wiadomość od siostry?

- Nie, ale facet, który tam pracuje, zapewnił mnie, że Lucy otrzymała mój list. Oczywiście, o ile jego zapewnienia w ogóle są coś warte.

- Przypomina sobie pan, jak nazywał się ten facet?

- Trask? Trent? - Bennett wyrzucił z siebie chmurę dymu. - Nie wiem. Ale wyglądał mało profesjonalnie. Brudne ubranie, nieuczesane włosy... Prawdę mówiąc, czymś od niego śmierdziało. Pewnie popalał marihuanę.

- Widział się z nim pan osobiście?

- Takim ludziom nie można ufać. - Zassał papierosa. -

Pomyślałem, że może znajdę tam Lucy, ale znalazłem tylko grono odrażających kurew i pijaków. Był to dokładnie ten rodzaj miejsca, o którym wiedziałem, że Lucy kiedyś tam skończy.

- Widział ją pan?

- Oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, wątpię, czy udałoby mi się ją rozpoznać.

Amanda skinęła głową, choć pomyślała, że to dość dziwne oświadczenie ze strony człowieka, który właśnie przyjechał zidentyfikować zwłoki siostry.

Evelyn wtrąciła się do rozmowy.

- Czy znał pan dziewczynę o nazwisku Kitty Treadwell?

Bennett zmrużył oczy. Z koniuszka papierosa ulatywał dym.

- Co wiecie na temat Kitty? - spytał, ale nie pozwolił im odpowiedzieć. - Uważajcie, młode damy, gdzie wtykacie swoje śliczne noski. Bo kiedyś mogą je wam odciąć.

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wkroczyli Butch Bonnie i Rick Landry. Na widok Evelyn

- Amandy obaj zmarszczyli brwi.

- Nareszcie - zamruczał Bennett.

Landry wyraźnie był zły. Przeszępując ciężko z nogi na nogę, podszedł bliżej.

- Do wszystkich diabłów, co te dwie cipcie mają tu do roboty? - warknął.

Amanda stała obok Evelyn. Nie wymagało wielkiego wysiłku, żeby stanąć przed nią, blokując Landry'emu dostęp.

- Prowadzimy śledztwo w powierzonej nam sprawie.

Landry nawet nie pofatygował się, żeby jej odpowiedzieć. Odwrócił się, ramieniem tak silnie uderzając w ramię Amandy, że musiała cofnąć się o krok.

- Hank Bennett?

Bennett skinął głową.

- Czy to wy, panowie, prowadzicie dochodzenie?

- Tak - przytaknął Landry. - My.

Odepchnął na bok Amandę, zmuszając ją do cofnięcia, aż w końcu zdołał wcisnąć się pomiędzy nią a Bennetta.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, sir - powiedział Landry.

Bennett machnął ręką, jakby chodziło o drobnostkę.

- Straciłem siostrę już przed wieloma laty... - Znowu zerknął na zegarek. - Czy możemy wreszcie to załatwić? Spóźnię się na kolację.

Landry poprowadził go w głąb korytarza. Butch szedł z tyłu. Zerknął przez ramię na Amandę i Evelyn, a potem spojrzał tylko na Amandę w nieprzyjemny sposób łypiąc na nią okiem. Poczekwały, aż trzech panowie znikną za drzwiami.

Evelyn z sykiem wypuściła powietrze pomiędzy zębami, odruchowo przyciskając rękę do piersi. Trzęsła się jak galareta.

- Chodź! - Amanda złapała ją za rękę, ale Evelyn zaczęła się opierać.

Amanda niemal musiała ją ciągnąć aż do końca korytarza. Otworzyła wahadłowe drzwi na oścież akurat w chwili, gdy tamci wchodzili do kostnicy.

Zaczekała, aż wejdą do środka, i dopiero wtedy wślizgnęła się tam sama. Kolana się pod nią ugiwały, zupełnie, jakby przyszła tu na przespiegi. Zasłony na wielkim, panoramicznym oknie wciąż były zaciągnięte.

- Amanda... - Usłyszała szept Evelyn.

- Ciii... - syknęła.

Ostrożnie uchyliła zasłony o kilka centymetrów i zerknęła przez szparę. Evelyn natychmiast przyłączyła się do niej.

Pete Hanson stał zwrócony plecami do przeciwległej ściany. Skrzyżował obie ręce na piersiach. Na Amandzie zrobił wrażenie raczej beztroskiego koleśka, ale teraz w jego postaci było coś, co sugerowało, że czuje się głęboko nieszczęśliwy.

Landry i Butch stali odwrócenii plecami do okna, a Hank Bennett naprzeciw nich. Pomiędzy nimi na stole leżała martwa dziewczyna. Patrzył prosto na jej twarz.

Najwidoczniej Evelyn też na nią spojrzała.

- To przecież jest Jane Delray - szepnęła w tej samej chwili, w której przemówił Hank Bennett.

- Tak, to jest moja siostra - powiedział.

15 kwietnia 1975 roku

ROZDZIAŁ 11

LUCY BENNETT

W sąsiednim pokoju pojawiła się następna dziewczyna. Tamta poprzednia odeszła. Nie była wcale zła, za to ta nowa wydawała się okropna. Bez przerwy płakała. Łkała. Prosiła. Błagała.

Było oczywiste jak cholera, że nie mogła się poruszać. Tego Lucy była pewna. Żadna z nich nie dawała rady. Ból był wręcz rozdzierający. Niewypowiedzianie silny. Odbierał oddech. Zaćmiewał wzrok.

Z początku wydawało się niemożliwe, żeby nie spróbować. Owładnęła nią klaustrofobia. Nedorzeczny strach przed uduszeniem. Zaczęło się od mrowienia w nogach, tak jak przy symptomach narkotykowego głodu. Palce u nóg się podwijały, a mięśnie bolały przy każdym skurczu, który przechodził przez całe ciało z gwałtownością potężnej burzy.

Przed miesiącem tornado uderzyło w Pałac Gubernatora. Wszystko zaczęło się w Perry Homes, ale tym nikt szczególnie się nie przejął. Jednak Pałac Gubernatora to co innego. Stanowił symbol - widoczny znak dla wszystkich biznesmenów i przyjeżdżających z wizytą dygnitarzy, że Georgia jest sercem Nowego Południa.

Ale tornado postanowiło inaczej.

Gwałtownym podmuchem zerwało dach. Narobiło szkód na otaczającym posiadłość terenie. Gubernator Busbee powiedział, że jest głęboko zasmucony rozmiarem zniszczeń. Lucy słyszała w wiadomościach, jak mówił te słowa. To było specjalne wydanie, wciśnięte pomiędzy powtórkę listy czterdziestu piosenek

znajdujących się najwyżej w notowaniu. Potem nadawano program Lindy Ronstadt *When I Will Be Loved*, a po nim gubernator oświadczył, że ma zamiar wszystko odbudować. Feniks, który odradza się z popiołów. Nadzieja. Pewność.

Wracając do przeszłości - kiedy zrobiło się strasznie zimno, ten mężczyzna pozwalał Lucy słuchać tranzystorowego radia. Nastawiał je dość cicho, żeby inne dziewczyny nie mogły usłyszeć. Albo może robił tak specjalnie ze względu na Lucy. Mogła słuchać wiadomości niczym baśni z dalekiego świata. Mogła zamykać oczy i czuć, jak ziemia kołysze się pod jej stopami.

Nie lubiła zbyt często zastanawiać się nad tym, ale bez trudu zdołała odgadnąć, że jest ulubienicą tego faceta. To przypominało jej zabawy z Jill Henderson, w które niegdyś bawiła się w szkole podstawowej. Jill miała zręczne ręce. Potrafiła wziąć kartkę papieru z zeszytu i złożyć ją w trójkąty. Jak to się nazywało?

Lucy próbowała myśleć, choć nieustanne szlochanie tej dziewczyny za ścianą zupełnie rozstroiło jej nerwy. Co prawda nie było głośne, ale uporczywe, jak miauczenie kotka.

Zgadywanka. Tak nazywała się tamta zabawa.

Jill wkładała czubki palców w złożone fragmenty kartki. Wewnątrz były napisane jakieś słowa. Pytałaś, kto cię lubi. Kto ma zamiar się z tobą ożenić. Czy będziesz szczęśliwa? Czy urodzisz jedno dziecko, czy dwoje?

Tak. Nie. Być może. Keith. John. Bobby.

To nie tylko radio sprawiało, że Lucy czuła się wyróżniona. Ten mężczyzna wyraźnie spędzał z nią najwięcej czasu. Obchodził się z nią delikatniej niż kiedyś - delikatniej niż z innymi dziewczynami. Lucy wszystko słyszała.

Ile dziewczyn tutaj było? Dwie, trzy? Wszystkie bez sił. Wszystkie znajome.

Nowa dziewczyna za ścianą powinna zaprzestać walki. Powinna poddać się, a wtedy on poprawi jej warunki życia. W przeciwnym razie skończy tak, jak jej poprzedniczka. I jak poprzedniczka tej poprzedniej. Nic nie stanie się lepsze. Nic się nie zmieni.

Sytuacja Lucy uległa zmianie. Zamiast kawałków wiedeńskich parówek i okruchów nieświeżego chleba, które w początkowych dniach siłą wciskał jej pomiędzy zęby, teraz pozwalał jeść jej to, na co miała ochotę. Siedziała więc łóżku i jadła hamburgery z McDonalds oraz frytki. On zaś siadał na krześle i trzymając nóż na kolanach, przyglądał się, jak Lucy żuje każdy kęs.

Czy wyobraźnia płatała jej figla, czy jej ciało samo zaczęło odzyskiwać zdrowie? Zdecydowanie lepiej sypiała. Przez pierwsze tygodnie, miesiące, nie musiała robić nic poza spaniem, lecz za każdym razem, gdy zdarzyło się jej zdrzemnąć, z przerażeniem zrywała się ze snu. Teraz zaś często się zdarzało, że on musiał ją budzić, bo nie słyszała, kiedy wchodził do pokoju.

Delikatne szturchnięcie w ramię. Poglaskanie po policzku. Ciepło myjki. Delikatne zabiegi higieniczne. On ją obmywał. Modlił się nad nią. Składał ją w całość.

Na rogu ulicy u Juice'a dziewczyny często wymieniały między sobą historie o nieznośnych klientach. Kogo należy się wystrzeżać. Kto więcej już tu nie przyjdzie. I o tym, który dziabnął cię w twarz nożem. I o takim, co próbował wsadzić w ciebie całą pięść. I o tym, który nosił pieluchę. I o tym, co koniecznie chciał pomalować ci paznokcie.

Biorąc pod uwagę tamte opowieści - czy facet, na którego trafiła, rzeczywiście był taki zły?

OBECNIE

WTOREK

ROZDZIAŁ 12

Poranne słońce właśnie mrugało na powitanie, kiedy Will cofał oparcie w fotelu pasażera w mini należącym do Faith. Właśnie znaleziono ciało, przypuszczalnie zaginioną studentkę Georgia Tech, on zaś tracił czas, majstrując przy gałkach w tym samochodzie, który nadawał się chyba jedynie dla krasnoludka; każdy inny walił głową w sufit.

Faith poczekała, aż Will zapnie pasy.

- Okropnie wyglądasz.

Will zerknął na nią z ukosa. Faith miała na sobie regulaminowy strój GBI: spodnie khaki, ciemnoniebieską koszulę, zaś jej służbowy glock przymocowany był na wysokości uda.

- Wielkie dzięki - mruknął.

Faith wycofała samochód z podjazdu. Koła odbiły się od krawężnika. Nie odezwała się więcej ani słowem, co samo w sobie wydawało się dość niezwykle. Faith lubiła gadać jak najęta. Miała tendencję do wścibstwa. Jednak z jakiegoś powodu dziś rano postanowiła sobie darować pogawędki i wtrącanie się w cudze sprawy. Will czuł, że powinien się tym zmartwić, ale zwyczajnie nie był w stanie jednocześnie udźwignąć aż tylu ciężarów. Zmarnowana bez sensu noc, którą spędził w suterenie. Nieporozumienie z Sarą. Wiadomość o wypuszczeniu jego ojca z więzienia. Coś, co ukrywała przed nim Amanda. Ciało odnalezione w Techwood. Pocałunek z żoną.

Will ponownie przyłożył palce do ust. Już wcześniej wytarł papierowym ręcznikiem szminkę Angie, ale wciąż czuł na wargach gorzki smak chemicznych utrwalaczy.

- Po tej stronie North Avenue zdarzył się wypadek - powiedziała Faith. - Czy będziesz miał coś przeciwko, jak pojedę dłuższą drogą przez Ansley?

Will pokręcił głową.

- Czy wczoraj w nocy w ogóle nie udało ci się zasnąć?

- Trochę tak, a trochę nie.

- Zostało jeszcze trochę, o tu...

Delikatnie musnęła palcami jego policzek. Kiedy nie odpowiadał, pstryknięciem opuściła osłonę przeciwsłoneczną, w której od spodu znajdowało się lustro.

Will wpatrzył się we własne odbicie. Dziś rano, przesuwając po brodzie golarką zostawił wąski, nieogolony pasek. Popatrzył na swoje oczy. Były podbiegnięte krwią. Nic dziwnego, że ludzie bez przerwy powtarzali mu, że źle wygląda.

- To morderstwo w Techwood... - podjęła Faith. - Donnelly był tam pierwszy i to od niego wiemy, co się stało.

Will pstryknięciem podniósł osłonę przeciwsłoneczną. Detektyw Leo Donnelly był partnerem Faith, kiedy pracowała w wydziale zabójstw w APD. Miał nieco irytujący sposób bycia, ale jego najgorszą wadą był mierny umysł.

- Rozmawiałaś z nim?

- Nie. Rozmawiała z nim Amanda. - Urwała na chwilę, zapewne chcąc dać Willowi szansę, żeby zapytał, co Amanda powiedziała. Kiedy nie odezwał się, poruszyła całkiem inny temat. - Słyszałam o twoim ojcu.

Will gapił się przez okno. Faith wybrała drogę dłuższą niż długa. Były lepsze trasy, którymi można ominąć North Avenue w drodze do Techwood. Tymczasem Faith przedarła się bocznymi drogami do Monroe Drive, a następnie, okrążając Piedmont Park, skierowała się do Ansley. Dochodziła szósta rano. Na North Avenue nie wydarzył się żaden wypadek.

- Mama mi o tym powiedziała. Chciała, żebym do kogoś zadzwoniła.

Will przez okno przyglądał się domom i apartamentom. Właśnie minęli klinikę weterynaryjną, gdzie Betty dostawała swoje zastrzyki.

- Chodziło o pewnego gościa, z którym kiedyś chodziłam na randki. Wydaje mi się, że kiedyś go poznałeś. Nazywa się Sam Lawson. Pracuje jako reporter dla „AJC”.

„Atlanta Journal-Constitution”. Will nawet nie chciał myśleć, co kryje się za prośbą Evelyn Mitchell. Przypuszczał, że Amanda pozwoliła sobie na makiaweliczny ruch, próbując z wyprzedzeniem wpłynąć na to, co ukaże się w gazetach. Sara codziennie czytała „AJC”. Była jedyną znaną mu osobą, której wciąż dostarczano gazety do domu. Czy właśnie w ten sposób Sara odkryje prawdę? Już wyobrażał sobie telefon od niej. O ile zadzwoni. Może wcale nie zamierzała tego robić. Może uznała, że to doskonała okazja do wycofania się z tego czegoś, co narodziło się pomiędzy nimi. Ostatecznie nie brakowało jej sprytu.

- Właśnie w ten sposób w zeszłym tygodniu Amanda dowiedziała się, że twój ojciec dostał zwolnienie warunkowe. - Faith znów zamilkła na chwilę, najwyraźniej oczekując jakiejś odpowiedzi. - Sam zadzwonił do biura i poprosił ją o komentarz. Chciał wiedzieć, jakie uczucia obudziła w niej wieść, że twój ojciec znalazł się z powrotem na wolności.

Faith zatrzymała się na czerwonym świetle.

- Ale Sam nie będzie ciągnął tego tematu. Zapchałam go kilkoma detalami o gangu motocyklowym, który APD zgarnęła za rozprowadzanie metamfetaminy w eksperymentalnej szkole społecznej. To pierwszorzędny materiał, artykuł na pierwszą stronę. Sam z pewnością nie będzie wracał do poprzedniej sprawy.

Will zapatrzył się na zaciemniony pas Ansley Mail. Sklepy na piętrze jeszcze nie zostały otwarte. Oświetlone pomieszczenia połyskiwały słabo w blasku wczesnego ranka. Nagle Willa ogarnęło dziwne wrażenie, że właśnie wiozą go do szpitala na operację. Ze mają mu odjąć jakąś część ciała. Będzie musiał się z tego pozbierać. Będzie musiał jakoś opanować własne zmysły, żeby więcej nie czuć tej ziejącej pustki.

- Coś ty zrobił ze swoimi rękami? - Usłyszał pytanie Faith.

Spróbował poruszyć palcami. Nawet samo zginanie ich powodowało spory dyskomfort. Zraniona kostka pulsowała w rytm uderzeń serca. W każdym stawie boleśnie odczuwał skutki swojej niedawnej wyprawy do piwnicy.

Faith weszła w ostry zakręt, który wyprowadził ich na Czternastą Ulicę.

- W każdym razie przejrzałam akta jego sprawy - powiedziała.

Will był więcej niż obeznany ze wszystkimi zbrodniami, które popełnił jego ojciec.

- Miał szczęście, że wykręcił się od kuli. Mówię o sprawie Furmana. To było w Georgii we wczesnych latach siedemdziesiątych.

- Dokładnie w 1972 roku - dopowiedział Will.

Był to przełomowy moment w historii. Sąd Najwyższy czasowo zawiesił wówczas wykonywanie kary śmierci. Kilka lat wcześniej lub

później ojciec Willa zostałby skazany przez sąd stanu Georgia na śmierć.

- Pierwszą osobą, którą stracono po Furmanie był Gary Gilmore - dokończył Will.

- Ach, ten seryjny zabójca, tak? W Utah?

Faith uwielbiała czytać o zbiorowych morderstwach. To było takie specyficzne hobby, które często okazywało się przydatne.

- Czy można uznać coś za masową zbrodnię, jeśli zginęły tylko dwie osoby? - spytał Will.

- Myślę, że dwie wystarczą, jeśli zbrodnie zostały popełnione w krótkim odstępie czasu.

- Sądziłem, że muszą być przynajmniej trzy ofiary.

- Chyba tylko w wypadku seryjnych zabójców.

Faith wyjęła swojego iPhone'a. Kciukiem przesuwiała coś na wyświetlaczu, jednocześnie czekając, aż będzie mogła wykonać nielegalny skręt w Peachtree.

Will wpatrzył się w głąb Czternastej Ulicy. Z tego miejsca nie mógł dostrzec hotelu „Four Seasons”, ale wiedział, że znajduje się zaledwie dwa skrzyżowania dalej. Przypuszczałnie właśnie dlatego Faith zdecydowała się, żeby tutaj skręcić. Wiedziała, że jego ojciec mieszka w tym hotelu. Will zastanawiał się, czy o tej porze jeszcze leży w łóżku. Ten człowiek spędził w więzieniu przeszło trzydzieści lat. Raczej wydawało się niemożliwe, żeby lubił długo sypiać. Może już zdążył zamówić śniadanie do pokoju? Angie mówiła, że on codziennie rano ćwiczy na siłowni. Może właśnie trenuje na bieżni, oglądając któryś z porannych programów i planując, co będzie robił przez cały dzień?

- No proszę. Dwie lub trzy ofiary kwalifikują zbrodnię jako masową.

Faith z powrotem wrzuciła iPhone'a do podstawki na kubek i skrzyła w przeciwną stronę niż nakazywała sygnalizacja.

- Czy możemy porozmawiać teraz o twoim ojcu?

- Wiedziałaś, że wzdłuż Peachtree Street przebiega znajdujący się w Georgii odcinek linii kontynentalnego działu wód? - zmienił temat.

- Deszcz, który pada po tej stronie drogi, spływa do Atlantyku.

Deszcz po tamtej zasila wody zatoki. Może pomyliłem strony, ale rozumiesz istotę rzeczy?

- Wiesz, Will, to naprawdę fascynujące.

- Całowałem się z Angie.

Niewiele brakowało, żeby Faith wjechała na chodnik. Szarpnięciem zawróciła samochód z powrotem na pas jezdni. Przez moment zachowywała spokój, ale w końcu nie wytrzymała.

- Ty pieprzony idioto...

Czuł, że zasłużył na ten epitet, a nawet na więcej.

- I co zamierzasz teraz zrobić?

- Sam nie wiem. - Znów zapatrzył się przez okno. Jechali teraz prosto w gęstwinę centrum. - Chyba będę musiał powiedzieć o tym Sarze.

- O nie, tego na pewno nie musisz robić - wypaliła natychmiast. - Zwariowałeś? Dostaniesz kopa w dupę i won.

Pewnie Sara powinna tak postąpić. Nie ma mowy, żeby Will zdołał jej wytłumaczyć, że ten najbardziej wyświechtany frazes na świecie w tym konkretnym wypadku całkowicie zgadzał się z prawdą - ten pocałunek naprawdę nie miał żadnego znaczenia. Dla Willa stanowił przypomnienie, że Sara jest jedyną kobietą, z którą pragnie dzielić życie; może w ogóle pierwszą kobietą, z którą tak naprawdę chciał być. Dla Angie ten pocałunek znaczył tyle, ile dla psa znaczy podniesienie tylnej łapy przy hydrancie przeciwpożarowym.

Faith zadała następne pytanie.

- Czy ty chcesz być z Angie?

- Nie. - Pokręcił głową. - Absolutnie nie.

- Czy było coś jeszcze?

Przypomniał sobie, jak musnął jej pierś.

- Nie... - Nie zamierzał z Faith wdawać się w żadne szczegóły. -

Nie doszło do żadnego kontaktu między...

- Okay, rozumiem. - Skręciła w North Avenue. - Jezu, Will...

Czekał, aż dokończy.

- Nie możesz powiedzieć o tym Sarze.

- Nie mogę niczego przed nią ukrywać.

Zaśmiała się tak donośnie, że aż rozboleły go uszy.

- No chyba sobie ze mnie kpisz! Chcesz mi wmówić, że Sara wie o twoim ojcu? Że wie o jego...

- Nie.

Faith nie zawracała sobie głowy ukrywaniem swojego niedowierzania.

- No cóż, w takim razie nie pozwól, żeby ten epizod był jedyną rzeczą, w której będziesz z nią szczerzy do bólu.

- To jest co innego.

- Myślisz, że Angie jej powie?

Will potrząsnął głową. Być może kodeks moralny Angie nie był łatwy do rozszyfrowania, ale Will wiedział, że Angie nigdy by nie powiedziała Sarze o ich pocałunku.

O wiele lepiej było wykorzystać ten incydent do torturowania Willa.

Faith od razu przeszła do sedna sprawy.

- Jeśli to więcej się nie powtórzy i jeśli faktycznie ten pocałunek nic nie znaczył, to po prostu będziesz musiał żyć z poczuciem winy. Albo żyć bez Sary.

Will nie mógł dłużej o tym rozmawiać. Znów gapił się przez okno. Właśnie zatrzymali się na czerwonym świetle. Światła znajdowały się na skrzyżowaniu obok Varsity. Za parę godzin będą się tu kłębić uliczni sprzedawcy, przylepiając na samochodach wielkie numery i zbierając zamówienia. Pani Flannigan miała zwyczaj raz w miesiącu zabierać starsze dzieci do Varsity. W nagrodę za dobre zachowanie.

- Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z detektywami, którzy pracowali nad sprawą twojej matki? - pytała Faith.

- Jeden zniknął. Ktoś mówił mi, że chyba przeprowadził się do Miami. Drugi zmarł na AIDS na początku lat osiemdziesiątych.

- Może któryś z nich zostawił rodzinę?

- Nikogo, kogo udałoby mi się odszukać.

Prawdę mówiąc, nie szukał zbyt gorliwie. To było jak rozdrapywanie strupa. W końcu nadchodził ten moment, kiedy zaczynała lecieć krew.

- Aż nie chce mi się myśleć, ile razy rozmawiałam z tobą na przestrzeni ostatnich dwóch lat, a ty nigdy o tym mi nie powiedziałeś.

Will pozwolił, żeby sama domyśliła się, dlaczego.

Faith przecięła autostradę międzystanową. Bursy wzniesione dla lekkoatletów przed igrzyskami olimpijskimi nosiły teraz logo Georgia Tech. Stary stadion także został przebudowany. Ulice były świeżo wybrukowane. Wstawki z cegły ozdabiały chodniki dla pieszych. Nawet o tak wczesnej porze mnóstwo studentów znajdowało się na ulicach, uprawiając jogging. Faith skręciła na następnych światłach. Znała ten rejon znacznie lepiej niż Will. Ostatnio jej syn zapisał się do Georgia Tech, a matka niegdyś robiła tu doktorat. Faith skończyła

czteroletnie studia na uniwersytecie, więc miała odpowiednie kwalifikacje, żeby znaleźć zatrudnienie w GBI.

Wysunęła zza osłony przeciwsłonecznej coś w rodzaju notatnika. Will zauważył, że miała tam zapisane wskazówki. Wyraźnie zwinęła, pomrukując pod nosem: Centennial Park North... Tam jedziemy... Wreszcie skręciła w boczną uliczkę, wrzucając niższy bieg, gdy podjeżdżali pod górę. Cały rejon zajmowały eleganckie apartamentowce z cegły oraz wielkomiejskie kamienice. Samochody na ulicach także sprawiały niezłe wrażenie - przeważnie były to nowsze wersje toyot i fordów, od czasu do czasu rozdzielone przez jakieś bmw. Trawa była starannie przystrzyżona, a okna i okapy dachów pomalowane na nieskazitelną biel. Niemal wszystkie balkony upstrzone były antenami satelitarnymi. W zamyśle dzielnica była przeznaczona dla różnych grup społecznych, co w praktyce oznaczało, że garstka uboższych ludzi gnieździła się w mniej okazałych budynkach, reszta zaś dążyła do stałego powiększania swoich dochodów. Will wyobrażał sobie, że niektórzy lepiej sytuowani studenci wolą mieszkać tutaj niż w bursach, gdzie przebywał również syn Faith.

- Zell Miller Center. - Faith przeczytała napis na tablicy. - Wspólnota Mieszkaniowa Clark Howell, to tu jedziemy.

Zwinęła tak bardzo, że samochód czołgał się wzdłuż krawężnika. Zresztą żadne wskazówki nie były już potrzebne. Dwa radiowozy blokowały ulicę, zaś policyjna taśma oddzielała grupkę mieszkańców dzielnicy. Większość z nich była w piżamach i w szlafrokach. Kilku amatorów joggingu zatrzymało się, żeby sprawdzić, co tam się dzieje.

Faith musiała przejechać kilka kwartałów, zanim udało jej się znaleźć wolne miejsce do parkowania. Wreszcie zatrzymała się na poboczu, zaciągając ręczny hamulec.

- Dobrze się czujesz? - zwróciła się do Willa.

Z początku miał zamiar zignorować jej pytanie, ale to wydawało się nie w porządku.

- Zaraz się przekonamy - mruknął i wysiadł z auta, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Uliczne lampy wciąż świeciły, dodając swój blask do blasku wschodzącego słońca. Dwa helikoptery należące do stacji telewizyjnych wisiały nad głowami gapiów, a ich wirujące śmigła z monotonnym szumem przecinały powietrze. Na ulicy poniżej rozlokowała się większość dziennikarzy. Kamery zostały już ustawione na trójnogach, a reporterzy sporządzali notatki, jednocześnie sprawdzając, jak się sami prezentują.

Will nie oglądał się na Faith. Od razu ruszył w stronę miejsca zbrodni, gdzie - jak widział - czekała Amanda Wagner.

Jedna jej ręka opierała się na temblaku i był to jedyny widoczny ślad nocy spędzonej w szpitalu. Amanda stała z boku chodnika, ubrana jak zwykle w jednokolorową spódnicę, bluzkę i żakiet. Dwaj krzepcy policjanci z patrolu spoglądali na nią z góry, kiwając głowami, podczas gdy ona wydawała im rozkazy. Wyglądali jak dwaj gracze w czasie meczu futbolowego, którzy tłoczą się przed wyrzuceniem piłki.

Gdy Will i Faith szli w jej kierunku, obaj policjanci ruszyli biegiem w stronę grupy świadków, zapewne po to, żeby spisać ich nazwiska i zrobić zdjęcia, które następnie mogli przepuścić przez policyjną bazę danych. Amanda wszystkie swoje śledztwa prowadziła zgodnie z zasadami starej szkoły. Starając się poruszyć ławę przysięgłych, nie polegała jedynie na próbkach krwi ani na pojedynczym włosie. Pracowała nad każdą sprawą dopóty, dopóki nie znalazła rozwiązania,

które nie mogło już budzić wątpliwości w nikim, kto nie był pozbawiony zdrowego rozsądku.

Nie zwracała sobie głowy żadnymi grzecznościami.

- Nie chcę cię tutaj widzieć.

- Więc dlaczego do mnie dzwoniłaś?

- Ponieważ wiedziałam, że za żadne skarby świata nie będziesz chciał tego odpuścić.

Nie czekała na jego odpowiedź. Odwróciła się na pięcie i z wawo ruszyła w stronę budynku. Will z łatwością dotrzymywał jej kroku. Faith zachowała się w dość nietypowy dla siebie sposób, bo wyraźnie trzymała dystans, wlokąc się parę metrów za nimi.

- Musimy zachować szczególną ostrożność przed podjęciem jakichkolwiek działań - odezwała się Amanda. - Jak wiesz, kiedyś cały ten obszar zajmowały slumsy. Przed olimpiadą władze stanowe zdecydowały się je opróżnić. Miasto także miało w tym swój udział. Tech dostał kawałek. Zarząd zieleni także miał coś do gadania. Podobnie jak zarząd osiedla. I rejestr historyczny, choć byłby to niezły dowcip, gdyby dla tego terenu prowadzono coś takiego. Mamy tu więcej jurysdykcji niż wozów transmisyjnych. Na razie APD uzupełnia nasze działania, ale to nasi technicy i nasz koroner zajmują się dowodami.

- Chcę być obecny podczas sekcji zwłok.

- Jeszcze upłynie wiele godzin, zanim...

- Nie szkodzi. Poczekam.

- Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł?

Will pomyślał, że to okropny pomysł, ale to nie mogło go powstrzymać.

- Będziesz musiała ściągnąć go tutaj na przesłuchanie.

- Dlaczego miałabym to robić?

Fakt, że jej głos brzmiał tak rozsądnie, sprawił, że Will miał ochotę ją uderzyć.

- Czytałaś akta dotyczące mojego ojca.

Zatrzymała się i podniosła na niego wzrok.

- Owszem.

- Czy uważasz, że to czysty przypadek, że on właśnie wyszedł z więzienia i chwilę potem znaleziono nieżywą studentkę, której ciało ktoś porzucił na terenie Techwood?

- No cóż, zawsze może mieć miejsce jakiś zbieg okoliczności. - W zwykłej pewności siebie Amandy pojawiły się teraz wyraźne pęknięcia. - Nie mogę sprowadzić go tutaj, ot tak, bez konkretnej przyczyny. A prawa obywatelskie? A Czwarta Poprawka? Czy to nie brzmi znajomo?

- Zdaje się, że wcześniej to nie było dla ciebie żadną przeszkodą.

- Odkryłam, że w paragrafach, które dotyczą białych i bogatych, unika się takich nieprzyjemności.

Will zdał sobie sprawę, że znowu zapędziła go do narożnika.

- Mimo to...

- Nie ma o czym mówić. - Amanda nadal szła przed siebie. - Mamy wstępną identyfikację Ashleigh Snyder. W kontenerze na śmieci znaleziono jej torebkę. W środku znajdowały się karty kredytowe, lecz nie było prawa jazdy. Ani gotówki.

- Brzmi całkiem znajomo.

- Dzięki Bogu za Sunshine Laws.

Obowiązująca w Georgii ustawa o swobodzie przepływu informacji była jedną z bardziej liberalnych na terenie całego kraju. To prawo cieszyło się uznaniem zwłaszcza wśród więźniów.

- On mieszka w hotelu „Four Seasons” - powiedział Will.

- Wiem - przyznała. - Wczoraj po południu na dwie godziny straciliśmy go z oczu, ale to więcej się nie powtórzy.

- Jest na wolności od prawie dwóch miesięcy.

Amanda nie odpowiedziała od razu.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego więźniów zwalnia się przedterminowo za dobre zachowanie. Więzienie to więzienie. Czy nie powinieneś dobrze zachowywać się przez cały czas?

- Kiedy wychodził, nikt nie raczył mi o tym powiedzieć.

- Rzecz w tym, Will, że twoje akta zostały zamknięte. Nie mieli prawa cię zawiadamiać, o ile sam się do nich nie zgłosiłeś.

- Ojciec miał umrzeć w więzieniu.

- Wiem.

Jeden z policjantów zawołał Amandę.

- Doktor Wagner?

- Wy dwoje idźcie dalej - poleciła i zatrzymała się, żeby poczekać na policjanta.

Will wykonał polecenie, a Faith musiała podbiec, żeby się z nim zrównać.

- O co chodziło? - spytała.

Mógł jedynie potrząsnąć głową, bo właśnie wchodzili na parking. Teren był wyraźnie pochyły. Na samym końcu grupa detektywów półokręgiem otaczała leżące na ziemi zwłoki. Kobieta spoczywała przed sporych rozmiarów śmietnikiem z cegły, wewnątrz którego znajdował się kontener. Wielkie metalowe drzwi stały otworem. Zamek zwisał z zatrasku, kółko było wyłamane. Ktoś zdążył oznaczyć je żółtą taśmą, żeby mogły znaleźć się w katalogu dowodów rzeczowych.

Will rozejrzał się dookoła, odnosił wrażenie, że ktoś go obserwuje. Albo może dopadła go paranoja. Uważnym spojrzeniem przeczesał

cały obszar. Dokładnie po przeciwnej stronie znajdował się dom kultury. Wokół parkingu wznosiło się kilka apartamentowców. Białe bramy garażowe na tle ceglanych ścian wyglądały jak zęby, które tkwią w czerwonych dziąsłach. W pewnej odległości znajdował się plac zabaw z tunelami w jaskrawych kolorach oraz huśtawkami. Na horyzoncie majaczył biurowiec Coca-Coli.

Gdyby Will zmrużył oczy, spoglądając wstecz poprzez autostradę międzystanową, mógłby dostrzec znajomą, pastelową fasadę hotelu „Four Seasons”.

- Kolejna sprawa rozwiązana przez wspaniałe GBI - zaśmiał się Leo Donnelly, nie wypuszczając z ust papierosa.

Detektyw z wydziału zabójstw jak zwykle miał na sobie brązowy garnitur, który zapewne był pognieciony już wczesnym rankiem, kiedy podnosił go z podłogi. Jego nowy partner, młody facet o nazwisku Jamal Hodge, powitał Faith skinieniem głowy.

Leo mrugnął do niej.

- Hej, Mitchell, ależ ty masz cycki! Domyślam się, że wciąż karmisz piersią?

- Odpieprz się, Leo - warknęła, wyjmując z torebki notes. - O której dostaliście wezwanie?

Leo wyjął swój notes.

- O czwartej trzydzieści osiem tego uroczego poranka. Dozorca przyszedł na swoją zmianę, zobaczył ją i ze strachu dostał bzika. Gość nazywa się Otay Keehole.

- Utay Keo - poprawił Jamal.

- Co za bezczelny gówniarz. - Leo obrzucił go paskudnym spojrzeniem. - Ooo... Tay studiuje w Tech. Ma dwadzieścia cztery lata i mieszka z ukochaną mamuszką. Nigdy dotąd nie był notowany.

- Jak on wam pasuje? - spytała Faith.

- Raczej mało prawdopodobne. - Jamal pospieszył z odpowiedzią.

Leo odegrał małą scenę i wystudiowanym ruchem zamknął swój notes. Potem zaciągnął się papierosem, wbijając spojrzenie w Jamala.

- Dzieciak przed dwoma laty wyjechał z Kambodży. Sam zapracował na studencką wizę. Dobrowolnie zgodził się na pobranie odcisków palców i poddał się badaniu DNA. Nie figuruje w żadnych rejestrach. Nie miał motywu. Jestem pewien, że zdarzyło mu się przelecieć kilka prostytutek - kto tego nie robił? - ale teraz nawet nie ma samochodu. Przyjechał tutaj autobusem.

- Zidentyfikowałeś ofiarę na podstawie kart kredytowych? - zainteresował się Will.

Jamal wyciągnął przed siebie ręce, wskazując, że to Leo powinien odpowiedzieć.

- Jesteśmy dość pewni, że to Ashleigh Snyder - odparł Leo. - Co prawda ma zmasakrowaną twarz, ale zdradziły ją blond włosy.

- Zawiadomiliście już rodzinę? - pytał dalej Will.

- Matka nie żyje, a ojciec właśnie wraca samolotem z podróży służbowej do Salt Lake. Powinien dotrzeć tu dziś po południu.

- Poprosiliśmy o kartę stomatologiczną - dodał Jamal.

- Wspaniale, wielkie dzięki - wymamrotała Faith.

Przypuszczalnie rozmyślała właśnie o nieszczęsnym ojcu denatki, jego długiej drodze powrotnej do domu i o tej chwili w kostnicy, kiedy jego życie na zawsze ulegnie zmianie.

Wszyscy odwrócili się z powrotem w stronę kontenera. Tłum gapiów zdążył się rozproszyć i technicy kryminalni mogli rozpocząć żmudną robotę katalogowania przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni.

Will spojrzał w dół, na zwinięte ciało martwej kobiety. Długie blond włosy okalały jej twarz. Leżała na plecach, z odrzuconymi na

bok rękoma, i nadgarstkami skierowanymi ku niebu. Jej twarz przypominała krwawą miazgę, nie do rozpoznania pewnie nawet dla najbliższych. Paznokcie u rąk pomalowane były jaskrawo czerwonym lakierem. Krew skleiała ubrania ze skórą. Will mógł jedynie domyślać się, co kryje się pod obcisłym T-shirtem i spódnicą w kwiaty.

Leo zabrał głos.

- Jest tutaj coś, czego nie widuje się codziennie. Gość tak długo grzmocił ją pięściami po brzuchu, aż wysrała całe jelita. Takiego gówna nie zobaczysz nawet na You Tube - zachichotał cicho. - Przynajmniej dopóki nie zdołam rozkminić, jak działa kamera w moim telefonie.

- Boże, zlituj się nad nami - mruknął Jamal i ruszył w stronę Charliego Reeda, śledczego kryminalnego z GBI.

- Chodź tu, Hodge - zawołał za nim Leo. - To naprawdę śmieszne.

- Całkiem niezłe, Leo - zauważyła Faith. - Czyżbyś naprawdę chciał wkurzyć wnuka wiceszefa policji?

Will zerknął na nią z ukosa. Jej głos lekko drżał. Nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze z widokiem ciał ofiar, ale jakoś trzymała się dzięki własnemu uporowi i determinacji. Jedno pęknięcie w skorupie i Leo lub ktoś podobny do niego załatwi, że na porannych odprawach osoba Faith stanie się tematem żartów całego oddziału. Faith któregoś razu w przypływie szczerości zwierzyła się Willowi, że praca z Leo przypomina obserwowanie poczynań nakręcanej małpy, która nie może trafić w cymbały.

Will nie musiał pytać, czy Faith dobrze się czuje. Zamiast tego ukląkł przy zwłokach, zachowując odpowiednią odległość, żeby nie zostawić śladów. Fotografowie kryminalni nie czekali, aż wzejdzie słońce. Cyfrowe aparaty i komputery zajmowały cały blat rozkładanego stolika.

Jedna z kobiet włączyła generator z silnikiem diesla. Zamigwały ksenonowe lampy. Ręka ofiary mocno odcinała się od czerni asfaltu, a pomalowane paznokcie połyskiwały, jakby lakier nie zdążył jeszcze wyschnąć.

- Co to za budynek? - spytała Faith, zwracając się do Leo. - Czy tam wciąż mieści się dom kultury?

- Czort wie. - Leo wzruszył ramionami. - Pewnie nazwali je tak, jak usłyszeli, co mówił w radiu ten gość.

Will za szybko wstał i przez chwilę walczył z zawrotami głowy.

- To Clark Howell był wydawcą „Atlanta Journal-Constitution”.

- No nie! Bez jaj? - spytał Leo.

- Kolega napchał sobie głowę mnóstwem takich fascynujących dupereli - wyjaśniła Faith. - Masz jakiś trop?

- A czemu cię to interesuje?

Faith oparła dłonie na biodrach.

- Nie bądź takim cholernym dupkiem, Leo. Dobrze wiesz, że ta sprawa należy do policji stanowej. No więc masz jakiś trop czy chcesz, żebym zapytała o to Jamala?

Leo niechętnie udzielił odpowiedzi.

- Dryndnąłem w parę miejsc, sprawdziłem też w centrum. W naszych rejestrach nie figuruje nikt, kto potrafi sprać dziewczynę tak, żeby wybić z niej flaki. - Leo zaśmiał się z własnego dowcipu. - I to dosłownie!

- Czy miała wrogów?

- Powinnaś wiedzieć o tym więcej niż ja.

- Jakies problemy z narkotykami?

Leo prychnął, jednocześnie drapiąc się po nosie.

- Nic poważnego, z tego co słyszałem.

- Koka czy metamfetamina?

- Ona była studentką. Więc jak sądzisz?

- Metamfetamina - odparła Faith. - Lepiej wystrzegaj się uogólnień, Leo. Moje dziecko także uczy się w Tech. I zapewniam cię, że nie faszeruje się niczym mocniejszym niż Red Bull.

- Tego jestem pewien.

- Faith! - Usłyszeli wołanie Amandy.

Stała na obrzeżach parkingu i machała ręką, żeby podeszli bliżej. Kiedy ruszali w jej stronę, Faith na pożegnanie obrzuciła Leo pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

- Nie musicie mi dziękować, koledzy! - wrzasnął za nimi Leo. - To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Amanda właśnie grzebała w torebce, gdy znaleźli się obok niej. Wyciągnęła stamtąd swojego blackberry. Po upadku do piwnicy na obudowie telefonu powstały wyraźne pęknięcia. Szybko przewinęła listę e-maili, jednocześnie mówiąc to, co miała do powiedzenia.

- Patrol znalazł jakiegoś sportsmena, który dziś krótko po czwartej rano zauważył, jak po okolicy kręci się podejrzany minivan w zielonym kolorze.

- I co, właśnie teraz postanowił się do nas zgłosić? - Faith zerknęła na zegarek. - Czyżby biegał przez całe dwie godziny?

- Wydaje się, że to dobre pytanie, tak na początek. On tutaj mieszka, w apartamencie 2620. - Amanda wskazała dom po drugiej stronie ulicy. - Upewnijcie się, że będziecie mieć jego zeznania na piśmie. Wszystkie litery „t” należy wykreślić, a „i” wykropkować.

- Porozmawiam z nim - odezwał się Will, ale Amanda go powstrzymała.

- Faith, wolę, żebyś ty się tym zajęła.

Faith rzuciła Willowi pełne skruchy spojrzenie, a następnie posłusznie poszła w stronę budynku.

Amanda podniosła palec, żeby uciszyć ewentualny protest. Przejrzała jeszcze kilka e-maili i dopiero wówczas wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

- Wiesz chyba, że nie możesz pracować nad tą sprawą.
- Nie rozumiem, dlaczego uparłaś się, żeby mnie odsunąć.
- Bo w papierach wszystko musi wyglądać bez zarzutu. Nie możemy pozwolić, żeby w sądzie roznieśli nas na kawałki.
- Ostatnim razem w sądzie wszystko się zgadzało, a on mimo tego zdołał się wydostać.
- Serdecznie witamy w naszym systemie sądowym. Myślałam, że już zdołałeś się z nim zapoznać.

Will wpatrywał się w autostradę. Godziny szczytu zbliżały się nieuchronnie. Wszystkie czternaście pasów powoli wypełniało się samochodami. Na jednym z aut dostrzegł logo Emory Hospitals. Sara chodziła na Emory University. Grady Hospital należał do ich systemu kształcenia.

O tej porze Sara szykowała się do wyjścia do pracy. Brała prysznic, suszyła włosy... Will przed wyjściem zwykle wyprowadzał oba psy. Zastanawiał się, czy Sarze brakuje jego pomocy.

- Will, daj mi czas, żeby to mogła właściwie załatwić - odezwała się Amanda.

Ale Will potrząsnął głową. Nie obchodziły go środki prowadzące do celu, lecz tylko sam cel.

- Musimy rozpracować wszystko od samego początku.
- A jak sądzisz, co ja robię? - spytała. - Jak tylko się dowiedziałam, ściągnęłam do tej sprawy pełne dwa zespoły. Mówimy o odstepie trzydziestu paru lat i to w mieście, które co pięć lat zmienia się nie do poznania. Jego dawniej ulubione miejsca są dzisiaj zabudowane przez dwudziestopiętrowe biurowce.

- Sprawdzę to. Faith może pójść ze mną.
- Już wszystko zostało sprawdzone, od góry do dołu.
- Nie przeze mnie.

Nie patrzyła na niego. Podobnie jak Will wpatrywała się w autostradę.

- Motyw, możliwości i okazja.

To była mantra Amandy.

- Wiesz, że on miał i motyw, i możliwości, i okazję - odparł.

Szttywno skinęła głową. Gdyby Will na nią nie patrzył, pewnie przeoczyłby ten gest. Przyjrzał się jej z profilu. Wyglądała na tak samo zmęczoną jak on. Pod oczami miała ciemne kręgi, a makijaż dookoła oczu i ust zlepił się

- utworzył nieestetyczne zmarszczki.

- Muszę przyznać, że strasznie mi się spodobało, co zrobiłeś w tej piwnicy - powiedziała.

Will zacisnął pięści. Zacięcia na palcach znów się pootwierały.

- Czy udało ci się znaleźć to, czego szukałeś?

W szczęce Willa coś trzasnęło, gdy z trudem otwierał usta, żeby przemówić.

- Po co tam przyjechałaś?

- To bardzo interesujące pytanie.

- Od jak dawna wiedziałaś o moim ojcu?

- Pracujesz dla mnie, Will. W moim interesie jest, żeby wszystko o tobie wiedzieć.

- Dlaczego ten reporter do ciebie zadzwonił?

- Bo to materiał na ciekawą historię... Mam na myśli wybraną przez ciebie drogę prawa i praworządności. Odrodziłeś się z popiołów, Will. Symbolem Atlanty jest feniks. Co za doskonale dopasowanie.

Bez słowa odwrócił się i poszedł z powrotem w kierunku North Avenue, w stronę mostu nad autostradą.

Kroki Amandy były o połowę krótsze od kroków Willa. Musiała się dobrze natrudzić, żeby nie pozostać z tyłu.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Porozmawiać z ojcem.

- Po co?

- Czytałaś jego akta. Wiesz, że on działa według schematu. Jedną zabija, jedną przetrzymuje. Przypuszczalnie on ją wybrał.

- Czy twoim zdaniem powinnam była z powodu zaginionej prostytutki wydać list gończy?

Wyraźnie starała się go rozdrażnić.

- Wiesz, że on szuka następnej dziewczyny.

- Mówiłam przecież, że jest pod stałą obserwacją. Nie wychodzi ze swojego pokoju.

- Z wyjątkiem wczorajszego popołudnia.

Przestała się starać, żeby za nim nadążyć.

- Nie będziesz z nim rozmawiał.

Will odwrócił się. Amanda nigdy nie podnosiła głosu. Nigdy nie krzyczała. Nie tupiała ani nie klęła jak szewc. Budziła w ludziach strach samą reputacją. Teraz, po raz pierwszy od piętnastu lat, miał wrażenie, że widzi ją na wylot. Tak naprawdę była nikim. Była starą kobietą z ręką na temblaku i mnóstwem tajemnic, które zabierze ze sobą do grobu.

Tymczasem Amanda mówiła dalej.

- Wydałam stałe zlecenie, że masz zostać zatrzymany natychmiast, jeśli tylko postawisz nogę w tym hotelu. Zrozumiałeś?

Spojrzał na nią z nienawiścią w oczach.

- Powinienem był cię zostawić, żebyś zgniła w tej piwnicy.

- Och, Will. - W jej głosie zabrzmiał szczery żal. - Mam przeczucie, że pod koniec tego wszystkiego obydwójce będziemy żałować, że tego nie zrobiłeś.

OBECNIE

ROZDZIAŁ 13

SUSANNE FORD

Brakowało jej *Tańca z gwiazdami*. Tęskniła za Bobo, swoim malutkim psem, który odszedł, kiedy miała dziesięć lat. Tęskniła za babcią, która opuściła ten padół, gdy Suzanna skończyła lat jedenaście. I tęskniła za Adamem - złotą rybką, która zasnęła od razu pierwszej nocy po przyniesieniu ze sklepu. Suzanna znalazła ją w akwarium, pływającą na boku. Oczy rybki były całkiem puste. Mogła zobaczyć w nich swoje odbicie.

Zadzwoiła do sklepu, żeby złożyć skargę.

- Po prostu wrzuć ją do kibla i spuść wodę - poradził sprzedawca. - I przyjdź do nas jutro, to ci damy nową.

Ta perspektywa obudziła w niej wyrzuty sumienia. Czuliła, że jest w tym coś złego. Czy taki Adam zupełnie nic nie znaczył? Więc tak łatwo można było go zastąpić inną rybką? Wystarczyło wpuścić do akwarium następną i zapomnieć, że Adam kiedykolwiek istniał? Dać tej drugiej tak samo na imię. Karmić ją karmą tamtego Adama. Pozwolić, żeby pływała przez należącą do Adama tajemną skrzynię skarbów i różowy zamek z koralami.

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak zrobić to, co radził kierownik. Wrzuciła rybkę do sedesu, a kiedy woda wirowała w muszli, nagle ujrzała, jak Adam trzepie ogonem. Wypukła, szklana kula jego oka zwróciła się do niej i wtedy Suzannę dopadła panika.

W snach często bywała taką rybką. Była Adamem Numer Jeden, ponieważ pokusa okazała się zbyt wielka i następnego dnia powędrowała do sklepu, żeby dostać za darmo Adama Numer Dwa.

Do tego sprowadzał się cały jej sen: Suzanna bezradnie wpatrywała się w sufit, podczas gdy wir wodny wciągał ją coraz niżej i niżej w głąb kanalizacji.

14 lipca 1975 roku

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 14

Amanda opierała się o swojego plymoutha, czekając na Evelyn na parkingu pod biurowcem Searsa. W położonych pod ziemią pomieszczeniach powietrze stało w miejscu. Ziąb, którego dostarczały grube, betonowe ściany, nie mógł w żaden sposób sprostać kontrastującej z nim spiekocie na zewnątrz. Choć dochodziła siódma rano, Amanda czuła, jak pot spływa jej po karku i wsiąka w kołnierzyk.

Ani ona, ani Evelyn w sobotę wieczorem, po wyjściu z kostnicy, nie były w nastroju, żeby wracać na towarzyskie spotkanie przy grillu. Hank Bennett. Niezidentyfikowana dziewczyna. Czerwone paznokcie. Złamana kość gnykowa. Było mnóstwo tematów, choć wyglądało na to, że żaden z nich nie nadaje się do zwykłej, spójnej rozmowy. Obie rozmawiały monosylabami - Amanda z powodu tego, co oglądała razem z Petem Hansonem, zaś Evelyn dlatego - najprawdopodobniej dlatego - że rozstrajała ją sama myśl o następnym spotkaniu z Rickiem Landrym. Nieważne, jaki był powód - Evelyn pojechała do domu, do swojego męża, zaś Amanda ruszyła z powrotem do pustego mieszkania.

Jeśli niedziela przyniosła coś nowego, to tym czymś było wielce pożądane poczucie normalności. Amanda przygotowała śniadanie dla ojca. We dwoje poszli do kościoła. Potem ugotowała niedzielny obiad. Przez cały ten czas Duke był w wybitnie pogodnym nastroju. Wygłosił kilka dowcipnych uwag na temat kaznodziei. Czuł się coraz bardziej pewnie, jeśli chodzi o proces sądowy. Znowu rozmawiał ze

swoim prawnikiem. Przywrócenie do pracy Larsa Oglethorpe'a było zdecydowanie dobrą nowiną dla wszystkich zwolnionych przez Reginalda Eavesa.

Jednak Amanda wątpiła, czy także dla niej jest to dobrą nowiną.

Samochód skręcił gwałtownie, aż opony zapiszczały na betonie. Evelyn cofnęła się na wstecznym biegu na miejsce obok plymoutha, jednocześnie wołając do Amandy przez otwarte okno:

- Czy Kenny dzwonił do ciebie wczoraj wieczorem?

Amandę natychmiast ogarnęła panika.

- Dlaczego miałby do mnie dzwonić?

- Bo dałam mu twój numer.

Amanda była zbyt wzburzona, żeby zrobić cokolwiek poza gapieniem się na Evelyn.

- Chryste, dlaczego dałaś mu mój numer? - wykrztusiła wreszcie.

- Bo mnie o to prosił, głuptasie. Czemu to aż tak cię zaskoczyło? I czemu stoisz jak ta lala malowana?

Amanda potrząsnęła głową, wsiadając do samochodu. Zwykle mężczyźni tacy jak Kenny Mitchell nie prosili o jej numer telefonu.

- To bardzo miło z twojej strony, że go do tego namówiłaś, ale nie traćmy czasu na coś, co i tak nigdy się nie zdarzy.

- Możesz... - Evelyn zawahała się, ale po kilku sekundach wypaliła bez skrępowania - Ty używasz tampaxów, prawda?

Amanda przycisnęła opuszkami palców powieki, nie troszcząc się ani trochę, czy rozmaże przy tym makijaż.

- Jeśli odpowiem „tak”, czy będziemy mogły zmienić temat?

Evelyn nie dała się zniechęcić.

- No wiesz, Pete jest normalnym lekarzem. Bez zbędnych pytań może wypisać ci receptę, a jeśli wsuniesz parę baksów temu gościowi

w Plaza Pharmacy, to on też nie będzie rznął przygłupa, że nie wie, o co chodzi.

Amanda się powachlowała. Wewnątrz auta upał wydawał się jeszcze bardziej obezwładniający. Starła się nie myśleć o telefonie, który dzwonił wczoraj w jej pustym mieszkaniu.

- To już jest całkiem legalne, skarbie. Nie musisz być mężatką, żeby stosować kontrolę urodzin.

Śmiech Amandy tym razem był całkiem szczery.

- Wydaje mi się, że wyciągasz mnóstwo całkiem niepotrzebnych wniosków.

- Być może, ale to niezła zabawa, zgadza się?

Prawdę powiedziawszy, te słowa były nieco upokarzające, ale Amanda postarała się ukryć ten fakt, spoglądając na zegarek.

- Pochłonęło ci to całą niedzielę, czy zdołałaś znaleźć trochę czasu, żeby zastanowić się nad tym, co teraz robimy?

Evelyn przewróciła oczyma.

- Żartujesz czy jak? O niczym innym nie myślałam przez cały zeszły tydzień! Dziś rano byłam tak rozproszona, że wsypałam do kawy Billa zamiast cukru sól. Biedak wypił połowę filiżanki, zanim zorientował się, że coś nie gra. - Przerwała na chwilę dla złapania oddechu. - A co z tobą?

- Przejrzałam notatki Butcha - Amanda wyciągnęła z torebki notes detektywa. - Widzisz to tutaj? - wskazała palcem właściwą stronę. Litery „IP” były dwukrotnie otoczone kółkiem.

- „Informacja Poufna” - powiedziała Evelyn, kartkując notatnik. - Czy wyjawiał coś więcej na ten temat? Może jakieś nazwisko?

- Nie, ale wiele śledztw prowadzonych przez Butcha opiera się na „informacjach poufnych”.

Prawdę mówiąc - większość. Facet miał szczególny talent do wynajdywania różnych kryminalistów i degeneratów, którzy skłonni byli dostarczać informacje w zamian za załatwienie przepustki z więzienia.

- Butch nigdy nie wymienia swoich informatorów z nazwiska.

- Och, jaki z niego spryciarz. - Evelyn przerzucała kartki, zatrzymując się na pobieżnym szkicu, przedstawiającym mieszkanie, w którym przebywała Jane Delray. - Spójrz, pominął łazienkę. Ciekawe, czy chociaż porządnie przeszukał to mieszkanie? - Zaraz sama sobie odpowiedziała. - Oczywiście, że nie! Czemu miałby to robić?

Amanda znów sprawdziła, która godzina. Nie chciała spóźnić się na odprawę.

- Powinnyśmy ustalić, co dzisiaj robimy. Kiedy dotrę do pracy, zadzwonię do mojej kumpeli, która pracuje w zarządzie osiedla. Może dzięki niej dowiemy się, kto był najemcą tamtego mieszkania.

Evelyn przez chwilę milczała, bo jej uwagę pochłaniała konieczność zmiany biegów.

- A ja zadzwonię do Cindy Murray z Five i zobaczę, czy znajdzie czas, żeby pogrzebać w pudełku ze skonfiskowanymi prawami jazdy i poszukać dokumentu na nazwisko Lucy Bennett. Wtedy przynajmniej będziemy miały jej zdjęcie.

- Nie wiem, czy z tego wyjdzie coś dobrego. Ostatecznie Pete musiał potwierdzić własnoręcznym podpisem, że dokonano identyfikacji zwłok i że zrobił to brat ofiary.

Ani ona, ani Evelyn nie ośmieliły się zakwestionować identyfikacji siostry, dokonanej przez Hanka Bennetta.

- Bennett nie widział jej na oczy przez pięć albo sześć lat. Czy uważasz, że mógł dobrze wiedzieć, że to nie była Lucy?

- Uważam, że jedyne, co go obchodziło, to żeby nie spóźnić się na kolację.

Obie zamilkły. Amanda miała wrażenie, że w jej głowie trwa rozgrywka ping-ponga. Myśli nie przestawały odbijać się jedna od drugiej i szybko umykać. Po prostu było ich za dużo, by mogła za nimi nadążyć.

Najwyraźniej Evelyn czuła się tak samo.

- Razem z Billem zaczęliśmy wczoraj wieczorem układać puzzle - mosty północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Zeke wybrał je w zeszłym miesiącu na Dzień Ojca. Od razu pomyślałam: „Właśnie tak czułam się przez cały zeszły tydzień. Jakby te drobne fragmenty puzzli unosiły się dookoła mnie i gdybym tylko zdołała je pozbierać, wtedy ujrzałabym pełny obraz”.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Ja też wciąż zadaję sobie Pytania, ale na razie nic nie wskazuje na to, żebym mogła mieć satysfakcję, odpowiadając na choćby jedno z nich.

- Hej, wpadłam na szalony pomysł!

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak jestem zaskoczona.

Evelyn wykrzywiła się z sarkazmem, a potem pochyliła się do tyłu, żeby sięgnąć po coś, co leżało na tylnym siedzeniu samochodu.

- Co robisz?

Evelyn precyzyjnie sięgnęła na tył samochodu. Jej nogi podjechały w górę i Amanda musiała odsunąć jej stopy ze swojej twarzy. Rozejrzała się po parkingu, modląc się w duchu, żeby nikt ich nie zobaczył.

- Evelyn - odezwała się. - Cóż, na litość boską...

- Mam!

W końcu wcisnęła się z powrotem na fotel kierowcy. W rękę trzymała blok papierów kolorowych.

- Kredki Zeke'a upadły gdzieś na podłogę. Przynies swoje pióro. -
Mówiąc to, popchnęła drzwiczki.

Amanda wysiadła i obesza samochód. Evelyn wyrwała parę kartek z bloku i używając pióra Amandy, napisała na pierwszej: HANK BENNETT. Na następnej napisała: LUCY BENNETT, a potem: JANE DELRAY. Dołożyła MARY oraz KITTY TREADWELL i jeszcze HODGE, JUICE/ DWAYNE MATHISON, a na samym końcu ANDREW TREADWELL.

- Co ty robisz? - zapytała Amanda.

- Przygotowuję puzzle - odparła Evelyn, rozkładając kolorowe kartki na masce falcona. - Spróbujmy je poskładać.

Amanda wzięła do ręki pojedyncze kartki. Sam pomysł w sumie nie był taki zły.

- Powinnyśmy uporządkować je chronologicznie - mówiąc to, jednocześnie przesuwiała kartki z nazwiskami. - Hank Bennett przyjechał na posterunek, a potem sierżant Hodge wysłał nas do Techwood. Napisz „Tech” osobno.

Evelyn posłusznie nabazgrała „Tech” na osobnej kartce.

- A teraz musimy podzielić je na podkategorie.

Amanda wzięła pióro i zaczęła dopisywać szczegóły: daty, godziny, to, co już wiedziały. Silnik pykał od gorąca, a blaszana maska parzyła jej skórę.

- Ja zrobię przedział czasowy - zaproponowała Evelyn.

Amanda wręczyła jej pióro. Wskazując na rozmaite kartki, myślała na głos.

- W poprzedni poniedziałek Hank Bennett przychodzi do sierżanta Hodge'a. Hodge wysłał nas do Techwood, żebyśmy spisały zeznania ofiary gwałtu - spojrzała na Evelyn. - Po pierwsze, Hodge nie powiedział

nam, po co nas tam wysyła. Najwyraźniej nikt nie został zgwałcony. Więc dlaczego kazał nam tam jechać?

- Zapytam go jutro z samego rana, choć pytałam go już o to cztery razy i zawsze się wykręcał.

Amanda poczuła, że musi jej coś powiedzieć.

- To było bardzo odważne z twojej strony.

- No i dużo nam z tego przyszło. - Evelyn zbyła komplement machnięciem ręki. - Juice, ten alfons, raczej tu nie pasuje.

- Chyba że to właśnie on zabił Jane.

- Raczej mało prawdopodobne. Juice pewnie siedział w więzieniu, kiedy to się wydarzyło. Zdaje się, że został zbity jak pies za stawianie oporu przy aresztowaniu.

- Okay, zostawmy go w odwodzie jako kogoś, kto raczej nie miał takiej możliwości. - Amanda przesunęła kartkę z imieniem Juice'a na skraj maski samochodu. - Następna rzecz: jesteśmy w mieszkaniu w Techwood. Jane mówi nam, że zaginęły trzy dziewczyny: Lucy Bennett, Kitty - która, jak się później okazało, nosi nazwisko Treadwell - oraz dziewczyna o imieniu Mary, nazwisko tej ostatniej pozostaje nieznane.

- Tak jest. - Evelyn zapisała informację, prowadząc strzałki od Jane Delray do ich nazwisk.

- Po kilku dniach Jane zostaje zamordowana.

- Ale potem zostaje błędnie zidentyfikowana jako Lucy - sprostowała Evelyn. - Stawiam przy jej nazwisku gwiazdkę, ale dla porządku musimy trzymać się tej właśnie wersji.

- Zgoda. Osoba uważana za Lucy Bennett zostaje zamordowana.

- Zastanawiam się, czy brat wykupił dla niej wysokie ubezpieczenie na życie?

Amanda sądziła, że taka myśl mogła powstać w głowie Evelyn wyłącznie ze względu na jej małżeństwo z agentem od ubezpieczeń.

- Czy jest jakiś sposób, żeby to sprawdzić? Jakiś rejestr?
- Zapytam Billa, ale między nami mówiąc - po co było zabijać Lucy, skoro w końcu i tak sama zaćpałaby się na śmierć, biorąc pod uwagę to, jakie życie prowadziła?
- Motyw zbrodni. - To było coś, nad czym jeszcze się nie zastanawiały. - Dlaczego ktoś chciał zamordować Jane?
- Czyli zakładamy, że morderca wiedział, że dziewczyna, którą zabija, to właśnie Jane?

Amandę rozbolała głowa.

- Moim zdaniem musimy tak zakładać, chyba że się przekonamy, że było inaczej.
- Okay. A teraz motyw. Jane była mocno wkurzająca.
- To prawda - przytaknęła Amanda. - Ale ostatnią osobą, którą poza nami zdołała Jane zdenerwować, był Juice. Jeśli cokolwiek wiem na temat alfonsów, to oni raczej nie zabijają swoich dziewczyn. Wolą, żeby na nich pracowały. Są towarem.
- Na wszelki wypadek zadzwonię do więzienia i sprawdzę, kiedy Juice został zwolniony, żeby potroić naszą pewność. - Evelyn postukała piórem w podbródek. - Może mordercą był ktoś, kto widział, jak Jane z nami gadała? Widziałas, jak ta cała zbieranina od razu się ożywiła, kiedy przyjechałyśmy do Techwood. Nie ma mowy, żeby ktoś nie doniósł tym, którzy tam rządzą, że Jane rozmawiała z dwiema policjantkami.

Amandę od razu ogarnął niepokój na myśl, że ona i Evelyn częściowo mogły ponosić odpowiedzialność za śmierć tamtej dziewczyny.

- Zapisz to jako jedną z możliwości - zdecydowała.
- Nienawidzę samej myśli, że miałyśmy z tym coś wspólnego. Choć z drugiej strony, ona nie zajmowała się pieczeniem ciasteczek na szkolne festyny.

- No tak - zgodziła się Amanda, choć przecież Evelyn widziała jedynie zdjęcia.

- Czy kiedykolwiek robiłaś sobie manicure?

Evelyn zerknęła na swoje paznokcie, pomalowane bezbarwnym lakierem, tak samo jak paznokcie Amandy.

- Bill zafundował mi tę przyjemność w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Nie mogę powiedzieć, żeby bycie dotykana przez obcą osobę sprawiało mi jakąś przyjemność.

- Jane miała doskonale zrobione paznokcie. Były idealnie opiłowane i polakierowane. Sama nie potrafiłabym zrobić tego lepiej.

- Taki manicure jest cholernie drogim zabiegiem. Nie potrafię sobie wyobrazić, że Jane miała aż tyle pieniędzy.

- Nie, bo jeśli by je miała, to wydałaby je na narkotyki, a nie na malowanie paznokci - nagle Amandzie coś się przypomniało. - Pete powiedział mi coś ciekawego na temat jej napastnika. Powiedział, że ten facet był wściekły jak diabli, że musiał całkiem stracić panowanie nad sobą.

- Skąd mógł to wiedzieć, na litość boską?

- Stąd, jak Jane wyglądała. Była pobita na całym ciele. - Amanda starała się przemyśleć sprawę, ale doszła do wniosku, że prościej będzie omówić to z Evelyn. - Sądzę, że powinnyśmy zadać sobie pytanie, jakiego rodzaju człowiek jest zdolny do takiego czynu. Oraz w jaki sposób mógł tego dokonać. Najwyraźniej użył własnych pięści, ale miał też do dyspozycji młotek. Wyłamał przecież zamek we włazie, żeby dostać się na dach. Ale musimy też rozważyć, jak udało mu się uzyskać przewagę nad kimś takim jak Jane. Może nie była zbyt rozgarnięta, ale była wystarczająco bystra, żeby dawać sobie radę na ulicy.

- Czyli kto, jak i dlaczego - podsumowała Evelyn. - To bardzo dobre pytania. Jeśli Juice nie jest naszą odpowiedzią, to kto? Ktoś, kogo Jane

widywała już wcześniej. Stały klient, który doskonale wiedział, gdzie ona mieszka. - Evelyn znowu postukała piórem. - Ale wciąż mówimy, jak było: zapukał do drzwi, zafundował jej manicure, a potem zepchnął ją z dachu.

- Przed zepchnięciem z dachu zdążył ją udusić.

- Czy to Pete ci o tym powiedział? - spytała Evelyn. Amanda skinęła głową. - Wydaje się, że to wielce prawdopodobny scenariusz. Jane wrzeszczała niczym zarzynana Świnia, kiedy wymierzyła jej kopniaka, a przecież ledwie zdołała ją pacnąć.

- Wtedy mówiłaś co innego.

- Bo byłam przerażona - przyznała Evelyn. - Bardzo przepraszam.

- Nie ma sprawy - zapewniła ją Amanda. - Może należałoby trochę popytać i sprawdzić, czy któryś z klientów nie wykazywał upodobania do duszenia dziewczyn.

- Znam jedną laskę, która jako tajniak pracuje w dzielnicy biznesowej. Sprawdzę, co ona wie na ten temat. Lecz nawet jeśli znajdziemy faceta, który lubi dusić dziewczyny - a coś podpowiada mi, że znajdzie się takich więcej niż jeden - to jak poznamy jego prawdziwe nazwisko? A jeśli jakimś cudem uda się nam ustalić jego tożsamość, to, na litość boską, w jaki sposób powiązemy go z osobą Jane?

- Pete wydrapał spod paznokci Jane trochę czyjegoś naskórka. Mówił, że może porównać grupę z krwi z krwią podejrzanego. Sprawdzić, czy jest plusem czy minusem.

- Osiemdziesiąt procent populacji ma czynnik Rh dodatni. Trudno w ten sposób zawęzić krąg podejrzanych.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała Amanda. Evelyn o wiele lepiej orientowała się w statystykach. - Lepiej zajmijmy się naszą łamigłówką, zanim obie spóźnimy się do pracy.

Amanda zaczęła od momentu, w którym przerwały.

- Następnie spotkałyśmy w kostnicy Niebieski Garniturek, czyli Hanka Bennetta. . Przyznał, że nie widział się z siostrą od ładnych paru lat, co zapewne wyjaśnia, dlaczego nie potrafił jej zidentyfikować.

- Albo po prostu jest zbyt arogancki, żeby przyznać, że nie potrafi.
To wydawało się bardzo prawdopodobne.

- Jednak wciąż wydaje mi się dziwne, że Lucy Bennett nie miała u nas żadnej karty. Ostatecznie była w tym biznesie przynajmniej od roku, a zapewne znacznie dłużej.

- Tak samo jak Kitty Treadwell. - Evelyn patrzyła baranim wzrokiem. -
Jadąc tutaj, wysłałam przez radio polecenie, żeby sprawdzono wszystkie możliwe opcje. Kitty Treadwell nie figuruje w żadnej kartotece.

- Co z Jane Delray?

- Kilka lat temu została dwukrotnie zatrzymana, ale ostatnio nie ma tam żadnych jej śladów.

- W takim razie w kartotece muszą być jej odciski palców.

Evelyn zmarszczyła brwi.

- Właśnie, że nie ma. Pytałam. Niedawno usunięto całe mnóstwo starych akt.

- Cholernie wygodne. - Amanda zaktualizowała informację pod nazwiskiem każdej z dziewczyn. - Musimy więc Popracować nad Andrew Treadwellem. Jest prawnikiem. I przyjacielem burmistrza. Co jeszcze wiemy na jego temat?

- Jane dała nam do zrozumienia, że jest wujkiem Kitty. Bez ogródek powiedziała, że Kitty jest bogata, że pochodzi z ustosunkowanej rodziny.

- W gazetach pisali, że Andrew Treadwell ma jedną jedyną córkę.

- Facet jest jednym z najlepszych prawników w tym mieście. Ma potężne wpływy polityczne. Czy naprawdę sądzisz, że jeśli jego córka pracuje na ulicy dla czarnego alfonsa, to ojciec będzie to publicznie

rozgłaszał? Bardziej prawdopodobne, że użyje swoich wpływów i pieniędzy, żeby utrzymać wszystko w sekrecie.

- Masz rację - przyznała Amanda. Wpatrzyła się w naszkicowany wykres. - Nie sądzisz, że to dziwne, że Lucy i Kitty sprzedają się na ulicy, a jedna z nich ma brata, który pracuje u wujka drugiej?

- Może spotkały się w kole samopomocy - uśmiechnęła się Evelyn. - Anonimowych Dziwek.

W odpowiedzi Amanda przewróciła oczami.

- Czy nadal uważamy, że właśnie Andrew Treadwell był tą osobą, która w zeszły poniedziałek wysłała Hanka Bennetta, żeby porozmawiał z Hodge'em?

- Ja tak sądzę. A ty nie?

Amanda znowu skinęła głową.

- To może potwierdzać twoją teorię, że Andrew Treadwell nie chce, żeby wyszło na jaw, iż jest spokrewniony z Kitty. Ale być może patrzymy na to z niewłaściwej strony. Kto mógłby chcieć, żeby Treadwell ukrył pokrewieństwo z jakąś dziwką, jeśli nie jego kumple z City Hall?

- Ten Bennett to niezły numer - mruknęła Evelyn. - Bez wątplenia jest jednym z najbardziej aroganckich dupków, jakich kiedykolwiek spotkałam. Zresztą to samo można powiedzieć o wielu naszych kolegach z pracy.

Amanda starała się przypomnieć sobie oschłe odpowiedzi, jakimi Bennett kwitował ich pytania podczas rozmowy w kostnicy. Powinna była zapisać, co im wtedy mówił.

- Bennett wspominał coś o liście, który wysłał swojej siostrze na adres Union Mission. Pamiętasz może czy mówił, kiedy to było?

- Owszem. Wysłał ten list niedługo po śmierci ojca. Mówił, że ojciec zmarł dokładnie rok temu. A to mi coś przypomniało: Jane mówiła, że Lucy od mniej więcej roku nie dała znaku życia.

Amanda zapisała tę informację pod nazwiskiem Lucy.

- Kiedy spytałaś Bennetta, czy zna kogoś, kto nazywa się Kitty Treadwell, poradził nam, żebyśmy uważały, gdzie wtykamy swoje wścibskie nosy.

- Trask - przypomniała sobie nagle Evelyn. - Tak nazywał się ten gość w Union Mission, z którym on rozmawiał.

- Powiedział „Trask” albo „Trent” - sprostowała Amanda. Ta wymiana zdań utkwiała jej w pamięci, ponieważ jej matka była z domu Trent.

- Na razie musimy dać mu jakiegokolwiek nazwisko - zauważyła Evelyn.

- Może zatem „Trent” - zaproponowała Amanda.

- Okay. Trent powiedział Bennettowi, że przekazał Lucy list, co oznacza, że musiał ją znać. Jeśli pracuje w Union Mission, może znać wszystkie nasze dziewczyny. Och, Amando... - Evelyn sprawiała wrażenie kompletnie załamanej. - Dlaczego od razu nie pomyślałyśmy, żeby pojechać do Union Mission? Właśnie tam ściągają wszystkie dziwki, kiedy potrzebują odrobiny oddechu. To ich Acapulco.

- Ta noclegownia mieści się kawałek stąd - przypomniała Amanda. - Wciąż mamy szansę porozmawiać z Traskiem, sprawdzić, czy pamięta cokolwiek na temat Lucy... Albo Jane.

- Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, to Trask powie, że Lucy żyje i dobrze się miewa, pracuje na takim to a takim rogu ulicy, a on nie rozumie, dlaczego ludzie plotą bzdury, że została zamordowana. - Evelyn spojrzała na zegarek. - Muszę zameldować się w Model City, ale mogę się umówić z tobą w Union Mission za pół godziny.

- Tyle powinno mi wystarczyć, żebym zdążyła zadzwonić do zarządu osiedla i dowiedzieć się, co mam dziś robić z Petersenem.

- Jestem pewna, że Vanessa nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby go wziąć ze sobą.

Amanda włożyła pióro z powrotem do torebki.

- Mam przeczucie, że sytuacja staje się coraz gorsza.
- Być może. Posłuchaj, spróbuję jeszcze raz przepytac Hodge'a, ale wątpię, czy to dokądkolwiek nas zaprowadzi. - Zgarnęła wszystkie kartki papieru i ułożyła je razem. - Ja także mam złe przeczucia.
- To znaczy?
- To znaczy, że Lucy Bennett tak czy owak już nie żyje.
- Być może, ale może umarła przez narkotyki, a nie przez czyn przestępczy.
- Czytałaś o tych dziewczynach w Teksasie, które znikaly przy autostradzie 1-45?
- Co takiego?
- Było ich tuzin albo więcej - powiedziała Evelyn. - A teraz oni nawet nie wiedzą, gdzie są ich ciała.
- Skąd wiesz o takich rzeczach?
- W uśmiechu Evelyn nie było ani krzty zmieszania.
- Z czasopisma „True Crime”.
- Amanda westchnęła ciężko, przyglądając się, jak Evelyn wdrapuje się do swojego kombi.
- Zobaczymy się w Union Mission.
- No to jesteście umówione. - Evelyn powoli ruszała z parkingu. - I nie martw się za bardzo o Vanessę - zawołała jeszcze przez otwarte okno. - Jak myślisz, kto mi powiedział o tym gościu z Plaza Pharmacy?
- Mandy! - krzyknęła Vanessa, gdy tylko wkroczyła na posterunek.
- Amanda przepychała się przez tłum. Na posterunku było gęsto od ludzi. Odprawa została odroczone o kilka minut. Amanda zerknęła do biura sierżanta, ale nikogo tam nie było.
- Pospiesz się. - Vanessa siedziała jak zwykle z tyłu, właściwie podskakując na swoim krześle. Ubrała się dziś w spodnie i bluzkę w

kwiaty. Rewolwer przypięła na biodrze, a na nogach miała męskie buty. Amanda zaczynała się zastanawiać, czy w przypadku Vanessy nie zachodzi podejrzenie niewłaściwie określonej płci, ale odrzuciła tę myśl. Przynajmniej Vanessa wciąż nosiła biustonosz

- Spójrz, co dostałam. - Vanessa podniosła w górę kartę kredytową, a zrobiła to z takim namaszczeniem, jakby trzymała w ręku sztabkę złota. Amanda rozpoznała logo domu towarowego Franklina Simona. A potem szczeka jej opadła ze zdumienia, gdy poniżej zobaczyła wytłoczone na złoto litery VANESSA LIVINGSTONE.

- Na litość boską, w jaki sposób... - Amanda osunęła się na krzesło. Bała się choćby dotknąć karty. A potem się odważyła. - Czy ona jest prawdziwa?

- Tak - rozpromieniła się Vanessa.

Amanda nie mogła powstrzymać się od zerkania na kartę.

- Czy to jakiś dowcip? - Szybko rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy ktoś się im przygląda. Jednak nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. - Skąd to wytrzasnęłaś?

- Powiedziała mi o tym Rachel Foster z biura przewozowego. Jedyne, co musisz zrobić, to pokazać im odcinki pensji z ostatnich sześciu miesięcy.

- Żartujesz sobie ze mnie? - Amanda nawet nie mogłaby wynająć mieszkania, gdyby Duke nie poręczył, że zapłaci czynsz. Gdyby miasto nie zapewniło jej samochodu, musiałyby wciąż chodzić wszędzie pieszo. -

Więc oni ci to dali? Tak po prostu?

- Właśnie tak.

- I nikt nie powiedział, że musi porozumieć się z twoim mężem, ojcem albo...

- Nikt.

Amanda wciąż nie dowierzała. Bez słowa oddała Vanessie kartę. Franklin Simon był w porządku, ale wkrótce doprowadzi firmę do bankructwa, jeśli będzie tak łatwo udzielał kredytów.

- Posłuchaj, czy mogłabyś mi oddać przysługę i pojechać dziś z Petersenem?

- Jasne.

- Nie pytasz nawet, dlaczego?

Nagle całą salę wypełnił odgłos, jakby ktoś zaczął wymiotować. Po chwili inni mężczyźni przyłączyli się, wydając z siebie tak samo obrzydliwe, gardłowe dźwięki. Na posterunek wkroczył Bonnie Butch, z wysoko uniesionymi pięściami, jak Muhammad Ali po zwycięskiej walce. Amanda już zapomniała, jak bardzo pochorował się w zeszły piątek, ale najwyraźniej reszta oddziału miała o wiele lepszą pamięć. Ludzie klaskali i śmiali się do rozpuku. Z kąta, gdzie siedzieli czarni funkcjonariusze, dobiegło nawet kilka wiwatów. Butch okręcił się dookoła jak zwycięzca i ruszył w stronę Amandy.

Obiema rękami oparł się o stół.

- Cześć, laleczko, masz coś dla mnie?

Amanda sięgnęła do torebki po raport. Bez słowa położyła przed nim wydrukowane strony.

- Skąd takie chłodne powitanie? - spytał. - Masz kaca czy co?

- Chodzi o to, co twój partner zrobił Evelyn Mitchell - odpaliła bez namysłu. - Zachował się jak zwierzę.

Butch podrapał się po policzku. Wyglądał na dość zmaltretowanego. Miał pomięte ubranie i był nieogolony. Poza tym zalatywało od niego alkoholem i papierosami.

Amanda patrzyła mu prosto w oczy.

- Jeszcze coś?

- Jezu, Mandy! Dajże mu święty spokój. - Butch się zirytował. -
Żona wystarczająco obrzydza mu życie w domu. Naprawdę nie
potrzebuje przychodzić do pracy, żeby tu następna spódniczka
prawiła mu kazania.

Zmusiła się, żeby nie zmiękczyć tonu.

- Twój raport zawiera zasadniczy błąd.

Butch wcisnął papierosa pomiędzy zęby.

- O czym gadasz, do cholery?

- Podobno dokonałeś identyfikacji Lucy Bennett na podstawie
prawa jazdy, które znalazłeś w jej torebce. Na liście dowodów nie ma
ani jednego słowa o żadnym prawie jazdy.

- Kurwa mać - wymamrotał. - Przepraszam za język.

Przerzucił parę stron w swoim notesie i porównał z wersją napisaną
na maszynie.

- Taaak... Teraz to widzę.

- Więc w jaki sposób zidentyfikowałeś ofiarę?

Butch zniżył głos do szeptu.

- Przez kontrwywiad.

- O kim mówisz?

- Nieważne, o kim - odpowiedział. - Po prostu popraw raport i już.

- Wiesz chyba, że oni nie mogą zmienić listy dowodów. Są robione
trzy kopie przez kalkę.

- Więc zmień w raporcie, że znalazł się ktoś, kto ją rozpoznał. -

Wręczył jej z powrotem drukowaną wersję. - Po prostu znalazł się
świadek. Nazwij go Jigaboo Jones. Zresztą wszystko jedno. Wszystko
ma się zgadzać i już.

- Jesteś pewien? - zapytała. - Ostatecznie to twój Podpis widnieje
na dole.

Sprawił wrażenie lekko zaniepokojonego, ale skinął głową.

- Tak, jestem pewien. Po prostu zrób to, co ci kazałem.

- Butch... - Zatrzymała go, zanim zdążył wyjść. - Jak Hank Bennett rozpoznał, że to właśnie jego siostra? Zwykle konkretnie piszesz, w jaki sposób dokonano identyfikacji zwłok, ale tym razem nie ma nic na ten temat. - Amanda postanowiła nacisnąć nieco mocniej. - Lucy nie ma u nas żadnych akt, więc wydaje się nieco dziwne, że ty i Landry byliście w stanie tak szybko namierzyć kogoś z rodziny.

Wpatrywał się w nią bez zmrużenia okiem. Niemal widziała, jak trybiki powoli obracają się w jego głowie. Nie miała pojęcia, czy Butch sam sobie zadaje teraz to pytanie, czy dziwi się, czemu usłyszał je od Amandy. W końcu przemówił.

- Sam nie wiem.

Przyjrzała mu się uważnie, starając odkryć ewentualną obłudę.

- Mam wrażenie, że jesteś w tej chwili szczery.

- Jezu, Mandy! Przebywanie w towarzystwie Evelyn Mitchell źle na ciebie wpływa! - Ciężko wstał od stołu. - Przynieś mi ten raport jutro z samego rana.

Począł, aż Amanda skinie głową, a potem poszedł na przód sali.

- Wow! - mruknęła Vanessa, jak dotąd dziwnie milcząca. - Co jest między tobą i Butchem?

Ale Amanda pokręciła głową.

- Muszę wykonać pewien telefon.

Przy wejściu do sali odpraw znajdowały się dwa aparaty telefoniczne, ale Amanda nie chciała przepychać się przez tłum. Tak samo nie miała ochoty wpaść na Ricka Landry'ego, który właśnie wszedł na posterunek. Zegar na ścianie wskazywał dokładnie godzinę ósmą, lecz sierżant Woody jeszcze się nie pojawił. Amandy wcale to nie zdziwiło. Woody miał opinię człowieka, który przed robotą lubi

zajrzeć do kilku barów. Choć równie dobrze mógłby robić to we własnym biurze.

Niewiele zmieniło się od chwili, gdy Luther Hodge zwolnił gabinet. Na księdze aresztowań wały się papierzyska, popielniczka po brzegi wypełniona była niedopałkami. Woody nawet się nie pofatygował, żeby się postarać o nowy kubek na kawę.

Amanda usadowiła się za biurkiem i pogrzebała w torebce, szukając notesu z telefonami. Czarna skóra na okładce zdążyła popękać, tu i ówdzie trochę obłaziła. Amanda kciukiem przewróciła parę kartek do litery C, a następnie przesunęła wzrokiem w dół, aż natrafiła na numer Pam Canele z zarządu osiedla. Co prawda ich znajomość trudno było określić jako zażyłą - Pam była Włoszką - ale Amanda przed kilkoma laty wyciągnęła siostrzenicę Pam z pewnej kłopotliwej sytuacji i teraz miała nadzieję, że tamta zechce odwzajemnić przysługę.

Zanim wybrała jej numer, jeszcze raz sprawdziła, co się dzieje w sali odpraw, a potem chwilę czekała na przekierowanie rozmowy.

- Canale - powiedziała Pam, odbierając telefon, ale Amanda rzuciła słuchawkę na widełki. Sierżant Luther Hodge dziarskim krokiem zmierzał właśnie w kierunku gabinetu. Swojego gabinetu.

Zerwała się z za biurka z takim pośpiechem, że krzesło rąbnęło w ścianę.

- Panno Wagner... - powiedział od progu. - Czyżbym nie został powiadomiony o jakimś awansie?

- Nie - Amanda się zawstydziała. - Sir - dodała, czmychając dookoła biurka. - Bardzo przepraszam, sir. Ja tylko korzystałam z pańskiego telefonu.

Zamilkła na chwilę, starając się ukryć swoje zmieszanie. Fakt, że obecność Hodge'a całkiem ją oszołomiła.

- Czy został pan z powrotem przeniesiony na ten posterunek?
- Owszem. - Poczekał, aż Amanda usunie mu się z drogi, żeby usiąść za biurkiem. - Sądziś pewnie, że mam tu tylko odwalać robotę za twojego ojca?

Amanda już zbierała się do odejścia, ale teraz nie mogła tego tak zostawić.

- Nie, sir. Po prostu chciałam zadzwonić.

Przypomniała sobie Evelyn, jej śmiałość w rozmowach z Hodge'em.

- Dlaczego w zeszłym tygodniu wysłał nas pan do Techwood?

Właśnie sadowił się na krzesło. Zamarł w pół drogi, z ręką zawieszoną w okolicy krawata.

- Powiedział nam pan, że mamy przeprowadzić dochodzenie w sprawie gwałtu. Tam nie było żadnego gwałtu.

Bez pośpiechu usadowił się na swoim miejscu za biurkiem, a potem wskazał krzesło naprzeciw siebie.

- Proszę usiąść, panno Wagner.

Amanda ruszyła w stronę drzwi, żeby je zamknąć.

- Nie, niech zostaną otwarte.

Zrobiła, jak kazał, zajmując miejsce naprzeciwko niego.

- Czy pani próbuje mnie zastraszyć, panno Wagner?

- Ja...

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że pani ojciec wciąż ma w tym departamencie wielu przyjaciół, ale nie pozwolę się zastraszyć. Czy to jasne?

- Zastraszyć?

- Panno Wagner, ja mogę nie pochodzić z tego środowiska, ale jedną rzecz mogę powiedzieć pani na pewno. I może pani od razu

pobiec z tym do swojego tatuśka: ten Murzyn nie pozwoli się odesłać do roboty w polu.

Czuła, że porusza ustami, choć nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

- Odejść.

Amanda nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

- Czy mam powtórzyć rozkaz?

Wstała i ruszyła w kierunku otwartych drzwi. Sprzeczne emocje zmuszały ją do stawiania kroków, żeby mogła przetrwać to wszystko w samotności i sformułować bardziej rozsądną odpowiedź niż ta, która właśnie się jej wymknęła.

- Po prostu staram się robić to, co do mnie należy.

Hodge akurat bazgrał coś na kartce papieru. Prawdopodobnie żądanie przeniesienia jej do Perry Homes. Nagle pióro zamarło w powietrzu, a on wpatrzył się w nią uważnym wzrokiem, czekając na to, co powie dalej.

Starła się wymyślić coś sensownego, ale słowa plątały się bezładnie.

- Ja chcę pracować. Być naprawdę dobra w... Ja muszę być dobra w...

Zmusiła się, by zamilknąć, dopóki nie uda jej się zebrać myśli.

- Ta dziewczyna, do której wysłał nas pan na przesłuchanie...

Nazywała się Jane Delray. Nie została zgwałcona... Nie była ranna... Nie miała na sobie ani jednego zadrapania. Była w całkiem dobrej formie.

Hodge przyglądał się jej przez chwilę, a potem odłożył pióro i oparł się o tył krzesła, splatając ręce na brzuchu.

- Potem przyszedł jej alfons. Na ulicy nosi ksywę Juice. Wygonił Jane z mieszkania, a potem zaczął robić niedwuznaczne propozycje w stosunku do mnie i do Evelyn... Musiałyśmy go aresztować.

Hodge wciąż wpatrywał się w Amandę. W końcu skinął głową.

- W zeszły piątek tę kobietę znaleziono w Techwood Homes. Mam na myśli Jane Delray. Była martwa. Zakwalifikowano to jako samobójstwo, ale koroner powiedział mi po sekcji, że ona została uduszona, a dopiero potem zepchnięto ją z dachu.

Hodge nadal nie spuszczał z niej wzroku.

- Wydaje mi się, że jesteś w błędzie.

- Nie, wcale nie. - Nawet mówiąc te słowa, Amanda czuła nurtującą ją wątpliwość.

Czy rzeczywiście mogła mieć całkowitą pewność, że ofiarą mordu nie była Lucy Bennett? Czy w ogóle było możliwe stwierdzić z całą pewnością, że ciało w kostnicy faktycznie było lub nie było ciałem Jane Delray? Ostatecznie Hank Bennett także wydawał się całkiem pewny, kiedy identyfikował zwłoki jako ciało swojej siostry. Ale twarz, ślady nakłuć, szramy na nadgarstkach...

- Ofiara nie nazywała się Lucy Bennett - powiedziała głośno. - To była Jane Delray.

Jej słowa popłynęły w zatęchłym powietrzu. Amanda walczyła z pragnieniem szukania wykrętów. To była najtrudniejsza lekcja, jaką odebrała w akademii. Do cech kobiecej natury należy chęć umniejszania się, szukania zgody. Dziewczyny spędzały więc długie godziny, ucząc się, jak podnosić głos, żeby raczej wydawać rozkazy niż wyrażać prośby.

Hodge pstryknął palcami.

- Jaki będzie twój następny krok?

Pozwoliła sobie na głęboki oddech.

- Niedługo spotykam się z Evelyn Mitchell w Union Mission. Wszystkie dziwki trafiają tam wcześniej czy później. To taki ich Meksyk.

Hodge zmarszczył brwi na to mylne porównanie, ale Amanda mówiła dalej.

- W Union Mission musi pracować ktoś, kto pamięta te dziewczyny.

Wciąż uważnie patrzył na jej twarz.

- Czy się przesłyszałem, czy użyłaś liczby mnogiej?

Amanda zagryzła wargi. Brakowało jej tutaj Evelyn. Evelyn była o wiele lepsza, jeśli chodzi o takie sprawy... Mimo wszystko teraz już Amanda nie zamierzała dawać za wygraną.

- Czy się Ten gość, z którym rozmawiał pan w zeszły poniedziałek... Ten prawnik w niebieskim garniturze... Nazywa się Hank Bennett. Myślał pan, że przysłał go Andrew Treadwell. - Hodge nie zaprzeczył, więc mówiła dalej. - Wyobrażam sobie, że przyszedł szukać swojej siostry, Lucy Bennett.

- I w ciągu niespełna tygodnia udało mu się ją znaleźć.

Stwierdzenie Hodge'a zawisło pomiędzy nimi. Amanda próbowała zanalizować jego znaczenie, ale nagle musiała zmierzyć się z o wiele bardziej natarczywą kwestią. Do biura wtoczył się Rick Landry. Już z daleka cuchnął whisky.

- Powiedz tej wścibskiej dziwce, żeby trzymała się z dala od mojego śledztwa! - warknął, rzucając na podłogę niedopałek papierosa.

Jeśli jego zachowanie wystraszyło Hodge'a, to nie dał tego po sobie poznać. Zadał pytanie całkowicie opanowanym, spokojnym tonem.

- A pan to...?

Landry wyraźnie zapomniał języka w gębie.

- Rick Landry. Wydział zabójstw.
Zmierzył Hodge'a wściekłym wzrokiem.

- Gdzie jest Hoyt?

- Przypuszczam, że sierżant Woody siedzi w jakimś barze w centrum i pije swoje śniadanie.

- znowu Rick Landry dał się zaskoczyć. W służbach panowało ogólne przekonanie, że jeśli jakiś facet ma problemy z alkoholem, to są one jego prywatną sprawą.

- To sprawa wydziału zabójstw. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Tak samo jak tamta druga pyskata dziwka, z którą trzyma sztamę.

- Zabójstw? - Hodge milczał odrobinę dłużej niż to było konieczne.

- Miałem wrażenie, że panna Bennett popełniła samobójstwo.
Przejrzał stos leżących przed nim dokumentów, bez pośpiechu szukając tego, co było mu potrzebne.

- O, proszę! Tu jest pański wstępny raport. Samobójstwo.
Wyciągnął w górę dokument.

- Czy na dole widnieje pański podpis, panie oficerze?

- Detektywie - Landry wyrwał mu z ręki papier - to jest wstępny raport, jak pan sam powiedział.
Zwinął papier w kulkę i wsadził go do kieszeni.

- Ostateczną wersję dostarczę panu później.

- Czyli śledztwo wciąż jest otwarte? Uważa pan, że Lucy Bennett została zamordowana?

Landry zerknął na Amandę.

- Potrzebuję więcej czasu.

- Proszę się nie spieszyć. Ma pan tyle czasu, ile będzie panu potrzebne. - Hodge wyciągnął rękę takim gestem, jakby składał cały świat u stóp Landry'ego. - Czy coś jeszcze? - dokończył, kiedy Landry nie ruszył się z miejsca.

Landry zmierzył Amandę wściekłym spojrzeniem, a potem wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Hodge popatrzył na zamknięte drzwi, a następnie na Amandę.

- Dlaczego Hank Bennett zjawił się u pana w zeszły poniedziałek?

- Bardzo dobre pytanie.

- Dlaczego chciał, żeby pan wysłał nas do mieszkania Kitty?

- Kolejne dobre pytanie.

- Nie podał nam pan nazwiska, a jedynie adres.

- Zgadza się. - Hodge z powrotem wziął do ręki pióro. - Może pani darować sobie odprawę.

Amanda nie ruszyła się z krzesła. Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Powiedziałem, że może pani darować sobie odprawę, panno

Wagner - powtórzył, wracając do swoich papierów. Kiedy nie wyszła z biura, znów podniósł na nią wzrok. - Chyba ma pani śledztwo, nad którym trzeba popracować?

Wstała, używając poręczy krzesła, żeby dźwignąć się na równe nogi. Drzwi okazały się zablokowane. Musiała szarpnąć z całej siły, żeby stanęły otworem. Idąc przez salę odpraw w stronę wyjścia, patrzyła wprost przed siebie. Kiedy wyjeżdżała plymouthem z parkingu, jej determinacja zmalała prawie do zera. Przez pęknięty szklany panel na wystawie sklepu widziała wnętrze sali odpraw. Kilku kolegów przyglądało się, jak odjeżdża.

Wjechała autem na Highland. Jej oddech wrócił do normalnego rytmu dopiero wówczas, gdy znalazła się na Ponce Leon, kierując się w stronę Union Mission. Według zegarka miała jeszcze pełne dziesięć minut, zanim Evelyn do niej dołączy. Może uda jej się wykorzystać ten czas, by zrozumieć, co zaszło przed chwilą. Problem w tym, że nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Potrzebowała czasu, żeby to przetrwać. Potrzebowała także zadzwonić.

W oddziale Trust Company na rogu Ponce i Monroe znajdował się rząd aparatów telefonicznych, umieszczonych na zewnątrz budynku. Amanda wjechała na parking, cofnęła auto na wolne miejsce i przez chwilę siedziała z rękoma zaciśniętymi wciąż na kierownicy. To wszystko nie miało sensu. Dlaczego Hodge wyrażał się tak zagadkowo? Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się boi. Czemu więc starał się pomóc Amandzie?

Znalazła w portfelu parę monet i sięgnęła po notes z telefonami. Dwa aparaty okazały się uszkodzone, ale trzeci przyjął monetę. Amanda po raz kolejny wykręciła numer Pam i spokojnie wsłuchiwała się w sygnał. Przy dwudziestym powtórzeniu już miała zamiar zrezygnować, kiedy Pam w końcu odebrała.

- Canale - teraz wydawała się jeszcze bardziej udęczona niż przedtem.

- Pam, tu Amanda Wagner.

Minęło kilka sekund, zanim Pam zorientowała się, o kogo chodzi.

- Mandy! Co dobrego słyhać? O psiakość, tylko nie mów mi, że coś złego przytrafiło się Mimi!

Chodziło o Mimi Mitideri - siostrzenicę, która o mało co nie uciekła z kadetem z marynarki.

- Och, nie, nic z tych rzeczy. Dzwonię, bo się zastanawiam, czy mogłabyś oddać mi przysługę.

Wydawało się, że Pam ulżyło, choć pewnie przez cały dzień musiała wysłuchiwać ludzi proszących ją o przysługę.

- Czego potrzebujesz?

- Zastanawiam się, czy mogłabyś sprawdzić dla mnie jedno nazwisko albo mieszkanie - Amanda zdała sobie sprawę, że nie wyraża się jasno. Nie przemyślała sobie, jak należy przeprowadzić tę

rozmowę. - Na terenie Techwood Homes jest pewne mieszkanie - apartament C. Znajduje się na piątym piętrze, w rzędzie budynków...

- Hej, pozwól, że ci przerwę. W Techwood Homes nie ma czegoś takiego jak „budynek C”. One są ponumerowane.

Amanda oparła się pokusie, żeby zapytać, gdzie można znaleźć owe numery.

- Czy w takim razie możesz sprawdzić mi pewną osobę? Katherine, Kathy albo Kate Treadwell.

- My nie posługujemy się nazwiskami lokatorów. Szukamy ich według numerów w rejestrze.

- Obawiałam się, że właśnie tak odpowiesz - westchnęła Amanda. Czowała się przygnieciona beznadziejnością tej sytuacji, zupełnie jakby słoń usiadł jej na piersi. - Nawet nie jestem pewna, jak ta dziewczyna naprawdę się nazywa. Tam mieszkają - albo raczej mieszkały - przynajmniej trzy dziewczyny. Trzy a może więcej.

- Zaczekaj - przerwała jej Pam. - Czy one są spokrewnione?

- Wątpię. To dziewczyny, które pracują na ulicy.

- I mieszkają w tym samym mieszkaniu? - spytała Pam. - To niedozwolone, no chyba, że są kuzynkami. Zresztą nawet jeśli są, to żadna z tych lasek nie chce mieszkać z kimś z branży. One kłamią przez cały czas.

Po stronie Pam rozległ się jakiś hałas. Na chwilę zakryła dłonią słuchawkę i Amanda przez kilka sekund słuchała przytłumionej konwersacji z kimś, kto właśnie przyszedł. Kiedy Pam powróciła do rozmowy, jej głos brzmiał znacznie pogodniej.

- Powiedz mi coś na temat tego apartamentu. Mówisz, że jest na ostatnim piętrze?

- Tak. Na piątym.

- Tam są tylko jednopokojowe mieszkania. Samotna dziewczyna nie dostałaby przydziału, chyba że ma dziecko.

- Tam nie mieszkało żadne dziecko. Tylko trzy dziewczyny. To znaczy, tak mi się wydaje. Może było ich więcej.

Pam jęknęła. Kiedy się odezwała, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Mój szef czasami daje się przekonać.

Amanda już chciała zapytać, co Pam ma na myśli, ale nagle ją olśniło.

- To mnie powinni zrobić tu kierowniczką - powiedziała Pam z goryczą. - Nie przehandlowałabym mieszkania na ostatnim piętrze za to, że ktoś pozwoli mi się przelecieć.

Amanda zachichotała z niedowierzaniem, jakby taka rzecz w ogóle nie była możliwa.

- No cóż, Pam, bardzo ci dziękuję. Wiem, że masz mnóstwo pracy.

- Daj mi znać, jeśli się dowiesz, jaki był numer tego mieszkania.

Może uda mi się pójść tym tropem. Co prawda zajmie mi to tydzień albo dwa, ale zrobię to dla ciebie.

- Dziękuję - powiedziała Amanda i zakończyła rozmowę.

Odwiesiła słuchawkę, ale nie opuściła ręki. Rozmawiając z Pam Canale, przez cały czas zastanawiała się nad różnymi sprawami. To zupełnie przypominało szukanie kluczy - w chwili, gdy przestawałeś ich szukać, przypominało ci się, gdzie je położyłeś.

Był tylko jeden sposób, by zyskać absolutną pewność.

Amanda wsunęła w otwór następną monetę i wybrała dobrze znany numer. Duke Wagner nigdy nie dopuścił, żeby telefon zadzwonił więcej niż dwa razy. Teraz także podniósł słuchawkę niemal natychmiast.

- Cześć, tato - zdołała powiedzieć, ale dalej nie wiedziała, co mówić.

Duke sprawiał wrażenie przerażonego.

- Czy wszystko w porządku? Coś ci się stało?

- Nie, nie - zapewniła, zastanawiając się jednocześnie, po co w ogóle do niego zadzwoniła. To był czysty obłąd.

- Mandy? Co się dzieje? Czy jesteś w szpitalu?

Amanda rzadko słyszała w głosie ojca panikę. Tak samo nigdy nie zastanawiała się, że on może bać się o nią, kiedy idzie do pracy, zwłaszcza odkąd nie mógł dłużej jej chronić.

- Mandy? - w tle rozległo się skrzyknięcie krzesła o podłogę. - Odezwij się, proszę.

Przełknęła ślinę, oddalając od siebie krępującą świadomość, że przez chwilę cieszyła się, iż udało jej się przestraszyć własnego ojca.

- Nic mi nie jest, tato. Chciałam tylko zapytać cię o... - Nie wiedziała, jakich słów użyć. - O politykę.

Natychmiast wydał się odprężony i nawet lekko poirytowany.

- Czy to naprawdę nie mogło poczekać do wieczora?

- Nie. - Spojrzała na ulicę. Samochody zaczynały gromadzić się na światłach. Zbliżała się pora, kiedy biznesmeni udają się do pracy, a kobiety odwożą dzieci do szkoły. - W zeszłym tygodniu przyszedł do nas nowy sierżant. Jeden z chłopaków Reggiego.

Duke parsknął coś nieuprzejmego, jakby jego poglądy na ten temat nie były od dawna znane.

- Ale potem został przeniesiony zaledwie po jednym dniu. Na jego miejsce przyszedł Hoyt Woody.

- Hoyt to porządny chłop.

- No cóż... - Amanda nie dokończyła myśli. Jej zdaniem był paskudnym, odrażającym obłudnikiem, ale w sumie nie po to zadzwoniła, by dyskutować o Woodym.

- W każdym razie po paru dniach Hoyt Woody został z powrotem przeniesiony, a do nas wrócił ten poprzedni sierżant, chłopak Reggiego.

- I?

- No cóż - powiedziała. - Czy to nie wydaje ci się dziwne?

- Nieszczęśliwie. - Usłyszała, jak ojciec zapala papierosa. - Tak działa ten system. Jeden facet załatwia to, co do niego należy, a potem przychodzi następny, żeby zrobić swoją działkę.

- Nie bardzo rozumiem.

- Masz zawodnika, który rzuca piłką, tak? - Duke uwielbiał metafory związane z baseballlem. - Tyle tylko, że on nie umie grać w palanta. Teraz rozumiesz?

- Tak.

- Więc przysyłasz pałkarza.

- Ach tak. - Skinęła głową, teraz w pełni rozumiejąc, w czym rzecz. Jednak Duke nadal sądził, że ona niczego nie pojmuje.

- W twoim oddziale dzieje się coś niedobrego. Chł. pak Reggiego nie wypełnił rozkazów, więc przysłali Hoyt'a żeby załatwił sprawę. - Duke zaśmiał się. - Typowe. Jak trzeba coś porządnie załatwić, zawsze wysyłają białego.

Amanda odsunęła słuchawkę, żeby ojciec nie usłyszał jej westchnienia.

- Dzięki, tato. Muszę wracać do pracy.

Ale Duke nie zamierzał tak łatwo jej odpuścić.

- Czyżbyś wplątała się w coś, w co nie powinnaś była się wplątać?

- Nie, tatusiu. - Starła się na gwałt wymyślić coś innego, co mogłaby teraz powiedzieć. - Pamiętaj, żebyś koło dziesiątej schował kurczaka do lodówki. Zepsuje się, jeśli zostawisz go na cały dzień w tym upale.

- Zrozumiałem, kiedy mówiłaś mi o tym pierwsze' sześć razy - warknął. I zamiast rozłączyć się, dodał jeszcze: - Bądź ostrożna, Mandy.

Rzadko słyszała w jego głosie współczucie. W niewytłumaczalny sposób łzy napłynęły jej do oczu. Butch Bonnie przynajmniej w jednej sprawie miał rację: ten szczególny czas w miesiącu był już całkiem blisko i we krwi Amandy zaczynała szaleć burza hormonów.

- Zobaczymy się wieczorem.

Odpowiedziało jej ciche kliknięcie. To Duke zakończył połączenie.

Amanda odwiesiła słuchawkę na widełki. Kiedy znalazła się z powrotem w samochodzie, wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła rękę, a następnie osuszyła twarz. Słońce prażyło niemiłosiernie. Amanda miała wrażenie, że za chwilę się roztopi.

Głośne trąbienie rozdarło ciszę panującą we wnętrzu jej auta. Należący do Evelyn Mitchell ford falcon zatrzymał się na żółtym świetle. Pędząca tuż za nim ciężarówka ominęła go w ostatniej chwili, a jej kierowca, wyprzedzając wóz Evelyn, wyciągnął palec w obscenicznym geście. - Na litość boską - zamruczała Amanda, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Wytoczyła się na jezdnię i pojechała za Evelyn w głąb Ponce de Leon, mijając kolejne trzy kwartały, aż znalazła się przed siedzibą Union Mission. Evelyn powoli zatoczyła szeroki łuk, wjeżdżając na parking, a następnie na wstecznym cofnęła się na wolne miejsce i wyłączyła silnik.

- Kiedyś w końcu zginiesz przez taką powolną jazdę - powiedziała Amanda.

- Uważasz, że powinnam nie zwracać uwagi na ograniczenie prędkości? Ten kierowca ciężarówki...

- O mały włos byłby cię zabił - wtrąciła Amanda. - Mam zamiar w ten weekend zabrać cię na tor wyścigowy i urządzić porządną lekcję, jak należy jeździć.

- Och! - Evelyn wyglądała na szczerze uradowaną. - Zrobimy sobie super dzień. Możemy pójść gdzieś na lunch, a potem połączyć po sklepach.

Amanda była zdumiona jej zapałem. Postanowiła zmienić temat.

- Hodge zjawił się dziś na moim posterunku.

- Od razu pomyślałam, że to dziwne, że rano nie było go w Model City. - Evelyn zatrzasnęła drzwiczki. - Czemu przysłali go z powrotem?

Amanda stoczyła krótką wewnętrzną walkę, czy powiedzieć Evelyn o telefonie do ojca, czy raczej zachować to w sekrecie. Ostatecznie postanowiła nie mówić.

- Całkiem możliwe, że szefostwo postanowiło zabrać Hoyta Woody'ego, żeby gdzieś odwalił za nich jakąś czarną robotę.

- Ale w takim razie czemu wybrali białego? Czy któryś z chłopaków Reggiego nie sprawdziłby się lepiej? Można Powiedzieć, że sprawa zostałaby wtedy w rodzinie.

Evelyn poruszyła słuszną kwestię, ale znowu Evelyn nie miała okazji doświadczyć ślepoty Duke'a, jeśli chodziło o kolor skóry. Hoyt Woody robił to, co mu kazano, w nadziei na pozyskanie łask wysoko postawionych oficerów. Być może Luther Hodge nie był aż tak podatny na wpływy.

- Wyobrażam sobie, że Woody został wysłany z tego samego powodu, dla którego Hodge oddelegował do rozmowy z Jane dwie kobiety - oświadczyła Amanda. - Zwyczajnie rzucił nas na pożarcie. Nikt nie słucha na poważnie tego, co mamy do powiedzenia.

- Prawda. - Evelyn wzruszyła ramionami, ponieważ nic w tej sprawie nie mogły zrobić. - Więc Hodge został zastąpiony na kilka dni przez kogoś, kto zgodził się wykonać brudną robotę, a potem przywrócono go na miejsce.

- Właśnie tak - oświadczyła Amanda. - Ta twoja przyjaciółka w Five mówiła, że wezwała ochronę, kiedy Jane Delray chciała zrealizować voucher Lucy. Jak widać, na terenie Union Mission nie ma czegoś takiego jak pewność i zaufanie. Ktokolwiek wywlókł wówczas Jane z budynku, z pewnością odnotował ten fakt na karcie zdarzeń.

Tego typu karty stanowiły część większego systemu, którego celem było tropienie drobniejszych przestępców, niewymagających aresztowania.

- Te karty zostały włączone do dziennych raportów, które przekazywane są naszym szefom. Ktoś wysoko postawiony musiał więc wiedzieć, że Jane próbowała podszyć się pod Lucy.

Evelyn doszła do tego samego wniosku, co Amanda.

- Zostałyśmy wysłane do Techwood, żeby wystraszyć Jane i zmusić ją do milczenia.

- Odwaliłyśmy kawał dobrej roboty, prawda?

Evelyn przyłożyła rękę do skroni.

- Muszę wypić drinka. Przez to wszystko dostałam strasznej migreny.

- No cóż, powiem ci coś, od czego głowa rozboli cię jeszcze mocniej. - Amanda opowiedziała o telefonie do Pam Canale i o

ślepych zaułku, do którego trafiły. A potem dołożyła relację o tajemniczej rozmowie, którą odbyła z sierżantem Hodge.

- Jakie to dziwne. - To wszystko, na co zdobyła się Evelyn. - Dlaczego Hodge nie chce odpowiadać na nasze pytania?

- Myślę, że on chce, żebyśmy pracowały nad tą sprawą, ale nie może pokazać, że nas do tego zachęca.

- Chyba masz rację - odparła Evelyn. - Może Kitty wcale nie załatwiła sobie tego mieszkania na ostatnim piętrze poprzez świadczenie usług seksualnych. Może jej wuj albo tatuś postanowili jakoś zadziałać.

- Jeżeli Kitty jest czarną owcą w rodzinie Treadwellów, to bez trudu potrafię sobie wyobrazić, że Andy Treadwell chciał ją powstrzymać od robienia im kłopotów. Załatwił jej mieszkanie takie, jakiego chciała, i wciągnął ją na listę podopiecznych opieki społecznej. Chciał zyskać pewność, że Kitty dostaje dość pieniędzy, żeby mieć ją z głowy.

- Nie ma mowy, żeby udało nam się porozmawiać z Andym Treadwellem. Nawet nie zdołamy przejść przez korytarz w jego kancelarii.

Amanda nie mogła się nie zgodzić z tymi oczywistościami.

- Rozmawiałam z tą moją laską, która pracuje jako tajniak. Niestety jest tak, jak podejrzewałam: łatwiej byłoby znaleźć faceta, któremu nie sprawia frajdy duszenie dziwek niż takiego, którego to kręci.

- To przygnębiające.

- No cóż, tak to już jest, jeśli jesteś dziwką - westchnęła Evelyn. - Poprosiłam ją, żeby trochę popytała, czy ktoś lubi pomalowane paznokcie.

- Sprytnie.

- Przekonamy się, czy coś z tego wyjdzie. Powiedziałam jej, żeby zadzwoniła do mnie do domu. Za cholerę nie chciałam rozmawiać o czymś takim przez radio.

- Dowiedziałas się, czy Juice siedział w areszcie w czasie, gdy zamordowano Jane?

- Był w Grady Hospital, gdzie zakładano mu kaftan dla stawiających opór przy aresztowaniu.

Amanda już wcześniej słyszała to określenie. Mnóstwo aresztantów budziło się na oddziale ratunkowym w Grady Hospital, nie pamiętając, jak się tam znaleźli.

- To dość kiepskie alibi. Ostatecznie mógł się stamtąd wymknąć bez zwracania na siebie czyjejkolwiek uwagi.

Amanda zmrużyła oczy przed oślepiającym słońcem.

- Możemy równie dobrze tkwić tutaj przez cały dzień

- kręcić się w kółko.

- Znowu masz rację. Przynajmniej załatwmy tę jedną część. -

Evelyn wskazała płaski, jednopiętrowy budynek, wznoszący się tuż przed nimi. W obecnej siedzibie Union Mission mieścił się w swoim czasie sklep rzeźnika.

- Acapulco - powiedziała Amanda. - Skąd to wytrasnęłaś?

- Widziałam zdjęcie w jakimś czasopiśmie. Johnny Weissmuller ma tam posiadłość. Coś wspaniałego.

- Ach, ty i te twoje czasopisma...

Evelyn uśmiechnęła się szeroko, a potem spoważniała, podnosząc wzrok na budynek.

- Jak chcesz się do tego zabrać? Na razie wszyscy wiedzą, że Lucy Bennett popełniła samobójstwo.

- I chyba powinniśmy trzymać się tej wersji?

- Raczej nie mamy wyboru.

Amanda była przyzwyczajona do tego, że nie ma wyboru, ale nigdy wcześniej nie drażniło jej to tak jak ostatnimi czasy. Maszerując w stronę wejścia, słyszała dobiegające z radia dźwięki muzyki funk. Na szybie znajdującej się w przedniej ścianie umieszczono kilka masywnych prętów. Rzędy pustych łóżek wypełniały całe pomieszczenie. Dziewczyny nie mogły przebywać tu w ciągu dnia. Niby dlatego, że w tym czasie powinny szukać pracy. Frontowe drzwi były otwarte na oścież, a wydobywający się z nich zapach był równie nieprzyjemny jak wszystko, co Amanda wahała w trakcie ostatniego tygodnia.

- W czym mogę wam pomóc? - zawołał jakiś mężczyzna, przekrzykując muzykę.

Był ubrany jak hipis i nosił ciemne okulary, mimo że przebywał w pomieszczeniu. Miał jasne, długie wąsy, a na głowie brązowy kapelusz, wbity głęboko na czoło. Był niesamowicie wysoki i wychudzony. Szedł w ich stronę spokojnym krokiem.

- Wygląda jak Spike, brat Snoopy'ego - mruknęła Evelyn.

Amanda nie podzieliła się z nią informacją, że przyszło jej do głowy dokładnie to samo.

- Szukamy pana Traska - zawołała do mężczyzny.

Zbliżając się do nich, pokręcił głową.

- Tu nie ma żadnego Traska, moje panie. Ja jestem Trey Callahan.

- Trey - zawołały unisono Amanda i Evelyn.

Przynajmniej Bennett nie bardzo się pomylił. Nie wiadomo, co ten gość pomyślał, kiedy obie wykrzyknęły jego imię. Oczywiście, o ile cokolwiek pomyślał.

- No więc... - powiedział lakonicznie, wpychając do kieszeni obie ręce. - Jak sądzę, jedna z was ma kłopoty, a w tym wypadku, niestety,

pewnie nie będę mógł wam pomóc. Jestem neutralny jak Szwajcaria...
Chcecie się czegoś dowiedzieć?

- Tak - odparła Evelyn. Podobnie jak Amanda, musiała zadzierać głowę, żeby móc patrzeć mu w twarz. Facet miał przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. - Może teraz zmieni pan zdanie. Przyszliśmy w sprawie Lucy Bennett.

Jego dobry nastrój prysnął jak bańka mydlana.

- Macie rację. Zrobię wszystko, cokolwiek może wam pomóc.

Niech jej umęczona dusza spoczywa w pokoju.

- Mamy nadzieję, że pan cokolwiek nam o niej opowie. Powie, kim była, z kim się przyjaźniła?

- Zapraszam do mojego biura. - Usunął się na bok, wskazując, żeby szły przodem. Mimo że wyglądał jak hipis, od kogoś nauczył się dobrych manier.

Amanda szła za Evelyn do biura Callahana. Pomieszczenie okazało się malutkie, ale urokliwe. Ściany pomalowano na kolor soczystej pomarańczy, dookoła wisiało mnóstwo afiszy rozmaitych zespołów funkowych. Amanda zanotowała w pamięci przedmioty, które stały na biurku: zdjęcie młodej kobiety, trzymającej w ramionach szczeniaka dobermana, okazały stos papieru do pisania na maszynie, związany gumową opaską... W powietrzu unosił się słodkawy odór. Odruchowo zerknęła na popielniczkę, ale wyglądało na to, że została niedawno oczyszczona.

Callahan wyłączył tranzystorowe radio, które także stało na biurku, a potem wskazał krzesła i poczekał, aż Amanda i Evelyn zajmą miejsca. Dopiero wtedy wyciągnął zza biurka własne krzesło i usiadł obok nich. To taktowny gest, oceniła Amanda. Pokazał im, że są tutaj tak samo ważne jak on.

Evelyn wyciągnęła z torebki swój kołonotatnik. Wyglądała teraz jak prawdziwa bizneswoman.

- Panie Callahan, w jakim charakterze pan tutaj pracuje?
- Dyrektora. Dozorcy więzienia. Doradcy zawodowego. Księdza.

Wyciągnął rękę, wskazując całe biuro. Amanda nagle zdała sobie sprawę, że ten facet jest o wiele większy, niż z początku jej się wydawało. Miał szerokie ramiona, a jego postać wypełniała całe krzesło.

- Co prawda nie zarabiam zbyt wiele, ale za to mam mnóstwo czasu, żeby pracować nad swoją książką.

Położył dłoń na stercie papierów do pisania.

- Pracuję nad miejscową wersją *Śniadania mistrzów*.

Amanda wiedziała, co robi, nie wciągając go w konwersację na temat projektu. Jej nauczyciele ze szkoły potrafili gadać całymi godzinami.

- Czy jest pan tutaj jedynym pracownikiem?

- Moja narzeczona pracuje na nocnej zmianie. Właśnie robi dyplom z pielęgniarstwa w Georgia Baptist.

Wskazał na zdjęcie młodej kobiety z psem, a na jego ustach mignął uśmiech typowy dla sprzedawcy używanych aut.

- Możecie mi wierzyć, drogie panie, że wszyscy staramy się postępować szczerze i uczciwie.

Evelyn wszystko skrupulatnie zapisała, choć właściwie nie było to związane z tematem.

- Czy może pan opowiedzieć nam o Lucy Bennett?

Callahan wydawał się nieco zakłopotany.

- Lucy wydawała się trochę inna od typowej klienteli. Po pierwsze, potrafiła poprawnie mówić. Była twarda, ale pod spodem czuło się w niej jakąś miękkość.

Wskazał sąsiednie pomieszczenie, wypełnione pustymi łózkami.

- Te wszystkie dziewczyny pochodzą z rodzin z problemami. Są w pewien sposób naznaczone. W zły sposób. - Przerwał na moment. - Czy rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć?

- Spoko, wszystko czaję - odezwała się Evelyn z taką swadą, jakby codziennie posługiwała się tego typu żargonem. - Chcesz zaznaczyć, że Lucy różniła się od innych dziewczyn?

- Lucy została zraniona. Wszystkie te dziewczyny są zranione. Nie lądujesz na ulicy, jeśli masz szczęśliwe życie.

Oparł się o tył krzesła, szeroko rozsuwając nogi. Amanda nie mogła się oprzeć fascynacji, jaką wzbudziła w niej jego przemiana z chłopca w mężczyznę. Początkowo przypuszczała, że Callahan ma tyle lat co ona, ale teraz była skłonna uwierzyć, że raczej zbliża się do trzydziestki.

- Czy Lucy miała jakieś przyjaciółki? - pytała dalej Evelyn.

- Żadna z tych dziewczyn nie ma prawdziwych przyjaciół - przyznał Callahan. - Lucy trzymała się swojej paczki. Ich alfonsem był niejaki Dwayne Mathison, znany pod ksywą Juice. Choć zdaje się, że mówię wam o czymś, o czym już wiecie.

Amanda wyprostowała niewidoczną fałdkę na swojej spódnicy. W tym getcie plotki rozchodziły się szybciej niż w APD. Jak przypuszczała, Callahan świetnie wiedział, że Juice próbował je napastować.

- Kiedy widział pan Lucy po raz ostatni? - drążyła dalej Evelyn.

- Ponad rok temu.

- Mam wrażenie, że doskonale ją pan pamięta.

- Miałem dla niej wiele dobrych uczuć - przyznał. - Ale nie z tego rodzaju, o który mnie pani podejrzewa. Nic z tych rzeczy. Lucy była bystra. Była zapaloną czytelniczką. Marzyła, że pewnego dnia uda jej

się porzucić to okropne życie i pójść do college'u. Powiedziałem jej o mojej książce. Nawet pozwoliłem przeczytać kilka stron. Wiecie, że nie mogła się od niej oderwać? Od razu pojęła, w czym rzecz. - Callahan wzruszył ramionami. - Chciałem jej pomóc, ale nie była na to gotowa.

- Czy kiedykolwiek kontaktowała się ze swoją rodziną?

Ze złością zacisnął ręce na poręczach krzesła.

- Aha, to dlatego tu jesteście?

Evelyn umiała udawać niepojętą o wiele lepiej niż Amanda.

- Nie rozumiem...

- Chodzi o brata Lucy. Czy przysłał was, żebyście mi powiedziały, że mam trzymać język za zębami?

- Nie pracujemy dla pana Bennetta - zapewniła Amanda. - Podczas rozmowy przypadkiem wspomniał, że przyjechał tutaj szukać swojej siostry. Poszliśmy więc tym tropem.

Callahan nie odpowiedział od razu.

- To było w zeszłym roku... Gość przyjechał tutaj, obnosząc swoje wielgachne ja. Ubrany jak panisko. Arogancki jak diabli.

Wszystko pasowało do opisu Hanka Bennetta.

- Chciał się dowiedzieć, czy przekazałem Lucy jego list.

- Przekazał pan?

- Jasne, że tak. - Callahan mocniej zacisnął pięści. - Biedaczka bała się go otworzyć. Ręce tak jej się trzęsły, że musiałem sam włożyć ten list do jej torebki. Nigdy nie dowiedziałem się, czy go przeczytała. Zniknęła tydzień, może dwa tygodnie później.

- Kiedy to było?

- Tak jak powiedziałem, mniej więcej przed rokiem. W sierpniu, może w lipcu? Wciąż było gorąco jak w Hadesie, doskonale to pamiętam.

- I od tamtej pory ani razu nie widział pan Hanka Bennetta?

- Akurat w tej kwestii mogę uważać się za szczęściarza. - Callahan przesunął się na krześle. - Facet nawet nie podał mi ręki na powitanie. Być może bał się, że dostanie parchów.

- Wiem, że upłynęło już trochę czasu, ale może pamięta pan inne dziewczyny, wśród których obracała się Lucy? - pytała dalej Evelyn.

- Uuu... - Podciągnął wyżej okulary przeciwsłoneczne

- przycisnął palce do powieki, jakby chciał sobie to przemyśleć. - Jane Delray, Mary jakoś tam, i... - Z powrotem opuścił okulary. - I jeszcze niejaka Kitty. Nie bywała tu często - większość nocy spędzała w Techwood, ale odniosłem wrażenie, że to nie był żaden stały układ. Nigdy nie poznałem jej nazwiska. Była o wiele bardziej podobna do Lucy niż do reszty dziewczyn. Potrafiła mówić po angielsku jak sama królowa, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Ale ona i Lucy nienawidziły się jak diabli. Nie mogły wytrzymać ze sobą w jednym pomieszczeniu.

Amanda nie pozwoliła sobie na spojrzenie na koleżankę, ale czuła, że jej własne podekscytowanie jest odbiciem podekscytowania Evelyn.

- To miejsce w Techwood... Czy Kitty miała tam mieszkanie?

- Nie wiem. Ale to całkiem możliwe. Kitty była tym typem dziewczyny, która potrafi zdobyć to, na czym jej zależy.

- Czy Lucy i Kitty znały się już wcześniej?

- Nie sądzę. - Callahan przez chwilę w milczeniu rozważał to pytanie, ale w końcu potrząsnął głową. - Po prostu obie należały do tego typu dziewczyn, które nie potrafią żyć w zgodzie z innymi. Były za bardzo do siebie podobne, jak sądzę. - Pochylił się do przodu. - Czy wiecie, że studiuje socjologię? Wszyscy dobrzy pisarze to robią.

To najważniejsza część mojej pracy. Tematy swoich rozpraw czerpię prosto z ulicy.

Evelyn wydawała się doskonale rozumieć, o czym ten człowiek mówi.

- Rozumiem, że ma pan jakąś teorię?
- Alfonsi świetnie wiedzą, jak ustawiać te dziewczyny jedną przeciw drugiej. Dają im jasno do zrozumienia, że tylko jedna może zostać ich najlepszą dziewczyną. Niektóre z tych lasek od razu zadowolają się tym, że ich miejsce jest w drugim szeregu. Są przyzwyczajone, że wciąż skopuje się je na dalszy plan, kapujecie? Ale niektóre walczą jak lwice, żeby znaleźć się na szczycie. Zrobią absolutnie wszystko, by zostać dziwką numer jeden. Pracować ciężiej. Pracować dłużej. To prawdziwa szkoła przetrwania, sprawdzian, kto lepiej się dopasuje. One walczą o pierwsze miejsce na podium, a w tym czasie alfonsi siedzą z tyłu i śmieją się w kułak.

Niech diabli wezmą socjologię. Amanda odkryła tę prawdę już na pierwszym roku studiów.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Kitty?
- Może przed rokiem? - zgadywał. - Nie spędzała u nas zbyt wiele czasu. Mniej więcej wtedy kościół w pobliżu Juniper otworzył kuchnię z zupami. Myślę, że to bardziej jej odpowiadało. Przynajmniej miała tam mniejszą konkurencję.

- Przypomina sobie pan, czy Kitty przestała pokazywać się przed czy po zniknięciu Lucy? - pytała Evelyn.

- Po. Może bywała tu jeszcze przez kilka tygodni? Na pewno nie dłużej niż miesiąc. W tamtym kościele powinni lepiej ją pamiętać. Tak jak mówiłem, to środowisko bardziej odpowiadało Kitty. Była zafascynowana odkupieniem. Osobiście przypuszczam, że w

dzieciństwie odebrała religijne wychowanie. Mimo swoich licznych grzechów Kitty była bardzo pobożną osobą.

Amanda z trudem wyobraziła sobie prostytutki z ulicy, które czują, że są blisko Boga. - Może pamięta pan nazwę tego kościoła?

- Nie mam pojęcia, ale na frontowej ścianie jest wymalowany wielki, czarny krzyż. Wspólnotę prowadzi taki wysoki braciszek, naprawdę świątobliwy i prostolinijny. Cieszy się dobrą reputacją.

- Braciszek... - powtórzyła jak echo Evelyn. - Chce pan powiedzieć, że on jest czarny?

Callahan zachichotał.

- Nie, siostró. Chcę powiedzieć, że jest bratem w Chrystusie. *Ze raz zasnąwszy, zakończym na zawsze boleści serca**.

** Fragment Hamleta Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego*

- To z *Hamleta* - odezwała się Amanda. Przed dwoma trymestrami pilnie wczytywała się w dzieła Szekspira.

Callahan podniósł okulary słoneczne i mrugnął do niej szelmowsko. Zauważyła, że miał oczy podbiegłe krwią. Jego rzęsy przypominały zęby na łapce na muchy „Venus”.

- *Niech wszystkie grzechy zostaną mi zapamiętane, piękna*

*Ofelio***.

*** Tamże.*

Amanda poczuła ukłucie wstydu.

Dzięki Bogu, Evelyn przejęła inicjatywę.

- Ten człowiek z kościoła... Może wie pan, jak on się nazywał?

- Nie mam pojęcia. To skończony dupek, jeśli ktoś by mnie pytał o zdanie. Chce spierać się o książki i różne gówna, ale od razu widać, że w życiu niczego nie czytał. - Callahan opuścił przeciwsłoneczne okulary z powrotem na miejsce. - No wiecie, naprawdę sądziłem, że Lucy przyjdzie się ze mną pożegnać, zanim stąd wyjedzie. Jak powiedziałem, coś nas łączyło. Platonicznie, rzecz jasna. Ale może za

bardzo się wstydziła. Te dziewczyny z reguły nie zostają długo w jednym miejscu. Po jakimś czasie ich alfonsi zaczynają się wściekać, że za mało zarabiają, więc odpalają je jakiemuś koleśowi, który stoi niżej niż oni. Czasami same dziewczyny zmieniają miejsce pobytu. Niektóre wracają do rodziny, jeśli rodzina zechce je przyjąć. Reszta kończy w Gradys.

- Gradys... - powtórzyła Amanda. Jakie to dziwne, słyszeć to słowo z ust białego człowieka. Tylko czarni nazywają Grady Hospital po prostu Gradys. Ta nazwa pochodzi z czasów, gdy na oddziałach obowiązywała segregacja.

- A co z Jane Delray? Czy kiedykolwiek słyszał pan o niej? - spytała.

Callahan zaśmiał się, jakby to pytanie go zaskoczyło.

- Ta siostra jest szalenie chytra. Obrobi cię, jak tylko na nią spojrzysz.

- Czemu pan tak mówi?

- Jane bez przerwy walczyła z dziewczynami. Zawsze coś im ukradła. W końcu musiałem ją wygonić z noclegowni, a nie lubię tak postępować z żadną z nich. Wiem, że to ich ostatnia szansa na ratunek. Jeśli nie mogą przyjść tutaj, nie mają gdzie się schronić.

- Zawsze przecież mogą iść do kuchni z zupą?

- Nie, jeśli narozrabiały. Braciszek nie przepuści ich przez próg. -

Callahan wzruszył ramionami. - Taka polityka wcale nie jest zła. Kiedy te dziewczyny robią się zbyt bezczelne, wykazują większą skłonność do sprawiania kłopotów. Ale ja zwyczajnie nie mogę zamknąć im drzwi przed nosem i zostawić na ulicy.

- Czy nie mogą dostać wsparcia od zarządu osiedla?

- Nie, jeśli zostały zarejestrowane jako prostytutki. Zarząd osiedla dokładnie prześwietla takie sprawy. Nie chcą, żeby dziewczyny

dostały wsparcie z publicznych pieniędzy, a potem nadal uprawiały swój proceder.

Amanda starała się przyswoić te wszystkie informacje. Była zadowolona, że Evelyn robi notatki.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan powiedzieć na temat Lucy?
- Tyle, że była po prostu dobrą dziewczyną. Wiem, że trudno w to uwierzyć, zwłaszcza jeśli ktoś pracuje w policji. Ale one wszystkie zaczynają od dobra. Gdzieś po drodze dokonują złego wyboru, a jeden zły wybór rodzi kolejny, i wkrótce ich życie składa się z samych złych wyborów. Zwłaszcza życie Lucy. Nie zasłużyła na to, żeby tak skończyć. - Znowu zacisnął dłonie na poręczach krzesła, a w jego głosie pojawił się ostry, nieprzyjemny ton. - Nie chciałbym wtrącać się do spraw jej brata, ale mam nadzieję, że będzie się za to smażyć w piekle.

Amanda natychmiast podniosła głowę.

- Co pan ma na myśli?

Callahan wskazał na radio.

- Już się skończyło. Zanim panie przyjechały, słyszałem, jak mówili o tym w radiu. Juice został aresztowany za zabójstwo Lucy Bennett. Przyznał się do winy i złożył pełne zeznanie.

Telefon na biurku zabrzączał.

- Proszę wybaczyć - przeprosił i pochylił się, żeby podnieść słuchawkę.

Amanda nie zaryzykowała spojrzenia na Evelyn.

Callahan zakrył dłonią mikrofon.

- Przykro mi, drogie panie, ale dzwoni jeden z naszych sponsorów. Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla was zrobić?

- Nie. - Evelyn wstała z krzesła, a Amanda pospieszyła w jej ślady.
- Dziękujemy, że poświęcił nam pan tyle czasu.

Słońce świeciło tak jasno, że kiedy wyszły z budynku na zewnątrz, oczy Amandy natychmiast wezbrały łzami. Zmierzając w stronę parkingu, osłaniała twarz rękoma.

- No cóż. - Evelyn wsunęła na nos okulary. - Więc został aresztowany.

- Aresztowany - powtórzyła jak echo Amanda. -

- przyznał się do winy.

Przez chwilę stały obok samochodów, oniemiałe ze zdziwienia.

W końcu Amanda przerwała milczenie.

- I co ty na to?

- Zupełnie mnie to zaskoczyło - przyznała Evelyn. -

Przypuszczałam, że Juice mógł to zrobić. Że miał taką możliwość...

Ale zaraz sprzeciwiła się samej sobie.

- Z drugiej strony, nietrudno jest uzyskać przyznanie się do winy.

Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Butch i Landry.

Amanda skinęła głową. Przynajmniej raz na tydzień Butch i Landry zjawiali się na odprawie z zacięciami

- otarciami na kostkach dłoni.

- Sama to powiedziałaś: Juice mógł wymknąć się ze szpitala, zamordować Jane, a potem wślizgnąć się z powrotem na oddział, tak że nikt nie zdawał sobie sprawy, że przez jakiś czas go tam nie było.

Amanda oparła się o samochód, ale zaraz odskoczyła, kiedy gorąco przeniknęło przez materiał spódnicy.

- Ale znowu: Trey Callahan właśnie potwierdził, że Juice był alfonsem zarówno Lucy Bennett, jak i Jane Delray. Doskonale wiedział, jak każda z nich wygląda. Dlaczego więc przyznał się do zabójstwa jednej, kiedy zginęła druga?

- Bardzo wątpię, czy Rick Landry pozwolił mi opowiedzieć całą historię. Czarny facet zabija białą kobietę? - dodała. - Wokół takiej sprawy zawsze robi się potężny smród.

Miała rację. Taka rzecz odbije się szerokim echem w ratuszu. Juice zostanie wsadzony do więzienia, zanim ten rok dobiegnie końca - o ile w ogóle pożyje tak długo.

Obie kobiety znowu zamilkły. Amanda nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy była bardziej zaszokowana.

Wreszcie Evelyn przerwała ciszę.

- Jak uważasz, czy powinniśmy z nim porozmawiać?

- Porozmawiać? Z kim?

- Z Juicem.

Pytanie wydawało się tak samo zwariowane jak i niebezpieczne.

- Rick Landry żywcem obedrze nas ze skóry. Nie chciałam ci mówić, ale dziś rano był wściekły jak diabeł. Przy mnie poskarżył się sierżantowi Hodge'owi, że wtrącamy się w jego śledztwo.

- Co Hodge na to?

- Właściwie to nic. Ten facet uwielbia zagadki. O cokolwiek zapytałam, odpowiadał: „To dobre pytanie”. Myślałam, że tam zwariuję.

- To taki jego sposób, żeby dać ci do zrozumienia, że powinnaś zignorować Ricka Landry'ego i robić swoje. - Evelyn poderwała rękę, żeby uciszyć protest Amandy. - Pomyśl, gdyby Hodge chciał, żebyś przestała się w tym grzebać, po prostu wydałby ci rozkaz, żebyś dała spokój i już. Wyznaczył ci do zadania wykraczającego poza twoje obowiązki, chociaż mógł posadzić cię na krześle i kazać przez cały dzień przepisywać raporty. Zamiast tego pozwolił ci opuścić odprawę i pojechać na spotkanie ze mną - uśmiechnęła się ze zrozumieniem. -

Zobacz, jaki to mądry facet. Nie powiedział ci wprost, co masz robić, ale postarał się, żebyś sama tego chciała.

- Właśnie to jest cholernie denerwujące. Dlaczego nie powiedział niczego wprost? Co w tym złego?

- Właśnie niedawno został przeniesiony na cztery dni do Model City. Wyobrażam sobie, że chciał mieć pewność, że więcej tam nie trafi.

- Ale tymczasem to moja głowa spoczywa na katowskim pieńku. Evelyn wydawała się starannie ważyć słowa.

- Prawdopodobnie on się ciebie boi, Amando. Musisz zdawać sobie sprawę, że jest wiele takich osób.

W tym momencie wystarczyłoby muśnięcie piórem, żeby obalić ją na ziemię.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu twojego ojca.

- To przecież jakieś bzdury. Nawet gdyby mój ojciec interesował się takimi sprawami, to przecież nie jestem zwykłą, durną plotkarą!

- Oni tego nie wiedzą - głos Evelyn brzmiał niezwykle delikatnie. - Skarbie, to tylko kwestia czasu, kiedy twój ojciec z powrotem założy mundur. Wciąż ma wielu potężnych przyjaciół. I na pewno zechce wyrównać rachunki. Czy naprawdę uważasz, że ludzie nie mają racji w tym, że się go boją?

Amanda nie chciała przyznać, że Evelyn ma rację, jeśli chodzi o Duke'a, nawet jeżeli myliła się co do całej reszty.

- Nie wiem, po co w ogóle prowadzimy tę durną dyskusję. Juice został aresztowany za morderstwo. Sprawa jest zamknięta. Jeżeli teraz narobimy smrodu, cały departament będzie przeciwko nam.

- Masz rację. - Evelyn zapatrzyła się na ulicę, na pędzące nią samochody. - Chyba jesteśmy ostatnimi kretynkami, że się w ogóle

tym przejmujemy. Juice przecież próbował nas zgwałcić. Jane zniechęciła nas od pierwszego wejrzenia, a Lucy była zwykłą ćpunką i prostytutką, z którą jej własny brat nie mógł wytrzymać w jednym pokoju.

Kiwnęła głową w stronę budynku misji.

- Nieważne, jakie peany na jej cześć wygłasza ten brat Snoopy'ego - zdjęła z nosa okulary przeciwsłoneczne. - Właściwie to skąd się wam wziął ten kawałek z Ofelią, co?

- To cytat z *Hamleta*.

- To akurat wiem. - Evelyn sprawiała wrażenie lekko zirytowanej. - Ostatecznie czytam coś więcej niż tylko głupie czasopisma.

Amanda chciała coś powiedzieć, ale doszła do wniosku, że mądrzej będzie trzymać język za zębami.

Evelyn z powrotem założyła okulary.

- Ta Ofelia była naprawdę tragiczną postacią. Usunęła ciążę, a potem popełniła samobójstwo, rzucając się z drzewa.

- Skąd ci przyszło do głowy, że miała aborcję?

- Zążywała rutę. To zioło, które kobiety wykorzystują, żeby wywołać poronienie. Szekspir kazał jej rozdawać kwiaty i... -

Machnęła ręką. - Zresztą nieważne. Pytanie, czy zamierzasz jechać do więzienia, czy sobie odpuszczasz?

- Ja? - Umysł Amandy nie potrafił tak szybko przeskakiwać z tematu na temat. - Sama?

- Powiedziałaś Cindy, że przyjadę do Five, żeby przejrzeć pudło z prawami jazdy i poszukać dokumentu Lucy.

- Bardzo sprytnie to urządziłaś.

- Zdaje się, że Bubba Keller jest jednym z kumpli twojego ojca i że grają razem w pokera, zgadza się?

Amanda zastanowiła się, czy Evelyn robi jakąś aluzję do Klanu.

- Co on ma z tym wspólnego?
- Keller jest szefem więzienia.
- Więc?
- Więc jeśli do niego pójdziesz i powiesz, że chcesz porozmawiać z Juicem, to pewnie nie będzie robił żadnego problemu. A jeśli pojedziesz do więzienia ze mną i poprosisz o widzenie, to twój ojciec o wszystkim się dowie.

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się złapana na gorącym uczynku, zupełnie jakby Evelyn jakimś cudem dowiedziała się o tych wszystkich kłamstwach, którymi karmiła Duke'a przez cały ostatni tydzień.

- W porządku - odezwała się Evelyn. - W końcu wszyscy musimy przed kimś odpowiadać.

Amanda miała wrażenie, że akurat Evelyn absolutnie to nie dotyczy.

- Postawmy sprawę jasno: chcesz, żebym tanecznym krokiem wkroczyła do więzienia i zażądała widzenia z człowiekiem, który właśnie został aresztowany za morderstwo, tak?

Evelyn wzruszyła ramionami.

- Właściwie to czemu nie?

OBECNIE

ROZDZIAŁ 15

SUSANNE FORD

Zanna zerwała się ze snu, zdjeta przerażeniem. Nie mogła się poruszać. Nic nie widziała. Gardło bolało ją tak bardzo, że z trudem mogła przełykać. Przekręciła głowę tam i z powrotem i poczuła, że z obu stron otula ją poduszka. Leżała na wznak i bez wątpienia znajdowała się w jakimś łóżku.

Usiłowała zawołać o pomoc, ale jej wargi nawet nie drgnęły. Słowa uwięzły w gardle. Spróbowała jeszcze raz.

- Pomocy...

Zaniosła się kaszlem, bo gardło miała wyschnięte na wiór. Oczy pulsowały boleśnie. Każde drgnienie wysyłało w głąb ciała falę cierpienia. Czowała, że ma przewiązane oczy. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Pamiętała jedynie, jak wyglądał tamten mężczyzna.

Mężczyzna...

Jego ciężar przesunął się na łóżku, kiedy się podnosił. Już nie znajdowali się w pokoju hotelowym. Głębokie dudnienie samochodów, przemieszczających się po centrum miasta, zastąpiły dwa odgłosy. Pierwszy wydawał się podobny do buczenia, jak w elektrycznej maszynie do szycia, którą pewnego roku kupili babci na święta Bożego Narodzenia. Zanna doskonale pamiętała jednostajny szum, jaki wydawała ta maszyna.

- Cicho, dziecinko... Nic nie mów...

Drugi odgłos był trudniejszy do umiejscowienia. Wydawał się całkiem znajomy, ale za każdym razem, kiedy myślała, że go rozpoznaje, odgłos ulegał zmianie. Trochę przypominał gwizd, ale nie

taki, jaki wydają pociągi. Raczej brzmiał jak powietrze wsysane do tunelu. Do tunelu znajdującego się pod wodą. Do pneumatycznej rury.

Pojawiał się w różnych odstępach czasu, przez co czuła się jeszcze bardziej wyobcowana ze swojego ciała. Z miejsca, w którym się znalazła. Nie wiedziała nawet, czy nadal przebywa w Atlancie. Albo w Georgii. Albo w ogóle w Ameryce. Nie miała pojęcia, na jak długo straciła przytomność. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani która jest godzina. Jedyne co odczuwała to męka oczekiwania.

Mężczyzna zaczął coś mamrotać. Usłyszała, jak odkręca kran, a potem do jej uszu doleciał plusk wody uderzającej o dno metalowej miski.

Zanna zaszczękała zębami. Marzyła, żeby dostać metamfetaminę. Musiała dostać metamfetaminę. Przez jej ciało zaczęły przebiegać konwulsyjne dreszcze. Czuła, że za chwilę znowu straci przytomność. Chciała krzyczeć. Może powinna krzyczeć. Może powinna wrzeszczeć tak głośno, żeby w końcu musiał ją zabić, ponieważ nie wątpiła, że właśnie takie ma wobec niej zamiary. Pozostawała jedynie kwestia, przez jakie piekło każe jej najpierw przejść.

Ted Bundy. John Wayne Gacy. Jeffrey Dahmer. Nocny łowca. Morderca znad Zielonej Rzeki.

Zanna przeczytała każdą książkę, jaką Ann Rule kiedykolwiek napisała, a kiedy nie było książki, pozostawała telewizja albo strona w internecie, albo Dateline, albo 20/20, albo 48 Hours... Pamiętała każdy ponury, tragiczny szczegół na temat każdego sadystycznego maniaka, który kiedykolwiek porwał kobietę, żeby zaspokoić swoje demoniczne upodobania.

A ten człowiek z pewnością był demonem. Na to nie trzeba było żadnych dowodów. Rodzice Zanny przestali chodzić do kościoła,

kiedy jeszcze była dzieckiem, ale mieszkała w Roswell wystarczająco długo, żeby rozpoznać oderwane wersety, dobrze znany rytm fragmentów Pisma Świętego. Ten mężczyzna mamrotał słowa modlitwy, upraszając Boga o wybaczenie grzechów, lecz Zanna wiedziała, że nikt go nie słucha poza samym szatanem.

W końcu szum wody ucichł. Dwa kroki i ten człowiek znów był na łóżku. Czują ciężar jego ciała, gdy siadał obok niej. Rozległo się kapanie. Głośne dudnienie kropel uderzających o metalową miskę.

Zanna wzdrygnęła się, kiedy ciepłą, mokrą szmatą zaczął obmywać jej ciało.

OBECNIE

WTOREK

ROZDZIAŁ 16

Kolana Sary protestowały z całych sił, gdy z wściekłą systematycznością posuwała się dookoła pokoju dziennego, zanurzając szmatę w misce wypełnionej octem i ciepłą wodą, a potem kawałek po kawałku szorując przypodłogową listwę.

Niektóre kobiety, kiedy były czymś zmartwione, zasiadały przed telewizorem, żeby obejrzeć to, co akurat w niej leciało. Inne wychodziły na zakupy albo opychały się czekoladą, Sara zaś miała zwyczaj sprzątać, o co mogła mieć pretensję wyłącznie do swojej matki. Odpowiedzią Cathy Linton na jakiegokolwiek zmartwienie była zawsze ciężka praca.

- Uff... - Sara usiadła na piętach. Nie była przyzwyczajona do sprzątania swojego mieszkania. Mimo niskiej temperatury, którą ustawiła na termostacie, czuła, że pot spływa jej po plecach. Nikt nie doceniał dobrodziejstw klimatyzacji. Oba charty skuliły się na sofie, jakby przypadkiem trafiły w sam środek arktycznej zimy.

Technicznie rzecz ujmując, Sara powinna być teraz w pracy, ale na oddziale ratunkowym istniała niepisana reguła, że każdy pracownik, któremu podczas jednej zmiany przydarzą się trzy okropne rzeczy, może wcześniej wyjść do domu. Dzisiaj Sara najpierw została kopnięta w nogę przez bezdomnego mężczyznę, ledwie uniknęła spoliczkowania przez matkę chłopaka, który był tak naćpany, że zafajdał własne spodnie, a potem jeden z nowych pacjentów na

internie narzygał Sarze na rękę. I to wszystko jeszcze przed porą lunchu.

Gdyby przełożona Sary nie powiedziała jej, żeby poszła wcześniej do domu, Sara pewnie rzuciłaby w ogóle tę robotę w diabły. Zresztą pewnie dlatego w Grady Hospital wprowadzono do regulaminu taką zasadę.

Skończyła czyścić ostatni fragment listwy i wyprostowała przygarbione plecy. Kolana od zbyt długiego zginania trzęsły się jak galareta, Sara naprężyła więc po kolei ścięgna w udach, a następnie powędrowała do kuchni ze ścierką i miską. Wylała do zlewu roztwór wody z octem, opłukała ręce, a potem wzięła suchą ścierkę i puszkę Pledge, żeby przejść do następnego etapu.

Po drodze zerknęła na zegar w mikrofalówce. Will wciąż nie zadzwonił. Wyobraziła sobie, że siedzi teraz w toalecie na Hartfield-Jackson Airport i czeka, aż jakiś podróżujący biznesmen nasika mu na nogę. A to oznaczało, że miał mnóstwo czasu, by zadzwonić do niej. Może właśnie wysłała jej jakąś wiadomość. Może próbuje jej powiedzieć, że cokolwiek ich łączyło, minęło już bezpowrotnie.

Zresztą być może Sara niewłaściwie odczytywała jego milczenie. Gierki w związku nigdy nie były jej specjalnością, bo zawsze wołała bezwzględną otwartość i szczerłość. Pewnie właśnie ta szczerłość była przyczyną tak wielu problemów.

Rozpaczliwie potrzebowała czyjejś rady. Cathy Linton była w domu, lecz Sara czuła, że matka może zareagować tak samo, jak wówczas, gdy Sara pochorowała się po zjedzeniu całej paczki ciasteczek Oreo. Z pewnością odgarnie jej włosy i pogłaszcze po plecach, ale najpierw wygłosi opinię typu: „A czego ty się spodziewałaś, do diabła?”.

Dokładnie to pytanie Sara zadawała samej sobie. Najgorsze, że powoli zmieniała się w jedną z tych irytujących osób, które tak bardzo są pochłonięte skarżeniem się na swoją złą sytuację, że nawet nie próbują temu przeciwdziałać.

Sara opróżniła półkę nad kominkiem, żeby wytrzeć kurz. Delikatnie zdjęła małą skrzyneczkę z czereśniowego drewna, która niegdyś należała do jej babci. Zawiasy zaczynały się psuć, więc ostrożnie uchyliła wieko. Na atlasowej wyściółce spoczywały dwie ślubne obrączki.

Jej mąż także był gliniarzem, ale na tym kończyło się zasadnicze podobieństwo pomiędzy Jeffreyem a Willem. A może wcale nie? Obaj zabawni i obaj o silnym i prawym charakterze, który zawsze tak mocno pociągał Sarę. Obaj przywiązani do swojej pracy. Obaj przywiązani do Sary.

Pod jednym względem Jeffrey kompletnie różnił się od Willa. Nie szukał wykrętów, żeby dać jej do zrozumienia, jak bardzo jej pragnie. Od samego początku stawiał jasno sprawę, że ma zamiar ją zdobyć. Raz zdarzyło mu się zbłądzić, ale potem musiał zrobić dużo, żeby znowu mieć ją dla siebie. Oczywiście Sara nie oczekiwała od Willa równie dramatycznych gestów, ale potrzebne jej były silniejsze oznaki zaangażowania niż tylko fakt, że Will co wieczór zjawia się w jej łóżku.

Sara w swoim mężu zakochała się z powodu jego pięknego charakteru pisma. Zobaczyła na marginesie jakiejś książki jego notatki. Pismo było miękkie i faliste, zupełnie niespodziewane u kogoś, kto pracuje w branży, w której trzeba nosić broń i od czasu do czasu używać pięści. Sara nigdy nie widziała pisma Willa, z wyjątkiem jego podpisu, który wyglądał tylko trochę lepiej niż zwykły gryzmoł. Zwykle zostawiał przeznaczone dla niej karteczki z

uśmiechniętymi buźkami. Kilka razy wysłał jej wiadomość z takim samym znakiem. Sara wiedziała, że Will od czasu do czasu czytuje książki, ale przede wszystkim słucha wersji audio. Ale jego dysleksja była czymś, o czym nie rozmawiali, podobnie jak o paru innych sprawach.

Czy mogła kochać tego mężczyznę? Czy widziała siebie będącą częścią jego życia - przynajmniej tego życia, które pozwalał jej oglądać?

Tego nie była pewna.

Zamknęła wieczko i odstawiła pudełko na właściwe miejsce na półce nad kominkiem.

Może Will wcale jej nie chciał. Może tylko chciał się zabawić. Wciąż nosił w kieszeni dżinsów swoją ślubną obrączkę. Sara była uradowana, kiedy pewnego dnia spostrzegła jej brak na jego palcu, ale nie była głupia. Will także nie był głupi, więc tym bardziej wydawało się zastanawiające, dlaczego trzymał tę obrączkę w kieszeni, gdzie Sara mogła poczuć jej obecność, wsuwając tam rękę.

Kiedy otworzyła tamtą książkę i ujrzała kilka napisanych odręcznie słów, nie zdawała sobie sprawy, że właśnie zakochała się w Jeffreyu. Dopiero później, powracając myślami do tego zdarzenia, doszła do wniosku, co się wówczas wydarzyło. Istniało też kilka wspomnień związanych z Willem, które budziły to znajome ciepło w okolicy serca. Na przykład jego sylwetka, gdy zmywał naczynia, stojąc przy zlewie w kuchni jej matki; skupienie, z jakim wsłuchiwał się w jej słowa, gdy opowiadała mu o swojej rodzinie; wyraz jego twarzy, gdy kochał się z nią po raz pierwszy.

Oparła głowę o ramę kominka. Przy wystarczającej ilości czasu i całkowitej beczynności mogłaby dowolnie wmówić sobie miłość lub

nienawiść do tego człowieka. Właśnie dlatego pragnęła, by wreszcie podjął wyzwanie i do niej zadzwonił.

Nagle telefon zabręczał. Sara podskoczyła. Serce waliło jej jak młotem, kiedy szła w stronę aparatu, co w jednakowych proporcjach było szalone i głupie. Na litość boską, przecież skończyła studia medyczne. Nie powinna tak łatwo ulegać emocjom.

- Halo?

- Co słyhać u mojej ulubionej studentki? - spytał Pete Hanson.

Należał do grona najlepszych w całym stanie specjalistów z zakresu medycyny sądowej. Sara wzięła u niego kilka lekcji, kiedy pracowała jako patolog w Grant County.

- Powiedziano mi, że urwałaś się na wagary.

- Och, taki dzień dla poratowania zdrowia psychicznego - przyznała, starając się ukryć rozczarowanie, że po drugiej stronie nie odezwał się głos Willa. A ponieważ Pete nigdy nie dzwonił do niej z nienacka, zapytała - Czy stało się coś złego?

- Mam dla ciebie pewne informacje, moja droga. Są tak ściśle poufne, że wolałbym przekazać ci je osobiście.

Sara rozejrzała się po mieszkaniu. Było przewrócone do góry nogami - poduszki na podłodze, zwinięte dywaniki, rozrzucone dookoła zabawki psów... I kłęby sierści, z których z łatwością można stworzyć całkiem nowego charta.

- Czy jesteś w City Hall East? - zapytała.

- Jak zawsze.

- W takim razie już tam jadę.

Zakończyła rozmowę i rzuciła słuchawkę na kanapę. Szybko sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Jej włosy kleiły się od potu, na twarzy wyskoczyły jakieś krostki, stare dzinsy były rozdarte na kolanie, a koszulka z Lady Rebels prezentowała się znakomicie, ale w

czasach, kiedy Sara kończyła szkołę średnią. Will pracował w tym samym budynku co Pete, ale przez cały dzień siedział na Southside, więc nie było szans, żeby mogła na niego wpaść. Czym prędzej złapała kluczyki i wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach do holu, nie zatrzymując się aż do momentu, kiedy zobaczyła swój samochód.

Za wycieraczką tkwiła następna karteczka. Angie Trent nieco zmieniła repertuar. Razem ze znanym epitetem „dziwka” przesyłała całusa, odcisniętego na białym papierze przez jej mocno umalowane usta.

Wsiadając do samochodu, Sara złożyła karteczkę na pół. Potem odkręciła szybę i cisnęła ją do kosza na śmieci, który znajdował się obok automatycznie otwieranej bramy. Przypuszczała, że Angie zaparkowała auto gdzieś na ulicy, a następnie podeszła pod dom, żeby włożyć za wycieraczkę swój liścik. Jeszcze przed kilkoma laty Angie była policjantką - i to najwyraźniej jedną z najlepszych tajnych agentek, jakie kiedykolwiek pracowały w Vice Squad. Podobnie jak wielu byłych oficerów policji, nie przejmowała się drobnymi przestępstwami, takimi jak naruszanie cudzego terytorium albo wysyłanie grózb.

Za jej plecami rozległ się ryk klaksonu. Sara nie zauważyła, kiedy brama podjechała do góry. Podniosła rękę w przeproszającym geście, czym prędzej wyjeżdżając na ulicę. Jeśli rozmyślanie o Willu było daremnym zabiegiem, rozmyślanie o jego żonie było lekcją nienawiści do samej siebie. Nie bez powodu Angie tak często uważana była za jedną z luksusowych cali girls. Była wysoka, zaokrąglona we właściwych miejscach i roztaczała wokół siebie te sekretne feromony, które sygnalizowały każdemu zainteresowanemu mężczyźnie - lub kobiecie, jeśli wierzyć plotkom - że Angie jest

dostępna. Właśnie dlatego Will zamierzał używać przerwy dopóty, dopóki nie otrzyma ostatecznych wyników testu krwi.

Oczywiście, jeśli ich związek przetrwa tak długo.

City Hall East znajdował się w odległości niecałych dwóch kilometrów od domu Sary. Mieścił się przy Ponce de Leon Avenue, w budynku starego domu towarowego Searsa, który był tak samo obszerny jak zniszczony. Metalowe okna i spękane cegły w swoim czasie były w idealnym stanie, lecz miasto nie miało dość pieniędzy na utrzymanie tak ogromnej budowli. Jeśli chodzi o rozmiary, budynek z pewnością należał do największych w południowo-wschodnich Stanach, co jedynie częściowo tłumaczyło fakt, dlaczego połowa kompleksu stale świeciła pustkami.

Biuro Willa ulokowane było na wyższym piętrze, zajmowanym przez GBI. Zjeżdżając w dół po wielkiej pętli prowadzącej do podziemnego parkingu, Sara usilnie próbowała wygonić z głowy myśl, że jak dotąd nie miała okazji przekonać się, jak to biuro wygląda.

Pomimo panującej wewnątrz umiarkowanej temperatury, na parkingu wcale nie było tak chłodno, jak należało oczekiwać, biorąc pod uwagę, że znajdował się pod powierzchnią ziemi. Kostnica znajdowała się jeszcze niżej, ale podobnie jak w garażu było tam cieplej, niż Sara się spodziewała. Coś musiało szwankować w obiegu powietrza albo może po prostu budynek był tak stary, że robił co mógł, żeby zmusić mieszkańców do opuszczenia go czym prędzej.

Sara zeszła po popękanych, betonowych schodach wprost do piwnicy. Już na pierwszym stopniu poczuła dobrze znany odór - woń środków z sodą kaustyczną, których używano do czyszczenia podłogi, oraz chemikaliów do dezynfekcji ciał. W Grant County Sara podjęła na część etatu pracę patologa, żeby pomóc swojemu koledze z kliniki

dziecięcej, który właśnie wybierał się na emeryturę. Praca w kostnicy bywała czasami nudna, ale generalnie była o wiele ciekawsza niż bolące brzuszki czy ciekące nosy, którymi musiała zajmować się w klinice. Fakt, że Grady Hospital okazał się jedynie nieco większym wyzwaniem, był kolejną rzeczą, o której udało się jej zapomnieć.

Biuro Petera Hansona przylegało do kostnicy. Sara z daleka widziała go przez otwarte drzwi. Pochylał się nad biurkiem, zawalonym przez stosy papierów. Sara osobiście nigdy by nie wybrała takiej metody selekcji, choć nieraz widziała, jak Pete bez wahania wyciągał z przypadkowej sterty to, czego akurat potrzebował.

Zapukała we framugę i śmiało weszła do środka. Nagle jej uniesiona do powitania ręka zastygła w powietrzu. Pete ostatnio dużo stracił na wadze. Stanowczo zbyt dużo.

- Sara. - Uśmiechnął się na jej widok, ukazując pożółkłe zęby.

Pete był starzejącym się hipisem, który za nic nie chciał się pozbyć swoich długich, zaplecionych w warkocz włosów, choć teraz miał ich znacznie mniej niż kiedyś. Uwielbiał długie, hawajskie koszule i podczas wykonywania obowiązków lubił słuchać Grateful Dead. Jeśli chodzi o koronerów, Pete stanowił dość typowy przykład, co oznaczało, że umieszczony w butelce fragment serca osiemnastoletniej ofiary mordu, który trzymał na półce nad biurkiem, był jedynie ilustracją dla ulubionego żartu.

Postanowiła sama wyjść z inicjatywą.

- Jak się miewasz, Pete?

Zamiast oznajmić jak zwykle, że ma serce osiemnastolatka, Pete zmarszczył brwi.

- Dzięki, że przyjechałaś, Saro.

Wskazał puste krzesło, najwyraźniej przygotowane specjalnie dla niej. Spoczywająca zwykle na nim piramida papierów i dokumentacji, teraz została umieszczona na podłodze.

Sara posłusznie usiadła.

- Co się stało?

Odwrócił się do komputera i popukał w klawisz spacji. Na monitorze pojawił się cyfrowy radiograf. Zrobione od przodu zdjęcie rentgenowskie ukazywało wielką, białawą masę w środkowej części lewego płuca. Sara zerknęła na nazwisko na górze zdjęcia. Peter Wayne Hanson.

- SCLC - wyjaśnił Pete. Drobnokomórkowy rak płuca, najbardziej złośliwa odmiana.

Sara poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek.

- Ta nowa, eksperymentalna terapia... - zaczęła.

- W moim wypadku na nic się nie zda. - Przerwał jej, kliknięciem zamykając zdjęcie. - Już są przerzuty do mózgu i wątroby.

Dla Sary przekazywanie pacjentom złych informacji było chlebem powszednim. Jedyne czasami znajdowała się po tej drugiej stronie.

- Och, Pete, tak strasznie mi przykro!

- No cóż, może faktycznie to nie jest najlepszy sposób na odchodzenie z tego świata, ale na pewno lepszy niż poślizgnąć się w wannie. - Pete z powrotem usiadł na krześle.

Teraz widziała to wyraźnie - chudość jego policzków, żółtawy kolor oczu. Pete wskazał słoik na półce.

- No to tyle, jeśli chodzi o moje osiemnastoletnie serce.

Sara roześmiała się, choć ten żart wydawał się zupełnie nie na miejscu. Pete był doskonałym lekarzem, ale jego największą zaletą była wspaniałomyślność. Sara nigdy nie miała bardziej cierpliwego i oddanego swojej pracy nauczyciela niż on. Cieszył się, kiedy student

zdołał wyłowić jakiś szczegół, który jemu umknął, co jest cechą rzadko spotykaną wśród lekarzy.

- Przynajmniej dzięki temu mam doskonałą wymówkę, żeby wrócić do palenia - wydał usta, udając, że wydmuchuje dym z papierosa. - Do moich ukochanych cameli bez filtra. Moja druga żona nienawidziła ich z całego serca. Znasz Deenę, prawda?

- Znam ją jedynie z opowiadań. - Doktor Coolidge była szefową laboratorium kryminalnego w kwaterze głównej GBI. - Jakie masz plany?

- Mówisz o liście życzeń, zanim kopnę w kalendarz? - Pokręcił głową. - Widziałem już świat, a przynajmniej tę jego część, którą miałem ochotę oglądać. Więc pewnie przez ten krótki czas, który mi jeszcze pozostał, postaram się być tak użyteczny, jak tylko potrafię. Może posadzę na farmie parę drzew, żeby moje prawnuki mogły się po nich wspinać. Spędzę trochę czasu z przyjaciółmi. Mam nadzieję, że się do nich zaliczasz.

Sara za nic nie chciała się rozkleić. Wbiła wzrok w wyłożoną popękkanymi płytkami podłogę. W tym budynku było tyle azbestu, że wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby rak Pete'a spowodowany został czymś innym niż tylko paleniem papierosów. Zerknęła na stertę papierów, piętrzącą się obok krzesła. Na samym wierzchu leżała kremowa koperta, zaklejona zblakłą, czerwoną taśmą. To musiało być jakieś bardzo stare orzeczenie. Na zakładce koperty pozostały głębokie zagięcia, a miejsca, gdzie papier nie pożółkł od starości, były czarne od kurzu.

Pete podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Och, to stara sprawa.

Sara dostrzegła datę. Dokument miał ponad trzydzieści lat.

- Nawet bardzo stara.

- Mamy szczęście, że udało im się to znaleźć w archiwum, choć nie jestem pewien, czy w ogóle będzie nam potrzebne.

Podniósł kopertę i położył na swoim biurku. Czarny kurz natychmiast przeniósł się na końce jego palców.

- Miasto miało zwyczaj co pięć lat oczyszczać archiwa z akt, które dotyczyły zamkniętych spraw. Musieliśmy posuwać się do wariackich metod, żeby coś ocalić.

Sara domyśliła się, że ta sprawa musiała coś znaczyć dla Petera. Znała to uczucie. Wiedziała, że wspomnienia o niektórych ofiarach, nad którymi pracowała w Grant County, będą ją prześladować aż do śmierci.

- Jak ci leci w Grady? - zapytał Pete.

- Och, sam wiesz, jak tam jest. - Sara nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Epitet „suka” słyszała tak często, że odwracała głowę już na sam dźwięk tego słowa. - Baseny do pływania i same gwiazdy filmowe.

- Ty popatrz, a mnie przez prawie czterdzieści lat nie zdarzył się ani jeden pacjent, który by odezwał się do mnie impertynencko albo napisał skargę. - Pete uniósł brew. - Wiesz, oni będą potrzebowali kogoś, kto zajmie moje miejsce, kiedy już odejdę.

Sara zaśmiała się, a potem doszła do wniosku, że wcale nie żartował.

- To tylko myśl - wyjaśnił. - Ale prowadzi do tego, że muszę poprosić cię o przysługę.

- Co mogę zrobić?

- Mam przypadek, który właśnie do mnie dotarł. To bardzo ważne. I musi się trzymać kupy.

- Czy ma coś wspólnego z tym? - Wskazała na brudną kopertę na biurku.

- Tak - przyznał. - Na razie sam dam radę to udźwignąć, ale muszę mieć pewność, że za sześć miesięcy, za rok, znajdzie się tutaj ktoś, kto będzie mógł świadczyć w sądzie.

- Przecież masz tuziny ludzi, którzy u ciebie pracują.

- Akurat w tej chwili tylko czworo - sprostował. - Niestety, żadne z nich nie posiada tak rozległego i gruntownego doświadczenia jak ty.

- Ja nie mogę...

- Wciąż jeszcze robisz specjalizację. Sprawdziłem to w rejestrach stanu. - Pochylił się do przodu. - Ja nie jestem dwulicowym człowiekiem, Saro. Z pewnością to o mnie wiesz. Tak więc zrozumiesz moją brutalną szczerą, kiedy powiem, żebyś potraktowała to jak ostatnią prośbę umierającego. Potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobiła. Potrzebuję, żebyś poszła do sądu. Potrzebuję, żebyś stanęła przed ławą przysięgłych i posłała tego człowieka z powrotem tam, gdzie jest jego miejsce.

Sara nie wiedziała, co począć. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Jej mieszkanie wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Wciąż musiała załatwić sprawę z Willem. Poza tym miała na sobie ubranie odpowiednie raczej do odbijania piłki w softballu niż do poważnej pracy. Mimo wszystko wiedziała, że nie ma wyboru.

- Więc już znalazłeś podejrzanego?

- Tak. - Pete przesunął papiery i znalazł żółty folder z aktami.

Sara przejrzała wstępny raport. Nie było tam zbyt wiele. Nieżywa, bezimienna kobieta została znaleziona przed pojemnikiem na śmieci w dość eleganckiej dzielnicy miasta. Została zatłuczona na śmierć. W jej portfelu brakowało gotówki. Zasinienia wokół kostek i nadgarstków sugerowały, że wcześniej była związana, prawdopodobnie uprowadzona.

Sara podniosła wzrok na Pete'a. Okropne, omdlewające przecucie z każdą chwilą przybierało na sile.

- To ta zaginiona studentka z Georgia Tech?

- Jeszcze nie mamy pozytywnej identyfikacji, ale obawiam się, że tak.

- Czy w grę wchodzi kara śmierci? Ciało jest już tutaj?

Pete skinął głową.

- Przywieźli ją pół godziny temu. Cześć, Mandy - dodał, spoglądając na drzwi.

- Pete. - Amanda jedną rękę nosiła na temblaku. Wyglądała gorzej niż przy zwykłym zmęczeniu, ale wciąż trzymała fason. - Witam, doktor Linton.

- Doktor Wagner - odwzajemniła się Sara. Nie mogła nic poradzić, że spogląda ponad jej ramieniem, szukając Willa.

- Czy Vanessa wpadła tutaj?

- Od razu z samego rana. - Pete odwrócił się do Sary. - Vanessa to moja żona. Czwarta pani Hanson.

- Doktor Linton, mam nadzieję, że będziemy mogli skorzystać z pani ekspertyzy?

Sara czuła, że ją omotano. Zadała więc pytanie, które wydawało się oczywiste.

- Czy Will prowadzi dochodzenie?

- Nie. Agent Trent z pewnością nie zostanie wyznaczony do tej sprawy. Co jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego musiałam spędzić dzisiaj całe trzy godziny, chodząc tam i z powrotem po wszystkich korytarzach dwunastopiętrowego budynku, żeby rozmawiać z ludźmi, którzy mają lepsze rzeczy do roboty niż przyglądanie się, jak ganiamy za swoimi ogonami. - Przerwała na chwilę dla nabrania oddechu. - Pete, na litość boską, kiedyś ty się tak zestarzał?

- Mów za siebie. Zawsze ci powtarzałem, że mam zamiar umrzeć młodo.

Zaśmiała się, ale w tym śmiechu krył się cień smutku.

- Wciąż pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy weszłaś do tej kostnicy.

- Proszę, nie bawmy się w ckliwe wspomnienia. Spróbujmy zachować odrobinę godności.

Uśmiechnął się jak przebiegły kot. Przez chwilę patrzyli na siebie i Sara zastanawiała się, czy gdzieś pomiędzy licznymi paniami Hanson znalazło się także miejsce dla Amandy Wagner.

Ten moment szybko minął i Pete wstał zza biurka. Wyciągnął rękę, szukając oparcia, ale kiedy Sara podskoczyła, żeby mu pomóc, delikatnie odsunął ją na bok.

- Na razie jeszcze nie jest to konieczne, moja droga - powiedział i zwrócił się do Amandy. - Możesz używać mojego biura. Chodźmy tam i wreszcie zaczynajmy.

Wskazał Sarze, żeby szła przed nim. Posłusznie popchnęła drzwi prowadzące do kostnicy, w ostatniej chwili opanowując chęć, żeby je przytrzymać dla Pete'a. W ogromnym, wykafelkowanym pomieszczeniu Pete wydawał się jeszcze bardziej wymizerowany. Biuro służyło jako bufor, który pomaga zatuszować zniszczenia i postęp choroby. W jaskrawym świetle teatru operacyjnego już nic nie mogło ukryć tego, co oczywiste.

- Trochę tu chłodno - wymamrotał Pete, ściągając z wieszaka swój biały, laboratoryjny fartuch. Podeszedł do szafy i wręczył Sarze jedno ze swoich zapasowych okryć. Na kieszeni wyszyte było jego nazwisko. Sara mogła się dwa razy owinać tym fartuchem. Ale teraz to samo mógł zrobić Pete.

- Nasza ofiara. - Wskazał leżące na środku, przykryte prześcieradłem ciało. Krew przesiąkła przez materiał, co było dość niezwykle. Cyrkulacja zamierała w chwili, gdy serce przestawało bić. Krew się ścinała. Sara mimo woli poczuła coś w rodzaju grzesznego podekscytowania.

Rozkoszowała się myślą, że za chwilę będzie pracować nad trudnym przypadkiem. W Grady Hospital musiała zajmować się wciąż takimi samymi chorobami albo urazami, co w końcu stawało się nieco otępiające.

- Już zrobiliśmy zdjęcia i zdjęcia rentgenowskie - odezwał się Pete.
- Wysłaliśmy jej ubranie do laboratorium. Czy wiecie, że kiedyś po prostu cięło się takie ubrania i wrzucało do worków? I te przypadki gwałtów. - Roześmiał się. - Mój Boże, nauka od początku była pełna wad. Nie było czegoś takiego jak składanie zeznań przez ofiarę. Jeśli na bieliznie podejrzanego nie znaleźliśmy śladów spermy, nie mogliśmy legalnie wnieść oskarżenia o gwałt.

Sara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, jak okropnie wyglądały niegdyś takie rzeczy. Na szczęście nie musiała.

Pete zwinął warkocz na czubku głowy i założył czapkę bejsbolową z logo Atlanta Braves. Najwyraźniej w kostnicy był w swoim żywiole, jak dawniej pełen animuszu.

- Dokładnie pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z chirurgiem szczękowym na temat śladów ugryzień. Byłem wówczas pewien, że właśnie patrzemy na przyszłość rozwiązywania spraw kryminalnych. Struktura włosa. Włókna dywanu. - Pete zachichotał. - Jeśli czegoś mi żal, to wyłącznie tego, że nie dożyję dnia, kiedy będziemy mieć na iPadzie DNA wszystkich obywateli tego kraju, a wtedy jedyne, co będziemy musieli zrobić, to zeskanować trochę krwi

albo odrobinę tkanki, a po chwili dowiemy się, gdzie aktualnie przebywa nasz niegrzeczny chłopiec. To będzie koniec zbrodni takiej, jaką dotąd znaliśmy.

Sara nie chciała rozmawiać o wiszącym nad Petem wyroku. Zajęła się poprawianiem włosów; musiała je związać gumką i wcisnąć pod chirurgiczny czepek, żeby przypadkiem nie spowodować jakiegoś zanieczyszczenia.

- Od jak dawna znasz Amandę? - spytała.

- Och, od czasów, gdy wśród nas krążyły dinozaury - zażartował, a potem dodał poważniejszym tonem. - Poznałem ją, kiedy zaczęła pracować z Evelyn. Obie były parą niezłych pistoletów.

Ten opis wydał się Sarze niezmiernie dziwny, jak gdyby Amanda i Evelyn biegały po Atlantycie w charakterze doborowych strzelców.

- Jaka ona była?

- Przede wszystkim bardzo interesująca - odparł Pete, co w jego ustach było jednym z najbardziej wyszukanych komplementów. Znad zlewu, w którym mył ręce, popatrzył na odbicie Sary w lustrze. - Wiem, że z tym nie było najlepiej, kiedy przychodziłaś studiować w szkole medycznej... Ile tam było dziewczyn? Pewnie garstka?

- Żeby chociaż tyle - odpowiedziała Sara. - Ale teraz na ostatnim roku było ich ponad sześćdziesiąt procent.

Nie wspomniała, że te, które nie brały sobie wolnego na urodzenie dzieci, szły głównie na pediatrię bądź ginekologię, podobnie jak wtedy, kiedy Sara była na internie.

- A ile kobiet pracowało w policji, kiedy Amanda wstępowała do służby?

Zmrużył oczy, jakby musiał intensywnie się nad tym zastanowić.

- Mniej niż dwieście na ponad tysiąc?

Pete odsunął się na bok, żeby Sara także mogła umyć ręce.

- Nikt wówczas nie myślał, że to dobra praca dla kobiet. Ogólnie uważano, że to zajęcie dla mężczyzn. Było mnóstwo gderania, że one nie dadzą rady obronić samych siebie, że nie mają jaj, żeby pociągnąć za spust... Prawda wyglądała tak, że w głębi duszy wszyscy mężczyźni byli przerażeni, że kobiety mogą okazać się od nich lepsze. I trudno ich za to winić. - Pete mrugnął do niej szelmowsko. - Ostatnim razem, gdy kobiety były u władzy, zdecydowały, że należy wprowadzić prohibicję.

Sara odpowiedziała mu uśmiechem.

- Myślę, że moglibyście wybaczyć nam ten jeden błąd na przestrzeni stu lat.

- Być może - zgodził się. - Wiesz, kiedy słuchasz ludzi z mojego pokolenia, wydaje się, że wszyscy byliśmy hipisami, uprawiającymi wolną miłość, ale prawda jest taka, że wtedy więcej było takich osób jak Amanda Wagner niż takich jak Timothy Leary*, przynajmniej w tej części kraju. - Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. - Nie znaczy to bynajmniej, że życie przeciekało nam przez palce.

Mieszkałem na cudownym osiedlu na obrzeżach Chattahoochee. W zakolu rzeki. Słyszałaś o tym miejscu?

**Timothy Leary (1920-1996) - amerykański filozof, pisarz, jeden z inicjatorów powstania ruchu hippisowskiego.*

Sara potrząsnęła głową. Wspomnienia Pete'a sprawiały jej przyjemność. Najwyraźniej choroba nowotworowa zmuszała go do spoglądania z takiej perspektywy na swoje życie.

- Mieszkało tam mnóstwo pilotów linii lotniczych. Stewardes, prawników, lekarzy, pielęgniarek, i tak dalej. - Jego oczy zaświeciły się na samo wspomnienie. - Rozkręciłem pokątnie pewien mały biznes, sprzedając penicylinę wielu republikańskim działaczom i działaczkom, którzy teraz zajmują wysokie stanowiska w rządzie naszego stanu.

Sara łokciem zamknęła kran.

- To chyba faktycznie były zwariowane czasy.

Sama wkroczyła w dorosłość już w okresie epidemii AIDS, kiedy za wolną miłość zaczynało się płać wysoką cenę.

- Rzeczywiście zwariowane. - Pete wręczył jej papierowy ręcznik. -

Kiedy odbył się proces Browna przeciw Ministerstwu Oświaty?

- Chodzi o sprawę zniesienia segregacji rasowej? - Sara wzruszyła ramionami. Minęło już sporo czasu, odkąd chodziła w szkole średniej na lekcje historii. - W pięćdziesiątym czwartym? Może w pięćdziesiątym piątym?

- Mniej więcej w tym okresie stan zaczął wymagać, żeby biali nauczyciele podpisywali deklarację, że będą przeciwdziałać integracji. Gdy odmawiali, od razu tracili pracę.

Sara nigdy nie słyszała o takiej deklaracji, ale wcale jej to nie zaskoczyło.

- Duke, ojciec Amandy, akurat był daleko stąd, kiedy rozprowadzano tę deklarację.

Pete dmuchnął w każdą z chirurgicznych rękawiczek, zanim spróbował naciągnąć je na dłonie.

- Miriam, matka Amandy, odmówiła jej podpisania. Więc jej ojciec, czyli dziadek Amandy - bardzo wpływowy człowiek, wysoka szczycha w Southern Bell - wsadził ją do Milledgeville.

Sara poczuła, jak ze zdumienia rozdziawia usta.

- Skazał swoją córkę na pobyt w szpitalu psychiatrycznym?

- Ten obiekt w zasadzie był wtedy taką przechowalnią, przeznaczoną dla weteranów i dla psycholi, którzy popełnili jakąś zbrodnię. No i dla kobiet, które podpadły swoim ojcom.

Sara próbowała zrobić obliczenie.

- Czy Amanda była wówczas na świecie?

- Wydaje mi się, że miała wtedy cztery albo pięć lat. Duke wciąż był w Korei, więc jego teść miał władzę absolutną. Zakładam, że nikt nie powiadomił Duke'a, co tu się dzieje. Gdy tylko wrócił do Georgii, zabrał Amandę i wypisał żonę z Milledgeville. Nigdy więcej nie odezwał się do swojego teścia. - Pete podał Sarze parę rękawiczek. - Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku, aż tu pewnego dnia Miriam poszła do ogrodu na tył domu i tam powiesiła się na jednym z drzew.

- Coś okropnego. - Sara naciągnęła chirurgiczne rękawiczki. Nic dziwnego, że Amanda była zamknięta w sobie. Była nawet gorsza niż Will.

- Tylko nie bądź teraz za bardzo ustępliwa w stosunku do niej - ostrzegł Pete. - Amanda cię okłamała. I to tutaj, w moim biurze. Specjalnie chciała, żebyś zajęła się tą sprawą.

Zamiast pytać o powód, Sara podążyła za jego spojrzeniem w stronę drzwi. W progu stał Will i gapił się na nią zszokowanym wzrokiem. Nigdy nie widziała, żeby aż tak okropnie wyglądał. Miał przekrwione oczy, był rozczochrany i nieogolony, a z wyczerpania dosłownie chwiał się na nogach. Cierpiał w tak oczywisty sposób, że Sara niemal czuła, jak pęka jej serce.

Instynkt nakazywał biec do niego, ale była tam Faith, a oprócz niej Amanda i Leo Donnelly, Sara zaś wiedziała, że takie publiczne okazywanie uczuć może tylko pogorszyć sprawę. Mogła to wyczytać na twarzy Willa. Był absolutnie wstrząśnięty jej obecnością. Sara spojrzała ze złością na Pete'a, upewniając się, że on zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest wściekła. Amanda mogła kłamać, że Will nie bierze udziału w śledztwie, ale to Pete ją zwabił, by przyjechała do kostnicy. Zdarła z rąk rękawiczki, jednocześnie idąc w kierunku Willa. Najwyraźniej nie chciał, żeby Sara widziała go w tym stanie.

Początkowo miała zamiar zaprowadzić go do biura Pete'a i tam wszystko wyjaśnić i przeprosić z całego serca, ale wyraz twarzy Willa skutecznie ją zniechęcił.

Z bliska wyglądał jeszcze gorzej. Z trudem powstrzymała się, żeby nie objąć dłońmi jego policzków, nie oprzeć głowy na jego ramieniu. Z jego postaci emanowało potworne zmęczenie, a w oczach kryło się tyle cierpienia, że jej serce krajało się z żalu.

Zniżyła głos do szeptu.

- Powiedz, co byś chciał, żebym zrobiła. Mogę stąd wyjść. Mogę zostać. Powiedz, jak będzie dla ciebie lepiej.

Oddychał płytko, rzucając jej spojrzenie tak przepełnione rozpaczą, że Sara walczyła, by powstrzymać łzy.

- Powiedz, co mam robić - błagała. - Powiedz, co chcesz, żebym zrobiła.

Jego spojrzenie spoczęło na wózku, na ciele ofiary.

- Zostań - wymamrotał, wchodząc do sali.

Sara westchnęła boleśnie, zanim odwróciła się do pozostałych. Faith spoglądała w innym kierunku, za to Amanda nie spuszczała z niej wzroku. Sara nigdy nie była w stanie pojąć dziwnych relacji, które łączyły Willa z jego szefową, ale w tym momencie zupełnie jej to nie obchodziło. Na całej planecie nie było ani jednej osoby, którą pogardzałyby tak bardzo jak Amandą Wagner. Amanda najwyraźniej prowadziła z Willem jakąś grę i najwyraźniej Will tę grę przegrywał.

- Może już zacznijmy - zasugerował Pete.

Sara, krzyżując ręce, stanęła obok Pete'a, naprzeciwko Faith i Willa. Starła się uśmierzyć swój gniew. Will poprosił ją, żeby została. Sara nie potrafiła odgadnąć, dlaczego tak postanowił, ale nie chciała powodować dodatkowego napięcia wśród obecnych na sali.

Zamordowana została kobieta i wszyscy powinni skupić uwagę na tym fakcie.

- W porządku, panie i panowie. - Pete stopą nacisnął przycisk uruchamiający dyktafon, który nagrywał całą procedurę, a następnie wypowiedział na głos zwykle w takich okolicznościach informacje: czas, personalia obecnych przy sekcji osób oraz tymczasową tożsamość ofiary, zidentyfikowanej jako Ashleigh Renee Snyder. - Identyfikacja musi jeszcze zostać potwierdzona przez rodzinę, chociaż naturalnie będziemy musieli posłużyć się kartą stomatologiczną, która już została przerobiona na wersję cyfrową i wysłana do laboratorium Panthersville Road. Czy ojciec ofiary już jedzie? - zwrócił do Leo

Donnelly'ego.

- Wóz policyjny odebrał go z lotniska. Powinien tu być lada chwila.
- Bardzo dobrze, detektywie. - Pete rzucił mu pełne powagi spojrzenie. - Ufam, że zatrzyma pan dla siebie swoje złośliwe uwagi i dwuznaczne komentarze?

Leo podniósł wysoko obie ręce.

- Jestem tu tylko po to, by potwierdzić identyfikację, żebym mógł przekazać tę sprawę dalej.

- Dziękuję.

Bez dalszych wstępów Pete chwycił brzeg prześcieradła i odrzucił na bok. Faith sapnęła z wrażenia i odruchowo zakryła dłonią usta, ale niemal tak samo szybko zmusiła się, by opuścić rękę. Nerwowo przelykała ślinę, choć nawet przez chwilę nie mrugała powiekami. Faith wydawała się zdeterminowana, żeby wytrzymać do końca.

Niezwykłe, ale Sara dzieliła jej uczucia. Zawsze sądziła, że po tylu latach pracy jest uodporniona na okropieństwa, jakie niesie ze sobą przemoc, lecz stan, w jakim znajdowało się ciało młodej kobiety,

przyprawił ją o skurcz żołądka. Ta dziewczyna nie została po prostu zabita. Ona została zmasakrowana. Czarne siniaki pokrywały większość tułowia. Całe ciało upstrzone było maleńkimi, czerwonymi obrzękami. Jedno z żeber przebiło skórę, a jelita wysunęły się na zewnątrz i wisiały pomiędzy nogami.

Ale to jeszcze nie było najgorsze.

Sara nigdy nie należała do zwolenników koncepcji istnienia Zła. Uważała, że to słowo stanowi jedynie wymówkę - wytłumaczenie choroby psychicznej albo deprawacji. Można było bezpiecznie się za nim ukryć zamiast zmierzyć się ze świadomością, że ludzkie istoty mogą okazać się zdolne do nikczemnych uczynków. Że niewiele powstrzymuje nas od tego, żebyśmy zaspokajali swoje bestialskie pragnienia.

Jednakże termin „zło” był jedynym określeniem, które nasuwało się Sarze, gdy patrzyła na ofiarę zbrodni. Nie szokowały jej siniaki, nakłucia ani nawet ślady po ugryzieniach, lecz dokładne, metodyczne nacięcia na nogach i ramionach nieżywej kobiety - wzór przecinających się na krzyż linii, które ciągnęły się wzdłuż ud i na tułowiu tak idealnie, jakby ktoś wymierzał je linijką. Napastnik rozdzierał ciało w ten sam sposób, w jaki rozrywa się szew w sukience.

I jeszcze jej twarz... Sara nawet nie zbliżyła się do zrozumienia, co napastnik zrobił z twarzą ofiary.

- Zdjęcia rentgenowskie pokazały, że kość gnykowa jest złamana - odezwał się Pete.

Sara rozpoznała znajome zasinienie dookoła szyi kobiety.

- Czy zrzucił ją z dachu po tym, jak została uduszona?

- Nie - odpowiedział Pete. - Znaleziono ją na zewnątrz jednopiętrowego budynku. Wypadnięcie jelit zapewne jest związane z

przedśmiertnymi, zewnętrznymi obrażeniami. Zostały zadane tęnym narzędziem albo ręką. Czy te prążkowania wyglądają twoim zdaniem na odciski palców, na ślady po zaciśniętej pięści?

- Tak. - Sara zacisnęła usta. Siła uderzeń musiała być straszliwa. Zabójca przypuszczalnie odznaczał się doskonałą kondycją fizyczną; pewnie był potężnej postury, a do tego przepelniała go wściekłość. Mimo wszelkich zmian, jakie nastąpiły na świecie, wciąż istnieli na nim mężczyźni, którzy traktowali kobiety z całkowitą pogardą.

- Doktorze Hanson - odezwała się w końcu. - Na użytek nagrania chciałabym zapytać, o której godzinie, pańskim zdaniem, nastąpił zgon?

Pete uśmiechnął się, słysząc to pytanie.

- Zgaduję, że śmierć nastąpiła gdzieś pomiędzy trzecią a piątą rano w dniu dzisiejszym.

Faith wtrąciła się do rozmowy.

- Świadek, który widział zielonego vana, wyszedł pobiegać gdzieś około czwartej trzydzieści. Nie rozpoznał marki ani modelu. - Faith wciąż unikała kontaktu wzrokowego z Sarą. - Możemy rozesłać list gończy, ale prawdopodobnie to niczego nie da.

- Czwarta trzydzieści dziś rano całkiem mi pasuje - odparł Pete. - Jak wszyscy wiecie, określanie czasu zgonu nie jest domeną nauk ścisłych.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - prychnęła Amanda.

- Doktor Linton? - Pete dał znak ręką, żeby się przybliżyła. - Może ja stanę po prawej stronie, a pani zajmie się lewą?

Sara naciągnęła na dłonie świeżą parę rękawiczek, Will zaś odsunął się na bok, żeby zrobić jej przejście dookoła stołu. Wciąż był zbyt milczący i nadal starannie unikał jej pytającego spojrzenia. Sara czuła ogromną potrzebę, żeby coś dla niego zrobić, lecz z drugiej strony

przytłaczała ją równie wielkie pragnienie, by porządnie zająć się martwą kobietą. Coś podpowiadało, że to drugie pomoże jej w pierwszym. Ta sprawa dotyczyła Willa, niezależnie od kłamstw, które wciskała jej Amanda. Najwyraźniej czuł jakiś emocjonalny związek z ofiarą. Sara nigdy dotąd nie widziała, żeby ktoś wyglądał na tak rozbitego i pogrążonego w smutku.

Teraz rozumiała, dlaczego Pete chciał, żeby zeznania w sądzie składał ktoś, komu on mógłby zaufać. Każdy fragment ciała tej kobiety domagał się sprawiedliwości. Ktokolwiek zaatakował i zamordował Ashleigh Snyder nie chciał jej jedynie zabić. Chciał ją zniszczyć.

Sara poczuła delikatne ukłucie w głowie, gdy wewnątrz przygotowywała się do procedury. Przysięgli mieli okazję wystarczająco często śledzić amerykańskie seriale kryminalne, by zasadniczo rozumieć, na czym polega sekcja, ale to do koronera należało naukowe wyjaśnienie każdego szczegółu, który udało mu się odkryć. Łańcuch postępowania karnego był świętością. Wszystkie preparaty, próbki tkanek, oraz dowody rzeczowe zostaną skatalogowane w komputerze. Mnóstwo próbek zostanie zabezpieczonych nienaruszalną taśmą, którą rozerwać wolno jedynie w laboratorium GBI. Dowody rzeczowe oraz próbki tkanek zostaną poddane analizie DNA. Przy odrobinie szczęścia wyniki badań DNA będą pasowały do podejrzanego i w ten sposób podejrzany zostanie aresztowany na podstawie niepodważalnych dowodów.

Nagle usłyszała głos Pete'a.

- Sara, możemy zacząć?

Przy stole chirurgicznym stały dwie identyczne tace z zestawem narzędzi: drewnianymi szpatułkami, szczypcami, giętkimi linijkami, probówkami i płytkami na preparaty. Pete miał dodatkowo szkło

powiększające, które teraz przysunął do oka, pochylając się nad ciałem. Jednak zamiast zacząć od czubka głowy tak jak zwykle, najpierw przyjrzał się dłoni zmarłej. Podobnie jak nogi i tułów, ciało po wewnętrznej stronie ręki - od nadgarstka aż do ramienia - zostało nacięte w jednej równej linii, która zakręcała pod pachą, tworząc kształt litery U, i spływała w dół aż do biodra.

- Nie umyłeś jej, prawda? - spytała Sara. Skóra zmarłej wyglądała na wyszorowaną i pachniała mydłem.

- Nie - odpowiedział Pete.

- Ciało wygląda na czyste - zauważyła Sara wyraźnie, żeby jej słowa zostały nagrane. - Włosy łonowe są wygolone. Na nogach nie ma szczeciny.

Kciukiem przycisnęła skórę dookoła oczu.

- Brwi wyregulowane pincetką w łuki. Sztuczne rzęsy.

Teraz skoncentrowała się na głowie dziewczyny. Odrosty przy skórze były ciemne, ale reszta włosów ufarbowana była na różne odcienie żółci i bieli.

- Włosy ufarbowane na blond. Kolor sięga aż do skóry, co świadczy o tym, że niedawno został nałożony.

Miękkim grzebieniem, najdelikatniej jak potrafiła, zaczęła rozczesywać pofalowane pasma, żeby wydostać z nich jakieś okruszyny. Na biały papier pod głowę dziewczyny posypały się płatki łupieżu i drobinki asfaltu. Sara odłożyła na bok próbki, przeznaczone do dalszego badania.

W następnej kolejności zbadała linię włosów, sprawdzając, czy nie znajdzie tam nakłuc po igle albo innych śladów, których nie powinno tam być. Otokopem zbadała wnętrze nosa.

- Widać, że wnętrze nosa jest poważnie zniszczone. Błona jest podziurawiona, ale nie przekłuta.

- To przez metamfetaminę - zgadł Pete, co było całkiem prawdopodobne, biorąc pod uwagę wiek ofiary. Mówił wyraźnie głośniej niż poprzednio, co sugerowało, że albo dyktafon jest stary, albo Pete nie ma doświadczenia w obchodzeniu się z takim sprzętem.

- Paznokcie u rąk wyglądają jak po profesjonalnym manicurze. Pomalowane są jasnoczerwonym lakierem.

Odwrócił się do Sary.

- Doktor Linton, czy może pani sprawdzić, jak to wygląda z drugiej strony?

Sara podniosła rękę zmarłej. Ciało znajdowało się we wstępnym stadium stężenia pośmiertnego.

- To samo na drugiej ręce - powiedziała. - Taki sam lakier.

Nie miała pojęcia, czemu Pete przywiązuje wagę do wyglądu paznokci. W Atlancie wystarczyło rzucić kamieniem, żeby natknąć się na jakiś salon piękności.

- Spójrz, na paznokciach u stóp kolor jest zupełnie inny.

Sara zerknęła na stopy zmarłej. Paznokcie były pomalowane na czarno.

- Czy to normalne, że kolor na dłoniach różni się od koloru na stopach? - zapytał Pete.

Sara wzruszyła ramionami, podobnie jak Faith i Amanda.

- No cóż - odparł, ale przerwał mu dźwięk początkowych fraz refrenu z Brick House.

- Przepraszam. - Leo Donnelly wyjął z kieszeni telefon i spojrzął na identyfikację numeru. - To policjant, którego wysiałem na lotnisko. Zapewne ojciec Snyder czeka przed drzwiami.

Odebrał połączenie, już idąc w stronę wyjścia.

- Donnelly - powiedział do słuchawki.

W pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu silnika umieszczonego na szczycie obszernej chłodziarki. Sara próbowała zwrócić na siebie uwagę Willa, ale on gapił się w podłogę.

- Jezu Chryste! - Faith nie przeklinała Donnelly'ego. Dopiero teraz spojrzała na twarz ofiary. - Co ten drań jej zrobił, do diabła?

Rozległo się kliknięcie, kiedy stopa Pete'a trafiła na przycisk dyktafonu. Pete zwracał się do Sary, jakby to właśnie ona zadała mu pytanie.

- Jej oczy i usta zostały zaszyte. - Musiał użyć obu rąk, by rozewrzeć zmasakrowane powieki. Były pocięte w grube paski, jak plastikowa zasłonka w zamrażarce rzeźnika. - Widzisz miejsca, gdzie nitka porozrywała skórę?

- Jak to poznajesz? - spytała go Sara.

Pete nie udzielił odpowiedzi.

- Te linie wzdłuż tułowia, na wewnętrznej stronie rąk i nóg... Tutaj wykorzystał mocniejszą nić, żeby powstrzymać ją od poruszania się. Sądzę, że użył igły tapicerskiej i zapewne woskowanej nici lub jedwabnej przędzy. Przepuszczalnie znajdziemy mnóstwo włókien do analizy.

Pete wręczył Sarze szkło powiększające. Obejrzała z bliska rozdarcia. Podobnie jak w wypadku powiek i ust ofiary, skóra była rozerwana, a tkanki wisiały w równych odstępach. Zdołała nawet zauważyć drobne punkciki w miejscach, w których igła wchodziła w ciało. Nie raz. Nie kilka razy. Otwory przypominały dziury w płatkach uszu Sary, kiedy jako dziecko pozwoliła sobie je przekłuć.

- Musiała sama oderwać się od materaca albo od czegoś, do czego została przyszyta, kiedy ten drań zaczął ją tłuc.

Pete objaśnił swoje hipotezy.

- To mógł być niekontrolowany odruch. On walnął ją w brzuch, a wtedy zwinęła się w kłębek. Otworzyła usta. Otworzyła oczy. A on uderzał raz za razem.

Sara pokręciła głową. Pete stanowczo zbyt szybko wyciągał pochopne wnioski.

- Chyba coś mi umknęło...

Pete wepchnął ręce do pustych kieszeni swojego fartucha, przyglądając się Sarze z taką samą pieczołowitą uwagą, jak wtedy, gdy objaśniał nową procedurę.

- To nie jest pierwsza ofiara tego mordercy - wtrąciła Amanda.

Sara wciąż nie pojmowała.

- Skąd możecie to wiedzieć? - zwróciła się do Pete'a.

Will odchrząknął głośno. Podskoczyła, bo niemal zapomniała, że on także przebywa w tym pomieszczeniu.

- Ponieważ to samo zrobił z moją matką - powiedział.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 17

LUCY BENNETT

Dzień Ojca. Trąbili o tym w radiu przez cały dzień. Z tej okazji Richway urządził specjalną wyprzedaż, a w Davis Brothers otworzyli bufet w formie szwedzkiego stołu. Prezenterzy radiowi w kółko opowiadali o swoich ulubionych prezentach z poprzednich lat. O koszulkach, krawatach i kijach golfowych.

Tato Lucy należał do tych ojców, którym łatwo jest kupić prezent. Od dzieci zawsze dostawał butelkę whisky. Potem mijały dwa tygodnie i jeśli cokolwiek zostało w butelce, to Czwartego Lipca wszyscy mogli liczyć na drinka podczas pokazu fajerwerków.

Tata Lucy.

Nie chciała o nim myśleć. Nie chciała myśleć o nikim, kto przedtem uczestniczył w jej życiu.

W newsach znowu pojawiła się Patty Hearst. Jej proces miał się odbyć dopiero za rok, lecz obrona zdecydowała, że pozwoli na przeciek kilku szczegółów dotyczących uprowadzenia. Lucy już wcześniej wiedziała, co przydarzyło się tej zwariowanej dziwce. To stało się jeszcze wtedy, kiedy pracowała na ulicy. Tyle, że wtedy nie było z kim o tym pogadać. Z wyjątkiem Kitty żadna z dziewczyn nawet nie słyszała nazwiska Hearst. Albo Kitty zwyczajnie kłamała. Doskonale potrafiła kłamać, udając, że wie o różnych rzeczach, choć w końcu okazywało się, że chodziło jedynie o pretekst, żeby cię przywabić, a potem zniecka zadać cios w plecy jak przystało na zdrażliwą matą sukę.

Po Hearst porwano dziennikarza z „Atlanta Journal”. Za jego uwolnienie porywacze zażądali miliona baksów. Twierdzili, że także są ze SLA*. Cóż to byli za idioci. Wpadli w łapy policji i nie zdążyli wydać nawet centa z tamtych pieniędzy. Milion dolarów. Co Lucy by zrobiła, gdyby dostała tego rodzaju kasę?

** SLA - lewicowa grupa rewolucyjna Symbionese Liberation Army, która 4 lutego 1974 roku porwała Patty Hearst, dziedziczkę amerykańskiego magnata prasowego Williama Randolpha Hearsta .*

Jedynym bankiem, który od ręki mógł wypłacić tak olbrzymią sumę, okazał się C&S.

Prezesem tego banku był Mills Lane. Jego zdjęcie mnóstwo razy ukazywało się w gazetach. Był tym samym facetem, który pomógł burmistrzowi zbudować stadion. Nie czarnemu burmistrzowi, lecz temu, który występował jako kontrkandydat Lestera Maddoxa. Lucy czuła, jak w jej gardle bulgocze śmiech.

„Pickrick”, knajpa Maddoxa na West Peachtree. Gość powiesił na ścianach kilka siekier. Plotka głosiła, że podobno obiecał roztrzaskać nimi głowę każdego czarnucha, który ośmieli się przekroczyć próg jego lokalu.

Lucy wyobraziła sobie, jak Juice wchodzi do restauracji. Wyobraziła sobie siekierę w jego głowie i mózg, który rozpryskuje się dookoła.

Washington-Rawson. Slums, który wyburzono, by na jego miejscu postawić Atlanta Stadium. Tę historię opowiedział Lucy jej tata. Poszli tam na mecz baseballa. Na The Braves. Chief Noc-a-Homa** z wielką, głupią gębą ganiał z siekierą, którą mógł ukraść z lokalu Lestera Maddoxa. Tata Lucy powiedział, że stadion ma za zadanie

ożywić okolicę. W granicach miasta mieszkało prawie półtora miliona ludzi, z których większość żyła z rządowych zasiłków. Jeśli Atlanta nie zdołała siłą wy. pędzić czarnuchów z miasta, to przynajmniej mogła ich zalać betonem.

*** Chief Noc-a-Homa - mai kotka legendarnej drużyny baseballowej The Braves z Atlanty.*

SLA zalało betonem Patty Hearst. Byli sektą, która urządziła jej pranie mózgu. Przynajmniej tak twierdziła pani doktor, która wypowiadała się o tym w radiu. Psychoterapeutka była kobietą, więc Lucy przyjęła jej opinię z odrobiną sceptycyzmu, choć ta pani utrzymywała, że wystarczą dwa tygodnie, żeby pranie mózgu okazało się skuteczne.

Dwa tygodnie.

Lucy wytrzymała już przynajmniej dwa miesiące. Nawet po tym, jak ustąpił głód hery. Nawet kiedy już przestała tęsknić za ćpaniem. Nawet kiedy już nauczyła się nie poruszać, nie oddychać zbyt głęboko albo za długo. Nawet gdy przestała się martwić tym, że na plecach i nogach od leżenia we własnych sikach i ekskrementach zrobiły jej się otwarte rany.

Płonęła z nienawiści za każdym razem, kiedy on wchodził do pokoju. Wzdrygała się, kiedy jej dotykał. Wydobywała z gardła dźwięki, bez poruszania ustami formułowała słowa, o których wiedziała, że on może je zrozumieć.

Ty szatanie.

Ty diable wcielony.

Zabiję cię na śmierć.

Ty skurwysynu.

I nagle on przestał przychodzić. To musiało trwać zaledwie kilka dni. Nie możesz przeżyć bez wody dłużej niż dwa, góra trzy dni.

Więc może on zniknął na trzy dni. Może kiedy wchodził do pokoju, ona zalała się łzami. Może nie wzdygnęła się, kiedy rozczesywał jej włosy. Może nie napinała się, kiedy ją obmywał. A kiedy wreszcie dosiadł ją, żeby zrobić to, czego Lucy spodziewała się po nim od pierwszego dnia, poczuła, że jej ciało zaczyna mu odpowiadać.

A kiedy znowu odszedł, być może szlochała. Pałała żądzą. Błagała, by wrócił. Tęskniła.

Tak samo, jak robiła z Bobbym, jej pierwszą miłością. I tak samo jak z Fredem - facetem, który na lotnisku sprzątał samoloty. Potem był Chuck, który zarządzał osiedlem. I dziesiątki innych, którzy gwałcili ją, tłukli, pieprzyli, a później zostawiali na poboczu drogi na pewną śmierć.

Syndrom sztokholmski.

Tak określiła to owa pani doktor, która wypowiadała się w radiu CBS. Walter Cronkie przedstawił ją jako znaną specjalistkę i autorytet. Podobno pracowała z ofiarami sekt i ofiarami prania mózgu. Wydawała się wiedzieć, o czym mówi, chociaż może tylko starała się zrobić dobre wrażenie, ponieważ to, co mówiła, nie wyglądało całkiem spójnie.

Przynajmniej nie dla Lucy.

Nie dla dziewczyny, która spała we własnych ekskrementach. Nie dla dziewczyny, która nie mogła poruszyć ręką ani nogą. Nie dla dziewczyny, która nie mogła otworzyć ust, o ile nie zostaną rozcięte. Nie mogła zamrużyć, dopóki cienkie jak żyłeczka ostrze scyzoryka nie przetnie drobnych szwów.

W sekundzie, w której dostrzeże najmniejszą choćby okazję, choćby nawet tylko cień szansy, nic nie powstrzyma jej przed ucieczką. Wyrwie się na wolność. Na czworakach wróci do rodzinnego domu. Odnajdzie rodziców. Odnajdzie Henry'ego.

Pójdzie do gliniarzy. Oderwie swoje ciało od tego materaca i znajdzie sposób, żeby wrócić do domu.

Patty Hearst była głupią suką. Siedziała w szafie, ale nikt jej nie dręczył. Miała okazję. Miała dość sposobności. Stała w tym banku z karabinem w rękę, wykrzykując te bzdury, które głosiło SLA, kiedy mogła po prostu wybiec przez drzwi i wołać o pomoc.

Gdyby Lucy miała karabin, użyłaby go, żeby strzelić w głowę temu gościowi. Walnęłaby go kolbą prosto w czaszkę. Zgwałciła za pomocą długiej lufy i śmiałaby się, kiedy krew tryskałaby mu z ust, a oczy wychodziły z orbit.

A potem odszukałaby tę panią doktor z radia i powiedziała, że cholernie się myli. Patty Hearst wcale nie była bezradna. Mogła uciec. Mogła wyrwać się stamtąd w dowolnym czasie.

Lecz wtedy pani doktor mogłaby zwrócić jej uwagę, że Lucy ma coś, czego Patty Hearst nie miała.

Lucy już nie była sama. Nie potrzebowała ani Bobby'ego, ani Freda, ani Juice'a, ani swojego ojca ani nawet Henry'ego. Już nie mierzyła czasu ciepłymi promieniami słońca, które wchodziło lub zachodziło, ślizgając się po jej twarzy. Mierzyła upływ czasu nie w dniach, lecz w tygodniach i miesiącach, i według powiększającej się wypukłości brzucha.

To mogło nastąpić lada dzień.

Lucy spodziewała się dziecka.

14 lipca 1975 roku

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 18

Kapitan Bubba Keller był jednym z kumpli Duke'a, z którymi grywał w pokera, co oznaczało, że najprawdopodobniej jego biała szata była czyszczona w pralni chemicznej, w której zmarła matka Deeny Coolidge. Pranie przywoziła żona Kellera. On sam pewnie nie miał bladego pojęcia, kto pierze jego rzeczy.

Amanda nigdy nie zastanawiała się nad tym, że jej ojciec przyłączył się do Klanu. Klan wciąż miał pod kontrolą Department Policji Miasta Atlanta, gdzie wstępowali mężczyźni tacy jak Duke Wagner czy Bubba Keller. Członkostwo było obowiązkowe, podobnie jak płacenie składek na Fraternal Order of Police*. Jednak raczej żaden z nich nie wyrażał sprzeciwu. Obaj zresztą pochodzili z rodzin o niemieckich korzeniach. I obaj wstąpili do marynarki, w nadziei, że zostaną wysłani na Pacyfik i w ten sposób nie trafią do ogarniętej wojną Europy. Obaj nosili krótko, po wojskowemu przystrzyżone włosy. Ich spodnie zawsze były wyprasowane na kant, a krawaty z gładkiego materiału. Zawsze załatwiali mnóstwo spraw. Otwierali drzwi przed kobietami. Opiekowali się słabszymi. Karali winnych. Odróżniali dobro od zła.

** Fraternal Order of Police (FOP) - istniejąca w Stanach Zjednoczonych organizacja, która zrzesza oficerów policji oraz innych funkcjonariuszy sektora publicznego, odpowiedzialnych ze egzekwowanie prawa.*

Dokładnie rzecz ujmując, to oni byli dobrzy, a wszyscy pozostali źli.

Pod koniec lat sześćdziesiątych szef policji Herbert Jenkins wyrzucił Klan z policji, lecz większość mężczyzn, z którymi Duke

grywał w pokera, pozostała wierna dawnym zobowiązaniom. O ile Amanda mogła się zorientować, członkostwo w Klanie polegało wyłącznie na przesiadywaniu i gderaniu, jak bardzo wszystko zmieniło się na gorsze. Ci ludzie potrafili rozmawiać jedynie o dawnych, dobrych czasach, o tym, że sprawy układały się lepiej, zanim kolorowi wszystko zniszczyli.

Kompletnie nie przyjmowali do wiadomości, że sprawy, które dla nich układały się gorzej, dla innych znacznie się polepszyły. Przez ostatnich kilka dni Amanda przyłapywała się na myśleniu, że niesprawiedliwość nigdy nie wydaje ci się tak tragiczna, jak wówczas, gdy puka do twoich drzwi.

Przekraczając próg Więzienia Stanowego Atlanty, starała się patrzeć na to wszystko z odpowiedniej perspektywy. Bubba Keller był niesamowicie dumny ze swojego stanowiska, chociaż budynek przy Decatur Street był ohydny, gorszy niż cokolwiek, co można zobaczyć w Attica*. Z sufitu zwisały nietoperze. Dach był pełen ziejących dziur, a cement na posadzkach kruszył się w najlepsze. Zimą więźniom pozwalano spać na korytarzach, żeby przypadkiem nie zamrzli na śmierć w swoich celach. W zeszłym roku jeden z zatrzymanych trafił do Grady Hospital po tym, jak został zaatakowany przez szczura. Zwierzę zdołało odgryźć mu większą część nosa, zanim strażnicy odpędzili je miotłą.

** Attica - znajdujące się w stanie Nowy Jork więzienie o zaostrowym rygorze.*

W całej historii najbardziej zaskakujące było nie to, że w więzieniu znalazła się miotła, lecz że strażnik w ogóle zauważył, że coś jest nie w porządku. Bezpieczeństwo pozostawiało wiele do życzenia. Większość strażników przychodząc do pracy, znajdowała się w stanie upojenia alkoholowego. Ucieczki stały się czymś zwyczajnym, choć dodatkowym problemem było to, że cele przylegały do pomieszczeń

sekretariatu. Amanda słyszała mrożące krew w żyłach opowieści niektórych maszynistek, jak gwałciciele i mordercy przebiegali tuż obok ich biurka, pędząc w kierunku wyjścia.

- Madame - powiedział policjant z patrolu, salutując jej, gdy wchodziła na schody.

Zdążając w kierunku ulicy, zaczerpnął potężny łyk świeżego powietrza. Amanda wyobraziła sobie, że wychodząc z tego paskudnego miejsca, zrobi dokładnie to samo. Panujący wewnątrz budynku smród był prawie tak samo okropny jak ten na osiedlu slumsów. Po drodze uśmiechnęła się do Larry'ego Pearse'a, który za okratowanymi drzwiami prowadził depozyt. Mrugnął jej na powitanie, jednocześnie pociągając z butelki. Amanda poczekała, aż znajdzie się na schodach, żeby sprawdzić, która godzina. Jeszcze nie było dziesiątej. Prawdopodobnie połowa więzienia chrapie w najlepsze.

Furkot maszyn do pisania zdecydowanie przybrał na sile, gdy zbliżała się do sali stenotypistek. Kiedyś to była praca jej marzeń, choć teraz nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby spędzić cały dzień, siedząc za biurkiem. Tak samo jak nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby pracować dla Bubby Kellera. Był lubieżny i napsuszony, i nawet nie starał się tego ukryć przed Amandą, pomimo bliskiej przyjaźni, jaka łączyła go z Dukiem.

Amanda często zastanawiała się, co by się stało, gdyby zwierzyła się ojcu, że Keller nieraz łapał ją za pierś, albo że kiedyś przycisnął ją do ściany, a potem szeptał do ucha jakieś obrzydliwe świństwa. Woląла myśleć, że Duke byłby wściekły. Ze to zakończyłoby ich przyjaźń. Ze uderzyłby Kellera pięścią w nos. Obawa, że mógłby zachować się całkiem inaczej, była prawdopodobnie jedynym powodem, który powstrzymał ją od zwierzeń.

Jak to zwykle miało miejsce, podniesiony głos Kellera zagłuszał szum maszyn do pisania. Wejście do jego biura znajdowało się z przodu wielkiej i przestronnej sali; sześćdziesiąt kobiet siedziało za ustawionymi w rzędach biurkami i pilnie stukało na maszynach, udając, że nie słyszą tego, co się dzieje zaledwie parę metrów od nich. Holly Scott, sekretarka Kellera, stała w przejściu. Dobrze wiedziała, że nie należy wchodzić do środka. Twarz Kellera była czerwona jak burak. Wymachiwał w powietrzu rękoma, aż nagle błyskawicznie je opuścił i jednym ruchem zwałił wszystkie papiery z biurka na podłogę.

- Zrobisz to, psiakrew! - wrzasnął.

Holly mruknęła coś w odpowiedzi, a wtedy on porwał telefon i rzucił nim o ścianę. Tynk popękał, osypując się na podłogę chmurą białego pyłu.

- Posprzątaj ten bajzel! - rozkazał, chwytając kapelusz i wytaczając się na zewnątrz. Zatrzymał się, gdy ujrzał Amandę. - A ty co tu robisz, do diabła?!

Kłamstwo samo przyszło jej do głowy. Nawet nie musiała się zastanawiać.

- Butch Bonnie poprosił, żebyś sprawdziła...

- Gówno mnie to obchodzi! - ryknął. - Jak wrócę, żeby tu śladu po tobie nie było!

Amanda obserwowała go, jak toczy się w kierunku wyjścia. Stanowił żywą definicję powiedzenia o słońcu w składzie chińskiej porcelany. Stojące mu na drodze biurka lądowały pod ścianą. Dokumenty spadały na podłogę. W pomieszczeniu przebywało sześćdziesiąt kobiet, które siedząc przy sześćdziesięciu biurkach, pracowało na sześćdziesięciu maszynach do pisania, i dokładało wszelkich starań, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Chwilę później, gdy Keller już wyszedł, rozległo się głośne, zbiorowe westchnienie ulgi. Maszyny do pisania momentalnie ucichły. Z którejś celi dobiegł jakiś wrzask.

- Dobranoc, Irene - powiedziała Holly.

Po sali przebiegł chichot. Maszynistki wróciły do pracy. Holly kiwnęła ręką, żeby Amanda weszła do biura Kellera.

- Mój Boże - powiedziała Amanda. - O co mu chodziło?

Holly pochyliła się, podnosząc z podłogi potłuczoną butelkę burbona Old Grand-Dad.

- Po prostu coś gdzieś zapodziałam.

Amanda uklękła, żeby pomóc jej pozbierać rozsypane papiery.

- Jak to zapodziałas?

- Wszystkie staramy się przygotować do druku nowy poradnik

- Reggiego. - Holly wrzuciła kawałki szkła do kosza na śmieci. -

Zbliża się ostateczny termin i czujemy na karku oddech naszej wierchuszki. Keller też go czuje.

- I?

- Więc Keller uznał, że to najlepsza pora, żeby wezwać mnie do gabinetu i zażądać, żebym mu pokazała cycki.

Amanda westchnęła. Takie sprawy nie były dla niej niczym nowym. Zwykle po nich następował denerwujący śmieszek, a potem nachalne obmacywanie.

- I?

- Powiedziałam mu, że zamierzam złożyć na niego skargę.

Amanda podniosła aparat. Plastik był popękany, ale telefon wciąż działał.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

- Raczej nie - przyznała Holly. - Mój mąż powiedział, że jeśli on jeszcze raz zrobi coś podobnego, mam po prostu zabrać torebkę i wyjść.

- Więc czemu tego nie robisz?

- Bo jeszcze jeden atak złości i ten duppek padnie na zawał serca. A ja chcę przeżyć tego drania, nawet jeśli to mnie wykańcza. - Zebrała z podłogi ostatnie kartki. Na jej twarzy znowu pojawił się uśmiech. - A tak nawiasem mówiąc, to co ty tutaj robisz?

- Muszę porozmawiać z jednym z pensjonariuszy.

- Z czarnym czy z białym?

- Z czarnym.

- To dobrze. Jest cholerny problem z wszami.

Wszyscy wiedzą, że kolorowi nie miewają wszy.

- Keller ma zamiar znowu zapodać puszkę z DDT. To już trzeci raz w tym roku. Cuchnie jak czort.

Holly wzięła z biurka pióro i zawiesiła dłoń nad kartką papieru.

- Co to za dziewczyna?

Amanda poczuła ucisk w gardle.

- To facet.

Holly natychmiast opuściła pióro.

- Chcesz tam wejść i rozmawiać z czarnym facetem?

- Nazywa się Dwayne Mathison.

- Mój Boże, Mandy, czyś ty zwariowała? On przecież zabił białą kobietę! Sam się przyznał!

- Potrzebuję tylko paru minut.

- Nie. - Holly gwałtownie pokręciła głową. - Keller obedrze mnie ze skóry. I co gorsza, będzie miał rację. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie szalonego... Dlaczego chcesz z nim porozmawiać, na litość boską?

Nie po raz pierwszy Amanda zdała sobie sprawę, że byłoby o wiele lepiej, gdyby już wcześniej przygotowała wiarygodne wyjaśnienie.

- Chodzi o jedną ze spraw, które prowadzę.

- Jaką sprawę? - Holly usiadła, żeby uporządkować dokumenty. Na księżde aresztowań stały jeszcze dwie butelki burbona, jedna z nich prawie całkiem pusta. Na stojącej pomiędzy nimi szklaneczce z kryształu w środku odcisnął się ślad po tym, jak Keller na bieżąco uzupełniał poziom trunku.

W miękkim drewnie blatu widniało prymitywnie wyrzeźbione wyobrazenie penisa i damskiego biustu.

Holly popatrzyła na nią.

- Co to za sprawa?

Amanda odsunęła krzesło, dokładnie tak samo jak dzisiejszego ranka Trey Callahan w Union Mission. Usiadła naprzeciwko Holly. Ich kolana niemal się stykały.

- Parę dziewczyn zniknęło bez śladu.

Holly zrezygnowała z konfrontacji.

- Uważasz, że ten alfons mógł je zabić?

Amanda nie zdobyła się na to, żeby skłamać jej prosto w twarz.

- Być może.

- Powinnaś powiedzieć o tym Butchowi i Rickowi. To ich sprawa. I wiesz, że oni się o tym dowiedzą. - Położyła jedną rękę na sercu, a drugą podniosła wysoko, jak do składania przysięgi. - Nie dowiedzą się ode mnie ani od żadnej z moich dziewcząt, ale wiesz, że i tak to się rozejdzie.

- Wiem.

W policji nic nie rozchodziło się szybciej niż plotki.

- Mandy... - Holly pokręciła głową, jakby nie rozumiała, co się stało z jej przyjaciółką. - Czemu koniecznie szukasz kłopotów?

Amanda przyjrzała się jej. Holly Scott miała szczupłą sylwetkę tancerki, a swoje długie, rude włosy stylizowała za pomocą prostownicy. Zawsze była perfekcyjnie umalowana. Jej gładka cera wydawała się wręcz idealna. Nawet w tym nieszczęsnym upale wyglądała tak, że bez przeszkód mogłaby pozować do zdjęć reklamowych. To, że była niemal idealną stenotypistką i że potrafiła pisać sto dziesięć słów na minutę prawdopodobnie nie miało żadnego znaczenia dla Kellera, kiedy zdecydował się ją zatrudnić.

Amanda sięgnęła ręką w tył i zamknęła drzwi. Stukot maszyn do pisania był co prawda dość głośny, ale przede wszystkim zakłócał wrażenie poufności.

- Rick Landry próbował mi grozić - powiedziała do Holly.

Czuła, że raczej nie powinna wciągać w tę sprawę Evelyn, ale minęła się z prawdą, opowiadając, co nastąpiło potem.

- Wyzwał mnie od głupich cip. I to w obecności mojego szefa. Sklął mnie jak diabli. Powiedział, żebym trzymała się... żebym trzymała się k... daleko od śledztwa, które on prowadzi.

Holly zacisnęła usta w wąziutką linię.

- Rozumiem, że nie masz zamiaru się podporządkować?

- Nie - odpowiedziała Amanda. - Jasne, że nie. Mam już dość wiecznego słuchania głupich poleceń. Mam dość ciągłego strachu i wypełniania ich rozkazów, kiedy wiem lepiej od nich, co należy robić.

Te słowa zostały powiedziane cicho i spokojnie, ale miały posmak rewolucji.

Holly nerwowo zerknęła ponad ramieniem Amandy. Bała się, że ktoś je słyszy. Bała się, że ktoś uzna, że brała w tym udział. Mimo to pytała dalej.

- Czy byłaś kiedykolwiek w sali widzeń dla mężczyzn?

- Nie.
- Tam jest okropnie. Dużo gorzej niż w części dla kobiet.
- Tak przypuszczam.
- Szczury. Fekalia. Robactwo.
- Nie przesadzaj.
- Keller wpadnie w szal.

Amanda z wysiłkiem wzruszyła ramionami.

- Może dzięki temu wreszcie dostanie tego ataku serca, na który tak czekasz.

Przez dłuższą chwilę Holly nie spuszczała z niej wzroku. W jej błękitnych oczach zalśniły łzy, które jednak nie spłynęły po policzkach. Wyraźnie ta sprawa budziła w niej przestach. Amanda wiedziała, że Holly ma dziecko i męża, który tyra na dwóch posiadach, żeby mogli pozwolić sobie na mieszkanie na przedmieściach. Holly do szkoły uczęszczała nocami. W niedzielę przesiadywała w kościele i pracowała jako wolontariuszka w bibliotece. Tutaj przychodziła pięć razy w tygodniu, wytrzymując awanse aluzje na jakie pozwalał sobie Keller, ponieważ miasto było jedynym pracodawcą w okolicy, który przestrzegał federalnego prawa, że kobiety mają otrzymywać taką samą pensję jak mężczyźni.

Mimo wszystko Holly wytrzymała spojrzenie Amandy sięgając po stojący na biurku Kellera telefon. Trafiła palcem na otwór w tarczy. Jej ręka drżała leciutko. Nie musiała nawet patrzeć w dół, kiedy przekręcała tarczę tam i z powrotem. Ostatecznie przez cały dzień realizowała połączenia zlecone przez Kellera. W milczeniu czekała, aż ktoś odbierze telefon.

- Martho - powiedziała do słuchawki. - Tutaj Holly z biura Kellera. Chcę, żebyś przerzuciła mi jednego z więźniów do sali widzeń.

Amanda słuchała, jak Holly przekazuje informacje dotyczące Dwayne'a Mathisona. Musiała przekopać się przez stertę papierów na biurku Kellera, żeby znaleźć protokół aresztowania, na którym znajdował się numer więźnia. Gdy zajęła się tym dobrze znanym zadaniem, jej ręce wyraźnie się uspokoiły. Amanda zauważyła, że Holly nosi krótko obcięte paznokcie i że maluje je bezbarwnym lakierem, podobnie jak ona. Skóra Holly była niemal tak samo biała jak u Jane Delray, choć naturalnie bez śladów nakłuć. Na wierzchu dłoni Holly Amanda widziała prześwitujące, niebieskawe żyłki.

Popatrzyła na swoje własne dłonie, ciasno splecione na kolanach. Jej paznokcie były starannie opiłowane, choć Poprzedniego wieczora zapomniała nałożyć warstwę lakieru. Skóra wzdłuż boku dłoni nosiła ślad zadrapania, choć Amanda nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy się skaleczyła. Może zdarła naskórek podczas sprząwania? Z lodówki sterczał jakiś drut, o który zawsze się zahaczała, kiedy ją czyściła.

Holly odłożyła słuchawkę.

- Zaraz go przyprowadzą. To potrwa jakieś dziesięć minut. -
Zamilkła na moment. - Wiesz, że w każdej chwili mogę go odwołać.
Nie musisz przez to przechodzić.

Ale Amanda miała inne rzeczy na głowie.

- Czy mogę w tym czasie skorzystać z telefonu?
- Jasne. - Holly jęknęła, przesuając po blacie aparat. - Zaczekam na zewnątrz. Dam ci znać, jak tamci będą gotowi.

Amanda wygrzebała z torebki notes z telefonami. Powinna być przerażona zbliżającym się *tête-à-tête* z Juicem, lecz widok zadrapanej ręki przywiódł jej na myśl sprawy bardziej niecierpiące zwłoki.

Na końcu notesu trzymała karteczkę z numerami, które były jej codziennie potrzebne. Butch w swoich raportach stale pomijał jakieś

szczegóły, więc Amanda musiała przynajmniej raz w tygodniu sama dzwonić do kostnicy. Zwykle rozmawiała z kobietą zajmującą się wprowadzaniem danych do kartoteki, lecz dzisiaj chciała poprosić o połączenie z Petem Hansonem.

Ktoś odebrał telefon po trzecim sygnale.

- Coolidge.

Przez ułamek sekundy Amanda chciała odłożyć słuchawkę, ale nagle uroiła sobie, że Deena Coolidge w jakiś sposób może ją zobaczyć. Więzienie znajdowało się zaledwie kilka budynków od kostnicy. Nerwowo się rozejrzała wokół.

- Halo? - powtórzyła Deena.

- Mówi Amanda Wagner.

Przez chwilę tamta nie odpowiadała.

- Uhu...

Amanda spojrzała na salę maszynopisania. Wszystkie kobiety ciężko pracowały. Z wyprostowanymi plecami i lekko pochylonymi głowami przepisywały kolejne strony podręcznika, który - bardziej niż prawdopodobne - przez połowę sił policyjnych zostanie wykorzystany jako papier toaletowy, zaś przez pozostałych jako tarcza

strzelnicza.

- Mam pytanie do doktora Hansona - powiedziała do słuchawki. - Czy jest gdzieś w pobliżu?

- Dzisiaj przez cały dzień jest w sądzie, bo składa zeznania. - Deena wydawała się nieco mniej ostrożna niż przedtem. - A może ja mogłabym w czymś pomóc?

Amanda zamknęła oczy. Z Petem byłoby to o niebo prostsze.

- Chciałam zapytać się o ten naskórek, który znajdował się pod paznokciami ofiary... - Amanda zerknęła na zadrapanie na dłoni. - Zastanawiałam się, czy...

Nie, jednak nie mogła się przełamać. Może powinna poczekać na Pete'a. Przypuszczalnie jutro zjawi się w swoim biurze. Do tej pory Jane Delray nie będzie bardziej martwa niż dotychczas.

W końcu Deena zaczęła się niecierpliwić.

- No dalej, dziewczyno. Nie marnuj mojego czasu i wykrztuś wreszcie to, co masz do powiedzenia.

- W sobotę Pete znalazł coś pod paznokciami ofiary.

- Zgadza się. Kawałki naskórka. Musiała porządnie podrapać napastnika.

- Czy już zrobiliście analizę?

- Jeszcze nie. Czemu pytasz?

Amanda potrząsnęła głową, marząc o tym, żeby się rozpląnąć w powietrzu. Prawdopodobnie najlepiej będzie walić prosto z mostu.

- Czy jeśli skóra pod paznokciami tej dziewczyny okaże się czarna, to będzie oznaczało, że napastnik był Murzynem?

- Hmm... - Deena zastanawiała się przez kilka sekund. - Wiesz, Pete ma taką specjalną lampkę. Wystarczy skierować ją na próbkę skóry i jeśli próbka pochodzi od Murzyna, zaświeci się na pomarańczowo.

- Naprawdę? - Amanda w życiu nie słyszała o takiej metodzie. - Czy już przeprowadził ten test? Bo pomyślałam...

Z początku wydawało jej się, że Deena płacze. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że tamta dosłownie zachłystuje się ze śmiechu, łapiąc wielkimi haustami powietrze.

- Och, bardzo śmieszne - mruknęła Amanda. - W takim razie rozłączam się.

- Nie, poczekaj... - Deena nadal ryczała ze śmiechu, ale teraz przynajmniej starała się nieco opanować. - Czekaj, nie rozłączaj się.

Wciąż nie mogła się uspokoić. Amanda popatrzyła na biurko Kellera. Niedopałki wysypywały się z popielniczki. Na kubku do kawy została pomarańczowa obwódka od nikotyny.

- Okay - powiedziała Deena. - Okay...

I znowu wybuchnęła śmiechem.

- Teraz naprawdę się rozłączam.

- Nie, zaczekaj. - Deena zakasłała kilka razy. - Już dobrze. Już się pozbierałam.

- Chciałam zadać uczciwe pytanie.

- Wiem, skarbie, wiem. - Znów odkaszlnęła. - Posłuchaj, czy widziałas reklamę tego lotionu „Pure and Simple”, w którym pokazują kolejne warstwy skóry?

Amanda nie potrafiła stwierdzić, czy Deena znów nie szykuje jakiegoś dowcipu.

- Mówię całkiem serio, dziewczyno. Posłuchaj uważnie.

- Okay, widziałam tę reklamę.

- Zasadniczo skóra składa się z trzech warstw. Zgadza się?

- Zgadza się.

- Zwykle, kiedy kogoś zadrapiesz, zdrapujesz tylko wierzchni naskórek, który zawsze jest biały, niezależnie od tego, kim jesteś. Żeby dostać się do niżej położonej warstwy, w której znajduje się ciemny pigment, musiałabyś zdrapać skórę właściwą, co oznacza, że paznokcie musiałyby wejść na tyle głęboko, by spowodować całkiem poważne krwawienie. I to nie byłaby łuseczka naskórka, którą wydrapuje się spod paznokcia. To byłby całkiem spory fragment tkanki.

Amanda wyczuła w słowach Deeny pełen cierpliwości, belferski ton Pete'a.

- Więc nie ma sposobu, żeby stwierdzić, czy ta dziewczyna z piątku została zaatakowana przez czarnego czy białego napastnika, tak?

Deena znowu zamilkła, choć tym razem nie roześmiała się.

- Mówisz o tym alfonsie, którego aresztowano za zabójstwo dziewczyny, prawda?

Amanda zobaczyła, jak strażnik zatrzymuje się przy biurku Holly. Z nieprzystrzyżonymi wąsami i ciemnymi włosami wyglądał na członka jakiegoś gangu. Holly machnęła ręką na Amandę. Juice był już gotowy.

- Amando. - W słuchawce rozległ się głos Deeny. - Lepiej zastanów się dobrze nad tym, co robisz.

- Myślałam, że chętnie zgodzisz się mi pomóc..

- Ten cholerny morderca nie ma ze mną nic wspólnego, rozumiesz?

- Deena przyciszyła głos. - Ja tylko pilnuję, żeby moja głowa trzymała się ramion. Tylko to mnie interesuje.

- No cóż, w takim razie wielkie dzięki, że odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Czekaj...

Holly machała coraz niecierpliwiej. Pewnie bała się, że Keller lada chwila może wrócić. Amanda podniosła rękę, pokazując, że potrzebuje jeszcze chwilę.

- Bądź ostrożna. Ci sami ludzie, którzy teraz cię chronią, zaczną cię ścigać, gdy tylko zorientują się, co zamierzasz zrobić.

Zapadła długa cisza. Obie zastanawiały się nad tym, co przed chwilą zostało powiedziane.

- Dziękuję. - Amanda postarała się nie dostrzec w szorstkim pożegnaniu Deeny żadnych ukrytych intencji.

Szybko odłożyła słuchawkę. Serce waliło jej jak oszalałe. Ta kobieta miała rację. Duke wpadnie w szal, kiedy dowie się, co Amanda wyprawia. Tak samo Keller. Podobnie Butch i Landry, i całkiem możliwe, że również Hodge. Plus cały departament, gdyby rozeszła się wieść, że próbowała pomóc czarnuchowi wydostać się z więzienia. Czarnuchowi, który już zdążył przyznać się do morderstwa.

Holly podeszła do drzwi.

- Pośpiesz się, Mandy. Philip zabierze cię na dół i zostanie z tobą przez cały czas - zniżyła głos do szeptu. - On wcale nie jest taki zły.

Amanda poczuła nagle, że ma ochotę stąd uciec. Jej pyszałkowatość a to rosła, a to znów opadała, jak moc w silniku tłokowym.

- Jestem gotowa.

Podniosła się zza biurka, przywołując na usta wymuszony uśmiech, gdy Philip wszedł do biura. Miał na sobie granatowy mundur służby więziennej, a przy pasie pęk kluczy z jednej strony oraz policyjną pałkę z drugiej.

Był młodszy od Amandy, ale mimo to odezwał się do niej jak do dziecka.

- Hej, lasencjo, jesteś pewna, że chcesz tam iść?

Amanda szybko przełknęła kłęb waty, który uwiązał jej w gardle. Pożałowała, że nie ma tu Evelyn, która mogła ją wesprzeć. Jednocześnie ogarnęło ją poczucie winy, ponieważ później właśnie na Evelyn skupi się główny impet gniewu - i to nie tylko Ricka Landry'ego, lecz także Butcha i każdego, kto zostanie przeniesiony do Model City.

Może Evelyn miała rację. Może ludzie byli ostrożni wobec Amandy, ponieważ obawiali się Duke'a. I zamiast podzielać ich

strach, Amanda powinna skorzystać z tej sytuacji. Przynajmniej tak długo, jak długo da radę.

- Nie jestem pewna, czy już mieliśmy okazję się poznać. - Podeszła do Philipa, wyciągając rękę. - Jestem Amanda Wagner, córka Duke'a.

Momentalnie przesunął spojrzenie na Holly, a potem znów na Amandę.

- Tak, oczywiście znam Duke'a.

- Tata i Bubba są wielkimi przyjaciółmi. - Amanda nigdy nie mówiła do Kellera po imieniu, ale Philip nie potrzebował tego wiedzieć. Wzięła z krzesła torebkę i poszukała w niej nowego pióra i notesu, które zabrała z domu specjalnie na tę okazję. Torebkę oddała Holly. - Czy będziesz tak miła i popilnujesz jej dla mnie?

Holly gapiła się na nią szeroko otwartymi oczyma, gdy Amanda dumnym krokiem wychodziła z biura. Przechodząc przez salę maszynopisania, zmusiła się, by iść wolno i spokojnie. Stałe przesuwanie kartek i stukot młoteczków maszyn wydawał się idealnie współgrać z oszalałym biciem jej serca. Przekroczenie progu więzienia bardzo przypominało wejście do basenu. Albo człowiek wskakiwał od razu, doświadczając szoku w zetknięciu z zimną wodą, albo Przeciągał sprawę i zanurzał się krok po kroku, szczękając zębami i znosząc nieprzyjemne ukłucia, po których dostawał gęsiej skórki.

Amanda zdecydowała się wskoczyć.

Schodząc po schodach, opierała się o poręcz. Nie zaczekała, aż Philip otworzy przed nią drzwi. Po prostu popchnęła je otwartą dłonią. Cele. Holly miała rację. Oddział dla mężczyzn był znacznie gorszy niż ten dla kobiet. Na ścianach widniały potężne pęknięcia. Z krokwi dobiegało gruchanie gołębi, a ich odchody brudziły betonową posadzkę. Amanda przeszła ponad jakimś opartym o ścianę

nieszczęśnikiem, ignorując cmokania, gwizdy i natarczywe spojrzenia. Szła wyprostowana, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, aż w końcu usłyszała głos Philipa.

- To tu, po lewej stronie.

Amanda zatrzymała się przed drzwiami. Ktoś nożem wyciął w grubej warstwie ołowianej farby niezgrabny napis POKÓJ PRZESŁUCHAŃ. Na wysokości oczu znajdował się mały, kwadratowy wizjer, choć jego szkiełko niemal całkowicie było zarośnięte brudem.

Philip wziął do ręki pęk kluczy i przez chwilę szukał tego właściwego, kołysząc się przy tym lekko, zapewne na skutek wypitego niedawno drinka. Wreszcie znalazł klucz i wsunął go w zamek, a następnie otworzył drzwi. Amanda odwróciła się, zagradzając mu drogę.

- Dalej poradzę sobie sama.

Zaśmiał się, ale zaraz zobaczył, że ona wcale nie żartuje.

- Zwariowałaś?

- Jeśli będziesz mi potrzebny, to cię zawołam.

- Na to może nie starczyć ci czasu. - Wskazał na drzwi. - To cholerstwo blokuje się zaraz po zamknięciu. Jeśli chcesz, mogę zostawić małą szparę, żeby...

- Dziękuję.

Zastosowała jeden z tricków Landry'ego - przysunęła się blisko, zmuszając Philipa do cofnięcia się o krok, bez konieczności dotykania go. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, była jego zszokowana mina, gdy zamykał za nią drzwi.

Kliknięcie zapadki odbiło się echem po celi. W judaszu mignął jej skrawek niebieskiego materiału, fragment otoka. ale nic ponadto.

I wtedy się odwróciła.

Dwayne Mathison siedział przy stole. Głowę miał owiniętą zakrwawionym bandażem, jedno oko napuchnięte tak mocno, że nie mógł go otworzyć, a jego nos bez wątpienia wyglądał na złamany. Siadając, odsunął o kilka cali krzesło od stołu, więc teraz niemal dotykał plecami ściany. Amanda rozpoznała jego ubranie; nosił te same rzeczy co w zeszłym tygodniu, tylko teraz były brudne i poplamione krwią. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami i rękoma zwieszonymi przez oparcie krzesła, palcami niemal dotykając podłogi. Amanda widziała podobiznę Jezusa, wytatuowaną na jego piersi. Widziała pieprzyk na policzku. Widziała nienawiść w spojrzeniu.

- Czego tu szukasz, cholerna suko?

To było właściwe pytanie. Amanda nigdy wcześniej nie przeprowadzała przesłuchania w przeznaczonym specjalnie do tego celu pomieszczeniu. Zawsze odbywało się to w domu podejrzanego, w obecności jego rodziców, czasami również prawnika. Chłopcy zazwyczaj byli skruszeni i przerażeni koniecznością rozmowy z oficerem policji, choć z wyraźną ulgą przyjmowali fakt, że przesłuchującym jest jakaś tam kobieta. Ojcowie zapewniali, że to więcej się nie powtórzy. Matki opowiadały jakieś lubieżne szczegóły na temat dziewczyny, która złożyła skargę na ich syna. Zazwyczaj cała sprawa trwała niespełna godzinę i chłopiec zostawał sam, żeby dalej jakoś dawać sobie radę w życiu.

Więc właściwie co tutaj robiła?

Przycisnęła notatnik do piersi i zaraz pożałowała tego gestu. Juice mógł przecież pomyśleć, że ona zasłania Przed nim biust. Mógł dojść do wniosku, że się boi. W obu wypadkach nie minąłby się z prawdą, lecz Amanda nie zamierzała mu na to pozwolić. Podchodząc do stołu, opuściła ramiona. Cela była naprawdę mała. Wystarczyło zaledwie

kilka kroków. Przyciągnęła do siebie puste krzesło i usiadła. Juice obserwował ją takim wzrokiem, jakim drapieżnik obserwuje swoją zdobycz. Amanda przysunęła się z krzesłem do stołu, choć każdy mięsień w jej ciele drżał z pragnienia ucieczki.

Ten facet mógł przecież w mgnieniu oka przechylić się nad stołem i uchwycić ją za kark. Mógł uderzyć ją pięścią. Stłuc na kwaśne jabłko. Znów próbować ją zgwałcić. Amanda zawsze dręczyła się myślą, że gdyby przytrafiło się jej coś złego - na przykład jakiś mężczyzna włamał się w środku nocy do jej mieszkania albo ktoś napadł ją z nienacka w ciemnej alei - nie potrafiłaby krzyczeć. Nie krzyczała przecież wtedy, kiedy Juice jej groził. Czy zdoła krzyczeć teraz, jeśli on rzuci się w jej kierunku? Czy Philip ją usłyszy? A nawet jeśli, to czy uda mu się na czas znaleźć właściwy klucz, żeby zapobiec najgorszemu?

Ze zdenerwowania nie mogła wytworzyć dość śliny, żeby swobodnie przęłykać. Otworzyła notes.

- Panie Mathison, rozumiem, że przyznał się pan do zamordowania Lucy Bennett?

Nie pofatygował się, żeby jej odpowiedzieć.

Z sufitu kapąła woda, tworząc na podłodze sporą kałużę. W kącie leżał martwy szczur, którego kark strzaskała pułapka. W każdym rogu wisiały pajęczne sieci. W powietrzu snuł się smród potu, zmieszany z wyraźną, podobną do amoniaku wonią wyschniętej uryny.

Amanda spróbowała ponownie.

- Panie Math...

- Mmm... - Juice oblizwał językiem górną wargę. - Wciąż ładnie wyglądasz, laleczko... - cmoknął z uznaniem. - Powinienem być cię wziąć, kiedy miałem ku temu okazję.

Dziwne, ale Amanda poczuła, że jej usta same układają się do uśmiechu. Niemal słyszała Evelyn, jak przedrzeźniała Juice'a, kiedy spotkały się w Varsity.

Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał zaskakująco mocno.

- No cóż, straciłeś tamtą okazję.

Otworzyła notes i kliknięciem włączyła długopis.

- Co się stało z Jane Delray?

Na dźwięk tego nazwiska wydobył z siebie odgłos, który w jednakowym stopniu przypominał jęk jak i chrząknięcie.

- Czemu pytasz o tę pieprzoną dziwkę?

- Chcę wiedzieć, gdzie ona jest.

Uniósł wysoko nad głową jedną rękę i gwizdząc przeciągle jak nurkujący bombowiec, opuścił ją na blat.

Lucy popatrzyła uważnie na jego dłoń. Dwa palce były związane razem za pomocą bandaża. Ani na rękach, ani na nagich ramionach nie dostrzegła śladów zadrapań.

- Przyznałeś się do zamordowania Lucy Bennett.

- Przyznałem się, żeby mi nie przypiekli mojej czarnej dupy na elektrycznym krześle.

- Przecież kara śmierci została zniesiona.

- Powiedzieli mi, że przywrócą ją specjalnie dla mnie. Biorąc pod uwagę okoliczności, Amanda nie wątpiła,

ze stan podejmie taką próbę. Wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, zanim Old Sparky z powrotem znajdzie się u władzy.

- Oboje wiemy, że nie zamordowałeś tej kobiety.

- Chciałabyś, dziwko.

- A ty nie?

- Po co tu przysłaś, co? Martwisz się, co się stanie z jakimś pieprzonym czarnuchem?

- Prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi - przyznała, choć sama była zaskoczona szczerością swoich słów. - Jedyne, co mnie interesuje, to los tamtych dziewczyn.

- Bo są białe.

- Nie. - Znowu powiedziała mu prawdę. - Bo są dziewczynami. Bo nikogo nie obchodzi, co się z nimi stało.

Popatrzył na nią. Aż do tego momentu nie zdawała sobie sprawy, że Juice unika jej wzroku. Odwzajemniła mu się bezczelnym spojrzeniem, jednocześnie zastanawiając się, czy jest pierwszą kobietą, która ośmieliła się tak postąpić. Gdzieś przecież musiał mieć matkę. Może siostrę. Nie mógł gwałcić i deprawować każdej kobiety, z którą miał do czynienia.

Juice postukał palcami o blat. Amanda nie odwróciła wzroku, lecz on tak.

- Jesteś taka sama jak ona.

- Jak kto?

- Jak Lucy.

Wciąż nie przestawał bębnić palcami po stole.

- Ona jest mocna. Diabelnie mocna. Wiele razy próbowałem ją złamać. I zawsze się podnosiła.

- A Kitty? Też taka była?

- Kitty! - prychnął. - Niewiele brakowało, żeby ta suka mnie wykończyła, słyszysz co mówię? Musiałem ją lać, żeby mieć nad nią kontrolę. - Wyciągnął palec w stronę Amandy. - Jak wystarczająco długo popracujesz z laskami, przekonujesz się, że zwykle to siła jest tym, co może zapewnić ci największą lojalność. Jedyne, co musisz zrobić, to znaleźć swój sposób.

- Zapamiętam to sobie na wypadek, gdybym kiedykolwiek chciała zająć się upiększaniem kobiet.

Oparł się na rozpostartych dłoniach i pochylił w jej kierunku.

- Ja bym cię upiększył, suko. Daj mi pięć minut na swój piękny, bielutki tyłeczek - zaczął poruszać biodrami, uderzając nimi o krawędź stołu. - Zatapiam palce w tym soczystym ciałku, wsadzam ci go tak głęboko, że zaczynasz wyć z rozkoszy.

Uderzał coraz gwałtowniej, przerywając jedynie po to, by wydobyć z siebie niski, gardłowy jęk. To właśnie przez te gardłowe dźwięki zwróciła uwagę na ciemne siniaki na jego szyi.

- Udusiłbyś mnie? - spytała.

- Jasne, suko. - Wypchnął biodra po raz ostatni. - Duszę cię, aż masz taki orgazm, że mdlejesz z wrażenia.

- Lubisz, jak ciebie ktoś dusi?

- Psiakrew! - Skrzyżował ramiona na piersi. Miał naprawdę potężne bicepsy. - Jeszcze nikt nie dusił takiego brata jak ja.

Amanda przypomniała sobie o czymś, co w kostnicy powiedział jej Pete.

- Zsikałeś się na siebie?

- Nie szczam na siebie. - Buntowniczym ruchem wysunął do przodu podbródek. - Kto ci pieprzył takie głupoty?

Amanda poczuła, jak po jej ustach przemyka cień uśmiechu. Udało jej się upokorzyć tego drania, choć wcale się nie starała.

- Sam to zrobiłeś.

Juice gapił się na ścianę.

- Tamto mieszkanie w Techwood... Jest własnością Kitty, zgadza się?

Nie odpowiedział.

- Mogę siedzieć tu przez cały dzień - oznajmiła i w tej samej chwili zobaczyła, jak to robi. Bubba Keller wywlecze ją stąd siłą. Inaczej

będzie siedziała tak długo, jak będzie trzeba, gapiąc się na tego odrażającego alfonsa.

- To mieszkanie w Techwood należało do Kitty, Prawda?

Juice zdawał się rozumieć jej stanowczość.

- Wszystkie tam mieszkały. Wynajmowała tę norę. Chciała sama zabawić się w alfonsa. Położyłem temu kres.

Amanda nie potrafiła wyobrazić sobie kobiety, która pobiera kasę od innych dziwek, choć w ciągu ostatnich paru dni jej horyzonty znacznie się rozszerzyły.

- Opowiedz mi o Hanku Bennecie.

- Co ci nagadał?

- Chcę, żebyś to ty mi o nim opowiedział.

- Kretyn przyszedł na mój róg i próbował rozstawiać mnie po kątach. - Kiedy Juice uderzył ręką o stół, jego dłoń była zaciśnięta w pięść. - No i musiał się wycofać.

- Kiedy to było?

- Nie mam pojęcia, suko. Nie prowadzę kalendarza.

Amanda narysowała na kartce kreskę. Gdyby dostawała dolara za każdym razem, kiedy ten facet zwraca się do niej per „suko”, spokojnie mogłaby odejść na emeryturę.

- Czy Hank Bennett widział się z tobą przed czy po tym, jak Lucy zniknęła?

Wysunął język, jakby musiał sobie coś przemyśleć.

- Przed. Tak, jasne, że przed. Suka związała tydzień, może dwa tygodnie później. Myślę, że to on ją zabrał. Lucy cały czas gadała o nim.

Amanda zaniedbała stenografowanie, ale teraz szybko z powrotem nabrała wprawy, pośpiesznie bazgrząc w poprzek kartki.

- A więc Hank Bennett przyjechał jeszcze przed zniknięciem Lucy, tak? - Kolejne kłamstwo prawnika właśnie wyszło na jaw. - Czego właściwie chciał?

- Chciał ubić interes. Powinien się cieszyć, że nie dostał kopa w ten swój kościsty, biały tyłek.

- Jaki interes?

- Powiedział, żebym odstawił Kitty. Że da mi trochę kasy, jeśli przestanę dawać jej herę.

Amanda była pewna, że się przesłyszała.

- Kitty? Chyba chciałeś powiedzieć „Lucy”?

- Nie, suko. On chciał gadać tylko o Kitty. Pewnie mu do niej stawał.

- Dlaczego Hank Bennett troszczył się o los Kitty?

Juice wzruszył ramionami, ale odpowiedział na pytanie.

- Jej tatuś jest jakimś ważniastym prawnikiem. Wydziedziczył sukę, kiedy dowiedział się, że ona uwielbia ssać Juice’a. - Uśmiechnął się lubieżnie, upewniając się, że zrozumiała, o co mu chodziło. - Zresztą gdzieś tam jest jeszcze jakaś siostra. Ta dobra. Kitty zawsze była tą złą.

- Rozumiem, że ojcem Kitty jest Andrew Treadwell.

Juice skinął głową.

- Brawo, suko, nareszcie zajarzyłaś. Myślałem, że burmistrz już dawno ci o tym powiedział.

Amanda przejrzała notatki.

- Więc Hank Bennett zaproponował ci pieniądze, żebyś przestał dawać Kitty heroinę.

- Po kiego diabła powtarzasz wszystko po mnie jak papuga?

- Bo dla mnie to nie trzyma się kupy - przyznała Amanda. - Hank Bennett przychodzi do ciebie w sprawie Kitty. I co, nie pyta o siostrę?

Nie chce się z nią zobaczyć?

Juice pokręcił głową.

- Nie martwi się o Lucy?

Juice znów pokręcił głową.

- I co, tydzień później Lucy znika bez śladu, tak?

- Tak, mniej więcej tydzień po... - Pstryknął palcami. - Po tym, jak zniknęła Kitty.

Amanda przypomniała sobie słowa Jane.

- Zwyczajnie zniknęła?

- Zgadza się.

- A co z Mary?

Juice prychnął ze złością.

- Ta suka też związała. Ale trzy miesiące później. Już dawno przez ucieczki nie straciłem aż tylu dziewczyn. Zwykle jest tak, że jakiś alfons próbuje mi je ukraść.

- Czyli zniknęły ci trzy dziewczyny, i to w ciągu trzech miesięcy. - Tym razem Amanda nie zadawała pytania. Starła się ułożyć sobie w głowie to wszystko, co się wydarzyło. - Czy kiedykolwiek widziałeś list od brata Lucy?

Krótko skinął głową.

- Nosła go w torebce.

- Potrafisz czytać?

- Ja nie jestem jakimś zasranym ciemniakiem, suko.

Amanda czekała.

- Były tam jakieś bzdety o tym, że bardzo tęskni, choć wiedziałem, że to gówno prawda. I jeszcze, że chciałby się z nią spotkać. - Juice

popukał palcami w blat. - Gdyby chciał, to chyba mógł zaczekać pięć minut na moim rogu, co? Mówiłem mu, że ona zaraz tu przyjdzie.

Amanda zapisała tę informację, jednocześnie starając się wymyślić następne pytanie.

- Czy dookoła dziewczyn kręcił się ktoś, kto mógł budzić... - Słowo „strach” nie wydawało się właściwe dla kogoś takiego jak Juice. - Kto wydawał się nie w porządku? Ktoś niebezpieczny albo brutalny?

Ktoś, komu nie powierzyłbyś swoich dziewczyn?

- Suko, za takie rzeczy płaci się ekstra. - Uśmiechnął się szeroko. Zauważyła, że na przedzie brakuje mu jednego zęba. Dziaśło wydawało się niezagojone. - Tam kręci się mnóstwo świrniętych skurwysynów... - odchrząknął, żeby pozbyć się chrypki. - Sorry...

Skinieniem głowy pokazała mu, że przyjmuje przeprosiny.

- Jak to „świrniętych”?

- No, na przykład jest taki fiut, co uwielbia je walić pięścią. - Juice zadał parę ciosów w powietrze. Amanda domyśliła się, że to miało to imitować bicie dziewczyn. - Jest taki, co lubi bawić się nożem, ale on jest w porządku. Nigdy żadnej nie dziabnął. No, przynajmniej nie nożem.

- Ktoś jeszcze?

- Jest jeszcze taki wysoki koleś, co prowadzi kuchnię z darmowymi zupami.

- Słyszałam o nim.

- On cholernie się skumał z tym gościem z misji.

Więc Trey Callahan także je okłamał.

- Koleś przychodził nocami i próbował prawić kazania moim dziewczynom.

- Mówisz o tym, który prowadził kuchnię, tak?

Juice pokiwał głową.

- Czy dziewczyny bały się go?
- Cholera, one niczego nie muszą się bać, kiedy jestem w pobliżu.

Na tym polega moja robota, dziwko.

Amanda postawiła następną kreskę.

- Ten człowiek z kościoła przychodził nocami na twój róg i próbował nawracać Lucy, Kitty i...

- Nie, wtedy ich już nie było. I Mary też nie było. - Juice usiadł prosto na krześle. - To całe bajdurzenie o zbawieniu może jest dobre w dzień, ale niech gość nie przychodzi pieprzyć mi o Jezusie, kiedy próbuję zarabiać kasę. Czaisz?

- Jasne. - Amanda wychyliła się do przodu. - Teraz mi powiedz, kto zamordował Jane Delray.

- Wyciągniesz mnie stąd?

Amanda coraz lepiej radziła sobie z takimi gierkami, ale jeszcze nie była w tym wystarczająco dobra. Juice bez trudu odczytał wyraz jej twarzy.

- Psiakrew, cholerna suko. - Z powrotem osunął się na krzesło. - Nic dla mnie nie możesz zrobić.

- Jeśli znajdę kogoś w City Hall, kto będzie chciał z tobą porozmawiać, to czy powiesz mu, kto zabił Jane?

- To będzie kolejna szpara?

- Nie, jakiś facet. Ktoś, kto ma władzę.

Amanda nie знаła nikogo z centrum poza kilkoma sekretarkami. Mimo to wyprostowała ramiona i postarała się mówić groźnym tonem.

- Ale musisz powiedzieć mu coś znaczącego. Musisz podać mu nazwisko, które można będzie sprawdzić. W przeciwnym wypadku cały układ, jaki zawarłeś z Butchem i Landrym będziesz mógł wyrzucić do kosza. Daję ci słowo, że kara śmierci w naszym stanie

zostanie przywrócona. I będziesz martwy, zanim twoja sprawa trafi do Sądu Najwyższego.

Rozległ się miarowy stukot. To Juice poruszał nogą, stukając o betonową podłogę obcasem swoich markowych, skórzanych pantofli.

- Zawarłem układ. Przyznałem się do morderstwa.

- To nie ma znaczenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć, dziwko?

- Tyle, że przyznałeś się do zamordowania Lucy Bennett, a nie Jane Delray. Kiedy powiem im o tej drobnej pomyłce... - Wzruszyła ramionami. - Mam nadzieję, że nie zapomną ogolić ci głowy, zanim założą na nią ten metalowy czepek...

Juice wyraźnie się denerwował. Ze świstem wciągał powietrze przez złamany nos.

- Co to znaczy, suko?

- Chyba słyszałeś o ostatnim kolesiu, który został stracony w ten sposób? Zapaliły mu się włosy. Wyłącznik był zbyt gorący, więc nie mogli przekręcić go z powrotem. Biedak spalił się żywcem. Podobno płomienie strzelały tak wysoko, że aż sięgały sufitu. Wrzeszczał przez całe dwie minuty zanim w końcu znaleźli skrzynkę z bezpiecznikami i wyłączyli prąd.

Juice z trudem przełykał ślinę. Noga drżała mu tak mocno, że kolaniem uderzał o stół.

- Podaj mi nazwisko, Juice. Powiedz, kto zabił Jane Delray.

Na zmianę zaciskał i rozluźniał pięść. Cały stół drżał.

- Podaj nazwisko...

Z całej siły walnął pięścią o blat.

- Nie znam żadnego nazwiska!

Amanda kliknięciem wyłączyła długopis. Zamknęła notes. Nawet nie drgnęła, zachowując całkowity spokój. Czekala.

- Niech to diabli - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Niech diabli porwą te cholerne dziwki. Przez te głupie cipy wpakowałem się w takie gównno.

- Kto chciał zabić Jane?

- Wszyscy - warknął. - Odszczekiwała się przez cały czas. Narobiła sobie mnóstwo wrogów.

- I ktoś spośród nich mógł ją zamordować?

- Nie, jeśli nie chciał mieć rozciętego gardła. Suka nosiła w torebce nóż. Wszystkie one noszą nóż. Jane umiała się nim posługiwać. Człowiek na moment nie mógł się odwrócić do niej plecami. Suka była podstępna jak wąż.

- To dość wyszukany komplement w ustach jej alfonsa. Nie odpowiedział. Podkulił ramiona i zacisnął ręce na kolanach.

- Co mówiła tamta dziwka? Ze Kitty zna burmistrza? Myślisz, że mógłby pomóc kolesiovi takiemu jak ja? Że mógłby wyciągnąć mnie z tego bagna?

- Już powiedziałam, że jeśli powiesz mi prawdę, być może będę mogła ci pomóc.

Gapił się na nią, przesuwając oczyma tam i z powrotem, jakby czytał książkę.

- Cholera - mruknął w końcu. - Myślisz, że ktoś tam w ogóle będzie chciał cię słuchać?

Dźwignął się z krzesła. Amanda naprężyła się, lecz pozostała na swoim miejscu, nie zważając na to, że on wisi nad nią jak złowieszczy cień.

- Rozejrzyj się wokół siebie, suko. - Wyciągnął obie ręce. - Prędezej pozwolą, żeby czarnuch rządził tym światem, niż dopuszczą do władzy cipy takie jak ty.

Amanda stała przed domem Evelyn z butelką wina w ręku. Nie należało do najtańszych, ale i tak Amanda wcale nie była przekonana, czy cena odgrywa jakąś rolę jeśli chodzi o smak. Podobnie jak w innych sprawach, znowu się znalazła nie w swoim żywiole. Zwłaszcza że drzwi otworzył Kenny Mitchell.

Na jej widok uśmiech rozszerzył mu usta. Zauważyła, że miał idealnie równe zęby. I idealnie proporcjonalną twarz. Nie było w nim niczego, co chciałaby zmienić. Oczywiście nie znaczy to, że miała jakiegokolwiek szanse.

- Amanda - odezwał się. - Wspaniale znów cię widzieć.

Pochylił się w jej kierunku, a wtedy ona odruchowo cofnęła się o krok.

- Och - powiedziała z zażenowaniem, a potem wróciła na poprzednie miejsce, wiedząc, że wygląda jak głupia gęś, a nie dorosła kobieta. Ten moment mógł być jeszcze bardziej przykry, ale Kenny zaśmiał się, ujął ją pod brodę i lekko musnął wargami jej policzek. Przez chwilę mogła poczuć szorstkość jego skóry, kłujące włoski wąsów... Drugą rękę lekko oparł na jej ramieniu. Momentalnie poczuła, jak spływa po niej fala gorąca.

- No chodź. - Otworzył przed nią drzwi. Amanda wkroczyła do wnętrza domu, gdzie natychmiast owionął ją powiew chłodnego powietrza. - Prawda, jak tu przyjemnie?

Kenny wziął od niej wino. Każdy jego ruch cechował się pewnym niedbałym wdziękiem, jakby był zawodnikiem, który właśnie znalazł się na arenie.

- Evelyn jest w drugiej części domu, kładzie małego spać. Obawiam się, że ten smród, który poczułaś, to wynik wysiłków moich i Billa. Staraliśmy się przygotować coś na kolację. Może szklaneczkę

wina? - Spojrzał na butelkę i gwizdnął przeciągle. - Doskonały gatunek. Może ja to wezmę?

- W porządku - odparła, nie bardzo wiedząc, na które pytanie odpowiada. Popatrzyła w dół, ze zdziwieniem konstatując, że jej stopy są tam nadal, że nie rozpuściła się w kipiącą kałużę młodzięcej niecierpliwości. - Jak ci pasuje.

Kenny zdawał się niczego nie zauważać albo może był przyzwyczajony, że kobiety przy nim zachowują się jak idiotki. Wskazał w głąb korytarza.

- Pierwsze drzwi po prawej stronie.

Idąc korytarzem, Amanda czuła na sobie jego wzrok. Dziwne, ale na myśl przyszedł jej Juice, albo raczej to, co powiedział na temat jej pośladków. Amanda zagryzła wargę. Psiakrew, dlaczego ze wszystkich rzeczy, które mówił ten alfons, właśnie to najmocniej utkwilo jej w pamięci? Kenny z pewnością nie był taki jak on. Nie był tchórzliwy ani brutalny. Podobnie jak Amanda, co bynajmniej nie tłumaczyło, dlaczego, kiedy delikatnie pukała do drzwi sypialni, przez myśl przelatywały jej obsceniczne obrazy.

- Wejdz - wyszeptała Evelyn.

Amanda popchnęła drzwi. Evelyn siedziała na bujanym fotelu, trzymając w objęciach Zeke'a. Leżał z główką odchyloną do tyłu, z bezwładnie zwieszoną na bok rączką. Był jasnowłosym dzieckiem, z różowymi policzkami i okrągłym noskiem. Właściwie nie powinno dziwić, że Evelyn miała tak uroczego synka. Ani to, że jego dziecięcy pokój był taki ładny i kolorowy. Na jasnoniebieskiej ścianie namalowana była puchata, biała owieczka, także kołyska była lśniaco biała. Żółty kolor pościeli pasował do dywanu, który z kolei harmonizował z jarzącą się nocną lampką - jedynym źródłem światła w pomieszczeniu.

- Ładnie wyglądasz - powiedziała cicho Evelyn.

- Dziękuję. - Amanda z pewnym zażenowaniem przyglądała włosy. Umyła je cztery razy, żeby pozbyć się smrodu więzienia, a potem z całkiem innych powodów wtarła odrobinę Charliego w szyję oraz nadgarstki. - Chcesz, żebym pomogła ci w kuchni?

- Nie, dziś jest kolej Billa. - Evelyn jęknęła cicho, dźwigając się z fotela. Zakołysała dzieckiem, a następnie ułożyła je w kołysce. Opadł na materacyk niczym szmaciana laleczka. Evelyn podciągnęła prześcieradło i otuliła nim małe ramionka Zeke'a. Palcami delikatnie odsunęła mu z czoła włoski, a potem pochyliła się i ucałowała go w policzek. Dopiero wtedy dała znak, że mogą już wyjść.

Zamiast skierować się w stronę kuchni, Evelyn zaprowadziła Amandę do sąsiedniego pokoju. Dziś miała na sobie króciutką, niebieską krynolinę, która szeleściła przy każdym kroku. Włączyła górną lampę, oświetlając wnętrze gabinetu. Przy dwóch przeciwległych ścianach stały dwa biurka. Na obu panował idealny porządek. Amanda domyśliła się, że czarne, metalowe biurko należy do Billa Mitchella - raczej wątpliwe, by korzystał z elegancko zaokrąglonego, białego mebelka w stylu rokoko, z gałkami z różowego szkła. Zresztą na samym jego brzegu leżał należący do Evelyn notes, a obok lista zakupów. Co godne uwagi, jej wcześniejsza wersja została wyeksponowana na ścianie. Evelyn przy pomocy pinesek mocowała na ścianie rozmaite kawałki papieru, wycięte z bloku do rysowania.

- Pomyślałam, że tu będzie nam wygodniej - wyjaśniła, podsuwając Amandzie krzesło Billa. Sama usiadła przy biurku i otworzyła górną szufladę. - To wszystko znalazłam w Five.

Amanda wzięła do ręki prawa jazdy. Lucy Ann Bennett. Kathryn Elizabeth Treadwell. Mary Louise Eitel. Donna Mary Halston. Mary Abigail Ellis.

Z uwagą przyjrzała się zdjęciom, a potem odłożyła na bok dokumenty obu Mary, pozostawiając prawo jazdy Donny Mary Halston.

- Ta wygląda tak samo jak Kitty i Lucy.

- Też tak pomyślałam.

- Widać, że facet lubi ten typ kobiet. - Amanda nigdy nie brała pod uwagę takiej możliwości, ale teraz przyszło jej do głowy, że to jednak ma sens. Mężczyźni zwracają uwagę na określony typ kobiecej urody, który budzi w nich pożądanie. Dlaczego morderca miałby być inny?

- Wszystkie wyglądają całkiem normalnie - zauważyła Evelyn. - W życiu byś się nie domyśliła, czym się zajmują.

Amanda wpatrywała się w fotografie. Rzeczywiście, te dziewczyny wyglądały całkiem zwyczajnie. Nic nie sugerowało, że są prostytutkami; nic nie wskazywało, że osunęły się na samo dno, by zaspokoić narkotykowy głód.

Najbardziej uderzało ich fizyczne podobieństwo. Długie, jasne włosy. Błękitne oczy. Wysoka, smukła sylwetka. Pełne usta. Wyraziste spojrzenie. Były nie tylko ładne, ale wręcz piękne.

- Wszystkie mają ten sam adres - zauważyła Amanda. - Techwood Homes. Spróbuję zadzwonić do Pam Canale i zobaczę, czy uda jej się odszukać przydział mieszkania po numerze w rejestrze. Mam przecucie, że to mieszkanie należało do Kitty, ale nie zaszkodzi się upewnić.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Możemy jutro pojechać z tymi zdjęciami do Techwood. Tak jak powiedziałaś, dziewięćdziesiąt procent mieszkańców to Murzyni, więc trzy białe dziewczyny na pewno rzucały się w oczy.

- Dobrze. W takim razie zatrzymaj to sobie. - Evelyn porwała z biurka notes, ale go nie otworzyła. - Sprawdziłam wszystkie zgłoszenia o zaginięciu w reszcie okręgów. Nie ma nic o Lucy ani Jane, ale znalazłam zgłoszenie dotyczące Mary Halston. Ona ma siostrę, która mieszka w Virginii i która szukała jej przez prawie rok.

- Możemy do niej zadzwonić - zdecydowała Amanda, wpychając do torebki prawa jazdy zaginionych dziewczyn. - Z pewnością będzie chciała z nami porozmawiać.

- Musimy zadzwonić stąd. Jeśli wykonamy rozmowę zamiejscową z posterunku, natychmiast złożą nam skórę.

Ich skóra i tak znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Czy coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?

- Sprawdziłam w DNF - Evelyn zerknęła do notesu. - Według mnie nic nie pasuje do naszej sprawy. Ale pomyśl o tych wszystkich dziewczynach, które zniknęły bez śladu. Było ich przynajmniej dwadzieścia, a nikt nie pomyślał, żeby coś z tym zrobić, tylko wpisano je do akt i wepchnięto głęboko do szafy.

Powoli pokręciła głową. Amandzie zrobiło się wstyd, że Evelyn musiała jej o tym powiedzieć.

Ale Evelyn jeszcze nie skończyła.

- Nie żyją, zostały uprowadzone albo ktoś zrobił im krzywdę i nikogo to nie obchodzi. Albo przynajmniej nikt o tym nie wie, żeby się przejąć problemem. Muszą przecież mieć rodziny, które ich szukają. Ale jeśli chodzi o czarne kobiety, prawie się nie zdarza, żeby prowadzono jakieś oficjalne poszukiwania. Przypuszczam, że ich rodziny doskonale zdają sobie z tego sprawę. A przynajmniej... - głos

Evelyn zamarł, kiedy otwierała notatnik. - Zapisałam sobie ich nazwiska. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu pomyślałam, że ktoś powinien to zrobić. Że ktoś powinien wiedzieć, że one zniknęły.

Amanda popatrzyła na długą listę kobiecych nazwisk. One wszystkie nie żyją. Wszystkie zostały wrzucone do akt. na które nikt nawet nie spojrzy.

Evelyn westchnęła przeciągle. Odłożyła notes z powrotem na biurko.

- Jak tam było w więzieniu? - spytała.

- Obrzydliwie - przyznała szczerze Amanda. Pogrzebała w torebce, choć nie musiała patrzeć w notatki, żeby zdać relację z wizyty. - Juice przyznał się do zabójstwa Lucy Bennett, ale wyłącznie dlatego, żeby uniknąć kary śmierci.

- Czyżby nikt mu nie wyjaśnił, że kara śmierci została zniesiona?

- Powiedziano mu, że przywrócą ją specjalnie dla niego.

Evelyn skinęła głową.

- Według mnie to sprytne zagranie, jeśli chodzi o Juice'a.

- Tak, o ile chcesz spędzić resztę życia w więzieniu. - Amanda otworzyła notes. - Juice potwierdził, że Kitty jest córką Andrew Treadwella.

- No cóż. - Evelyn uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Nasza teoria o czarnej owcy okazała się prawdziwa.

- Na twoim miejscu nie wstrzymywałabym oddechu w oczekiwaniu na pochwały - poradziła Amanda. - A teraz najlepszy kąsek: Juice powiedział, że Hank Bennett Przyszedł do niego mniej więcej tydzień przed zniknięciem Lucy.

Evelyn chrząknęła znacząco.

- Boże, ten facet raczej wolałby wleźć na drzewo i kłamać. niż stanąć na ziemi i powiedzieć prawdę.

Wzięła z biurka długopis i wstała, żeby napisać coś na ścianie z łamigłówką.

- Więc widział się z siostrą tydzień przed jej zaginięciem? - zapytała, notując tę informację pod nazwiskiem Hanka Bennetta. - Co jeszcze powiedział ci Juice?

- Że Hank Bennett kazał mu odstawić Kitty od heroiny.

- Masz na myśli Lucy?

- Nie, Kitty.

Evelyn odwróciła się w jej stronę.

- Dlaczego Hank Bennett chciał, żeby Kitty przestała brać heroinę? Amanda wyciągnęła kartkę z nazwiskiem sierżanta Hodge'a.

- Tak, to bardzo ciekawe pytanie.

Evelyn jęknęła, spoglądając na łamigłówkę.

- Może Andrew Treadwell wysłał Hanka Bennetta, żeby spróbował wyciągnąć Kitty z nałogu?

- Może.

Amanda wcale nie czuła się przekonana.

- Okay, spróbujmy czegoś innego: Trey Callahan w Union Mission powiedział nam, że Kitty wyraźnie odstawała od pozostałych dziewczyn. Że pochodziła z lepszych sfer. To nie zajmie wiele czasu, jeśli spróbujemy wyniuchać, kim byli jej bliscy. Może Juice próbował szantażować Andrew Treadwella, a Treadwell wysłał Hanka Bennetta, żeby odwalił za niego brudną robotę. - Zerknęła do notatek.

- Juice sam powiedział, że Bennett proponował mu pieniądze, jeśli Kitty przestanie brać herę.

Evelyn westchnęła ciężko.

- A więc Bennett przyszedł przekupić Juice'a w związku z Kitty, a potem zobaczył, że jego siostra też tam jest?

- Juice twierdzi, że wtedy Bennett nie widział się z Lucy, ale kto to wie? Oni wszyscy kłamią jak najęci.

- O tak... - Evelyn pochyliła się i uważnie spojrzała na żółtą kartkę, na której zaznaczono czas wydarzeń. - Musimy to uaktualnić. Podaj mi wszystko jeszcze raz.

- Dzięki, że wzięłaś na siebie najgorsze zadanie. - Amanda zaczęła kartkować swoje notatki, a Evelyn czekała cierpliwie. - Okay. Do Union Mission przychodzi list dla Lucy Bennett. Obaj, Callahan i Juice, to potwierdzili.

Evelyn wyjęła nową kartkę błękitnego papieru, przyczepiła ją do ściany i na samym środku napisała słowo LIST.

- Czy Juice wiedział, co w nim było?

- Podobno Bennett napisał, że chce się spotkać z siostrą. Że bardzo za nią tęskni. Juice uważał, że to stek bzdur.

- No popatrz, pierwszy raz zgadzam się z jakimś alfonsem.

Amanda mówiła dalej.

- Hank Bennett kilka dni później zjawił się w Union Mission i rozmawiał z Treyem Callahanem. Później, przypuszczalnie zaraz potem, poszedł do Juice'a na jego ulicę. Tam zobaczył Kitty. Powiedział Juice'owi, żeby przestał faszerować ją narkotykami. Nie pytał się o siostrę.

Zmrużywszy oczy, spojrzała na swoją bazgraninę.

- Juice specjalnie podkreślał, że powiedział Bennettowi, żeby zaczekał parę minut, że Lucy zaraz powinna przyjść, ale Bennett go nie posłuchał.

- Rozumiem, że dla naszego adepta prawa spotkanie z Kitty było ważniejsze i odszukanie Lucy spadło na dalszy plan? - zgadywała Evelyn.

- Najwyraźniej - zgodziła się Amanda. - Dwa tygodnie później Lucy znika bez śladu. Mija kolejny tydzień albo coś koło tego i to samo spotyka Kitty. A po tym ginie Mary. - Amanda sprawdziła w notesie. - W przeciągu trzech miesięcy znikają trzy dziewczyny. Dlaczego?

- Powiedz, żebyśmy wreszcie mogła przestać pisać. - Evelyn potrząsnęła ręką, która zdążyła już ściernąć, a potem dokończyła aktualizację. Wreszcie odsunęła się o krok i spojrzała na chronologiczną kolejność wydarzeń. Obie się jej przyglądały. Łamigłówa znajdowała się tuż przed ich oczyma, a na niej oderwane strzępki informacji, pozornie niemające ze sobą nic wspólnego. - Cały czas mam wrażenie, że coś nam umyka.

- Okay. - Amanda wstała z krzesła. Chodzenie czasami pomagało jej myśleć. - Popatrzmy na to z innej strony: Bennett próbuje nawiązać kontakt z siostrą, jego ojciec zmarł, a matka chce zobaczyć córkę, żeby jej powiedzieć, co się stało. Więc Hank idzie na ulicę szukać Lucy, tyle że zamiast niej znajduje Kitty Treadwell.

- W porządku.

- Bennett powiada, że ten list do Lucy został wysłany w sierpniu. Pamięta dokładnie, ponieważ niedługo przedtem ukończył wydział prawa, a jego ojciec zmarł niedawno. Potem mówi nam, że właśnie rozpoczął pierwszy rok stażu w kancelarii Treadwell-Price.

- Ooo... - Evelyn ziewnęła przeciągle. Wzięła do ręki długopis i zapisała przybliżone daty. - Bennett widzi, że Kitty kurwi się na ulicy i postanawia, że wykorzysta tę wiedzę podczas pracy w Treadwell-Price? - Uśmiechnęła się lekko. - To firma z absolutnie najwyższej półki. Praca tam może ustawić cię na resztę życia. Według mnie ten cwaniak z pewnością postarał się wykorzystać tragedię własnej siostry, żeby wyciągnąć z tego jakieś korzyści.

- Racja.

Evelyn oparła plecy o tył krzesła.

- Tylko co to wszystko ma wspólnego z Jane Delray? I dlaczego Bennett kłamał przy identyfikacji zwłok? Co zyskuje na tym, że zostanie potwierdzona śmierć Lucy?

- Och! - Z podekscytowaniem dziabnęła długopisem podetrze. - Ubezpieczenie! Patrzyłam pod niewłaściwym kątem. Oczywiście Lucy nie miała polisy na życie. Bennett sam nam o tym powiedział. Jego ojciec nie żyje, matka też jest już ledwie ciepła, więc pozostaje po nich majątek i polisy, jakie rodzice przepisują na dzieci. - Evelyn usiadła prosto. - Może więc Bennett chciał się zobaczyć z Lucy, żeby nakłonić ją do podpisania zrzeczenia się spadku? To samo przytrafiło się w zeszłym roku jednemu z klientów Billa. Starszy pan miał totalne kuku na muniu, a dzieci namówiły go, żeby przepisał na nie cały majątek.

- Hank Bennett zdecydowanie sprawił na mnie wrażenie oportunisty.

- Zresztą jaką mamy inną możliwość? - pytała Evelyn. - Że Hank Bennett zamordował Jane Delray? Widziałyśmy go nie dalej jak dwa dni temu. Miał idealnie gładkie ręce. Żadnych zacięć ani siniaków, które byłyby dowodem, że się z kimś bił.

Amanda przypomniała sobie o naskórku pod paznokciami Jane Delray.

- Jane solidnie podrapała swojego napastnika. Myślisz, że Bennett miałby jakieś ślady na wierzchu dłoni, twarzy albo szyi?

- No chyba, że podrapała mu ramiona. Albo klatkę piersiową. Widziałaś, że nosił trzyczęściowy garnitur? Cholera wie, co jest pod spodem... - Evelyn wydmuchała z ust powietrze. - Osobiście nie

wyobrażam sobie, jak Hank Bennett dusi prostytutkę, a następnie zrzuca ją z dachu Techwood Homes. A ty?

Amanda nie miała pojęcia, do czego ten człowiek jest zdolny.

- Po prostu mam złe przeczucia, jeśli o niego chodzi.

- Ja także.

Obie wpatrywały się w ścianę. Amanda pozwoliła, by jej spojrzenie wędrowało swobodnie, wydobywając wyrwane z kontekstu nazwiska.

- Juice powiedział mi, że Kitty podnajmowała swoje mieszkanie innym dziewczynom.

- Przypuszczam, że odziedziczyła po swoim ojcu smykałkę do interesów.

- Następnym logicznym posunięciem powinno być przesłuchanie Andrew Treadwella i Hanka Bennetta.

- No jasne, równie dobrze możemy zatrzepotać rączkami i polecieć na Księżyc.

- Więc może powinniśmy wrócić do Treya Callahana w Union Mission. Juice powiedział, że on przyjaźni się z facetem, który prowadzi kuchnię z zupami.

Evelyn ze zdumienia otworzyła buzię.

- Czy tylko mi się zdaje, czy wszyscy dookoła kłamią nam jak bure suki?

- Kłamią także wtedy, gdy przesłuchują ich faceci. Jeśli nosisz odznakę, musisz się liczyć z tym, że nikt nie powie ci prawdy.

- No cóż, moim zdaniem trzeba zawiadomić Betty Friedan*, że jednak w końcu osiągnęłyśmy coś w rodzaju parytetu.

** Betty Friedan (1921-2006) - amerykańska feministka, działaczka społeczna i pisarka.*

Amanda uśmiechnęła się.

- Powinniśmy porozmawiać z tym facetem od kuchni z zupami.

- Poczekaj, wciąż nie wiemy, kto jest kontrwywiadowcą Butcha. Ostatecznie ktoś w Techwood zidentyfikował Jane Delray jako Lucy Bennett.

Evelyn wyjęła z szuflady czystą kartkę papieru.

- Okay, a więc jutro z samego rana: Union Mission, kuchnia z zupami, a potem Techwood, żeby pokazać ludziom zdjęcia tych dziewczyn. Jak myślisz, czy udałoby się nam skombinować zdjęcie Hanka Bennetta? - Postukała długopisem w blat. - Znam laskę, która pracuje w biurze wydającym prawa jazdy. Założę się, że w ten sposób możemy zdobyć zdjęcie.

Amanda popatrzyła na przyjaciółkę. Emanowała z niej ta sama mieszanka podniecenia i zdecydowania, którą Amanda wyczuwała przez cały tydzień. Coś sprawiało, że pracując nad tą sprawą, całkiem zapominały o związanym z nią niebezpieczeństwie.

- Dwie osoby ostrzegły mnie dzisiaj, że bym się w to nie pakowała - powiedziała na głos.

- Landry?

- Razem z nim trzy. Holly Scott i Deena Coolidge. Obie mówiły, że to szaleństwo z naszej strony.

Evelyn zagryzła wargi. Nie musiała potwierdzać, że obie miały rację.

- Czy naprawdę chcemy to ciągnąć? - spytała Amanda.

Evelyn wpatrywała się w nią bez słowa. To wystarczyło. Obie wiedziały, że powinny przestać. Wiedziały, co jest stawką w tej grze. Nie tylko ich posady. Ich życie. Ich przyszłość. Jeśli zostaną wyrzucone z policji, nikt nigdy ich nie zatrudni. Będą pariasami.

- Dziewczęta - zawołał Bill Mitchell. - Kolacja gotowa!

Evelyn wstała. Ścisnęła dłoń Amandy.

- Udawaj, że jest cudownie, cokolwiek się zdarzy.

Amanda nie wiedziała, czy Evelyn mówi o kolacji przygotowanej przez Billa, czy o bagnie, w które obie wpakowały się z własnej woli. Niemniej idąc za nią wzdłuż korytarza, nie mogła nie czuć podziwu dla tej kobiety. Albo Evelyn była najbardziej radosną osobą, jaka chodziła po tym święcie, albo umiała doskonale wprowadzać ludzi w błąd.

- Drogie panie. - Kenny stał obok odtwarzacza hi-fi z płytą w ręku.
- Na co macie ochotę?

Evelyn uśmiechnęła się. Poszła prosto do kuchni, pozostawiając odpowiedź Amandzie.

- Skynyrd? Allman Brothers? Clapman? - proponował Kenny.

Amanda doszła do wniosku, że równie dobrze może raz na zawsze rozwiązać ten problem.

- Przykro mi to mówić, ale osobiście wolę Sinatrę.
- Wiesz, że w zeszłym roku widziałem go w Madison Square Garden? - Kenny uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Specjalnie poleciałem do Nowego Jorku, żeby zobaczyć jego show. Siedziałem w trzecim rzędzie. Wyszedł na arenę jak prawdziwy champion i śpiewał całymi godzinami.

Kenny pogrzebał w płytach.
- O, proszę bardzo. Pożyczyłem to Billowi pół roku temu, ale jestem pewien, że nawet na nią nie spojrział. - Pokazał Amandzie obwolutę. *The Main Event*, i to na żywo.

- Kolacja stygnie! - zawołał Bill.

Amanda poczekała, aż Kenny nastawi płytę. Z głośników popłynęły miękkie dźwięki uwertury. Kenny podał Amandzie ramię i poprowadził ją do jadalni. Evelyn siedziała na kolanach swojego męża, który czule gładził ją po pupie. Zanim wstała, obdarzyła go pocałunkiem.

- Amanda, wino jest naprawdę super. - Pociągnęła solidnie z kieliszka. - Nie masz powodu się wstydzić.

- Cieszę się, że jest niezłe. Miałam paskudne wrażenie, że facet w sklepie stara się mnie zwodzić.

- Jestem pewien, że jesteś doskonałym sommelierem. - Kenny podsunął jej krzesło. Amanda usiadła, stawiając torebkę na podłodze. Poczula, jak dłoń Kenny'ego musnęła jej ramię, zanim sam zajął miejsce naprzeciwko brata.

Amanda przytrzymała kieliszek przy ustach, jednocześnie wypuszczając oddech.

- No i co, dziewczyny? - spytał Bill. - Na jakim etapie jesteście? Czy powinienem się bać, że wytapetujecie cały dom tymi kolorowymi karteczkami?

- Możliwe. - Evelyn uniosła brew, jednocześnie popijając kolejny łyk wina. - Właśnie doszliśmy do wniosku, że przypuszczalnie wywalą nas za to z roboty.

- No to będę więcej czasu spędzał z moją dziewczynką. - Bill nie wydawał się ani trochę zdenerwowany, kiedy dziabnął widelcem wysuszony kawałek pieczeni i położył go na swoim talerzu. - A co, zaczęłyście pyskować na potęgę czy sprawiacie kłopoty? A może jedno i drugie?

Odkroił świeży kawałek dla Amandy.

- Po prostu zamierzamy wyciągnąć z pierdła pewnego czarnucha - wyjaśniła Evelyn.

Kenny wybuchnął śmiechem.

- Zawsze potraficie pozyskać sobie przyjaciół.

- Nie żartuję - odparła Evelyn. - Ten konkretny gość nosi ksywę Juice.

- Jak ten futbolista? - Bill nalał do pełna kieliszek Amandy, a następnie uzupełnił kieliszek Evelyn.

- W sześćdziesiątym ósmym przebiegł tysiąc pięćset pięćdziesiąt pięć metrów.

- Tysiąc pięćset sześćdziesiąt dwa - poprawił go Kenny. - W tym sto siedemdziesiąt jeden przeciwko Ohio w rozgrywkach Rose Bowl.

- No to wypijmy za futbol. - Bill wzniosł kieliszek.

- Wypijmy - powtórzył jak echo Kenny.

Zabrzączały kieliszki. Amanda znów poczuła, jak po jej ciele rozlewa się fala ciepła. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta, dopóki wino nie pomogło jej się rozluźnić.

- Ten Juice alfons poczuł nagłą namiętność do naszej Amandy. - Evelyn spojrzała na nią ponad stołem i mrugnęła szelmowsko. - Powiedział jej, że świetnie wygląda.

- No cóż, w takim razie to bystry chłopak. - Kenny także mrugnął do Amandy.

Szybko wypła spory łyk wina, żeby pokryć swoje zmieszanie.

- To alfons - wyjaśniła Evelyn. - Spotkałyśmy go w zeszłym tygodniu w Techwood Homes.

Amanda miała wrażenie, że serce w niej zamiera, ale Evelyn paplała dalej.

- Ma pod opieką wyłącznie białe kobiety.

- Mój ulubiony gatunek. - Bill uzupełnił kieliszek Amandy. Nie zdawała sobie sprawy, że tak szybko wypła poprzedni. Spojrzała na swój talerz; warzywa najwyraźniej były zamrożone, a mięso rozgotowane. Nawet ciasto w roladzie było przypalone na brzegach.

- Ta prostytutka, Jane... - Evelyn przewróciła oczyma. - Jej mieszkanie trudno było nazwać wzorem porządku. Coś ty

powiedziała, Amando? „Chyba poszukam poprzednich wydań «Good Housekeeping»”?

Panowie zaśmiali się, a Evelyn kontynuowała opowieść.

- Kontakt z nią to był absolutny horror.

Amanda znowu pociągnęła z kieliszka, który przez cały czas trzymała przytulony do piersi, słuchając, jak Evelyn opisuje mieszkanie w Techwood i pyską dziwkę, którą tam zastały.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, kiedy parodiowała prostacki akcent Jane Delray. W sposobie opowiadania Evelyn było coś, co sprawiało, że ta historia wydawała się raczej zabawna niż przerażająca. Równie dobrze mogło chodzić o jakąś intrygę w serialu komediowym, gdzie dwie zuchowate pannice wtykają nos w nie swoje sprawy, a potem muszą zwiewać, ale wszystko dobrze się kończy.

- Wyjście z lewej strony sceny - powiedziała.

Wszyscy znowu ryknęli śmiechem, choć śmiech Evelyn nie brzmiał całkiem szczerze. Amanda ujrzała, jak jej przyjaciółka szarpie końce włosów.

Bill wyciągnął rękę i czule klepnął ją po dłoni.

- Zobaczysz, że niedługo będziesz całkiem łysa.

- Czy ciężko ci było obciąć włosy? - spytała Amanda.

Evelyn wzruszyła ramionami. Najwyraźniej tak, ale starała się tego nie okazać.

- No wiesz, po urodzeniu Zeke'a nie miałam na to czasu.

Wino dodało Amandzie odwagi. Odwróciła się do Billa.

- A ty? Nie miałeś nic przeciwko temu?

Bill ujął dłoń żony.

- Jeśli moja ukochana była zadowolona... - odparł.

- Ryczałam jak głupia przez całą godzinę - zapewniła Evelyn.

- Wydaje mi się, że raczej około sześciu - sprostował. - Zresztą mnie się podoba.

- Bardzo modna fryzura - dorzucił Kenny. - Ale długie włosy też są fajne.

Amanda pogładziła się po włosach. Były dużo gorsze niż Evelyn.

- Czemu ich nie rozpuścisz?

Ta propozycja wyszła od Kenny'ego. Amanda była zarówno zaskoczona, jak i głęboko zawstydzona. Jednocześnie znajdowała się w stanie bliskim kompletnego upicia, co zapewne było powodem, że spełniła jego życzenie.

Bez słowa wyciągała z włosów kolejne szpilki, jednocześnie licząc, ile ich jest. Pięć, sześć, siedem... W sumie było osiem, plus lakier do włosów, który od razu skleił jej palce. Włosy opadły miękko, sięgając do połowy pleców. Amanda przycinała je tylko raz w roku. Nosила rozpuszczone jedynie w zimie, no i nocą, kiedy zostawała sama.

- Jesteś taka ładna - westchnęła Evelyn.

Amanda skończyła wino. Czowała, że kręci jej się w głowie. Powinna była zjeść przynajmniej roladę, żeby wolniej przyswajać alkohol, ale nie miała ochoty słuchać odgłosów własnego żucia. W pokoju było całkiem cicho, jeśli nie liczyć muzyki. Sinatra śpiewał właśnie *Autumn in New York*.

Bill wziął ze stołu butelkę i nalał wszystkim do pełna. Amanda pomyślała, żeby zakryć kieliszek dłonią, lecz nie miała siły się ruszyć.

W kuchni zabrzączał telefon. Evelyn drgnęła.

- Chryste, kto może dzwonić o tak późnej porze?

Amanda za nic nie chciała zostać sama w jadalni.

Resztką sił powlokła się za Evelyn do kuchni.

- Rezydencja państwa Mitchell.

Amanda odrzuciła do tyłu włosy, zwijając je w koronę. Po kolei wtykała wszystkie szpilki, zdając sobie sprawę, jak niezdarne są jej ruchy. Za dużo wina, pomyślała. Za dużo uprzejmości.

- Gdzie? - zapytała Evelyn. Przeciągnęła sznur od telefonu w poprzek kuchni, żeby wyciągnąć z szuflady kartkę papieru i coś do pisania.

- Powtórz jeszcze raz. - Pospiesznie bazgrała coś na kartce. - I kiedy to było?

Wydała kilka pomruków, które zapewne miały zachęcić rozmówcę do kontynuowania wypowiedzi, aż w końcu powiedziała, że zaraz tam będzie, i rozłączyła się.

- Dokąd się wybierasz? - Amanda wspierała się na dłoni opartej o blat kuchenny. Wino zamarynowało jej mózg. - Kto dzwonił?

- Deena Coolidge - wyjaśniła Evelyn, składając kartkę na pół. - Właśnie znaleziono kolejne ciało.

Amanda poczuła, jak w mgnieniu oka wraca jej ostrość widzenia.

- Czyje?

- Na razie nie wiemy. Blondynka, szczupła, ładna...

- Brzmi znajomo.

- Znaleźli ją w Techwood Homes.

Evelyn popchnęła wahadłowe drzwi prowadzące do jadalni.

- Sorry, chłopaki, ale my musimy lecieć.

Bill uśmiechnął się do niej.

- Powiedz raczej, że chcesz się wykręcić od zmywania naczyń.

- Pozmywam rano.

Wymienili spojrzenia i Amanda zdała sobie sprawę, że Bill Mitchell wcale nie jest tak naiwny, jak jej się z początku zdawało. Tak samo jak Amanda potrafił przejrzeć na wylot dowcipne teksty swojej żony.

Podniósł kieliszek w geście toastu.

- Będę na ciebie czekał, kochanie.

Evelyn chwyciła torebkę Amandy, zanim puściła wahadłowe drzwi.

- Jestem pijana jak Świnia - mruknęła. - Mam nadzieję, że nie skończymy tej jazdy w jakimś potoku.

- Ja poprowadzę - zaproponowała Amanda, wychodząc za nią przez kuchenne drzwi.

Zamiast do samochodu, Evelyn skierowała się do szopy. Panowie skończyli już pracę, jeśli nie liczyć malowania ścian. Evelyn przesunęła ręką po framudze i znalazła klucz. Potem pociągnęła za łańcuszek, żeby włączyć światło. Do podłogi był przymocowany sejf. Evelyn musiała trzy razy wstukiwać kombinację cyfr, zanim udało jej się go otworzyć. - Zdaje mi się, że we czwórkę opróżniliśmy całą butelkę.

- Dlaczego Deena dzwoniła akurat do ciebie?

- Bo ją prosiłam, żeby dała mi znać, jeśli coś się wydarzy.

Evelyn wyjęła rewolwer, sprawdziła, czy w cylindrze jest amunicja, a następnie zatrzasnęła magazynek. Zabrała jeszcze dodatkowe naboje i zamknęła sejf.

- Jedziemy.

- Myślisz, że to będzie ci potrzebne?

Evelyn włożyła rewolwer do torebki.

- Już nigdy bez tego nie wyjdę z domu - zapewniła.

Podnosząc się z podłogi, musiała się chwycić za brzeg półki. Na moment zamknęła oczy, żeby odzyskać równowagę.

- Chyba obu nam wlepią mandat za prowadzenie po pijaku - mruknęła.

- Tyle, że to raczej nie pomoże nam wytrzeźwieć.

Evelyn wyłączyła światło i zamknęła drzwi. Idąc do samochodu, Amanda kilka razy głęboko nabrała powietrza, żeby trochę rozjaśniło jej się w głowie.

- Wiesz, że to oznacza, że Juice tego nie zrobił? - powiedziała Evelyn.

- Czy naprawdę uważaliśmy, że to jego robota?

- Nie, ale teraz także oni będą o tym wiedzieć.

Amanda z trudem wgramoliła się do samochodu. Rzuciła torebkę na tylne siedzenie i czekała, aż Evelyn usiądzie na miejscu pasażera. Podróż do Techwood nie trwała długo, zwłaszcza o ósmej wieczorem. Na ulicach prawie nie było ruchu. Jedynymi ludźmi, którzy po zmroku kręcili się po Atlancie, byli ci, którzy absolutnie nie mieli w tym żadnego interesu. To nawet dobrze, biorąc pod uwagę stan upojenia alkoholowego, w jakim znajdowała się Amanda. Jeśli przypadkiem potrąci jakiegoś przechodnia, prawdopodobnie nikt się tym nie zainteresuje.

Światła na skrzyżowaniu mrugały na żółto, kiedy jechała wzdłuż Piedmont Road. Wzięła stromy zakręt, wjeżdżając w Czternastą Ulicę, a następnie zwolniła przed następnymi migającymi światłami, zanim skręciła w lewo w Peachtree. Kolejny zakręt, tym razem w prawo, w North. Jechała tą samą trasą, którą pokonywały tydzień temu: obok Varsity, nad międzystanową autostradą, w lewo w Techwood Drive, a potem prosto, w samo piekło osiedla.

Kilka policyjnych radiowozów blokowało drogę do pobocza, na którym zwykle parkowały auto. Amanda zatrzymała się za znajomym plymouthem fury. Przechodząc obok, rzuciła okiem do wnętrza samochodu. Napoczęte paczki papierosów, na wpół opróżniona flaszka Johnny'ego Walkera, zgniecione puszki po piwie... Amanda poszła za Evelyn w kierunku budynków. Znow, podobnie jak wtedy,

ujrzała Ricka Landry'ego, który stał na samym środku podwórka z rękoma opartymi na biodrach. Na widok Amandy i Evelyn jego twarz wykrzywił gniew.

- Co mam z wami zrobić, cholerne dziwki? Przypierdolić wam czy jak?

Wyglądał, jakby naprawdę był gotów to zrobić, ale Deena Coolidge zdążyła go powstrzymać.

- Jesteście gotowi?

Landry spojrział na nią z wściekłością.

- Nikt tutaj nie prosił o wsparcie, złotko.

Deena wypięła pierś.

- Zabieraj stąd swój tłusty tyłek, zanim szepnę Reggiemu parę słów na twój temat.

Landry próbował wbić ją wzrokiem w ziemię, ale Deena, choć była przynajmniej o trzydzieści centymetrów od niego niższa, nie dała się zastraszyć. Landry w końcu się wycofał i mrużąc pod nosem mało pochlebne epitety na temat wszędobylskich bab, odszedł ciężkim krokiem.

- Zastanawiacie się, co on i Butch tutaj robią, skoro obaj byli dziś na dziennej zmianie? Bo ja tak - zwróciła się do nich Deena.

Amanda popatrzyła na Evelyn, która bez słowa skinęła głową. Faktycznie, to wydawało się dziwne.

- Pete jest w środku przy zwłokach, ale chciałabym, żebyście najpierw z kimś pogadały - powiedziała Deena.

Żadna z nich nie odezwała się, kiedy szły za Deeną do wnętrza budynku. Na korytarzu tłoczyły się kobiety w podomkach i dzieci w piżamach. Na ich twarzach malowała się ostrożność i przestach. Pewnie zdążyli ułożyć się do snu, kiedy przed dom zajechały policyjne wozy. Drzwi do wszystkich mieszkań stały otworem, a ich

wnętrza wypełniał blask migających kogutów. Wchodząc za Deeną coraz dalej w głąb budynku, Amanda doskonale zdawała sobie sprawę, że ona i Evelyn są tutaj jedynymi białymi twarzami.

Tylko jedne drzwi na parterze pozostały zamknięte. Deena zapukała. Poczekają, aż łańcuch zostanie odsunięty, a gałka zasuwki przekręcona. Stara kobieta, która otworzyła drzwi, miała na sobie czarną spódnicę i żakiet. Jej biała bluzka była szorstka od krochmalu. Na głowie nosiła czarny kapelusz z woalką, która sięgała jej do brwi.

- Czemu ubrała się pani jak do kościoła, Miss Lula? - zapytała Deena. - Powiedziałam przecież, że te dziewczyny chcą tylko porozmawiać. Nie mają zamiaru zawlec pani do więzienia.

Stara kobieta wpatrywała się w podłogę. Obecność policjantek budziła w niej strach, to było oczywiste. Nawet kiedy odsunęła się, żeby wpuścić je do środka, widać było, że robi to pod przymusem. Wchodząc do jej mieszkania, Amanda czuła głęboki wstyd.

- Skarbie, może zrobi nam pani herbatkę, co? - zasugerowała Deena.

Miss Lula skinęła głową i skierowała się do sąsiedniego pomieszczenia. Deena wskazała czystą sofę, obitą jasno-żółtym materiałem. Jedyne znajdujące się w pokoju krzesło ustawione było przed małym telewizorkiem i nakryte pofałdowaną narzutą, ozdobioną koronkami. Na stoliku leżała sterta starannie ułożonych czasopism. Dywanik na podłodze także wyglądał całkiem schludnie. Na dwóch przeciwległych ścianach wisiały portrety Martina Luthera Kinga juniora oraz Jacka Kennedy'ego. W kątach nie było pajęczyn i nawet smród, którym nasiąkł cały budynek, jakimś cudem nie zdołał tutaj przeniknąć.

Mimo to ani Amanda, ani Evelyn nie ośmieliły się usiąść. Zbyt dobrze pamiętały, gdzie się znajdują. Nawet jeśli to mieszkanko

rzeczywiście było bez skazy, to jednak otaczał je wszechobecny brud. Równie dobrze można przeciągnąć przez błotnistą kałużę czyściutkie prześcieradło i oczekiwać, że pozostanie nietknięte.

Usłyszały z kuchni gwizd czajnika.

Deena wydawała się bardzo stanowcza.

- Lepiej, żebyście gdzieś posadziły te swoje białe tyłeczki, zanim ona tu wróci.

Mówiąc to, zajęła miejsce na krześle przy telewizorze. Evelyn z ociąganiem przycupnęła na brzegu sofy. Amanda przyłączyła się do niej, ściskając leżącą na kolanach torebkę. Obie siedziały na samym brzeжку poduszek - nie z obawy ubrudzenia, lecz dlatego, że były na służbie. Dobrze wiedziały, że noszenie służbowego pasa uniemożliwia wygodne oparcie.

- Kto zawiadomił o znalezieniu ciała? - spytała Amanda.

Deena skinęła w kierunku kuchni.

- Właśnie Miss Lula. Mieszka tutaj od czasów, gdy budowano to osiedle. Została przeniesiona z Buttermilk.

- Dlaczego uważała, że przyszliśmy ją aresztować?

- Ponieważ jesteście białe i nosicie odznaki.

- Ale wcześniej na nikim tutaj nie robiło to wrażenia - wymamrotała Evelyn.

Miss Lula wróciła. Zdążyła zdjąć kapelusz, ukazując skrywaną dotąd burzę całkiem białych włosów. Porcelanowe filizanki i talerzyki grzechotały, kiedy Miss Lula wносиła srebrną tacę do salonu. Amanda instynktownie wstała, żeby jej pomóc. Taca była ciężka, więc pomogła ustawić ją na stoliku do kawy. Deena zwolniła krzesło, ustępując miejsca starszej pani. To był z jej strony sprytny wybieg. Podnosząc się, przesunęła ręką po pupie, prawdopodobnie szukając

insektów. Za jej plecami po ścianie wspinał się dorodny karaluch.

Deena zadrżała z obrzydzenia.

- Czy macie panie ochotę na ciasteczka? - spytała Miss Lula.

Jej głos brzmiał zaskakująco szlachetnie. Niemal można było w nim odnaleźć ślad angielskiego akcentu, podobnie jak u Leny Horne.

- Dziękujemy, ale nie - odpowiedziała Evelyn. - Właśnie zjadłyśmy kolację.

Sięgnęła po imbryk z herbatą.

- Mogę?

Miss Lula skinęła głową. Amanda obserwowała, jak Evelyn nalewa herbatę do czterech filiżanek. To było najdziwniejsze przedsięwzięcie, w jakim kiedykolwiek brała udział. Nigdy dotąd nie była gościem w domu osoby o czarnym kolorze skóry. Zwykle podczas wizyty stawiała sobie za cel wejść i wyjść jak najszybciej. Czuła, jakby znalazła się w jednym ze skeczów Carol Burnett, będących bardziej społecznym komentarzem niż czystą zabawą.

- Miss Lula w przeszłości była nauczycielką w murzyńskiej szkole w Benson - wyjaśniła Deena.

- Moja mama także była nauczycielką - oświadczyła Amanda. - W szkole podstawowej.

- To też było moje terytorium - odpowiedziała Miss Lula.

Wzięła od Evelyn filiżankę i spodeczek. Jej ręce były stare, kosteczki napuchnięte. Na dłoniach widniały szare ślady popiołu.

Wydęła usta i dmuchała na herbatę, żeby ją ostudzić.

Evelyn obsłużyła Deenę, a następnie Amandę.

- Dziękuję.

Amanda czuła, jak gorąco przenika przez porcelanę, ale i tak wypila herbatę, w nadziei, że teina pomoże zniwelować działanie wina.

Spojrzała na portret Kennedy'ego i znajdującą się naprzeciw podobiznę Kinga, a potem jeszcze raz rozejrzała po schludnym mieszkanku, które Miss Lula nazywała domem.

Kiedy Amanda pracowała jeszcze w patrolach, niektórzy mężczyźni robili sobie zabawę z terroryzowania takich starszych ludzi. Podjeżdżali do nich od tyłu na ulicy i celowo strzelali z gaźnika. Staruszkowie rzucali torby z zakupami. Wyrzucali w powietrze ręce. Większość padała na chodnik. Wystrzał z gaźnika do złudzenia przypominał wystrzał z pistoletu.

- No więc... - Deena poczekała, aż wszyscy wypiją herbatę. - Miss Lula, czy byłaby pani tak dobra powtórzyć tym paniom to, co mi pani powiedziała?

Starsza pani znów opuściła oczy. Najwyraźniej była mocno zaniepokojona.

- Usłyszałam jakieś zamieszanie z tyłu budynku.

Amanda zdała sobie sprawę, że okna mieszkania wychodzą na tył domu. To było to samo miejsce, w którym trzy dni wcześniej znaleziono ciało Jane Delray.

Miss Lula mówiła dalej.

- Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że tam leży jakaś dziewczyna. Najwyraźniej już nie żyła. - Miss Lula pokręciła głową. - Okropny widok. Nieważne, jak bardzo zgrzeszyły, nikt nie zasługuje na taki los.

- Czy tam z tyłu był ktoś jeszcze? - zapytała Evelyn.

- O ile zdążyłam się zorientować, to nie.

- Czy pani wie, co to był za hałas? Mam na myśli ten, który skłonił panią do wyjrzenia przez okno? Może trzask tylnych drzwi, które ktoś otworzył z hukiem?

Nie wydawała się pewna, ale w końcu skinęła głową, jakby to było jedyne sensowne wytłumaczenie.

- Czy zwróciła pani uwagę na kogoś podejrzanego, kto kręcił się po okolicy?

- Nikt nie wydawał mi się bardziej podejrzany niż zwykle.

Większość tych dziewczyn przyjmuje wieczorami klientów, a oni raczej wchodziły tylnym wejściem.

To miało sens. Zapewne żaden z tych panów nie chciałby być tu widziany.

- Czy rozpoznała pani tę dziewczynę? - spytała Amanda.

- Mieszka na ostatnim piętrze. Nie wiem, jak się nazywa. Ale od samego początku mówiłam, że nie powinno się pozwalać, żeby te dziewczyny tutaj mieszkały.

- Ponieważ są prostytutkami, a nie dlatego, że są białe - wyjaśniła Deena.

- Przenosiły się z biznesem poza mieszkania - powiedziała Miss Lula. - To niezgodne z przepisami osiedla.

Evelyn odstawiła filiżankę.

- Czy widywała pani któregoś z tych klientów?

- Od czasu do czasu. Jak już mówiłam, większość wchodziła tylnymi drzwiami. Zwłaszcza biali mężczyźni.

- Więc ich klientami byli i biali, i czarni mężczyźni?

- Często jeden przychodził zaraz po drugim.

Zamilkły na chwilę, jakby rozważały to oświadczenie.

W końcu Evelyn zadała następne pytanie.

- Ile kobiet mieszka tam na górze?

- Na początku była tylko jedna. Bardzo młoda. Mówiła, że ma na imię Kitty. Wydawała się całkiem miłą. Dawała dzieciakom cukierki,

na co się zgadzaliśmy, dopóki nie wyszło na jaw, co ona tam na górze robi.

- A potem?

- Potem wprowadziła się następna kobieta. To było przynajmniej półtora roku temu. Ta druga dziewczyna też była biała. Wyglądała bardzo podobnie do Kitty. Nigdy nie dowiedziałam się, jak miała na imię. Jej klienci nie byli już tak dyskretni.

- Czy to właśnie tę dziewczynę widziała pani przez okno dziś w nocy? Kitty?

- Nie, to była ta trzecia. Już od jakiegoś czasu nie widywałam Kitty. Tak samo jak tej drugiej. Te dziewczyny często się przenoszą. - Zamilkła, a potem dodała: - Niech Pan im pomoże. To bardzo ciężka droga, którą wybrały.

Amanda przypomniała sobie o prawach jazdy, które wsadziła do torebki. Rozpięła suwak i wyjęła dokumenty.

- Czy poznaje pani którąś z tych dziewczyn?

Stara kobieta wzięła do ręki prawa jazdy. Jej okulary do czytania leżały na stoliku, na wierzchu dobrze wyczytanej Biblii. Przyglądały się, jak Miss Lula rozkłada okulary, jak je wsuwa na nos. Potem uważnie oglądała wszystkie dokumenty, poświęcając uwagę każdej dziewczynie.

- To ta - powiedziała, wyjmując prawo jazdy wystawione na nazwisko Katheryn Treadwell. - To jest Kitty, ale sądzę, że wy to już wiecie.

Amanda podjęła rozmowę.

- Dostałyśmy informację, że Kitty podnajmowała swoje mieszkanie innym dziewczynom.

- Tak, to by się zgadzało.

- Czy pani kiedykolwiek z nią rozmawiała?

- Raz. Miałam wrażenie, że uważa się za kogoś lepszego od reszty. Najwyraźniej jej ojciec ma jakieś polityczne koneksje.

- Sama o tym pani powiedziała? - spytała Evelyn. - Kitty mówiła, kim jest jej ojciec?

- Może się nie rozgadywała, ale tak. Jasno dała mi do zrozumienia, że nie należy do tego środowiska. Ale czy ktoś z nas należy?

Amanda nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy inne dziewczyny też wydają się pani znajome?

Stara kobieta jeszcze raz obejrzała zdjęcia. Podniosła dokument należący do Jane Delray.

- Typ przychodzących tutaj mężczyzn nieco się zmienił, kiedy tu mieszkała ta dziewczyna... Nie była tak wybredna jak tamta... - Wyciągnęła prawo jazdy Mary Halston. - Ta z kolei miała mnóstwo stałych klientów, choć według mnie żaden z nich nie zasługiwał na miano dżentelmena. To właśnie tę dziewczynę widziałam przy tylnym wejściu.

Przeczytała na głos jej imię i nazwisko.

- Donna Mary Halston. Takie ładne imię, biorąc pod uwagę, co robiła.

Amanda usłyszała, jak Evelyn wstrzymuje oddech. Obu przyszło do głowy to samo pytanie.

- Powiedziała pani, że do Mary przychodzili wciąż ci sami klienci?

- Zgadza się.

- Czy kiedykolwiek widziała pani białego mężczyznę, o wzroście mniej więcej metra osiemdziesięciu, z jasnymi włosami, długimi baczkami, który nosi szyty na miarę garnitur, przypuszczalnie w jakimś odcieniu niebieskiego?

Miss Lula zerknęła na Deenę. Jej twarz była całkiem bez wyrazu, kiedy oddawała Amandzie prawa jazdy.

- Muszę to sobie przemyśleć. Pozwólcie, że porozmawiamy o tym jutro.

Amanda czuła, jak jej brwi zaczynają się marszczyć. Albo wino straciło moc, albo herbata wyostrzała jej zmysły. Mieszkanie Miss Luli znajdowało się na końcu korytarza. Przynajmniej dziesięć metrów od klatki schodowej, a jeszcze dalej od tylnych drzwi. O ile starsza pani nie spędzała całych dni na podwórku, nie było sposobu, żeby mogła zauważyć wchodzące lub wychodzące dziewczęta i odwiedzających je klientów.

Już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Deena ją uprzedziła.

- Miss Lula, nie chcemy zabierać pani zbyt wiele czasu. Ma pani mój numer. Kiedy będzie pani miała gotową odpowiedź, proszę do mnie zadzwonić.

Postawiła swoją filiżankę na tacy. Kiedy Amanda i Evelyn nie poszły w jej ślady, postawiła na tacy również ich filiżanki i talerzyki.

- Nie musi pani nas odprowadzać - dodała.

Robiła wszystko, żeby wyjść stamtąd jak najszybciej, może poza klaśnięciem w dłoń.

Amanda szła pierwsza, przyciskając do piersi swoją torebkę. W progu chciała się odwrócić, żeby powiedzieć „do widzenia”, ale Deena wypchnęła ją stamtąd przez drzwi.

Korytarz opustoszał, lecz Amanda mimo to mówiła przyciszonym tonem:

- W jaki sposób ona...

- Daj jej czas do jutra - poradziła Deena. - Na pewno zdoła się dowiedzieć, czy twój tajemniczy gość przychodził tutaj, czy nie.

- Ale jakim cudem...

- Ona jest jak królowa pszczoł - oświadczyła Deena, popychając je wzdłuż korytarza. Nie zatrzymała się aż do chwili, gdy znalazły się

przy wyjściu. Stały w tym samym miejscu, w którym stał Rick Landry, kiedy groził Evelyn.

- Tego, o czym wam mówiła, Miss Lula nie widziała na własne oczy. Ona to słyszała.

- Ale przecież...

- Reguła numer jeden w getcie takim jak to: znaleźć najstarszą babuleńkę, która mieszka tu najdłużej. Wie o wszystkim, co tu się dzieje.

- No cóż - mruknęła Evelyn. - Przez cały czas zastanawiałam się, po kiego diabła trzyma pod łóżkiem strzelbę.

- Co takiego? - spytała Amanda.

- W dodatku naładowaną. - Deena otworzyła drzwi na oścież.

Miejsce zbrodni zostało wydzielone żółtą taśmą. Z tyłu nie było lamp albo przynajmniej nie było takich, które by działały. Ktoś potłukł wszystkie żarówki, przypuszczalnie rzucając w nie kamieniami. Sześciu policjantów rozwiązało ten problem w taki sposób, że otaczali kręgiem leżące na ziemi ciało, oświetlając cały obszar opartymi na ramionach latarkami Kel-Lite.

Teren z tyłu budynku okazał się tak samo zaniedbany jak od frontu. Czerwona georgijska glina stwardniała przez ciągłe deptanie bosymi stopami. Nie było tu żadnych kwiatów. Nie było trawy. Jedno samotne drzewo smutno zwieszało gałęzie. Właśnie tam leżały zwłoki, ale szeroka sylwetka Pete'a Hansona zasłaniała widok. Obok Pete'a kręcił się jakiś młody chłopak, mniej więcej tego samego wzrostu i postury. Tak samo jak Pete miał na sobie biały, laboratoryjny fartuch. Klepnął Pete'a po ramieniu i skinąwszy głową, wskazał zbliżające się kobiety.

Pete wstał. Miał zdecydowanie ponurą minę.

- Ach, panie detektyw. Cieszę się, że was tu widzę, choć biorąc pod uwagę okoliczności, mówię to z rezerwą.

Wskazał młodego mężczyznę.

- To mój uczeń, doktor Ned Taylor.

Taylor z powagą skinął głową. Nawet w tak kiepskim świetle Amanda wyraźnie widziała zielonkawą bladość jego twarzy. Wyglądał, jakby lada chwila miał się pochorować. Evelyn nie wyglądała wcale dużo lepiej.

- Pete, może zostaniesz tylko z Amandą? - zaproponowała Deena.

Amanda przypuszczała, że powinna być dumna z powodu niewrażliwości na takie widoki, ale powoli zaczynała uważać, że jest to jeszcze jedna sprawa, którą należało zachować w sekrecie.

- Pójdę przeszukać jej mieszkanie - zaofiarowała się Evelyn. -
Może Butch i Landry coś przeoczyli?

Deena prychnęła z pogardą.

- Jestem gotowa postawić w zakład mój następny czek i wypłatą.

- Tędy, moja droga. - Pete ujął Amandę pod łokieć i delikatnie poprowadził w stronę nieżywej kobiety. Sześciu policjantów wydawało się mocno zdumionych jej obecnością, ale żaden o nic nie zapytał, prawdopodobnie ze względu na szacunek dla Pete'a.

- Dasz radę? - Pete przyklęknął na jednym kolanie, a następnie pomógł Amandzie uklęknąć obok. Rozprostowała spódnicę, żeby nie poranić kolan. Z pewnością zedrze tu obcasy. Zdecydowanie nieodpowiednio się ubrała na taką imprezę.

- Powiedz mi, co widzisz - poprosił Pete.

Ofiara leżała twarzą do dołu. Jej długie, jasne włosy opadały miękko na ramiona i plecy. Miała na sobie króciutką spódniczkę i czerwony T-shirt. Otwarta dłoń opierała się o ziemię, zaledwie kilka

cali od twarzy. Paznokcie pomalowane były jaskrawoczerwonym lakierem.

- Podobnie jak u poprzedniej ofiary - mruknęła Amanda. -
Wszystkie paznokcie zostały po mistrzowsku opiłowane i pomalowane.

- Doskonale. - Pete odsunął na bok zlepione włosy dziewczyny. -
Na karku są zasinienia, chociaż wydaje mi się, że kość gnykowa nie została zmiądzona.

- Czyli ta dziewczyna nie została uduszona?
- Wydaje mi się, że tu chodzi o coś innego. - Pete podciągnął czerwony T-shirt. Na boku ofiary widniała linia drobnych ranek, przypominające szew, który został rozpruty. - Te skaleczenia biegną wzdłuż całego ciała.

Amanda dostrzegła identyczny wzór na nodze dziewczyny. Początkowo pomyliła go ze szwem na pończosze.

Podobne ślady znajdowały się na zewnętrznej części obu ramion. To wyglądało jak wzór wykrojów z „McCallsa”*, zupełnie jakby ktoś próbował rozedrzeć szew łączący przód i tył ciała.

** McCalls - popularny amerykański magazyn mody zamieszczający wykroje prezentowanych ubrań .*

- Co... Kto... mógł zrobić coś podobnego? - wykrztusiła Amanda.
- Dwa słuszne pytania. Niestety, w obu wypadkach moja odpowiedź jest identyczna: nie mam pojęcia.

Amanda nie tyle stawiała pytania, co na głos wypowiadała swoje myśli.

- To ty powiedziałaś Deenie, żeby do nas zadzwoniła i tu nas ściągnęła.

- Tak. Te pomalowane paznokcie wydawały mi się podobne. To ułożenie ciała. Myślałem, że będzie jeszcze coś, ale po dalszych oględzinach... - Zaczął powoli podciągać spódniczkę ofiary, ale nagle

zmienił zamiar. - Muszę cię ostrzec. Nawet mnie to zaskoczyło. Od wielu lat nie widziałem czegoś podobnego.

Amanda pokręciła głową.

- Co masz na myśli?

Bez słowa podciągnął spódniczkę. Między nogami dziewczyny sterczał drut do robótek dziewiarskich.

Tym razem Amanda nie potrzebowała już żadnych wskazówek. Jak automat zaczęła głęboko nabierać powietrza, wypełniając całe płuca, a potem powoli wypuszczać.

Pete potrząsnął głową.

- Absolutnie nie ma powodu, żeby w dzisiejszych czasach dziewczyny uciekały się do takich metod.

- Nie ma krwi - zauważyła Amanda.

Pete przysiadł na piętach.

- Nie, nie ma.

- A przecież spodziewałeś się, że będzie krew, prawda? Choćby od zranienia drutem?

- Tak. - Pete rozsunął nogi ofiary.

Jeden z oficerów cofnął się o krok, prawie potykając się o leżący na ziemi, złamany konar. Rozległo się kilka nerwowych chichotów, ale policjant zdołał utrzymać równowagę. Skierował strumień światła latarki wprost na nogi ofiary. Uda były ziemisto blade. Ani śladu krwi.

- Może na tym drucie zostały odciski palców? - spytała Amanda.

Pomimo okoliczności Pete uśmiechnął się do niej.

- Nie. Został wytarty do czysta.

- Sama sobie tego nie zrobiła.

- Mało prawdopodobne. Po prostu została umyta. Ktoś ją tutaj przywiózł.

- Dokładnie w to samo miejsce, w którym znaleziono poprzednią ofiarę?

- Niezupełnie, ale blisko. - Wskazał miejsce odległe o kilka metrów. - Lucy Bennett została znaleziona tam.

Amanda odwróciła się, żeby popatrzeć na budynek. Mieszkanie Miss Luli znajdowało się w jego odległym końcu. Ze swojego okna na pewno nie mogła widzieć tego drzewa. I z pewnością nie mogła widzieć miejsca, w którym leżała Jane Delray. Deena miała rację. Był ktoś inny - albo wielu innych - kto widział wszystko, ale bał się o tym powiedzieć.

- Ned! - zawołał Pete. - Weź ją za nogi, a ja chwycę za rękę.

Młody lekarz zrobił to, co mu polecono. We dwóch ostrożnie przewrócili ofiarę na plecy.

Amanda spojrzała na jej twarz. Uszkodzenia wyglądały wręcz niewiarygodnie. Powieki wisiały w strzępach. Usta były rozerwane na kawałki. Mimo wszystko z jej twarzy pozostało wystarczająco dużo, żeby można było ją rozpoznać. Amanda rozsunęła torbę i wyciągnęła z niej prawo jazdy, które następnie wręczyła Peterowi.

- Donna Mary Halston - przeczytał. - Mieszkała tutaj? - Spojrzał na budynek. - Na ostatnim piętrze, jak sędzę. Tak samo jak Lucy Bennett.

Amanda pogrzebała w prawach jazdy i znalazła to należące do Lucy. Podsunęła je Pete'owi i czekała na werdykt.

- Hmm... - Uważnie obejrzał zdjęcie. Najwyraźniej pamiętał o obecności sześciu policjantów, kiedy odwrócił się do Amandy. - Nie znam tej dziewczyny.

W odpowiedzi podała mu dokumenty Jane Delray.

Znowu z uwagą wpatrywał się w fotografię. Westchnął głęboko, co zabrzmiało jak jęk.

- Tak, rozpoznaję tę dziewczynę... - Oddał Amandzie oba prawa jazdy. - I co teraz?

Potrząsnęła głową. Dobrze było mieć potwierdzenie Pete'a w kwestii identyfikacji, ale jego świadectwo niewiele mogło zmienić.

Tylne drzwi stanęły otworem. Evelyn wysunęła się na zewnątrz, kręcąc głową.

- W mieszkaniu niczego nie ma. Co prawda panuje tam straszny bałagan, ale nie sądzę, że ktoś... - nagle umilkła.

Amanda podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem, które zatrzymało się na drucie dziewiarskim. Evelyn przyłożyła otwartą dłoń do ust, ale zamiast odwrócić się, spojrzała na drzewo. A potem znowu na leżącą pod drzewem dziewczynę.

- O co chodzi? - zainteresowała się Amanda.

Zdecydowanie coś było nie w porządku. Podniosła się z klęczek i podeszła do Evelyn. To było tak samo jak z układaniem puzzli z kartek papieru. Jedyne, co należało zrobić, to popatrzeć na coś z innej perspektywy.

Konar drzewa był złamany. Dziewczyna leżała na ziemi. Teraz było jasne, że została poddana aborcji.

- O mój Boże - uprzytomniła sobie Amanda. - Ofelia.

OBECNIE

ROZDZIAŁ 19

SUSANNE FORD

Ciemność. Zimno. Hałas.

Powietrze wciągane i wypuszczane z płuc, które furkotało jak samochód jadący tunelem.

Już dłużej nie mogła tego znieść. Jej ciało przeszywał ból. W ustach zaschło. Żołądek był tak pusty, że czuła, jak kwasy wyzerają jej dziurę w brzuchu.

Metamfetamina...

To przez nią trafiła w takie miejsce. Przez nią upadła tak nisko. Za bardzo się zagalopowała. Trafiła do rynsztoka na własne życzenie. Sama skazała się na tę niewolę.

Słodki Jezu, modliła się w duchu. Jeśli wyciągniesz mnie stąd, będę wielbić Cię każdego dnia i o każdej porze. Będę wychwalać Twoje imię.

Klaustrofobia. Całkowita ciemność. Niepewność jutra. Strach przed uduszeniem.

Kiedyś, kiedy jeszcze byli rodziną, ojciec zabrał ją na wycieczkę do Walii. Zwiedzali tam kopalnię, która liczyła sobie ponad tysiąc lat. Suzanna musiała założyć kask, żeby wejść do tunelu. Tunele były niskie, ponieważ w tamtych czasach ludzie nie byli tak wysocy jak obecnie. I były wąskie, ponieważ przede wszystkim pracowały tam dzieci.

Suzanna zdążyła zagłębić się na zaledwie sześć metrów i wtedy ogarnęła ją panika. Wciąż widziała blask słońca, ale i tak niemal posikała się ze strachu, biegnąc w kierunku wyjścia.

Tak samo czuła się teraz. Schwytna w pułapkę. Pozbawiona nadziei.

Będę Cię czcić, Panie. Będę rozślawiać Twoje imię. Będę korzyć się przed Twoim majestatem.

Ramiona nie chciały się ruszać. Tak samo jak nogi. Oczy nie chciały się otwierać. Tak samo jak usta.

Już nigdy metamfetamina nie dotknie moich warg, moich nozdrzy, moich płuc, już nigdy więcej, tylko pomóż mi, Boże.

Powoli ogarnęło ją drzenie. Przesuwało się wzdłuż całego ciała, napinając po kolei wszystkie mięśnie. Palce same zacisnęły się w pięści. Ramiona wygięły się, zęby zacisnęły, pośladki naprężyły. Nitki naciągnęły się do granic, powodując ból nie do wytrzymania, zupełnie jakby ktoś gorącą igłą dotykał obnażonych nerwów. Myślała, że lada chwila jej serce eksploduje. Ale mogła rozerwać szwy. Była silniejsza, była ponad to. Mogła wyrwać się na wolność.

Suzanna próbowała. Naprawdę bardzo się starała, lecz za każdym razem ból okazywał się mocniejszy.

Nie dała rady rozedrzeć własnej skóry. Nie zdołała rozerwać nici. Mogła tylko tutaj leżeć.

Leżeć i modlić się o ratunek.

Drogi Jezu...

OBECNIE

WTOREK

ROZDZIAŁ 20

Will zerwał się ze snu. Pokręcił głową na boki, a wtedy w karku coś zatrzeszczało ostrzegawczo. Był w swoim domu, na własnej kanapie, Betty zaś leżała tuż obok - na wznak, z łapami wyciągniętymi ku górze i nosem skierowanym w stronę wejścia. Rozejrzył się dookoła w poszukiwaniu Faith. Przywiozła go tutaj prosto z kostnicy, a potem podała mu szklankę wody... Według zegara na wyświetlaczu telewizora, od tamtej pory upłynęły prawie dwie godziny.

Wsluchał się w ciszę własnego domu. Wszędzie panował całkowity spokój. Najwyraźniej Faith już odjechała. Will nie wiedział, co ma o tym myśleć. Czy powinien czuć ulgę? Albo może zastanawiać się, dokąd pojechała? Nie istniał żaden przewodnik, jeśli chodzi o tę sferę życia. Nie było żadnych instrukcji, którymi mógłby się posłużyć, żeby poskładać wszystko w całość.

Starł się ponownie zamknąć oczy, jeszcze raz zapaść w sen. Najchętniej ocknąłby się za rok od tej chwili. Chciał zbudzić się ze świadomością, że wszystko ma już za sobą.

Tyle tylko, że nie mógł się zmusić, żeby zewrzeć powieki. Za każdym razem, gdy próbował je zamknąć, przyłapywał się na tym, że gapi się w sufit. Czy tak samo sprawa wyglądała z jego matką? Zgodnie z raportem z sekcji, jej oczy nie zawsze były zaszyte. Czasami jej powieki były rozciągnięte tak bardzo, że nie mogła ich zamknąć. Koroner w raporcie przyjął założenie, że w tych okresach

ojciec Willa musiał przebywać w pobliżu. Musiał używać zakraplacza, żeby zapobiec wysychaniu gałki ocznej.

Doktor Edward Taylor. Tak brzmiało nazwisko owego koronera. Przed piętnastoma laty zginął w wypadku samochodowym. Był pierwszym śledczym badającym tę sprawę, którego Will zdołał wytropić. I pierwszą ślepą uliczką. Wtedy Will po raz pierwszy poczuł ulgę, że nie ma nikogo, kto mógłby wyjawić mu ze szczegółami, co spotkało jego matkę.

- Cześć! - Faith wyszła z sypialni dla gości. Dopiero teraz zwrócił uwagę na zapalone w tamtym pokoju światło. Tam znajdowały się wszystkie jego książki. I cała kolekcja płyt CD. I czasopisma motoryzacyjne, które zbierał od wielu lat. Zdjęcia z przeszłości. Zapewne Faith potrzebowała niespełna dziesięciu sekund, żeby zorientować się, które przedmioty zupełnie nie pasują do tego wnętrza. W rękę trzymała parę książek. *The New Feminist Hegemony*. *Applied Statistical Models: Theory and Application*. *A Vindication of the Rights of Women*.

- Spokojnie możesz wracać do domu - powiedział do niej.

- Nie ma mowy. Nie zostawię cię samego.

Odłożyła na stół należące do jego matki podręczniki, sama zaś ułożyła się wygodnie w fotelu. Na stole leżały również akta tamtego śledztwa. Will zostawił je tam dzisiaj rano i Faith prawdopodobnie zdążyła dokładnie je przejrzeć, podczas gdy on spał. Powinien poczuć złość, że Faith wtyka nos w nie swoje sprawy, ale wewnątrz czuł jedynie pustkę, jakby został totalnie wyprany z wszelkich emocji. Po raz pierwszy odniósł to wrażenie w kostnicy, gdy niespodziewanie ujrzał Sarę. W pierwszym odruchu chciał zapłakać u jej stóp. Powiedzieć jej o wszystkim. Błagać o zrozumienie.

Ale potem - pustka.

Zupełnie jakby ktoś wyciągnął zatyczkę i wszystkie uczucia po prostu gdzieś wyciekły. Reszta zdarzeń migąła mu przed oczyma jak zapowiedź jakiegoś filmu, w której splatają się wszystkie wątki. Zmasakrowana dziewczyna. Pomalowane paznokcie. Rozdarta skóra. Westchnięcie Sary, kiedy wyznał jej - kiedy wyznał wszystkim obecnym na sali - że to jego ojciec jest temu winien.

Sara należała do kobiet, które wyrażają uczucia słowami; do tych czasem może aż nazbyt wylewnych i raczej takich, które nie zachowują własnych opinii dla siebie. Ale tym razem nie powiedziała ani słowa. Po niemal dwóch tygodniach spoglądania na niego tym badawczym wzrokiem nie miała żadnych pytań. Nie było niczego, czego chciałaby się dowiedzieć. Wszystko znajdowało się przed jej oczyma. Amanda miała rację. Will nie powinien był uczestniczyć w autopsji. Czuł się tak, jakby na stole sekcyjnym leżała jego matka i jakby to ją oglądano ze wszystkich stron, sprawdzano każdy szczegół, sporządzano notatki.

Z kolei Angie nie myliła się co do Sary. Za dużo tego było, żeby mogła sobie ze wszystkim poradzić.

Dlaczego choć przez chwilę sądził, że Angie się myli? Dlaczego uważał, że Sara jest inna niż pozostali ludzie?

Po prostu stał w tej kostnicy, jakby zastygł w miejscu i czasie. Stał, wpatrując się w Sarę. Czekając, aż ona się odezwie. Pewnie nadal by tam sterczał, tylko Amanda poleciała Faith, żeby odwiozła go do domu. Nawet wówczas Faith musiała złapać go za ramię i siłą wyciągnąć z pomieszczenia.

Zbliżenie na Sarę. Jej blada twarz. Trzęsąca się głowa. Rozmywanie się w czerni.

Koniec.

- Will? - spytała Faith.

Popatrzył na nią.

- W jaki sposób trafiłeś do GBI?

Przez chwilę rozważał odpowiedź.

- Zostałem zwerbowany.

- W jaki sposób?

- Amanda przyszła do mojego college'u.

Faith sztywno skinęła głową i wiedział, że przez jej głowę przelatują rozmaite myśli, za którymi on nie mógł nadążyć.

- A co z podaniem o pracę?

Will potarł oczy. W kąciakach wciąż miał mnóstwo białego pyłu, który dostał się tam podczas rozwalania ścian piwnicy.

Faith nie dawała za wygraną.

- Co z wywiadem środowiskowym? Z całą papierkową robotą?

Wiedziała, że on cierpi na dysleksję. Tak samo wiedziała, że potrafi solidnie przyłożyć się do roboty.

- Głównie odbywały się przesłuchania ustne. Resztę pozwolili mi zabrać do domu. Tak samo jak tobie, mam rację?

Faith wysunęła podbródek, ale w końcu przytaknęła.

- Owszem, masz.

Oparł rękę na ciele Betty. Czuł na dłoni uderzenia jej małego serduszka. Westchnęła, a potem polizała mu rękę.

- Dlaczego ten reporter z „Atlanta Journal-Constitution” dzwonił do Amandy? - spytał.

Faith wzruszyła ramionami.

- Nie masz się o co martwić. Jak już ci powiedziałam, tamta sprawa została zamknięta.

Był tak cholernie ślepy. Dziś rano Amanda nakarmiła go informacjami, ale czuł się zbyt wyczerpany, żeby je przyswoić.

- Moje akta zostały zaplombowane. Nie ma sposobu, żeby jakiś reporter - lub ktokolwiek inny - mógł dowiedzieć się, kim był mój ojciec. Przynajmniej legalnie. - Will przyjrzał się Faith. - Nawet zakładając, że ktoś odkrył prawdę, to czemu dzwonił do Amandy? Dlaczego nie bezpośrednio do mnie? Mój numer jest w wykazie. Podobnie jak adres.

Faith zagryzła dolną wargę. Teraz była jej kolej. Wiedziała o czymś, o czym Will nie miał pojęcia, ale nie zamierzała dzielić się z nim tą wiedzą.

Pochylił się w jej stronę.

- Chcę, żebyś pojechała do tego hotelu. On jest na zwolnieniu warunkowym. Nie może oczekiwać, że jego prawo do prywatności zostanie zachowane.

Faith nie musiała pytać o numer pokoju.

- Co mam zrobić?

Will zacisnął pięści. Rany na dłoniach znów się otworzyły.

- Chcę, żebyś przetrząsnęła jego pokój. Chcę, żebyś go przesłuchała i dręczyła tak długo, aż nie będzie mógł dłużej tego znieść.

Faith gapiła się na niego przez kilka sekund.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo mamy zbierać materiały do śledztwa, a nie narażać się na proces o prześladowanie.

- Gównu mnie obchodzi proces. Chcę, żebyś tak uprzykrzyła mu życie, żeby wyszedł z hotelu tylko po to, żeby uciec przed tobą.

- Co potem?

Wiedziała, co potem. Will zastrzelił go na środku ulicy, tak jak się strzela do wściekłego psa.

- Nie mam zamiaru tego zrobić - powiedziała.
- Więc przynajmniej sprawdź rozkład pomieszczeń w hotelu. Mogę wejść od dziedzińca. Dostanę się tam, a później...
- Wydaje się, że to świetny sposób, żeby zostawić za sobą mnóstwo śladów, które potem przydadzą się w akcie oskarżenia.

Will nie przejmował się takimi głupstwami.

- Ilu ludzi mieszka w tym hotelu?
- Pięć razy tyle, ile siedzi teraz przed twoim domem.

Will podszedł do frontowego okna i odsunął żaluzje.

Podjazd blokował wóz patrolowy policji miasta Atlanta. Drugi stał na ulicy. Will z całej siły walnął pięścią w żaluzje, aż Betty zaszczekała i poderwała się z kanapy.

Pobiegł na tył domu i otworzył drzwi kuchenne. Jakiś mężczyzna siedział w altanie, którą Will własnoręcznie zbudował w zeszłym roku w lecie. Miał na sobie brązowo-granatowy mundur GBI, a przy pasie glocka. Nogi opierał o

barierkę i w chwili gdy Will zatrzaskiwał drzwi, pomachał mu ręką.

- Ona nie może mi tego zrobić - powiedział. - Nie może mnie pilnować, jakbym był jakimś cholernym zbrodniarzem.

- Dlaczego nigdy mi o nim nie opowiedziałeś? - zapytała Faith.

Will wielkimi krokami przechadzał się po pokoju. Nagle poczuł w żyłach przyływ adrenaliny.

- Po co? Żebym stał się kolejną pozycją w twojej kolekcji historyjek o seryjnych mordercach?

- Czy naprawdę uważasz, że potraktowałabym twoje życie jak jakąś durną grę?

- Gdzie moja broń?

Kluczyki leżały na biurku, a obok nich telefon. Glock zniknął.

- Zabrałaś mój pistolet?

Faith nie odpowiedziała. Zauważył, że nie nosiła na udzie kabury. Zamknęła swój pistolet w samochodzie, widocznie obawiając się, że on zechce go zabrać.

W jego głowie narodziło się kilka pomysłów. Wybić dziurę w ścianie. Kopnąć biurko, aż się przewróci. Potłuc szybę w samochodzie Faith. Przyłożyć kijem bejsbolowym temu gnojtkowi, który siedzi w altanie. Wreszcie okazało się, że może jedynie zostać tu, gdzie jest. Czuł się tak samo otępiały jak dzisiejszego ranka w kostnicy. Był bardzo zmęczony. Zbyt przytłoczony tym, co się stało. Za bardzo dotknięty.

- Faith, po prostu wyjdź stąd. Nie potrzebuję twojej opieki. Nie chcę, żebyś tu była.

- To niedobrze.

- Wracaj do domu. Jedź do swojego durnego dzieciaka i przestań się wtrącać w moje sprawy.

- Jeśli uważasz, że jak zaczniesz zachowywać się jak kutas, to w ten sposób mnie odstraszysz, znaczy, że mnie nie znasz. - Rozsiadła się w fotelu, krzyżując ręce na piersi. - Sara znalazła nasienie we włosach tej dziewczyny.

Will czekał, co Faith jeszcze powie.

- Jest tego wystarczająco dużo, żeby zrobić profil DNA. Kiedy znajdzie się w systemie, będzie można go porównać z DNA twojego ojca.

- To potrwa kilka tygodni.

- Najwyżej cztery dni - odparła. - Doktor Coolidge obiecała przyspieszyć sprawę.

- W takim razie go aresztujcie. Możecie przytrzymać go przez dwadzieścia cztery godziny.

- Co oznacza, że wyjdzie za kaucją i zniknie, zanim zdążymy znowu go dopaść. - W głosie Faith pojawił się denerwujący ton kogoś, kto stara się zachować rozsądnie. - ADP postawiła w hotelu pięciu swoich chłopaków. Amanda przypuszczalnie ma jeszcze dziesięciu. Nie uda mu się nawet zesrać, żebyśmy o tym nie wiedzieli.

- Chcę tam być, kiedy przyjdziecie go aresztować.

- Wiesz, że Amanda nigdy się na to nie zgodzi.

- No to kiedy zaczniecie go przesłuchiwać? - Will nie zdołał się opanować. Zaczął błagać. - Proszę, pozwólcie mi go zobaczyć. Proszę. Muszę go zobaczyć. Muszę spojrzeć mu prosto w oczy. Chcę ujrzeć jego twarz, kiedy on zda sobie sprawę, że zdołałem umknąć. Że ostatecznie zwycięstwo nie jest po jego stronie.

Faith przyłożyła rękę do serca.

- Will, przysięgam ci... Przysięgam na głowy moich dzieci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby spełnić twoje życzenie.

- To mi nie wystarczy - odparł.

Will nie tylko chciał spojrzeć swojemu ojcu w oczy. Chciał go uderzyć. Chciał mu wybić zęby. Odciąć fiuta. Zaszyć mu usta, oczy i nos, a następnie tłuc tak długo, aż facet utopi się we własnych wymiocinach.

- To nie wystarczy...

- Wiem, że nie wystarczy - odpowiedziała. - Nic nigdy nie wystarczy, a jednak będzie musiało.

Ktoś zapukał do drzwi. Will nie wiedział, kogo powinien się spodziewać, kiedy Faith poszła otworzyć. To pewnie Amanda. Albo Angie. Albo jakiś gliniarz, który przyszedł mu powiedzieć, że jego ojciec znów kogoś zamordował. Wyobrażał sobie wszystkich poza osobą, która faktycznie przyszła.

- Wszystko w porządku? - zapytała Sara, zwracając się do Faith.

Faith skinęła głową, zabierając swoją torebkę, która leżała przy drzwiach. Odwróciła się do Willa.

- Zadzwoń od razu, jak tylko czegoś się dowiem. Obiecuję.

Sara zatrzasnęła za nią drzwi. Jej włosy w miękkich falach opadały na ramiona. Założyła dziś obcisłą, czarną sukienkę, która opinała jej kształtną figurę. Will już wcześniej wiedział, że Sara potrafi się ubrać, ale nigdy nie widział jej w takim stroju. Na nogach miała niesamowicie wysokie szpilki z wzorem udającym skórę lamparta i poruszała się w nich z takim wdziękiem, że Will poczuł, jak w jego pachwinie nagle robi się ciasno i gorąco.

- Cześć - przywitała się.

Will przełknął ślinę. Wciąż czuł w gardle smak tynku.

Sara obeszała sofę dookoła i usiadła. Zrzuciła pantofle, a potem podwinęła nogi.

- Chodź tutaj.

Will usiadł na sofie. Między nimi leżała Betty, ale nagle zeskoczyła i drapiąc pazurkami po podłodze, pomknęła w stronę kuchni.

Sara wzięła go za rękę. Musiała zauważyć skaleczenia i pęcherze, ale nic nie powiedziała. Will nie mógł na nią patrzeć. Wyglądała tak pięknie, że niemal odczuwał fizyczny ból. Zamiast tego gapił się na stolik. Na leżące na nim akta jego matki. Na jej książki.

- Przypuszczam, że Amanda o wszystkim ci opowiedziała - odezwał się.

- Nie. Nic nie mówiła.

Wcale go to nie zaskoczyło. Amanda uwielbiała go torturować. Wskazał należące do matki rzeczy.

- Jeśli chcesz wiedzieć... - Zamilkł na moment z obawy, że głos mu się załamie. - Wszystko jest tutaj. Po prostu weź i przeczytaj.

Spojrzała na akta.

- Nie chcę tego czytać - odpowiedziała.

Will potrzęsnała głową. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Sam mi o wszystkim opowiesz, kiedy będziesz gotów.

- Byłoby łatwiej, gdybyś...

Wyciągnęła rękę, żeby musnąć jego twarz. Jej palce pogładziły go po policzku. Przysunęła się bliżej. Gdy przytuliła się do niego, poczuł zar bijący z jej ciała. Położył rękę na jej udzie, czując pod dłonią mocne, sprężyste mięśnie... Twardość powróciła. Pocałował ją. Ręce Sary powędrowały ku jego twarzy, kiedy oddawała mu pocałunek. Usiadła na nim okrakiem, a jej miękkie włosy opadły mu na twarz. Gorący oddech parzył mu szyję.

Niestety, to był kres jego możliwości.

- Czy chcesz, żebym... - spytała.

- Nie - odpowiedział, odsuwając ją od siebie. - Wybacz, ale ja...

Przyłożyła palec do ust. Zsunęła się z Willa, ale pozostała blisko.

- Wiesz, na co tak naprawdę mam ochotę? - spytała. - Chciałabym obejrzeć film o walce robotów. Albo taki, w którym są wybuchy. Jednak lepiej ten o robotach, które walczą ze sobą.

Wzięła pilot i włączyła telewizor, ustawiając go na kanale Speed.

- O, popatrz. To coś jeszcze lepszego.

Will nie potrafił sobie przypomnieć żadnego okresu z własnego życia, kiedy czuł się bardziej przygnębiony i nieszczęśliwy. Gdyby Faith nie zabrała mu glocka, to chyba palnąłby sobie w łeb.

- Saro, to nie jest...

- Ciii... - Wzięła jego rękę i owinęła ją wokół swojego ramienia, a następnie oparła głowę na jego piersi, a dłoń na nodze. Betty wróciła z kuchni. Wskoczyła Willowi na kolana i ułożyła się wygodnie.

Gapił się w telewizor. Właśnie przedstawiano proces montażu ferrari enzo. Jakiś Włoch przy pomocy tokarki złobił kawał

aluminium. Jednak Will nie zdołał zapamiętać niczego, co mówił spiker. Czuł, że jego powieki zrobiły się ciężkie jak ołów. Powoli wypuścił oddech.

W końcu jego oczy pozostały zamknięte.

* * *

Tym razem, kiedy Will się zbudził, nie był sam. Przed nim na sofie leżała Sara, plecami wtulona w jego ciało. Jej włosy delikatnie łaskotały jego twarz. W pokoju panowała ciemność, z wyjątkiem słabej poświaty z ekranu telewizora. Dźwięk został wyciszony. Na kanale Speed pokazywano właśnie rajd olbrzymich ciężarówek. Umieszczony na ekranie zegar wskazywał dwadzieścia po dwunastej.

Minął kolejny dzień. Nadeszła kolejna noc. W kalendarzu życia jego ojca odwróciła się jeszcze jedna kartka.

Nie mógł powstrzymać cisnących mu się do głowy myśli. Zastanawiał się, czy Faith wciąż jeszcze trzyma jego glocka. I czy wóz patrolowy nadal blokuje podjazd do domu, a tamten dupek siedzi w altanie.

W sejfie na broń, który był przymocowany do wnętrza szafy, Will przechowywał sig sauera, a obok rozłożony na części karabin colt AR-15. W plastikowych pudełkach znajdowała się amunicja do obu rodzajów broni. Will w myślach złożył karabin - magazynek, zapadka rygla, języczek spustowy.

Nie. Sig sauer będzie lepszy. Można strzelić z bliska. Przyłożyć do głowy wylot lufy. Najpierw zobaczy w oczach ojca przerażenie, a potem szkliste, puste spojrzenie martwego człowieka.

Sara poruszyła się. Jej dłoń wślizgnęła się z powrotem na poprzednie miejsce i musnęła jego policzek, delikatnie drapiąc skórę paznokciami. Westchnęła z ukontentowaniem.

W tej samej chwili Will poczuł, jak gniew zaczyna powoli odpływać. To uczucie było całkiem podobne do tego, które nawiedziło go w kostnicy, tylko zamiast pustki miał wrażenie pełni. W jego duszy zapanował spokój, a ucisk w piersi wyraźnie zelżał.

Sara przytuliła się jeszcze mocniej, przyciągając go do siebie. Tym razem ciało Willa okazało się o wiele bardziej skłonne do odpowiedzi. Przywarł ustami do szyi Sary. Malutkie włoski na jej karku natychmiast stanęły dęba. Czuł pod językiem dreszcz, który przeniknął jej ciało.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i obdarzyła go sennym, leniwym uśmiechem.

- Hej...

- Hej.

- Miałam nadzieję, że to ty.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Odwróciła się przodem do niego, nie przestając się uśmiechać. Musiał czuć wargami jej uśmiech. Jej splątane włosy znalazły się pod spodem. Will przesunął się nieco i nagle poczuł przeszywający ból. Ale to nie był naciągnięty mięsień. To była obrączka, którą dostał od Angie. Wciąż nosił ją w kieszeni.

Sara omyłkowo zinterpretowała jego reakcję jako nawrót wcześniejszej traumy.

- Może się zabawimy? - zaproponowała.

Will nie potrzebował zabawy. Potrzebował wygonić z myśli Angie, ale akurat tym nie mógł się podzielić z Sarą.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Cześć, jestem Sara.

- Wiem.

- Nie. - Wciąż trzymała wyciągniętą dłoń. - Jestem Sara Linton.

Najwyraźniej Will był stuprocentowym kretyńcem. Uściskał jej dłoń.

- Will Trent.

- Jak zarabiasz na życie, Willu Trent?

- Jestem... - Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu pomysłu. - Jestem kierowcą tych potwornych ciężarówek.

Zerknęła na ekran telewizora i zachichotała.

- O, jak odkrywczco.

- A kim ty jesteś?

- Striptizerką. - Znów zaśmiała się, jakby nawet jej ten pomysł wydał się czymś szokującym. - Robię to, żeby mieć z czego opłacić studia w college'u.

Gdyby ta głupia obrączka nie tkwiła wciąż w jego kieszeni, Will chętnie zaprosiłby Sarę, żeby wsunęła tam rękę i poszukała pieniędzy za taniec na jego kolanach. Zamiast tego musiał zadowolić się krótkim komentarzem.

- Inicjatywa godna pochwały. - Położył się na boku, uwalniając jedną rękę.

- Cóż takiego studiujesz?

- Mmm... - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Uczę się, jak naprawiać te wielkie ciężarówki.

Przesunął palcem po rowku między jej piersiami. Sukienka, którą Sara miała na sobie, została zaprojektowana w taki sposób, że rozchylała się bez większego trudu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że włożyła ją właśnie dla niego. Tak samo dla niego rozpuściła włosy. I z tego samego powodu wcisnęła stopy w te cholernie wysokie szpilki, które przypuszczalnie miażdżyły jej palce.

I ze względu na niego zdecydowała się wziąć udział w sekcji. Tak samo jak przyjść tutaj.

- Prawdę powiedziawszy, nie jestem kierowcą wielkich ciężarówek.

- Nie? - Na moment wstrzymała oddech, kiedy jego palce polectały jej nagi brzuch. - A kim jesteś?

- Jestem byłym oszustem.

- Och, to mi się podoba - zawołała z entuzjazmem. - Kradłeś biżuterię czy obrabowałeś bank?

- To była drobna kradzież. Naruszenie czyjejś własności. Dostałem za to cztery lata w zawieszeniu.

Jej śmiech zamarł. Już nie była przekonana, czy on nadal żartuje.

Will wziął głęboki oddech, a potem powoli go wypuścił. Więc stało się. Teraz już nie było odwrotu.

- Zostałem aresztowany za kradzież jedzenia. - Musiał odchrząknąć, żeby artykułować słowa. - To się wydarzyło, kiedy miałem osiemnaście lat.

Przykryła ręką jego dłoń.

- Wyrosłem z systemu opieki społecznej. - Pani Flanningan umarła tego lata, kiedy Will kończył osiemnaście lat. Nowy gość, który przyszedł zarządzać domem, wręczył mu sto dolarów i mapę z zaznaczonym schroniskiem dla bezdomnych. - Ostatecznie trafiłem do instytucji charytatywnej w centrum miasta. Niektórzy kołesie byli całkiem w porządku. Większość z nich była starsza ode mnie, i... - Nie dokończył zdania. Sara z łatwością mogła się domyślić, dlaczego nastolatek nie czuł się bezpiecznie w takim towarzystwie. - Mieszkałem na ulicy... - Znów na moment zawiesił głos. - Kręciłem się w pobliżu magazynu z towarami żelaznymi na Highland. Rano przyjeżdżali tam przedsiębiorcy, żeby wybrać pracowników na dany dzień.

Kciukiem pogładziła go po wierzchu dłoni.

- Czy właśnie tam się dowiedziałeś, jak się naprawia różne rzeczy?

- Tak. - Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale to była prawda. -

Zarabiałem niezłe pieniądze, ale nie wiedziałem, na co je wydawać. Powiniennem był oszczędzać na mieszkanie. Albo na samochód. Albo na cokolwiek. Ale ja wydawałem forszę na cukierki, walkmana i kasety.

Will nigdy wcześniej nie posiadał własnych pieniędzy. Kiedy dorastał, nie istniało coś takiego jak kieszonkowe.

- Którejś nocy spałem na Peachtree, tam gdzie kiedyś była biblioteka. Wtedy napadła mnie banda starszych chłopaków. Stłukli mnie na kwaśne jabłko, złamali mi nos, kilka palców... I zabrali wszystko, co miałem przy sobie chyba i tak szczęście mi dopisało, że nie oberwałem znacznie gorzej.

Palce Sary mocniej zacisnęły się na jego dłoni.

- Nie mogłem pracować. Moje ubranie było strasznie brudne, a nie miałem dokąd pójść, żeby się wykąpać. Próbowałem zebrać o pieniądze, ale ludzie się mnie bali. Przypuszczam, że wyglądałem gorzej niż ćpun... - Odwrócił się do Sary. - Chociaż wcale nie byłem ćpunem. Nigdy nie brałem narkotyków. Nigdy nie robiłem takich rzeczy.

Skinęła głową.

- Ale byłem potwornie głodny. Przez cały czas bolał mnie brzuch. Z głodu kręciło mi się w głowie. I było mi niedobrze. Ale bałem się położyć spać. Bałem się, że znów mnie napadną. Więc poszedłem do tej całodobowej apteki, która kiedyś mieściła się przy Ponce de Leon. No wiesz, Plaża Drugs, tuż obok kina? - Sara przytaknęła. - Wszedłem do środka i zacząłem zbierać z półek jedzenie. Little Debbies. Moon Pies. Wszystko było w opakowaniach. Rozerwałem je

zębami i wepchnąłem do ust. - Przełknął ślinę, czując pieczenie w gardle. - Wtedy wezwali gliniarzy.

- Aresztowali cię?

- Próbowali aresztować. - Poczuję, jak wzbiera w nim wstyd. - Zacząłem wymachiwać pięściami, starając się trafić w cokolwiek. Dość szybko zdołali mnie powstrzymać.

Sara pogładziła go po włosach.

- Zakuli mnie w kajdanki i zabrali do więzienia. A potem... - Potrząsnął głową. - Zjawiała się moja opiekunka społeczna. Nie widziałem jej od sześciu, może siedmiu miesięcy. Podobno mnie szukała.

- Z jakiego powodu?

- Ponieważ pani Flanningan zostawiła mi jakieś pieniądze. - Will wciąż pamiętał szok, jaki wywołała w nim ta nowina. - Mogłem wykorzystać je tylko na chesne w college'u. Więc... - Wzruszył ramionami. - Poszedłem do pierwszego college'u, do którego zgodzili się mnie przyjąć. Mieszkałem w akademiku. Jadałem w kafeterii. Pracowałem w niepełnym wymiarze godzin w ogrodach. A potem zostałem zwerbowany do GBI. I to wszystko.

Sara milczała, przypuszczalnie próbując przyswoić sobie te informacje.

- Jak tam się dostałeś, mając na koncie wyrok?

- Sędzia powiedziała mi, że może zatrzeć ten wyrok, jeśli zrobię dyplom w college'u.

Na szczęście nie określiła, z jakim wynikiem.

- Więc ukończyłem szkołę, a ona dotrzymała słowa.

Sara znowu przestała się odzywać.

- Wiem, że to brzmi niezbyt atrakcyjnie. - Zaśmiał się z ironii losu.
- Choć biorąc pod uwagę inne sprawy, to chyba nie była najgorsza rzecz, jaką dziś o mnie usłyszałaś.

- Miałaś szczęście, że cię aresztowali.

- Tak sądzę.

- A ja mam szczęście, że trafiłaś do GBI, bo w przeciwnym razie nie mielibyśmy okazji się spotkać.

- Przykro mi, Saro. Przykro mi, że to wszystko na ciebie zważyłem. Ja nie... - Przez chwilę nie mogłem się wysłowić. - Nie chcę, żebyś się mnie bała. Nie chcę, żebyś pomyślała, że w czymkolwiek jestem taki jak on.

- Oczywiście, że nie jesteś. - Otoczyła go ramionami. - Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cię podziwiam?

Mógł jedynie patrzeć na nią bez słowa.

- Podziwiam cię za to, że tyle przeszedłeś. Za to, co wytrzymałeś. Że stałeś się mężczyzną takim, jakim jesteś. - Położyła rękę na sercu.
- Sam zdecydowałeś, że chcesz być dobrym człowiekiem. Że chcesz pomagać innym. Tak łatwo było ci zejść na złą drogę, ale ty na każdym kroku wybierałeś właściwą ścieżkę.

- Nie zawsze.

- Wystarczająco często - odparła. - Na tyle często, że kiedy na ciebie patrzę, mogę myśleć jedynie o tym, jak bardzo jesteś dobry. I jak bardzo chcę - jak bardzo potrzebuję - żebyś był obecny w moim życiu.

W blasku telewizora jej oczy połyskiwały najczystsza zielenią. Will nie mógł uwierzyć, że ona wciąż siedzi obok. Że nadal chce z nim być. Angie tak bardzo się myliła. W Sarze nie było ani krzty przebiegłości. Nie było nikczemności. Nie było urazy.

Jeśli rzeczywiście był aż tak prawym człowiekiem, powinien był powiedzieć Sarze o Angie. Powinien był wyznać prawdę i raz na zawsze mieć to za sobą. Ale zamiast tego pochylił się, żeby ją pocałować. Całował jej powieki, nos i usta. Ich języki się złączyły. Wtedy położył się na niej, a ona oplótła go nogami, wpijając się w niego głębokim pocałunkiem. Will czuł, jak poczucie winy znika - zbyt łatwo znika. Jedyne, o czym mógł teraz myśleć, to o swoim pożądaniu, o tym, jak bardzo pragnie znaleźć się we wnętrzu jej ciała. Kiedy zdejmował z niej ubranie, czuł, że ogarnia go szaleństwo.

Sara pomagała mu jak mogła, ale i tak skończyło się na tym, że Will zdarł z niej sukienkę. Pod spodem nosiła koronkowy stanik, który z łatwością dał się odpiąć. Will całował jej piersi, lizał je i ssał, aż w końcu Sara wydała z siebie przeciągły jęk. Wtedy ruszył w dół jej ciała, pieszcząc i gryząc gładką skórę. Wstrzymała oddech, kiedy ściągnął jej majteczki i rozsunął nogi. Smakowała jak miód i miedziane monety. Jej uda ocierały się o jego twarz, a paznokcie zagłębiły się we włosach. Oderwała od siebie jego głowę i wpiła się w usta namiętym pocałunkiem. Ssała jego język. Wyczyniała ustami takie rzeczy, że jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Wdarł się w głąb niej, a wtedy znów jęknęła, zaciskając mocno palce na jego grzbiecie.

Will zmusił się, żeby zwolnić. Sara współdziałała przy każdym pchnięciu.

Jej wargi przesunęły się po jego uchu.

- Moje kochanie - wydyszała. - Moje kochanie.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 21

LUCY BENNETT

Skurcze zaczęły się o wschodzie słońca. Wcześniej rozciął jej powieki, ale usta pozostawił zszyte. Lucy czuła, jak nic się napina, gdy jęknęła z bólu.

Jej ręce i nogi były szeroko rozpostarte, a ciało ułożone na samym środku materaca. Już wcześniej udało jej się częściowo oderwać prawe ramię. Niewiele, zaledwie o kilka centymetrów, ale to wystarczyło. Szok, że znowu może się poruszać, okazał się tak wielki, że w pierwszej chwili przytłumił ból. Za to teraz czuła nieznośne pulsowanie. Krew skapywała po ramieniu i piersi, tworząc pod łopatką niewielką kałużę.

W głębi jej ciała narastał kolejny skurcz. Powoli, bez pośpiechu, bez przynaglania, aż nagle eksplodował

- Lucy poczuła, jak rozdziera sobie wargi, kiedy krzyknęła w śmiertelnej udręce.

- Zamknij się - syknął czyjś głos.

To tamta dziewczyna z sąsiedniego pokoju.

To ona przemówiła.

Podłoga skrzypiała pod jej stopami, kiedy szła w stronę zamkniętych drzwi.

- Zamknij się - powtórzyła.

Tamta dziewczyna odrobiła swoją lekcję. Była ustępliwa. Była zachęcająca. Rozmawiała z tym mężczyzną. Odmawiała wspólnie pacierze. Krzyczała, przeklinała i mruzczała razem z nim. Dziecinnym

głosikiem proponowała rzeczy, których Lucy nawet nie brała pod uwagę.

I dlatego on czasami zgadzał się spuszczać ją ze smyczy.

Tak jak teraz.

Mogła rozmawiać. Chodzić. Krążyć po pokoju.

Mogła w każdej chwili wyjść. Biec po pomoc. Biec na policję, do swojej rodziny albo dokądkolwiek, byle dalej stąd.

Ale tego nie robiła. Ta druga dziewczyna była kopia Patty Hearst.

Zastępczynią Lucy.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 22

Amanda siedziała w położonym z tyłu boksie w restauracji Majestic Diner przy Ponce de Leon. Zdławiła ziewnięcie. Wczorajszej nocy, po przyjeździe z Techwood, była zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć. Nawet lektura Mary Wollstonecraft* nie zdołała jej uspić. Rzuciła się na łóżku i przewracała z boku na bok, usiłując zapomnieć o układance z tekturowych kart, która widocznie utrwaliła się na siatkówce jej oczu. Zapisała w pamięci kilka nowych szczegółów: Hank Bennett - kłamca, Trey Callahan - kłamca.

** Mary Wollstonecraft (1759-1797) - angielska pisarka, prekursorka feminizmu.*

A Ofelia? Co zrobić z tą Ofelią?

Kelnerka uzupełniła zawartość jej filiżanki. Amanda zerknęła na zegarek. Evelyn spóźniła się już o całe piętnaście minut, co było zastanawiające. Nigdy dotąd nie zauważyła, żeby Evelyn była opieszala czy niepunktualna. Postanowiła więc skorzystać z aparatu na monety, który znajdował się na zapleczu, i zadzwonić do okręgu Model City, lecz nikt nie odebrał telefonu. Amanda skończyła swoją zmianę prawie pół godziny temu. Dziś została wyznaczona w parze z Vanessą, co bardzo im odpowiadało. Koleżanka postanowiła urządzić sobie dzisiaj wypad na zakupy. Najwyraźniej nowa karta kredytowa wypalała dziurę w jej portfelu.

Drzwi się otworzyły i do środka wpadła Evelyn.

- Przepraszam za spóźnienie, ale miałam strasznie dziwną rozmowę z Hodge'em - powiedziała.

- Z moim Hodge'em?

Evelyn skinęła na kelnerkę, która weszła przyjąć zamówienie.

- Przysłał wiadomość, że mam jechać do Zone One.

- Czy ktoś cię widział?

- Nie, na posterunku nie było żywej duszy. Tylko ja, Hodge i otwarte drzwi do jego biura. - Evelyn oparła się o ścianę przedziału. Jej podniecenie było aż nadto widoczne. - Kazał mi opowiedzieć o wszystkim, co robimy.

Amanda poczuła, jak narasta w niej panika.

- Wszystko w porządku. On wcale nie jest zły. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zresztą kto tam wie, co facet sobie myśli? Miałaś zupełną rację, że to tajemniczy typ. Odbiera człowiekowi odwagę.

- Czy coś ci powiedział?

- Nic. Nie było żadnych pytań. Żadnych komentarzy. Po prostu kiwał głową, a na końcu powiedział, żebym robiła to, co do mnie należy.

- Ciekawe, ale to samo ja usłyszałam od niego wczoraj - odparła Amanda. - Że mam wykonywać swoją robotę. Jak myślisz, czy chciał porównać nasze zeznania? - spytała.

- Całkiem możliwe.

- Niczego nie zachowałaś dla siebie?

- No cóż, nie wspomniałam o Deenie. I o Miss Luli. Nie chciałam, żeby któraś z nich miała przez nas kłopoty.

- A powiedziałaś o Ofelii?

- Nie - przyznała Evelyn. - Powiedziałam, że chcemy jeszcze raz wrócić do Treya Callahana, ale nie powiedziałam dlaczego. Luther Hodge raczej nie wygląda mi na wielbiciela Williama Szekspira.

- Wcale nie jestem tego taka pewna, Evelyn. Może zbyt pośpiesznie wyciągnęłyśmy wnioski? Trey Callahan poczęstował nas cytatem z Szekspira, a potem obie, ty i ja, same dośpiewałyśmy resztę, kiedy zeszłej nocy zobaczyłyśmy ofiarę. Za dużo tu zbiegów okoliczności, jak na mój gust.

- Czyżby w pracy policyjnej nie istniało coś takiego jak zbieg okoliczności?

Amanda nie odpowiedziała na to pytanie.

- Jak sądzisz, czy Hodge narobi nam kłopotów?

- Kto go tam wie, do diabła. - Evelyn wyrzuciła ręce w powietrze. -
Powinnyśmy iść do Union Mission. Kiedy przerabiałam to jeszcze raz z Hodge'em, przyszło mi na myśl parę spraw.

Amanda wysunęła się z boksu, zostawiając na stole dwie monety po dwadzieścia pięć centów oraz suty napiwek.

- Co takiego?

- Och, wszystko. - Evelyn zaczęła, aż znajdą się na zewnątrz. -
Na przykład taki Hank Bennett i jego sytuacja. Wydaje mi się, że masz rację. Jest podstępny jak wąż i bez wątpienia wykorzystał informacje na temat Kitty Treadwell, żeby ubić interes z jej ojcem.

Wsiadły do samochodu Amandy.

- Skąd niby Bennett miałby wiedzieć, że tutaj istnieje jakieś pokrewieństwo?

- Na drzwiach było jej nazwisko - przypomniała Evelyn. - Nawet jeśli nie weźmiemy tego pod uwagę, pamiętaj, że Kitty bez przerwy mełła ozorem na temat swojego tatusia. Miss Lula doskonale wiedziała, że jej ojciec ma koneksje polityczne. Juice też o tym wiedział. Wiedział nawet, że Kitty ma siostrę, która jest tym lepszym dzieckiem. To była tajemnica poliszynela.

- Ale oni nie pochodzą z wyższych sfer - odparła Amanda. -
Andrew Treadwell kończył studia w Georgii. Pamiętam, jak czytałam o tym w gazecie.

Evelyn uśmiechnęła się.

- Hank Bennett także nosił na palcu pierścień Uniwersytetu Georgii.

- Georgia Bulldogs, rocznik 1974 - powiedziała Amanda, kolejny raz skręcając w Ponce de Leon Avenue. - Mogli spotkać się na jakimś przyjęciu albo spotkaniu towarzyskim. Ci wszyscy chłopcy z bractw uczelnianych są tak samo mocni w gębie jak zwykle złodziejaszki.

Podczas pracy w obyczajówce przeprowadziła wystarczająco dużo przesłuchań, żeby wyrobić sobie zdanie na ten temat. Wszyscy kłamali jak bure suki.

- Co tam się dzieje? - Evelyn wskazała na budynek Union Mission. Wejście do gmachu blokował wóz APD.

- Nie mam pojęcia - odparła Amanda.

Zjechała na pobocze i wysiadła z samochodu. Od razu rozpoznała policjanta, który wyszedł z budynku, choć nie pamiętała, jak mu na imię. Za to on najwyraźniej poznał i ją, i Evelyn. Idąc do samochodu, przyspieszył kroku.

- Przepraszam! - zawołała Amanda, ale było już za późno.

Gość zdążył już wsiąść do swojego cruisera. Wcisnął gaz do dechy, nie zważając na przeraźliwy pisk opon.

- Ale heca - mruknęła Evelyn.

Idąc w stronę wejścia, nie wydawała się jakoś specjalnie zniechęcona. Jednak w pomieszczeniach misji zamiast Treya Callahana zastały przysadzistego, starszawego pana w koloratce. Zmiatał z podłogi potłuczone szkło. Jeden z paneli w drzwiach przestał istnieć, a obok szkła leżał kawałek cegły.

- Tak? - odezwał się do nich.

Evelyn przejęła inicjatywę.

- Jesteśmy z policji. Szukamy Treya Callahana.

Mężczyzna wydawał się zakłopotany.

- Podobnie jak ja.

Amanda wywnioskowała, że czegoś nie zauważyły.

- Więc Callahan jest nieobecny?

- Jak myślicie, kto tu tak nabroił? - wskazał potłuczone szkło. -

Trey miał wczoraj wieczorem otworzyć schronisko. Nie pojawił się, więc jedna z dziewczyn wrzuciła przez okno cegłę.

Oparł się na miotle.

- Proszę mi wybaczyć, ale nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z policją. Czy panie jesteście sekretarkami? Oficer, który stąd przed chwilą wyszedł, powiedział, że potrzebne będzie zgłoszenie i że trzeba napisać je na maszynie.

Amanda zdusiła jęk. Cholerny leń wymigał się od roboty.

- Nie jesteśmy sekretarkami - oznajmiła. - Jesteśmy tajniakami.

- Detektywami - sprostowała Evelyn bardzo pewnym tonem. - I nie piszemy niczego na maszynie. Jak się pan nazywa?

- Ojciec Bailey. Pracuję w kuchni z zupami, kawałek dalej przy tej samej ulicy.

Nie pasował do rysopisu, który im podano. Książdz był zaledwie o kilka cali wyższy od Amandy.

- Czy tylko książdz pracuje w tej kuchni?

- Nie, gotowaniem zajmuje się mój współpracownik. Ja tylko od czasu do czasu pomagam przy zmywaniu, ale moim głównym obowiązkiem jest udzielanie duchowego wsparcia.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

- Moje drogie, już jestem spóźniony, więc jeśli...

Evelyn przerwała mu w połowie zdania.

- Jeśli książdz pracuje w kuchni, to co robi tutaj?

- Dziś rano byłem umówiony z Treyem Callahanem. Raz w miesiącu uzgadniamy, co dalej; rozmawiamy o dziewczętach - która może sprawiać kłopoty, na którą trzeba uważać.

- A więc książdz przyszedł tutaj i zastał rozbitą szybę, tak?

- I salę pełną śpiących dziewczyn, chociaż o tej porze budynek powinien już być zamknięty. - Wskazał na tylną ścianę. - Ktoś włamał się do biura Callahana. Przypuszczalnie któraś z dziewczyn.

- Czy żadna z nich niczego nie zauważyła?

- Nie znoszę być niemiłosierny, ale żadna z nich nie wykazuje chęci do pomocy, o ile nie wiąże się to z jakimiś korzyściami.

Nagle Amanda sobie o czymś przypomniała.

- A co z dziewczyną Callahana? Odbywa praktykę z pielęgniarstwa w Georgia Baptist.

Przyglądał się Amandzie przez chwilę.

- Owszem, zadzwoniliśmy tam, pytając o Eileen Sapperson.

Powiedziano nam, że nie było jej wczoraj na nocnej zmianie.

- Czy w szpitalu mają jej domowy numer?

- Ona nie ma w domu telefonu.

- Czy ksiądz miałby coś przeciwko... - Amanda wskazała biuro Callahana.

Ksiądz wzruszył ramionami. Kiedy poszły w stronę znajdującego się z tyłu budynku pomieszczenia, natychmiast wrócił do zamiatania.

Biuro najwyraźniej zostało wywrócone do góry nogami, ale Amanda nie była przekonana, czy zrobiła to jakaś ćpunka szukająca pieniędzy, czy raczej człowiek, któremu spieszno było wyjechać z miasta. Biurko Callahana zostało oczyszczone ze znajdujących się tam wcześniej przedmiotów osobistych. Nie było oprawionego w ramkę zdjęcia dziewczyny z psem. Ani kolorowej sprężynki. Ani wiszących na ścianach plakatów. Ani tranzystorowego radia. Tylko walające się w popielniczce niedopałki, wypalone do cna. Szuflady były szeroko otwarte. Co najważniejsze, zniknął również stos papierów.

Evelyn od razu zwróciła na to uwagę.

- Gdzie się podział jego manuskrypt?
 - Nie bardzo rozumiem, po co był potrzebny jakiejś kurwie. No chyba że jako papier toaletowy.
 - Callahan szybko się stąd zwinął. Musiał zgarnąć swoją dziewczynę.
 - Tej samej nocy w Techwood znaleziono ciało Mary Halston.
 - Zbieg okoliczności?
- Amanda niczego nie była już pewna.
- Chodź, pogadamy z tym gościem od zup.
- Wróciły do głównej sali, ale księdza już nie było.
- Halo? - zawołała Evelyn, choć przecież widziały każdy kąt pomieszczenia. Amanda pospieszyła za nią na zewnątrz. Chodnik był pusty. Na parkingu również nie było żywej duszy. Na wszelki wypadek sprawdziły także ulicę z tyłu budynku.
 - No cóż, przynajmniej on nas nie okłamał.
 - Z tego, co nam wiadomo - odpowiedziała Amanda.
- Powędrowała z powrotem w kierunku plymoutha. Wewnątrz auta było gorąco jak w piekarniku. Przekręciła kluczyk w stacyjce.
- Czuję się już chora i zmęczona od ciągłego przesiadywania w tym aucie.
 - Tak naprawdę nigdy nie widziałaś, żeby Columbo dokądś odjeżdżał.
 - Bo przypuszczam, że *Ironside** się nie liczy.
- * *Ironside* - amerykański serial kryminalny, którego głównym bohaterem jest sparaliżowany od pasa w dół detektyw.
- Chciałabym zobaczyć, co Techwood Homes zrobiłyby z kaleki, który jeździ bagażówką z pieczywem.
- Amanda wyjechała na ulicę.
- Pepper Anderson** zjawi się w magiczny sposób tam, gdzie akurat powinna być.

*** Pepper Anderson - jedna z bohaterek amerykańskiego serialu kryminalnego Police Women .*

- W jednym tygodniu jest pielęgniarką w szpitalu; w następnym ściga się na motorówce. Potem jest tancerką w klubie go-go, a następnie stewardesą, która flirtuje z pilotem. Hej...

- Zamknij się.

Evelyn zachichotała, opierając rękę o drzwi. Obie siedziały w milczeniu, gdy Amanda mijała kilka ostatnich kwartałów dzielących je od Juniper Street.

- Wolisz lewą stronę czy prawą? - odezwała się Amanda.

- Ty wybierz.

Amanda wybrała lewą. Zwolniła, przypatrując się pilnie każdemu budynkowi po lewej stronie ulicy, podczas gdy Evelyn śledziła domy po prawej.

Niemal dojechały do Pine Street, kiedy Evelyn wskazała pewien dom.

- To musi być tutaj.

Budynek wyglądał na opuszczony i bezpański; nic nie wskazywało, że tu może się mieścić jakiś kościół, z wyjątkiem wielkiego, drewnianego krzyża, który został wbity w maleńki skrawek podwórka. Pomalowany był na czarno. Ktoś wpadł na pomysł, aby wbić gwoździe tam, gdzie powinny znajdować się dłonie i stopy Jezusa. Drobne, czerwone kropelki przypominały o Jego męce.

- Cóż to za śmietnik - mruknęła Evelyn.

Miała rację. Fasada budynku kruszyła się; w zaprawie widniały wielkie, poprzeczne pęknięcia. Zbudowany z betonowych bloczków ganek cały pokryty był graffiti. Z czterech okien na parterze dwa zostały zabite deskami, ale znajdujące się ponad nimi okna na piętrze wydawały się nietknięte.

Wysiadły z auta i skierowały się do budynku. Amanda poczuła lekki pęd powietrza, gdy ulicą przemknął jakiś samochód. To był policyjny wóz patrolowy. Niebieskie światło koguta mignęło na znak pozdrowienia, ale kierowca się nie zatrzymał.

Frontowe drzwi do kuchni z zupami okazały się otwarte. Przechodząc przez próg, Amanda poczuła woń ziół i przypraw. W pomieszczeniu stały plastikowe stoły, na nich talerze i miski, a obok serwetki i łyżki.

- Nie ma niczego z ostrzem - zauważyła Evelyn.
- Raczej mądre posunięcie - odparła Amanda. - Halo, jest tu kto?
- Momencik - odkrzyknął z zaplecza czyjś burkliwy głos.

Usłyszały szczełk garnków. Potem rozległy się ciężkie kroki i z kuchni wyszedł pewien mężczyzna. Na jego widok Amandę niespodziewanie ogarnął lęk. Na akademii policyjnej uczono je, że przeciętne drzwi mają trochę ponad dwa metry wysokości i są szerokie na prawie osiemdziesiąt centymetrów. Dzięki temu sprawdzianowi można było pobieżnie oszacować wzrost i wagę danej osoby. Człowiek w kuchennych drzwiach wypełniał sobą całe wejście. Jego ramiona były niemal tak szerokie jak przestrzeń między futryną drzwi, a głowa niemal sięgała górnej krawędzi otworu.

Uśmiechnął się. Zauważyły, że miał migdałowe oczy, pełne usta, a w dolnej szczęce krzywy ząb.

- Czym mogę służyć, panie władzo?

Przez moment obie stały jak wryte. Potem Amanda sięgnęła do torebki i wydobyła stamtąd odznakę. Pokazała ją mężczyźnie, choć było jasne, że zorientował się, iż obie są policjantkami. Po prostu chciała powiedzieć cokolwiek.

- Ja nazywam się detektyw Wagner. To jest pani detektyw Mitchell.

- Proszę bardzo. - Szerokim gestem zaprosił je do środka. - Niech panie usiądą.

Uprzejmie poczekał, aż spoczną na krzesłach, a potem sam zajął miejsce na ławce naprzeciw nich. Amanda znowu nie zdołała powstrzymać się od robienia porównań. Ten facet był niemal tak szeroki jak one dwie razem wzięte. Sam widok jego złączonych dłoni przyprawiał o dreszcze. Prawdopodobnie z łatwością mógłby zacisnąć paluchy dookoła szyi każdej z nich.

Evelyn wyjęła notatnik.

- Jak się pan nazywa?

- James Ulster.

- Czy zna pan człowieka o nazwisku Trey Callahan?

Westchnął. Jego głos brzmiał tak głęboko, że niemal przypominał warczenie.

- Czy chodzi o te pieniądze, które ukradł?

- Ukradł jakieś pieniądze? - zdziwiła się Amanda.

- Och, ojciec Bailey jest o wiele ostrożniejszy, jeśli chodzi o publiczne wystąpienia niż ja - wyjaśnił Ulster. - Jeden z donatorów w zarządzie zwrócił uwagę, że zniknęły pewne fundusze. Dziś z samego rana mieliśmy zadzwonić w tej sprawie do Treya. Jak rozumiem, on miał inne plany.

Amanda przypomniała sobie o rozmowie telefonicznej, którą Callahan odebrał, gdy przebywały w jego biurze. Powiedział wtedy, że dzwoni jeden ze sponsorów ośrodka.

- Czy jest pan pewien, że to właśnie Trey przywłaszczył sobie te pieniądze?

- Obawiam się, że tak. - Ulster oparł swe potężne łapska po obu stronach ławy, a następnie skulił się, przypuszczalnie z przyzwyczajenia. Tak ogromny człowiek zapewne zdawał sobie

sprawę, że w jego obecności ludzie czują się nieswojo. Mimo wszystko, zważywszy, że prowadził kuchnię z zupami dla rzesz ubogich z Atlanty, jego rozmiary były raczej zaletą niż wadą.

- Czy ma pan jakiś pomysł, dokąd mógł udać się Trey Callahan? - spytała Amanda.

Ulster potrząsnął głową.

- Wydaje mi się, że miał narzeczoną.

W najbliższym czasie Amanda i Evelyn wybierały się do szpitala Georgia Baptist, choć Amanda była pewna, że ten trop prowadzi donikąd.

- Czy pan przyjaźni się z panem Callahanem? - On tak powiedział?

- Owszem - skłamała Amanda. - Czyżby pan twierdził inaczej?

- Czasami prowadziliśmy teologiczne dysputy. Rozmawiałem z nim na wiele różnych tematów.

- Na przykład na temat Szekspira? - wtrąciła Amanda. To był cios na oślep, ale okazał się skuteczny.

- Od czasu do czasu - przyznał Ulster. - W siedemnastym wieku wielu autorów posługiwało się zakodowanym językiem. To nie były czasy, w których nagradzano wywrotowców.

- Jak w *Hamlecie*, tak? - dodała Evelyn.

- To może nie jest najlepszy przykład, ale... tak.

- Co w takim razie pan powie o Ofelii?

Nagle w głosie Ulstera pojawiła się nieprzyjemna ostrość.

- Ofelia była klamczynią i dziwką.

Amanda poczuła, jak siedząca obok niej Evelyn sztywnieje.

- Wydaje się pan bardzo o tym przekonany.

- Przepraszam, ale uważam ten temat za nieco nużący. Za to Trey miał prawdziwą obsesję na tym punkcie. Czasami wręcz nie dało się z nim porozmawiać, bo wciąż cytował jakieś mroczne wersety.

To wydawało się zgodne z prawdą.

- Czy wie pan, dlaczego to robił?

- Nie jest tajemnicą, że szczególnie interesowały go upadłe kobiety.

Odkupienie. Zbawienie. Jestem pewien, że potraktował was jednym ze swoich wykładów o tym, jak te dziewczęta mogą być zbawione.

Był dość nieugięty, jeśli o to chodzi, i osobiście bardzo przeżywał, jeśli dziewczyny go rozczarowywały. - Ulster pokręcił głową. -

Oczywiście te dziewczyny sprawiały mu zawód. Wciąż go zawodziły.

Taka już jest ich natura.

- Czy kiedykolwiek zwrócił pan uwagę, że Callahan nieodpowiednio traktuje te dziewczyny? - spytała Evelyn.

- Rzadko bywałem w siedzibie Union Mission. Moja praca jest tutaj. Ale nie byłem zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że postanowił zrobić coś dla własnej korzyści. Ukradł pieniądze należące do organizacji dobroczynnej. Dlaczego więc miałby przestać wykorzystywać upadłe kobiety?

- Widział go pan kiedykolwiek w gniewie?

- Na własne oczy nie, ale słyszałem, że potrafił się wściekać.

Niektóre z dziewczyn skarżyły się na jego gwałtowny charakter.

Amanda zerknęła na notatnik koleżanki. Evelyn niczego nie zapisywała. Może myślała o tym samym co Amanda? Trey Callahan przez większość godzin czuwania wydawał się kompletnie oderwany od rzeczywistości. Trudno było wyobrazić sobie, jak ktoś taki wpada w gniew, nie mówiąc już o działaniach pod jego wpływem.

Oczywiście, ich zdaniem również nie wyglądał na złodzieja.

- Podobno Trey Callahan pisał jakąś książkę - zauważyła Evelyn.

- Tak - zasyczał Ulster. - Dzieło życia. Ale to nie było dobre.

- Czytał pan?

- Kilka stron. Callahan bardziej nadawał się do zawodu, w którym pracował, niż do tego, o którym marzył. - Uśmiechnął się do nich. - Tylu ludzi zaznałoby spokoju, gdyby po prostu zaakceptowali plany, jakie ma wobec nich nasz Pan.

Amanda odniosła wrażenie, że Ulster odnosi się bezpośrednio do nich.

Evelyn musiała poczuć to samo, bo odezwała się raczej oschłym tonem.

- Czym dokładnie się pan tu zajmuje, panie Ulster?

- No cóż, głównie zajmujemy się karmieniem ludzi. Śniadanie jest o szóstej rano. Pora lunchu zaczyna się o dwunastej. Stoły zaczynamy zastawiać dużo wcześniej.

- Czy to są jedyne posiłki?

- Nie, podajemy także kolację. Zaczyna się o piątej i kończy punktualnie o siódmej.

- Wtedy ludzie wychodzą?

- Większość tak. Niektórzy zostają przez cały wieczór. Na górze mamy dwadzieścia łóżek. I prysznic, chociaż bez ciepłej wody. Naturalnie przyjmujemy tylko kobiety. - Wykonał ruch, jakby chciał wstać. - Czy panie chciałyby obejrzeć budynek?

- To nie jest konieczne - odparła Amanda. Nie chciała znaleźć się na górze sam na sam z tym człowiekiem. - Czy pan także tu nocuje?

- Nie, nie ma takiej potrzeby - odparł. - Parafia ojca Bailey'a znajduje się parę kroków dalej. Codziennie przychodzi o jedenastej wieczorem, żeby zamknąć drzwi na klucz, a następnie otwiera je o szóstej rano.

- Od jak dawna pan tutaj pracuje? - zainteresowała się Amanda.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jesienią miną dwa lata.

- A co pan robił przedtem?

- Byłem brygadzystą na kolei.

Evelyn wskazała budynek.

- Proszę mi wybaczyć, że to powiem, ale nie wydaje mi się, żeby w takim miejscu zarabiał pan normalne pieniądze.

- Nie. Zresztą nawet to, co mam, staram się oddawać.

- Więc nie dostaje pan wynagrodzenia za... - Evelyn szybko policzyła w myślach. - Za trzysta godzin pracy dziennie?

- Jak już mówiłem, dostaję tutaj to, czego mi potrzeba. Ale praca wynosi raczej szesnaście godzin na dobę. Siedem dni w tygodniu. - Wzruszył ramionami, otwierając przy tym dłonie. - Ale dlaczego miałbym pragnąć bogactw tego świata, kiedy moja nagroda jest w niebie?

Evelyn przesunęła się na krześle. Sprawiała wrażenie tak samo skrępowanej jak Amanda.

- Czy poznał pan jedną z pracujących dziewczyn, która nazywała się Kitty Treadwell?

- Nie. - Patrzył na nią pustym wzrokiem. - Nie pamiętam, ale przychodzi tu tyle prostytutek...

Amanda rozpięła suwak i wyciągnęła z torebki prawo jazdy, żeby pokazać mu fotografię. Ulster wyciągnął rękę po dokument, uważając przy tym, żeby ich palce się nie zetknęły. Obejrzał zdjęcie, a potem przesunął wzrok na nazwisko i adres. Poruszał przy tym bezgłośnie ustami, jakby po cichu wymawiał poszczególne słowa.

- Na tym zdjęciu wygląda o wiele zdrowiej niż w rzeczywistości. Przypuszczam, że zostało zrobione przedtem, nim zawładnął nią demon uzależnienia.

- Czyli znał pan Kitty - sprecyzowała Evelyn.

- Tak.

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Miesiąc temu? Może wcześniej.

To nie miało sensu. Amanda położyła na stole prawo jazdy Lucy Bennett, a potem dokument Mary Halston.

- Co pan powie o tych dziewczynach?

Pochylił się nad stołem i po kolei obejrzał zdjęcia. Bez pośpiechu. Znowu poruszał ustami, odczytując ich imiona. Amanda wsłuchiwała się w jego oddech, w stały rytm wdechów i wydechów. Widziała czubek jego głowy. Jasno-brązowe włosy naznaczone były płatkami łupieżu.

- Tak. - Podniósł wzrok. - Znam tę dziewczynę. Była u nas kilka razy, ale ostatecznie wybrała misję. Tego się spodziewałem, ponieważ miała coś wspólnego z Treyem.

Mówiąc to, wskazywał zdjęcie Mary Halston, ofiary znalezionej poprzedniej nocy.

- Jeśli zaś chodzi o tę dziewczynę... - Wskazał Lucy Bennett. - Nie jestem pewien. Obie są bardzo do siebie podobne. I obie z pewnością są uzależnione od narkotyków. To przekleństwo naszego pokolenia.

Na wszelki wypadek Evelyn potwierdziła zeznania.

- Więc rozpoznał pan Lucy Bennett i Mary Halston jako osoby, które korzystały z tej jadłodajni, tak?

- Tak mi się wydaje.

Evelyn pilnie notowała.

- A Mary była ulubienicą Treya Callahana?

- Zgadza się.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Lucy albo Mary?

- Przed kilkoma tygodniami? Może miesiąc temu? - Znowu przyjrzał się fotografiom. - Tutaj obie wyglądają na zdrowe, normalne dziewczyny.

Z powrotem podniósł wzrok, najpierw na Evelyn, potem na Amandę.

- Jesteście obie oficerami policji, więc pewnie zdążyliście się przyzwyczaić do widoku spustoszenia, jakie czyni uzależnienie od narkotyków. Te dziewczęta... Te biedne dziewczęta. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - Narkotyki to trucizna i nie wiem, dlaczego nasz Pan dopuścił do ich istnienia, jednak pewien typ ludzi łatwo ulega pokusie. Drżą przed mocą narkotyku, choć powinni drżeć przed mocą Pana.

Jego głos potężnie rozbrzmiał w całym pomieszczeniu. Amanda bez trudu wyobraziła go sobie na ambonie. Albo na ulicach.

- Jest tutaj pewien alfons, którego na ulicy nazywają Juice.

- Ten grzesznik jest mi znany.

- Mówił, że czasami przychodzi pan prawić kazania dziewczynom, które właśnie pracują?

- Wykonuję zadanie powierzone mi przez Pana, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Amanda raczej nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek czuł się zagrożony, zważywszy, że żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie byłaby szczęśliwa, wpadając w ciemnej alei na faceta tak wielkiego jak James Ulster.

- Czy był pan kiedyś w Techwood Homes?

- Och, wiele razy - odparł. - Dostarczam zupę staruszkom, które nie wychodzą z domu. Do Techwood jeżdżę w poniedziałki i piątki, do Grady Homes w wtorki i czwartki. Inna kuchnia obsługuje Perry Homes i Washington Heights...

- Dziękuję - przerwała mu Evelyn. - Nas interesuje wyłącznie Techwood.

- Słyszałem, że tam ostatnimi czasy dzieją się straszne rzeczy - powiedział, ściskając razem dłonie. - To wielka próba dla duszy,

patrzeć, jak żyją tamtejsi ludzie. Ale jak sądzę, *raz zasnąwszy, zakończym na zawsze boleści serca**.

** Fragment Hamleta Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego.*

Amanda poczuła, że jej serce na moment przestaje bić.

- Trey Callahan wypowiedział dokładnie to samo zdanie. To cytat z Szekspira.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Widocznie zaraził mnie tym samym sposobem mówienia. Jak wspominałem, Callahan nieustannie poruszał tę kwestię.

- Czy pamięta pan prostytutkę, która nazywała się Jane Delray?

- Nie. Czy ma jakieś kłopoty?

- A Hanka Bennetta? Czy kiedykolwiek miał pan okazję go poznać?

- Evelyn poczekała na odpowiedź, ale Ulster pokręcił głową. - Ma włosy mniej więcej w tym samym kolorze co pan. I jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Chodzi zawsze modnie ubrany.

- Nie, siostró. Obawiam się, że go nie znam.

Schowane w torbce Evelyn radio ożyło. Najpierw rozległ się przytłumiony dźwięk, a potem seria kliknięć. Evelyn sięgnęła do torby, żeby wyciszyć odbiornik, ale zatrzymała się, gdy z głośnika usłyszała swoje nazwisko.

- Mitchell? - Amanda od razu rozpoznała głos Butcha Bonniego.

- Proszę wybaczyć - powiedziała, wyjmując radio. - Tu Mitchell, dziesięć cztery.

- Podaj mi swoją lokalizację na dwadzieścia pięć - rozkazał Butch. - Natychmiast.

Z radia rozległy się kolejne kliknięcia i zbiorowy atak śmiechu. Butch przekazał im, że czeka na zewnątrz.

Evelyn odwróciła się do Ulstera.

- Dziękuję, że pan z nami porozmawiał. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli zadzwonimy jeszcze z pytaniami?

- Oczywiście, że nie. Czy mam wam podać swój numer telefonu?

Długopis Evelyn niemal całkiem zniknął w lewej dłoni Ulstera. Chwytał go całą pięścią, zamiast pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, a następnie naskrobał siedem cyfr. Ponad nimi starannie wykaligrafował swoje nazwisko. Jego pismo przypominało dziecięce bazgroły, a przy ostatniej literze nacisnął tak mocno, że końcówka wkładu przebiła papier.

- Dziękuję - powiedziała Evelyn.

Z wyraźnym oporem sięgnęła po długopis. Wsunęła na niego skuwkę i zamknęła notes. Kiedy wstały, Ulster także podniósł się z ławy. Po kolei wyciągnął do nich rękę. W tym upale wszyscy byli złani potem, ale w dłoni Ulstera było coś wyjątkowo lepkiego. Delikatnie uściśnął im dłonie, ale jeśli chodzi o Amandę, to i tak pomyślała, że gdyby tylko zechciał, bez trudu mógł skruszyć im palce.

Evelyn oddychała płytko, idąc ku drzwiom.

- Jezu - wyszeptała.

Mimo ulgi, jaką sprawiło im obu pożegnanie z Ulsterem, na widok Butcha Amanda miała ochotę cofnąć się do środka. Wyraźnie gotował się z wściekłości.

- Co wy wyrabiacie, do kurwy nędzy? - warknął, a potem złapał Evelyn za rękę i pociągnął w dół betonowych schodów.

- Nie możesz... - zdążyła zawołać Amanda.

- Zamknij się!

Popchnął Amandę na ścianę i zamierzył się pięścią, ale zatrzymał się, zanim zadał jej cios.

- Ile razy mam wam to powtarzać? - wrzasnął. - Wam obu!

Cofnął się, szurając nogami po chodniku.

- Jezu Chryste!

Amanda przycisnęła rękę do piersi. Czuła, jak jej serce łomocze, objijając się o żebra. A później spostrzegła, że Evelyn upada.

Podskoczyła, żeby pomóc jej wstać.

- Nie. - Evelyn zdołała zachować równowagę. Z całej siły obiema pięściami walnęła Butcha prosto w sam środek klatki piersiowej.

- Co jest, do... - zatoczył się w tył, a wtedy uderzyła go ponownie. I jeszcze raz, aż znalazł się tuż przy ścianie.

- Jeśli kiedykolwiek ośmielisz się mnie dotknąć, to wypalę ci prosto w ten głupi pysk! Słyszysz, co mówię?!

Butch wydawał się całkiem oszołomiony.

- Co, do diabła, w ciebie wstąpiło?

Evelyn przechadzała się tam i z powrotem, jak uwięzione w klatce zwierzę.

- Mam was dosyć, cholerne dupki - wycedziła.

- Pijesz do mnie? - Butch wyciągnął papierosy. - A co z wami, cipki? Ile razy mówiono wam, żebyście dały sobie spokój, co? -

Pogrzebał paluchami w paczce. - Staralem się być dla was miły.

Staralem się delikatnie was ostrzec. A potem słyszę, że zaczęłyście węszyć dookoła mojego informatora. I sprawiać masę kłopotów.

Okazało się, że z wami nie warto bawić się w dżentelmena. Co więc mam robić, co?

- Kto jest twoim informatorem?

- Nie wasz zasrany interes.

Evelyn wyrwała mu papierosy. Była tak wściekła, że miała trudności z wypowiedaniem słów.

- Czy wiesz, draniu, że ta zamordowana dziewczyna to Jane Delray?

Uciekł spojrzeniem w bok.

- Gówna prawda.

- Kto kazał ci zełgać, że to Lucy Bennett?

- Nikt niczego mi nie kazał!

Evelyn nie zamierzała się poddać.

- Juice nie zamordował Lucy Bennett.

- A ty lepiej uważaj z tym wzdychaniem do jakiegoś czarnucha, który siedzi w pierdłu. - Rzucił jej pełne pogardy spojrzenie, jednocześnie schylając się po papierosy. - Jezu, Ev! Czemu zachowujesz się jak jakaś cholerna lesba? Chodź tutaj, Merdajko.

Przemów do rozsądku tej Annie Oakley*.

**Annie Oakley (1860-1926) - amerykańska kobieta strzelec wyborowy, która przez ponad szesnaście lat występowała w rewii Wild West Show Buffalo Billa .*

Amanda poczuła, że w jej gardle narasta kłęb żółci. Rzuciła najgorsze przekleństwo, jakie tylko przyszło jej na myśl.

- Ty pieprzony skurwysynu!

Zaśmiał się szczekliwie.

- Ty mówisz do mnie „skurwysynu”? Ty?

Wyłowił z kieszeni zapalniczkę.

- Chcesz wiedzieć, kto tu jest pieprzoną suką?

Zapalił papierosa.

- Ty, cholerna dziwko - skinął głową w kierunku Amandy. - Po cholere polazłaś wczoraj do tego więzienia, co? A ty - odwrócił się do Evelyn - ty jesteś pieprzoną kurwą, że ją do tego zachęcałaś.

- Do czego mnie zachęcała? - warknęła w odpowiedzi Amanda. -

Nie jest moim strażnikiem ani niańką.

Z sykiem wypuścił z ust kłęb dymu.

- Jutro obie zostaniecie przeniesione. Mam nadzieję, że wciąż macie swoje białe rękawiczki, które noszą policjantki z patroli.

- A ja mam nadzieję, że jesteś gotowy na proces za dyskryminację ze względu na płeć - odpaliła Evelyn. - Obaj, ty i Landry.

Tym razem Butch wypuścił dym przez nos.

- Wy przekłete suki, w kółko to powtarzacie, ale wiecie co? Jeszcze nikt za to nie poszedł do pierdła. Możecie sobie szczekać do woli, kierując ruchem na skrzyżowaniu.

Kiwnął im przez ramię głową i ruszył w swoją stronę.

Evelyn patrzyła za nim, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. Przez moment Amanda miała wrażenie, że za chwilę rzuci się za nim i jak furia skoczy mu na plecy. Nie była pewna, co się stanie, jeśli Evelyn tak postąpi. Jej paznokcie były krótkie, ale mocne.

Przypuszczalnie mogła wydrapać mu oczy. A gdyby to zawiodło, mogła odgryźć mu wszystko, co znalazłoby się pomiędzy jej zębami.

- Rzygać mi się chce od tego wszystkiego. - Evelyn wielkimi krokami przechadzała się po chodniku. - Mam dość wysłuchiwania takich pieprzonych bzdur. I nie życzę sobie być wciąż okłamywana.

Kopnęła oponę plymoutha.

- I chcę wreszcie mieć normalny samochód. I żeby ludzie wreszcie przestali myśleć, że jestem jakąś pierdoloną sekretarką!

Ścisnęła torebkę.

- Dlaczego nie zastrzeliłam tego drania? Boże, ale bym miała ochotę go zastrzelić.

- Możemy to zrobić teraz. - Amanda jeszcze nigdy w życiu nie była tak gotowa do działania. - Znajdziemy go i zaraz to zrobimy.

Evelyn zarzuciła torebkę na ramię i skrzyżowała ramiona.

- Nie mam zamiaru przez takiego durnia trafić do więzienia... - Zamilkła na chwilę. - Jak tyś do niego powiedziała? „Pieprzony skurwysynu”? - Zaśmiała się krótko. - Nie miałam pojęcia, że znasz takie słowa.

Amanda zdała sobie sprawę, że także zaciska pięści. Powoli rozprostowała palce, jeden po drugim.

- Pewnie tak się zdarza, kiedy człowiek ma do czynienia z alfonsami i dziwkami.

- Służba w patrolu. - Evelyn z obrzydzeniem wymówiła te słowa. - Jest lato. Pewnie zapędzą nas do roboty z tymi cholernymi gówniarami, które nie chcą harować przez cały rok.

Amanda otworzyła drzwi samochodu.

- Chodź, pojedziemy do Georgia Baptist i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tę narzeczoną Treya Callahana.

- Żartujesz? Słyszałaś, co powiedział Butch.

- To dopiero jutro. Na razie martwmy się o dzisiaj.

Evelyn podeszła do samochodu z drugiej strony.

- A co potem, Scarlett O'Hara?

- Potem pojedziemy do Techwood Homes i przekonamy się, czy Miss Lula znalazła kogoś, kto widziałby Hanka Bennetta. - Amanda przekręciła kluczyk w stacyjce. - Przy okazji zapytamy, czy kiedykolwiek widziała takiego olbrzymiego faceta, który przywozi zupełnie niewychodzącym z domu staruszkom.

Evelyn zacisnęła palce na leżącej na kolanach torbie.

- Ulster przyznał, że jeździ tam i z powrotem do Techwood Homes. W poniedziałki i piątki. W te same dni znajdowano ofiary.

- Okłamał nas. - Amanda wyjechała na ulicę. - Jak mógł przeczytać rękopis Treya Callahana, skoro ledwie dał radę odcyfrować nazwisko w prawie jazdy?

- Też to zauważyłaś? - zapytała Evelyn. - Ale facet nie wygląda na opóźnionego.

- Może zwyczajnie ma kłopoty z czytaniem.

- Butch powiedział, że paskudzimy mu jego kontakty z informatorem. Jak myślisz, czy to chodziło o Ulstera?

A może to ojciec Bailey? Zastanawiam się, dokąd ten cwaniak dał nogę. Zamknąć tamte dziewczyny na noc. To normalne Triangle

Shirtwaist Factory*. Byłaś tam kiedyś?

** Triangle Shirtwaist Factory - nowojorska szwalnia, w której w 1911 roku wybuchł ogromny pożar - była to największa przed rokiem 2001 katastrofa Nowego Jorku; zginęło wówczas 146 osób, głównie młodych imigrantek.*

- Odnoszę wrażenie, że Ulster chciał zrobić w tę sprawę Treya Callahana. Ten cytat z Ofelii. Ta uwaga o jego gwałtownym charakterze.

- Także zwróciłaś na to uwagę? - Evelyn oparła łokieć na drzwiach.
- Wiem, że wszyscy jesteśmy chrześcijanami, ale zdecydowanie nie odpowiada mi sposób, w jaki Ulster wykorzystuje wiarę. Zupełnie jakby ona czyniła go lepszym od wszystkich innych. Zauważyłaś, jak o tym mówił?

Amanda była absolutnie pewna jednego.

- Moim zdaniem James Ulster jest najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałam. Wyczuwam w nim jakieś zło.

- Właśnie - zgodziła się Evelyn. - Czy widziałaś te jego wielkie łapska?

Amanda poczuła nieprzyjemne drżenie, wędrujące po kręgosłupie.

- Ktoś wysoko postawiony działa przeciwko nam.

- Wiem - wymamrotała Amanda.

- Butch ma znajomości, ale nie jest na tyle dobrze ustawiony, żeby załatwić nasze przeniesienie. To musi być ktoś, kto wie, że wczoraj rozmawiałaś w więzieniu z Juicem. I kto wie, że dzisiaj widziałyśmy się z Ulsterem. I że spotkałyśmy się z ojcem Baileyem i z Treyem Callahanem. A może to ja narobiłam szumu, sprawdzając DNF? - Zagryzła wargę. - Tak czy owak, to na tyle wkurzyło tego kogoś, że

zdecydował się ściągnąć nas z ulicy i z powrotem wsadzić do służby patrolowej.

- Wiem - powtórzyła Amanda.

Czekała, aż Evelyn powie coś jeszcze, ale koleżanka prawdopodobnie doszła do tego samego wniosku, co ona. Duke Wagner oficjalnie jeszcze nie wrócił do służby, ale już pociągał za sznurki.

Amanda zerknęła na zegarek. Kwadrans po dwudziestej. Nocna pora nie przyniosła odpoczynku od letniego upału. Jeśli cokolwiek się zmieniało, to wilgotność powietrza, która pokazywała, co potrafi. Amanda miała wrażenie, że poci się nawet jej pot. Komary krążyły nad jej głową, kiedy stała przed budką telefoniczną na rogu Juniper i Pine. Zostawiła otwarte drzwi, żeby światło się nie włączyło. Trzymana między palcami moneta wydawała się zapaćkana tłuszczem. Wsunęła ją w szczelinę aparatu i wybrała numer telefonu ojca.

Rozstała się z Dukiem zaledwie przed piętnastoma minutami. Wcześniej przygotowała mu kolację, słuchając jednym uchem, jak relacjonował nowiny z dzisiejszego dnia i opowiadał o najnowszych ustaleniach w jego sprawie. Było tylko kwestią czasu, kiedy Duke wróci na dawne stanowisko. Tylko kwestią czasu, kiedy owinie sobie Amandę z powrotem wokół palca. Teraz musiała jedynie kiwać głową; przytakiwała, obserwując go jak jadł kolację i zabierając się do zmywania naczyń. Czuła, jak ogarnia ją przytłaczający smutek. Za każdym razem, gdy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, od razu je zamykała - z obawy, że się rozplacze.

Duke odebrał telefon po pierwszym sygnale. Mówił trochę ochrypłym głosem, prawdopodobnie z powodu zbyt wielu poobiednich papierosów.

- Halo?

- Tatusiu, to ja.

- Jesteś w domu?

- Nie, tato.

Odczekał chwilę i dopiero wtedy zadał następne pytanie.

- Samochód się zepsuł?

- Nie, tato.

Usłyszała, jak skrzypi oparcie fotela.

- O co chodzi? Zauważyłem, że coś nie daje ci spokoju. Przez cały wieczór byłaś posępna jak chmura gradowa.

Amanda kątem oka ujrzała swoje odbicie w chromowej obudowie aparatu. Miała dwadzieścia pięć lat. W zeszły weekend po raz pierwszy zdarzyło jej się dotknąć osoby, która już nie żyła. Wczoraj rano miała okazję przyjrzeć się z bliska prawdziwemu alfonsowi. Zeszłej nocy pomagała przeprowadzić sekcję martwej dziewczyny. Potrafiła na ulicy przeciwstawić się wściekłości Butcha Bonniego. Z pewnością stać ją było na to, żeby szczerze porozmawiać z własnym ojcem.

- Dlaczego kazałeś z powrotem przenieść mnie do służby w patrolu? - spytała spokojnie.

- Co takiego? - Wydawał się autentycznie zdziwiony. - Nigdzie nie kazałem cię przenosić. Do diabła, kto podjął taką decyzję?

Usłyszała szelest papieru, a potem kliknięcie długopisu.

- Podaj mi nazwisko tego dupka. Pogadam z nim o tym transferze.

- Więc to nie była twoja decyzja?

- Po cholere miałbym cię przenosić, skoro za niespełna miesiąc będę z powrotem w moim dawnym oddziale?

Miał rację. Co więcej, jeśli Duke był z kogoś niezadowolony, zwykle mówił mu o tym prosto w twarz.

- Wracam do patrolu, zaczynam od jutra. - Amanda już wcześniej zadzwoniła do dyspozytorni, żeby przekonać się, czy to prawda. - Razem z Evelyn Mitchell.

- Mitchell? - Duke wyraźnie zmienił ton. - A co ty masz wspólnego z tą cipą? Mówiłem, żebyś trzymała się od niej z daleka.

- Wiem, że mówiłeś, ale razem pracujemy nad pewną sprawą.

- Jaką znów sprawą? - parsknął.

- Zostały zamordowane dwie dziewczyny. Białe dziewczyny - dodała szybko. - Obie mieszkały w Techwood Homes.

- Pewnie obie były kurwami, jak sądzę?

- Owszem.

Przez chwilę nie mówił ani słowa. Wyraźnie musiał sobie coś przemyśleć.

- Czy to ma coś wspólnego z tym czarnuchem, który został oskarżony o zamordowanie białej dziewczyny?

- Tak, tato.

Rozległo się pstryknięcie zapalniczką, a potem świst powietrza, gdy Duke z płuc wypuścił dym.

- I właśnie z tej przyczyny wczoraj rano zjawiłaś się w więzieniu?

Amanda nie mogła przełknąć śliny, bo przeszkadzał jej w tym kłęb waty w gardle. Widziała, jak dotychczasowe życie zaczyna się rozpadać tuż przed jej oczyma. Jej mieszkanie. Jej praca. Jej wolność.

- Słyszałem, że wdeptałaś go wzrokiem w glebę. I że kazałaś zamknąć się z tym czarnuchem sam na sam - powiedział.

Amanda nie odpowiedziała. Dopiero słysząc o tym z ust Duke'a, zdała sobie sprawę, jak była szalona. I jak głupia. Miała szczęście, że uszła z tego z życiem.

- Bałaś się? - zapytał.

Wiedziała, że natychmiast rozpozna kłamstwo.

- Byłam przerażona.

- Ale nie pozwoliłaś, żeby zobaczył twój strach?

- Nie.

Usłyszała, jak znowu zaciąga się dymem.

- Przypuszczam, że będziesz do późna włóczyć się po mieście?

- Ja...

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała w dół ulicy. Wiszący na niebie księżyc był prawie w pełni. Czarny, drewniany krzyż rzucał posępny cień na chodnik przed wejściem do kuchni z zupami.

- Mamy zamiar prowadzić inwigilację naszego potencjalnego podejrzanego.

- My?

Pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

- Jakie macie dowody, że to on?

- Żadnych - przyznała. - Po prostu... - Rozpaczliwie szukała w myślach bardziej odpowiedniego określenia.

- Nie nazywaj tego w ten sposób - zarządził. - Lepiej mówić, że to przecucie. Ze masz je w bebechach, a nie między nogami.

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc mruknęła krótkie „w porządku”.

Zakasłał kilka razy.

- To śledztwo, w które zaczęłyście się mieszać, oficjalnie należy do Ricka Landry'ego, tak?

- Tak jest, sir.

- Nie wierzę, że ten idiota potrafiłby znaleźć w śnieżnej zamieci własną dupę. - Chichot Duke'a po chwili zamienił się w ostry kaszel.

- Jeśli tak późno jesteś poza domem, to oznacza, że będziesz potrzebowała się wyspać. Jutro rano sam sobie zrobię śniadanie.

Kliknięcie rozbrzmiało prosto w jej uchu. Amanda w osłupieniu gapiała się na słuchawkę, jakby ten kawałek plastiku mógł jej wytłumaczyć, co przed chwilą zaszło. Nie podniosła wzroku, aż do momentu, gdy błysnęła para reflektorów, żeby zwrócić jej uwagę.

Należące do Evelyn kombi falcon pachniało w środku cukierkami i tanim winem. Evelyn uśmiechnęła się do Amandy, gdy ta sadowiła się na fotelu pasażera.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Tak. Jestem tylko cholernie zdziwiona.

W paru słowach streściła Evelyn swoją rozmowę z ojcem.

- No cóż. - Evelyn sprawiała wrażenie wyjątkowo rozważnej. - Uważasz, że powiedział ci prawdę?

- Tak.

Duke miał mnóstwo wad, ale z pewnością nie był kłamcą.

- W takim razie musiał mówić prawdę.

Amanda całkowicie zdawała sobie sprawę, że Evelyn nigdy nie zaufała by Duke'owi. I doskonale rozumiała, dlaczego tak jest. Z jej punktu widzenia, Duke ulepiony był z tej samej gliny co Rick Landry i Butch Bonnie. Zresztą może tak było, ale dla Amandy wciąż był przede wszystkim ojcem.

Evelyn wpatrywała się w głąb ulicy, w kierunku znajdującej się tam kuchni z zupami.

- Czy Ulster nadal siedzi w środku?

- Sprząta.

Amanda wcześniej przeszła obok budynku i zobaczyła, jak James Ulster podnosi ze stołu wielki gar. Był zwrócony do niej plecami, ale i tak przyspieszyła kroku.

- Z drugiej strony domu stoi zielony van. Sprawdziłam tablice rejestracyjne - został zarejestrowany na kościół. Na przednim siedzeniu leżą jakieś religijne traktaty, a na tablicy rozdzielczej egzemplarz Biblii. Z tyłu znajduje się kilka drewnianych skrzyń i parę zwojów sznura. Pewnie używa ich do zabezpieczenia garnków, żeby zupa mu się nie rozlewała.

- Rozwozi jedzenie potrzebującym... Według mnie zachowuje się jak typowy seryjny morderca.

- Na pewno potrafisz podać jakiś przykład.

Ale Evelyn nie była w nastroju do żartów.

- Jadąc tam, w pewnym sensie czułam się tak, jakbym jechała na własny pogrzeb. - Skrzyżowała ręce na brzuchu. - To nasz ostatni dzień w pracy albo przynajmniej w tej prawdziwej pracy. Nie sądzę, żebyśmy zdołała wbić się w swój dawny mundur. Myślałam, że te rzeczy odeszły do lamusa.

Amanda nie chciała rozmawiać na ten temat.

- Dodzwoniłaś się do Georgia Baptist?

- Tak. Narzeczona Callahana nazywa się Eileen Sap- person. Dziś rano nie zjawiała się w pracy. Nie podała domowego telefonu ani adresu. Następne magiczne zniknięcie Douga Henninga*.

** Doug Henning - kanadyjski magik, iluzjonista.*

- Kolejna ślepa uliczka - zauważyła Amanda.

Miss Lula nie zdołała znaleźć w Techwood Homes nikogo, kto pamiętałby człowieka odpowiadającego rysopisowi Hanka Bennetta, a choć wiele osób kojarzyło potężną sylwetkę Ulstera, nikt nigdy nie widział, żeby sprawiał jakiegokolwiek kłopoty. Zresztą trudno

przypuszczać, by narobił sobie wrogów pośród ludzi, którym przywoził gorący posiłek.

- James Ulster jest w Techwood Homes w każdy poniedziałek i piątek, czyli w te same dni, kiedy znaleziono ofiary - powiedziała Evelyn.

- Bywa tu tak często, że jego obecność nie zwraca niczyjej uwagi - dodała Amanda. - No cóż, przynajmniej znał Kitty. I wiedział wystarczająco dużo o Mary Halston, żeby powiedzieć, że Trey Callahan miał do niej słabość. Przypuszczalnie znał także Lucy Bennett.

- Jest jedyną osobą, która twierdzi, że ostatnio widziała te dziewczyny przy życiu. Jane Delray, Hank Bennett, Trey Callahan, Juice - wszyscy oni mówili, że tamte trzy dziewczyny zaginęły przynajmniej rok temu.

- Może to Ulster jest informatorem Butcha? Mógł twierdzić, że Lucy Bennett nie żyje, żeby jej brat przestał jej szukać.

- Czy brat tak naprawdę jej szukał? - zapytała Evelyn. - Z tego, co wiemy, przestał natychmiast, gdy udało mu się namierzyć Kitty. Ale nic nie tłumaczy tego, dlaczego Hodge w ogóle nas tam wysłał. Albo kto załatwił nasze przeniesienie, jeśli faktycznie nie był to twój ojciec. Niczego to nie wyjaśnia.

Amanda nie mogła znieść myśli, że znowu wracają do punktu wyjścia. Nieważne, jak często omawiały tę sprawę, wyglądało na to, że łamigłówka z tekturowych kart nigdy nie zostanie ukończona. Evelyn miała rodzinę, do której mogła wrócić. Amanda miała robotę w szkole i pracę do napisania. Tak naprawdę nigdy nie zostały wyznaczone do prowadzenia tej sprawy, a jutro waga ich słów będzie nie większa niż gromady rozwrzeszczanych nastolatków.

- Tak sobie myślałam, co by się stało, gdybym naprawdę złożyła pozew o dyskryminację ze względu na płeć? - Evelyn oparła rękę na kierownicy. - Co oni by zrobili? Prawo jest po mojej stronie. Butch miał rację. Nie możemy wciąż tylko grozić i nic więcej. Wtedy groźba traci moc.

- W życiu nie doczekasz się awansu. Wepchną cię do portu lotniczego, co jest tylko odrobinę bardziej upokarzające niż chodzenie w patrolu. - Amanda czuła potrzebę, żeby powiedzieć to Evelyn. - Ale ja będę twoim świadkiem. Widziałam, co zrobił Rick. I co zrobił Butch. Żaden z nich nie miał prawa tak się zachować.

- Och, Mandy, jesteś prawdziwą przyjaciółką. - Evelyn wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń Amandy. - Dzięki tobie ten dumny zawód stał się prawie do zniesienia.

Amanda spojrzała w dół, na ich złączone ręce. Dłonie Evelyn wyglądały o wiele bardziej elegancko niż jej własne.

- Nigdy wcześniej nie mówiłaś do mnie „Mandy”.

- Bo wydawało mi się, że to do ciebie nie pasuje.

Amanda nadal miała wrażenie, że nie pasuje. No bo czy jakaś Mandy odważyłaby się iść do więzienia i tam wdeptać w glebę pewnego alfonsa? Czy zdołałaby stawić czoło tyranom i obrzucić ich obelgami?

- Wiesz, tak strasznie się ciebie bałam, kiedy Hodge na początku postanowił wysłać nas do tamtego zgłoszenia. - przyznała Evelyn.

Amanda nie musiała pytać dlaczego. Jeśli ten tydzień cokolwiek ją nauczył, to tego, że nazwisko Wagner nie jest żadnym atutem, jak niegdyś uważała.

- Ale potem okazało się, że jesteś świetną babką - mówiła dalej Evelyn. - Jeśli z tej sprawy wyniknęło cokolwiek dobrego, to tym czymś jest nasza przyjaźń.

Amanda przez cały wieczór walczyła ze łzami. Teraz zdołała jedynie skinąć głową.

Evelyn puściła jej rękę, ale wcześniej serdecznie ją uścisnęła.

- Nie mam zbyt wielu przyjaciółek. Prawdę mówiąc, w ogóle ich nie mam.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Och, kiedyś miałam ich mnóstwo. - Wczepiła palce we włosy. - Bill i ja chodziliśmy na imprezy w każdy weekend. Na dwie albo trzy, czasami na cztery. - Westchnęła przeciągle. - Wszyscy uważali, że wstąpiłam do służby, żeby zadać czadu, ale potem spostrzegli, że nie mam zamiaru rezygnować... I nagle okazało się, że nie mamy już o czym rozmawiać. Nie chciałam wymieniać się przepisami ani piec ciasteczek na dobroczynne wenty. Z kolei oni nie mogli zrozumieć, dlaczego chcę wykonywać robotę przeznaczoną dla facetów.

Powinnaś usłyszeć, co na ten temat mówiła moja teściowa. - Zaśmiała się smutno. - Ta praca zmienia człowieka. Zmienia sposób myślenia, sposób postrzegania świata. Nie interesuje nas, co mówią chłopcy. Jesteśmy gliniarzami. Żyjemy tym i oddychamy tak samo jak oni.

- Nie widziałas w pobliżu Butcha ani Landry'ego?

- Nie, o tej porze pewnie są w domu, ze swoimi rodzinami.

Amanda szczerze wątpiła.

- Raczej z kochankami. To bardziej prawdopodobne.

- Hej, to on!

Obie w tej samej chwili zobaczyły Ulstera, który zamykał drzwi. Ciemność nie była dla niego osłoną. Nawet po zmroku jego potężna sylwetka robiła wrażenie. Amanda nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo, kto byłby w stanie podjąć walkę z tak czystą siłą fizyczną.

Rozejrzał się po ulicy. Amanda i Evelyn natychmiast dały nura, ale Ulster chyba w ogóle nie zwrócił uwagi na czerwone kombi, a jeśli

nawet zwrócił, to nie wzbudziło w nim większych podejrzeń. Zresztą samochód zarzucony dziecięcymi zabawkami i pobrudzony kredkami wtartymi w tapicerkę był idealną kryjówką.

Amanda wstrzymała oddech, czekając aż Ulster znowu się pojawi. Czas wydawał się ciągnąć godzinami, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka minut.

- Jest - wyszeptała w końcu Evelyn.

Zielony van skręcił w Juniper. Siedziały skulone aż do chwili, gdy minął ich samochód Ulstera. Wtedy Evelyn przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zakrzuszył się, ale zapalił. Przekręciła gałkę, żeby mieć pewność, że reflektory są wyłączone, a następnie wystawiła nos na ulicę i gładko wjechała na przeciwny pas ruchu.

- Coraz lepiej ci to idzie - pochwaliła ją Amanda.

- Ostatnie hurra - zamruczała w odpowiedzi.

Na Juniper nie było lamp. Blask księżycy wystarczał, żeby powoli posuwać się naprzód.

Ulster skręcił w lewo w Piedmont Avenue, żeby następnie zagłębić się w Bedford Pine. Samochód wypełnił się smrodem z Buttermilk Bottom, ale mimo to nie zamknęły okien.

- Dokąd on jedzie? - mruknęła Evelyn.

Amanda potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia.

Van w ostatniej chwili zahamował, ostro skręcając w Ralph McGill.

- Pojedź skrótem do Courtland - poleciła Amanda.

Evelyn musiała się cofnąć, żeby wykonać skręt.

- Myślisz, że nas zauważył?

- Nie wiem. - Ostatecznie jechały z wyłączonymi reflektorami, wewnątrz auta było pogrążone w ciemności. - Może po prostu jest ostrożny.

- Dlaczego miałyby być ostrożny? - Evelyn zassała powietrze. W dali ukazał się zielony van. - Jest!

Jechały jego śladem wzdłuż Courtland. Droga była prosta jak strzelił i Evelyn musiała trzymać się z tyłu w odległości przynajmniej stu metrów. Kiedy van skręcił w Pine, światła Crawford Long Hospital omiotły wnętrze auta i dziewczyny zobaczyły łatwą do rozpoznania, potężną sylwetkę. Evelyn zwolniła, zerkając w głąb ulicy, zanim skręciła, żeby jechać w ślad za vanem. Blask świateł z drogi ekspresowej znacznie utrudniał jej zadanie. W końcu Ulster skręcił w Spring Street.

- Evelyn... - powiedziała Amanda.

- Wiem.

Evelyn jechała za nim wzdłuż North Avenue. Obok Varsity. Nad drogą ekspresową. Bez wątpienia Ulster kierował się do Techwood.

- Wyjmij moje radio - mruknęła.

Amanda po omacku znalazła na tylnym siedzeniu torebkę Evelyn. Dłonią poczuła zimną stal rewolweru.

Podąła broń Evelyn, która trzymając jedną ręką kierownicę, wsunęła rewolwer pod nogę.

Amanda kliknięciem włączyła radio.

- Dyspozytor?

Nie było odpowiedzi.

- Dyspozytor, tu zespół numer szesnaście. Odbiór.

Radio kliknęło.

- Zespół dwadzieścia trzy do zespołu szesnaście - odezwał się męski głos. - Co tam, dziewczyny? Potrzebujecie pomocy?

Amanda ścisnęła radio w rękę. Wywoływała dyspozytora, a nie jakiegoś dowcipnisa z patrolu.

- Zespół szesnaście? - spytał mężczyzna. - Jaka jest wasza lokalizacja?

- Techwood Homes - powiedziała Amanda przez zaciśnięte zęby.

- Powtórz, proszę.

Amanda wyraźnie wymówiła poszczególne słowa.

- Techwood-Homes.

- Zrozumiałem. Perry Homes.

- Chryste - syknęła Evelyn. - On myśli, że to żart.

Amanda chwyciła radio tak mocno, jak tylko zdołała, marząc o tym, by roztrzaskać je na głowie tamtego durnia. Położyła palec na przycisku, ale nie mogła się zmusić, żeby go nacisnąć.

- Amando - wymamrotała Evelyn. W jej głosie zabrzmiał ton ostrzeżenia. Jadący przez nimi zielony van nie zwolnił, żeby skrócić w Techwood Drive. Zamiast tego jechał prosto, w samo serce getta.

- To nie wróży niczego dobrego - mruknęła Evelyn. - Ten facet nie ma powodu, żeby tu się włóczyć.

Amanda nawet nie zadała sobie trudu, żeby głośno wyrazić aprobatę. Znajdowały się teraz w części miasta, do której po zmroku nikt chętnie nie zaglądał - nieważne, czarny czy biały, policjant czy kryminalista.

Van znowu skręcił. Evelyn zwolniła, ostrożnie biorąc zakręt, żeby upewnić się, czy nie zostały wprowadzone w pułapkę. Przed sobą widziały łagodny poblask tylnych świateł vana. Ulster doskonale wiedział, dokąd zmierza. Każdy jego ruch był celowy i wyważony.

Amanda znowu spróbowała użyć radia.

- Dyspozytor, zespół szesnaście jedzie na północ Cherry.

- znowu odezwał się facet z zespołu dwadzieścia trzy.

- Szesnastka, co jest? Chcecie, żebym spróbował waszych wisienek?

Rozległo się klikanie, kiedy radio zostało zablokowane.

W pogawędkę wdarł się głos dyspozytora.

- Dziesięć trzydzieści cztery, do wszystkich jednostek. Szesnaście, powtórzcie wasze dziesięć dwadzieścia.

- To Rachel Foster - zawołała Evelyn.

Kobieta w dyspozytorni była jedyną osobą, która mogła przerwać ten stek bzdur. Evelyn chwyciła radio.

- Tu szesnastka, jedziemy na północ Cherry. Przymuszczalnie trzydzieści cztery zielony dodge van. Tablice rejestracyjne z Georgii... - zmrużyła oczy, żeby dojrzeć litery. - Charlie, Victor, William, osiem, osiem, osiem.

- Szesnastka, czy potwierdzasz dziesięć dwadzieścia? - zapytała Rachel.

Amanda wzięła radio, żeby Evelyn mogła trzymać obie ręce na kierownicy.

- Potwierdzam Cherry Street. Kierunek na północ.

- Robisz sobie ze mnie jaja? - odezwała się Rachel oschłym tonem. Znała ulice w Atlancie znacznie lepiej niż większość gliniarzy. - Szesnaście?

W samochodzie zapadła cisza. Obie gapiły się na zielonego vana, który zapuszczał się coraz dalej w głąb getta. Czyżby Ulster prowadził je prosto w pułapkę?

- Szesnaście? - powtórzyła Rachel.

Amanda zabrała głos.

- Potwierdzam kierunek na północ Cherry Street.

Przez parę sekund słychać było tylko szum. W końcu usłyszały głos Rachel.

- Dajcie mi pięć minut. Uważajcie na położenie. Powtarzam, uważajcie.

Amanda położyła radio na kolanach. Evelyn prowadziła.

- Dlaczego zgłosiłaś, że być może ten van został skradziony? - spytała Amanda.

- Bo wszystko, czego teraz nam trzeba, to żeby ten kowboj z jednostki dwadzieścia trzy, kimkolwiek on jest, przygnał tutaj na kogucie i przy wyciu syren.

- Może to wcale nie byłoby takie złe rozwiązanie - mruknęła Amanda.

Nigdy nie była w tej części miasta i szczerze wątpiła, czy jakakolwiek biała kobieta miała dość odwagi, żeby tu się wybrać. Na domach brakowało tabliczek z nazwami ulic. Z wnętrza domów znajdujących się po obu stronach drogi, nie padała ani odrobina światła. Nawet księżyc wydawał się świecić mniej jasnym blaskiem.

Van znów skręcił w lewo. Powietrze wydawało się zbyt gęste, by swobodnie nim oddychać i Amanda musiała nabierać oddech przez usta. Po obu stronach jezdni parkowały stare, zdezelowane graty. Gdyby Evelyn chciała śledzić Ulstera, w żaden sposób nie mogłaby ukryć przed nim swojego auta. Jednak nie musiała tego robić. Czerwone światła zamigotały, kiedy van zwolnił przed domkiem z oszalanymi ścianami. Podobnie jak w sąsiednich domach, nie paliło się tam żadne światło. W tej dzielnicy miasta elektryczność była luksusem.

- Czy to wszystko są pustostany? - spytała Evelyn, mając na myśli pogrążone w ciemności budynki. Niektóre były zabite deskami, a inne tak zrujnowane, że dachy pozapadały się do środka.

- Trudno powiedzieć.

Obie siedziały w samochodzie i żadna nie miała pojęcia, co powinny teraz zrobić. Nie mogły tak po prostu rozwalić kopniakami drzwi i wtargnąć do środka, strzelając z rewolwerów.

- Do tej pory Rachel powinna już była się odezwać - mruknęła w końcu Amanda.

Evelyn wciąż trzymała ręce zaciśnięte na kierownicy. Obie jak urzeczone wpatrywały się w dom Ulstera. W jednym z tylnych pokoiów pojawiło się wątłe światło, rzucając wąziutką srebrną wstążkę na przednią szybę stojącego na podjeździe vana.

Głos Evelyn był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Czy pomyślałabyś, że jestem tchórzem, gdybym powiedziała, że powinnyśmy wezwać jednostkę dwadzieścia trzy?

Amanda właśnie zastanawiała się, jak zadać to samo pytanie.

- Mógłby powiedzieć Ulsterowi, że zgłoszono kradzież tego vana.

- I poprosić, czy nie mógłby rzucić okiem na wnętrze domu.

I zarobić strzał prosto w twarz. Albo w pierś. Albo cios pięścią. Albo uderzenie nożem. Albo pobicie.

- Zrób to - zdecydowała Evelyn.

Amanda wcisnęła przycisk w radiu.

- Dwadzieścia trzy? - spytała, ale odpowiedział jej tylko monotony szum. Nawet kliknięcia ucichły. - Dyspozytornia?

- Psiakrew - zaklęła Evelyn. - Pewnie wjechałyśmy w jakąś dziurę.

W całym mieście pełno było takich martwych punktów, gdzie nie docierały fale radiowe. Evelyn wrzuciła wsteczny.

- W poprzednim kwartale miałyśmy zasięg, więc możemy...

Powietrze przeszył przenikliwy krzyk. Dziki, budzący przerażenie. Amanda skuliła się, a jej ciało momentalnie pokryło się zimnym potem. Instynktownie napięła wszystkie mięśnie. Ten dźwięk wyzwolił w niej pierwotną potrzebę ucieczki.

- Mój Boże - wysapała Evelyn. - Czy to było jakieś zwierzę?

Amandzie echo tamtego głosu wciąż pobrzmiwało w uszach. Nigdy w życiu nie słyszała niczego równie przerażającego.

Nagle radio ożyło.

- Szesnaście? Tu dwadzieścia trzy. No i jak, zastanowiliście się nad moją propozycją?

- Dzięki Bogu - odetchnęła Evelyn, ale nie zdążyła powiedzieć niczego więcej.

Następny krzyk był jak nóż, który wbił się prosto w serce Amandy. To nie był głos zwierzęcia. To był rozpaczliwy krzyk jakiejś kobiety, która błagała o pomoc.

Radio zatrzeszczało.

- Szesnaście? Co to było, do diabła?

Torebka Amandy leżała na podłodze. Złapała ją i bez namysłu wyszarpnęła ze środka rewolwer, a potem chwyciła klamkę u drzwi.

Stopa Evelyn ześlizgnęła się z hamulca.

- Co ty wyrabiasz?

- Zatrzymaj samochód! - Auto toczyło się do tyłu. - Zatrzymaj go!

- Amanda, nie możesz przecież...

Kobieta znowu krzyknęła.

Amanda popchnęła drzwi, otwierając je na oścież. Wysiadając, straciła równowagę i zahaczyła kolaniem o asfalt, rozdzierając pończochy. Nie chciała się zatrzymać. Nie mogła się zatrzymać.

- Ściągnij tu dwadzieścia trzy. Ściągnij każdego, kogo zdołasz.

Evelyn krzyknęła, żeby poczekała, ale Amanda zrzuciła pantofle i boso popędziła przed siebie.

Kobieta znów krzyknęła. Była w środku, w domu Ulstera.

Biegając w dół ulicy, Amanda zacisnęła mocniej palce na rękojeści rewolweru. Mocno pracowała rękoma, a jej pole widzenia zawężyło się do tego, co znajdowało się przed nią. Poślizgnęła się, skręcając na podjazd prowadzący do domu Ulstera. Pończochy zwinęły się w

kłębki, pętające się gdzieś przy kostkach. Zwolniła. Frontowe drzwi były zamknięte. Jedyna smuga światła wiodła na tyły domu.

Amanda próbowała uspokoić oddech; trzymała otwarte usta, starając się nabierać powietrze wielkimi haustami. Przepięła się obok vana i przykucnęła, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć. Bryła domu zasłaniała całe światło księżycy, pogrążając wszystko w cieniu. Amanda skierowała rewolwer prosto przed siebie i położyła palce na spuście - nie z boku, tak jak ją uczono - ponieważ zamierzała zastrzelić każdego, kto stanie jej na drodze.

Krzyk znów przeszył powietrze. Tym razem nie był wyjątkowo głośny, ale jeszcze bardziej rozpaczliwy niż przedtem. Bardziej przerażający.

Amanda uzbroidła się w odwagę, podchodząc do otwartego okna. Światło sączyło się zza ciężkich, czarnych zasłon. Teraz słyszała kobiecy jęk, który wyrywał się przy każdym oddechu. Jęk, który przypominał miauczenie. Amanda ostrożnie spojrzała przez szparę między zasłonami. Ujrzała zlew. I łóżko. I siedzącą na łóżku kobietę. Jej blond włosy pokryte były smugami krwi. Wydawała się mocno wychudzona, jeśli nie liczyć jej wzdętego brzucha. Skóra na rękach i ramionach przypominała krwawą miazgę. Usta i powieki były rozdarte w miejscach, w których siłą rozerwała szwy. Każdy skrawek jej ciała poplamiony był krwią - twarz, szyja, piersi.

Dziewczyna znowu wrzasnęła, ale wcześniej do uszu Amandy doleciał inny dźwięk.

Szuranie butów po betonie.

Amanda rzuciła się do ucieczki, ale wielka dłoń zdołała ją pochwycić.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 23

LUCY BENNETT

Mogła swobodnie poruszać ramionami, ale jej to nie obchodziło.

Mogła poruszać rękoma, ale jej to nie obchodziło.

Jej talia, jej biodra - po raz pierwszy od roku były wolne.

Ale jej to nie obchodziło.

Nie mogło jej to obchodzić.

Teraz liczyło się jedynie dziecko, narodzone z wnętrza jej ciała.

Prześliczny mały chłopczyk. Miał dziesięć paluszków u rąk i dziesięć u nóg. I cudowne jasne włoski. I piękne małe usteczka.

Lucy przesunęła palcami po jego twarzy. Była pierwszą kobietą, która go dotyka. Pierwszą kobietą, która na widok tego stworzenia mogła otworzyć serce i poczuć niczym niezmaconą radość.

Wytarła śluz z jego noska i usteczek. Lekko oparła dłoń na małym ciałku, żeby poczuć bicie malutkiego serduszka. Pod palcami czuła trzepotanie, podobne do trzepotania skrzydeł motyla. Był taki śliczny. Taki malutki. Jak coś tak doskonałego mogło urosnąć w głębi jej ciała? Jak taka słodycz mogła narodzić się z czegoś, co było totalną ruiną?

- Umierasz.

Lucy poczuła, jak wyostrzają się jej zmysły.

Patty Hearst.

Ta druga dziewczyna. Ta kobieta z sąsiedniego pokoju.

Stała w progu, zbyt przerażona, żeby wejść do środka. Była w ubraniu. On pozwalał jej się ubrać. Pozwalał jej chodzić. Pozwalał robić wszystko, z wyjątkiem wchodzenia do pokoju Lucy. I nawet

teraz, kiedy były całkiem same, nie ośmieliła się wysunąć palców u stóp poza próg.

- Umierasz - powtórzyła kobieta.

Obie słyszały zamieszanie pod oknem. Wrzaski. Strzał z pistoletu. Wiedziały, że on zwycięży. Zawsze zwyciężał.

Niemowlę gaworzyło, kopiąc w powietrzu nóżkami.

Lucy spojrzała w dół, na swoje dziecko. Na swoje przepiękne niemowlę. Jej zbawienie. Jej odkupienie. Jediną dobrą rzeczą, jaka jej się w życiu przydarzyła.

Próbowała skoncentrować się na jego twarzyczce, na świetle, które tam i z powrotem przepływało między ich ciałami.

Nic innego nie miało znaczenia. Ani ból. Ani smród. Ani świszczący oddech, który wydobywał się z jej własnych ust.

Ani syk powietrza, wydobywający się z rany, z której sterczał nóż.

OBECNIE

ŚRODA

ROZDZIAŁ 24

Sarę obudził gorący oddech Betty. Pies leżał skulony przed nią na kanapie, z pyskiem oddalonym o zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Sara przeturlała nieduże zwierzę jak piekarz wyrabiający ciasto. Obroża zadźwięczała, pies ziewnął szeroko.

Ubranie Willa leżało rozrzucone na podłodze, ale jego nie było w pokoju. Sara uniosła rękę do twarzy, dotknęła ust, tak jak robił to Will, przesunęła dłonią po szyi. Usta bolały ją od jego pocałunków. Na samą myśl o tym po jej ciele przebiegały ciarki.

Wpadła po uszy. Być może wydarzyło się to już wtedy, kiedy Will zmywał naczynia w kuchni jej matki. Albo tamtego dnia w pracy, kiedy Sara czuła się tak okropnie, aż do chwili, kiedy delikatnie pogłaskał ją po dłoni. Albo minionego wieczoru, kiedy wpatrywał się w nią tak intensywnie, aż poczuła, że cała otwiera się dla niego.

Nieważne kiedy. Ważne, że możliwość stała się faktem. Sara głęboko i poważnie zakochała się w Willu Trencie. Nie można było tego cofnąć, nie dało się temu zaprzeczyć. Podczas gdy mózg szukał wymówek, serce prędko podjęło decyzję. Uświadomiła to sobie natychmiast, jak tylko zobaczyła go w miniony wieczór. Była gotowa uczynić wszystko, żeby go zatrzymać; zaakceptować jego tajemnice, tolerować milczenie, pogodzić się z istnieniem tej okropnej żony.

Przyczynić się do tego, żeby jego ojciec dostał wyrok śmierci.

Kiedy sprawa trafi na wokandę, Pete Hanson będzie już martwy. Sara zostanie powołana na świadka. To będzie poważna sprawa.

Dziewczyna została porwana i zamordowana, co w świetle przepisów prawa obowiązujących w stanie Georgia pozwalało wnioskować o najwyższy wymiar kary.

Ojciec Willa starannie oczyścił ciało Ashleigh Snyder, ale minione trzydzieści lat spędził za kratkami. Co prawda dzięki telewizji i kontaktom ze współwięźniami mógł śledzić rozwój technik kryminalistycznych, było jednak wysoce nieprawdopodobne, żeby słyszał o zabiegu zagęszczania włosów - zważywszy na jego zamiłowanie do igły i nici, można było uznać to za ironię losu.

Proces zagęszczania włosów trwał wiele godzin. Najpierw w istniejące włosy wplataną półkolem nowe, po czym, za pomocą cienkiej igły i nici, wszywano je w skórę na czaszce. Operację tę powtarzano co jakiś czas - ile razy, to zależało już tylko od tego, jaką ilością czasu i pieniędzy dysponowała dana kobieta. Zabieg nie należał do tanich. Naturalne włosy z czasem wypadały, nowe trzeba było zagęszczać co dwa tygodnie. Po każdej operacji zostawało mnóstwo mikroszwów. Zwykłe mycie szamponem nie mogło usunąć wszystkich śladów: zagłębień, rowków i bruzd w skórze.

Tam właśnie, pod włóknami nici, którymi wszyto nowe włosy, Sara odnalazła ślady nasienia. Kiedy nadejdzie właściwa pora, szczegółowo przedstawi sądowi swoje odkrycie, opisz technikę zagęszczania włosów i wyjaśni, dlaczego proteiny zawarte w nasieniu świecą w podczerwieni. Sędziemu nie pozostanie nic innego, jak tylko skazać oskarżonego na śmierć poprzez wykonanie zastrzyku z trucizny.

Westchnęła głęboko i spojrzała na zegar. Szósta trzydzieści rano. O siódmej powinna być w pracy. Założyła koszulę Willa i poszła do kuchni, zapinając ją po drodze.

Stał przy kuchence i smażył naleśniki.

- Głodna? - zapytał z uśmiechem.

- Bardzo.

Pocałowała go w kark. Miał ciepłą skórę. Z trudem powstrzymała chęć, żeby objąć go i wyznać mu miłość. Jego życie i bez tego było teraz wystarczająco skomplikowane. Mówiąc komuś, że się go kocha, oczekuje się, że w odpowiedzi usłyszysz się to samo.

- Wybacz, ale nie mam kawy.

Usiadła przy stole. Will nie pił kawy, tylko gorącą czekoladę, codziennie rano, a ponieważ zawierała za mało cukru, zwykle sięgał po napój gazowany.

- Później się napiję - odparła.

- Może masz ochotę na jajecznicę?

- Nie, dziękuję.

Potała twarz dłońmi. Jej mózg jeszcze się całkiem nie obudził, czuła jednak, że coś jest nie w porządku. Will był już gotowy do wyjścia, w granatowym garniturze i pod krawatem. Marynarkę powiesił na kuchennym krześle. Uczesał się i ogolił. Sprawiał wrażenie zadowolonego, co nie było niczym nadzwyczajnym, ale on był trochę zbyt zadowolony. Wręcz radosny. Nie mógł spokojnie ustać. Bez przerwy wystukiwał stopą jakiś rytm, a zsuwając naleśniki z patelni na talerz, bębnił palcami po blacie.

Sara z doświadczenia wiedziała, że w taki sposób zachowuje się zwykle ktoś, kto wreszcie podjął decyzję. Koniec z presją, już po wszystkim, wszystko gotowe, można zamknąć sprawę. Postawił przed nią talerz.

- Pani pozwoli...

I wtedy to poczuła: oliwa i kordyt. Na jego rękach, na stole.

- Dziękuję.

Wstała z krzesła, umyła ręce nad zlewozmywakiem. Teraz, kiedy oprzytomniała i zaczęła myśleć, zapach stał się jeszcze wyraźniejszy. Posprzątał po sobie, ale niezbyt dokładnie. Wytarła ręce w papierowy ręcznik. Otworzywszy szafkę z koszem na śmieci, zobaczyła w nim brudne, zaoliwione szmaty.

Zamknęła drzwiczki. Wychowywała się wśród broni, doskonale znała zapach oliwy do czyszczenia. Wiedziała, że Will trzyma w sejfie zapasowy pistolet. I wiedziała, jak wygląda mężczyzna, który właśnie podjął decyzję.

Odwróciła się.

Siedział przy stole, z widelcem w dłoni. Na talerz nalał sobie mnóstwo syropu.

- Przyniosłem z samochodu twoją torbę - powiedział z pełnymi ustami, równocześnie wskazując bagaż widelcem. - Przepraszam, że podarłem Ci sukienkę...

Oparła się o zlewozmywak.

- Pracujesz dzisiaj na lotnisku?

Skinął głową.

- Mogę pożyczyć twój samochód? Mój znów ma humory.

- Jasne.

Przy hotelu będą szukać samochodu Willa. W tej części miasta bmw Sary praktycznie nie rzucało się w oczy.

- Dzięki.

Ponownie załadował do ust ogromną porcję naleśników.

- A może zadzwoniłbyś i powiedział, że się źle czujesz? - zaproponowała.

Jego szczęka zaczęła się poruszać znacznie wolniej. Spojrzał jej w oczy.

- Chciałabym, żebyśmy gdzieś razem pojechali - wyjaśniła. - Moja kuzynka ma nad zatoką dom, moglibyśmy z niego skorzystać.

Wyjedźmy z miasta.

Przełknął.

- Brzmi interesująco.

- Zabierzemy psy i codziennie rano będziemy biegać z nimi po plaży. - Objęła go w pasie. - A potem wrócimy do łóżka. A potem zjemy lunch. A potem znowu do łóżka.

Obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.

- To naprawdę miła perspektywa.

- Więc to zrobimy. Teraz.

- W porządku. Tylko podrzucę cię do domu i załatwię parę spraw.

Przestała udawać.

- Nie pozwolę ci tego zrobić.

Opadł na krzesło. Nerwowa energia ulatniała się szybko. Sara niemal widziała, jak go opuszcza. Pozostały cierpienie i ból, które dzień wcześniej złamały jej serce.

- Will...

Odchrząknął. Chrząknięcie zamieniło się w kaszel. Z trudem powstrzymywał łzy.

- Była jeszcze studentką...

Przygryzła wargę.

- Szła na zajęcia, zobaczył ją, porwał i było po wszystkim. Po niej.

- Odłożył widelec. - Wiesz, co z nią zrobił. Widziałaś ją wczoraj. Tak samo postąpił z obiema...

Zabręczała jego komórka. Wyszarpnął ją z kieszeni.

- Zatrzymaliście go? - Wyraz jego twarzy powiedział jej wszystko.

- Gdzie? - Wysłuchał odpowiedzi, po czym rozłączył się. - Faith czeka przed domem.

- Co się stało? - zapytała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że to nie ma sensu. Znalaziono kolejne ciało. Zginął kolejny człowiek. Ojciec Willa zabił ponownie.

Wstał, zdjął marynarkę z oparcia krzesła. Nie patrzył na nią, ale ona i tak praktycznie słyszała jego myśli. Powinien był z tym skończyć. Jak tylko usłyszał, że jego ojciec jest na wolności, powinien był wziąć broń i pójść do hotelu.

- Amanda powiedziała, żebym zabrał cię ze sobą.

Nie zamierzała być ciężarem. Amanda już raz ją w to wciągnęła.

- A ty chcesz?

- Amanda chce.

- Nie obchodzi mnie Amanda. Chcę robić to, co jest najlepsze dla ciebie. I najłatwiejsze.

Zatrzymał się w drzwiach. Wyglądało na to, że zamierza powiedzieć coś ważnego, ale tylko schylił się po torbę.

Pospiesz się. Czekam za zewnątrz.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 25

James Ulster chwycił Amandę za kark. W jego uścisku poczuła się jak kociak. Ramiona opadły bezwładnie, palce stóp zawisły nad ziemią. Nagle przypomniała sobie o rewolwerze, który ścisnęła w dłoni.

Skierowała go w bok i nacisnęła spust: raz, drugi, trzeci. Szarpnęła się gwałtownie, ale jeszcze mocniej zacisnął palce. Wystrzeliła po raz czwarty. Ogień z lufy oparzył jej bok. Ulster wyrwał jej broń z ręki i stęknął, bo gorąca lufa przypiekła mu dłoń. Rewolwer z łoskotem upadł na ziemię.

Amanda wylądowała na kolanach, po omacku zaczęła szukać broni, lecz Ulster natychmiast pociągnął ją w górę za ramię. Wydawało jej się, że słyszy trzask pękającej kości. Znowu straciła grunt pod nogami, z taką siłą uderzając plecami w ścianę domu, że powietrze gwałtownie uszło jej z płuc. Wierzgała i drapała, czując jak palce Ulstera zaciskają się na jej szyi. Rozorała mu paznokciami skórę, a wtedy jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

Brakowało jej powietrza, coraz bardziej kręciło jej się w głowie.

- Puść ją! - wrzasnęła Evelyn. Dłoń z rewolwerem oparła na latarce. - Natychmiast!

Ulster nie posłuchał. Jeszcze mocniej zacisnął palce na szyi Amandy.

Evelyn nacisnęła spust. Uchwyt osłabł. Evelyn strzeliła ponownie. Pocisk trafił go w nogę. Wypuścił Amandę. Krwawił też z ramienia i boku, ale wciąż trzymał się na nogach.

- Nie ruszaj się! - rozkazała Evelyn, lecz Ulster jej nie posłuchał. Ruszył prosto na nią. Ponownie nacisnęła spust, ale tym razem

chybiła. Jednym uderzeniem wytrącił jej broń z ręki, zacisnął pięść, wziął zamach. Cofnęła się, ale nie dość szybko. Zahaczył kostkami palców o jej brodę. Osunęła się na podjazd.

- Nie! - krzyknęła Amanda.

Skoczyła mu na plecy i zakrzywionymi palcami sięgnęła do jego oczu. Zamiast obracać się na oślep, padł na kolana, po czym przewrócił się na wznak, miażdżąc ją swoim ciężarem. Nie była w stanie złapać oddechu, ale udało jej się otoczyć jego szyję ramieniem i zablokować uchwyt drugą ręką. Wielokrotnie widywała, jak to się robi, ale wtedy walka nie toczyła się na serio, a przeciwnik nie ważył ponad sto dwadzieścia kilogramów i nie robił wszystkiego, co w jego mocy, żeby uwolnić się z uchwytu. Ulster z dziecinną łatwością rozsunął jej ramiona. Ciężko upadła na plecy, uderzyła głową o betonową nawierzchnię podjazdu.

Kopała i krzyczała, ale jej ciosy nie robiły na nim żadnego wrażenia. Bez trudu przygwoździł ją do ziemi, przytrzymał jej szeroko rozłożone ręce, a następnie całym ciężarem ciała przycisnął do betonowej nawierzchni. Koszulkę miał poplamioną krwią, krew kapiała mu też z ust.

- Musisz się ukorzyć, siostró. - Przycisnął ją mocniej, nie mogła złapać tchu. - Okaż żal za grzechy.

- Dobrze... - wyszeptała Amanda. - Dobrze.

- Ojczenasz...

Wiła się rozpaczliwie, walcząc o powietrze.

- Ojcie nasz... - powtórzył, przyduszając ją jeszcze bardziej.

Żebra wbijały jej się w żołądek, czuła, jak coś rozrywa się w jej wnętrzu. Nie była już w stanie walczyć. Mogła tylko patrzeć w jego zimne, bezduszne oczy.

- Ojcie nasz... - rozpoczął po raz trzeci Modlitwę Pańską.

- Ojcie... - zdołała wycisnąć z siebie Amanda.

- Któryś jest w niebie...

- Któryś jest...

Zabrakło jej tchu w piersi.

- Któryś jest w niebie.

- Któ... - Spróbowała go odepchnąć, ale ważył tyle co góra. -

Proszę... - wydyszała. - Proszę!

Uniósł się odrobinę, tyle tylko, żeby mogła nabrać powietrza.

- Któryś jest...

- Któryś... - próbowała. - Któryś jest...

Poczuła, że jej ramiona próbują się poruszać niezależnie od jej woli.

W pierwszej chwili Ulster powstrzymał ją, ale szybko zrozumiał, o co chodzi. Ostrożnie cofnął się o centymetr, może dwa, umożliwiając jej wysunięcie obu rąk. Złożyła dłonie, splótła mocno palce. Wpatrywał się w nią z uwagą. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Zaczął się delikatnie kołysać, trąc krocem ojej podbrzusze. Była pewna, że za chwilę pęknie jej kość biodrowa. Pochylił się jeszcze bardziej. Chciał ją dobrze widzieć, chciał cieszyć się grymasem bólu na jej twarzy.

- Ojcie nasz... - szepnęła.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją, jakby była dzieckiem. - Któryś jest w niebie...

- Któryś jest w niebie.

Przerwała, by nabrać powietrza.

- Święć się...

Słowa same popłynęły z jej ust:

- Święć się imię Twoje.

- Przyjdź królestwo Twoje. - Pochylił się jeszcze bardziej, wpatrzony w jej twarz. - Przyjdź królestwo Twoje!

- Przyjdź...

Amanda nie dokończyła modlitwy. Z całej siły uderzyła złączonymi dłońmi w szyję napastnika. Rozległ się chrzęst i trzask, jakby złamał się patyk. Kość gnykowa. Tak jak uczył ją Pete.

Ulster runął na nią jak młot parowy. Amanda usiłowała go zepchnąć; jęczał, ale nawet nie drgnął. Był dla niej za ciężki. Musiała jak najprędzej wyczołgać się spod niego. Dusila się. Walczyła o to, żeby nie stracić przytomności, żeby nie zwymiotować, żeby się nie poddać.

Rozpaczliwie szukała dłońmi jakiegoś punktu zaczepienia, odpychała się stopami od gładkiego betonu. Przesuwała się powoli, z najwyższym trudem. Żołądek podszedł jej do gardła. Wreszcie odepchnęła się z całej siły i znalazła na wolności.

Evelyn wciąż była nieprzytomna. Rewolwer leżał w jej otwartej dłoni, latarka potoczyła się na bok. W chwili, kiedy Amanda sięgnęła po broń, Ulster niespodziewanie chwycił ją za kostkę i szarpnął. Kopnęła go z całej siły. Poczula, że trafiła obcasem w nos, że mu go złamała. Zwolnił uchwyt. Próbowwała uciec na czworaka, zerwać się na nogi, ale on złapał ją ponownie, tym razem w pasie. Gwałtownie odchyliła głowę do tyłu, licząc na to, że trafi w złamany nos. Udało się. Wypuścił ją z objęć, a ona odwróciła się błyskawicznie i z całej siły uderzyła go łokciem w szyję.

Rozległ się trzask, głośny jak wystrzał.

Ulster podniósł ręce do szyi. Powietrze ze świstem wydobywało się z jego ust. Amanda powtórzyła uderzenie. Kolejny trzask. Znowu się udało. Ulster upadł na bok, przewrócił się na wznak, wciągając powietrze ze świstem. Amanda z trudem wstała. Miała zdrętwiałe ramiona, łomotało jej w głowie, bolała ją klatka piersiowa, szyja, wszystko. Musiała oprzeć się o furgonetkę, żeby nie upaść.

Ulster wydał bulgoczący odgłos. Z ust i nosa sączyła się krew.

Amanda oparła bosą stopę na jego szyi. Poczwała to, o czym mówił Pete: bańki rozbijające się o podeszwę stopy. Przeniosła ciężar ciała na tę nogę. Widząc, jak oczy Ulstera rozszerzają się z przerażenia, zastanawiała się, czy jej oczy czyniły to samo, kiedy niedawno dusiła się pod jego ciężarem.

- Mandy... - wymamrotała Evelyn i podniosła się powoli.

Miała rozciętą wargę. Uniosła rękę do twarzy, ale i tak doskonale było widać potężną opuchliznę na szczęce.

- Hej! - Zza furgonetki wybiegł mundurowy i stanął jak wryty na widok sceny, jaka ukazała się jego oczom. - Jezu Chryste! - W dłoni trzymał rewolwer, ale lufa była skierowana ku ziemi. - Co żeście narobiły, do kurwy nędzy?

- Amanda... - Evelyn mówiła, prawie nie otwierając ust, jakby każde słowo sprawiało jej ból. - Dziewczyna.

OBECNIE

ŚRODA

ROZDZIAŁ 26

Wozy transmisyjne i reporterzy uwijali się jak mrówki na zewnętrznym parkingu przed „Four Seasons”. To był nie tylko hotel. Biura na wyższych piętrach wynajmowali drodzy prawnicy i bogaci menedżerowie, apartamenty mieszkalne należały do znanych ludzi: słynnych raperów, prezenterów telewizyjnych, żądnych sławy gwiazdek.

Taśmę ogradzającą miejsce przestępstwa rozpięto wzdłuż marmurowej fontanny od Czternastej Ulicy. Ktoś zauważył, że w samochodzie Faith jest włączony kierunkowskaz. Reporterzy parli naprzód. Nawet przez zamknięte okna Will słyszał wykrzykiwane przez nich pytania: Co się stało? Dlaczego pan tu jest? Może nam pan powiedzieć, kim jest ofiara?

Wkrótce dowiedzą się wszystkiego. Kobieta zamordowana w pokoju luksusowego hotelu. Zabójca na zwolnieniu warunkowym. Ta zbrodnia w jednakowym stopniu dotykała każdej części miasta: od gabinetu burmistrza poczynając, na Biurze Turystyki kończąc.

Will widywał już, jak takie historie wymykały się spod kontroli. Wszystkie pikantne szczegóły będą szczegółowo omawiane i analizowane, plotki będą prezentowane jako fakty. Będą też zadawane oczywiste pytania: Kto zabił? Dlaczego zwolniono go przed terminem? Będą cytowane przepisy prawa, będą krążyć niezliczone fotokopie dokumentów, natomiast Sam Lawson, były

chłopak Faith, zatrudniony w jednej z gazet, pojawi się w CNN jeszcze przed nadejściem nocy.

- Niech to szlag - wymamrotała Faith, podjeżdżając swoim mini do blokady policyjnej. Samochód zakołysał się pod naporem ciał. Machnęła legitymacją pełniącemu służbę funkcjonariuszowi. - To bmw również - rzuciła, wskazując na sunący za nimi samochód Sary.

Policjant zanotował numery rejestracyjne, po czym zaczął przepychać się przez tłum, żeby otworzyć przejazd. Jeden z reporterów zastukał w szybę po stronie Faith.

- Dupek - wymamrotała, po czym ostrożnie ruszyła naprzód.

Jadąc tu, mówiła niewiele. Will nie miał pojęcia, czy dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć, czy dlatego, że Amanda jak zwykle nie zdradziła żadnych szczegółów.

Kolejne zwłoki. Identyczny sposób działania. Jego ojciec - nie wiadomo gdzie się podział. Najnowsza ofiara była prostytutką. Will nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tak działał jego ojciec. Najpierw studentka, potem dziewczyna pracująca. Pierwszej pozbywał się dopiero wtedy, kiedy miał już kolejną na jej miejsce.

Odwrócił się, by sprawdzić, czy bmw Sary jedzie za nimi. Jechało. Jego sig sauer wciąż spoczywał pod przednim fotelem. Tym razem nie uda jej się go powstrzymać. Nawet jeśli Amanda obstawi go pięćdziesięcioma strażnikami, i tak znajdzie sposób, żeby wyciągnąć broń i palnąć ojcu w łeb. Powinien był zrobić to minionej nocy. Albo dziś rano. Albo tydzień temu.

Tyle straconych okazji. Jego ojciec mieszkał w tym hotelu od dwóch miesięcy i jakoś udawało mu się wchodzić i wychodzić tak, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Zdołał uprowadzić dwie dziewczyny; jedną porzucił w Techwood, drugą zamordował w swoim pokoju. A wszystko w czasie, kiedy policja, ochrona hotelu i tajni agenci mieli

rzekomo śledzić każdy jego ruch. Skoro ten drań zdołał ich wykiwać, to uda się to również jemu, Willowi. Był przecież nieodrodnym synem swego ojca.

Faith zaparkowała za samochodem Amandy i zaciągnęła hamulec ręczny. Will wysiadł z wozu. Bmw Sary zatrzymało się za dwoma radiowozami z Atlanty. Dokoła kręciło się mniej więcej tyle samo gliniarzy, co reporterów. Żeby otworzyć drzwi Sarze, musiał przepchnąć się między dwoma mundurowymi. Błysnęły flesze. Sara wysiadła z samochodu i wyzywająco założyła ręce na piersi. Miała na sobie spodnie do jogi i koszulę Willa. Trudno było uznać to za strój roboczy. Skorzystał z okazji, by sięgnąć za jej plecami do wnętrza auta i ukradkiem wsunąć rękę pod fotel.

Pistoletu nie było.

Podniósłszy wzrok, napotkał spojrzenie Sary.

- Dziękuję, że zechciała pani przyjechać, doktor Linton - powiedziała Amanda.

Sara zatrzasnęła drzwi i zamknęła je pilotem, który schowała do kieszeni na piersi.

- Czy Pete tu będzie?

- Nie. Dziś rano zeznaje przed sądem. - Amanda dała znak, żeby weszli za nią do środka. - Doceniam, że zjawiała się pani w tak krótkim czasie. Wszystkim nam zależy, żeby jak najszybciej usunąć stąd ciało.

Umundurowany funkcjonariusz otworzył przed nimi boczne drzwi. Usłyszeli świst i poczuli podmuch powietrza: różnica ciśnień. Will jeszcze nigdy nie był we wnętrzu tego hotelu. Główny hall wręcz ociekał przepychem. Posadzkę wykonano z marmuru w niezliczonych odcieniach, główną część pomieszczenia stanowiła zaś obszerna klatka schodowa ze stopniami prowadzącymi na piętro symetrycznie

po obu jej stronach. Schody przykrywał dywan, poręcze wykonano z polerowanego mosiądzu. Wiszący nad ich głowami żyrandol wyglądał tak, jakby eksplodowała fabryka kryształów. To wszystko z pewnością wywierałoby ogromne wrażenie, gdyby nie fakt, że w hallu roiło się od policjantów wszelkiej maści: tajniacy, służba patrolowa, agenci specjalni GBI, a nawet dwie kobiety z obyczajówki ze złotymi odznakami detektywów, zupełnie niepasującymi do skromnego stroju.

- Ochrona zbiera właśnie nagrania z ostatnich dwudziestu czterech godzin - powiedziała Amanda do Faith. - Chciałabym, żebyś się tym zajęła.

Faith skinęła głową i skierowała się do recepcji.

- Zidentyfikowaliście już ofiarę? - zapytała Sara.

- Tak. - Amanda skinęła na Jamala Hodge'a. - Detektywie, czy zechciałby pan wyprosić wszystkich poza tymi naszymi ludźmi, którzy są tu naprawdę niezbędni?

- Tak jest.

Stanął przed kłębiącym się tłumem i podniósł obie ręce, by zwrócić na siebie uwagę. Will nie patrzył na niego, tylko na Amandę. Wydawała właśnie polecenia detektywom hotelowym, co jakiś czas poprawiając pasek od kabury pod pachą.

- Co tu się dzieje? - zapytała Sara.

Will nie odpowiedział. Rozglądał się po hallu w poszukiwaniu jakiegoś wysokiego rangą oficera policji z Atlanty, nigdzie jednak nie mógł dostrzec ani Leo Donnelly'ego, ani Mike'a Geary'ego, kapitana sprawującego nadzór nad tą strefą.

Sprawę przejęła Amanda - uświadomił sobie, choć wiedział, że to nie ma najmniejszego sensu. Z punktu widzenia policji miasta Atlanta, nic nie łączyło martwej prostytutki z porwaną studentką.

- O co tu chodzi? - zapytał Amandę.

Amanda wskazała na mężczyznę w eleganckim grafitowym garniturze. Zdradzała go trzymana w dłoni krótkofalówka.

- To Bob McGuire, szef ochrony hotelu. On nas wezwał.

Will uściśnął mu rękę. McGuire był za młody na emerytowanego gliniarza, ale biorąc pod uwagę to, jaki ciężar zwałił mu się na głowę, i tak był wyjątkowo opanowany. Poprowadził ich w kierunku windy.

- Dziś rano jedna z pokojówek zawiadomiła mnie, że nie odpowiada na pukanie.

- Zawsze trzymał się ustalonego planu dnia - wyjaśniła Amanda.

Rozsunęły się drzwi windy. Will cofnął się, by przepuścić Sarę i Amandę.

- Mieszkał tu już od dwóch miesięcy - ciągnął McGuire. Przesunął elektronicznym kluczem nad panelem, po czym wcisnął przycisk dziewiętnastego piętra. - Dzięki elektronicznemu zamkowi w drzwiach wiemy dokładnie, kiedy wychodził z pokoju i kiedy do niego wracał. Od samego początku każdy dzień wyglądał mniej więcej tak samo. O szóstej rano śniadanie do pokoju, potem siłownia, potem wraca do pokoju, o dwunastej znowu zamawia posiłek. - Wsadził ręce do kieszeni. - Raz albo dwa razy w tygodniu zjeżdża na kolację do restauracji albo je przy barze, zazwyczaj zamawia posiłek do pokoju na szóstą wieczorem, a potem uaktywnia się dopiero następnego dnia o szóstej rano.

- Trzyma się więziennego rozkładu dnia - zauważyła Amanda.

Will rozejrzał się po windzie. W kącie pod sufitem dostrzegł kamerę.

- Od jak dawna go obserwowaliście?

- Oficjalnie zaledwie od kilku dni - odparł McGuire, po czym zwrócił się do Amandy: - Główną robotę wykonywali wasi ludzie, moi tylko im pomagali.

- A nieoficjalnie? - zapytał Will.

- Odkąd się zameldował. To dziwny człowiek. Fizycznie odstręczający. Niby nigdy nie zrobił niczego konkretnego, ale w jego towarzystwie ludzie czuli się nieswojo. Poza tym, ponieważ apartament prezydencki kosztuje cztery tysiące dolarów za dobę, zwykle staramy się wiedzieć, kim są nasi najzamożniejsi klienci. Przeprowadziłem mały rekonesans i doszedłem do wniosku, że powinniśmy go mieć na oku.

- Ktoś z nim rozmawiał? Z kimś się spotykał?

- Tak jak powiedziałem, działał na ludzi odstręczająco. Personel hotelu starał się unikać go za wszelką cenę. Pokojówki bały się przychodzić do niego same.

- A inni goście?

- Nikt o niczym nie wspomniał.

- Jak płacił za pokój? - zapytał Will.

Ten człowiek siedział przecież w więzieniu. Nie miał karty kredytowej.

- Wszystko załatwiał jego bank - wyjaśnił McGuire. - Na poczet zapłaty złożył depozyt w wysokości stu tysięcy dolarów.

Brzęknął dzwonek, drzwi się rozsunęły. Will przepuścił ich przodem, po czym wyszedł za nimi z windy. Sara przez kilka sekund patrzyła mu w oczy. Dał jej znak głową, żeby szła przodem.

- Na tym piętrze jest jeszcze pięć apartamentów - wyjaśnił McGuire. - Prezydencki jest w samym rogu. Ma około dwustu metrów kwadratowych powierzchni.

Na końcu co najmniej piętnastometrowego korytarza stało dwóch umundurowanych policjantów. Nad ich głowami świecił na czerwono znak wyjścia awaryjnego. Wejście do apartamentu znajdowało się naprzeciwko schodów. McGuire ruszył w tę stronę.

- Wynajęte były trzy apartamenty. Artyści. W mieście mamy koncert. Przenieśliśmy ich do naszej bliźniaczej placówki.

Oczywiście mogę przekazać wam ich dane, ale...

- Wolałabym nie tracić czasu na dyskusje z prawnikami - przerwała mu Amanda.

Will tak mocno zacisnął szczęki, że ból aż przeszył go na całej długości kręgosłupa. Mięśnie miał napięte jak postronki, sącząca się z ukrytych głośników muzyka nie była w stanie zagłuszyć jego oddechu. Pod stopami czuł miękką, głęboką wykładzinę. Ściany pomalowano na ciemno-brązowo, w związku z czym długi korytarz wyglądał jak tunel. Żyrandole zwisały z sufitu w równych odstępach. Przed zamkniętymi drzwiami stał wózek z tacami. Na drzwiach nie było numeru. Każdy apartament przypuszczalnie stanowił odpowiednik trzech lub czterech pokojów. W filmach w takich apartamentach zwykle znajdowały się wanny z jacuzzi, a łazienki przewyższały rozmiarami mieszkanie Willa.

Dziewczyna z pewnością nie leżała w łazience ani w wannie, tylko na materacu, przyszpilona jak jakiś obiekt eksperymentu naukowego. Kolejna ofiara. Kolejna martwa kobieta, uśmiercona przez człowieka, którego DNA nosił w sobie Will. Will, który nigdy nie mieszkał w hotelowym apartamencie. Nigdy nie biegał po plaży. Nigdy nie leciał samolotem. Nigdy nie widział uśmiechu na twarzy matki, kiedy przyniósł do domu świadectwo. Nigdy nie widział własnej matki. Gliniana popielniczka, którą zrobił w przedszkolu, była jedną z szesnastu, jakie pani Flannigan dostała na Dzień Matki. Prezenty pod

choinką miały przyczepione karteczki z napisami „Dla dziewczynki” albo „Dla chłopczyka”. Podczas uroczystości z okazji ukończenia szkoły średniej Will rozglądał się po sali pełnej roześmianych twarzy rodzin uczniów, ale wszystkie były obce.

Amanda zatrzymała się dwa kroki przed umundurowanymi funkcjonariuszami.

- Doktor Linton, czy zechciałaby pani zaczekać tu chwilę?

- Dlaczego? - zapytał Will, mimo że Sara skinęła głową.

Amanda spojrzała na niego. Wyglądała gorzej niż minionego dnia. Miała podkrążone oczy i rozmazaną szminkę na ustach.

- W porządku - powiedziała wreszcie.

Przynajmniej raz się z nim nie sprzeczała. Ruszyła dalej korytarzem.

Policjanci - a właściwie policjant i policjantka - sprawiali wrażenie znudzonych. Stali z kciukami założonymi za dużymi, służbowymi pasami i na szeroko rozstawionych nogach, tak by maksymalnie ulżyć plecom obciążonym ekwipunkiem.

- Witaj, Mimi. - Amanda przywitała się z policjantką. - Co u twojej ciotki Pam?

- Nudzi się na emeryturze. - Funkcjonariuszka wskazała na drzwi. - Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Amanda zaczekała, aż McGuire wsunie w szczelinę zamka swoją kartę magnetyczną. Zamigotało zielone światełko i drzwi się otworzyły. Najpierw weszły Sara i Amanda, potem Will.

- Będę w korytarzu, gdybyście mnie potrzebowali - poinformował ich hotelowy detektyw, po czym ustawił blokadę przy kłamce w taki sposób, by uniemożliwić ich zatrzaśnięcie.

- No cóż... - westchnęła Amanda.

Stali w przedsiionku i patrzyli na pokój większy od całego domu Willa. Kotary były rozsunięte, do wnętrza wlewało się słoneczne światło. Z okien narożnego pokoju roztaczała się panorama całego centrum. Budynek Equitable. Georgia Power. Westin Peachtree Plaza. I hen daleko - Techwood.

Wokół pięćdziesięciodwucalowego telewizora stały dwie kanapy i cztery fotele. Odtwarzacz DVD, magnetowid, odtwarzacz CD. Kącik kuchenny, barek, jadalnia ze stołem na dziesięć osób. Wielkie biurko z wygodnym fotelem. Wpuszczona w podłogę wanna z telefonem na ścianie. Końcówka papieru toaletowego na rolce ułożona w kształt róży. Bateria nad wanną miała postać łabędzia z rozłożonymi skrzydłami; po przekręceniu któregoś z nich z szeroko otwartego dzioba płynęła woda.

- Tędy - powiedziała Amanda.

Drzwi sypialni były na pół przymknięte. Pchnęła je stopą.

Will oddychał przez usta. Spodziewał się poczuć znajomą, metaliczną woń krwi. Spodziewał się ujrzeć szczupłą, jasnowłosą dziewczynę z pustymi oczami i zadbanymi paznokciami.

A zobaczył swojego ojca.

Ugięły się pod nim kolana. Sara usiłowała go podtrzymać, ale miała za mało siły. Osunął się na podłogę. W pokoju panowała kompletna cisza. Amanda poruszała bezgłośnie ustami, Sara też mówiła coś do niego, lecz do jego uszu nie docierał żaden dźwięk. Nie był w stanie nabrać powietrza, kręciło mu się w głowie, widział wszystko na czerwono, jakby przez zasłonę z krwi. Czerwona była wykładzina, czerwone były kotary, czerwone było słońce za oknem. Tylko nie jego ojciec.

Leżał na wznak na łóżku, z dłońmi splecionymi na piersi. Umarł we śnie.

Will krzyknął z wściekłości. Kopnął drzwi tak mocno, że aż klamka wbiła się w ścianę. Złapał stojącą lampę i cisnął ją przez cały pokój. Ktoś próbował go powstrzymać. McGuire. Will walnął go w twarz. Chwilę potem otrzymał uderzenie pałką w tył kolan i runął na podłogę. Dwie, trzy postaci w mundurach rzuciły się na niego, wgniatając mu twarz w wykładzinę. Przytrzymały go czyjeś silne dłonie, ktoś inny wykręcił mu rękę, zatrzasnęły się kajdanki.

- Ani się ważcie! - wykrzyknęła Sara. - Przestańcie!

Jej słowa podziałały jak uderzenie z bicia. Will poczuł, jak wracają mu zmysły. Uświadomił sobie, co zrobił, że zupełnie stracił nad sobą kontrolę. I że Sara była tego świadkiem.

- Proszę go puścić - poleciła Amanda lodowatym tonem. -

Natychmiast!

Zaprzestał walki. Uchwyt nieco zelżał, policjantka pochyliła się nad nim tak, że zobaczył jej twarz. Mimi.

- Będziemy już grzeczni? - zapytała.

Skinął głową.

Szczęknęły rozpinane kajdanki. Jego ręka była wolna, tamci powoli z niego zesзли.

Will nie wstał od razu. Wcisnął twarz i ręce w wykładzinę, potem powoli ukucnął. Z trudem oddychał, w uszach łomotała mu krew.

- Dupek!

Bob McGuire trzymał się za nos. Spomiędzy palców sączyła się krew.

- Panie McGuire, mam nadzieję, że nam pan wybaczy? - zapytała Amanda.

Mina szefa ochrony hotelu świadczyła o tym, że najchętniej kopnąłby Willa w twarz.

- Zrobię panu okład z lodu - zaofiarowała się Mimi, po czym ujęła go za łokieć i wyprowadziła z pokoju. Dwaj pozostali mundurowi wyszli za nimi.

- No cóż... - westchnęła głęboko Amanda. - Doktor Linton, czy może pani określić godzinę śmierci?

Sara nawet nie drgnęła. Przez cały czas wpatrywała się w Willa. Nie była na niego zła, nie była nawet zdegustowana. Jej ciało drżało lekko. Wiedział, że chce, pragnie mu pomóc, że nie udawała tego, co do niego czuje.

Odepchnął się rękami, wyprostował, poprawił marynarkę.

- Po raz ostatni widziano go żywego wczoraj około siódmej wieczorem - ciągnęła Amanda. - Wezwał pokojówkę, żeby zabrała tacę po kolacji. Potem powiesił na klamce kartkę z zamówieniem na śniadanie.

Pokojówki. Apartamenty. Spokojna śmierć we śnie.

- Doktor Linton? - powtórzyła Amanda. - Ustalenie godziny śmierci bardzo by nam pomogło.

Sara pokręciła głową jeszcze zanim Amanda umilkła.

- Nie mam niezbędnych narzędzi. Zanim poruszę ciało, trzeba je sfotografować. Nie mam nawet rękawiczek.

Amanda rozpięła torebkę.

- Kiedy pierwszy zespół zjawił się na miejscu, termostat był ustawiony na dwadzieścia stopni. - Wręczyła Sarze parę chirurgicznych rękawiczek. - Na pewno będzie pani mogła coś nam powiedzieć.

Sara ponownie przeniosła wzrok na Willa. Zrozumiał, że czeka na jego zgodę. Jak tylko skinął głową, wzięła rękawiczki i podeszła do łóżka. Wyraz jej twarzy uległ całkowitej zmianie. Widywał to

wielokrotnie. Była dobra w swoim fachu. Potrafiła doskonale oddzielić to, kim była, od tego, co musiała robić.

Will był świadkiem wystarczająco wielu wstępnych oględzin, by wiedzieć, co Sara myśli. Zanotowała w pamięci ułożenie ciała: zwłoki leżały wyprostowane, na wznak. Prześcieradło i narzuta były równiutko rozpostarte i zawinięte, denat zaś miał na sobie białą koszulkę z krótkim rękawem i białe bokserki. Obok, na nocnym stoliku, leżało atlasowe etui z zestawem do manicure. Przybory były starannie rozstawione na blacie: cążki do paznokci, małe nożyczki, szmergiel, szczypczyki, szczoteczka do paznokci oraz przezroczysta szklana fiolka z księżycowatymi, obcięzonymi paznokciami ojca.

Will jeszcze nigdy nie widział go osobiście. Na zdjęciu z aresztu widniała opuchnięta, posiniaczona twarz. Wiele miesięcy po aresztowaniu, jakiemuś fotoreporterowi udało się wykonać niewyraźną, rozmazaną fotografię skutego kajdankami mężczyzny opuszczającego salę sądową. Will nie wiedział, czy są o jeszcze jakieś zdjęcia. Nie dysponował też praktycznie żadnymi informacjami. Nikt nie wiedział, skąd pochodził jego ojciec. Nikt nie znał ani jego przyjaciół, ani rodziców. Nie zgłosili się żadni sąsiedzi, którzy twierdziliby, że zawsze sprawiał wrażenie zupełnie normalnego.

W tamtych czasach w Atlancie ukazywały się dwie duże gazety codzienne: „Atlanta Journal” i „Atlanta Constitution”. W obu ukazywały się relacje z sądu, ale w tym wypadku nie doszło do rozprawy. Jego ojciec przyznał się do porwania, stosowania tortur, gwałtu i zabójstwa. Ponieważ stanowy Sąd Najwyższy zniósł karę śmierci, jedynym, co prokurator mógł zaproponować w zamian za uniknięcie konieczności dowodzenia winy oskarżonego przed sądem, było dożywocie z możliwością ubiegania się o zwolnienie

warunkowe. Naturalnie wszyscy byli przekonani, że do takiej ewentualności nigdy nie dojdzie.

Tak więc Will był skłonny uznać, że ojciec, przynajmniej w pewnym sensie, miał szczęście. Uniknął najwyższego wymiaru kary, otrzymał zgodę na warunkowe zawieszenie odbywania wyroku, wreszcie odszedł na własnych warunkach.

I zabił raz jeszcze.

Sara zaczęła oględziny od twarzy. Tam zawsze najwcześniej pojawiała się stężenie pośmiertne. Sprawdziła ruchomość szczęki, ucisnęła zamknięte powieki i usta. Następnie obejrzała palce, poruszyła dłońmi. Paznokcie błysnęły w promieniach słońca. Były krótko obcięte, ojciec przed śmiercią zaciął się w kciuk.

- Wydaje mi się, ale tylko się wydaje, że śmierć nastąpiła w ciągu minionych sześciu godzin - oświadczyła Sara.

Amanda nie zamierzała jej tak łatwo odpuścić.

- Może pani określić przyczynę śmierci?

- W żadnym razie. Równie dobrze to mógł być atak serca albo zatrucie cyjankiem potasu. Będę to mogła ustalić dopiero podczas sekcji.

- Ale chyba jest pani w stanie powiedzieć o nim coś więcej?

Widać było, że pytanie zirytowało Sarę, lecz mimo to odpowiedziała:

- Ma sześćdziesiąt kilka lat, być może zbliża się już do siedemdziesiątki. Dobrze odżywiony, w dobrej formie fizycznej. Rozbudowana muskulatura. Proteza zębowa marnej jakości, najprawdopodobniej wykonana w więzieniu. Na klatce piersiowej coś w rodzaju blizny pozabiegowej w kształcie litery V. Widać jej część w dekolcie koszulki.

- Kilka lat temu przeszedł zawał serca. Niestety, uratowano go - powiedziała Amanda, marszcząc przy tym brwi.

- To by wyjaśniało bliznę po tracheotomii. - Wskazała na metalową bransoletkę na nadgarstku nieboszczyka. - Był cukrzykiem. Na razie nie zamierzam niczego robić z jego ubraniem, ale założę się, że ma ślady po zastrzykach na brzuchu i udach. - Ściągnęła rękawiczki. - Coś jeszcze?

W drzwiach stanęła Faith.

- Mam coś.

W ręce trzymała płytę. Nie patrzyła na Willa, z czego wysnuł wniosek, że nie zaskoczyła jej tożsamość ofiary. Była lepszym kłamcą niż przypuszczał. A może wcale nie? Teraz przynajmniej rozumiał, dlaczego w czasie jazdy prawie się nie odzywała.

- Obejrzyjmy to w salonie - powiedziała Amanda.

Stanęli półkolem przed telewizorem, czekając aż Faith włoży płytę do odtwarzacza DVD. Amanda znalazła się między Willem i Sarą. Wyjęła z torebki blackberry. W pierwszej chwili Will pomyślał, że sprawdza pocztę, ale zerknąwszy jej przez ramię stwierdził - mimo że ekran pokrywała pajęczyna pęknięć - że to strona z wiadomościami.

- „Przestępca na zwolnieniu warunkowym znaleziony martwy w swoim hotelowym pokoju” - przeczytała na głos tytuł.

Faith wzięła do ręki pilot.

- Liczyli na kogoś znanego. Idioci! - parsknęła.

Amanda przewijała ekran.

- To jeszcze nie wszystko. Ktoś z personelu powiedział im o wzmożonym zainteresowaniu policji, które zaobserwował przez kilka ostatnich dni. - Spojrzała na Willa. - Właśnie dlatego staraliśmy się zaprzyjaźnić.

- No, jedziemy! - Faith wycelowała pilotem w odtwarzacz. Na ekranie pojawił się obraz z kamery w hotelowej windzie. Była pusta. Will rozpoznał wzór na wyłożonej kafelkami podłodze. - Przepraszam, to jeszcze nie to. - Włączyła przewijanie.

Zamigotały światełka na panelu; winda jechała na parter. Jak tylko drzwi się rozsunęły, Faith wróciła do normalnej prędkości odtwarzania. Do windy weszła kobieta. Była wysoka i szczupła, z długimi jasnymi włosami, w białym kapeluszu z miękkim rondem. Głowę miała pochyloną, kapelusz zasłaniał większą część jej twarzy. Odwróciła się, odsłaniając na chwilę podbródek.

- prostytutka - wyjaśniła Faith. - Ochrona nie wie, jak się nazywa, ale bywała tu wcześniej. Rozpoznali ją po kapeluszu.

Nałożony na nagranie elektroniczny zegar wskazywał 22:14:12. O tej porze Will spał na kanapie z Sarą.

- Ma klucz elektroniczny - zauważyła Amanda, kiedy dziewczyna przesunęła kartą nad czytnikiem w panelu, tak samo, jak niedawno uczynił Bob McGuire.

Nacisnęła przycisk z liczbą dziewiętnaście. Drzwi się zamknęły. Kobieta stała zwrócona twarzą do wyjścia, w związku z czym widać było tylko tył jej kapelusza. Drzwi windy wykonano z prawdziwego drewna, bez połysku.

- Może kamery w głównym hallu zarejestrowały jej twarz? - zapytała Amanda.

Faith pokręciła głową.

- To profesjonalistka. Doskonale wiedziała, gdzie są zamontowane. - Kobieta wysiadła, drzwi się zasunęły, winda znowu była pusta. - Po pół godzinie zjechała na dół. W obyczajówce powiedzieli mi, że zwykle zabiera to mniej więcej właśnie tyle czasu.

- Ma szczęście, że wyszła z tego z życiem - zauważyła Amanda.

Faith ponownie włączyła przewijanie, po czym wróciła do normalnej prędkości odtwarzania, jak tylko drzwi windy ponownie się rozsunęły. Kobieta weszła w taki sam sposób jak poprzednio: z pochyloną głową i kapeluszem zsuniętym na czoło. Po to, żeby zjechać na parter, nie potrzebowała elektronicznego klucza. Nacisnęła guzik. I tym razem stała zwrócona twarzą do drzwi, ale poprawiła kapelusz.

- Wcześniej nie miała umalowanych paznokci - zauważył Will.

- To prawda - przyznała Faith. - Sprawdziłam cztery razy, zanim z tym przyszłam.

Will przyglądał się dłoniom kobiety. Paznokcie były pomalowane na czerwono, bez wątpienia lakierem Bombshell Max Factor Ultra Lucent.

- Przy łóżku nie znaleźliśmy lakieru, tylko przybory do manicure - powiedział.

- Może przyniosła własny? - zastanawiała się Faith.

- To mało prawdopodobne - stwierdziła Amanda. - Zawsze starałam się mieć nad wszystkim kontrolę.

- Sprawdź w drugim pokoju - zaproponowała Sara.

- Ochrona twierdzi, że dziewczyna bywała w hotelu wcześniej. - Amanda spojrzała na Faith. - Przejrzyj od początku do końca wszystkie nagrania, jakimi dysponują. Gdzieś powinna być jej twarz.

Faith wyszła z pokoju. Amanda wyjęła z torebki lateksową rękawiczkę. Nie założyła jej, tylko posłużyła się nią jak chusteczką, chwytając przez nią uchwyty szuflad w biurku i wysuwając je kolejno. Długopisy. Papier. Żadnego lakieru do paznokci z charakterystyczną białą spiczastą zakrętką.

- Do tego nie trzeba dwojga ludzi - rzuciła Amanda.

Will zajął się więc aneksem kuchennym. Na blacie leżały dwa elektroniczne klucze. Jedna karta była czarna, na drugiej znajdowało się zdjęcie ruchomej bieżni, a więc zapewne otwierała drzwi siłowni. Obok leżał plik nowiutkich banknotów. Will nie tknął pieniędzy; tak na oko było tego jakieś pięćset dolarów w banknotach dwudziestodolarowych.

- Masz coś? - zapytała Amanda.

Will przeszedł do baru. Mieszadełka, serwetki, shaker, Biblia z kopertą wsuniętą między kartki. Stary egzemplarz, z wyświechtaną skórzaną okładką, przetartą miejscami aż do kartonowej wyklejki.

- Przydałaby mi się twoja rękawiczka.

- Co to jest?

Nie podała mu rękawiczki, tylko wytarła dłoń w spódnicę, założyła rękawiczkę i otworzyła Biblię. Koperta była stara, tkwiła w książce chyba od dawna. Logo w narożniku zdążyło zblaknąć, napisany na maszynie adres zszarzał. Amanda zamierzała już zamknąć Biblię, ale Will powstrzymał ją ruchem ręki i pochylił się nad kopertą, próbując odczytać adres. Tak często widywał nazwisko swego ojca, że rozpoznał je bez większych problemów. Niemal równie łatwo poszło mu ze słowami „Więzienie w Atlancie” - używał ich, razem lub oddzielnie, niemal we wszystkich raportach służbowych. Stempel też już trochę zszarzał, ale data wciąż była doskonale widoczna: piętnasty sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty.

- Ten list wysłano miesiąc po tym, jak się urodziłem - powiedział.

- Na to wygląda.

- Z kancelarii prawnej.

W logo widniały szale wagi.

- Hermana Centrello - uzupełniła.

Obrońcy jego ojca. Ten człowiek był najemnikiem, a także powodem, dla którego się tu znaleźli. Perspektywa starcia z Centrello przed sądem sprawiła, że prokurator wolał przystać na ugodę: przyznanie się do winy w zamian za dożywocie z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie.

- Otwórz - poprosił Will.

W ciągu piętnastu lat tylko raz widział, jak pęka maska spokoju i opanowania na twarzy Amandy, a i wtedy była to zaledwie wąska szczelina. Teraz, przez ułamek sekundy, wyglądała tak, jakby się czegoś bała, ale błyskawicznie zdołała nad sobą zapanować.

Okazało się, że koperta jest wklejona do książki. Można było odwracać ją jak kartkę. Klej, którym była zaklejona, już dawno wysechł. Rozchyliła ją za pomocą kciuka i palca wskazującego, a Will zajrzał do środka.

Ani listu, ani jakiegokolwiek notatki. Tylko zamazane, niewyraźne odbicie jakiegoś tekstu na wewnętrznej powierzchni.

- Najwyraźniej służyła tylko za zakładkę - zauważyła Amanda.

- I dlatego trzymał ją przez tyle lat?

- Kompletnie nic - oznajmiła Sara, wchodząc do pokoju. - W łazience i w sypialni ani śladu lakieru.

Znalazłam tylko zestaw dla cukrzyków. Strzykawki są w plastikowym hermetycznym opakowaniu. Rozetną nam je w laboratorium, ale wygląda na to, że jest tam tylko to, co powinno być.

- Dziękuję, doktor Linton. - Amanda zamknęła Biblię i wyjęła blackberry. - Will?

Jedyne, co przyszło mu do głowy, to kontynuować przeszukiwanie baru. Boczną częścią buta po kolei otwierał dolne szafki. Mnóstwo kieliszków, dwa kubelki do lodu. Minibar nie był zablokowany;

również te drzwiczki Will otworzył krawędzią buta. Lodówkę wypełniały wyłącznie fiolki z insuliną. Zatrzasnął drzwiczki.

Na półkach za barem stało grubo ponad dwadzieścia butelek z alkoholem. Will starał się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrzanej tylnej ścianie, nie chciał wpaść w pułapkę porównywania się z ojcem. Zamiast tego przyglądał się kolorowym etykietom, butelkom przeróżnych kształtów, wypełniającym je złocistym i bursztynowym płynem. Dzięki temu spostrzegł, że jedna z butelek jest lekko przechylona, tak jakby coś było pod nią wsunięte. Wskazał ją Amandzie.

- Weź ją.

Wyjątkowo nie zapytała, po co, tylko zdjęła butelkę.

- To klucz.

- Może do minibaru? - zapytała Sara.

Will zerknął na drzwiczki lodówki.

- Nie. Za duży.

Amanda wzięła go ostrożnie w dwa palce, trzymając za krawędzie. Uchwyt nie był okrągły ani kanciasty, lecz ząbkowany, z wybitym numerem.

- To klucz do przemysłowego zamka firmy Schlage - stwierdził Will.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy - przyznała niechętnie Amanda.

- Do solidnego, bolcowego zamka o wyjątkowo dużej wytrzymałości.

Wyszedł na korytarz. Policjanci zniknęli, pozostał natomiast McGuire, z woreczkiem wypełnionym lodem przy nosie.

- Przepraszam za tamto - rzucił Will.

McGuire skinął głową, ale nie wyglądało to na akt przebaczenia.

- Które drzwi w tym hotelu otwiera się tradycyjnym, metalowym kluczem? - zapytał Will.

Szef ochrony niespiesznie odsunął od twarzy woreczek z lodem i pociągnął nosem, z którego wciąż sączyła się krew.

- Karty elektroniczne, które stosujemy...

Nie dokończył, gdyż z apartamentu wyszła Amanda i pokazała mu klucz.

- To od bolcowego zamka Schlage. Do których drzwi pasuje?

McGuire nie był głupi. Szybko wziął się w garść.

- Takie zamki są tylko na drugim poziomie piwnic.

- Co tam jest?

- Generatory, różne urządzenia, wejścia do szybów windowych.

Amanda natychmiast skierowała się do windy.

- Proszę wezwać swoich ludzi. Niech czekają na nas na dole.

McGuire ruszył za nią truchtem.

- Główne windy zatrzymują się w hallu. Musicie zjechać windą dla personelu na pierwsze piętro, a dalej pójść schodami awaryjnymi za gabinetami odnowy.

Amanda wcisnęła przycisk.

- Co jeszcze jest na pierwszym piętrze?

- Pokoje masażu, salon manicure-pedicure, basen. - Drzwi się otworzyły. Puścił Amandę przodem. - Schody są tuż za wejściem do siłowni.

15 lipca 1975 roku

ROZDZIAŁ 27

- Amando - powtórzyła Evelyn.

Amanda patrzyła w dół, na Ulstera. Stopę wciąż trzymała na jego szyi. Gdyby nacisnęła odrobinę mocniej, zmiażdżyłaby mu tchawicę.

- Amando - powiedziała jeszcze raz Evelyn. - Dziewczyna!

Dziewczyna.

Amanda cofnęła się o krok.

- Zabrać go - poleciła mundurowemu, który natychmiast wyciągnął kajdanki i połączył się przez radio z dyspozytornią. Głos miał tak przerażony, jak Amanda czuła się jeszcze dziesięć minut temu. Teraz już się nie bała. Powróciło lodowate opanowanie, a także wściekłość i gniew. Ruszyła w kierunku domu.

- Zaczekaj. - Evelyn położyła jej rękę na ramieniu. Całą dolną część twarzy miała opuchniętą. Mówienie sprawiało jej widoczny ból.

- Tam może być ktoś jeszcze.

Nie miała na myśli innej dziewczyny, tylko innego zabójcę.

Amanda podniosła rewolwer. Drewniana rękojeść była pęknięta. Wysunęła bębenek: jeden pocisk. Spojrzała na Evelyn, która sprawdziła swoją broń i pokazała jej cztery palce. A więc łącznie dysponowały pięcioma pociskami, i niczym więcej.

Ale też niczego więcej nie potrzebowały.

Drzwi wejściowe były otwarte. Amanda wsunęła rękę do środka i włączyła światło. Na kablu z sufitu zwisała samotna żarówka. Dom był wąski, z pomieszczeniami w amfiladzie. W pierwszym pokoju stały dwa fotele. Na jednym z nich leżała otwarta Biblia. Na podłodze stała srebrna miska z wodą. Amandzie przyszły na myśl wielkanocne uroczystości w kościele. Kobiety przynosiły wtedy miski z wodą,

którą obmywały stopy mężczyznom. Odkąd skończyła dziesięć lat, co roku obmywała stopy Duke'a.

Ciszę przerwało odległe zawodzenie syren. Nie jednej, dwóch, trzech... Nie była w stanie policzyć, ile ich musiało być. Razem poszły dalej korytarzem. Przed sobą miały kuchnię, po lewej i prawej stronie znajdowały się zamknięte drzwi. Evelyn wskazała na pierwsze. Amanda jeszcze mocniej ścisnęła rewolwer w dłoni i skinęła głową na znak, że jest gotowa.

Stały po obu stronach, Amanda położyła dłoń na klamce, nacisnęła ją i pchnęła drzwi. Jak tylko się uchyliły, sięgnęła do włącznika. Zaświeciła się lampa podłogowa. Na środku pokoju stało metalowe łóżko z brudnym, poszarpanym materacem. Sterczały z niego nici. Oprócz tego były tam umywalka, zlew, krzesło i mały stolik przy łóżku. Na stoliku leżały nożyczki do paznokci. Cążki. Pilnik. Patyczki. Czerwony lakier Max Factor z białą spiczastą zakrętką. Szklana fiolka z obciętymi paznokciami.

Jane Delray.

Mary Halston.

Kitty Treadwell.

Lucy Bennett.

Obskurne pokoje. Popękane ściany. Nagie żarówki zwisające z sufitu. Zwierzęce odchody na podłodze. Smród krwi i strachu.

To tu je trzymał.

Evelyn syknęła cicho przez zęby, żeby zwrócić na siebie uwagę koleżanki, i ruchem głowy wskazała na kolejne drzwi. Kątem oka Amanda zobaczyła, że policjant w mundurze wszedł do pierwszego pokoju. Nie czekały na niego. Nie potrzebowały jego pomocy.

Stała przy drzwiach i nacisnęła klamkę. Światło było już włączone. Umywalka. Zlew. Zestaw do manicure. Czerwony lakier.

Kolejna fiolka z paznokciami. Dziewczyna leżała skulona na łożku. Po jej brzuchu płynęła powoli krew, z ust wydobywała się różowa piana. Dłoń miała zaciśniętą na rękojeści wielkiego noża sterczącego z jej piersi.

- Nie! - Amanda rzuciła się naprzód, padła na kolana przy łożku, chwyciła za rękę dziewczyny. - Nie wyjmuj go!

- Wezwij karetkę! - zawołała Evelyn do policjanta. - Ona jeszcze żyje!

Z gardła dziewczyny wydobywał się świszczący odgłos. Amanda wyraźnie czuła na dłoni przepływ powietrza. Ostrze było skierowane w lewo; z pewnością przebiło płuco, być może utkwilo w sercu. Nóż był ogromny, taki, jakiego myśliwi używają do oprawiania zwierzyny.

- Ha... - wyszeptała dziewczyna. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Z ran dokoła zmasakrowanych ust sterczały nici. - Ha...

- Wszystko w porządku - uspokajała ją Amanda. Delikatnie prostowała jej palce, starając się równocześnie nie zmienić położenia noża.

- Czy to wstrząs? - zapytała Evelyn.

- Nie wiem.

Ręka dziewczyny opadła na materac. Palce drżały spazmatycznie. Oddech miał kwaśny, nieprzyjemny zapach. Mięśnie Amandy paliły ją żywym ogniem, tak bardzo starała się utrzymać nóż w niezmiętej pozycji. Mimo jej wysiłków, krew wciąż płynęła z rany.

- Wszystko w porządku - wymamrotała. - Wytrzymaj jeszcze trochę.

Dziewczyna usiłowała zamrużyć, ale poszatkowana powieka przykleiła się do brwi. Z najwyższym trudem uniosła rękę, drżące palce wskazały na otwarte drzwi.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Amanda po raz trzeci. Po jej twarzy płynęły łzy. - Zabierzemy cię stąd. On już nie zrobi ci krzywdy.

Dziewczyna odpowiedziała ni to westchnieniem, ni to słowem.

- Zabierzemy cię stąd.

Znów ten sam odgłos.

- O co chodzi? - zapytała Amanda.

- Ooo... haa...

Amanda pokręciła głową. Nic nie rozumiała. Evelyn przykucnęła obok niej.

- O co chodzi, kochanie?

- Hoo... haam...

- Kocham? Kochasz?

Ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- Jego...

Przestała oddychać. Drżenie ustało, ręka opadła bezwładnie, oczy przybrały szklisty wyraz. Amanda pierwszy raz była świadkiem czyjejś śmierci. Odniosła wrażenie, że w pokoju nagle zrobiło się zimno, że gdzieś w górze zawisł na chwilę jakiś cień, po czym błyskawicznie znikł.

- Lucy Bennett - powiedziała.

Przez jakiś czas w milczeniu spoglądały na to nieszczęsne stworzenie. Ślady okropności, jakich doświadczała przez miniony rok, były wyraźnie wypisane na twarzy, tułowiu, ramionach i nogach.

- Jak to możliwe, żeby go kochała? - zapytała wreszcie Amanda. - Jak to możliwe?

Evelyn otarła łzy wierzchem dłoni.

- Nie mam pojęcia.

Amanda patrzyła w oczy martwej dziewczyny. Zaledwie kilka minut temu widziała ją przez okno. Ten obraz wrył jej się w pamięć jak scena z horroru. Dziewczyna leżąca na łóżku, z dłonią na piersi. A więc trzymała w niej nóż, uświadomiła sobie.

Wycie syren z każdą chwilą przybierało na sile.

- Dom jest czysty - oznajmił policjant, wchodząc do pokoju. - Co tu...

Na widok zwłok stanął jak wryty, po czym zasłonił usta ręką, odwrócił się na pięcie i wybiegł, z trudem powstrzymując torsje.

- Przynajmniej nie umierała sama - odezwała się Evelyn.

Na ulicy zapiszczały opony, za oknem migotały niebieskie światła.

- Może dałyśmy jej trochę... pociechy?

- Nie zdołałyśmy jej uratować! - wykrztusiła Amanda.

- Ale ją znalazłyśmy. Przynajmniej ją znalazłyśmy. Przez kilka ostatnich chwil życia była wolna.

- To za mało.

Evelyn skinęła głową.

- Wiem. To za mało.

Radiowozy zajęchały przed dom, syreny ucichły. Usłyszały męskie głosy wydające rozkazy, udzielające instrukcji. Jak zwykle. Ale i coś jeszcze.

- Co to za odgłos? - zapytała Amanda.

OBECNIE

ROZDZIAŁ 28

SUSANNE FORD

Teraz już wiedziała, co to dźwięk: odgłos wind jeżdżących w górę i w dół. Słyszała ten świst, narastający i opadający, opadający i narastający, kiedy lekarka przecinała nici nożyczkami do papieru.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

Najwyraźniej ona była tu najważniejsza. Pierwsza zjawiała się u boku Suzanny i tylko ona nie przestraszyła się tego, co ujrzała. Mężczyźni trzymali się z dala. Słyszała ich oddechy, jakby para buchała z żelazek. Lekarka kazała jednemu z nich wezwać karetkę, innego posłała po butelkę wody, jeszcze innemu poleciła przynieść koc, poszukać nożyczek. Uwijali się tak szybko, że Suzanna czuła ślad ich obecności długo po tym, jak umilkł odgłos pospiesznych kroków.

- Jesteś bezpieczna - powiedziała lekarka i położyła dłoń na czole Suzanny.

Była ładna. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Suzanna, były jej zielone oczy. Spoglądały na nią znad nożyczek, którymi ostrożnie przecinała nici. Zasłoniła oczy Suzanny ręką, żeby nie oślepiło ją światło. Przecinając nici, którymi były zszyte jej usta, robiła to tak delikatnie, że Suzanna ledwo czuła muśnięcia metalu na skórze.

- Spójrz na mnie. Wszystko będzie w porządku.

Miała spokojny głos. Mówiła z taką cholerną pewnością siebie, że Suzanna jej uwierzyła. A potem go zobaczyła: przyczajonego, skulonego. Wyglądał inaczej, młodziej, ale to był ten sam człowiek. Ten sam potwór.

Zaczęła krzyczeć. Otworzyła usta, wypychane powietrze drapało jej gardło, płuca kurczyły się konwulsyjnie. Krzyczała najgłośniej, jak mogła. Krzyk nie ustawał nawet wtedy, kiedy tamten wyszedł. Krzyczała, mimo że lekarka przemawiała do niej uspokajająco. Krzyczała, kiedy pojawili się sanitariusze. Przestała dopiero wówczas, gdy lekarka wbiła jej igłę w ramię i lekarstwo popłynęło z krwią do najdalszych zakamarków jej ciała.

Natychmiastowa ulga.

Mózg się uspokoił, serce zwolniło biegu. Znowu mogła oddychać, znowu czuła smaki, znowu widziała. Odczuwała całym ciałem - w dłoniach, palcach u rąk, palcach u stóp, wszędzie czuła to mrowienie.

Wyzwolenie. Ocalenie. Zapomnienie.

I Zanna znowu była zakochana.

OBECNIE

ŚRODA

ROZDZIAŁ 29

Z głośników w lexusie Amandy sączył się głos Franka Sinatry, ale Will wciąż słyszał tylko krzyk Suzanny Ford. Poczł ogromną ulgę, kiedy znaleźli dziewczynę żywą. Mało się nie rozplakał, patrząc, jak Sara zajmuje się dziewczyną. Jego ojciec wyrządził jej krzywdę, chciał ją zniszczyć, ale on, Will, go powstrzymał. Zwyciężył. Wreszcie pokonał ojca.

A potem Suzanna spojrzła na niego i zobaczyła w nim Jamesa Ulstera.

Podparł głowę ręką i gapił się na mijane samochody. Jechali Peachtree Road, w korku ciągnącym się od jednego z centrów handlowych. Amanda przyciszyła radio. Głos Sinatry złagodniał jeszcze bardziej. Położyła rękę z powrotem na kierownicy. Druga ręka wisiała na temblaku.

- W weekend podobno ma się ochłodzić - powiedziała.

Miała lekką chrypkę, być może dlatego, że przez ostatnie dwadzieścia minut bez przerwy rozmawiała przez telefon. Ochrona hotelu. Policja miasta Atlanta. Jej agenci z GBI. Nikomu nie mogło ujść na sucho przeoczenie faktu, że poranne wizyty Ulstera na siłowni stanowiły dla niego tylko pretekst do tego, by dostać się do schodów prowadzących na drugi poziom piwnic. Ile razy schodził na dół, żeby ją dręczyć? Ile stracono okazji, żeby go powstrzymać? Więził dziewczynę przynajmniej przez tydzień. Była odwodniona. Wygłodzona. Zmasakrowana. Bóg wie, co jeszcze ją spotkało.

- Oczywiście, nie można wierzyć meteorologom - ciągnęła Amanda.

Przyspieszyła, mijając swoje mieszkanie. Osiedle Regal Park było bardzo ładne, ale i tak nie mogło się równać z najbliższym sąsiedztwem. Znajdowali się w niecce Buckhead. Habersham Road, Andrews Drive, Peachtree Battle - ceny rezydencji przy tych ulicach zaczynały się od dwóch milionów dolarów i szybko rosły, im bardziej na północ. W tym rejonie skupiały się najdroższe nieruchomości w mieście. Dzielnica należała do dziesięciu najzamożniejszych w całym kraju.

- Przydałoby się trochę deszczu.

Dotarli prawie do centrum Buckhead. Will zerknął w zewnętrzne wsteczne lusterko; w pewnej odległości za nimi jechał policyjny radiowóz. Amanda nie wyjaśniła mu, dlaczego, on zaś nie mógł się zdobyć na to, żeby ją o to zapytać. Oddychał płytko, miał spoczone dłonie. Nie potrafiłby wytłumaczyć dlaczego, ale w głębi duszy był przekonany o tym, że lada chwila wydarzy się coś złego.

Amanda zmniejszyła prędkość. Mimo zakazu skręciła w lewo w West Paces Ferry Road, wywołując kakofonię gniewnego trąbienia. Rozchyliła usta, ale tylko po to, by nabrać powietrza. Spodziewał się, że usłyszy od niej jeszcze coś o pogodzie, ona jednak milczała, ze wzrokiem wlepionym w jezdnię.

Will ponownie spojrział przez boczną szybę. Strach sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Już raz go dzisiaj zaskoczyła. To było okrutne z jej strony. Ten wstrząs o mało go nie zabił. Co jeszcze zaplanowała?

Amanda wskazała na budynek z lat sześćdziesiątych z atrapami kolumn w stylu Tary z *Przeminęło z wiatrem*. Rezydencja gubernatora.

- Kilka miesięcy przed twoim przyjściem na świat przeszło tędy tornado. Zerwało dach, rozwaliło Perry Homes.

Nie dał się złapać na przynętę.

- Co się stanie z jego ciałem?

Nie zapytała, kogo ma na myśli.

- Nikt się po nie nie zgłosi, więc zostanie pochowany na koszt państwa.

- Przecież ma pieniądze.

- Zależy ci na nich?

- Nie.

Nie chciał niczego od ojca. Prędeż znowu trafiłby na ulicę, niż sięgnąłby po przesiąknięte krwią pieniądze ojca. Amanda zwolniła przed kolejnym zakrętem i wtedy Will wreszcie zdołał wykrztusić pytanie:

- Dokąd jedziemy?

Włączyła kierunkowskaz.

- Nie wiesz?

Rozejrzał się w poszukiwaniu tablicy z nazwą ulicy. Tuxedo Road. To była najbogatsza część najbogatszej dzielnicy w mieście. Dwa miliony dolarów wystarczyłyby tu zaledwie na roczny podatek od nieruchomości.

- Naprawdę nie wiesz? - zapytała.

Pokręcił głową. Kilkadziesiąt metrów po skręcie dodała:

- Nikt nie ma dostępu do twoich dokumentów z dzieciństwa.

- Wiem.

- Nie znasz nazwiska ojca.

- Ani matki. - Poluzował krawat. Brakowało mu powietrza. - Ten reporter z „Atlanta Journal-Constitution”, były chłopak Faith...
Zadzwoił do ciebie...

- Bo pracowałam przy pierwszej sprawie. - Zerknęła na niego. - To ja za pierwszym razem wsadziłam twojego ojca do więzienia.

- Nieprawda. To byli Butch Bonnie i...

- Rick Landry. - Przyhamowała przed ostrym zakrętem. - Detektywi z wydziału zabójstw. Ja pracowałam w zespole, który nazywano eufemistycznie „waginowym”. Każde przestępstwo, które miało coś wspólnego z waginą, trafiało właśnie do nas. - Zerknęła na niego ponownie, ale tylko po to, by zarejestrować jego reakcję. - Evelyn i ja wykonałyśmy całą robotę, zaszczyty spłynęły na Butcha i Landry’ego. Nie dziw się tak bardzo, wtedy to nie było nic niezwykłego. Przypuszczam, że teraz również nie jest.

Will nie zdołałby odpowiedzieć, nawet gdyby chciał. Zbyt wiele było tego wszystkiego, za dużo informacji. W milczeniu gapił się na mijane rezydencje. Zamki, mauzolea...

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wykrztusił wreszcie.

- Bo to nie miało żadnego znaczenia. Sprawa jak każda inna. Przez te wszystkie lata pracowałam nad wieloma sprawami. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale od bardzo dawna wykonuję tę robotę.

Rozpiął kołnierzyk.

- Mimo wszystko powinnaś była mi powiedzieć.

- Chyba powinnam była powiedzieć ci o wielu rzeczach - odparła tonem świadczącym o tym, że być może wreszcie jest z nim zupełnie szczerą.

Samochód ponownie zwolnił. Amanda włączyła kierunkowskaz i skręciła na długi podjazd. Wiktoriańska rezydencja dorównywała długością boisku piłkarskiemu, a rozciągający się przed nią trawnik miał powierzchnię dwóch takich boisk. Trawę koszono w taki sposób, że powstała na niej szachownica w różnych odcieniach zieleni. Wokół dorodnych dębów rosły azalie i hortensje.

- Kto tu mieszka? - zapytał Will.

Nie odpowiedziała. Zatrzymała samochód przed zamkniętą bramą. Fantazyjnie powyginane pręty pomalowano na lśniąco czerni, dopasowaną do koloru ogrodzenia otaczającego posiadłość. Wcisnęła przycisk na tablicy przy słupie. Minęła co najmniej minuta, zanim odezwał się kobiecy głos:

- Tak?

- Amanda Wagner.

Z głośnika przez chwilę dobiegał szum, potem rozległ się brzęczyk i brama zaczęła się otwierać.

- Pięknie... - wymamrotała Amanda i ruszyła naprzód.

- Kto tu mieszka? - zapytał ponownie Will.

- Naprawdę nie poznajesz?

Pokręcił głową, choć dom istotnie wyglądał odrobinę znajomo. Pofałdowany, rozległy trawnik, po którym można było się turlać, wyrrywając kępki traw...

Podjazd zakręcał łagodnie, kończąc się szerokim kołem, pośrodku którego stała duża fontanna. Woda z pluskiem spływała do betonowej misy. Amanda zatrzymała samochód przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami. Były przesadnie wielkie - miały co najmniej trzy i pół metra wysokości - ale zarazem dopasowane do skali budowli.

Will obejrzał się przez ramię. Radiowóz stał jakieś dziesięć metrów za nimi. Silnik pracował, z rury wydechowej wydobywała się strużka dymu. Amanda poprawiła temblak.

- Zapnij kołnierzyk i popraw krawat.

Zaczekała, aż to zrobi, po czym wysiadła z samochodu.

Żwir zazgrzytał pod stopami Willa. Woda pryskała z fontanny. Zielony, pofałdowany trawnik przyciągał jego wzrok jak magnes. Czy

naprawdę turlał się po nim w dzieciństwie? Pozostały mu tylko strzępki wspomnień, ale żadne z nich nie były szczęśliwe.

- Chodźmy.

Amanda ruszyła w kierunku drzwi, niosąc torebkę w zdrowej ręce. Otworzyły się, zanim zdążyła zadzwonić. W progu, ukryta częściowo w cieniu, stanęła stara kobieta. Wyglądała jak karykatura milionerki z tej okolicy: wyjątkowo chuda, z twarzą, która wydawała się być naciągnięta siłą na czaszkę. Miała mocny makijaż i włosy aż sztywne od lakieru. Ubrana była w czerwoną spódnicę, pantofle na wysokim obcasie i białą jedwabną bluzkę z guziczkami z pereł. Na szczupłe ramiona narzuciła czerwony sweter. Nie traciła czasu na formalności.

- Czeka na was w gabinecie - powiedziała.

Hall niemal dorównywał wielkością głównemu lobby w hotelu „Four Seasons”. Szerokie schody wspinające się symetrycznie na piętro, biały sufit wsparty na podporach z ciemnego drewna. Żyrandol z kutego żelaza. Solidne meble, orientalne dywany z przewagą ciemnych błękitów i głębokich czerwieni.

- Tędy - powiedziała kobieta, prowadząc ich szerokim korytarzem, który ciągnął się wzdłuż całego domu. Odgłos ich kroków odbijał się echem od wyłożonej terakotą posadzki. Will nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem do wnętrza mijanych pokoi. Miał wrażenie, jakby w jego głowie migotała żarówka. Jadalnia z ogromnym mahoniowym stołem. Delikatne porcelanowe serwisy w przeszklonych szafach w salonie. Pokój ze stołem bilardowym, którego nie pozwalano mu dotykać. Wreszcie zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Kobieta zastukała i, nie czekając na odpowiedź, otworzyła je.

- Przyszli.

- Przyszli? Ale kto?

Henry Bennett wstał zza biurka. Miał na sobie granatowy, idealnie dopasowany garnitur. Otworzył usta, zamknął je, po czym potrząsnął głową, jakby miał problemy ze wzrokiem.

Niewiele brakowało, żeby Will uczynił to samo. Nie widział wuja od tylu lat. Kiedy Lucy została zamordowana, Henry właśnie ukończył studia prawnicze. Starał się utrzymać kontakt z jedynym dzieckiem siostry, lecz prawo zabraniało samotnym mężczyznom adoptowania małych dzieci. Zanim Will skończył sześć lat, Henry przestał się nim interesować, co oznaczało, że Will znalazł się w sytuacji, w której nikt go nie chciał. Od tamtej pory nie widział wuja na oczy.

Aż do teraz.

Nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. Wyglądało na to, że Henry także.

- Co, u... - Był wyraźnie zirytowany. - Co to za gra? - zapytał Amandę, wykrzywiając usta w grymasie niechęci.

Will poczuł, że znowu oblewa się lodowatym potem. Wbił wzrok w podłogę, marząc o tym, żeby po prostu zniknąć. Jeśli Amanda liczyła na radosne rodzinne pojednanie, to bardzo, ale to bardzo się pomyliła.

- Wilbur? - zaatakował Henry.

- Muszę zadać ci kilka pytań, Hank - odezwała się Amanda.

- Mam na imię Henry - poprawił ją.

Nie ulegało wątpliwości, że nie przepada za niespodziankami. Za Amandą zresztą także.

Will odchrząknął i powiedział:

- Przepraszam, że zjawiliśmy się tak nagle...

Henry mierzył go wzrokiem, a Will doświadczył déjà vu. Nawet teraz, po latach, Henry wciąż pod wieloma względami przypominał swoją nieżyjącą siostrę: te same usta, te same wystające kości

policzkowe, te same tajemnice. Cała historia jej dzieciństwa, jej rodziców, jej życia. A Will dysponował jedynie cieniutką teczką, z której wynikało tylko to, że Lucy Bennett została brutalnie zamordowana.

- No cóż - odezwała się chuda kobieta. - To dość niezręczna sytuacja. - Podała Willowi rękę. - Jestem Elizabeth Bennett. Jak u Jane Austen, tylko starsza. - Jej uśmiech był równie cienki jak żart. - Wygląda na to, że jestem twoją ciotką.

Willowi nie pozostało nic innego jak ucisnąć wyciągniętą dłoń. Jej uścisk okazał się silniejszy, niż się spodziewał.

- Will Trent.

Uniosła brew, jakby zaskoczyło ją jego nazwisko.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - zapytała Amanda.

Kobieta roześmiała się.

- Stanowczo zbyt długo. - Odwróciła się do męża. - Nie bądź niegrzeczny, kochanie. To nasi goście.

Coś przemknęło między nimi, jakieś bezgłośnie, błyskawiczne porozumienie, charakterystyczne dla ludzi żyjących ze sobą od lat.

- Masz rację. - Henry wskazał na dwa fotele stojące przed biurkiem. - Siadaj, chłopcze. Napijecie się? Mnie z pewnością przydałoby się coś mocniejszego.

- Ja dziękuję - odparła Amanda, siadając nie w fotelu, tylko na stojącej nieco z boku kanapie. Jak zwykle przysiadła na krawędzi siedziska, nie opierając się. Stara skóra zaskrzypiała lekko pod jej niewielkim ciężarem.

- A ty, Wilbur? - Henry stał obok barowego wózka zastawionego butelkami.

- Nie, dziękuję.

Will usiadł na kanapie obok Amandy. Mebel był tak niski, że swobodnie mógłby oprzeć łokcie na kolanach. Z trudem zapanował nad drżeniem nóg. Był zdenerwowany, jakby zrobił coś złego. Henry wrzucił do szklanki kostkę lodu, a następnie wziął do ręki butelkę szkockiej i odkręcił zakrętkę.

Elizabeth zajęła miejsce w skórzanym fotelu. Siedziała w takiej samej pozycji jak Amanda: wyprostowana, na brzeżku siedziska. Otworzyła srebrne pudełko stojące na podręcznym stoliku i wyjęła z niego papierosa i zapalniczkę. Will nie pamiętał, kiedy ostatnio znalazł się w pobliżu jakiegoś palacza. Pomieszczenie było wystarczająco obszerne, by wchłonąć dym, niemniej kiedy tylko kobieta przysunęła płomień do papierosa, poczuł ostrą, gryzącą woń palonego tytoniu.

- Wracając do rzeczy... - Henry przysunął sobie jedno z krzeseł stojących przy biurku. - Domyślam się, że zjawileś się tutaj z jakiegoś powodu. Chodzi o pieniądze? Muszę cię uprzedzić, że nie mam wolnej gotówki. Wszystko zainwestowałem, a rynek jest ostatnio chwiejny.

Will wolałby chyba, żeby tamten wbił mu nóż w brzuch.

- Nie. Nie chcę twoich pieniędzy.

- James Ulster nie żyje - powiedziała Amanda.

Henry znieruchomiał i na chwilę zacisnął usta.

- Słyszałem, że wyszedł z więzienia.

- Owszem - potwierdziła. - Dwa miesiące temu.

Henry odchylił się do tyłu i założył nogę na nogę.

W jednej ręce jakby od niechcenia trzymał szklankę, drugą wygładził rękaw marynarki.

- Wilbur, zdaję sobie sprawę, że pomimo okropieństw, których się dopuścił, Ulster pozostał twoim ojcem. Radzisz sobie z tym?

- Tak.

Will musiał poluzować krawat. Było mu potwornie duszno, chciał jak najprędzej wyjść, szczególnie teraz, kiedy w pokoju zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Elizabeth zaciągnęła się głęboko papierosowym dymem. Uśmiechała się z rozbawieniem, jakby ta niezręczna sytuacja wprawiła ją w doskonały nastrój.

- No cóż - odezwał się wreszcie Henry. - Jak powiedziałem, twój ojciec był bardzo złym człowiekiem. Chyba wszyscy przyjęliśmy z ulgą wiadomość o jego odejściu.

Will skinął głową.

- Tak jest.

Elizabeth strząsnęła do popielniczki popiół z papierosa.

- A jak wygląda twoje życie, młody człowieku? Ożeniłeś się? Masz dzieci?

Will poczuł, że drętwieje mu ramię. Przyszło mu do głowy, że to być może pierwszy objaw zawału serca.

- Jakoś sobie radzę.

- A co z tobą, Hank? - zapytała Amanda. - Wiem, że zostałeś partnerem w kancelarii. Zaledwie trzy lata po studiach zawędrowałeś na sam szczyt. Stary Treadwell dobrze się tobą zajął.

Henry dopił swoją szkocką i odstawił szklankę na biurko.

- Jestem już na emeryturze.

- To chyba wspaniale mieć go ciągle w domu? - zwróciła się Amanda do Elizabeth.

Chuda kobieta zaciągnęła się ponownie.

- Cieszę się każdą chwilą.

Kolejne błyskawiczne, bezgłośnie porozumienie, tym razem między Amandą i Elizabeth Bennett. Will sięgnął do kołnierzyka, lecz Amanda ostrzegawczo dotknęła jego łokcia. Elizabeth wydmuchnęła

kłąb dymu. Gdzieś w głębi domu tykał zegar. Fontanna na podjeździe szumiała monotennie.

- Taaaak... - Palce Henry'ego wybijały rytm na jego kolanie. - Wilbur... - Palce znieruchomiały. Spojrzał na swoją rękę jakby ze zdziwieniem. - Czy coś jeszcze? Właśnie wychodziłem do klubu.

- Ile lat miałyby teraz Lucy? - zapytała Amanda.

Henry nie odrywał wzroku od ręki.

- Pięćdziesiąt trzy?

- Pięćdziesiąt sześć - poprawił go Will.

Henry wyprostował nogę, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął cążki do paznokci.

- Wiesz, Wilbur? Nie dalej jak wczoraj myślałem o twojej matce. Przypuszczam, że to z powodu wiadomości o jego zwolnieniu.

Will miał wrażenie, jakby wokół jego piersi zaciskała się stalowa obręcz.

- Lucy miała przyjaciółkę. Niespecjalnie ładną, ale bardzo przyzwoitą. - Obciął paznokieć u kciuka. - Wydaje mi się, że Lucy wywierała na nią zły wpływ, ale to nie ma nic do rzeczy. - Położył obcięty paznokieć na stoliku obok popielniczki i zajął się kolejnym palcem. - Tak czy inaczej, kiedy latem przyjeżdżałem do domu ze szkoły, słyszałem jak chichoczą w pokoju Lucy i puszczają płyty. Któregoś dnia zajrzałem tam, żeby sprawdzić, o co to całe zamieszanie, i zobaczyłem jak tańczą przed lustrem, śpiewając do szczotek do włosów. - Położył drugi paznokieć obok pierwszego. - Czy to nie idiotyczne?

Will przyglądał się, jak obcina paznokieć u palca środkowego. Henry skrzywił się, kiedy ostrze zawadziło o naskórek. Trzeci paznokieć w kształcie półksiężyca dołączył do pozostałych. Tak jakby

zdziwił się, kiedy podniósłszy wzrok, stwierdził, że wszyscy mu się przyglądają.

- Nie wiem, czy to interesująca anegdota, ale wydawało mi się, że chciałbyś dowiedzieć się czegoś o swojej matce.

- Pamiętasz Evelyn Mitchell? - zapytała Amanda.

- Ledwo, ledwo.

- Evelyn postanowiła odnaleźć pieniądze Ulstera - spojrzała na Willa. - To było jeszcze przed kokainowym boomem w Miami, zanim rząd nakazał bankom ujawniać informacje o znacznych depozytach - dodała na jego użytek.

- Zmierzasz do czegoś? - zapytał Henry, chowając cążki z powrotem do kieszeni.

Amanda podniosła z podłogi torebkę. Była duża, jakby jej właścicielka chciała zmieścić w niej wszystko, co kiedykolwiek mogło okazać się jej potrzebne.

- Ulster żył w slumsach, ale miał dość pieniędzy, żeby wynająć najlepszego adwokata na całym południowym wschodzie. To wywołało zaciekawienie, przynajmniej wśród części z nas.

- Nie mam pojęcia, co to może mieć wspólnego ze mną - stwierdził Henry aroganckim tonem.

- Ulster miał konto oszczędnościowe w banku C&S. Znalismy dziewczynę, która tam pracowała. Powiedziała nam, że miał tam niecałe dwadzieścia dolarów i że nie wykorzystał z tego ani centa na opłacenie adwokata.

- Miał nieruchomości - zauważył Henry.

- Owszem. Dom w Techwood, który w 1995 roku sprzedał za cztery miliony dolarów. - Rozpięła torebkę. - Był ostatnim, który zgodził się na ofertę wykupu. Miasto na pewno przyjęło to z dużą ulgą.

- Mnóstwo ludzi zarobiło dużo pieniędzy na olimpiadzie - powiedział Henry z irytacją w głosie.

- Ulster na pewno.

Amanda wyjęła z torebki gumową rękawiczkę. Jak zwykle, najpierw wytarła dłoń o spódnicę. Z ręką na temblaku było jej trudno założyć rękawiczkę, ale w końcu udało jej się. Następnie sięgnęła do torebki, wyjęła z niej Biblię należącą do ojca Willa, i położyła na stoliku.

- Będziemy się modlić za duszę Ulstera? - roześmiał się Henry.

Amanda otworzyła Biblię.

- W tym miejscu popełniłeś błąd, Hank.

Przez chwilę przyglądał się kopercie, po czym wzruszył ramionami.

- Co to takiego?

- Koperta zaadresowana do Jamesa Ulstera w Więzieniu Miejskim w Atlancie. - Wskazała na nazwisko. - A to jest logo kancelarii Treadwell-Price. Twojej kancelarii.

Will już nawet nie był w stanie dziwić się kolejnym kłamstwom Amandy. Przecież niecałą godzinę temu powiedziała mu, że koperta pochodziła od adwokata jego ojca.

Henry ponownie wzruszył ramionami.

- I co z tego? W środku niczego nie ma.

- Na pewno?

- Tak. - Był bardzo pewny siebie. - Napisałem do niego list, w którym powiedziałem mu, co o nim myślę. Ten człowiek zamordował moją siostrę. Nie udowodnisz, że było inaczej.

- Ale mogę udowodnić, że jesteś leniwą świnią.

Przeszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Jeśli myślisz, że możesz...

- Dałeś list do przepisania sekretarce.

Zerknął na żonę, ale Elizabeth wpatrywała się w Amandę. Wciąż się uśmiechała, lecz w jej uśmiechu nie było ani odrobiny ciepła.

- Nad logo firmy jest twoje nazwisko. - Przekręciła książkę w taki sposób, żeby mógł to zobaczyć. - Napisała je, bo tak nauczono ją w szkole dla sekretarek. Zawsze tak się robi, pisząc służbową korespondencję.

- Moja sekretarka zmarła wiele lat temu.

- Bardzo mi przykro. - Odwróciła Biblię w swoją stronę. - Zapewne nie wiesz, że w starych maszynach do pisania wałki były bardzo ciężkie. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie wsadzić między nie palca.

Henry przesunął cążki na stoliku, tak, by leżały równolegle do jednej z krawędzi.

- Pytam ponownie: do czego zmierzasz?

- Do tego, że kopertę trzeba było wkręcić równo i starannie, żeby adres nie był przekrzywiony. Czasem trzeba było przesuwać ją kilka razy między wałkami. Taka maszyna przypominała trochę starą prasę drukarską, w której ścisnęło się papier, żeby odcisnąć na nim ślady farby drukarskiej. Używałeś jeszcze wiecznego pióra?

Henry znieruchomiał. Powoli zaczął rozumieć.

- Włożyłeś czek do koperty, zanim atrament zdążył wyschnąć. - Amanda ostrożnie rozchyliła kopertę. - Kiedy sekretarka wkręciła kopertę między dwa ciężkie wałki, atrament z czeku odbił się wewnątrz koperty. Tej właśnie koperty. - Uśmiechnęła się. - Twoje nazwisko. Twój podpis. Twoje pieniądze przeznaczone dla Hermana Centrello - adwokata, który bronił mordercy twojej siostry.

Henry ponownie wziął cążki do ręki.

- Trudno to uznać za niezbity dowód.

- Zachował ją przez tyle lat... Ale Ulster był właśnie taki, zgadza się?

- Skąd niby mam wiedzieć jaki...

- Nie interesowały go pieniądze. Stanowiły tylko środek do osiągnięcia celu. Jego życiowym celem było sterowanie życiem innych. Założę się, że za każdym razem, kiedy otwierał tę Biblię, myślał o tym, jak łatwo przewrócić czyjś świat do góry nogami za pomocą jednego słowa szepniętego właściwemu kapusiowi albo jednego telefonu do właściwego prawnika.

- Nie masz żadnego dowodu na to, że...

- Polizales kopertę, żeby ją zakleić, zgadza się, Hank? Nie wyobrażam sobie, żebyś pozwolił zrobić to sekretarce. Mogłaby zacząć się zastanawiać, dlaczego wysyłasz czek opiewający na tak znaczną kwotę do innej kancelarii prawnej, w dodatku wystawiony na nazwisko człowieka oskarżonego o zamordowanie twojej siostry. - Uśmiechnęła się. - Musiałeś głupio się czuć, liżąc własną kopertę. Ile razy coś takiego zdarzyło się przez te wszystkie lata?

Przez twarz Henry'ego najpierw przemknął grymas strachu, a zaraz potem gniewu.

- Nie masz mojego DNA, żeby przeprowadzić porównanie!

- Doprawdy? - Amanda pochyliła się do przodu. - Byłeś kiedykolwiek zadrapany, Hank? Czy Jane nie zadrapała cię w ramię albo klatkę piersiową, kiedy ją dusiłeś?

Zerwał się gwałtownie na nogi, przewracając krzesło.

- Muszę was prosić, żebyście natychmiast stąd wyszli. Wilbur, przykro mi, że dałeś się wplątać w to... - Przez chwilę szukał właściwego słowa. - Szaleństwo.

Will rozpiął kołnierzyk. Miał wrażenie, że lada chwila się udusi. Amanda zdjęła rękawiczkę.

- Zawarłeś z Ulsterem układ, prawda, Hank? Każdy z was dostał to, na czym mu zależało.

- Za chwilę wezwę policję. - Podszedł do biurka i położył dłoń na słuchawce. - Ze względu na Wilbura daję wam ostatnią szansę, żebyście sobie poszli.

- W porządku. - Amanda wstała z ociąganiem. Poprawiła temblak i założyła torebkę na ramię, ale nie skierowała się od razu ku drzwiom. Najpierw zatrzymała się przy przewróconym krześle, na którym jeszcze niedawno siedział Henry i zebrała ze stolika obcięte paznokcie.

- Co robisz? - zaprotestował.

- Zawsze zastanawiałam się, jak to było z Jane. Nie zginęła tak jak inne dziewczyny. Nie miała śladów na ciele. Pobito ją i uduszono. Staraleś się, żeby to wyglądało na samobójstwo, ale byłeś zbyt głupi, żeby domyślić się, że się zorientujemy.

Henry nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od paznokci leżących na dłoni Amandy.

- Jane opowiadała o zaginionych dziewczynach każdemu, kto chciał jej wysłuchać. Wykorzystałeś więc swoją kancelarię, żeby pociągnąć za sznurki w komendzie. Przypuszczałeś, że Jane przestraszy się policji.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nigdy nie rozumiałeś kobiet, zgadza się, Hank? Udało ci się tylko wkurzyć Jane i skłonić ją, żeby mówiła jeszcze więcej.

Amanda otworzyła dłoń i paznokcie posypały się na dywan. Niewiele brakowało, żeby Henry wyskoczył zza biurka, ale w ostatniej chwili pohamował się i rzucił do żony:

- Pozbieraj je. Prędko!

Elizabeth zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Raczej nie, Henry - odparła wreszcie. - Nie dzisiaj.

- Porozmawiamy o tym później. - Zaczął nerwowo wystukiwać numer na klawiaturze. - Dzwonię na policję.

- Policja czeka za drzwiami - poinformowała go Amanda. - Koperta w zupełności wystarczy, żeby cię aresztować. Znam dziewczynę w laboratorium, która wprost nie może się doczekać, żeby dostać się do twojego DNA.

- Zdaje się, że kazałem ci stąd wyjść.

Henry odłożył słuchawkę, ale natychmiast podniósł ją i zaczął wybierać inny, znacznie dłuższy numer. Dzwonił do swojego prawnika.

- Wiesz co? Ani trochę go nie przypominasz - powiedziała Elizabeth. Jej słowa nie były skierowane do Amandy ani do Henry'ego, tylko do Willa. - Jesteś łagodny, a James budził przerażenie. Nie musiał niczego mówić, robić ani nawet oddychać. Każdy, kto znalazł się w jego pobliżu, czuł się tak, jakby zaglądał w czeluść piekła.

Will nie mógł oderwać wzroku od jej brzydkich ust.

- Mówił, że chciał je zbawić. Chyba nie za bardzo mu się udało. - Zaciągnęła się głęboko. - Lucy dał przynajmniej szansę, żeby zrobiła coś dobrego, żeby dała światu coś czystego.

- O czym pani mówi? - wykrztusił Will.

- Dziewczynki się nie liczą. Nigdy się nie liczyły. - Ściągnęła mocno umalowane usta tak mocno, że całe pokryły się siecią zmarszczek. - Ale ty, przystojniaku... Zostałeś ocalony przed Jamesem. Przed jego brutalnością, przed jego szaleństwem. Byłeś naszą nadzieją. Mam nadzieję, że sprostasz zadaniu.

Will patrzył, jak Elizabeth strząsa popiół do popielniczki. Miała długie paznokcie, pomalowane na jaskrawo-czerwony kolor, pasujący do spódnicy i swetra.

- Pracowali razem, prawda? - zapytała Amanda.

- Ale nie tak, jak myślisz. Jasne, Hank też nieźle się bawił, ale z pewnością zauważyłaś, że nie lubi brudzić sobie rąk.

- Zamknij się! - warknął Henry. - Natychmiast!

Mówiła dalej do Willa, nie zwracając na męża najmniejszej uwagi.

- Nie zależało mu na tobie, ale równocześnie nie chciał, żeby miał cię ktokolwiek inny. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Przykro mi z tego powodu. Naprawdę.

- Ostrzegam cię, Elizabeth! - wysyczał Henry. Po policzku spływała mu strużka potu. Ona jednak nadal go ignorowała, patrząc na Willa ze złowieszczym uśmiechem.

- Zabierał cię z domu dziecka na dzień, najwyżej na dwa.

Słyszałam, jak bawisz się na dole... Na tyle, na ile dziecko może się bawić, niczego nie dotykając. Czasem słyszałam twój śmiech.

Uwielbiałeś turlać się po trawniku. Robiłeś to całymi godzinami: w dół i w górę, w dół i w górę, przez cały czas zanosząc się śmiechem. Zaczynałam się do ciebie przywiązywać, a potem Henry odsyłał cię do domu dziecka i znowu byłam sama.

- Ja nie... - Will musiał przerwać, żeby nabrać powietrza. - Nie pamiętam pani.

Podniosła papieros do ust. Na ustniku widać było ślady szminki.

- Nic dziwnego. Widziałam cię tylko raz. - Roześmiała się cicho. - Wyjątkowo nie byłam wtedy związana.

Ze słuchawki, którą Henry trzymał w dłoni, dobiegł przytłumiony kobiecy głos. Henry nie poruszył się; stał bez ruchu, ze słuchawką daleko od ucha, wpatrzony w żonę.

- Wiesz, równie dobrze to mogłam być ja - ciągnęła Elizabeth. - To ja mogłam być twoją matką, to ja...

- Zamknij się, Kitty! - syknęła Amanda.

Wypuściła z ust kłęb dymu. Siwe pasma wplątały się w jej rzadkie, jasne włosy.

- Nie mówię do ciebie, suko.

15 lipca 1975 roku

ŚRODA

ROZDZIAŁ 30

Wyraźnie coś słyszała, ale nie była pewna co: jakby łomotanie albo stukanie. Po domu biegali mężczyźni w ciężkich butach, pokrzykując do siebie. Opuszczono schody prowadzące na poddasze, ktoś sprawdzał, co tam się dzieje. Przez szpary w podłodze prześwitywało światło latarki.

Amanda wyszła do hallu.

- Zamknąć się! Wszyscy niech natychmiast się zamkną! - krzyknęła co sił w płucach.

Wszyscy znieruchomieli i wpatrzyli się w nią, niepewni, co robić. Teraz zagadkowy dźwięk był znacznie bardziej wyraźny. Dobiegał z kuchni. Evelyn przedarła się przez tłum, kierując się w głąb domu.

- Ejże! - zaprotestował ktoś.

Amanda poszła za nią do kuchni. Szafki miały metalowe fronty i laminowane blaty w spiralny, złocisty wzór. Wyposażenie pochodziło częściowo jeszcze z lat trzydziestych. Oświetlenie, tak jak w innych pomieszczeniach, stanowiła goła żarówka.

- Słyszysz?

Siniak na szczęce Evelyn przybrał już ciemnoczerwoną barwę, opuchlizna rozlała się na całą dolną połowę twarzy. Amanda nasłuchiwała z zamkniętymi oczami. Żadnego łomotu, żadnego stukania. Nic. Pokręciła głową, a Evelyn westchnęła głęboko.

Funkcjonariusze kręcący się po domu szybko tracili cierpliwość. Znowu zaczęły się rozmowy; w miarę jak na miejsce przybywało coraz więcej ludzi, stawały się coraz to głośniejsze. Drzwi wejściowe

były otwarte na oścież. Amanda widziała wszystko, co dzieje się na ulicy. Przyjechała karetka. Sanitariusz wyskoczył przez tylne drzwi i skierował się do domu, ale stojący przed wejściem policjant zatrzymał go i wskazał na podjazd. James Ulster jeszcze żył. Słyszała przez otwarte okno jego jęki.

- Poddasze czyste! - rozległ się czyjś głos. - A teraz niech mnie ktoś stąd zabierze!

- Słyszałaś, prawda? - zapytała Evelyn.

- Tak.

Amanda oparta się o blat. Stały obie bez ruchu, wyęzając słuch... i znowu to usłyszały. Szelest papieru, stłumiony łomot. Dźwięki dobiegały spod zlewozmywaka.

Evelyn wciąż miała rewolwer w ręce. Wyciągnęła go przed siebie, Amanda mocniej zacisnęła palce na rękojeści swojej broni. Jeden, dwa, trzy... policzyła bezgłośnie, po czym otworzyła drzwiczki.

Nikt nie wyskoczył z szafki, nikt nie zaczął strzelać. Evelyn pokręciła głową.

- Pusto.

Amanda zajrzała do szafki. Przypominała szafkę w jej kuchni. Po jednej stronie różne środki czystości i parę szmat, po drugiej duży, kuchenny kosz na śmieci, tak duży, że z trudem zmieścił się pod zlewozmywakiem. Amanda już miała zamknąć drzwiczki, kiedy kosz się poruszył.

- O Boże... - szepnęła Evelyn, chwytając się ręką za pierś. - To chyba szczur!

Obie wyjrzały do hallu. Po domu kręciło się co najmniej trzydziestu policjantów.

- Potwornie boję się szczurów... - wyszeptała Evelyn.

Amanda też za nimi nie przepadała, ale nie zamierzała zaprzepaścić wszystkiego, co dzisiaj dokonały, prosząc o pomoc jakiegoś dużego, silnego faceta. Kosz poruszył się znowu, z wnętrza dobiegło coś w rodzaju kasznięcia.

- Boże! - Evelyn rzuciła broń na blat, uklękła przed szafką i zaczęła ciągnąć ze wszystkich sił. - Pomóż mi!

Amanda chwyciła za górną część kosza i szarpnęła najmocniej jak potrafiła. Pokrywa spadła, a ze środka spojrzęło na nie dwoje maleńkich oczu. Były owalne, błękitne, z powiekami cienkimi jak bibułka.

Dziecko zamrugało, po czym uśmiechnęło się do Amandy. Poczowała ucisk w sercu, łzy napłynęły jej do oczu.

Maleńkie rączki, tłusciutkie, podkurczone palce u stopek...

- O mój Boże! - szepnęła Evelyn, mocując się z ogromnym koszem, starając się jak najbardziej odgiąć jego krawędź. - O mój Boże...

Amanda wyciągnęła rękę, delikatnie dotknęła policzka dziecka. Był ciepły. Odwróciło głowę, przytuliło się do jej dłoni, musnęło ją ręką, podkuiliło nóżki. Chłopczyk - bo to był chłopczyk - był prześliczny i wręcz niewyobrażalnie malutki.

- Mam! - Evelyn wreszcie zdołała wyszarpnąć kosz spod zlewozmywaka. Wzięła chłopca na ręce, przytuliła do piersi. - Biedactwo... - wymamrotała, całując go w główkę. - Nieszczęsne biedactwo...

Nie wiadomo, skąd i dlaczego, ale Amanda poczuła ukłucie zazdrości. Łzy napłynęły jeszcze obficie, rozmazały obraz, oślepiły ją. A potem pojawiła się wściekłość. Ze wszystkich okropieństw, jakich była świadkiem w ciągu minionego tygodnia, to było najgorsze. Jak do tego doszło? Kto porzucił to dziecko?

- Amanda? - Do kuchni weszła Deena Coolidge z błękitną chustką na szyi. Miała na sobie biały laboratoryjny fartuch. - Ev? Co się stało? Wszystko w porządku?

Amanda odwróciła się gwałtownie, wyszła z kuchni i biegiem rzuciła się do drzwi. Ulstera wnoszono właśnie do karetki. Wypadła na ulicę i odepchnęła sanitariusza. Ulster był przykuty kajdankami do noszy. Rozcięto na nim ubranie, jeden zakrwawiony opatrunek widać było na boku, drugi na nodze. Miał też obandażowane ramię. Jego szyja miała taki sam kolor jak szczęka Evelyn.

- Musimy mu zrobić tracheotomię - powiedział sanitariusz. - Dusi się.

- Znalazłyśmy go! - rzuciła Ulsterowi w twarz. - Pokonałyśmy cię. Ja cię pokonałam!

Wilgotne usta Ulstera wykrzywił szyderczy uśmiech. Z trudem oddychał, a mimo to naigrawał się z niej.

- Amanda Wagner. Evelyn Mitchell. Deena Coolidge. Cindy Murray. Pam Canale. Holly Scott. Pamiętaj te nazwiska. Pamiętaj nazwiska kobiet, które doprowadziły cię do upadku.

Z ust Ulstera ze świstem wydobyło się powietrze. Zadrzał, ale nie ze strachu, tylko ze śmiechu. Jego oczy miały wyraz, jaki widziała już milion razy: u ojca, u Butcha i Landry'ego, u Bubby Kellera. Był rozbawiony. Traktował ją z wyższością. W porządku, laleczko. A teraz już zmykaj.

Stała tuż przy noszach, górując nad nim tak, jak kiedyś on górował nad nią.

- Nigdy go już nie zobaczysz. - Zamrugął, bo drobinki jej śliny spadły mu na twarz i do oka. - A on nigdy nie pozna ciebie.

Przysięgam na Boga, że nigdy się nie dowie, co zrobiłeś.

Uśmiech nie zniknął z ust Ulstera. Odetchnął raz, drugi... Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był niewiele silniejszy od chrapliwego westchnienia.

Zobaczmy...

23 lipca 1975 roku

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ 31

Uśmiechnięta Amanda skręciła na parking przy komisariacie Strefy Pierwszej. Miesiąc temu wyśmiałaby każdego, kto by jej powiedział, że jeszcze kiedykolwiek z przyjemnością pojawi się tutaj. Tydzień służby patrolowej nieźle dał jej w kość.

Zaparkowała na jednym z wolnych miejsc w dalszej części parkingu. Samochód lekko szarpnął, kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce. Zerknęła na zegarek; Evelyn się spóźniała. Właściwie powinna zaczekać na nią w środku, ale nie chciała zepsuć tego, co uważała za ich wspólny, triumfalny powrót. Pięć dni w grubym mundurze, w spiekocie, spędzone na obserwowaniu leniwych bachorów przechodzących przez jezdnię w niczym nie zmieniło faktu, że schwytały mordercę.

Rozpięła torebkę i wyjęła ostatni raport, jaki kiedykolwiek miała napisać dla Butcha Bonniego. Nie zrobiła tego z dobroci serca, tylko po to, by upewnić się, że wszystko wykonała tak, jak należy.

Wilbur Trent. Amanda sama nadała dziecku imię, ponieważ nikt inny nie chciał tego uczynić. Hank Bennett nie zamierzał brukać nazwiska, a być może zależało mu też na tym, by uniknąć prawnych komplikacji związanych z posiadaniem spadkobiercy przez Lucy. Evelyn miała rację co do ubezpieczenia: teraz, kiedy oboje rodzice Hanka nie żyli, a jego siostra została zamordowana, stał się jedynym dziedzicem majątku. Choć został milionerem, pozwolił, żeby siostrę pochowano w ubogiej mogile na koszt miasta.

Tak więc to na Amandę spadł obowiązek kupienia Wilburowi pierwszego kocyka i pierwszej, wręcz niewiarygodnie maleńkiej, bluzeczki. Pozostawienie go w sierocińcu było najtrudniejszym doświadczeniem w jej życiu. Nawet trudniejszym niż stanięcie twarzą w twarz z Johnem Ulsterem. Trudniejszym niż znalezienie własnej matki, wiszącej na gałęzi drzewa.

Zamierzała dotrzymać słowa danego Ulsterowi. Dziecko nigdy się nie dowie, że jego ojciec był potworem. I nie dowie się, że jego matka była narkomanką i dziwką.

Nigdy wcześniej nie zmyślała niczego w raportach, obawiała się więc trochę wrażenia, jakie wywrą kłamstwa i nieprawdy dotyczące życia Lucy Bennett, zawarte w jej dokumentacji. Tak, chłopiec nigdy się nie dowie. Z tej tragedii musi w końcu wyniknąć coś dobrego.

- I co nowego? - zapytała Evelyn, podchodząc do samochodu.

Miała na sobie brązowe spodnie i koszulę w pomarańczową kratę. Siniak na szczęce zaczął już zmieniać kolor na żółty, ale wciąż obejmował niemal całą dolną połowę twarzy.

- Dlaczego ubrałaś się jak mężczyzna? - odpowiedziała pytaniem Amanda.

- Jeżeli mamy włączyć się po mieście, to wołałabym nie podrzeć następnych nowych rajstop.

- Nie sądzę, żebyśmy musiały się włączyć.

Amanda schowała raport do torebki i zapieła ją szybko. Nie chciała, żeby Evelyn zobaczyła odpowiedź Wydziału Śledczego na wniosek, który złożyła niedawno. Jej ojciec odzyskał pracę. Kapitan Duke Wagner już pod koniec miesiąca znowu będzie zarządzał Strefą Pierwszą. Wsiadła z samochodu.

- Rano znowu byłaś w sierocińcu? - zapytała Evelyn ze współczuciem.

Amanda udała, że nie słyszy pytania.

- Muszę umyć ręce.

Evelyn podążyła za nią na zaplecze Plaza Theater. Amanda westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Powiedziałam to po to, żebyś zostawiła mnie samą!

Evelyn otworzyła drzwi wyjściowe; ze środka buchnęły jęki i postękiwania jakiejś gwiazdki porno. Dwaj mężczyźni stojący w hallu spojrzeli na nie ze zdziwieniem.

- Pozdrowienia od żon - rzuciła Evelyn, kierując się do łazienki.

Amanda szła za nią, kręcąc głową.

- Przez ciebie ktoś kiedyś w końcu nas zastrzeli.

Evelyn jakby nigdy nic podjęła przerwany wątek:

- Kochanie, nie możesz bywać u niego codziennie. Dzieci mają ogromną potrzebę przywiązywania się do ludzi, a ty przecież nie możesz pozwolić, żeby przywiązał się do ciebie.

Amanda odkręciła kurek i zaczęła myć ręce, nie odrywając od nich wzroku. Marzyła o tym, żeby między nią a Wilburem wytworzyła się silna więź, ale nie mogła się zdobyć na to, żeby o tym komukolwiek powiedzieć. Miała dwadzieścia pięć lat i była samotna. Nie było mowy o tym, żeby zezwolono jej na adopcję. I chyba słusznie.

- Dostałaś od Pete'a płytkę z próbką naskórka? - zapytała Evelyn.

Amanda oklepała sobie twarz dłońmi zmoczonymi w zimnej wodzie. Kopertę z płytką miała w torebce.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego to ma mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Pete ma rację. Nauka czyni ogromne postępy. Teraz do niczego to się nam nie przyda, ale kiedyś... Kto wie? Tylko nie zostaw jej razem z innymi materiałami dowodowymi. Za pięć lat trafi na śmietnik.

Amanda zakręciła wodę.

- Gdybyśmy mieli karę śmierci, to wszystko byłoby bez znaczenia.

- Amen. - Evelyn wyjęła z torebki puderniczkę. - Gdzie schowasz kopertę?

- Nie mam pojęcia. - Bez podpisu Duke'a nie bardzo mogła pójść do banku i poprosić o udostępnienie skrytki. - Może w sejfie, w którym trzymasz broń?

- Moim zdaniem, powinna być blisko dziecka. Poproś Ednę, żeby ją gdzieś wepchnęła. - Uśmiechnęła się. - Byle nie do spiżarni.

Amanda roześmiała się głośno. O Ednie Flannigan krążyły legendy, ale była dobrą kobietą, troszczącą się o dzieci. Od razu polubiła Wilbura. Amanda nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zresztą trudno było go nie polubić.

- Mogę wziąć któryś z twoich podręczników?

Evelyn przerwała pudrowanie nosa.

- Dlaczego?

- Edna powiedziała, że możemy zostawić dziecku trochę rzeczy. Dostanie je, jak podrośnie. Pomyślałam więc, że może...

Evelyn знаła historię Lucy Bennett, przodującej studentki. Sama pomagała ją tworzyć, dostarczając szczegółów z życia Georgia Tech.

- Mogę dać ci jedną z książek ze statystyki, ale musisz mi obiecać, że przestaniesz się nad sobą roztkliwiać.

- Wcale się nie roztkliwiam.

Evelyn zatrzasnęła puderniczkę.

- Musimy pogadać o naszej następnej sprawie.

- O jakiej sprawie?

- A raczej o sprawach. Mam na myśli niewyjaśnione zabójstwa. Mogłybyśmy się nimi zająć.

- Zapomniałaś już, że to przez Landry'ego trafiłyśmy za karę do służby patrolowej? - Duke wiedział wszystko po zaledwie dwóch

rozmowach telefonicznych. Landry był kumplem od kieliszka dowódcy, który podpisał się pod rozkazem przeniesienia. To nawet nie był spisek, tylko zemsta męskiej szowinistycznej świni, która nie mogła się pogodzić z tym, że dwie kobiety próbują wykonywać jego robotę. - Tego tylko trzeba, żeby znowu wziął nas na celownik!

- Nie boję się tego palanta. - Poprawiła włosy w lustrze. -
Uratowaliśmy komuś życie, Amando.

- Ale nie udało nam się uratować trzech, a może czterech. - Bóg wie, gdzie była teraz Kitty Treadwell. Przypuszczalnie na miejskim wysypisku śmieci. Co prawda jej ojcu i tak było wszystko jedno. Andrew Treadwell nie odbierał telefonu i nie zamierzał przyznać, że miał drugą córkę. - My też nie wyszliśmy z tego bez szwanku.

- Ale teraz znamy ludzi, mamy dojście do informacji, wiemy kogo i o co pytać... Możemy pracować tak jak chłopaki, a nawet lepiej!

Amanda wytrzeszczyła na nią oczy. Rozlegające się w tle postękiwanie ze ścieżki dźwiękowej filmu pornograficznego sprawiły, że słowa Evelyn zabrzmiały jeszcze bardziej absurdalnie.

- Czy ty naprawdę wszędzie potrafisz dostrzec coś pozytywnego?
- Nie wszędzie. Weźmy na przykład Hitlera. Albo światowy głód. Albo komunistów.

Evelyn ponownie sprawdziła w lusterku makijaż. Amanda uczyniła to samo; zmarszczyła brwi, bo to, co zobaczyła, wcale ją nie ucieszyło. Nie tylko Evelyn dorobiła się siniaków; jej szyja była niemal czarna tam, gdzie zacisnęły się palce Ulstera. Poza tym bolały ją żebra, a szramy na dłoniach i stopach piekły coraz bardziej.

Evelyn pochwyciła jej spojrzenie w lustrze. Rany wojenne. Uśmiechnięte wyszły z łazienki.

- Wspominałam ci o tym komandosie z Północnej Karoliny, który zamordował całą rodzinę? - zapytała Evelyn.

- Tak. - Amanda powstrzymała ją ruchem ręki. - Nawet dwa razy. Szczerze mówiąc, wolałabym porozmawiać o naszej sprawie, niż znowu wysłuchiwać szczegółów tamtej.

Hall był pusty. Evelyn zatrzymała się i oparła dłonie na biodrach.

- Wiesz co? Wciąż myślę o tych polisach ubezpieczeniowych...

Hank Bennett. Nie mogła mu odpuścić.

- Szukając Lucy Bennett, poszedł do noclegowni, trafił do stołówki i tam poznał Jamesa Ulstera - ciągnęła.

- Nawet jeżeli się znali, to jeszcze nie znaczy, że pracowali razem - zwróciła jej uwagę Amanda i pokręciła głową. - Po co? Dlaczego miałby to robić?

- Usuwa siostrę, żeby nie mogła odziedziczyć pieniędzy rodziców. Kitty Treadwell i jej pieniądze zatrzymuje dla siebie.

- Uważasz, że Hank Bennett przetrzymuje gdzieś Kitty... - To nie było pytanie. Przecież wałkowała tę sprawę przez cały tydzień. - Tylko po co?

- Żeby szantażować Andrew Treadwella. - Uśmiechnęła się. - Zapamiętaj moje słowa: pewnego dnia to Hank Bennett będzie szefem kancelarii.

Amanda westchnęła głośno, zastanawiając się, czy częściowej winy za te szaleńcze teorie spiskowe nie ponoszą czasopisma Evelyn.

- Kitty Treadwell spoczywa w jakimś płytkim grobie. Ulster porywał je, żeby zabijać, a nie żeby przywracać społeczeństwu.

- Ktoś włożył to dziecko do kosza.

Na to Amanda nie miała odpowiedzi. Kiedy znaleźli Lucy, była jeszcze częściowo przyszyta do materaca. Pete Hanson nie potrafił dokładnie określić czasu, jaki upłynął między przyjściem na świat Wilbura a śmiercią Lucy. Mogli tylko przypuszczać, że dziewczyna na pewien czas odzyskała swobodę ruchów i wtedy ukryła dziecko.

A potem co? Ulster wrócił do domu i po prostu przyszył ją znowu?

- Wydaje mi się, że coś nam umknęło - powiedziała Evelyn.

Amanda nie chciała dolewać oliwy do ognia, ale miała takie samo odczucie.

- Kto jeszcze mógł im pomagać? Trey Callahan utknął w Biloxi z narzeczoną. Twierdził, że ukradł pieniądze z noclegowni tylko po to, żeby mieć za co wydać swoją książkę. Nie ulega wątpliwości, że Ulster starał się zrobić Callahana w to, co stało się z Ofelią. Nie wydaje ci się, że gdyby był drugi zabójca, to Ulster starałby się skierować podejrzenia na niego?

- A może zastanówmy się, skąd pochodzą pieniądze?

Herman Centrello. Evelyn uwzięła się, żeby wysledzić, jakim cudem Jamesa Ulstera było stać na zatrudnienie najlepszego obrońcy w sprawach kryminalnych na całym południowym wschodzie. Amanda pokręciła głową.

- Dlaczego to ma mieć jakiegokolwiek znaczenie? Przecież teraz nawet najlepszy prawnik na świecie nie wyciągnie go z więzienia. Ulster został złapany na gorącym uczynku. Na nożu są jego odciski palców.

- Ale to, co zrobił z innymi dziewczynami, ujdzie mu na sucho. Nie potrafimy udowodnić, że cokolwiek łączyło go z Jane i Mary, nie mamy ciała Kitty, o ile ono w ogóle gdzieś jeszcze jest... Będzie mógł ubiegać się o warunkowe zwolnienie. Dlatego pilnuj tej płytki jak oka w głowie. Może wtedy nauka będzie już na niego gotowa.

- Będzie miał pod siedemdziesiątkę. Będzie miał kłopoty z chodzeniem, a co dopiero mówić o zrobieniu komuś krzywdy.

Evelyn pchnęła drzwi.

- A my będziemy emerytowanymi babciami, które mieszkają z mężami na Florydzie i zastanawiają się, dlaczego dzieci do nas nie dzwonią.

Amanda chciała zachować ten obraz pod powiekami. Chciała myśleć o nim, próbując zasnąć, ale ilekroć zamknęła powieki, natychmiast widziała szydery wyraz oczu Ulstera. Naigrawał się z niej. Coś ukrywał i dobrze wiedział, że dzięki temu ma nad wszystkimi przewagę.

- Czy Kenny dzwonił? - zapytała Evelyn.

Amanda uznała, że jej rumieniec jest wystarczającą odpowiedzią. Poprawiła torebkę na ramieniu. Kiedy zbliżyły się do komisariatu, zobaczyły jakieś zamieszanie przy wejściu: dwaj policjanci siłowali się z jakimś włóczęgą. Jak nic mógł już liczyć na wyrok za stawianie oporu funkcjonariuszom. Ciągnęli go za kołnierz, a on jak szalony wymachiwał rękami.

- I pomyśleć, że chciałyśmy do tego wracać - mruknęła Amanda. Evelyn zerknęła na zegarek.

- Do licha, spóźnimy się na odprawę.

I to tyle, jeśli chodzi o triumfalny powrót. Luther Hodge najprawdopodobniej posadzi je na cały tydzień za biurkami. Amanda szczerze tego nienawidziła, ale przynajmniej będzie miała Evelyn, żeby się wyżyć. Może jednak rzuci okiem na akta spraw zaginionych czarnych dziewcząt. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby zacząć wspólnie układać kolejną łamigłówkę.

- Hej!

Włóczęga wciąż stawiał zacięty opór. Jeden z funkcjonariuszy zdzielił go na odlew w ucho. Głowa mężczyzny odskoczyła w bok jak piłka.

Sala odpraw jak zwykle była zatłoczona i cuchnęła papierosowym dymem. Tak jak zawsze, stały w nim ustawione w nierówne rzędy stoliki: biali siedzieli po jednej stronie, czarni po drugiej. Mężczyźni z przodu, kobiety z tyłu. Hodge stał na podeście. Wszyscy czekali na odprawę.

Jednak, z jakiegoś powodu, zaczęli podnosić się z krzeseł.

Zacząli biali detektywi, po chwili z pewnym ociąganiem dołączyli do nich czarni. Poruszenie ogarniało stopniowo całe pomieszczenie; jako ostatnia wstała Vanessa Livingston, jak zwykle usadowiona w ostatnim rzędzie. Uśmiechnięta z dumą, pokazała im uniesione kciuki.

Evelyn była zupełnie oszołomiona, ale szła przed siebie z uniesioną głową. Amanda podążała tuż za nią.

Funkcjonariusze rozstępowali się przed nimi w milczeniu. Nikt nie gwizdał, nikt nie pohukiwał, kilku z powagą skinęło głowami. Jedynym, który wciąż siedział, był Rick Landry, ale już Butch Bonnie stał niemal na baczność, mierząc je wzrokiem, w którym przy pewnej dozie dobrej woli można było doszukać się nawet oznak niechętnego szacunku.

Czar prysł, kiedy dwaj mundurowi wrzucili do sali włóczęgę. Rozciągnął się jak długi na podłodze, ale natychmiast zerwał się na nogi.

- Zapłacicie mi za to, sukinsyny! - wrzasnął.

Chwilę potem wybałuszył oczy, uświadomiwszy sobie, że znalazł się w pomieszczeniu pełnym gliniarzy, i niepewnie zerknął na Evelyn i Amandę.

- Eee... Szanowne panie wybaczą...

Butch wyjął z ust wykałaczkę.

- To nie żadne panie, koleś - wycedził. - To policjantki.

Atmosfera natychmiast zelżała, zaczęto przerzucać się

żartami. Włóczęgę wywleczono za drzwi, a Hodge załomotał pięścią w stół, żeby przywrócić spokój. Przeciskając się w głąb sali, Amanda ze wszystkich sił starała się ukryć uśmiech. Wiedziała, że Evelyn czuje się tak samo.

W końcu zostały zaakceptowane.

OBECNIE

ŚRODA

ROZDZIAŁ 32

Will siedział na drewnianej ławeczce na szczycie trawiastego pagórka. Z łokciami opartymi na kolanach obserwował, jak policyjny radiowóz wyjeżdża z podjazdu na ulicę.

Jego wuj był mordercą, podobnie jak ojciec. Dwóch morderców w najbliższej rodzinie.

Na żwirze zachręściły kroki. Amanda położyła mu dłoń na ramieniu, tylko po to jednak, by łatwiej było jej usiąść.

Oboje patrzyli na opustoszałą ulicę. Sekundy łączyły się w minuty, a uszy Willa wciąż wypełniał biały szum. Jego mózg nie mógł sobie z tym poradzić, nie był w stanie skupić się na żadnej myśli. Amanda westchnęła głęboko.

- Evelyn nigdy mi tego nie wybaczy. Przez cały czas była przekonana, że musiał być ktoś jeszcze.

- Czy ona będzie zeznawać przeciwko niemu?

- Kitty? - Wzruszyła zdrowym ramieniem. - Wątpię. Gdyby miała coś powiedzieć, już dawno by to zrobiła. Mam wrażenie, że jest pod zbyt dużym wpływem Henry'ego. - Roześmiała się ze smutkiem. - Przeszedłeś bardzo długą drogę, chłopcze.

Will nawet nie próbował udawać, że jest mu z tym wszystkim dobrze. Nie potrafił rozprawić się z traumą za pomocą jednej kąśliwej uwagi, tak jak Amanda.

- Powiedz mi, co się właściwie wydarzyło. Tak naprawdę.

Amanda w milczeniu spoglądała na rozległy trawnik, większy i lepiej utrzymany niż w większości ogólnie dostępnych parków. Potrzebowała czasu, żeby zebrać myśli. Dla Amandy Wagner szczerłość nie była czymś naturalnym. Will widział, jak dużo wysiłku ją to kosztowało.

- Jak wiesz, były dwie ofiary - przemówiła wreszcie. - Twoja matka i Jane Delray.

- Zgadza się. - Will znalazł tę informację w aktach ojca. Nie udało się zebrać dowodów, które pozwoliłyby oskarżyć Jamesa Ulstera o zamordowanie Jane Delray, ale panowało powszechne przekonanie, że to on jest odpowiedzialny za jej śmierć. - Tak właśnie działał: porywał dwie, a potem decydował, którą sobie zostawić.

- Były jeszcze dwie inne dziewczyny: Mary Halston i Kitty Treadwell.

Will zacisnął dłonie.

- Twoja matka i Mary Halston miały identyczne obrażenia: ślady po igle. Z Jane było inaczej. Nie została uprowadzona. Zamordował ją pod wpływem nagłego impulsu. Została uduszona, a następnie zrzucona z dachu, żeby jej śmierć wyglądała jak samobójstwo.

- Henry?

- Nabrałam pewności dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam ten czek. Powiedziałam prawdę. Evelyn nie dawało spokoju to, że Ulstera stać na takiego drogiego adwokata. Szczerze mówiąc, mnie też to dziwiło. Ulster nigdy nie przywiązywał wagi do spraw materialnych. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby sprawować kontrolę nad ludźmi. Myślę, że zmuszając Hankę do wysłania tego czeku, udowodnił, że nad nim też w jakimś stopniu sprawuje kontrolę.

- Henry na pewno będzie się starał zbagatelizować kopertę. Dobrze wiesz, że ten czek to za mało.

- Ale jego DNA będzie pasowało do próbki pobranej przy okazji sprawy Jane Delray. Jak tylko dowiedziałam się, że twój ojciec jest na wolności, zadzwoniłam do dziewczyny zajmującej się archiwum dowodowym. To cud, że wszystko przetrwało w nienaruszonym stanie. Bez tego nigdy nie udałoby nam się przygotować aktu oskarżenia.

- Jakie są dowody?

- Tak jak powiedziałam wcześniej: Jane, broniąc się, podrapała napastnika. DNA z fragmentów naskórka pobranych spod jej paznokci będzie odpowiadało DNA z koperty.

- Jesteś pewna?

- A ty nie?

Był pewien. Widział wyraz twarzy wuja.

- A co z Kitty?

- Mogę się tylko domyślać. Ulster wyciągnął ją z nałogu, a Hank zatrzymał, żeby doić Treadwella. - Wskazała głową na dom. - Całkiem niezły plan, jak sam widzisz.

Will spojrzał na okazały budynek. „Rezydencja” to nie było właściwe słowo. Bardziej pasowało „muzeum”. Albo „więzienie”.

- Jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?

Mógłby zadawać pytania do końca życia.

- Dlaczego wyrywasz mi zęby bez znieczulenia?

- Bo dla mnie to też jest bolesne, Will.

Tego nie wziął pod uwagę. Mimo całej jej fanfaronady, wiedział, że jest emocjonalnie zaangażowana. Jej pierwsza sprawa, jej pierwsze zabójstwo. Starła się sprawiać wrażenie, że nic ją to nie obchodzi, ale fakt, że siedzieli tu razem, był bardzo wymowny.

- Hank zawsze nienawidził kobiet - odezwała się ponownie po jakimś czasie. - Przypuszczam, że Lucy znienawidził za jej

niezależność, za wolność ducha. Za to, że sama o sobie decydowała. Uczyła się, mieszkała w Atlancie. Hank był zdania, że kobiety powinny mieszkać tam, gdzie się urodziły. W tamtych czasach większość mężczyzn też tak robiła. Naturalnie nie wszyscy, ale... - Ponownie wzruszyła zdrowym ramieniem. - Musisz wiedzieć tylko tyle, że twoja matka była dobrym człowiekiem, mądrym i niezależnym, i że bardzo cię kochała.

Ulicą przejechała ciężarówka. Słuchając szumu opon toczących się po asfalcie, Will zastanawiał się, jak to jest mieszkać w takim domu i patrzeć, jak cały świat dokądś zmierza.

- Wszyscy, z którymi rozmawiałam w szkole, bardzo ją lubili.

Will potrząsnął głową. Usłyszał już wystarczająco dużo.

- Była pogodna i miła. Miała wielu przyjaciół. Wszyscy nauczyciele byli zdruzgotani, kiedy dowiedzieli się, co się stało. Doskonale się zapowiadała.

Usiłował przełknąć ostre szkło, które utkwilo mu w gardle.

- Byłam przy niej, kiedy umierała. - Amanda znowu zawiesiła na chwilę głos. - Jej ostatnie słowa były o tobie, Will. Powiedziała, że cię kocha. Odeszła dopiero wtedy, kiedy miała pewność, że ją usłyszeliśmy, że zrozumieliśmy, że kochała cię każdą cząstką ciała i duszy.

Will zakrył twarz dłońmi, przycisnął je do oczu. Nie chciał się rozpłakać, nie teraz, nie przy niej. Gdyby to zrobił, nie miałby już odwrotu.

- Ukryła cię w koszu na śmieci, żeby ocalić cię przed ojcem - ciągnęła Amanda. - Evelyn była tam ze mną. Razem cię znaleźliśmy. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak wściekła jak wtedy. Nigdy wcześniej ani nigdy później.

Znowu spróbował przełknąć ślinę. Dopiero kiedy odchrząknął, udało mu się powiedzieć:

- Edna Flannigan. Znałaś ją.

- Prowadząc różne sprawy, bardzo często odwiedzałam dom dziecka. - Poprawiła temblak. - Nikt mi jednak nie powiedział, że umarła. Kiedy się dowiedziałam... - Spojrzała Willowi prosto w oczy.
- Wierz mi, jej następcą został surowo ukarany za swoje postępowanie.

Nic nie mógł na to poradzić, że zrobiło mu się przyjemnie na myśl o tym, że Amanda rozprawiła się z człowiekiem, który wykopał go na ulicę.

- A co było w piwnicy? Czego tam szukałaś?

Przez jakiś czas bez słowa spoglądała na pofalowany trawnik, po czym westchnęła głęboko.

- Wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy.

Will przypomniał sobie skrobanie dobiegające ze zsypu na węgiel. Wtedy przypuszczał, że to jakieś zwierzę, ale teraz wiedział już, że to któraś z wiekowych damulek Amandy.

- Ktoś tam wrócił, kiedy byliśmy w szpitalu.

- Doprawdy? - zapytała z udawanym zdziwieniem.

Chciał, żeby wiedziała, iż nie jest kompletnym idiotą.

Niemożliwe, żeby płytka z próbką pobraną na miejscu przestępstwa przetrwała w policyjnym archiwum przez tyle lat.

- Archiwum dowodowe.

- Archiwum dowodowe? - powtórzyła z irytującym uśmiechem.

Zanim powiedziała cokolwiek więcej, wiedział już, że niczego się od niej nie dowie. - Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

- Cindy Murray - ciągnął mimo wszystko. Jego kuratorka, kobieta, która ściągnęła go z ulicy i posłała do college'u.

- Murray? - Amanda zastanawiała się przez jakiś czas, aż wreszcie pokręciła głową. - Nic mi to nie mówi.

- Kapitan Scott w więzieniu...

Zachichotała.

- Koniecznie przypomnij mi, żebym kiedyś ci opowiedziała parę historii o starym więzieniu. Było okropne, zanim Holly zrobiła tam porządek.

- Rachel Foster. - Amanda zwracała się do tej sędzi z prośbą o podpisanie niemal wszystkich swoich nakazów. - Wiem, że wciąż się przyjaźnicie.

- Poznałyśmy się bardzo dawno temu. Pracowała w dyspozytorni na nocną zmianę, żeby w dzień móc studiować.

- Kiedy skończyłem college, wyczyściła moją kartotekę.

- To dobra dziewczyna - stwierdziła enigmatycznie Amanda.

Nic nie mógł na to poradzić: m u s i a ł znaleźć jakąś lukę!

- O ile wiem, nigdy nie zajmowałaś się rekrutacją do GBI. Tylko ten jeden jedyny raz, kiedy mnie zaangażowałaś.

- No cóż... - Po raz kolejny poprawiła temblak. - To nużąca, nieciekawa praca. Rozmawiasz z pięćdziesięcioma osobami, z których połowa okazuje się analfabetami. - Uśmiechnęła się. - Co akurat wcale nie jest takie złe.

- Odziedziczyłem to po nim? - zapytał, nie patrząc na nią. Wiedziała o jego dysleksji.

- Nie - stwierdziła stanowczo. - Widziałeś przecież jego Biblię. Wciąż ją czytał.

- Ta dziewczyna, Suzanna Ford... Powiedziała, że...

- Ze widziała wysokiego mężczyznę i to wszystko. Ani trochę go nie przypominasz, Will. Znałam Jamesa Ulstera. Rozmawiałam z nim. Patrzyłam mu w oczy. Pod żadnym względem nie jesteś do

niego podobny. Wszystko masz po Lucy, po swojej matce. Przynajmniej w to uwierz. Gdyby było inaczej, nie marnowałabym na ciebie czasu.

Will splótł dłonie przed sobą. Pod stopami czuł gęstą, sprężystą trawę. Jego matka miałaby teraz pięćdziesiąt sześć lat. Kto wie, może wykładałaby na wyższej uczelni? Dobrze czytało się podręczniki, z których korzystała. Najważniejsze informacje były schludnie podkreślone, na marginesach roiło się od dopisków. Mogła zostać inżynierem albo matematykiem, albo uczoną feministką.

Zbyt wiele czasu spędził z Angie na rozmowach o tym, co by było, gdyby... Gdyby Lucy przeżyła? Gdyby matka Angie nie przedawkowała? Gdyby nie wychowywali się w sierocińcu? Gdyby nigdy się nie spotkali?

Ale jego matka umarła, podobnie jak matka Angie, choć jej zajęło to więcej czasu. Oboje dorastali w domu dziecka. Byli ze sobą przez niemal trzydzieści lat. Wspólny gniew działał jak magnes; czasem ich przyciągał, znacznie częściej odpychał. Wiedział, co to znaczy zbyt długo tłumić w sobie żal. Widział to w wychudzonym ciele Kitty Treadwell, w aroganckim zachowaniu wuja Henry ego, a czasem, kiedy wydawało jej się, że nikt na nią nie patrzy, także w oczach Amandy. On nie potrafił tak żyć. Nie mógł pozwolić na to, żeby pierwszych osiemnaście lat jego życia zrujnowało mu sześćdziesiąt pozostałych.

Sięgnął do kieszeni. Pod palcami poczuł chłodny metal obrączki ślubnej. Wyjął ją i wręczył Amandzie.

- Chcę, żebyś to wzięła.

- Hmm... - Udając zażenowanie, wzięła od niego obrączkę. -

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tego. Różnica wieku między nami jest na tyle duża, że...

Usiłował wyrwać jej obrączkę, ale zamknęła ją w dłoni.

Amanda Wagner nie była uczuciową kobietą. Rzadko zdarzało jej się z czułością dotykać Willa. Znacznie częściej szturchała go, popychała, a raz nawet odbezpieczyła pneumatyczny pistolet do wbijania gwoździ i udała wielkie zaskoczenie, kiedy stalowy pocisk przeleciał między jego kciukiem i palcem wskazującym. Tym razem jednak przytrzymała jego rękę. Miała drobne palce i wręcz niewiarygodnie szczupłe nadgarstki. Paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem. Starcze plamy na wierzchu dłoni. Oparła się o niego ramieniem, a on delikatnie na nią napał. Na chwilę zacisnęła palce na jego ręce i cofnęła się.

- Dobry z ciebie chłopiec, Wilbur - powiedziała.

Bał się, że zawiedzie go głos, więc wołał nic nie mówić. W innej sytuacji może zażartowałby sam z siebie, że rozkleja się jak baba, ale fakt, że w oczach siedzącej obok niego kobiety nie było nawet śladu łez, uczyniłby taki żart kompletnie bezsensownym.

- Chyba powinniśmy pójść, zanim Kitty włączy zraszacze, żeby się nas pozbyć - powiedziała Amanda.

Schowała obrączkę do torebki i wstała z ławki, ale zamiast przewiesić torebkę przez ramię, wciąż trzymała ją w zdrowej ręce.

- Pomóc ci? - zapytał.

- Na litość boską, przecież nie jestem inwalidką! - Żeby to udowodnić, zarzuciła torebkę na ramię. - Zapnij kołnierzyk. Nie wychowywałeś się w stodole. I nie myśl sobie, że nie będziemy więcej rozmawiać na temat twojej fryzury!

W drodze do samochodu Will posłusznie zapiął kołnierzyk. W otwartych drzwiach stała Kitty Treadwell z papierosem w ustach i obserwowała ich uważnie. Kręta smużka dymu wiła się wokół jej twarzy.

- Zapłaciłam podatek - powiedziała.

Amanda znieruchomiała z ręką na klamce samochodu.

- Za dom w Techwood. - Kitty zeszła po schodach i zatrzymała się kilka kroków od samochodu. - Co do centa. Kiedy James go sprzedał, Henry'ego mało szlag nie trafił.

- Mnie też - przyznała Amanda. - Cztery miliony to całkiem niezły zarobek.

- Henry rozumie wyłącznie język pieniędzy. - Kitty wyjęła papierosa z ust. - Myślałam, że Wilbur go przejmie.

- Nie chce - odparła Amanda.

- Jasne. - Kitty obdarzyła Wilbura uśmiechem, od którego zrobiło mu się zimno. - I tak urządziłeś się najlepiej z nas wszystkich. Jak to możliwe, u licha?

Nie odpowiedział. Nie był w stanie nawet na nią spojrzeć.

- Czy Hank poznał Ulstera w tej jadłodajni? - zapytała Amanda.

Kitty z ociąganiem przeniosła spojrzenie na nią.

- Szukał Lucy. Chciał mieć pewność, że nie zgłosi pretensji do spadku po rodzicach. Dobrali się jak dwa ziarna w korcu maku. Zawarli układ: Hank oddał mu Lucy, bez żadnych dodatkowych warunków, a w zamian za to Ulster wyciągnął mnie z nałogu. Chociaż, szczerze mówiąc, nikomu nie polecam jego metod. - Uśmiechnęła się, jakby właśnie powiedziała świetny dowcip. - Wydaje mi się, że James był zadowolony. Lucy była jak upadły anioł, bez rodziców i rodziny, która mogłaby narobić smrodu. - Wydmuchnęła dym. - A Mary już mu się znudziła.

- Dlaczego ją zabił?

- Mary? - Wzruszyła ramionami. - Bo nie mógł jej złamać. Cięża coś w tobie zmienia. Tak to przynajmniej wygląda z zewnątrz. Godne

najwyższego szacunku, ale sama widzisz, czym się to dla niej skończyło.

- A Jane Delray?

- O to bez przerwy się kłócili. Henry chciał, żeby znikła. Nie chciała siedzieć cicho. Każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadała o Lucy, o Mary, o mnie. Chyba mam szczęście, że nie skończyłam tak samo jak ona. Zasłaniałam się nazwiskiem ojca. - Znowu się zaśmiała. - Tak jakby tam kogokolwiek obchodziło, kim jest mój ojciec.

- Kłócili się? - powtórzyła Amanda.

- Jamesowi było obojętne, z kim rozmawia ta mała dziwka. Stał się niezmiernie wyniosły, i chyba nic dziwnego. Przecież realizował misję powierzoną mu przez Pana. Nie był mordercą do wynajęcia. Bóg go chronił.

- A więc mieszkałaś z Lucy - domyśliła się Amanda.

- Tak, przez cały czas. - Można było odnieść wrażenie, że czeka na kolejne pytanie. Kiedy nie padło, powtórzyła: - Przez cały czas.

Amanda nadal milczała.

- Zresztą... - Kitty strząsnęła popiół na podjazd. - W końcu pogodziłam się z ojcem. - Roześmiała się z goryczą. - Jeszcze więcej kasy do szkatuły Henry'ego. Jak to mówią? Bóg zatrzaskuje drzwi dopiero wtedy, kiedy najpierw pozabija deskami wszystkie okna.

- Gdybyś zgodziła się zeznawać, mogłabym...

- Niczego byś nie mogła. Obie o tym wiemy.

- Ale za to ty możesz go zostawić. Zaraz, natychmiast.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała z autentycznym zdziwieniem. - Przecież jest moim mężem. Kocham go.

To wygłoszone spokojnym tonem stwierdzenie wstrząsnęło Willem bardziej niż cokolwiek, co do tej pory usłyszał.

- Jak możesz? - zapytała Amanda. - Po tym wszystkim, co zrobił.
Kitty wydmuchnęła w górę wąską wstążkę dymu.
Sama wiesz, jak to jest z mężczyznami. - Rzuciła niedopałek na
ziemię. - Przy nich kobieta musi czasem zamienić się w przestępcę.

OBECNIE

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ 33

Psy Sary zupełnie się rozpuściły. Will zaczął je nawet karmić serem, o czym Sara przekonała się w dość bolesny sposób. Najwyraźniej trwało to już od dość dawna. Psy wprost oszalały. Jak tylko poznały ulicę, przy której mieszkał Will, zaczęły szarpać się na smyczach niczym husky pędzące do Klondike. Kiedy wreszcie Sara dotarła do drzwi, miała wrażenie, że oba ramiona ma dłuższe o kilkanaście centymetrów.

Przełożyła smycze do jednej ręki, drugą zaś grzebała w kieszeni w poszukiwaniu klucza. Na całe szczęście właśnie wtedy przy krawężniku zatrzymało się jego porsche.

Pomachał i wysiadł z samochodu, a psy rzuciły się na niego z radosnym szczekaniem.

- No proszę, proszę! - przemawiał czule, głaszcząc je i drapiąc za uszami. - Dobrze pieski!

- Są okropne - stwierdziła Sara. - Koniec z serem.

Will wyprostował się ze śmiechem.

- Trzeba dawać psom ser, bo same nie są w stanie go zdobyć.

Otworzyła usta, by zbić jego argument, ale nie zdążyła, ponieważ pocałował ją tak długo i mocno, że wszystko inne przestało się liczyć.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz jakieś wiadomości od swojego kuzyna?

- Możemy mieszkać w jego letnim domku przez cały tydzień.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wziął od niej smycze. Psy od razu się uspokoiły. Sara nie mogła się nadziwić, o ile lepiej Will teraz wygląda. Wrócił do swojej normalnej pracy, przesypiał noce, uwolnił się od ciągłego stresu.

Zaczekał aż Sara zamknie za nimi drzwi, po czym spuścił psy ze smyczy. Natychmiast popędziły do kuchni, ale Will nie poszedł za nimi.

- W przyszłym tygodniu Henry'emu zostaną przedstawione oficjalne zarzuty - powiedział.

- Jeśli chcesz, możemy przełożyć wyjazd do...

- Nie.

Opróżniał kieszenie, kładąc klucze i pieniądze na stole.

- Jak rozwija się sprawa?

- Henry walczy, ale trudno dyskutować z wynikami badań DNA. -

Zsunął z paska futerał na komórkę. - A co u ciebie? Jak ci minął dzień?

- Muszę ci coś powiedzieć.

Od razu zeszywniał. Sara nie miała do niego pretensji. Ostatnio musiał wysłuchać wielu niedobrych wieści.

- Przyszły wyniki badań toksykologicznych twojego ojca.

Poprawił długopis leżący na stole.

- I co?

- Miał we krwi niewielkie ilości demerolu.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Tabletki?

- Zastrzyki.

- Co to znaczy „niewielkie ilości”?

- Był dużym mężczyzną, więc trudno to dokładnie określić. Pewnie tyle, żeby się rozluźnił, ale nie aż tyle, żeby go oszołomić. Fiolka była

w lodówce pod barem. Strzykawkę znaleźli w koszu na śmieci. W środku był osad, na strzykawce i na fiolce jego odciski palców.

Will podrapał się po policzku.

- Nigdy nie używał narkotyków. To była jego obsesja. Nienawidził ich.

- Wiesz, jak paskudnie jest w więzieniu. Wielu ludzi zmienia zdanie na temat narkotyków, jak tylko posiedzi tam jakiś czas.

- Skąd wziął płynny demerol?

Sara przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Może od prostytutki, która była u niego poprzedniej nocy? Czy policji udało się ją odnaleźć?

- Nie. Nie znaleźli też lakieru do paznokci.

Wiedziała, że Will nienawidzi zawieszonych w powietrzu, niedokończonych wątków.

- Być może ona go ukradła. Większość dziewczyn jest uzależniona. Nie uprawiają seksu z dwudziestoma albo trzydziestoma mężczyznami dziennie dla przyjemności.

- Jaka była przyczyna śmierci? - Zawahał się, jakby nie był pewien, czy to właściwe słowo. - Przedawkowanie?

- Jego serce nie było w najlepszym stanie. Sam zresztą wiesz, że takie ustalenia nie zawsze są jednoznaczne.

Koroner wymienił kilka naturalnych przyczyn, ale przecież w grę mogło wchodzić wiele innych czynników. Może Ulster coś wdychał? Może połknął? Może skumulowało się działanie dwóch czynników? Nie sposób przeprowadzić badań na obecność wszystkiego.

- Pete prowadzi sprawę?

- Nie, jest na zwolnieniu lekarskim. Wziął to jeden z jego asystentów. Bystry chłopak, całkowicie mu ufam.

Will poruszał szczęką na boki.

- Cierpiał?

- Nie wiem - przyznała. - Też chciałabym wiedzieć.

Przybiegła Betty i ujadając, zaczęła kręcić się wokół Willa.

- Chyba powinienem dać im jeść.

Ruszył do kuchni, a Sara za nim. Zamiast wziąć miski z podłogi i wyjąć karmę z szafki, Will stanął jak wryty. Na kuchennym stole leżała koperta z odcisniętym na środku śladem uszmiukowanych ust. Sara od razu rozpoznała dzieło Angie Trent. Codziennie rano znajdowała za wycieraczką samochodu kopertę z identycznym znakiem. Wątpiła, żeby w tej kopercie była kartka z napisem „dziwka”, ale na wszelki wypadek zapytała:

- Czego ona chce?

- Nie mam pojęcia. - W głosie Willa rozbrzmiewał gniew, a równocześnie zażenowanie, jakby mógł odpowiadać za postępowanie żony. - Przecież zmieniłem zamki. Nie wiem, jak dostała się do środka.

Sara nie uznała za stosowne przypominać mu, że Angie była kiedyś gliną. Z pewnością potrafiła sobie poradzić z zamkiem w drzwiach, a pracując w obyczajówce, nauczyła się, jak bezkarnie przekraczać dozwolone granice.

- Wyrzucę to.

- To głupstwo - powiedziała, starając się ukryć irytację.

- Wcale nie.

Wziął kopertę do ręki. Nie była zaklejona. Kiedy ją przechylił, coś z niej wypadło. Sara odskoczyła jak oparzona, choć nie było to nic niebezpiecznego. Już nie.

Prostytutka z hotelu „Four Seasons” była ostatnią osobą, która widziała ojca Willa żywego. Wiedziała, jak ubierają się bywające tam stale dziewczyny. Wiedziała, jak się zachowują i gdzie znajdują

klientów. Wiedziała też, że poprawiając kapelusz przed kamerą w windzie, zwróci uwagę wszystkich na paznokcie ze świeżym manicurem. Ale to jej nie wystarczyło. Niczym kot, który zostawia upolowane zwierzę na progu przed drzwiami swojego właściciela, Angie Trent zabrała z miejsca zbrodni pamiątkę, żeby Will na pewno dowiedział się, co dla niego zrobiła.

Mała szklana buteleczka z białą, spiczastą zakrętką.

Intensywna czerwień.

Lakier do paznokci firmy Max Factor.

PODZIĘKOWANIA

Ben Hecht powiedział: „Próbować się zorientować w tym, co się dzieje w świecie, na podstawie lektury gazet, to tak jakby sprawdzać, która godzina, patrząc tylko na sekundową wskazówkę na zegarku”. Mając to w pamięci, przestudiowałam wiele roczników „Atlanta Journal” oraz „Atlanta Constitution” z lat siedemdziesiątych. Była to fascynująca lektura, dzięki której mogłam poznać codzienne życie ówczesnych mieszkańców Atlanty. „Atlanta Daily World” opisywał te same wydarzenia nieco głębiej i z innej strony. Dzięki „Atlanta Magazine” mogłam osadzić je w kontekście historycznym; szczególnie pomocne były wydania „Best of”, jak również zdumiewająco zabawny opis szalonego osiedla Riverbend. Archiwalne egzemplarze „Cosmopolitan” dostarczyły mi informacji o obowiązujących wówczas strojach, fryzurach i sposobach osiągnięcia satysfakcji seksualnej, jakże odmiennych od tego, na czym dziś koncentrują się kolorowe pisma. Wiadomości o stylu życia i sposobie urządzania wnętrza czerpałam także z „Newsweeka”, „Time’a”, „Ladies Home Journal” oraz katalogu Searsa. AtlantaTimeMachine.com prezentuje niezliczone zdjęcia najważniejszych miejsc Atlanty wykonane w różnych latach, na YouTube znalazłam zaś niewiarygodną liczbę reklam telewizyjnych z lat siedemdziesiątych; nigdy nie odzyskam czasu, jaki spędziłam, oglądając je zachłannie.

Zwróciłam się do Daniela Starera z Research for Writers o pomoc w zdobyciu materiałów, których potrzebowałam do napisania tej książki. Byłam zachwycona swoim sprytem aż do chwili, kiedy zostałam dosłownie zasypana informacjami i uświadomiłam sobie, że będę musiała to wszystko przeczytać. (Pełna ich lista znajduje się na

mojej stronie internetowej.) Dan odszukał również człowieka nazwiskiem Robert Barnes, autora zrealizowanego w 1975 roku filmu dokumentalnego o policji w Atlancie. Robert, od urodzenia mieszkający w Atlancie, okazał się nadzwyczaj miły i przysłał mi kopię swojego filmu, zawierającego wiele panoramicznych ujęć miasta oraz filmowanych ze śmigłowca widoków Techwood Homes oraz centrum. Podzielił się ze mną także wspomnieniami z dorastania w mieście, za co jestem mu niezmiernie wdzięczna.

Wiele godzin - zarówno online, jak i osobiście - spędziłam w Atlanta History Center, Auburn Avenue Research Library, Georgia Tech Library, Georgia State University Pullman Library oraz w Bibliotece Kongresu. (Zauważyliście, że wszystkie te instytucje mają w nazwie słowo „library”, czyli biblioteka? Może jednak naprawdę potrzebujemy bibliotek.)

Stwierdzenie, że w Atlanta History Center trafiłam na żyłę złota, jest dalece niewystarczające. To właśnie tam natknęłam się na pierwszą wzmiankę o „Policing: the Occupation and the Introduction of Female Police Officers” Patricii W. Remington (University Press of America, 1981). Praca ta powstała w oparciu o trwające przez cały rok badania, jakie autorka przeprowadziła w policji w Atlancie w roku 1975. Uczestniczyła w patrolach, brała udział w przesłuchaniach, dano jej nawet do ręki rewolwer. Z opracowania pani Remington zaczerpnęłam informacje o rotacji personelu, strukturze organizacyjnej i socjologicznych oraz ekonomicznych warunkach służby. Ponieważ zainteresowanie autorki skupiało się na kobietach, w pracy znalazło się miejsce na stenogramy wielu przesłuchań prowadzonych albo przez same funkcjonariuszki, albo wspólnie z mężczyznami. Policyjny slang, jakim się miejscami

posługuję, oraz humor sytuacyjny, także zawdzięczam obserwacjom pani Remmington.

Traktując to opracowanie jako punkt wyjścia, rozmawiałam z wieloma policjantkami, które zaczęły służbę w latach siedemdziesiątych. Marla Simms z GBI jest chyba najlepszym gawędziarzem, jakiego w życiu spotkałam. Chciałabym też podziękować oficerom: Donie Robertson, Barbarze Lynch i Vickye Prattes za to, że zadały sobie trud, by przyjechać do Atlanty na spotkanie ze mną. SL, EC i BB podzieliły się ze mną spostrzeżeniami o tym, co działa, a co nie w rozmaitych służbach stanu Georgia. Chociaż większość mężczyzn w mojej książce nie jest przedstawiona w najlepszym świetle, pragnę, jak zwykle, podziękować dyrektorowi Vernonowi Keenanowi oraz Johnowi Bankheadowi z GBI. W gruncie rzeczy chciałabym podziękować wszystkim funkcjonariuszom tej instytucji, którzy troszczą się o nasze bezpieczeństwo. Wszyscy działacie w imię Pana.

Z pewnością powinnam wspomnieć Reginalda Eavesa, który odgrywa tak ważną rolę w tej opowieści. Eaves od dawna jest jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci w życiu politycznym Atlanty. W roku 1978 skandal związany z fałszowaniem wyników badań zmusił go do odejścia ze służby w policji. W 1980 wybrano go do władz okręgu Fulton; cztery lata później wszczęto przeciwko niemu dochodzenie w sprawie o wymuszanie, a w 1988 trafił do więzienia. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że za czasów jego pracy w policji poziom przestępczości w Atlancie wyraźnie się obniżył. Zwiększył rekrutację do policji, wytyczył proste ścieżki awansu, polecił zorganizować dla funkcjonariuszy szkolenia, na których uczyli się radzić sobie z przestępstwami domowymi. Najwięcej uwagi poświęcał przestępstwom popełnianym przez czarnych na czarnych, mówiąc:

„Bez względu na to, jak bardzo jesteś ubogi, nie wolno ci napadać na staruszkę, żeby zabrać jej torebkę”. W moich oczach Eaves jest kwintesencją polityka z Atlanty.

Choć niektórzy wspominają lata siedemdziesiąte jako dekadę miłości i wolności; w tamtych czasach kobietom z reguły nie żyło się najlepiej. Założenie konta w banku, uzyskanie kredytu na samochód albo kredytu hipotecznego, wynajęcie mieszkania - dla wielu amerykańskich kobiet wszystko to było nieosiągalne bez zgody ojca albo męża. (Nowojorczyki, nie uśmiechajcie się z wyższością. W waszym mieście dyskryminacja płciowa została oficjalnie zabroniona dopiero w roku 1974) W 1972 niezamężne kobiety uzyskały prawo stosowania pigułek antykoncepcyjnych, choć wiele z nich długo jeszcze miało problem ze znalezieniem lekarza, który by im je przepisał, i farmaceuty, który taką receptę by zrealizował. Ustawa o Dyskryminacji Płciowej z roku 1975, nawiązująca bezpośrednio do Ustawy o Równości Wynagrodzenia z roku 1963, zwróciła uwagę na fakt, że kobiety zarabiały średnio zaledwie sześćdziesiąt dwa procent tego co mężczyźni. Policja w Atlancie, tak jak w każdym innym mieście i stanie, musiała przestrzegać prawa, w związku z czym służba w policji była jednym z niewielu zajęć dających kobietom pełnię ekonomicznej i socjalnej swobody.

I tak oto policja kroczyła w forpoczcie postępu, ale nie była to droga usłana różami. Większość mężczyzn - i wcale niemało kobiet - uważało, że kobiety nie powinny służyć w policji. Historie o tym, jak ludzie witali śmiechem funkcjonariuszki przybywające na miejsce przestępstwa, są prawdziwe. Przydzielano im zadania, które powinny je przerosnąć, i karano, jeżeli jednak dały sobie z nimi radę. Wiele obszarów policyjnej pracy było przed nimi szczelnie zamkniętych. Nie chcę przez to wcale powiedzieć, że jedyny problem stanowili

mężczyźni. W pochodzącym z 1974 roku artykule z „Atlanta Constitution” mówi się o pochodzących wyłącznie od kobiet zgłoszeniach kradzieży policyjnych radiowozów, dokonywanych jakoby przez kobiety. Kobiety te nie były w stanie sobie wyobrazić, że jadąca radiowozem kobieta jest policjantką i wykonuje swoje służbowe obowiązki. (Jeszcze jeden cytat, tym razem z H. L. Menckena: Mizogin: mężczyzna, który nienawidzi kobiet tak samo jak one siebie wzajemnie.)

Dziękuję Valerie Jackson za daną mi szansę zrozumienia czym kierował się burmistrz Maynard Jackson podczas swojej pierwszej kadencji. Obecnie wielu polityków mówi o kobietach i rozmaitych mniejszościach to samo, co wtedy on; nieliczni jednak z równą konsekwencją wprowadzają swoje słowa w życie. Myślę, że wyrażę opinię wielu mieszkańców Atlanty, jeżeli powiem, że jego spuścizna wciąż wydaje wiele dobrych owoców.

Vernon Jordan okazał się nieoceniony w trudnym zadaniu osadzenia intrygi w konkretnym kontekście. Dziękuję ci bardzo za sugestię, która pozwoliła mi w sensowny sposób zawiązać akcję. Bez przerwy powtarzałeś, że nie możesz mi wiele powiedzieć, ale i tak powiedziałeś prawie wszystko. Jestem przekonana, że nie tylko ja mam ci tyle do zawdzięczenia.

Linda Fairstein jest nie tylko jedną z moich ulubionych autorek, lecz także kobietą, która działała w pierwszym szeregu pierwszego w Nowym Jorku oddziału do walki z przestępczością seksualną. Jej nowatorskie prace mogły ujrzeć światło dzienne dzięki tym samym grantom z LEAA, które wielu kobietom umożliwiły podjęcie pracy w policji. Lindo, chylę czoło przed twoimi wysiłkami, żeby podzielić się tą korzyścią ze wszystkimi kobietami w kraju.

Specjalne podziękowania należą się Jeanene English za to, że pokazała mi, w jaki sposób zagęszcza się włosy. Kate White, zawsze przypominałaś mi, do jak wielkich osiągnięć są zdolne kobiety pod warunkiem, że sobie pomagają. Szczególnie serdecznie chciałabym podziękować Monice Pearson (z domu Kaufman) za jedno z najprzyjemniejszych popołudni w moim życiu. Emily Saliers, dziękuję ci, że opowiedziałaś mi o swojej Atlancie. Choć nigdy nie dostąpiłam zaszczytu poznania Tyne Daily ani Sharon Gless, to każda kobieta w moim wieku wie, jak dużo ta książka zawdzięcza im obu.

Dr David Harper jak zwykle pomógł mi pokazać Sarę i Pete'a w taki sposób, jakby wiedzieli, co robią. Z pewnością powinnam też wspomnieć o Grady Hospital, największym publicznym szpitalu w całym stanie Georgia i piątym pod względem wielkości w Stanach Zjednoczonych. Ten zbudowany na planie litery H kolos jest pomnikiem tego, co w nas najlepsze i najgorsze. Oddział ratunkowy, w którym pracuje Sara, ani trochę nie przypomina oddziału ratunkowego z Grady Hospital, przede wszystkim dlatego, że potrzeba by opasłego tomu, by opisać ludzkie mrowie tłoczące się codziennie w jego korytarzach. Chylę czoło przed tamtejszymi lekarzami i pielęgniarkami, którzy nie uciekają przed problemami, tylko wychodzą im naprzeciw.

Henrik Enemark, duński tłumacz moich książek, przysłał mi rewelacyjne zdjęcia ze swojej szkolnej wycieczki do Atlanty.

Ineke Lenting, która tłumaczy moje książki na holenderski, również okazała mi wielką pomoc. Marty, kustosz Muzeum Wózków Dziecięcych, szybko i bez zdziwienia odpowiedział na bardzo dziwne pytanie. Kitty Stockett użyczyła swego imienia prostytutce (może dzięki temu jej praca spotka się wreszcie z takim uznaniem, na jakie zasługuje). Pam Canale zwyciężyła w charytatywnej aukcji pod

hasłem „Nadaj swoje imię jednej z postaci w kolejnej książce Karin Slaughter”, z której dochód trafił do sieci bibliotek publicznych okręgu Dekalb. Dianę Palmer podsunęła mi pewien chytry pomysł. Debbie T., dziękuję ci za nieustającą pomoc, kiedy starałam się zrozumieć świat Willa. Beth Tindall z Cincinnati Media od dawna jest moim webmasterem i najlepszym przyjacielem. Victoria Sanders, Angela Cheng Caplan i Dianę Golden tworzą najlepszą paczkę, o jakiej mogłaby marzyć każda dziewczyna.

Dziękuję też Kate Elton, mojej dobrej przyjaciółce i wieloletniej redaktorce, za ogromne ułatwienie mi pracy. Jennifer Hershey, Libby McGuire, Cindy Murray i Gina Centrello - dzięki za to, że przyniosłyście boczek i rzuciłyście na patelnię.

Mój ojciec uraczył mnie pewnego wieczora opowieściami o kulisach pracy policyjnej w Atlancie w latach siedemdziesiątych. Naprowadził mnie na Mills Lane i sprawę porwania (oraz na Mike'a Thevisa, który z pewnością pojawi się w innych książkach, chociaż wciąż nie mam odwagi zapytać ojca, co dokładnie łączyło go z człowiekiem, który zmienił oblicze amerykańskiego przemysłu pornograficznego). Jestem wdzięczna mojej siostrze, Jathcie Slaughter, za szczere rozmowy o jej życiu, oraz - jak zawsze - D.A. Kocham cię.

Historia to niebezpieczna rzecz, szczególnie w rękach nowicjusza. Zbierając materiały do tej książki, przekonałam się, że każdy inaczej widzi przeszłość. Na historię Atlanty można patrzeć z perspektywy białych lub czarnych, oraz z - często przeciwstawnych - perspektyw kobiet i mężczyzn z obu wspomnianych wcześniej kategorii. Jeśli wiejemy to do tygła naszego współczesnego społeczeństwa, to chyba stanie się jasne, dlaczego, jako pisarka, postanowiłam ograniczyć się do jednego punktu widzenia. Co w niczym nie zmienia faktu, że

jestem pisarką powieści, a nie historykiem. Nie roszczę sobie pretensji do miana eksperta od lat siedemdziesiątych w Atlancie, ani od czasów obecnych. Z pewnością pozwoliłam sobie na znaczne odstępstwa od faktów. (W Techwood Homes nie było czteropiętrowych domów. Monica Kaufman, podobnie jak Spike, brat Snoopy'ego, pojawiła się w Atlancie dopiero w sierpniu 1975. Zostaniecie zapewne aresztowani, jeśli zbyt długo będziecie się kręcić przed „Four Seasons”, szukając marmurowej fontanny.) Przede wszystkim zależało mi na napisaniu ciekawej powieści. Od początku zdawałam sobie sprawę, że na kobietę z Południa, piszącą o sprawach związanych z dyskryminacją płciową i rasową, czyhają liczne pułapki. Ale bądźcie pewni, iż dołożyłam wszelkich starań, żeby wszyscy, bez względu na przynależność rasową, religijną, wyznaniową, płćć oraz narodowość, zostali tak samo zmieszani z błotem.

Karin Slaughter

Atlanta, Georgia

www.karinslaughter.com